
3 1761 07320444 8

119

I

(54)

KSIĘGA PAMIĄTKOWA
II.

KSIĘGA PAMIĄTKOWA

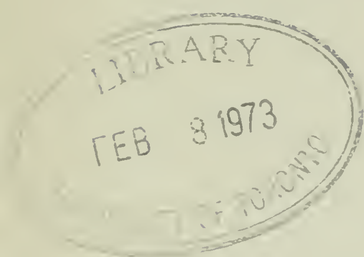
KU UCZCZENIU 250-TEJ ROCZNICY ZAŁOŻENIA UNIWERSYTETU LWOWSKIEGO PRZEZ KRÓLA JANA KAZIMIERZA R. 1661

WYDANA PRZEZ

CZŁONKÓW UNIWERSYTETU

TOM II

LWÓW
NAKŁADEM UNIWERSYTETU LWOWSKIEGO
1912.



Kraków 1912. — Drukarnia Uniwersytetu Jagiell. pod zarządem J. Filipowskiego.

SPIS RZECZY.



SPROSTOWANIE.

W rozprawie R. Zubera, Spostrzeżenia geologiczne z zachodniej Afryki, na str. 19 między wierszami 12 i 13 od dołu po wyrazie »kontynentu« i przed wyrazem »Najbliższą« opuszczono ustęp następujący: Obecność resztek starej formacyi czerwonego piaskowca o typie wybitnie kontynentalnym i pustyniowym w niektórych partyach wybrzeża gwinejskiego niewątpliwie świadczy, że podczas tworzenia się tej formacyi (palaeozoicum?) miejsca te były wnętrzem rozległego kontynentu.

POD WRAŻENIEM „ROZMYŚLAŃ“ MARKA AURELEGO

napisał

LEON PINIŃSKI

I. Znaczenie i treść nauki Marka Aurelego.

Nie zamierzam tu podać naukowego studyum o »Rozmyślaniach« Marka Aurelego, brak mi do tego należytych propedeutycznych warunków tak historycznych i filologicznych jak i filozoficznych nawet. Luźne uwagi, które mi się nasuwają pod pióro, są jedynie objawem wrażeń i myśli wywołanych pod wpływem lektury. Nie idzie mi wcale o rozświecenie naukowe pracy M. A., lecz tylko o podniesienie jej piękności. Jeżeli moje słowa zachęcą czytelnika do tego, by także wziął do ręki samo dzieło cesarskiego autora i z uwagą je przeczytał, to już ten skutek mnie zadowolni. Nie wątpię bowiem, że każdy rozumny czytelnik znajdzie w niem wiele nauki a może i pociechy.

Mało jest dzieł na świecie traktujących o najgłębszych problematach życiowych ze stanowiska oderwanego, filozoficznego, które tak silnie trafiają do serca jak »rozmyślania« M. A. Tematem ich jest przedewszystkiem Etyka życiowa, co myśleć o zadaniach życia i jak żyć, jak wyrabiać sobie charakter, jak zapatrywać się na stosunek nasz do bliźnich i społeczeństwa. Kwestye te bez względu na epokę, w której żyjemy, są w gruncie wiecznie te same i niezmienne. Powinny one zajmować ciągle umysł każdego, który wyszedł przynajmniej poza tę fazę, że żyć nie wolno dla siebie wyłącznie i dla chwilowego egoistycznego użycia.

Zaczerpnąć ze źródła takiego, jak medytacye M. A. wiadomość, jak jeden z najznakomitszych mężów dawnego pogańskiego świata zapatruje się na te zadania, może i musi być po wszystkie czasy, a więc i w naszej epoce z pożytkiem. Nie potrzeba do tego być ani filozofem z zawodu ani lingwistą, by główny tok myśli M. A. i podobnych mu mistrzów sztuki życia świata starożytnego ująć i zrozumieć. Trudno zresztą wymagać, by tylko tym, co połknęli niemal całą literaturę historyczno-filozoficzną, wolno było zastana-

wiać się nad najprostszemi regułami etyki życiowej, rozmyślać nad tem, jak je pojmowali i na czem oparli wielcy mężowie przeszłości i jak je dziś dla naszego użytku uzasadnić mamy.

Niestety o wiele za mało ludzie dziś o tem myślą, co jest ich regułą życia, jakie jej źródło i jak mają prawo rozgraniczyć w życiu rozrywkę i przyjemność od obowiązku. Domenę uzasadnienia kardynalnych zasad naszej praktycznej etyki życiowej nie możemy odstąpić, tak jak »akt«, do którego załatwienia nie czujemy się sami kompetentni, teologom lub filozofom z zawodu. Wolno nam i powinniśmy zasięgnąć u innych rad i wskazówek, ale odpowiedź na życiowy nasz problemat moralny musimy znaleźć w nas samych, bo idzie tu o normy, według których my sami żyć mamy, a nie kto inny za nas.

A jednak, jak trudno byłoby uzyskać od każdego człowieka odpowiedź na pytanie, jakie są przepisy jego egzystencyi moralnej i skąd je czerpie? Gdyby umiano i chciano dać nam na to szczerą odpowiedź, fantastyczne zaiste nieraz uzyskalibyśmy rezultaty.

Moralne reguły życia są u niektórych, i to powinno być normalnem, wynikiem zapatrywań religijnych. Lecz jakąż jest ta religia? często tylko zbiorem bałamutnych, pełnych sprzeczności przesądów i zabobonów bez najmniejszej znajomości źródeł, na których wiara ma i może się opierać. Bezmyślna praktyka czczych ceremonii jest dla wielu, rzekomo religijnie usposobionych osób ważniejszą od najdonioślejszych obowiązków etyki altruistycznej.

U innych reguły moralne życia opierają się już tylko na resztkach półzapomnianej religii, której ich uczono za młodu i na jakichś strzempkach filozofii tu lub owdzie pochwyconych a zwykle mylnie lub mętnie pojętych.

U innych wreszcie reguły życia nie zasadzają się na żadnej podstawie metafizycznej, lecz tylko na pewnej tradycyjnej praktyce otoczenia, wśród którego wzrośli i żyją. Praktyka zaś ta jest często wynikiem tylko przesądów kastowych, uprzedzeń konwencyonalnych pozbawionych logiki i użyteczności a podlegających zmiennym kaprysom mody, którym nie daje to większej wagi i wartości, że się je niekiedy zwie pretensyonalnem mianem »honoru«.

Na takich to kruchych i zmiennych podstawach opiera się to co ludzie w życiu uważają za »moralny obowiązek«. Czyż dziwić się możemy, że wobec tego u wielu nie ma dostatecznej siły, by oprzeć się rozmaitym antietycznym teoryom, które bądź prokla-

mują negacyę wszelkiej apriorystycznej podstawy moralności (nagi materyalizm), lub zwalniają jednostki rzekomo wyższe od potrzeby oglądania się na konwencyonalne reguły etyki (np. zapatrywania Nitzsche'go), lub wreszcie zniżają zasady moralne do źródła utylitaryzmu, równając je tem samem np. z regułami higieny, względami praktyczności gospodarskiej i t. p., co jest wprawdzie najłagodniejszą formą, ale przecież w gruncie zaprzeczeniem istoty etyki.

O tyle większą powinno mieć dla nas wartość zastanawianie się nad myślami takiemi, jak je nam dał w spuściźnie M. A., gdzie mimo braku wszelkiej podwaliny w wierze, spotykamy się z najszczytniejszem podniesieniem moralnego poziomu człowieka i pełnem przekonania uzasadnieniem obowiązków społecznych.

Jeszcze inny wzgląd podnosi niezmiernie interes, który budzą myśli M. A., a tym jest rola, jaką odegrał autor w dziejach świata. Uwagi o celu i zadaniach życia pisane przez jakiegoś myśliciela, który przepędził życie gdzieś w zaciszu domowem, lub którego biografia wogóle nie budzi wybitnego interesu, nie mogą ani w części mieć tego znaczenia, co wyznania złożone nam przez władcę świata, cesarza olbrzymiego państwa sięgającego od Gibraltaru po Eufrat i od gór Szkocyi po puszczę libijską a nadto panującego, który wspaniale umiał spełnić niezmiernie trudne zadanie przez los nań włożone. Co tego rodzaju wielka postać historyczna myśli o zadaniach życia, czy i o ile stara się zastosować swe teorye praktycznie w ogromie skomplikowanych przypadłych jej w udziale obowiązków, to jest nierównie ważniejszem i bardziej interesującem, niż uwagi pierwszego lepszego prywatnego człowieka ułożone w cichej pracowni, zdala od świata, jego walk i zawikłań. Podnieśmy tylko jeden szczegół: Jeżeli np. lekceważenie sławy, potęgi i zaszczytów wypowiada ktoś, co nawet nadziei mieć nie mógł, by dojść do nich, to mniej nas to przejmuje i mniej też wierzymy w szczerość tych słów, niż jeżeli to spotykamy w ustach męża, przed którym korzył się świat cały. Tam jest to może tylko czczym frazesem, tu imponującym dowodem niezwykłej wyżyny moralnej.

Jeden wreszcie szczegół podnosi niezmiernie wartość dzieła. M. A. pisał uwagi swe li tylko jako notatkę dla siebie samego. Były to reguły i przepisy, które układał w chwilach skupienia, by go krzepiły i wzmacniały na wypadek zwątpienia lub pokusy. Przykład piękny i rzadki, bo szczytne zasady układa się zwykle dla innych, a nie dla siebie samego.

Uwag tych nie zamierzał M. A. nigdy podać do wiadomości publicznej. Nie chciał niemi ani uczyć innych, ani przed nimi zabłysnąć. To jedna więcej gwarancya ich najzupełniejszej szczerości.

Marcus Aurelius Antoninus[1] był ostatnim rzymskim cesarzem z wielkiej epoki Antoninów, owego najświetniejszego okresu cesarstwa. Szereg znakomitych mężów w czasie od r. 96 do 180 po Chr. dzierży tron cesarstwa rzymskiego. Była to epoka rozkwitu nauk i sztuk, wolna stosunkowo od zawikłań wewnętrznych i rewolucyi wojskowych lub pałacowych. *Via facti* wytworzył się ten system następstwa w rządach, iż każdoczesny cesarz wybierał swego następcę, zlewając nań przez akt adopcyi swe prawa na wypadek śmierci. System to możliwy jedynie w czasie państwowego rozkwitu i spokoju, mogący wydać doskonałe owoce, ale pod warunkiem, że ludzie osobiście wybitni i mogący zrobić co do następstwa szczęśliwy wybór, zasiadają na tronie. Jeden wybór chybiony unicestwia dodatnie skutki systemu i czyni go nadal niemożliwym. Błąd ten popełnił właśnie M. A., kiedy, uniesiony zapewne przywiązaniem rodzinnem naznaczył niegodnego swego syna, Commodusa na następcę, z którego objęciem rządów serya wielkich cesarzów się kończy.

M. A. sam został przeznaczony i wybrany na następcę w rządach przez wuja swego Antonina Piusa i to jeszcze za życia poprzedniego władcy Hadryana. Wychowanie M. A. było jak najstaranniejsze, w szczególności zaś nauki filozoficzne i surowe praktyki stoickiego życia przyczyniły się już za młodu do znakomitego wykształcenia umysłu i wyrobienia charakteru późniejszego władcy. W pierwszych rozdziałach swych Rozmyślań[2] wspomina on z głęboką, szlachetnie odczutą wdzięcznością o dobrych wpływach oddziałujących nań już od pierwszej młodości, dziękując równie gorąco swej rodzinie jak i licznym nauczycielom i mistrzom, nie zapominając przytem złożyć podzięki i bogom[3], którzy wyznaczyli mu los tak pomyślny. Najbardziej entuzyastyczny ustęp poświęca on swemu bezpośredniemu poprzednikowi Antoninowi Piusowi[4], którego sławi jako ideał człowieka i panującego.

Cnoty M. A., które poznajemy z jego »myśli« jak i rządów,

[1] Urodził się w r. 121 po Chr.; panował od r. 161 do 180. Przez pierwszych ośm lat dzielił rządy z Luciusem Verusem.

[2] Tym uwagom poświęcona jest niemal cała pierwsza księga.

[3] Zob. szczególnie I. 17.

[4] I. 16.

istotnie w znacznej części zapewne wszczepione mu zostały przez jego równie znakomitego a szczęśliwszego, bo mniej zewnętrznemi przeciwnościami nękanego poprzednika.

»Rozmyślania« M. A. są to luźne uwagi o porządku świata i zadaniach życia. Pisane są w języku greckim i rozpadają się na 12 ksiąg czy też rozdziałów, z których każdy zawiera pewną ilość oderwanych, nie powiązanych ze sobą ustępów. Niektóre z nich są dłuższe, inne znów zawierają krótkie aforystycznie sformułowane uwagi. M. A. zostawił pracę swą bez tytułu. Po śmierci jego dopiero dano jej tytuł: Τὰ εἰς ἑαυτόν, co można przełożyć słowami: »Nad sobą samym«.

Kiedy myśli swe zaczął spisywać, to można z pewnem przybliżeniem oznaczyć. W każdym razie dopiero w wieku dojrzałym[1] po objęciu rządów. Z wzmianek zawartych w pierwszej i drugiej księdze widać, że je pisał w czasie wypraw wojennych przeciw Quadom i Markomanom (w dzisiejszych krajach austryackich nad Dunajem i na północ od Dunaju). Od tego czasu, jak się zdaje, miał zwyczaj notować swe myśli aż do końca życia, bo ustępy końcowe ostatniej księgi brzmią tak, iż wysnuć z nich można przewidywanie rychłego skonu.

Systemu w uwagach M. A. nie ma zupełnie. Nie ma też silenia się na styl piękny i wytworny. Myśl przeskakuje niekiedy bez wypracowanego połączenia z jednego przedmiotu na drugi. Znać często, że autorowi idzie o pobieżne schwycenie jej raczej niż o przeprowadzenie logiczne. Jeżeli jednak czytanie nie daje systematycznego poglądu na całość, to o tyle silniej zachwycić nas musi w szczegółach sformułowanie myśli tu i owdzie niezmiernie szczęśliwe, ustępy tchnące głęboką szczerością, liczne porównania nader trafne a często głębokie lub prawdziwie poetyczne.

Sprzeczności w uwagach nie spotykamy, tylko tam, gdzie autor waha się między przyjęciem dwóch rozmaitych alternatyw jako hipotetycznie możliwych, myśl jego skłania się czasem raz w jedną stronę silniej, raz w drugą. Znamiennem jest szczególnie to, iż natura przyciąga autora raczej ku pesymistycznemu sposobowi myślenia, podczas gdy siłą woli stara on się wmówić w siebie pewien optymizm.

Cytaty z innych autorów spotykamy dość często, z których

[1] Już w II. 2 nazywa się sam »starym«, czem jednak istotnie nie był.

widać oczytanie wielkie w literaturze greckiej poetyckiej i filozoficznej. Z greckich dawniejszych filozofów przytacza często Sokratesa i Platona, z nowszych widocznie najsilniej na niego oddziałał Epiktet. Rzymskich filozofów nie uwzględnia i nie cytuje nawet tak bardzo zbliżonego zapatrywaniami, najznakomitszego rzymskiego stoika, Senekę.

Pomimo luźnego zestawienia tworzą poglądy autora na świat i życie pewną zamkniętą w sobie, logicznie ściśle obmyślaną całość. Ażeby je bliżej poznać, należy je więc zestawić w pewien systematyczny związek. Staram się to uczynić poniżej, podając w jak najkrótszej formie ich streszczenie systematycznie ułożone. Sądzę, że w tej formie występuje myśl przewodnia autora silniej i z większą plastyką.

Streszczenie nauki Marka Aurelego:

Człowiek rodzi się z przeznaczeniem, by być istotą społeczną, pożyteczną dla innych. Obdarzony umysłem, ma w sobie coś z wyższej, boskiej natury i ten przymiot duchowy powinien w sobie rozwijać i kształcić, za tym głosem szlachetniejszym w życiu iść.

Ma tedy gardzić zmysłowem użyciem, nie przywiązywać wagi do dóbr doczesnych, wyrabiać w sobie hart ciała i duszy oraz samodzielność. W stosunku do bliźnich ma być sprawiedliwym i dobroczynnym a w obejściu się z nimi szczerym, skromnym i uprzejmym. Ma pamiętać zawsze o obowiązkach wobec całego społeczeństwa i na stanowisku, na którem go los postawił, pracować pilnie i wytrwale, bez zawiści, zadowolony z roli przypadłej mu w udziale.

Niech pamięta przytem zawsze o znikomości życia a to głównie w tym celu, by z każdej chwili korzystać, jak gdyby ona była ostatnią dla pożytecznego działania. Nagrody wszakże za to wymagać nie powinien i nie ma prawa, a jeżeli go spotyka od innych niewdzięczność, krzywda lub nawet prześladowanie, powinien to znosić ze spokojem, pogodą i pobłażaniem dla tych, którzy są gorsi, umysłowo i moralnie od niego niżsi.

Niech też nie uważa za nagrodę godną wysileń ani rozgłosu i poklasku za życia, ani też sławy pośmiertnej, wszystko to bowiem jest bez wartości. Nagrodę jedyną i zadowolenie znajdzie w poczuciu wypełnienia obowiązku, w świadomości swej moralnej wyższości.

Czy go spotka indywidualnie nagroda po śmierci? na to pytanie odpowiedzi brak. Lecz jeżeli jest istota wyższa, rządząca świa-

tem, dbająca o nas i zapewniająca nam przyszłą egzystencyę, to po takiem życiu możemy być spokojni o przyszłe nasze losy. Jeżeli zaś istoty takiej niema i niema też przyszłego życia, to brak wszelkiego uczucia i senzacyi, nicość zupełna jest lepszą niż życie na świecie, którym nie kieruje ręka opatrzności.

Tak myśląc i czując będzie człowiek spokojnym i zadowolonym z przeznaczonego losu i nie potrzebuje ani szukać śmierci, ani też niema powodu jej się lękać.

Oto mniej więcej streszczenie nauk moralnych M. A. Główną ich podstawą jest filozofia stoicka, lecz obok zasad właściwych i innym pisarzom tego filozoficznego kierunku ma nauka M. A. silne indywidualne piętno. Przedewszystkiem jest pełną prostoty, niezupełnie wprawdzie wolną od właściwego stoikom samochwalstwa, lecz bez zbytniej zarozumiałości i dumnej pozy. Nadto ujmuje nas tem, że wyklucza o ile możności wszelkie abstrakcyjne wywody i polemiki. Filozofem w zwykłem rozumieniu jest M. A. jak najmniej, dogmatykiem metafizycznym wcale nie, stara się być przedewszystkiem tylko sterownikiem w praktycznem moralnem życiu.

II. Stosunek duszy naszej do porządku wszechświata.

Przechodzę teraz do szczegółów i pragnę nieco dokładniej omówić poszczególne donioślejsze kwestye nauki moralnej M. A. Nie chcąc przytem zbyt wiele nagromadzać cytatów *in extenso*, staram się ograniczyć do najważniejszych.

M. A. uznaje w nas samych pewną wrodzoną skłonność do moralnego wyrabiania się i doskonalenia będącą własnością naszej duszy. Dusza zdolna do moralnej wyższości jest darem nieba w nas i powinna być nam w życiu gwiazdą przewodnią, z a s a d ą r z ą d z ą c ą ż y c i e m n a s z e m[1].

»Żyj z bogami«, mówi autor (V. 27). »Ten zaś żyje z bogami, co ciągle okazuje im, że dusza jego zadowolona jest z tego, co mu jest przeznaczonem i czyni to wszystko, czego życzy sobie nasz demon, którego Zeus jako cząstkę swej istoty dał każdemu człowiekowi, by mu był stróżem i kierownikiem. Jest zaś nim każdego człowieka myśl i rozum (νοῦς καὶ λόγος)«.

[1] Τὸ ἡγεμονικόν, jest to wyraz ulubiony M. A., którego używa bardzo często, np. II. 2 i w licznych innych ustępach.

Czyż mamy na to dowody, że bogowie istnieją? pyta w innem miejscu (XII. 28). Możnaby powiedzieć, że ich widzimy niemal własnemi oczyma codziennie w istnieniu świata. Lecz, jeżeli nawet przyjmiemy, że ich nie dostrzegamy, toć wszakżeż nie widzimy i duszy własnej, a jednak cenimy ją i szanujemy. To co czujemy przez ciągłe doświadczenie jako wpływ boski na nas samych, to nam daje możność poznania ich istnienia i czczenia ich.

Owa »boska część«, która jest w nas[1], jest tak silną, że mamy niekiedy wrażenie »nawoływania, rzecby można, wprost instrukcyi« (I. 17) ze strony bogów w nas samych.

Czując tedy w nas samych siłę moralną, możność doskonalenia się i ładu, o tyle łatwiej nam w to wierzyć, że wola rozumna kieruje także wszechświatem.

W rezonowaniu tem zdaje się być pewien *circulus vitiosus*. Dobra nasza strona moralna ma być darem rozumnej, kierującej światem opatrzności a zarazem egzystencya tej dobrej duchownej strony w człowieku ma być dowodem a przynajmniej podstawą prawdopodobieństwa, że owa opatrzność sama istnieje.

Nie zapominajmy jednak o tem, że w każdem rozumowaniu, nie opierającem się na objawieniu z zewnątrz, punkt wyjścia jest z reguły czemś subjektywnem. *Cogito ergo sum* mówi Descartes i uważa to za punkt wyjścia poglądu na świat. U innych tym punktem wyjścia jest znów nasze subjektywne uczucie. Zdaniem M. A. człowiek czuje w sobie pierwiastek dobra, który mu pozwala a nawet każe być dobrym i pożytecznym, a więc chce wierzyć, że jest zarazem istota wyższa, rozumna i dobrotliwa, która pierwiastek ten w nas wszczepiła.

Dlatego mówi on (IV. 27): »Albo mamy do czynienia z dobrze urządzonym wszechświatem, albo też wszystko jest tylko chaosem przypadkowym... Ale czyż może w tobie samym istnieć ład i porządek, a nieład we wszystkiem zresztą?«

O owej drugiej hipotezie bardziej pesymistycznej, iż opatrzności rządzącej światem niema wcale, mówi M. A. niejednokrotnie. I tak w prześlicznym ustępie:

II. 11: »Skoro to możliwe, że w każdej chwili masz się rozstać z życiem, urządź zgodnie z tem każdą twoją myśl i czyn. Porzucić świat i ludzi, jeżeli są bogowie, nie jest rzeczą, której lękać

[1] Zob. n. p. III. 5 i 6.

się miałbyć powód, bo bogowie nie mogą chcieć twego nieszczęścia; lecz jeżeli bogów niema, lub nie dbają o losy ludzkie, to jakąż to może mieć wartość dla mnie żyć w świecie pozbawionym bogów i opatrzności?«

Przeważa jednak u autora myśl pierwsza i mówi w dalszym ciągu: »Lecz bogowie w istocie istnieją i dbają o ludzkie sprawy i dali nam siłę i potrzebne środki dla uniknięcia złego«.

Podobny tok myśli spotykamy w VI. 10: »Wszechświat jest albo zamięszaniem, wzajemnem plątaniem się wszystkich rzeczy i rozpraszaniem; albo też jednością, porządkiem i opatrznością. Jeżeli tedy pierwsze ma miejsce, dlaczegożbym miał życzyć sobie pozostawać dłużej w tem przypadkowem zmięszaniu wszystkich rzeczy i nieporządku? dlaczegożbym miał dbać o cokolwiek innego, jak tylko o to, by wreszcie napowrót w proch się obrócić? i dlaczegoż mam się niepokoić, skoro rozprószenie elementów, z których się składam, nastąpi, cokolwiekbym czynił? Ale jeżeli tamta druga supozycya jest prawdziwą, w takim razie jestem silny, czczę tego co rządzi światem i ufam mu«.

Przytoczę jeszcze jeden ustęp wielce znamienny dla sposobu myślenia M. A., gdzie myśl o śmierci i hipotezy co do przyszłości zagrobowej łączą się z poczuciem znikomości i pewnem pesymistycznem lekceważeniem wysileń ludzkich:

III. 3: »Hippocrates po wyleczeniu wielu chorób sam zasłabł i umarł. Chaldejczycy przepowiadali śmierć wielu innym, aż następnie sami ulegli przeznaczeniu. Alexander i Pompeius i Caius Caesar, którzy tak często wyniszczali miasta całe i dziesiątki tysięcy konnicy i piechoty w bitwach dali wysiec, sami wreszcie rozstali się z życiem. Heraclitus po tylu spekulacyach nad składem wszechświata zmarł rozdęty wodą wewnątrz a zewnątrz kałem zbrukany. Wszy stoczyły Democrita; a ofiarą innego rodzaju wszy padł Socrates. Cóż to wszystko znaczy? Wsiadłeś na okręt, odbyłeś podróż, przybiłeś do celu — wysiadaj! Jeżeli to do innego życia, toć zapewne i tam bogów nie brak. Lecz jeżeli to stan bez wszelkiej sensacyi, w takim razie przestaniesz przynajmniej podlegać bolom i łaknąć przyjemności i być niewolnikiem tego zewnętrznego naczynia (ciała), które cię trzyma«.

Jak z tych cytatów widać, o rzeczywistej silnielszej wierze w istnienie bóstwa i życie przyszłe nie może tu być mowy. Autor chwieje się między dwoma alternatywami, światem przypadkowym,

będącym aglomeratem atomów i ślepem działaniem sił przyrody a światem rządzonym przez rozumną opatrzność. Ku tej drugiej alternatywie ciągnie go serce, a ponieważ ją uważa za możliwą a nawet dość prawdopodobną, więc według tej drugiej alternatywy radzi urządzić życie, idąc za głosem szlachetniejszym naszej duchowej natury. Jest to więc sceptycyzm skłaniający się ku teizmowi ogólnemu, nieokreślonemu bliżej. Ten sceptycyzm wszakże jest już dla autora wybitną podporą jego nauki moralności. Sama możność istnienia bóstwa. sama możność wyższego nakazu jest motywem dostatecznym dla pędzenia życia dobrego i praktykowania cnoty.

O istocie wyższej wyraża się M. A. zwykle w liczbie mnogiej: »bogowie«. Nie jest to wszakże wiara w rzeczywisty politeizm a już najmniej w politeizm oficyalny ówczesnego Rzymu[1]. Teizm jego nie jest określony bliżej, bo niekiedy mówi o Bogu w liczbie pojedynczej lub o opatrzności albo »istocie boskiej«. Zeus, którego często wymienia i nazywa twórcą świata lub społeczeństwa[2] nie ma nic wspólnego z Zeusem Homerowskich poezyi lub baśni Metamorfoz Owidyusza. Nie istnieje też dla niego Olimp innych bogów i deifikowanych bohaterów i władców. Niema wszakże naodwrót negacyi, niema słowa krytyki, ani oficyalnie wyznawanej religii, ani też jakiegokolwiek innego wyznania.

Uszanowanie dla religijnych zapatrywań skłania M. A. do tego, iż uznaje ogólnie bogobojność, pobożność i posłuszeństwo wobec bogów, jako sposób postępowania dobry i chwalebny, widzi w tem cnotę, którą stawia na równi z najważniejszemi cnotami altruistycznemi[3]. Zarazem jednak gani przesądy i zabobonność[4].

Dawny konserwatyzm rzymski i względy narodowe i państwowe są zapewne powodem, że nie występuje nigdy przeciw przyjętym zwyczajom publicznego kultu, w którym jako panujący zawsze brał udział. Modłów wszakże i ofiar wyraźnie nie zaleca i, jak się zdaje, nie wierzy w ich skuteczność. Jeżeli się jednak modlimy, to powinniśmy się, zdaniem jego, modlić z najwyższą prostotą[5].

[1] Objawiania się nam bogów w jakiejkolwiek formie nie przyjmuje M. A., lecz w dwóch miejscach spotykamy przecież przypuszczenie możliwości snów proroczych (I. 17 i IX. 27).

[2] Np. IV. 23, XI. 8.

[3] Zob. np. VI. 30, XI. 20, XII. 27.

[4] Np. I. 16, VI. 30 cit. pod koniec.

[5] Zob. V. 7.

O ile przypuszcza istnienie bóstwa jako rzecz możliwą i prawdopodobną, o tyle wyobraża sobie ową wyższą istotę jako wyposażoną w najwyższe przymioty dodatniej natury i widzi w niej źródło dobrego i podporę ludzkiej etyki. Przyznaje więc bogom rozum i dobrotliwość[1] i, co specyalnie podnieść należy, jako wyższość w stosunku do zwykłych zapatrywań religijnych, pogardę dla czczych hołdów i pochlebstw[2].

Nie możemy przypuścić, mówi on (VI. 44), by istota wyższa, która nas przeznaczyła na świat, pragnęła naszego nieszczęścia i cierpień, a nie możemy sobie tej boskiej istoty wyobrazić nawet nie przewidującej z góry tego, co nas spotyka. Znośmy tedy nasz los i wierzmy, że jest on czemś rozumnem i pożytecznem. Bądźmy zrezygnowani, nie skarżmy się i nie sarkajmy, nie krytykujmy też bogów, bo mianem »złego« i »dobrego« możemy nazywać te tylko rzeczy, które są w zupełności dostępne naszej myśli (VI. 41), a działanie bogów takiem nie jest.

M. A. nie zapoznaje, że złym ludziom jest na świecie często nierównie lepiej niż dobrym, że szczęście nieraz bardziej sprzyja pierwszym, niż drugim[3]. Sarkać na to byłoby niebogobojnem. Sprawiedliwy zresztą ma regres i pociechę we własnem wewnętrznem zadowoleniu i czystem sumieniu, które wyżej cenić powinien, niż dobra zewnętrzne.

O indywidualnej nagrodzie pośmiertnej za życie dobre, pełne zasług, chociażby ono było zarazem pełnem zaparcia i nieszczęśliwem M. A. nie wspomina. Rzekłbym nawet: nie żąda jej. Wystarcza mu zaspokojenie, iż po takiem życiu nic złego nam się wydarzyć nie powinno. Zresztą w jego rozumieniu życie zacne, dające świadomość spełnionego obowiązku i wyższości moralnej, daje już samo przez się, mimo niepowodzeń zewnętrznych, spokój, zadowolenie, a nawet szczęście, tak jak gdybyśmy byli »przeniesieni już za życia na wyspy wybranych« (X. 8), na których w poetyckich opowiadaniach wyobrażają sobie ludzie nagrodę po śmierci.

To niebo za życia, które ma zacny człowiek w swem sercu nawet w niepowodzeniu, jest jedną z najwznioślejszych koncepcyi, na jakie zdobyła się kiedykolwiek myśl ludzka.

---

[1] Np. V. 34, X. 1.
[2] Zob. X. 8 pod koniec.
[3] Zob. np. IX. 1.

Lecz w innym, żywo wzruszającym ustępie czuć nutę zwątpienia i goryczy:

XII. 5: »Jakże to stać się mogło, że bogowie urządziwszy wszechświat mądrze i dobrotliwie dla ludzkości, tego nie usunęli, iż ludzie zacni, tacy którzy, rzec można, największą styczność mają z boskością, i wskutek czcigodnego i religijnego życia są sami do boskości zbliżeni, skoro zakończyli życie, nigdy więcej egzystować nie będą i znikną ze świata raz na zawsze?«

W tych słowach czuć bolesny wyrzut, ale i tym razem zwycięża rezygnacya, bo M. A. mówi dalej:

»Ale skoro tak jest, to bądźmy przekonani, że gdyby inaczej miało być lepiej, bogowieby tego uczynić nie zaniedbali«.

Ta rezygnacya autorowi widocznie nie przychodzi zbyt łatwo i brzmi, jak gdyby wmówiona w siebie. Znamiennem zaś jego wielkoduszności jest to, iż krzywdę, jaką mu się być zdaje zejście bezpowrotne i bez nagrody sprawiedliwych ze świata, upatruje nie w osobie samego zgasłego, lecz w stracie, którą inni ludzie i społeczeństwo wskutek tej straty ponoszą.

Jak widzimy więc, elementu tego, który zowiemy religijną »wiarą« lub »przekonaniem« metafizycznem, w zapatrywaniach M. A. niema wcale. Niema też naodwrót chłodnego, pewnego siebie racyolizmu, odepchnięcia możliwości nadludzkiego elementu w wierze, potępienia lub wyszydzania tych, co taki element przyjmują. Racyonaliści mogą w tem upatrywać pewną słabość i chwiejność w dedukcyach autora[1]. Mojem zdaniem tak nie jest. Umysł który w swej spekulacyi metafizycznej nie wychodzi poza granicę przyjęcia i to tylko jako rzecz możliwą hipotezy teizmu i zagrobowego życia, nie czuje się uprawnionym potępiać tych, których przekonania religijne lub filozoficzne są na tem punkcie bardziej konkretne.

Ten sposób myślenia jest nierównie szlachetniejszy, niż fanatyzm religijny lub fanatyzm niewiary potępiający bezwzględnie jako zbrodnię lub absurd każde wyobrażenie metafizyczne, którego się samemu nie podziela. Jest to zarazem sposób myślenia głębszy, niż zarozumiałość nowoczesnych antiteistów[2], którzy negują możliwość rządzącego światem Boga na podstawie równie kruchych dedukcyi,

---

[1] Zob. np. Renan: Marc Aurèle et la fin du monde antique, str. 16.

[2] Zob. np. Schopenhauer, szczególnie w Neue Paralipomena. Kap. XIV: Ueber Religion.

jak te, na których się opierają najbardziej naiwne zapatrywania religijne.

Z hipotezą drugą, iż boga i opatrzności niema a świat jest tylko chaosem i tworem przypadku, liczy się także M. A. jako z rzeczą możliwą. Myśl ta mu jest przykrą, bolesną, lecz nie mając dowodu na to, że jest niedorzeczną, pyta się, cóż w takim razie? Odpowiedź jego jest, że i w tym razie nic nas nie uprawnia do zanegowania potrzeby etyki i przejęcia się sposobem myślenia nizkim i czysto zmysłowym. Oto jego rezonowanie:

IX. 28 i. f.: »Jednem słowem, jeżeli jest Bóg, to wszystko jest dobrze; jeżeli zaś przypadek rządzi, to przynajmniej ty nie daj się nim rządzić«.

XII. 14: ...»Jeżeli jest opatrzność... stań się godnym pomocy boskiej. Lecz jeżeli świat jest zamętem bez kierownika, bądź w takim razie zadowolonym, że w tej burzy masz przynajmniej w sobie pewien ster we własnej inteligencyi...«

A wreszcie VI. 44: ...»Jeżeli bogowie o niczem, co nas tyczy, nie postanawiają — w co przykro wierzyć... a w którym to razie ani ofiarować im, ani modlić się do nich, ani przysięgać na nich nie powinniśmy — ... w takim razie jestem przynajmniej zdolny sam o sobie stanowić i ocenić, co jest pożytecznem; to zaś jest pożytecznem każdemu, co jest zgodnem z jego ustrojem i naturą. A natura moja jest racyonalną i socyalną; mym miastem zaś i krajem, o ilem Antoninus, Rzym, a o ilem człowiekiem, świat. Co jest pożyteczne tym związkom, to, i tylko to, jest pożytecznem dla mnie«.

Co za świetny w całej swej prostocie hymn patryotyzmu i poczucia przynależności socyalnej w tych niewielu słowach! Więc nawet jeżeli mnie wszystko zawodzi, jeżeli mnie opanuje zupełne zwątpienie, co do istnienia opatrzności i porządku w wszechświecie, nie zwrócę się do sobkostwa i materyalizmu, lecz zwycięży we mnie utylitaryzm społeczny w swej najszlachetniejszej formie, oparty na miłości ojczyzny i ludzkości.

III. Obowiązki wobec bliźnich.

Nauka moralna M. A. jest przesiąknięta altruizmem na każdym kroku. Można nawet powiedzieć, że obowiązki wobec bliźnich i społeczeństwa wypełniają ją, skoro odrębnych obowiązków

wobec bóstwa prawie niema, a obowiązki wobec siebie samego, dążą głównie do wyrobienia w sobie właściwości pożytecznych dla życia społecznego.

Altruizm wszakże M. A. jest bez uniesień i entuzyazmu, bez skłonności do przesadnych poświęceń, wolny od optymistycznego zaufania w dobroć lub wdzięczność naszych bliźnich. Nie jest to jednakowoż naodwrót altruizm zimny, będący wypływem tylko rozumem pojętego nakazu moralnego w rodzaju np. altruizmu nauki Kanta.

Podstawą altruizmu autora jest poczucie przynależności społecznej. »Nie gniewajmy się na siebie nawzajem«, mówi on (II. 2) »nie nienawidźmy się, bośmy wszyscy wobec siebie jak para nóg, rąk lub oczu, jak górny i dolny rząd zębów. Przeciw sobie występować, nawzajem sobie szkodzić jest przeciwne naszej naturze«.

Nadto w altruizmie jego odgrywa rolę pogarda dla dogadzania sobie samemu, dla użycia fizycznego i egoizmu.

Miłość bliźniego jako przykazanie główne jest u niego, podobnie jak w Chrześcijaństwie punktem wyjścia: »słuchaj Boga, kochaj ludzkość!« (VII. 31). Lub w innem miejscu podobnie:

VI. 30: »Czcij bogów, wspomagaj ludzi!«

Dobrotliwość wobec bliźnich, będąca wynikiem tego przykazania miłości idzie nawet bardzo daleko. Każe on, podobnie jak to jest powiedziane w Nowym Testamencie, kochać także tych, co nas krzywdzą a przynajmniej czynić im dobrze i nie mścić się za doznane krzywdy.

VI. 6: »Najpiękniejszą drogą zemsty dla ciebie jest nie być takim samym, jak ten co cię krzywdzi«.

W innem zaś miejscu (VII. 36) z emfazą cytuje autor piękny aforyzm z Antistenesa tej treści: »Jest to po królewsku czynić dobrze, gdy nas lżą za to«.

Lecz w tem przebaczaniu krzywd i uraz i w odpłacaniu złego dobrem niema tej bezgranicznej myśli abnegacyi i poświęcenia, która cechuje wzniosłe słowa »Kazania na górze«, niema zapomnienia o wszelkim interesie ziemskim i własnym, niema też rozmiłowania się w cierpieniu i znoszeniu prześladowań dla uzyskania doskonałości, której życzy sobie Pan nasz w niebiosach. Zdania, jak: nadstaw lewy policzek, gdy cię uderzono w prawy, a gdy ci wzięto wiele oddaj resztę, rozdaj w ogóle wszystko między ubogich, jeżeli chcesz być doskonałym, są obce etyce M. A. Do diapazonu tak da-

leko posuniętego ducha, zaparcia się i poświęcenia nie wznosi on się i wznieść nie usiłuje.

Dobrotliwość, którą zaleca wobec bliźnich nie jest ani bezgraniczną miłością ludzkości, ani egzaltacyą w przebaczaniu krzywd ponoszonych dla miłości wiary i przekonań. Ma ona granicę w społecznem pożytku. Pobłażliwość zaś wobec krzywd opiera się na poczuciu moralnej wyższości, której niesprawiedliwość innych odebrać nam nie zdoła.

Ostatnią myśl wypowiada autor kilkakrotnie a najpiękniej w następującem prawdziwie poetycznem porównaniu:

VIII. 51: ...»Przyjmij, że cię ludzie mordują, ćwiartują na kawały, lub że cię przeklinają. Czyż może to wszystko przeszkodzić temu, by twa myśl pozostała czystą, rozumną, spokojną i sprawiedliwą? Jeżeli ktoś stanie przy źródle przeczystem i lży je, źródło nie przestanie tryskać przejrzystą wodą; a nawet jeżeli wrzuci w nie nieczystości, to zostaną one natychmiast rozprószone i zmyte, źrodło niemi się nie skazi«.

Szczególnie wzniośle podnosi M. A. bezinteresowność w altruizmie. Jeżeli wyrządzamy innym dobrodziejstwa, nie żądajmy żadnej zato zapłaty lub pochwały, ani tu, ani w przyszłem życiu.

VII. 73: »Jeżeliś spełnił dobry uczynek a drugi stąd odniósł korzyść, dlaczegóż jeszcze oglądasz się za czemś trzeciem ponadto, jak to głupcy czynią, chcesz zyskać rozgłos..., lub otrzymać odwzajemnienie?«

Albo w innem miejscu: V. 6: »Jeden, jeśli wyrządził komuś przysługę, zapisuje to na jego rachunek... Drugi tego nie czyni, ale przecież uważa tamtego za dłużnika i pamięta o tem. Trzeci zapomina o tem, co uczynił, i jest jak winna latorośl, która wydawszy owoc raz, stara się, skoro go zerwano, wydać nowy«.

Dobroć, łagodność i pobłażanie M. A. mają swe granice, nie dochodzą do tego, by się dać poniżać, wyzyskiwać lub dominować przez złych, niesumiennych i niesprawiedliwych. Altruizm jego nie jest abdykacyą na korzyść tych, co mają mniej względów od nas[1]. W łagodności niema u niego słabości. Tym co nas krzywdzą bez złej woli, zaleca zejść z drogi[2]. Zresztą jednak należy tego, co źle działa, starać się przekonać[3], ale jeżeli to jest bezskutecznem

[1] Zob. np. w VII. 66 słowa: »nie stańmy się niewolnikami cudzej głupoty«.
[2] Zob. V. 20.
[3] IX. 11.

a sprawiedliwość tego wymaga, wystąpić stanowczo nawet w drodze przymusu przeciw jego woli [1].

Pobłażliwość na krzywdy ma zresztą u M. A. źródło także w tem przekonaniu, że ludzie często a nawet z reguły czynią źle nie tyle ze złej woli, jak z nieświadomości, braku wyrobienia moralnego, niższości umysłowej. Ten sposób pojmowania złych uczynków jako wyniku wad ludzkich jest motywem ulubionym u autora i pojawia się często. Jeden ustęp przytaczam:

VII. 22 »Jest to właściwością ludzką, że kochamy nawet tych, co źle czynią. A zdarza się to dlatego... bo czynią źle przez nieświadomość i bez złego zamiaru [2]; nadto pamiętajmy, że przecież my i oni wkrótce pomrzemy; przedewszystkiem zaś wpływa tu ten wzgląd, iż ten, co mi źle czyni, nie czyni mi ujmy, nie może bowiem mej kierującej własności zrobić gorszą niż była dotąd«.

Głównem mojem dobrem są przymioty duszy. Tych mi nikt nie odbierze i nie osłabi, więc dotkliwego złego wyrządzić mi nie może.

Jeżeli jednak M. A. jest pobłażliwym dla drugich, to zarazem surowym dla siebie i karci tych, którzy wymagają względów od innych a sami nie starają się usunąć własnych przywar. Występuje tu żywo podobny sposób myślenia jak w Nowym Testamencie w znanem powiedzeniu o »źdźble w oku bliźniego«. Śmiesznem nazywa tedy autor nasze rozumowanie [3], iż z własnych błędów nie lecząc się, co jest w naszej mocy, chcemy, ażeby inni dla nas wyleczyli się ze swoich, na co wpływu nie mamy. »Bogowie znoszą złych i nieznośnych ludzi przez wieczność, a ty nie możesz przez czas tak krótki, choć sam jesteś jednym z nich«!

Daleko jednak od tego, by dobroć M. A. doprowadzała go do przeceniania ludzkości. Przeciwnie widzi on ją raczej pesymistycznie i w barwach ujemnych, czarnych nawet, nie zapoznając ani ludzkich słabości ani złości. Jest on wyrozumiałym, lecz nie dlatego, by nie widział złego, lecz z tego powodu, ponieważ ogromna większość ludzi stoi za nizko pod względem umysłowym i moralnym, ażeby módz się wyrobić i poprawić. Trzeba ludzi brać, jakimi są, nauczyć się

[1] VI. 50.

[2] Zob. także II. 13. Ta myśl powtarza się zresztą w licznych innych ustępach.

[3] VII. 70 i 71.

znosić ich[1], nie dlatego, żeśmy z nich zadowoleni, lecz bo ich niestety nie możemy zmienić.

Oto parę charakterystycznych przykładów:

II. 1: »Rozpoczynaj dzień mówiąc sobie co rana: spotkam ludzi natrętnych, niewdzięcznych, aroganckich, podstępnych, zazdrosnych i niesocyalnych. Lecz te właściwości ich polegają głównie na niewiadomości, co jest złem a co dobrem...«. W innym niezmiernie pięknym, lecz przesiąkniętym już prawie mizantropią dłuższym ustępie (IX. 42) każe się liczyć ze złością i przewrotnością ludzką, która nie powinna nas nigdy zadziwiać ani być nam czemś niespodzianem. Nie należy ufać innym, a czyniąc im dobrze, mimo złego o nich wyobrażenia, robić to »na przepadłe«. Nagrody za to nie żądajmy, bo naturom szlachetnym jest wrodzonem robić dobrze. »Czyż oko żąda za to zapłaty, że patrzy a nogi, że nas dźwigają«? Złość, przewrotność i nieznośność innych mają zresztą tę dobrą stronę, że znosząc te przywary w innych ćwiczymy się w naszych dodatnich przymiotach, które są niejako »antidotum wad cudzych« jak: wyrozumiałość, cierpliwość, bezinteresowność i t. p.

Myśl swą ilustruje w innym ustępie (V. 28) następującem oryginalnem porównaniem: Wszakżeż nie mamy prawa gniewać się na kogoś za to, że ma oddech cuchnący lub że pot jego czuć. Przywary moralne nie są niczem innem.

Wyższość moralna, którą w sobie czuje, objawia się w charakterystyczny sposób w zapatrywaniu, iż powinniśmy się uczyć od innych, lecz przedewszystkiem uczyć na złych przykładach[2]. Skoro widzimy u innych próżność, niecierpliwość, gniew, starajmy się w podobnej sytuacyi być wyższymi od nich i nie popadać w te same błędy.

Złe wyobrażenie o ludziach występuje u M. A. niekiedy w formie zjadliwej nawet krytyki. Tak, w owym wybornym aforyźmie, którego słuszność uderzy każdego, co miał sposobność poznać zakulisowe sprawy życia publicznego i polityki:

XI. 14: »Ludzie gardząc sobą nawzajem schlebiają sobie, a chcąc się wzbić jeden nad drugiego wprzód się przed sobą płaszczą«.

[1] V. 20.
[2] Zob. VII. 56.

Niekiedy żal do ludzi przybiera formę bolesną i brzmi jak echo gorzkich zawodów szlachetnego, zbolałego serca.

W IX. 3 mówi on, że jest to dla nas w myśli o śmierci pewną, smutną pociechą, iż nie spotykamy w życiu ludzi podzielających nasze uczucia i zasady, do którychbyśmy się mogli głębiej przywiązać.

Jeszcze boleśniej występuje ton pesymizmu w X. 36: Rozstanie się ze światem jest o tyle lżejszem, że nawet najlepszych z nas prawdziwie nie żałują i zawsze ktoś jest zabowolony, iż mu się ustępujemy.

Czy to jest pociechą istotnie? nie sądzę. Myśl taka, mojem zdaniem, zatruwa życie a nie osładza śmierci.

Pomimo jak najsilniejszego zaznaczania socyalnej natury człowieka pozostaje przecież M. A. naturą samotną w gruncie. I nic dziwnego, do wyżyn jego ducha nie łatwo się mógł ktoś zbliżyć. Ci, którzy nieskończenie górują nad innymi, tylko w samotności znaleźć mogą ukojenie i ulgę w cierpieniach. Stąd rada M. A., by w trudnych chwilach życia cofnąć się w głąb własnej duszy.

Szczególnie pięknie wypowiada to w IV. 3: »Ludzie szukają ustronia na wsi, nad morzem lub w górach. I ty tego pragniesz... Lecz jest to także w twej mocy, gdziekolwiekbądź przebywasz, samą wolą twą cofnąć się w głąb własnej duszy... Czyń to często i odnawiaj się w tem skupieniu«.

Filantropia M. A., jak z tych przykładów widzimy, ma swój odrębny charakter. Wolna jest od sentymentalizmu i wszelkich iluzyi. Jest to miłość ludzkości szczera ale miłość dla istot niższych i słabszych, miłość złączona z odcieniem »szlachetnej pogardy«.

Złe wyobrażenie o ludziach, szczególnie o tych, z którymi się człowiek bliżej styka, to jest niestety „*privilegium odiosum*" każdej natury wyższej, o ile ją sentymentalne uniesienie chwilowo nie zaślepia. U natur namiętnych, impulsywnych objawia się to bolesnym wyrzutem, u sarkastycznych szyderstwem. Znaną jest zjadliwa apostrofa Danta potępiająca rodzinną Florencyę [1], znane złośliwe wycieczki Schopenhauera przeciw Niemcom i Ruskina surowa krytyka Anglików. Dalej jeszcze idzie Byron i popada już prawie w nienawiść własnego kraju i rodaków.

Ci, co nie mają szczęścia mieć Toskanę lub Anglię za ojczy-

[1] La divina commedia, Purgatario, canto VI v. 127 sq.

znę, muszą być dyskretniejsi, by krytyką zbyt głośną, choć zasłużoną nie wyrządzić szkody swej ziemi. Lecz gorycz wewnętrzna a nawet i ostre słowa krytyki nie powinny wykluczać przywiązania: „*Il faut se sacrifier pour le peuple tout en le méprisant*“, wypowiedział świetnie Mirabeau.

Trudną sztukę zaleconą w tej ostatniej sentencyi posiadał M. A. w całej pełni. Jego łagodna natura nie pozwala mu dojść do mizantropii, chroni go nawet od zniechęcenia. Gardzi w gruncie ludźmi, lecz służy im wiernie. Widząc marnotę ludzkości nie wierzy wprawdzie ani w poprawę ani postęp, lecz chce w orkiestrze, w której tylu gra źle i fałszywie, sam przynajmniej dążyć do zespołu i harmonii. Chce się od otoczenia wyróżnić, być lepszym od innych, choć wie, że go ani nie uznają, ani naśladować nie będą.

Altruizm M. A. ma, podobnie jak u innych mędrców i moralistów świata starożytnego, źródło swe w cnocie sprawiedliwości (δικαιοσύνη), tej jedynej z czterech »cnót kardynalnych« świata starożytnego, która bezpośrednio odnosi się do naszego stosunku do bliźnich. Zgodnie z nauką stoików wypowiada M. A. zasadę (XI. 10), iż »wszystkie inne cnoty w sprawiedliwości mają swą podstawę« [1]. Kto działa niesprawiedliwie, ten nietylko krzywdzi innych, ale i siebie samego, bo spadla swa własną naturę [2].

Każe nam wprawdzie być łagodnym, dobrotliwym i wspaniałomyślnym wobec innych, lecz jego miłość bliźniego mieści się zasadniczo w granicach sprawiedliwości i jest wynikiem tej ostatniej. Ta »caritas« etyki stoickiej, będąca wypływem poczucia słuszności i nie wychodząca poza nie jest tedy różną co do stopnia od »caritas« nauki chrześciańskiej, która w ideale swym nie ma granic i pociąga za sobą poświęcenie się zupełne z zaparciem się doszczętnem własnego interesu. Jeżeli jednak niema zupełnego zapomnienia o sobie w nauce M. A. to jednak tkwi w niej wysoki stopień altruizmu, bo wspomagać cierpiących i ubogich, dzielić się z innymi w potrzebie i inne akty miłosierdzia uważa już za postulaty sprawiedliwości. Znamy nadto już wyrozumiałość dla tych co nas krzywdzą. I ich nie wyłącza M. A. z grona bliźnich, dla których mamy być dobrotliwymi:

VI. 47 i. f.: »Jedna rzecz ma prawdziwą wartość: przepędzić

---

[1] Zob. także np. VIII. 39, VII. 66.
[2] IX. 4.

życie w prawdzie i sprawiedliwości, z dobrotliwem usposobieniem wobec innych, nie wyłączając nawet tych, co sami kłamią i są niesprawiedliwi«.

Pojęciem »sprawiedliwości« operuje M. A. często i śmiało, nie łamiąc sobie głowy nad tem, gdzie sprawiedliwość się kończy i jak ją w stosunkach społecznych i kolizyach obowiązków bliżej określić i stosować. Nie ma on, jak się zdaje, wielkich wątpliwości, co w praktyce możemy i powinniśmy uznać za sprawiedliwe a co nie; poczucie sprawiedliwości wydaje mu się rzeczą wrodzoną. Wszakżeż to jest zawsze w naszej mocy, mówi on (X. 12), poznać lub dowiedzieć się, co jest naszym obowiązkiem. Podobnie jak braku siły moralnej w wykonaniu obowiązku tak i braku zrozumienia w poznaniu go nie przypuszcza on prawie, skoro mówi (VIII. 32) że »naszemu działaniu według zasad sprawiedliwości nic nie może stanąć na przeszkodzie« [1].

Podobny to sposób myślenia, jaki wogóle często spotykamy w starożytności nietylko u filozofów i moralistów, ale także, i to przedewszystkiem u prawników, których zawód praktyczny nie pozwala na zagłębiania się w subtelności etyczne. Operują oni pojęciem słuszności i sprawiedliwości nie zastanawiając się nad tem bliżej, czy to jest pojęcie dość jasne i określone. Ulpian wprawdzie daje nam [2] pewien rodzaj definicyi prawa i sprawiedliwości w l. 10 pr. § 1 D. de iust. et iure I. 1:

Justitia est constans et perpetua voluntas ius suum cuique tribuendi. Juris praecepta sunt haec: honeste vivere, alterum non laedere, suum cuique tribuere.

Któż jednak może o tem wątpić, że zastosowanie zasady „*non laedere*“ i „*suum cuique tribuere*“ jest w praktyce niezmiernie trudne i wątpliwe? Pomimo tego rzymscy juryści nie wahają się uważać pojęć „*justum*“ lub „*bonum et aequum*“ za takie, które nie wymagają bliższego komentarza i są dostateczną wskazówką do ocenienia działania w każdym poszczególnym wypadku. I nie da się zaprzeczyć, że w kwestyach specyalnych i rozmaitych subtelnościach prawa prywatnego ich pojęciu sprawiedliwości i słuszności nie

[1] Zob. także piękny ustęp X. 11 mówiący nam, czem powinna być filozofia zastosowana w życiu.

[2] Zob. także Inst. I. 1 pr. § 3.

są w niczem różne od naszych a nawet, powiedzmy szczerze, były dla nas nauką i wzorem.

Inaczej co do instytucyi społecznych i prawno-publicznych. Tu »sprawiedliwość« jurystów i moralistów świata starożytnego zawodzi, nie wyłączając takiego mistrza etyki jakim był M. A. Dość wspomnąć o instytucyi niewolnictwa. W zasadzie przyznaje M. A. równość ludzi i potrzebę uznania tej równości wobec prawa [1], a jednak tolerował on istnienie niewolnictwa będące z tą zasadą w najskrajniejszej sprzeczności. O zniesieniu niewolnictwanie nie myślał on zapewne ani na chwilę a w ustawodawstwie swem zaledwie tu i ówdzie starał się złagodzić zbyt nieludzkie konsekwencyę istniejącego stanu rzeczy [2].

Jest to, mojem zdaniem, w każdym razie myśl piękna i zdrowa kultury grecko-rzymskiej, że jako podstawę uregulowania stosunków społecznych przez etykę i prawo uważa się ideę sprawiedliwości nie zaś li tylko ideę utylitaryzmu i dobra publicznego. Wielu nowoczesnych pisarzy wychodząc z założenia, że pojęcie sprawiedliwości jest rzekomo »nie dość określone«, topi ideę sprawiedliwości w pojęciu ogólnego pożytku osłabiając przez to w groźny sposób podwaliny etyki i prawa [3].

Zapewne, zaprzeczyć się nie da, że pojęcie sprawiedliwości podlega ewolucyi, ulega modyfikacyom i zmianom w różnych epokach i bywa subjektywnie pojmowanem rozmaicie i nieraz w sposób mylny i niedorzeczny. Ale czyż nie jest tak samo z pojęciem »pożytku« lub »dobra publicznego«?

Weźmy tylko drastyczny przykład: Rozpustnica »z filantropii«, która stara się jak najwięcej przysporzyć rozkoszy rodowi mężkiemu, fanatyk religijny, który dzieci innowierców wykrada i po ochrzczeniu zabija, ażeby im niebo zapewniać, oto osoby, które subjektywnie mogą się uważać za działające jak najskuteczniej dla »dobra ludzkości«. Czy znajdziemy analogię podobnego absurdu w dziedzinie mylnego pojmowania sprawiedliwości?

---

[1] Zob. I. 14.

[2] Dalej od niego idzie Epiktet, który zasadniczo potępia niewolnictwo, podnosząc duchową równość niewolnika z wolnym (zob. Arrian I. 13. 5). Nie trzeba jednak zapominać, że Epiktet był sam wyzwoleńcem a więc w kwestyi tej do pewnego stopnia osobiście interesowany.

[3] Zob. np. John Stuart Mill, *Utilitarianism,* szczególnie Chapter V: *On the connexion between justice and utility.*

Z innych przymiotów, którymi powinno być nacechowane nasze postępowanie wobec ludzi podnosi M. A przedewszystkiem prawdomowność, prostotę i skromność[1], która to ostatnia nie dochodzi wszakże u niego do granic pokory. Wstręt ma zarówno do dumy i arogancyi jak do hipokryzyi i wszelkiej afektacyi a w subtelny sposób podnosi, że popisywanie się i przechwalanie swą skromnością jest właśnie rodzajem zarozumiałości i braku skromności najbardziej antypatycznym[2].

Przy całej otwartości nie radzi wszakże zbytecznie narzucać się innym ze swem zdaniem, tem bardziej, że i tak zwykle innych nie przekonamy (VIII. 4 i IX. 11). W sądzie zresztą o innych ludziach i ich opiniach należy być wstrzemięźliwym pamiętając o tem, że bardzo wiele musimy się najprzód sami nauczyć i przeżyć, ażebyśmy mogli sądzić drugich (XI. 18). »W pisaniu i czytaniu nie będziesz nauczać innych, jeśli sam reguł nie znasz. O tyle bardziej powinno tak być w życiu« (XI. 29).

Jeżeli obok tego często M. A. mówi o pogodzie i wesołości w obchodzeniu się z ludźmi i stosunkach towarzyskich, to ma się przecież wrażenie, że to jest wesołość wmówiona. Jest on bowiem w gruncie naturą smutną i melancholijną a jeśli uśmiech kiedy igrał na jego ustach, to z pewnością nie bez odcienia goryczy. Szczypta humoru i ironii, wrażliwość silniejsza na śmieszności ludzkie, właściwości, które spotykamy u niejednego z mędrców starożytnych, byłyby mu się przydały i ułatwiłyby mu zapewne znacznie znieść życie, które przecież musiało mu niekiedy dotkliwie ciężyć.

Przy jak najsilniejszem zaznaczaniu obowiązków społecznych i nakazu miłości bliźniego ceni M. A. i uważa za wielkie szczęście niezawisłość od innych, możność obchodzenia się pod względem materyalnym i moralnym bez cudzej pomocy (II. 5 i. f.). Dziękuje też opatrzności za niezawisłość daną mu w udziale (I. 17). Prawdziwie ubogim w jego oczach jest nie tyle ten, co ma nie wiele, jak ten, co potrzebuje pomocy drugich i bez niej nie może się obejść (IV. 29).

Resumé wreszcie niejako stosunku naszego do bliźnich polega w zdaniu, iż »nie należy wobec innych ludzi być nigdy ani tyranem

[1] Zob. np. XI. 1 i 15, IX. 29, VII. 66, VIII. 5, XII. 29 i inne ustępy.
[2] XII. 27 i. f.

ani też niewolnikiem« (IV. 31). Ironia losu chciała, że ten, co to wypowiedział, musiał przez ciąg swoich rządów być właśnie i jednym i drugim.

IV. Obowiązki wobec społeczeństwa i państwa.

Obowiązki nasze wobec ogółu zaznacza M. A. jeszcze stanowczej niż prywatny nasz stosunek do bliźnich. Jak wogóle każdy Rzymianin posiada i on w najwyższym stopniu poczucie niezbędności organizacyi społecznej i państwowej i nie umie sobie nawet rozluźnionego aglomeratu ludzi wyobrazić. Kładzie nacisk na to, iż nawet zwierzęta dla skutecznego osiągnięcia tego, co im jest potrzebnem, organizują się i pomagają sobie wzajemnie (V. 1, IX. 9).

Socyalną naturę człowieka podnosi on tak silnie, iż powiada: IX. 23: »Skoro wchodzisz w skład społecznego systemu, to niech każdy twój czyn będzie czynnikiem życia socyalnego. Czyn, który bezpośrednio lub pośrednio nie odnosi się do celów socyalnych, odciąga cię od właściwych zadań życia«.

Nie wolno nam się w życiu oddawać bezczynności lub kontemplacyi, winniśmy ciągle pracować i działać mając cele ogólne na oku (IX. 16). Jeżeli rzecz jakaś jest dla nas przykrą i nieprzyjemną, to czuć tego nawet nie powinniśmy, jeżeli jest pożyteczną dla ogółu (X. 6)[1].

X. 33... »Pamiętaj o tem, że temu, co się czuje obywatelem, żadna rzecz nie dolega, która nie dolega państwu«...

A wreszcie te słowa proste i pełne szlachetnej godności: XI. 4: »Czy zdziałałem coś dla ogólnego pożytku? Jeśli tak, mam w tem już nagrodę«...

Te i tym podobne sentencye powtarzają się często w myślach M. A. Mają one przeważnie ten ogólnikowy charakter. Znać w nich do egzaltacyi posunięte poczucie, iż służyć trzeba krajowi i państwu, lecz trudnoby poznać, że to mówi monarcha a nie zwykły obywatel. Niekiedy występuje specyalnie zaakcentowanie patryotyzmu Rzymianina (II. 5, VI. 44)[2]. W jednem tylko miejscu wspomina

[1] Zob. także w VI. 54 aforyzm: »Co nie jest dobrem dla roju nie jest też dobrem dla pszczoły«.

[2] Zob. powyżej str. 15.

o sobie jako o panującym (III. 5), ale porównując się tylko do żołnierza na posterunku. Obowiązki społeczne traktuje on wogóle tylko jako obowiązki »obywatela« widząc widocznie także w panującym nie więcej, jak tylko sługę społeczeństwa. Wynika to także ze słów w I. 16, gdzie sławiąc przymioty swego poprzednika Antonina Piusa podnosi, iż nie uważał on się za nic więcej, jak tylko za zwykłego obywatela państwa.

Dwa dłuższe ustępy poświęcone pamięci Antoninusa Piusa [1], wzruszające prawdziwie jako świadectwo najwyższej czci i wdzięczności, wskazują nam zarazem pośrednio, co uważał za wzór i ideał panującego i jakim sam starał się być w ciągu swoich rządów. Jako regułą bowiem stawia sobie: »Czyń wszystko jako godny uczeń Antonina«!

Przedewszystkiem więc widzimy, że potępia on tyranię (»cezaryzm«, jak się wyraża), taką niezawodnie, jaka się wyrobiła pod imperatorami poprzedzającymi dynastyę Antoninów. Cnoty, które zaleca, są przedewszystkiem cnotami pierwszego obywatela, świecącego najlepszym przykładem.

Spotykamy tam przymioty specyalnie u panujących trudne i rzadkie jak: uznanie dla otwartości cudzego zdauia, wstręt do pochlebstw a nawet lekceważenie pochwał i pogarda dla schlebiania tłumom.

Czy czasy Antoninów były rzeczywiście tak szczęśliwe, iż atmosfera dokoła tronu mogła być tak czystą, jak to nam przedstawia M. A., czy też widzi on wszystko piękniej przez pryzmat synowskiej wdzięczności? Czy mógł istotnie Antoninus uzyskać tak ogólną miłość i uznanie »szlachetności« w najszerszych sferach nie używając »mniej szlachetnych« środków jak kłamliwej reklamy, opłacania zauszników i agitatorów, schlebiania ludowi i t. d.? Jeżeli tak, to należy podziwiać nietylko ludzi, ale i epokę. W dzisiejszych czasach panującym i ludziom stojącym na wybitnych stanowiskach politycznych jest to, jak się zdaje, niestety niemożliwem.

W ustępie I. 14 wspominając o wpływach na swą młodość i wychowanie wypowiada M. A. przekonania jeszcze bardziej »liberalne«, w których znać nawet tradycye z czasów rzeczypospolitej. Powołując się na powagi republikańskie jak Catona i Brutusa mówi o polityce »równości ustaw dla wszystkich«, administracyi za-

---

[1] I. 16 cit. i VI. 30.

zapewniającej »równość praw i równą wolność słowa« o »rządach królewskich, które przedewszystkiem szanują wolność rządzonych«.

Na podstawie teoryi filozoficznych M. A. i powyżej przytoczonych politycznych jego zapatrywań możnaby się było spodziewać po nim daleko idących tendencyi reformatorskich na polu społecznem i politycznem. Tymczasem, jak wiemy z dziejów jego życia i panowania, rzecz się miała odmiennie. Zapewne, należy on do »postępowych« i kulturalnych monarchów, ale śmiałą naturą reformatorską nie był on przecież wcale. Akta jego ustawodawczej i administracyjnej działalności są wprawdzie przesiąknięte humanitarnemi dążeniami, szlachetnością i łagodnością, ale niema w nich nigdzie śmiałych pomysłów, daleko idących tendencyi reformatorskich, ulepszeń na szerszą zakrojonych skalę. Nie idzie on nawet tak daleko w reformatorskich zapatrywaniach, jak proponowali niektórzy z jego współwyznawców szkoły stoickiej np. Epiktet lub Seneca. O ile przewyższa innych w zalecaniu osobistej łagodności i dobrotliwości wobec bliźnich, o tyle jak najmniej wysnuwa z tego konsekwencyi dla krytyki i zmiany instytucyi społecznych i państwowych.

Przyjmuje on ówczesny porządek państwowy Rzymu jako instytucyę bez zarzutu, mimo że stan ten według jego własnych zasad politycznych i moralnych był niezawodnie daleki od ideału, On, tak wybitny i natchniony szermierz idei wolności indywidualnej, szczerości i niezależności przekonań przyjmuje nieograniczone samodzierżstwo rzymskiego imperatora bez wszelkiej krytyki i wykonuje je nie modyfikując samej instytucyi w żadnym kierunku. Ogranicza się do rady, by władzę wykonywać łagodnie i w sposób ludzki.

Niech nas to nie zadziwia. M. A. był naturą na wskróś konserwatywną. Radby być reformatorem myśli i uczuć ale nie instytucyi. Nie wierzył on też może w skuteczną reformę społeczną bez naprawy obyczajów i w tem miał poniekąd słuszność.

Konserwatywny ten sposób myślenia objawia się też w jego Rozmyślaniach. Wyraża się np. (IX. 29) z lekceważeniem o idealnych mrzonkach »Republiki Platona« mówiąc natomiast, że należy być w życiu społecznem zadowolonym, »gdy każda, choćby najdrobniejsza rzecz idzie dobrze«. Przytacza za to z emfazą słowa Sokratesa z »Apologii«, iż człowiek, tam gdzie go okoliczności postawiły w przeznaczonem mu zadaniu powinien wytrwać, jak żołnierz na posterunku, gotowy na wszystko, śmierć nawet, tylko nie dezercyę i zdradę.

Nie pyta się tedy bliżej M. A., czy posterunek przeznaczony komuś w państwie i społeczeństwie wyznaczono mu słusznie, czy nie, ani też, czy cała organizacya jest dobra i, czy nie wymaga przekształcenia lub naprawy.

Zbyt dobrze zresztą znał on ujemne strony ogromnej większości rodu ludzkiego i dlatego nie wątpił, że organizacya społeczna w związku państwowem musi polegać na silnej władzy, przymusie i karze a zadawalniał się tylko tem, że w praktyce sprawiedliwość, łagodność i rozumne zastosowanie przepisów szorstkość organizacyi zmodyfikuje.

Ani śladu tedy u M. A. owej tendencyi oparcia porządku świata i wzajemnego stosunku ludzi na zasadach miłości wzajemnej i poświęcenia, jak to głosili w dziejach świata rozmaici apostołowie religijni i społeczni a w nowszych czasach np. Tołstoj. Miłość społeczna Tołstoja jest elementem anarchistycznym, bo osłabia bliższe związki społeczne (jak: rodzina, gmina i państwo) nie zapewniając niczem przeprowadzenia idei »miłości i poświęcenia« w ludzkości. Ciemnota i złość olbrzymiej większości ludzi wyklucza wiarę w mrzonkę, że na przymiotach, do których zdolne są tylko natury wyjątkowe i wybrane, można oprzeć organizacyę społeczną. Opierając ją na »poświęceniu« dalibyśmy z góry przewagę tym, co poświęcać się nie będą, przeciwnie wyzyskają poświęcenie drugich. Apostołowie »poświęcenia bez granic« mogli unieść i zachwycić ludzkość pięknością słów, szlachetnością myśli, lecz stosunki praktyczne zmusiły wszędzie i zawsze do zmodyfikowania tych pięknych teoryi.

Podobnie jak w administracyi, był też i w polityce zewnętrznej M. A. wiernym sługą państwa według surowych dawnych tradycyi. Wiadomo, że znaczną część rządów spędził on na wyprawach wojennych w obronie granic państwa, zagrożonych przez najazdy ludów północnych. Wojny przeciw Markomanom, Quadom a także Sarmatom należały do najprzykrzejszych i najtrudniejszych zadań, były połączone z najwyższemi niewygodami, ofiarami i wysileniem. Okazał się w nich M. A. nietylko osobiście mężnym, lecz nadto organizatorem znakomitym a wodzem przezornym. Wiadomo, że mu lata na tych bojach przeszły i że umarł w czasie jednej z wypraw na północnych kresach państwa w Vindobonie.

W dwóch miejscach Rozmyślań jest wzmianka, że pisane

są w czasie tych wypraw uciążliwych [1]. Być może, że tam w życiu obozowem, na kresach, najbardziej czuł się osamotniony, najbliższy śmierci, najskłonniejszy do medytacyi.

Jest coś wielkiego i patetycznego w postaci tego szlachetnego, wysoce kulturalnego myśliciela, który, ofiara wspaniałego lecz nieszczęsnego dlań losu, musi w dzikich okolicach walczyć z barbarzyńcami, sam jeden cywilizowany na czele najętych, krwiożerczych i chciwych rabunku legionów. Na ogromnym obszarze niecywilizowanych krajów w ciągu długoletniej tułaczki wojennej nie miał zapewne ani jednej duszy pokrewnej, zdolnej zrozumieć go. Jakiż rozdźwięk między tą duszą czystą i łagodną a twardem wojennem rzemiosłem! Inny, mniej silny, mniej przejęty poczuciem państwowego obowiązku, cisnąłby był zapewne w tych warunkach obmierzłą władzę i w jakiemś spokojnem ustroniu szukał schronienia. M. A. byłby to uważał za podłą dezercyę, więc wypił ten imperatorski kielich goryczy aż do dna, choć władzy i sławy nie cenił i nie dbał o tryumfy i pomniki, któremi go Rzym darzył.

Zapiski jego nie przekazały nam ani słowa skargi lub ubolewanie na ten los uciążliwy, lecz spotykamy tam jeden ustęp charakterystyczny, świadczący o niechęci, którą go napawał zawód wojenny.

X. 10: »Pająk jest dumny jak chwyci muchę, ktoś inny gdy upoluje zająca lub złapie rybę w sieć, inny gdy złowi dzika lub niedźwiedzia, inny wreszcie, jeśli pojmie Sarmatów. Czyż to wszystko nie rozbójnicy, jeśli się przypatrzysz bliżej ich sposobowi myślenia?«

Uczuciu jego jako filozofa-moralisty wojna przedstawia się więc jako rodzaj rozboju, lecz sądzi, iż ważniejszym nakazem jest tu interes ojczyzny, który mu ją prowadzić nakazuje. Więc nawet tej pociechy nie miał M. A., by widzieć w swych bojach szczytną i wysoką misyę. Była ona dlań przykrym tylko ciężarem, pługiem, w który go los wprzągł. Ciągnął go sumiennie, lecz w całej swej wielkości i sławie czuł się przecież niewolnikiem.

Widać to ze słów zawartych w III. 3, kiedy porównując życie filozofów i mocarzy przyznaje stanowcze pierwszeństwo pierwszym:

»Aleksander i Caius (Caesar) i Pompeius czemże byli w porównaniu z Diogenesem, Heraklitem i Sokratesem? ci mieli świado-

[1] Na końcu pierwszej książki jest wzmianka: »pomiędzy Quadami nad Granuą, a na końcu drugiej słowa: »To jest Carnuntum«.

mość rzeczy i ich przyczyn, życie ich mogło odpowiadać ich przewodnim zasadom; a tamci ileż mieli trosk, iluż spraw byli niewolnikami!«

Aleksander Wielki, mimo że mu imponował Diogenes, nie chciał na los się z nim mieniać, M. A. byłby to chętnie uczynił, gdyby mógł sobie przyznać prawo wyzucia się z obowiązków mocarza świata.

V. Wyrabianie własnego charakteru.

Najwięcej stosunkowo uwag w swych zapiskach poświęca M. A. kwestyi, jakim człowiek sam być powinien, jaki wyrobić w sobie powinien charakter i sposób myślenia. O tych właśnie kwestyach mówi z najsilniejszem przekonaniem, często z emfazą, zadziwiającą u natury sceptycznej i niekiedy chłodnej. Jest on tu entuzyastycznym zwolennikiem szkoły filozoficznej, do której należy, wiadomo bowiem, że szkoła stoików przedewszystkiem kładzie nacisk na hart duszy i wyrobienie sobie niezawisłości i nieugiętości charakteru.

Obowiązki te względem własnej osoby uważają mędrcy i moraliści starożytni za punkt wyjścia w nauce etyki i sztuki życia. Z owych czterech cnót kardynalnych będących, ich zdaniem, podstawą życia dobrego i pożytecznego trzy, mianowicie fortitudo, prudentia i temperentia są regułami życia tyczącemi się w pierwszym rzędzie nas samych, a dopiero pośrednio oddziałującemi na nasz stosunek do bliźnich. Zawierają one tedy w swej treści także dbanie o siebie samego, o własne nasze dobro i to nietylko moralne i umysłowe, ale nawet fizyczne i materyalne.

Sposób pojmowania moralistów chrześcijańskich jest nieco odmienny. Nie zaprzeczają oni wartości owym »cnotom kardynalnym«, lecz widzą w nich nie wyłącznie »cnotę«, lecz zarazem rozsądne i praktyczne reguły życia. Przenoszą też nad nie wartość trzech cnót teologicznych. Nie zapominajmy wszakże, że podstawą etyki chrześcijańskiej jest wiara i objawienie. Życie i słowa Chrystusa są owym objawionym przykładem najwyższego ideału życiowego, wskazującym nam, czem mamy być i jakim powinien się stać nasz charakter i sposób myślenia. Starożytność w swej »religii« nie znajduje wzorów moralności, bo nie są nią z pewnością bogowie Olimpu, ani też ów spuryfikowany Zeus, mglisty nieco kierow-

nik świata, o którym, podobnie jak inni filozofowie, wspomina czasem M. A. Złączenie więc ściślejsze etyki z utylitarnemi regułami życia oraz kwestyą kształcenia siebie samego a nadto oddanie tych tematów pod ogólny kierunek filozofii było rzeczą naturalną u nich i konieczną.

Zastanawiając się nad tem, czemeśmy być powinni, nie zaniedbuje M. A. wzmianki o obowiązkach względem naszego ciała, lecz zbywa je krótko, napotykając tylko mimochodem. Wspomina o potrzebie piękności harmonijnej w ciele i ruchach[1], ale zarazem usilnie przestrzega przed afektacyą. Więcej stosunkowo nacisku kładzie na odporność naszej natury i wytrzymałość fizyczną. Sztuka życia naszego, mówi on (VII. 61) »jest bardziej zbliżoną do szermierki, niż do kunsztu tańca ze względu na to, iż często musimy odeprzeć atak nagły i niespodziany«. Tu i owdzie znajduje się też wzmianka, zawsze rozsądna, tycząca się higieny.

Fizyczną stroną naszego życia zajmuje się jednak M. A. głównie w tem znaczeniu, iż jak najusilniej nakazuje pędzić tryb życia surowy i nie dogadzać w niczem i nigdy zmysłowym przyjemnościom i rozkoszom[2]. Wiadomo też, że sam od młodości pędził życie twarde, ascetycznie niemal, nietylko usuwając się od wszelkiego nadmiernego użycia zmysłowego, ale gardząc nawet konfortem i wygodą.

Niech nikt, woła on (V. 9) nie odwraca się od cnoty i obowiązku refleksyą, że coś innego jest dlań »przyjemniejszem«. To co nam się zdaje przyjemnością i rozrywką aż nadto często zawodzi, wykonywanie zaś tego, co uważamy za cnotę, doskonalenie się w przymiotach moralnych, staje się nam z czasem przyjemnością, tak jak i umysłowa wyższość, wiedza i zrozumienie świata daje nam wewnętrzne zadowolenie.

Pogardy dla dóbr doczesnych nie spotykamy wprawdzie u niego, a tem mniej zalecenia, abyśmy się z nich wyzuli i zupełnie nie dbali o nie. Nie powinniśmy się tylko zbyt do nich przywiązywać a w nabywaniu ich wystrzegać się chciwości. Myślmy też raczej z zadowoleniem o tem, co nam los dał, niż o tem, czego nam jeszcze brak (VII. 27).

Nie przeceniajmy jednak niczego i nie przywiązujmy się zbyt

[1] Zob. VII. 60.
[2] Zob. np. V. 5, VII. 55, VIII. 10 i 19.

do rzeczy, które posiadamy a możemy stracić, ażeby nam się nie wydawały czemś niezbędnem. Nie przywiązujmy zbyt wielkiej wagi do drobiazgów życia. Życie jest małostkowe i marne. Bierzmy w niem udział z usposobieniem pogodnem i bez dumy, lecz pamiętajmy o tem, że każdy tyle właśnie jest wart, co rzeczy, o które się troszczy i na których mu zależy (VII. 3).

Regułę życia, iż powinniśmy być wyżsi ponad rozkosze i przyjemności świata[1] zaleca M. A. niejednokrotnie i to z największym naciskiem. Surowy tryb życia, panowanie nad zmysłami i niedogadzanie im, ograniczenie się w rozrywkach i przyjemnościach, wytępienie w sobie słabości i nałogów, to są wszystko warunki utrzymania supremacyi ducha nad ciałem i wyrobienia sobie niezawisłości charakteru. Gardzenie przyjemnościami fizycznemi nie dochodzi jednak u niego aż do dręczenia ciała i zadawania sobie świadomego cierpień i bolu[2], tak, jak to np. zalecają często surowi moraliści chrześcijańscy.

Połączenie ciała i duszy w naszym organizmie pojmuje M. A. w podobny sposób jak nauka chrześcijańska, z tą oczywiście różnicą, że nie stawia żadnych stanowczych twierdzeń co do losów duszy po rozstaniu się z ciałem. Ciało powinniśmy zawsze uważać za niższą, gorszą i podlejszą stronę naszego jestestwa. Jest ono tylko nędzną powłoką naszej stokroć cenniejszej duchownej strony[3] i staje często rozwojowi ducha na przeszkodzie, mąci go i nakłada mu pęta. Doprowadzenie do panowania ducha nad ciałem przez gardzenie przyjemnościami fizycznemi, wyrobienie w sobie wytrzymałości na niewygody a nawet bole, choroby i katusze, to są główne podstawy wyrobienia moralnego, które zgodnie z zasadami szkoły stoickiej z głębi przekonania zaleca nam autor.

Widoczne zachodzi tu zbliżenie do wyobrażeń moralistów chrześcijańskich, ale przecież dostrzegamy pewną zasadniczą różnicę. Stoicy wymagają panowania ducha nad ciałem, ujarzmienia ciała, by było zawsze na posługi ducha; chrześcijańscy moraliści idą dalej i chcą zupełnego przezwyciężenia, zgnębienia natury cielesnej. Pierwsi chcą mieć ciało silnem, zahartowanem; drudzy w cielesnej stronie widzą wogóle element wrogi dla duszy, która pragnie być czystą

[1] Zob. np. II. 7, VIII. 8.

[2] Zob. VIII. 42: »Niema powodu, bym sobie zadawał udręczenia, skoro świadomie nie wzrządzałem ich nigdy innym«.

[3] Zob. np. XII. 1 i 2.

i bez skazy. Regułą życia pierwszych wobec ciała naszego jest surowo pojęte »umiarkowanie« (temperentia); regułą drugich »umartwienie«.

Uwydatni się nam to najlepiej, jeżeli zestawimy np. rezonowania M. A. z wywodami jednego z najświetniejszych pisarzy chrześcijańskich, Tomasza a Kempis w sławnem »Naśladowaniu Chrystusa«. Wiele ustępów o »ujarzmieniu« ciała brzmi tu bardzo podobnie do reguł życia szkoły stoickiej. Ale przecież jest to sposób pojmowania w gruncie wręcz odmienny. U M. A. jest ciało gorszą naszą częścią, ale może i powinno być podporą ducha; u autora »Naśladowania Chrystusa« jest ono zawsze tylko wrogiem ducha, możliwem źródłem upadku i grzechu. M. A. każe nasze skłonności fizyczne trzymać na wodzy, lecz żyć zgodnie z naturą; Tomasz a Kempis każe z cielesną naturą, jako czemś z gruntu złem walczyć na każdym kroku[1], zgnębienie jej zupełne jest dopiero tryumfem chrześcijańskiego ducha.

Możność owładnięcia wewnętrznem postanowieniem woli naszego całego sposobu myślenia i nadania mu przez to pewnego z góry określonego kierunku, a w konsekwencyi możność opanowania naszych wrażeń i uczuć jest u M. A. podniesiona nieledwie do wysokości dogmatu. Możnaby prawie powiedzieć, że ta »moc nad sobą samym«, to jedyny dogmat, w który autor niezłomnie wierzy. Nikt może, nawet ze szkoły stoików, tak silnie nie zaakcentował zdolności opanowania myślą i postanowieniem naszych uczuć. Jest to niemal wręcz zanegowanie zasady, że powstające w nas uczucie jest tylko czemś biernem[1] »wywołanem« w naszej duszy zewnętrznym wpływem.

M. A. utrzymuje, że wrażenia nasze i uczucia są przedewszystkiem tylko »opinią naszą« o tem, co nas spotyka. Otóż opinia ta jest w naszej mocy, możemy nad nią panować, a przez to siłą woli uczucia zmodyfikować, osłabić, unicestwić nawet. W licznych ustępach i przykładach stara się nam to autor objaśnić i ilustrować. Zasadę samą określa on w sposób następujący:

VI. 8: »Nasza wewnętrzna przewodnia siła taką się czyni, jaką chce być, a tem samem sprawia, że wszystko, co się zdarza, przedstawia się nam tak, jak ona tego chce«.

---

[1] Zob. np. ks. IV. cap. LIV wymowny ustęp o przeciwstawieniu »natury«, »łasce«.

VII. 2... »O każdej rzeczy mam moc mieć taką opinię, jaką mieć powinienem«.

XII. 22: »Pamiętaj, że wszystko jest opinią, a ta jest w twojej mocy. Odrzuć ją, skoro chcesz, a tak jak żeglarz, który opłynął półwysep górzysty, znajdziesz się w spokojnej przystani«.

Przyjmuje więc M. A. w nas tak silny dar autosuggestyi lub, mówiąc trywialnie, »wmawiania w siebie«, iż przeciwważy on poniekąd działanie naszych zmysłów i czyni nas panami sytuacyi nawet w chwilach najsilniejszych ataków na zmysłową stronę naszej natury. W ten sposób przypisuje on nam nietylko możność oparcia się wszelkiej pokusie, ale nadto przezwyciężenia i zniesienia z największym spokojem wszelkich utrapień tak fizycznych jak i momoralnych.

Gdybym chciał cytować wszystkie ustępy, w których M. A. mówi o potrzebie wyrobienia sobie wytrzymałości na cierpienia i wogóle siły charakteru, musiałbym przytoczyć prawie połowę tekstu jego Rozmyślań. Ta kwestya jest jednym z głównych jego przewodnich motywów. Ograniczam się tedy do kilku charakterystyczniejszych ustępów.

W V. 8 mówi on, że przeciwności przeznaczone nam przez los trzeba znosić tak jak przepisane nam przez lekarza środki lecznicze, bez oporu i szemrania, choć są nieprzyjemne, w przekonaniu, że opatrzność nam je zsyła dla dobra ogólnego lub pożytku nas samych.

VII. 33: »Cierpienie, które jest nie do zniesienia zabiera nas; każde inne choć długotrwałe znieść możemy, przyczem dusza nasza zachowuje spokój przez skupienie się a kierująca nasza siła wewnętrzna nie staje się gorszą«.

X. 3: ...»Jesteś przeznaczony od natury do znoszenia wszystkiego i od twej własnej opinii zależy cierpienia uważać za znośne, pamiętając o tem, że to jest albo w twym interesie albo twoim obowiązkiem«.

VIII. 28. Cierpienia tak fizyczne jak i moralne nie powinny nam nigdy odbierać pogody myśli i spokoju, gdyż zawsze znaleźć w sobie należy tę siłę, by uznać, że one nie mogą dotknąć wyżyn naszego ducha.

VIII. 47: »Jeżeli ci coś z zewnątrz dokucza, to nie tyle dręczy cię rzecz sama, ile sąd twój o niej. A jest to w twej mocy sąd ten

zmienić. Skoro to zaś właściwie tylko twa wewnętrzna dyspozycya ci dolega, cóż ci przeszkadza zmienić twe zapatrywanie?«...

Wzniosłą regułę zawiera IV. 49: ...»W każdej okoliczności, gdyś skłonny czemś się irytować zastosuj tę zasadę: myśl mniej o tem, że to co cię spotyka jest nieszczęściem, lecz raczej że módz znieść to w sposób godny jest szczęściem«.

Piękny też zwrot spotykamy w X. 35: Oko zdrowe znosi każdą barwę, nie wymaga, tak jak chore, tylko barwy zielonej; żołądek zdrowy trawi wszelkie potrawy; taksamo charakter silny pokonuje wszelkie przeciwności.

Podobnie w X. 31: Życie całe jest jednem ciągłem ćwiczeniem dla naszego rozumu i ducha; przez wytrzymałość pokonujemy wszystko, tak jak żołądek wytrzymały strawi nawet najgorsze pokarmy.

X. 25: Obawa, gniew, irytacya wobec obowiązków nałożonych na nas przez naturę jest buntowaniem się przeciw prawu świata, moralną dezercyą.

X. 28: Człowiek irytujący się swym losem robi wrażenie świni kwiczącej i wierzgającej, gdy ją prowadzą na ofiarę.

Potrzeba surowego panowania nad sobą pociąga u M. A. nawet tę, przesadnie już ponurą konsekwencyę, że gani on wszelką myśl o szczęściu i sny o niem i radzi pozbyć się z góry wszelkiej imaginacyi i złudzeń [1].

Piękny, prawdziwie bohaterstwem tchnący ustęp o znoszeniu cierpień zawiera:

VII. 68: »Jest to w twej mocy utrzymać swą swobodę i niezależność myśli i spokój duszy, choćby świat cały okrzyki przeciw tobie wznosił i choćby dzikie zwierzęta szarpały członki tej nędznej powłoki cielesnej, które cię otacza. To wszystko nie powinno odebrać ci spokoju i niezawisłego sądu«...

Czy jest w tych słowach przesada? Nie sądzę. M. A. tak zupełnie wolny zresztą od wszelkiej pozy, wierzył z pewnością w szczerość swych słów, w możność wzbudzenia w sobie takiego hartu. I istotnie, jeżeli silna wiara i nadzieja nagrody pośmiertnej mogły u męczenników wywoływać najwyższą ekstazę i cud zapomnienia o bolach, dlaczegóżby kult moralnej siły nie zdołał podobny wywołać skutek? Wszakżeż historya wykazuje wspaniałe przykłady mę-

[1] Zob. VII. 17 i 29, VIII. 29, IX. 7.

czenników myśli i wiedzy. Nie są oni tak liczni, jak męczennicy wiary, lecz wielkodusznością im nie ustępują i na nie mniejszy zasługują podziw.

Dzisiejsi ludzie, w olbrzymiej większości słabi i zdegenerowani, nie są zapewne w stanie pojąć sposobu myślenia M. A. Co do mnie wyznaję, że odnoszę prawdziwie orzeźwiające wrażenie zestawiając tę potężną wiarę we własne siły z teoryami nowoczesnych dekadentów, którzy widzą w człowieku bezmyślną ofiarę wrażeń i nałogów, gardzą pracą nad sobą i nie wierzą w samoistną sprężynę samopoznania i woli nadużywając filozoficznych teoryi determinizmu, aby napozór »naukowo« uzasadnić lubowanie się we własnem zniedołężnieniu i niechlujstwie moralnem.

Na podstawie przytoczonych już zdań nie trudno jest odpowiedzieć na interesującą kwestyę, jak się M. A. zapatruje na problemat wolnej woli? Wprost nie stawia on tego zagadnienia w tej formie, jak to czynią późniejsi, szczególnie chrześciańscy moraliści i dzisiejsza nauka. Spotykamy u niego pewne ustępy, które nawet brzmią, jak gdyby teorya zupełnego fatalizmu. Mówi on niejednokrotnie, że to co nas spotyka jest dla nas nieodwołalnie przeznaczone od wieków [1]. M. A. jest więc skłonny przyjąć pewne »przeznaczenie« co do losu, który nas spotyka, ale o tyle silniej akcentuje wolną wolę naszą, co do wyrobienia w sobie dyspozycyi i siły pod względem zniesienia naszego losu. Zachowanie się zgodne z naszą wyższą naturą jest zdaniem jego zawsze w naszej mocy. Mamy tu tedy nietylko afirmacyę wolnej woli, ale nawet sposób jej pojmowania bardzo szczytny i idealny.

Mówi on np. w V. 10... »Jest to w mojej mocy nie działać nigdy w sprzeczności z głosem owego boskiego demona, który tkwi we mnie: żaden człowiek nie jest w stanie do tego mnie zmusić«.

A w V. 29... »Jestem wolny, i nikt mi nie przeszkodzi robić to, com postanowił«...

Wreszcie cytat z Epikteta XI. 36 »Nikt nie jest w stanie odebrać mi mej wolnej woli«.

[1] Zob. X. 5 a także V. 8, IV. 26 i VII. 46. W tym ostatnim ustępie mówi, że »nikt nie może uniknąć swego losu«. Dodaje jednak, że tak »kobiety mówią«. Ze słów tych możnaby raczej sądzić, że on sam tej wiary nie bierze bezwzględnie na seryo, ponieważ zresztą niejednokrotnie wyraża się M. A. ujemnie i z lekceważeniem o sposobie myślenia kobiet.

Szczytem wzniosłego pojmowania owego poddania się losowi z jednej strony, z drugiej zaś dążenia do wytworzenia indywidualnej siły i odporności jest zadziwiająco piękny ustęp, w którym naucza nas, jakiemi powinny być nasze modły do bogów.

Nie żądajmy od bogów, mówi on (IX. 40), zmiany ich postanowień, nie módlmy się o to, by nam dali to, czego pragniemy, lub odwrócili od nas to, czego sobie nie życzymy, lecz prośmy, by nam dozwolili wytworzyć w sobie potrzebną siłę, by to, co nas spotka, znieść mężnie i wytrwale.

O ile nie idzie o modły o celach altruistycznych, ten typ modlitwy M. A. jest niezawodnie najszczytniejszy.

Ale i w modłach altruistycznych powinniśmy w podobny sposób prosić nie o odwrócenie wypadków, lecz o danie osobom drogim nam siły do mężnego zniesienia ich.

Podobnie jak inni mędrcy starożytni a specyalnie stoicy łączy M. A. wydoskonalanie swej własnej natury przedewszystkiem z wyrabianiem w sobie cnót, które uważano wówczas za podstawowe. Są niemi: roztropność, sprawiedliwość, umiarkowanie i męztwo (φρόνεσις, δικαιοσύνη, σωφροσύνη, ἀνδρία) [1]. M. A. nieraz wspomina o nich w tym związku [2].

---

[1] W powyższych wyrazach greckich używam ortografii nowych wydań tekstu M. A. W klasycznej epoce literatury greckiej jest ona w pierwszem i czwartem słowie nieco odmienna.

[2] Zob. np. V. 12, VIII. 1, III. 6. W tłumaczeniu na inne języki sens wyrazów greckich oznaczających pojęcia cnót kardynalnych nie zawsze występuje trafnie i czysto. Tylko pojęcie »sprawiedliwości« oznaczają wszystkie języki zgodnie, oddając wiernie przymiot, o który tu idzie. Inaczej co do innych cnót. Grecki wyraz ἀνδρία (częściej ἀνδρεία) oznacza odwagę ale zarazem i wytrzymałość, przyczem wykluczona tu jest odwaga w obronie czegoś nagannego, jak nie mniej odwaga nierozważna, karkołomna lub bezmyślna. Pojęcia te oddają dobrze tylko języki słowiańskie przez wyraz »męztwo« (podobnie w innych słowiańskich językach), który nietylko ma tę samą etymologię, co wyraz grecki, ale i sens, jak sądzę, identyczny. Łacińska »fortitudo« (włoska »fortezza«) jest wyrazem mało potocznym i osłabia znaczenie pojęcia podnosząc raczej »siłę« niż »odwagę«. Natomiast wyraz używany często w tłumaczeniu francuskiem i angielskiem »courage« oznacza jednostronnie tylko »odwagę«. W niemieckiem używają bądź wyrazu »Stärke« bądź »Mut«. Każdy z nich daje sens jednostronny.

Co się tyczy greckiej φρόνεσις (częściej φρόνησις) jest to władza umysłowa wskazująca nam to, co jest dla nas pożytecznem a zarazem dobrem ze stanowiska etycznego, głos wewnętrzny mówiący nam, co się robić powinno, by

Za dalekoby mnie to zawiodło, gdybym chciał się bliżej nad tem zastanawiać, czy to wszystko, co stanowi treść owych trzech cnót, nie bezpośrednio altruistycznych (fortitudo, prudentia, temperantia) należy istotnie do zakresu etyki. Że w nich tkwi pewien element utylitarny a nawet egoistyczny, to pewna. Zasadnicze wszakże podniesienie wspomnianych przymiotów osobistych ponad pojęcie utylitarne, »zapuszczenie« ich, że się tak wyrażę, elementem etycznym i wciągnięcie w dziedzinę moralności, jest piękną i zdrową ideą świata starożytnego. Przez to bowiem wytwarza się niejako zasadę, iż prawdziwie dzielnym, mądrym i umiarkowanym jest się tylko wtedy, jeżeli się te przymioty ducha oddaje na posługę chwalebnych celów. Zresztą, pominąwszy korzyści płynące dla nas samych z owych przymiotów, należą one już dlatego do dziedziny etyki, ponieważ są niezbędnym warunkiem skutecznego i pożytecznego wypełnienia naszych altruistycznych obowiązków względem drugich.

Czy można być prawdziwie pożytecznym w społeczeństwie bez wytworzenia w sobie należytego hartu fizycznego i moralnego (fortitudo)?

żyć dobrze i chwalebnie. Łaciński wyraz »prudentia«, który przeszedł do nowszych języków romańskich i angielskiego, nie jest sympatyczny i trąci pedanteryą. Jeszcze bardziej obniża pojęcie wyraz używany w niemieckiem: »Klugheit«, który zbliża się już do »przebiegłości«. Z wielkiego bogactwa polskich wyrazów, któreby można użyć jak: »mądrość«, »rozum«, »rozsądek«, »rozwaga«, »przezorność«, »roztropność«, żaden właściwie nie oddaje dobrze pojęcia. Zwykle używają wżrazu »roztropność«, która jednak oznacza przymiot umysłu dany przez naturę a co najwięcej wzmocniony doświadczeniem, nie zaś zarazem nauką i wiedzą. (Inaczej w łacinie np. w wyrazie »juris-prudentia«).

Grecki wyraz σωφροσύνη tłumaczą po łacinie słowem »temperantia« (podobnie w językach romańskich i angielskim) po niemiecku: »Mässigkeit«, po polsku »umiarkowanie« (mniej wierny jest wyraz używany niekiedy: »wstrzemięźliwość«). Wszystkie te tłumaczenia są o tyle osłabieniem pojęcia, iż wyrazy te oznaczają raczej fakt »umiarkowania« w praktycznem życiu, i to głównie co do fizycznej strony naszego zachowania się, a nie przyczynę. Grecki bowiem wyraz wskazuje na źródło psychiczne t. j. na umysłową naszą władzę nakazującą nam umiarkowanie tak w użyciach fizycznych, jak i w życiu naszem moralnem i umysłowem. Jest to tedy siła umysłowa nakładająca rozumue pęta naszym skłonnościom i uczuciom.

Widzimy tedy, że tłumaczenia na inne języki wypaczają i krzywią pojęcia greckie o cnotach kardynalnych i nie są w stanie oddać ich wiernie w pierwotnej czystości. Czyż nie jest to dowodem, że stracono też i pojęcie cnót samych w tej piękności i na tej wyżynie, jak je pojmowali mędrcy Grecyi?

Czy można być prawdziwie sprawiedliwym i z dobrym skutkiem dobroczynnym bez narażenia się na wyzysk i nadużycia, jeżeli się nie postępuje roztropnie i z rozwagą (prudentia)? A »temperentia«? Tylko niepraktycznym »moralistom-marzycielom« może się ona wydać przymiotem czysto utylitarnym, jakimś rodzajem trzeźwej tylko reguły higienicznej. W istocie jest »umiarkowanie« czemś nieskończenie wyższem, jeżeli nie cnotą samoistną, to niezbędnym dodatkiem, warunkiem efektywności każdej innej cnoty. Każda bowiem cnota bez umiarkowania przechodzi w szkodliwą przesadę. Weźmy tylko np. dwie podstawowe, wrodzone i ogólnie odczute altruistyczne cnoty: miłość rodziców do dzieci i miłość ojczyzny. Są one niezawodnie wręcz podstawą moralności społecznej i społecznego ustroju a jednak w przesadzie swej pierwsza staje się szkodliwą pobłażliwością, druga nagannym szowinizmem. Tu i tam »caritas« w nich zawarta staje się źródłem szkody dla tych, których dotyczy.

Nacisk, który myśliciele starożytni kładą na przymiot umiarkowania, jest jednym z przykładów wyższości ich sposobu myślenia. Temu też zawdzięczają w znacznej części ową imponującą równowagę i spokój, która im daje piętno innej, wyższej miary umysłowej i moralnej nad społeczeństwem czasów nowszych a przedewszystkiem dzisiejszej doby, w którem mamy prawie tylko do wyboru między moralnemi pigmejczykami a neurastenikami.

Surowym regułom życia przykazanym przez M. A. możnaby zarzucić, że nie mogą się przyjąć i wszczepić w społeczeństwo, bo nakładając pęta i nakazując ofiary nie dają zarazem dostatecznego motywu do poniesienia tych ofiar. Zaparcie się bezinteresowne? czyż można się tego spodziewać, już nie mówię od mas, ale choćby od poszczególnych szlachetniejszą naturą obdarzonych jednostek? Przyznaję, że brak przyrzeczenia namacalnej nagrody odbiera naukom M. A. silniejszą popularną attrakcyę. Pomimo tego nie są one wcale tylko mrzonką ideologa i mogą, w części przynajmniej, być zastosowane w każdej epoce.

Nie trzeba bowiem zapominać, że podobnie jak »training« fizyczny jest pierwszym warunkiem wyrobienia w sobie hartu fizycznego, podobnie istnieje »training« moralny wytwarzający hart moralny, który następnie na podstawie przyzwyczajenia i praktyki staje się »drugą naturą«. Dziecko, w którem usiłujemy wytworzyć poczucie etyczne, wymaga pewnych argumentów, ażeby

wstrzymać się od czegoś, co mu jest przyjemnem, lub wykonać coś, co mu jest przykrem. Trzeba tu apelować do innych jego uczuć, wciągnąć np. w grę uczucie obawy, przywiązanie do osób najbliższych lub ambicyę. »Nie rób tego«, mówi mu się, »bo się Bozia gniewać będzie« albo »bo mama będzie płakać« lub wreszcie »bo się z ciebie inne dzieci będą śmiać«!

Skoro jednak z czasem pod wpływem dobrego wychowania i dobrych przykładów zakorzeni się w nas dobra praktyka życia, tak pod względem fizycznym, jak i moralnym, to staje się ona wprost potrzebą naszej natury i nie pragniemy wcale od niej odstąpić, choć nas już nie zachęcają podobnemi argumentami, jakiemi nas początkowo na tę drogę wprowadzono. Dla małego dziecka operacya mycia uszu jest torturą, dla dorosłego cywilizowanego człowieka nie mniejszą torturą jest nie módz być czystym.

Podobnie ma się rzecz ze stroną m o r a l n ą życia. Gdyśmy przywykli do dobrotliwości i uprzejmości w obejściu lub też do szczerości i prawdy, jest to dla nas prawie »fizyczną« męczarnią zmuszać się do nieuczynności, brutalności lub też do obłudy i pochlebstw. Nie potrzeba nam już wtedy ani nakazu ani obietnicy nagrody, by czynić dobrze. Uczuwamy pewną, że tak powiem, e s t e t y c z n ą p o t r z e b ę c z y s t o ś c i m o r a l n e j. Brud moralny napawa nas obrzydzeniem i wstrętem, tak jak niechlujstwo fizyczne. Tego to rodzaju »Drill« moralny, wpojony w młodości przez wychowanie, utrwalony zaś w późniejszym wieku przez rozmyślania nad sobą, nadzorowanie się i częsty rachunek sumienia, ma na myśli M. A. mówiąc, że przez praktykę samo wykonywanie cnoty staje się nam przyjemnością, podobnie jak kultura umysłowa [1]. Nie wchodząc tedy bliżej w kwestyę, jakie się ma zapatrywania religijne lub metafizyczne na kwestyę indywidualnej nagrody za cnotę w życiu zagrobowem, już sam k u l t p i ę k n o ś c i i c z y s t o ś c i d u s z y dając pewne wewnętrzne zadowolenie moralne staje się potężną dźwignią etyki. Oczywiście jednak, że to nie wyklucza znaczenia religijności, ani też jej siły w zupełności zastąpić nie zdoła.

---

[1] Zob. V. 9 ku końcowi, cytowany powyżej, str. 31.

VI. Znikomość rzeczy ludzkich, śmierć, lekceważenie sławy.

Streszczenie i objaśnienie nauk M. A. nie byłoby wyczerpującem, gdybym szczegółowo nie wspomniał o jego licznych i głębokich uwagach na temat znikomości rzeczy ludzkich, śmierci, która zawsze powinna nam zdać się blizką i lekceważenia tak uznania ludzkiego za życia, jak i pośmiertnej sławy.

Głębokie poczucie, że życie nasze całe jest marne i znikome, prace nasze, namiętności, uciechy i walki czemś nikłem i małostkowem przejmuje do głębi cały sposób myślenia M. A. Jest on w tym względzie pokrewnym duchem autora księgi Ekklesiasty, z tą wszakże różnicą, że nie dochodzi do takiego stopnia zniechęcenia i pessymizmu jak tamten. Pomimo bowiem, że duch jego gardzi światem, sumienność każe mu być czynnym, cierpliwym i wyrozumiałym.

Zgodnie z Platonem podnosi M. A. (VII. 35), że człowiek o wzniosłym umyśle nie może żadną miarą uważać życia ludzkiego na coś wielkiego i cennego. Śmierć więc nie może mu się wydawać nieszczęściem i złem.

Z Platona także przyjmuje on zasadę (VII. 48), iż zastanawiając się nad kwestyami tyczącemi się życia i spraw ludzkich trzeba na nie spoglądać niejako z oddalonego wzgórza. Obejmuje się przez to szersze horyzonty a zarazem rzeczy poszczególne wydają się nikłe i małe.

Myśl częsta o wielkości i potędze wszechświata czyści i oswobadza poglądy z małostek i brudów codziennego życia (VII. 47).

Lekceważenie naszej ziemskiej egzystencyi, jak nie mniej tak bardzo przez wielu cenionej, potęgi i władzy uwydatnia się najsilniej w następującym ustępie:

VI. 36: »Azya i Europa są w wszechświecie zakątkami tylko, oceany kroplą wody, góra Athos skibą a cała nasza doczesność w zestawieniu z wiecznością jednym, nikłym punktem«.

XII. 32: Pamiętaj o tem, jak mała cząstka co do czasu i przestrzeni dostała ci się w udziale; jak »drobna ta skiba, po której się czołgasz«. Pamiętając o tem nie uważaj żadnej rzeczy za coś ważnego i wielkiego z wyjątkiem życia według nakazu natury i znoszenia tego, co ci jest przeznaczonem.

Słowa powyższe w ustach władcy Europy, Azyi i wszystkich mórz wówczas znanych, w ustach cesarza znającego potęgę swej

władzy i wpływ jej na tysiące egzystencyi ludzkich stokroć więcej nam imponują niż w ustach zwykłego filozofa, który władzy w ręku nigdy nie miał i mieć nie mógł.

O śmierci każe nam M. A. myśleć często i uważać każdy dzień naszego życia za taki, który może być ostatnim (VII. 69), lecz tylko dlatego, by korzystać z czasu dla spełniania dobrych uczynków. Śmierci niema powodu się bać; nie należy też ani jej szukać ani od niej uciekać (III. 7) trzeba się z myślą o niej oswoić jako z czemś naturalnem i nieuniknionem.

O samobójstwie wspomina M. A. kilkakrotnie. Wiadomo, że szkoła stoików nietylko uniewinnia samobójstwo, ale w trudnych sytuacyach życia je wprost zaleca. Jest to, mojem zdaniem, ciemny punkt tej nauki. Bo jakkolwiek Seneca, Epiktet a, podobnie jak ten ostatni także i M. A zezwalają na samobójstwo tylko w sytuacyach jakoby bez wyjścia np. w razie choroby nieuleczalnej lub moralnych przeszkód uniemożliwiających nam życie zgodne z zasadniczemi podstawami moralnemi, to jednak subjektywne uczucie tu często myli i wyłamanie się z pod wszelkich obowiązków unicestwieniem swej egzystencyi jest w gruncie często słabością i egoizmem.

Najbardziej znamiennym ustępem tyczącym się problematu samobójswa jest:

V. 29: »Jest to zawsze w twojej mocy wieść życie takie, jakiem pragnąłbyś je widzieć jako ubiegłe w chwili, gdy je będziesz opuszczać. Lecz, jeżeli ci ludzie w tem przeszkadzają i nie dozwalają, w takim razie opuść życie i to tak, jak gdybyś wcale nie cierpiał nad tem. Dym tu, więc się wynoszę [1]! Czy sądzisz, że to tak trudno?«

Wielce to niebezpieczna teorya, którą tu wypowiada autor. Chwilowe, choć może szlachetne zniechęcenie mogłoby być dostatecznym powodem samobójstwa. Tak daleko wszakże nie sięga dyspensa, którą M. A. wypowiada dla osób rozstających się dobrowolnie z życiem, gdyż z innego ustępu (VIII. 47) [2] wynika, że tylko »ostateczność« pod względem stawianych nam przeszkód moralnych

[1] Καπνός καὶ ἀπέρχομαι, zdanie to wypowiada M. A może pod wpływem Epikteta: Arrian (I. 25, 18) choć go tu nie wymienia wyraźnie, tak jak w innych miejscach.

[2] O śmierci dobrowolnej jest jeszcze mowa w innych ustępach zob. np. III. 7, X. 8 i 22.

może ten krok wytłumaczyć. Ale czyż i to dosyć? czyż w rozdrażnieniu subjektywnem jest się zdolnem ocenić, co jest »ostatnia granica« naszej wytrzymałości?

Liczne ustępy, które M. A. poświęca myśli o znikomości rzeczy ludzkich są nietylko głęboko odczute, lecz często niezmiernie pięknie sformułowane.

Życie zniknie wkrótce a z niem potem wszystkie jego ślady złe i dobre. Naiwnym jest lub szalonym, kto się doń zbyt przywiązuje i robi sobie iluzyę co do trwałości tego, co tu możemy zdziałać.

Zapewne, jest rezygnacya w słowach M. A. ale nie wolna od boleści i żalu; jest to jak gdyby westchnienie natury wyższej nad doczesne, ziemskie życie, tęskniącej za dobrem, pewniejszem i trwalszem.

Oto parę przykładów:

II. 17: Wszystko jest krótkie i znikome — »losy naszego ciała są jak rzeka ciągle płynąca, duch nasz jak mgła i opar, życie jak krótka wycieczka w kraj obcy a to co po nas zostaje — zapomnienie«.

V. 33: »Wkrótce, bardzo wkrótce będziesz już tylko szkieletem lub popiołem a zostanie po tobie tylko twe imię a i to nawet nie. A cóż zresztą jest imię? dźwięk i echo tylko«...

Myśl o tych, mówi on w IV, 33, co wielką rolę odegrali w historyi świata. Czemże są dziś? opowieścią tylko, którą także zmaże ogólne zapomnienie. Ale gdyby nawet wspomnienie o nich było wiecznem, to cóż to znaczy? I to nie ma żadnej wartości [1].

VI. 24: »Alexander Macedoński i jego pachołek przez śmierć są zrównani zupełnie«.

Rozgłos, reputacya za życia i sława pośmiertna nie są zdaniem M. A. wcale wynagrodzeniem za znikomość rzeczy ludzkich. Są one bez wartości i człowiek o wyższym umyśle dbać o nie nie powinien. Wskutek ludzkich pochwał nie staje się bowiem żadna rzecz ani lepszą ani gorszą (IV. 20).

Opinia ta należy niejako do *credo* autora. Wypowiada ją często a nie jest ona u niego wynikiem skromności lub pokory, raczej może uczucia wyższości, objawem lekceważenia opinii i sądu innych.

XII. 4: »Często mnie to dziwiło, że choć każdy przenosi sie-

[1] Podobne zapatrywania wypowiada autor także np. w IV. 48, XII. 27, II. 12.

bie samego nad resztę ludzi przecież mniej wagi przywiązuje do własnej opinii o sobie samym niż do opinii cudzej«.

W VIII. 8 mówi on, że trzeba być »wyższym« ponad żądzę sławy i nie irytować się niesprawiedliwym sądem głupich i niewdzięcznych.

IV. 3 »...A może pożądanie tego, co zwą sławą cię dręczy? Patrz jak szybko wszystko jest zapomniane... jak czczą rzeczą jest poklask, jak zmienne zdania i jaki brak sądu u tych co decydują o twej reputacyi i sławie...«

Podobnie w IX. 30. Jakże mało wiedzą o tobie ci, co cię sądzą, jak szybko zapomną, dziś cię sławią a ganić i potępiać będą jutro!

W V. 33 mówi on, nie bez domieszki goryczy, iż nie warto dbać o sławę i reputacyę w tym nędznym świecie i między ludźmi, wśród których żyjemy.

Sława pośmiertna także niema większej wartości jak poklask i uznanie za życia. Wyszydza on ambicyę w tym kierunku mówiąc, że nie może zrozumieć, dlaczego ludziom na tem zależy, by ci, co po nich przyjdą, a więc ludzie, których nie zobaczą i nic o nich wiedzieć nie będą, sławili ich. Dlaczegoż się nie martwią tem, że ci, co dawniej żyli, nic o nich nie wiedzieli (VI. 18)?

VIII. 44 »..,Ci, co łakną sławy pośmiertnej zapominają o tem, że ci ludzie, co po nas przyjdą, będą taksamo mało warci, jak nasi rówieśnicy, których znieść nie możemy«.

Nie wierzy on też wcale w sprawiedliwość sądu historyi. O wielu zasłużonych zapomina się zupełnie; inni znów bez powodu stają się »bohaterami z bajek« (VIII. 25).

VII. 67 »...Można być człowiekiem prawdziwie boskim a jednak nie uznanym przez nikogo«.

Sława pośmietna nie jest niczem więcej jak opinią nędznych ludzkich istot, którzy sami siebie nie znają; jakżeż mogą znać prawdziwie i ocenić kogoś, który zmarł już dawno przed niemi (III. 10).

Rozmyślanie swe kończy M. A. pięknym ustępem, pełnym rezygnacyi, który o tyle bardziej jest interesującym, że prawdopodobnie był zanotowany na krótki już czas przed śmiercią.

XII. 36. Tak jak aktor, mówi on, któremu każą zejść ze sceny po trzecim akcie, nie może się domagać roli jeszcze przez dwa następne, skoro partya przeznaczona mu skończyła się, tak i my

godźmy się na tak tylko długą rolę w życiu, jaką nam przeznaczono, bo nie samiśmy sobie dali życie, lecz naturze je zawdzięczamy.

Głęboka pogarda M. A. dla rozgłosu i sławy, z dwojakiego powodu może się nam wydać rzeczą zadziwiającą. Przedewszystkiem uderza ona u Rzymianina wogóle. Wiadomo bowiem, że Rzymianie łaknęli sławy, przywiązywali do niej wielką wagę i często właśnie pod wpływem tego bodźca spełniali czyny bohaterskie i pełne poświęcenia.

Nadto miał M. A. prawo mniemać, że nietylko czyny jego jako wielkiego i zwycięzkiego imperatora, ale i słowa jako filozofa będą *aere perennius*. Wszakżeć sławę lekceważą sobie zwykle ci, którzy nie mogą jej osiągnąć. Jeżeli zatem on właśnie lekceważy ją sobie, to dlatego, iż nie wierzy w jej sprawiedliwość i szczerość a zarazem zaś zadowolenie wewnętrzne, pogodę myśli i szacunek dla siebie samego wyżej ceni, niż poklask.

Sławę wieczną zyskał on przecież, choć nią gardził. Lecz iluż mniej wartych przewyższa go w sławie. Iluż fałszywych bohaterów i dobrodziejów ludzkości się podziwia, którzy nie warci mu rozwiązać rzemyka! A iluż równych mu a może i wyższych spoczywa w grobie w zupełnem zapomnieniu!

M. A. ma słuszność: sąd współczesnych jest zwykle niesprawiedliwy, a przekonanie, że go poprawi sąd historyi, jest naiwną iluzyą. W uzyskaniu popularności za życia reklama więcej znaczy niż zasługa, sława zaś pośmiertna zawisła często od przypadku i najrozmaitszych celów ubocznych tych ludzi, co ją tworzą. Dość wskazać tylko, ilu »bohaterów« i »zbawców narodu« fabrykuje sąd szowinizmu narodowego lub partyjnego fanatyzmu, a ilu z drugiej strony niesłusznie piętnuje »zdrajców«.

Jeżeli jednak głębokie i słuszne są uwagi M. A. o znikomości rzeczy ludzkich i nikczemnej wartości rozgłosu i sławy, to jednak dla ogółu społeczeństwa byłyby podobne przekonania niebezpieczne i niezdrowe. I one, podobnie jak cała filozofia M. A. są dla »elity« tylko, nie dla umysłów i serc niższych. Gonienie za reputacyą i sławą jest dla umysłów pospolitych przecież często źródłem dobrych i pożytecznych uczynków, obawa zaś przed popsuciem sobie reputacyi, liczenie się z sądem świata, najsilniejszą stosunkowo zaporą przeciw tendencyom nieetycznym.

Wielkoduszny człowiek pamiętając o znikomości życia i marności sławy zachęcony będzie o tyle bardziej do czynów mających

wartość wewnętrzną, niezawisłą od opinii i spełniać je będzie bez względu na to, »czy kto nań patrzy«[1]. Nieprzejrzane natomiast rzesze ludzi pospolitych jedynie pragnienie uznania i odegrania »pięknej roli« lub obawa potępienia przez sąd »opinii publicznej« jeszcze jako tako jest w stanie utrzymać na drodze etyki i zasługi społecznej[2].

VII. Stosunek Marka Aurelego do chrześcijaństwa.

Przegląd nauki moralnej M. A. wykazuje nam w wielu punktach zadziwiające zbliżenie do zasad i zapatrywań chrześcijaństwa. Za czasów jego rządów chrześcijaństwo było już bardzo rozszerzone tak, iż M. A. musiał z niem być dość dokładnie zaznajomionym. Zadziwić tedy może na pierwszy rzut oka, że nie wytworzyła się w nim pewna sympatya dla nauk chrześcijańskich. Tymczasem było raczej wręcz przeciwnie.

Jakkolwiek wielkoduszny monarcha nie należał pomiędzy cesarzami Rzymu do najzaciętszych wrogów chrześcijan, jakkolwiek łagodność jego nie dozwalała na krwiożercze ściganie i prześladowanie takie, jak było za Nerona lub Domicyana, to jednak jest rzeczą niezawodną, że sympatyi on do chrześcijan nie miał a nawet usposobionym był dla nich niechętnie i wrogo.

Świadectwo Tertulliana wypowiada wprawdzie wręcz inne zdanie. Pisarz ten w swej »Apologii chrześcijaństwa« utrzymuje, że prześladowań doznawali chrześcijanie tylko ze strony złych i niegodziwych imperatorów, podczas gdy szlachetni mężowie na tronie Rzymu odznaczali się wobec nich toleracyą, a znakomity i mądry Marek Aureli był nawet ich protektorem. Świadectwo to wszakże, pisane zresztą w celach czysto polemicznych nie jest zgodne z prawdą.

---

[1] Zob. także IX. 29.

[2] Doskonałą ilustracyą, czem się staje lekceważenie sławy u ludzi o nizkich instynktach daje Szekspir w pysznym, pełnym humoru ale i cynizmu monologu Falstafa (King Henry IV, First part, Act. V, Scene I i. f.) na temat wyśmiewania znaczenia honoru: »What is honour? a word. What is that word, honour? air... Who has it? he that died o' Wednesday. Doth he feel it? no. Doth he hear it? no. Is it insensible then? yea, to the dead. But will it not live with the living? no. Why? detraction will not suffer it. Therfore I'll none of it: honour is a mere scutcheon: — and so ends my catechism«.

Być może też, że Tertullian w dobrej wierze oparł się tu na źródłach nie autentycznych.

Ze znanego nam ustawodawstwa M. A. można tylko o tyle wysnuć pewną pośrednią korzyść dla chrześcijan, że wydał on surowe przepisy przeciw kłamliwym denuncyatorom. Dekretu natomiast jakiegoś wprost przychylnego chrześcijanom M. A. nigdy nie wydał i nie zmodyfikował w niczem surowego przeciwko nim skierowanego ówczesnego karnego ustawodawstwa Rzymu. Co więcej, dopuścił nawet do krwawych prześladowań chrześcijan w czasie swoich rządów, wprawdzie nie w samym Rzymie, ale w niektórych prowincyach.

Oczywiście, że przy olbrzymiej rozciągłości monarchii, złej komunikacyi, trudności znoszenia się z władzą centralną i niedostatecznej kontroli nad zarządem odleglejszych prowincyi, trudno ocenić, o ile za te prześladowania w prowincyach można winić samegoż cesarza. Co się tyczy najsroższych z tych prześladowań, które miały miejsce pod koniec rządów M. A. w Galii w Lugdunie i Vienne, to jest nawet historycznie stwierdzonem, że wysłano do cesarza do Rzymu sprawozdanie wraz z zapytaniem, jak się zachować wobec chrześcijan, a odpowiedź jego była dla chrześcijan nieprzychylną. Wprawdzie i w tym wypadku trudno stwierdzić na pewne, o ile ta odpowiedź wyszła osobiście od M. A., a już w każdym razie szczegóły owych okropnych mąk, które wówczas wycierpieli chrześcijanie nie można kłaść na rachunek cesarza. W każdym jednak razie ten fakt historyczny wraz z innymi dowodzi, że ze strony M. A. nietylko nie było zakazu prześladowania ani jakiegoś objawu przychylności, lecz przeciwnie usposobienie dla szerzącej się nowej religii wręcz niechętne.

Trudno nie uznać, iż jest to plamą na pięknej postaci M. A., lecz by zrozumieć to stanowisko i choć w części je uniewinnić, należy się bliżej nad tem zastanowić, jakie wogóle wyobrażenie miały o chrześcijaństwie owe sfery, do których należał M. A. i co pogan, a w szczególności ludzi przesiąkniętych ówczesną filozofią oddzielało od chrześcijan.

Chrześcijaństwo rozszerzające się już wówczas, z gwałtowną chyżością znajdywało najliczniejszych prozelitów, głównie między niższemi, ubogiemi, upośledzonemi i skrzywdzonemi warstwami społeczeństwa, a więc także szczególnie między niewolnictwem. Dalej zyskiwało ono wskutek swej potężnej struny uczucia wielu zwolen-

ników między **młodzieżą i kobietami**, przyczem rozszerzanie nowej wiary postępowało bez rozgłosu i tajemnie, czyli, jak przeciwnicy zarzucali »podstępnie«.

Natomiast spotykało się chrześcijaństwo z usposobieniem wrogiem przedewszystkiem wśród ciemnych mas pospólstwa, które na podstawie fantastycznych baśni i potwarzy przypisywało nowej, tajemniczej sekcie najpotworniejsze zbrodnie i czyniło ją odpowiedzialną za klęski elementarne i epidemie.

Dalej wrogo dla chrześcijan byli usposobieni z powodów przeważnie politycznych i socyalnych poważniejsi i starsi, w przekonaniach swych konserwatywni obywatele, szczególnie dzierżyciele dostojeństw i urzędów, którzy upatrywali w tej opozycyjnej, negującej podstawy polityczno-religijnego ustroju Rzymu sekcie groźne niebezpieczeństwo. Niechęć ta spotęgowana była jeszcze mniemaniem, że chrześcijaństwo jest sektą **żydowską**, wiadomo bowiem, jak ogólny był wstręt Rzymian do żydostwa.

Wreszcie niechętni też byli chrześcijaństwu i filozofowie i to tak **Epikurejczycy** jak i **Stoicy**, bo sposób myślenia chrześcijan, ich wiara w nadludzkie objawienia, ich ekskluzywność w pojęciach, przekonaniach i obyczajach, ich niezłomny hart, czyli jak zarzucano »upór« doprowadzący do rozmiłowania się prawie w męczeństwie, to wszystko wydawało się sceptykom ówczesnym niedorzecznym fanatyzmem i zaślepieniem.

Nic dziwnego, że i M. A., na którego rozwój wpływały z jednej strony dawne tradycye rzymskie, z drugiej zaś filozofia a w pierwszej linii zapatrywania niechętnego chrześcijanom **Epikteta**[1] i zdeklarowanego ich wroga a nauczyciela M. A., **Frontona**, uprzedził się z góry do chrześcijaństwa, którego zasad na podstawie źródeł nigdy nawet nie miał sposobności poznać. On, tak wzniośle zalecający tolerancyę myśli i przekonań, w tym względzie wskutek błędnych informacyi sprzeniewierzył się swym zasadom. Zresztą, tak jak w wielu innych kwestyach, poszedł on tu tylko za tradycyą swoich bezpośrednich wielkich poprzedników, którzy byli także na tejsamej błędnej drodze

Prześladowania za czasów Nerona i Domicyana były spowodowane w znacznej części osobistą nienawiścią tych władców do chrześcian, a w części wrodzonem ich okrucieństwem. Inaczej od

---

[1] Zob. Arrian. Epict. Dissert. IV. 7, 6.

czasu łagodniejszych rządów dynastyi Antoninów. W zasadzie panowała w tej epoce w Rzymie tolerancya zupełna, tak pod względem obcych wyznań religijnych, jak i zapatrywań filozoficznych zostających przeważnie w zupełnej sprzeczności z uznaną religią państwową.

W krajach zdobytych nie mięszali się z reguły Rzymianie do spraw religii i kultu zostawiając w tym względzie ludność miejscową w spokoju a nawet przyznając jej pewien rodzaj autonomii. Najbardziej tolerancki a nawet lubujący się w obczyźnie cesarz Hadryan sam w Egipcie stawiał wspaniałe świątynie obcym bogom, składał im ofiary, dawał się rzeźbić pod postacią Ozirisa i przyczynił się znacznie do tego, że wprowadzenie pewnych praktyk kultu egipskiego do Rzymu stało się wówczas modą. Świat rzymskich bogów przyjął w gościnę obce, importowane z dalekich krain, egzotyczne bóstwa. Kult np. Izydy, pochodzący z Egiptu, kult i misterya Mitry, importowane z Syryi pojawiają się odtąd coraz częściej w świątyniach rzymskich.

Równocześnie święci za czasów Antoninów filozofia grecka tryumf odrodzenia i zdobywa Rzym. Otóż wiadomo aż nadto, że zapatrywania filozofów były w rażącej sprzeczności z zasadami religii państwowej, posuwały się często zgoła do negacyi istnienia bogów, otwartego ateizmu. Tymczasem nietylko nie mamy w owym czasie ani jednego przykładu prześladowania któregokolwiek z filozofów za jego przekonania i naukę, lecz przeciwnie wpływ ich i to nietylko kulturalny ale nawet polityczny rośnie z każdą chwilą a za M. A., należącego całą siłą przekonań do ich zawodu, staje się nawet dominujący.

O tyle bardziej dziwi nas na pierwszy rzut oka, że jedynie wobec chrześcijan ci cesarze łagodni i kulturalni, jak nie mniej całe ich otoczenie zachowują się niechętnie i wrogo, jedynie wobec nich odstępują od zasady uszanowania obcych przekonań. Zrozumieć to wszakże poniekąd można uwzględniając ducha i tendencye chrześcijaństwa szczególnie w pierwszych wiekach.

Dla wszystkich bogów obcych mogło się znaleźć miejsce w Olimpie pogaństwa ówczesnego, tylko nie dla Boga chrześcijan, tylko nie dla Boga-człowieka Chrystusa. Czuli to Rzymianie ówcześni, że ta sekta łagodna i w zachowaniu się zewnętrznem wcale nie rewolucyjna jest przecież nieprzejednaną dla całego ustroju ówczesnego religijno-politycznego i kopie dlań grób niechybny. Wiedzieli, że ich wspaniałe świątynie z przepysznemi posągami bogów rozsypią się

niechybnie w gruzy, że wszystkie ich tradycye i obrzędy, związane tak ściśle z dawną, pełną chwały historyą Rzymu i obecną jego potęgą pójdą w pogardę i zapomnienie, skoro tylko ta, wówczas antinarodowa i kosmopolityczna sekta przyjdzie do wpływu i władzy.

W świecie ówczesnym filozofów i myślicieli Rzymu i Grecyi spotykamy wprawdzie ludzi, a należeli do nich głównie stoicy w rodzaju Epikteta i M. A., którzy w zapatrywaniach etycznych zbliżali się do chrześcijan, zalecając, choć z mniejszem niż chrześcijanie ciepłem, filantropię i zaparcie się uciech światowych. O ile jednak istniało między niektóremi szkołami filozoficznemi a chrześcijaństwem pewne zbliżenie co do praktycznych reguł etyki, o tyle większa przepaść dzieliła te dwa kierunki myśli, co do kwestyi w i a r y oraz znaczenia i wartości, które się jej przypisuje. Rozumy najświetniejszych myślicieli pogańskich nie mogły się wmyśleć w psychologię chrześcijan i pogodzić się z ich sposobem widzenia rzeczy. Nie pojmowali przedewszystkiem mędrcy pogańscy wiary chrześcijan w objawienie boskie zesłane światu przez życie Boga-człowieka, uważając myśl tę za niezrozumiały zabobon. Nie rozumieli też ekskluzywności nauki chrześcijan, odrzucającej z pogardą każdą inną naukę nie płynącą ze źródła objawienia chrześcijańskiego, nie wyłączając nawet filozoficznych zapatrywań opartych, zdaniem ich, na najczystszych intencyach.

Najbardziej wreszcie obcym i niezrozumiałym był im ów nieprzełamany upór ze strony chrześcijan w oddzieleniu się od całego zresztą świata i ich skłonność do ponoszenia nawet najsroższych prześladowań i śmierci, byle tylko uniknąć chociażby jakiegoś zewnętrznego aktu sprzeciwiającego się ich tajemnym regułom i przepisom.

Brak wiary chrześcijan w istnienie bóstw pogańskich z pewnością najmniej raził filozofów a nawet wszystkich innych oświeconych Rzymian. Nie wierzyli oni przecież sami w bóstwa rzymskie i nie brali na seryo oficyalnego Olimpu. W ofiarach i innych praktykach religijnych widzieli czysto zewnętrzne urządzenia państwowe bez wszelkiego dogmatyczno-religijnego znaczenia, od których nie należało się usuwać ze względu na dawne tradycye oraz związany z tem interes państwa i porządku społecznego. Tak myślał nawet tak głęboki i poważny filozof jak Seneca. Nieprzełamany więc wstręt Chrześcijan do brania udziału w zewnętrznych objawach kultu oficyalnego uważały nawet najbardziej oświecone sfery ówczesnego

świata pogańskiego za małostkowy i niezrozumiały upor zaślepionych fanatyków.

Stosunek władzy państwowej Rzymu do chrześcijan został za czasów Antoninów zasadniczo określony dekretem Trajana streszczającym się w tem, że w domenę myśli i wiary władza państwowa się wprawdzie nie wdaje, wymaga atoli od chrześcijan nieusuwania się od zewnętrznego, oficyalnego kultu. Żądano tedy, by chrześcijanie zewnętrznemi objawami, np. złożeniem ofiary bogom pogańskim lub uczestnictwem w publicznych ceremoniach religijnych, zaparli się swego wyznania a na ten wypadek zapewniano im bezkarność, nie wdając się bliżej w kwestye ich wiary i prywatnych praktyk religijnych. Tej samej reguły trzymał się zasadniczo także M. A.

Oczywistą jest rzeczą, że reguła ta wszędzie tam, gdzie magistratura postanowiła wystawić ludzi uważanych za chrześcijan na ową próbę uczestniczenia w pogańskim kulcie, musiała doprowadzić do konfliktu a w następstwie do prześladowań. Reguła sama bowiem była wobec chrześcijan zasadniczym błędem. Było to postępowanie wręcz chybione, świadczące o zupełnem niezrozumieniu ducha chrześcijaństwa i właściwej psychologii wyznawców nowej religii

Cesarzom i urzędnikom rzymskim mogło się zdawać, że działając w myśl reguły Trajana postępują w sposób ludzki, łagodny i polityczny. Sądzili oni, że wymagając od chrześcijan jedynie zewnętrznego objawu odstępstwa ze względu na państwowy charakter oficyalnego kultu a zostawiając im swobodę w dziedzinie wewnętrznych przekonań nie wymagają od nich żadnej wielkiej ofiary. Wszakżeż wszyscy oświeceni Rzymianie a nawet sami imperatorowie składając ofiary bogom uznanym i rozmaitym deifikowanym zmarłym cesarzom nie brali tych ceremonii w gruncie na seryo i nie wierzyli w nic zgoła z tego, co zewnętrznie jako swą religię proklamowali. Tego, co sami spełniali niemal codziennie i bez wahania, nie uważali więc za coś, coby mogło sumienie obciążać i coby należało uznać za czyn haniebny lub podły.

Nie rozumieli oni, czem była dla nowo budzącej się religii potęga wiary i siła przekonań. Psychologia tych ludzi, którzy stokroć razy przenosili katusze i śmierć męczeńską nad spełnienie ceremonii zewnętrznej, będącej w oczach oświeconych pogan czczą formalnością wydawała się jednym — obłąkaniem, innym — zbro-

dnią. A tymczasem w oczach chrześcijan publiczne odstępstwo od wiary pod grozą kar było uważane nietylko za objaw tchórzostwa, małoduszności, lecz za grzech najcięższy i haniebną podłość, podczas gdy śmierć męczeńska zapewniała im, stosownie do ich niezachwianej wiary, natychmiastowe zbawienie i wieczną szczęśliwość. Czyż mogli wobec tego się wahać?

Niezrozumienie się wzajemne tych dwóch światów stało się niestety powodem rozlewu morza krwi niewinnej.

Żaden dokument historyczny nie charakteryzuje tak dosadnie zapatrywań wyższych kół rzymskiego społeczeństwa na problemat rozwijającego się Chrześcijaństwa, jak praca rzymskiego filozofa Celsusa skierowana przeciw chrześcijanom, napisana właśnie w czasie rządów M. A. Nie znamy pracy tej w oryginale, treść jej jednak i liczne z niej ustępy cytowane *in extenso* podaje nam Origenes w polemicznem swem piśmie *contra Celsum*, poświęconem odparciu ataków autora na chrześcian.

Celsus, który obok gruntownego wykształcenia filozoficznego zna też źródła religii żydowskiej i chrześcijańskiej a więc tak księgi Starego jak i Nowego Testamentu, jest przeciwnikiem wymownym, ziejącym złośliwością i jadem. Przyznając łagodność obyczajów chrześcijan uważa ich mimo tego za element najniebezpieczniejszy w państwie. Wielkość i potęga Rzymu była zawsze związana z dawną tradycyjną religią. Utrzymanie kultu jako instytucyi państwowej i narodowej jest ze względu na szerokie warstwy ludu dla porządku i spokoju państwa niezbędnem. Tymczasem te właśnie podwaliny chcą chrześcijanie obalić. Starając się pozyskać podstępnie dla swej wiary i praktyki najniższe warstwy społeczne, młodzież niedoświadczoną i kobiety dążą w ten sposób do podminowania państwa. Nauki chrześcijan są negacyą narodowego poczucia Rzymian.

Ci ostatni powinni zawsze szanować dawną swą religię, bo przyczyniła się ona potężnie do ich wielkości i sławy. Nie wymaga się od chrześcijan żadnej podłości zmuszając ich do zewnętrznego ugięcia się przed religią państwową. To nie pociąga za sobą wyparcia się wewnętrznego ich odmiennej wiary. Jest to więc niczem innem jak fanatycznym i dezorganizacyjnym uporem zasługującym na surowe kary, jeżeli chrześcijanie nie chcą się nałamać nawet do zewnętrznego uszanowania państwowego kultu.

Oto w streszczeniu rezonowanie Celsusa a z nim przeważnej

większości ówczesnych konserwatywnych i względnie wykształconych sfer pogańskiego Rzymu.

M. A. nie miał wprawdzie ani w części tak silnej nienawiści do chrześcijan, jak Celsus, niezawodnie jednak zapatrywania jego były zbliżone do tego, co zawierają przytoczone powyżej zarzuty. On sam w jednym tylko ustępie swych »Rozmyślań« wspomina o nowej wierze. Krótki ten ustęp jest wskutek tego niezmiernie ważnym i interesującym dokumentem historycznym. Wzmianka choć tylko uboczna tchnie widoczną do chrześcijan niechęcią. Oto ten sławny fragment w dosłownem brzmieniu:

XI. 3: »Jakaż to dusza, która w każdej chwili przygotowaną jest rozstać się z ciałem, by bądź to zgasnąć lub rozprószyć się, bądź też istnieć nadal! Lecz gotowość ta powinna być wynikiem własnego sądu, a nie samego tylko uporu, jak to jest u chrześcijan; powinna być złączona z rozwagą i godnością, która zdoła przekonać innych, bez dawania z siebie widowiska tragicznego« [1].

Wypowiada tu M. A. podziw dla duszy gotowej w każdej chwili pójść na śmierć bez względu na to, jakie mogą być w przyszłości jej losy, nicość, czy też jakaś nowa egzystencya i spełniającej ten krok z przekonania, ze spokojem i godnością. Wypowiada przy tem jednak ciężki zarzut skierowany przeciw chrześcijanom, iż oni idą na śmierć z *samego uporu*, *bez godności i rozwagi* robiąc z siebie *widowisko tragiczne* i że ten sposób postępowania *nie może przekonać innych*.

Ten jeden krótki ustęp otwiera nam horyzonty historyczne, ilustruje żywo rozłam dwóch światów, wykazuje przepaść między sposobem myślenia stoickiego filozofa a uczuciami męczenników chrześcijańskich.

Wielki myśliciel świata pogańskiego, jakim był M. A., okazuje nam się w tych słowach nietylko pozbawionym współczucia dla bohaterstwa męczenników chrześcijan, ale zarazem ciasnym i nieprzewidującym w swych sądach. Nietylko nie rozumie on poświęcenia w idei chrześcijaństwa, ale nie ocenia też jej siły. Przykłady mę-

---

[1] M. A. używa tu z niezrównaną zwięzłością, właściwą greckiej mowie *jednego* tylko wyrazu: ἀτραγῴδως. Wyraz ten, jak sądzę, wymaga dokładniejszego opisu, takiego mniej więcej, jak tu podałem: »Bez tragiki« nie byłoby może dość jasnem. Niechęć M. A. do wszelkiej »tragicznej pozy« objawia się także w innych ustępach np. III. 7, IX. 29.

czeństwa chrześcijan dały dowód, że »przekonują innych« nieskończenie silniej, aniżeli rezonowania najgłębszych filozofów. Wspaniały świat myśli, który nam reprezentuje filozofia starożytna, zgasł i rozpadł się wobec płomiennego entuzyazmu młodej wiary.

VIII. Nauka Marka Aurelego a doba dzisiejsza.

Księga Rozmyślań M. A. należy do najgłębszych i najsympatyczniejszych tworów ducha ludzkiego. Będąc ogólnie ludzką pozostanie ona aktualną po wieczne czasy. Warto jednak postawić sobie pytanie, czy nauka, w niej zawarta, mogłaby tworzyć dla szerszych warstw ludności podstawę do oparcia na niej praktycznych reguł życia i zasad moralnych? Mojem zdaniem odpowiedź na to musi być przecząca. Nauka to zbyt czysta i subtelna przystępna tylko dla natur i tak nie skłonnych do lubowania się w użyciach zmysłowych, natur szlachetnych, którym samo uczucie dyktuje potrzebę wspomagania innych, kojenia bolu, szerzenia duchownej kultury bez względu na nagrodę, jaka ich za to czeka.

Przy całym swym uroku i wzniosłości nie mogła nauka M. A. nigdy zjednać sobie wielu zwolenników. Nie wytrzymuje ona współzawodnictwa ani z materyalizmem i obojętnością na głos etyki z jednej strony, ani też z drugiej strony z wyznaniami opartemi na objawieniu, które przyjmują życie zagrobowe jako pewnik i zapewniają po śmierci nagrodę niezawodną cnocie a karę winie.

I nic w tem dziwnego. Zastanówmy się bowiem nad sposobem rozumowania, nie mówię już ludzi o wręcz nizkim sposobie myślenia, ale człowieka zwykłego, »przeciętnego«, jeżeli się godzi użyć tego wyrazu.

Otóż jeżeli od niego domagamy się w życiu bezinteresowności, wyrzeczenia się uciech fizycznych, poświęcania się dla bliźnich, to niezawodnie spotkamy się z jego strony z zapytaniem, jaka go za to czeka n a g r o d a a względnie, jakiej może za nieposłuszeństwo obawiać się k a r y? Nauką religijną zapewniającą mu wieczne szczęście w życiu zagrobowem możemy go zjednać dla abnegacyi, zagrożeniem zaś pośmiertnej kary odstraszyć od występku. Nie przekona go natomiast sceptycyzm M. A., gdzie mglisty obraz możliwej nagrody jest zaledwo słabą hipotezą, a o karze nawet wzmianki niema.

Prawda, mówi nadto M. A. jeszcze o szczęściu wewnętrznem, które daje już za życia świadomość cnoty i spełnionego obowiązku. Ale czyż olbrzymia większość ludzi nie znajdzie że »zadowolenie moralne« uzyskane kosztem abnegacyi i poświęcenia jest znacznie mniej warte, niż zadowolenie niemoralne, które daje wesołe życie wśród zmysłowych rozkoszy?

Dodajmy do tego i to, że sposób myślenia M. A. w swych przypuszczeniach co do egzystencyi zagrobowej jest zbyt nieokreślony, ażeby mógł być popularny. Niezawodnie, metafizyczne opinie wielu systematów filozoficznych, są często jeszcze bardziej mgliste a nawet wręcz niezrozumiałe. Ale metafizyka rozmaitych systematów filozoficznych nie waży też wiele na szali praktycznej etyki. Każdy filozoficzny system etyki wymaga zresztą taksamo »wiary«, jak religijny; wierzy weń zaś zwykle jedynie sam autor, który go stworzył, a i on zwykle tylko »teoretycznie«.

Umysł praktycznego i czynnego ale zarazem wobec zagadnień transcendentalnych płytkiego i trywialnego »przeciętnego« Europejczyka i wogóle człowieka Zachodu jest mało skłonny do wyobrażania sobie rzeczy innych, jak te, które widzi i wśród których się obraca. Hipotezy jego transcendentalne a ewentualnie i obrazy, które mu wiara jego podaje, są wskutek tego zaczerpnięte z wrażeń ziemskich.

Weszła tu jeszcze jako silny moment w grę barwna i pełna zmysłowych obrazów wyobraźnia ludu włoskiego, którego sposób widzenia rzeczy oddziałał stanowczo na zapatrywania innych narodów. W włoskiej fantazyi życie zagrobowe musiało przybrać żywe konkretne formy. Idea kary obwlekła się w obrazy najstraszniejszych zmysłowych katuszy, idea nagrody przybrała postać powiewną i świetlaną. Tu i tam żywe obrazy czysto zmysłowe: tu w głębi ziemi ciemności, jęk, płacz, ogień i tortury; tam w przestworzach jasne szaty, promienie światła i zachwycające śpiewy. Dante nie stworzył, tylko najświetniej poetycznie sformułował i odtworzył wiarę ludową włoską a wskutek tego jego Boska Komedya stała się jak gdyby *standard-book* dla obrazów zagrobowego świata.

Ten sposób myślenia z czasem zmodyfikował się zapewne nieco, lecz zasadniczo się nie zmienił, tak, że i dziś kontynuacya życia poza grobem przybiera w wyobrażeniu wierzących konkretne formy zaczerpnięte z ziemskiego życia zmysłowego.

Pominąwszy nieliczne jednostki opierające swą metafizykę na

jakimś abstrakcyjnym systemie filozoficznym, można pospolite pojęcia ludzi Zachodu co do kwestyi problematu zagrobowego podzielić na następujące trzy kategorye:

a) wiara w kary i nagrody podobne do ziemskich, kontynuacya niejako naszej ziemskiej egzystencyi przy spotęgowaniu wrażeń;

b) materyalizm, a więc negacya życia zagrobowego i przyjęcie zgaśnięcia bezpowrotnego indywidualnej egzystencyi;

c) indyferentyzm, zamknięcie sobie mózgu na całą kwestyę metafizyki zagrobowej.

Wobec tych wszystkich trzech kierunków myśli dla nauk w rodzaju M. A. istotnie niema miejsca.

Lecz sądziłby może można, że teorye opierające etykę na współczuciu wobec bliźnich i ludzkości bez oglądania się na indywidualną nagrodę, jak to np. w części pod wpływem zapatrywań Buddystów a w części za przykładem Rosseau'a czyni Schopenhauer, dałyby podstawę do podobnych reguł życia, jak je nam podaje M. A. Co do mnie wszakże nie mogę uwierzyć w podobne ufundowanie praktycznej etyki. Wymagać od pospolitych, normalnie czujących i myślących ludzi, by pod wpływem miłości bliźniego i ludzkości uważali swój własny interes za identyczny z interesem ogółu i rozpływający się niejako w tamtym, jest to wymagać czegoś wręcz niemożliwego.

Nie jest też to prawdą, że ten sposób myślenia spotyka się u wyznawców Buddyzmu. Nie przeczę, że poczucie indywidualizmu i indywidualnego interesu jest w ich metafizyce słabsze aniżeli u narodów europejskich, ale przecież nie znika zupełnie. Wyobrażenia o metempsychozie, tkwiące w umysłach ludu, łączą się przecież z ideą indywidualnego polepszania się lub pogorszania naszego bytu poza grobem. Nadto zaś ich »Nirvana«, przynajmniej w pojęciu wyobraźni ludowej, która silniejszą jest nad dogmat, nie jest martwą nicością, lecz raczej błogim zupełnym spokojem a więc przecież pewnym rodzajem »nieba«.

Daleki jestem od tego, by przeczyć, ze altruizm potężny, doprowadzający nawet do najwyższych poświęceń może istnieć w świecie jako uczucie najzupełniej bezinteresowne, bez wszelkiej pretensyi do jakiejkolwiek indywidualnej nagrody.

Matka kochająca, która z największem poświęceniem pielęgnuje swe chore dziecię z pewnością nie czyni tego w zamiarze uzyskania za to nagrody tu lub po śmierci. Dla niej życie dziecka więcej warte,

niż jej własne; ból dziecka siłą współczucia boli ją więcej, niż ból osobisty. Tego właśnie »bliźniego« kocha ona nietylko tak jak siebie samą, lecz znacznie więcej, nie myśląc wcale o wynagrodzeniu za to uczucie.

Rozegzaltowany patryota ginąc śmiercią bohaterską w walce stoczonej w obronie ojczyzny, także może zupełnie nie myśleć o nagrodzie, która go czeka. Japończycy przy oblężeniu portu Artura nie byli mniej bohaterscy i zdeterminowani na śmierć, niż muzułmanie w czasie najfanatyczniejszych »świętych wojen«, mimo że ci ostatni wierzyli najsilniej w natychmiastowe uzyskanie »raju« po śmierci, podczas gdy Japończycy przeważnie w życie zagrobowe nie wierzą.

Tego rodzaju przykłady zupełnie bezinteresownego altruizmu i poświęcenia są atoli właśnie czemś wyjątkowem, wynikiem egzaltacyi spowodowanej instynktownem, potężnem przywiązaniem do pewnej jednej tylko osoby, lub entuzyazmem spowodowanym wyjątkowemi okolicznościami. Miłość »bliźniego« wogóle a więc każdego, z którym się stykamy, miłość »ludzkości« a więc wszystkich ludzi, u zwykłych natur charakteru podobnego absolutnie nie może przyjąć. Tam same »uczucie« czy też »współczucie« wrodzonego egoizmu nie usunie nigdy i nie przełamie.

Zresztą owe wyjątkowe uczucia, namiętne, nierozumowane i bezinteresowne często nietylko nie są ogólną »miłością bliźniego«, ale zostają z nią w sprzeczności. Matka kochająca namiętnie swe dziecko bywa wskutek tego właśnie niesprawiedliwą wobec innych, często nawet krzywdzącą. Ile zaś zbrodni przeciw uczuciu »ludzkości« i »miłosierdzia« popełnia się wskutek przesadnego patryotyzmu narodowego, o tem świadczy niemal każda karta dziejów świata.

Nie wierzę tedy w jako tako skuteczną etykę dla szerokich warstw ludności opartą na innych podstawach, jak tylko na idei pośmiertnej nagrody i kary. Ażeby zaś ta idea była dość silnie zakorzenioną, musi ona być wynikiem przekonania, »wiary«. Przypuszczenie »możliwości« tylko, jak to ma miejsce w sceptycyzmie M. A., nie wystarcza.

Obok owych, wyżej wspomnianych trzech kategoryi ludzi t. j. naiwnie wierzących, materyalistów i indyferentnych, jest jednak przecież jeszcze garstka takich, co gardząc materyalizmem a nie mogąc się w swych metafizycznych zapatrywaniach wzbić ponad sceptycyzm szukają przecież silniejszej podstawy dla do-

bra i etyki, które jako potrzebę serca wskazuje im ich szlachetniejsza natura. Czy dla tej garstki »Rozmyślania« M. A. nie mogą się stać zachętą na drodze bezinteresownej pracy, ukojeniem w smutku i zwątpieniu a tem samem być im, »nieumiejącym wierzyć«, jak gdyby słabym błędnym ognikiem religii?

Na to pytanie nie śmiem odpowiedzieć. W każdym jednak razie widzę w księdze Rozmyślań M. A. jeden z najbardziej wielkodusznych objawów, na jaki zdołała się zdobyć myśl ludzka. Zapewne, nie jest to objaw myśli narodu, lecz wybranej jednostki. Patrząc jednak na ten przykład powinno nas ogarnąć uczucie wstydu. Szczyci się ludzkość cywilizacyą, postępem, zadziwiającymi wynalazkami. Lecz czy postąpiła istotnie w tych 18 wiekach, które nas dzielą od M. A. na polu kultury ducha i serca? Obawiam się, że nie.

Treść.

O ROZPOWSZECHNIENIU WAZODILATYNY W SWIECIE ZWIERZECYM

podał

LEON POPIELSKI.

Ja i moi współpracownicy wykazaliśmy, że wazodilatyna znajduje się we wszystkich narządach, że jest normalną składową częścią każdej komórki w ustroju. Dla otrzymania wazodilatyny należy świeży narząd dokładnie rozetrzeć i albo zagotować albo zalać: 1) kwasem jakimkolwiek, 2) alkoholem. W ten sposób postępować należy dlatego, że wazodilatyna w świeżym narządzie przy temperaturze zwłaszcza 40°—60° C łatwo się rozpada. W ostatnich czasach wykazałem, że objawy identyczne z objawami działania wazodilatyny otrzymuje się od najrozmaitszych ciał. Dosyć jest wprowadzić do krwi atropinę, morfinę, urohemolizynę, aby otrzymać objawy do najmniejszych szczegółów takie same, jakie otrzymujemy przy bezpośredniem wprowadzaniu do krwi wazodilatyny. Wreszcie Biedl i Kraus wykazali, że przy wprowadzaniu do krwi ciał białkowych, surowicy, zwierzętom w stanie anafilaksyi, występują objawy identyczne z działaniem wazodilatyny. Niedawno Dale i Laidlaw znaleźli ciało β-imidazolylethylaminę ($=\beta I$), która wywołuje objawy (oprócz niekrzepliwości krwi) takie same, jak wazodilatyna. Dale i Laidlaw sądzą nawet, że βI jest częścią składową wazodilatyny. Wykazałem jednak (Erscheinungen bei direkter Einführung von chemischen Körpern in die Blutbahn, Centralblatt für Physiologie, Bd. XXIV, Nr. 24), że βI w skład wazodilatyny nie wchodzi, i że wazodilatyna jest ciałem chemicznie jednolitem. Wobec powyższych faktów należało w każdym poszczególnym wypadku przeprowadzić dokładną chemiczną analizę na zawartość wazodilatyny, gdyż same objawy przemawiać za obecnością wazodilatyny nie mogą. Wazodilatyna, jak to niejednokrotnie podnosiłem, wywołuje cały szereg zjawisk, które jednak sprowadzają się do dwóch elementarnych: niekrzepliwości i obniżenia ciśnienia krwi.

Wyrazem dwóch tych zjawisk zasadniczych jest pomiędzy innemi także wydzielanie soku trzustkowego. Niektórzy z autorów, w myśl poglądów Balylissa i Starlinga uporczywie utrzymują (jak

n. p. E. Zuntz), że wydzielanie soku trzustkowego 1) występuje tylko w wyciągu z błony śluzowej dwunastnicy i że 2) wydzielanie to można otrzymać oddzielnie od obniżenia ciśnienia krwi. Pogląd ten jednak jest zupełnie niesłuszny i całkowicie sprzeczny z faktami. Prawdopodobną przyczyną tego poglądu jest fakt ustalony przezemnie, że wyciągi z narządów immunizują zwierzę względem następnych wstrzykiwań tychże albo innych wyciągów.

Oczywiście, że autorzy, wprowadzając najpierw wyciąg z błony śluzowej dwunastnicy, nie otrzymywali wydzieliny od wyciągu z błony śluzowej odbytnicy. W tym ostatnim wypadku zachodzi jednak pewna okoliczność, a mianowicie, że wazodilatyna rozpada się pod wpływem treści odbytnicy.

Mając powyższe fakty na względzie, wykonałem badanie nad zawartością wazodilatyny z pijawek, dżdżownic i ślimaków.

Wyciągi kwaśne, przygotowane z pijawek, dżdżownic i ślimaków, przy wprowadzeniu do krwi wywołują obniżenie ciśnienia krwi, wydzielanie soku trzustkowego, objawy podniecenia, a następnie depresyi w sposób zupełnie taki sam, w jaki te zjawiska występują od wazodilatyny. Należało jednak wykazać, czy ze wspomnianych wyciągów da się wyodrębnić wazodilatynę o znanych chemicznych własnościach. Okazało się, że wazodilatyna otrzymuje się w strącie fosporowolframowym, przechodzi do absolutnego alkoholu, nie strąca się chlorkiem platyny i chlorkiem kadmowym. Wobec tego należało wywnioskować, że w pijawkach, dżdżownicach i ślimakach znajduje się wazodilatyna z takiemi samemi fizyologicznemi i chemicznemi własnościami, jak i we wszystkich narządach ustroju ciepłokrwistych. Jednocześnie stwierdziłem, że wazodilatyna znajduje się, jak w przednich tak i w tylnych częściach ciała pijawek, co było ważnem ze względu na znaną własność pijawek utrzymywania krwi w stanie niekrzepliwem. Okazało się dalej, zgodnie ze znanemi własnościami wazodilatyny, że wyciągi z pijawek wywołują niekrzepliwość krwi jednocześnie z obniżeniem ciśnienia krwi. Fakt ten ma ogromne znaczenie wobec twierdzenia niektórych autorów, że wyciągi z pijawek wywołują niekrzepliwość krwi, nie wywołując wcale zmian w ciśnieniu krwi. Co się tyczy niekrzepliwości krwi in vitro (w probówce), to takowa występuje, jak od wyciągów z przedniej, tak i z tylnej części pijawek. Wobec takiego zachowania się wyciągu z pijawek, ważną było rzeczą stwierdzić, jaki wpływ wywiera wazodilatyna na krzepliwość krwi in vitro (w probówce)?

Okazało się, że wazodilatyna in vitro nie znosi krzepliwości krwi, która krzepnie w takim samym czasie, jak i bez wazodilatyny. Dla doświadczeń tych był użyty rozczyn wazodilatyny bardzo znaczny i w ilości takiej, że wprowadzony do krwi psa wywoływał obniżenie krwi prawie do zera i niekrzepliwość krwi zupełną. Stąd należy wnosić, że wazodilatyna w ustroju wywołuje niekrzepliwość krwi przez to, że wytwarza się pod jej wpływem specyalne ciało, znoszące niekrzepliwość krwi. Co się tyczy hirudiny, ciała otrzymanego z przedniej części pijawek, i wywołującego niekrzepliwość krwi in vitro, to pod względem chemicznym jest ona bardzo zbliżona do wazodilatyny, jednak nie jest z nią identyczna.

Piśmiennictwo.

1. Popielski: Ueber die physiologische Wirkung von Extrakten aus sämtlichen Teilen des Verdauungskanals (Magen, Dick- und Dünndarm) sowie des Gehirns, Pankreas und Blutes und über die chemischen Eigenschaften der darin wirkenden Körper. Pflüger's Archiv, 1909, t. 128, str. 191—221.

2. Popielski: O własności moczu obniżania ciśnienia krwi. Gazeta lekarska, 1910.

3. Dale and Laidlaw: The physiological action of β-imidazolyethylamin. Journal of physiology, XLI, 5 p. 318 (1910).

4. Popielski i Panek: Chemische Untersuchung über das Vasodilatin. Pflüger's Archiv (1909), T. 128, str. 222—225.

5. F. Czubalski: Ueber d. Einfluss des Darmextraktes auf die Blutgerinnbarkeit. Tamże (1908), T. 121, str. 395—404.

6. J. Studziński: W sprawie fizyologicznego działania wyciągów z nadnerczy. Lwowski Tyg. lekarski, 1910, Nr. 19—21.

7. J. Studziński: W sprawie fizyologicznego działania wyciągu z przysadki mózgowej (*hypophysis cerebri*). Przegląd lekarski, 1911, Nr. 29—36.

8. J. Studziński: Ueber die giftigen Eigenschaften des Blutes. Centralblatt für Physiologie, 1909; Gazeta lekarska, 1909; Russkij Wracz, 1909.

9. J. Modrakowski: O fizyologicznych własnościach choliny. Przegląd lekarski, 1908.

10. J. Modrakowski: Ueber die Identität des blutdrucksenkenden Körpers in d. glanula thyreoidea mit dem Vasodilatin. Pflüger's Archiv 1910, T. 133, str. 291—304.

NOUVELLE INTERPRÉTATION DU VERS DE LA DIVINE COMÉDIE: »QUEI DUE CHE SEGGON LASSÙ PIÙ FELICI«

Par. XXXII, 118.

par

ÉDOUARD PORĘBOWICZ

I

La lutte pour la primauté entre le pouvoir du pape et celui de l'empereur[1], de même que l'attitude de Dante entre les partis sont également bien connues aujourd'hui[2]. D'un côté l'école guelfe: Saint Thomas d'Aquin et son plus célèbre disciple Colonna; de l'autre l'école gibeline faisant remonter son origine dans cette lutte jusqu'à Pierre Damiani (XI^{e}s.); ses représentants sont Dante et Marsile de Padoue. Voici les thèses et arguments principaux des deux partis:

La théorie thomiste du pouvoir se trouve dans le passage classique de l'ouvrage De rege et regno (lib. I. cap. 1—2); elle y est basée sur des arguments théologiques, juridiques et historiques: Dans l'ordre de la nature il existe un pouvoir universel: Dieu et un pouvoir particulier, semblable au premier, mais en réduction: l'homme. Le principe du gouvernement terrestre doit prendre sa source dans les principes du gouvernement divin; le but du pouvoir terrestre est donc de conduire l'humanité vers une vie vertueuse et, par cette vie vertueuse, vers la jouissance de Dieu. Mais puisque l'homme ne peut atteindre ce but que par la force divine, il s'ensuit que le commandement même est le devoir non du gouvernement humain mais divin, non des rois de cette terre, mais des prêtres et avant tout, du plus grand des prêtres, du successeur du Christ, du pape romain, auquel tous les rois chrétiens doivent être

[1] Récemment: Rich. Scholz, Die Publizistik zur Zeit Philipps des Schönen und Bonifaz VIII. Stuttgart 1903.

[2] Ugo Chiurlo, Le idee politiche di Dante Alighieri e di Fr. Petrarca. (Giorn. Dant. vol. XVI, 1908); — K. Vossler, Die göttliche Komödie, I Bd. 2 T. Etisch-Politische Entwicklungsgeschichte, Heidelberg 1907. — Boffito, Dante, Sant'Agostino ed Egidio Colonna (Romano), Firenze 1911.

[3] Th. Aquinatis Opera omnia. Parisiis 1889, vol. 27. opusc. XVI.

soumis comme à N.-S. Jésus-Christ lui-même. Suivent des preuves d'une pareille soumission prises dans l'Ancien Testament et dans l'histoire moderne.

Gilles Colonna expose sa doctrine dans le traité polémique De potestate ecclesiastica, si approchant du texte de la bulle de Boniface VIII: Unam sanctam[1] (1302) que Kraus suppose Égide être l'auteur de cette bulle; quant à Scholz, il pense que le pape s'est servi de l'oeuvre d'Égide pour la rédaction de la bulle[2]. Sa thèse, c'est la suprématie absolue et même le dominium universale du pape en tant que chef de la chrétienté; les arguments sont puisés dans l'Écriture Sainte, dans la physique, dans la théologie. (Par exemple dans la lettre de St. Paul, Cor. II, 15: »Mais l'homme spirituel juge de toutes choses, et personne ne peut juger de lui«, ou bien dans l'évangile de saint Luc, XXII, 29: »C'est pourquoi je dispose du royaume en votre faveur« et 38: »Et ils dirent: Seigneur! voici deux épées. Et il leur dit: Celà suffit«. Autre preuve: le corps et l'âme c'est d'un côté materia et potentia et de l'autre forma et actus: les premiers sont gouvernés par les derniers.

En face de cette théorie s'élevait le vieil enseignement de Pierre Damiani exposé dans Disceptatio synodalis[3], sur la nécessité de la pauvreté du clergé (Égide la combattait de toutes ses forces) — et sur le droit du pouvoir temporel non seulement de nommer les évêques, mais aussi d'employer les moyens nécessaires pour la réforme des moeurs ecclésiastiques.

Dante partait, comme Saint Thomas d'Aquin, du principe que l'état terrestre était l'oeuvre de Dieu (contrairement à Saint-Augustin qui le considérait comme l'oeuvre de Satan), mais se séparait irrémédiablement de son maître dans la question de la primauté; voilà sa tragédie et la sources des luttes intérieures et des souffrances morales qui sont devenues le ferment du poème divin. Quoique la Monarchie semble être une utopie circulant in abstractis, elle est visiblement dirigée contre les écrits polémiques du jour et elle est elle-même polémique.

---

[1] Edit. G. U. Oxilia e G. Boffito. Firenze 1908.

[2] Ce qui est frappant c'est l'identité du fameux passage: oportet autem gladium esse sub gladio et temporalem auctoritatem spirituali subiici potestati. Cf. Boffito, Dante etc. p. 23—26.

[3] Mon. Germ. hist., Libelli de lite, vol. 1 p. 76.

Les idées de Dante sur les rapports entre la papauté et l'empire s'élucident dans ses oeuvres; ces idées s'écartent progressivement des théories thomistes. Dans l'Enfer (II, 20—25) Rome et imperium... fûr stabiliti per lo loco santo

U'siede il successor del maggior Piero.

Dans le livre II de la Monarchie se trouve développée et étayée logiquement l'idée de l'égalité absolue des deux pouvoirs. De même dans la Lettre aux princes d'Italie (§ 5): »a quo (Deo) velut a puncto bifurcatur Petri Caesarisque potestas«. Le livre III (§ 3) est dirigé contre les décrétalistes qui proclamaient la suprématie de la papauté sur l'empire. Pour les rapports entre ces deux pouvoirs on a trouvé une analogie dans le Soleil et la Lune; cette analogie, dans le Purgatoire (XVI, 107) se transforme en analogie de deux soleils égaux et au lieu de »deux épées« il y a »une épée et une crosse« (loc. cit. 109). Dans le § 4 le poète combat la théorie d'après laquelle la monarchie dépenderait de l'Église; plus loin il réfute les différents arguments, entre autres ceux d'Egide. Savoir: la preuve par analogie des fils de Jacob: Lévi et Juda (§ 5); — la preuve tirée du pouvoir de Samuel qui ôta à Saül le gouvernement royal (§ 6); — la preuve tirée des mages qui rendirent hommage à Jésus (§ 7); — la preuve tirée des paroles de l'Évangile: »ce que vous liérez sur la terre« (§ 8); — ou bien des mots »voici deux épées« (§ 9); — la preuve tirée de l'histoire de Constantin et de sa donation. — Les deux pouvoirs, dans la suite de l'argumentation sont réduits à l'unité qui est Dieu (§ 11); ensuite viennent les conclusions, résultat de la critique précédente: »praefatam auctoritatem (imperatoris) immediate dependere a culmine totius entis, qui Deus est«; l'empire n'a pas obtenu son pouvoir de l'Église, puisqu' il existait avant la fondation de l'Église (§ 12). Il n'y a pas également de raison de penser que l'Église possède le droit de transmettre le pouvoir temporel à l'empereur (§ 13); enfin le pouvoir temporel de l'Eglise serait en désaccord avec son devoir moral (§ 14). Puis vient (§ 15) la conclusion connue qui s'harmonise — disons-le — avec le point de depart de Saint Thomas d'Aquin, mais qui diffère totalement de sa conclusion: »Opus fuit homini duplici directivo, secundum duplicem finem; scilicet summo pontifice, qui secundum revelata humanum genus perduceret ad vitam aeter-

nam et imperatore, qui secundum philosophica documenta genus humanum ad temporalem felicitatem dirigeret«.

On ne peut opposer à cette doctrine si explicite les passages des oeuvres de Dante où le poète marque une certaine déférence, une soumission filiale de l'empereur à l'égard du chef le l'Église. La fin de la Monarchie surtout est caractéristique: »Que quidem veritas ultime questionis (c'est à dire le pouvoir impérial venant de Dieu) non sic stricte recipienda est, ut romanus princeps in aliquo romano pontifici non subiaceat: cum mortalis ista felicitas quodam modo ad immortalem felicitatem ordinatur. Illa igitur reverentia Caesar utatur ad Petrum, qua primogenitus filius debet uti ad patrem«... Il va sans dire que Dante, dans le passage ci-dessus, n'entend point anéantir sa thèse de »l'égalité des deux pouvoirs«; autrement la Monarchie n'aurait pas de raison d'être.

Mais cette égalité même ne semble pas aux jeunes dantologues le dernier degré de la pensée politico-morale de Dante. Et tandis que K. Vossler, dans son dernier livre, constatant chez Dante la conception de l'empire comme institution indépendante et de Dieu comme ultime »remedium contra infirmitatem peccati« hésite à admettre la conséquence de Dante-polémiste et pense que le poète a fixé sa théorie par une contemplation mystique de la puissance supérieure du pape[1], du côté italien au contraire, commence à germer l'idée que la suprématie du principe monarchique est la dernière expression de la foi de Dante. M. Solmi, dans sa critique du livre de Vossler[2], dit que l'idéal politique de la monarchie universelle est né, non seulement de la tradition, mais aussi de la nécessité de créer un pouvoir directeur supérieur parmi les organisations des groupes sociaux et autonomiques: communes, républiques, principautés, royaumes en lesquels se divise l'inquiète société du Moyen Age. De même le professeur Parodi, un des commentateurs contemporains les plus sagaces, dit en essayant une nouvelle explication de l'allégorie du Chant XXXII du Purgatoire (Le Char de l'Église et l'Arbre de l'Empire):[1] »L'allégorie ne peut être appliquée

[1] K. Vossler, l. cit. p. 430. M. Chiurlo remarque avec raison que M. Vossler affaiblit, sans fournir de preuves suffisantes, la fermeté de la théorie dantesque (l. cit. p. 93).

[2] Bull. Soc. Dant., XV, 248.

[3] Bull. Soc. Dant., XVI, 260—85, p. 270.

dans cette forme raide. On ne peut non plus concevoir »l'arbre« comme symbole des conceptions: libre arbitre, obéissance, droit divin ou droit éternel, royaume divin, justice, droit« [1]. M. Parodi [2] renvoie plutôt à l'ancienne interprétation de Döllinger: »La défense de toucher à l'arbre de la science a été le commencement du droit, du gouvernement, du devoir d'obéissance. Le sens de cette idée c'était la fondation du plus haut pouvoir temporel, c'est à dire, de l'Empire qui est l'origine de la législation et le défenseur du droit. L'arbre devient alors le symbole du pouvoir impérial, de la monarchie romaine«. Il nie pourtant que la signification de l'allégorie soit exclusivement morale; au contraire, elle est strictement politique: »L'arbre, en tant que ius naturale (c'est-à-dire humanum), naturalis iustitia est identique à l'empire, parce que la justice naturelle, réflétée dans la conscience de chaque individu, manifeste l'unité idéale de l'empire un et unique. L'arbre du Paradis terrestre expliqué par Dante comme étant le ius humanum est, par suite, la plus haute et la plus forte expression de son système politico-moral. En dépit des théories des théologiens qui bouleversent presque le droit naturel fondé d'après eux sur le droit divin, Dante place justement ce droit naturel à la tête de l'ordre de l'univers et il montre que le premier droit divin impose le devoir d'obéissance envers le droit humain... Il y a là un ennoblissement de la nature humaine; elle est délivrée de la malédiction des théologiens; [3] on y voit aussi une nouvelle forme de l'humanisme de Dante, une nouvelle historiosophie, la proclamation de la suprématie du peuple romain, représentant de la monarchie, d'après le droit naturel donné dans le Paradis«. Le prof. Parodi, contrairement aux opinions établies, pense que l'idée monarchique de Dante s'est développée à mesure qu'avançait la Divine Comédie. Aux environs de l'an 1300, Dante, guelfe, acceptait la doctrine thomiste de la suprématie du pape; ensuite il s'unit aux gibelins; mais mécontent de leurs théories sur la suprématie de l'empire il fit »parte da se,« créa son propre parti et sa propre

---

[1] Ajoutons encore les autres explications: croix, Rome, morale, Église etc.

[2] L. cit. p. 271, note.

[3] De Gilles Colonna, par exemple, pour qui le droit naturel est de si peu de poids que d'après lui: »quilibet nascitur natura filius irae;... nullus princeps erit dignus et verus princeps nisi sit per Ecclesiam regeneratus spiritualiter«.

théorie de l'indépendance des deux chefs de l'humanité. Le péché pour lequel Dante-philosophe est repris par Béatrice dans le Purgatoire, c'est »d'avoir méconnu cette vérité que l'empire n'a pas été créé pour l'Église (comme il le disait dans la Comédie, Inf. II, 22), mais qu'il a comme elle une source divine. De plus Dieu a fondé l'empire dans le Paradis terrestre avant la fondation de l'Eglise, en créant le premier homme; par la première de ses lois saintes et irrevocables il a fait de cet empire le but du respect et de l'obéissance de tous les hommes«. Cette idée de l'éminent dantologue semble trouver son appui dans un fait insuffisamment apprécié jusqu'à présent, à savoir: la détermination exacte de la place d'Adam qui siège au premier rang dans la Rose mystique. Voilà comment se présente ce curieux et important problème.

II.

Dans l'Empirée, la plus haute sphère du Ciel, Dante est admis à contempler la Rose mystique; Saint Bernard lui montre les âmes bienheureuses assises dans la gloire céleste et placées à des degrés plus ou moins élevés comme les pétales d'une fleur. D'un côté, à la place la plus haute siège la Sainte-Vierge; en face d'elle, Saint-Jean Baptiste; sur les étages inférieurs: aux pieds de la Sainte-Vierge se trouvent Saint François, Saint Benoît, Saint Augustin, etc. Par ce demi-cercle toute la Rose se divise en deux moitiés: l'une est destinée à l'Ancien Testament, l'autre au Nouveau Testament. Ainsi Béatrice est assise du côté chrétien, au troisième rang; aux côtés de la Sainte-Vierge sont placés Adam et Pierre, aux côtés de Saint Jean Baptiste se trouvent Sainte Lucie et Sainte Anne. Le texte de la Divine Comédie semble expressément indiquer leur places:

Quei due che seggon lassù più felici,
Per esser propinquissimi ad Augusta.
Son d'esta rosa quasi due radici.
Colui che da sinistra le s'aggiusta,
E il padre, per lo cui ardito gusto
L'umana specie tanto amaro gusta.
Dal destro vedi quel padre vetusto
Di santa Chiesa, cui Cristo le chiavi
Raccomandò di questo fior venusto.
E quei che vide tutt' i tempi gravi,

Pria che morisse, della bella sposa
Che s'acquistò con la lancia e coi chiavi,
Siede lungh'esso, e lungo l'altro posa
Quel duca, sotto cui visse di manna
La gente ingrata, mobile e ritrosa.
Di contro a Pietro vedi seder Anna,
Tanto contenta di mirar sua figlia,
Che non muove occhi per cantare Osanna.
E contro al maggior padre di famiglia
Siede Lucia, che mosse la tua donna
Quando chinavi, a ruinar, le ciglia.

En approfondissant cette description on s'aperçoit que l'image de la Rose n'y apparait pas tout à fait clairement. Au premier abord, en dépit de l'apparente clarté du texte, on ne sait où est le côté droit et le côté gauche. Il va sans dire qu'il importerait grandement de déterminer l'intention du poète; celà indiquerait en effet comment Dante concevait le rôle et la dignité d'Adam par rapport à Pierre et quelle place il leur désignait dans la Gloire. La première place est sans aucun doute à la droite de la Sainte-Vierge. Pour découvrir l'intention cachée du poète »sotto il velame degli versi strani« on peut s'aider: 1° de la lettre du texte; 2° de la glose des commentateurs; 3° de l'iconographie; 4° de l'attitude de Dante à l'égard des figures de la Divine Comédie; 5° de sa manière habituelle de compter le côté droit et le côté gauche.

1° On peut expliquer le texte de deux façons: Colui che da sinistra le s'aggiusta peut également signifier (la syntaxe restant tout aussi correcte dans l'un que dans l'autre cas) ou bien: celui qui du côté gauche la touche, ou bien: celui du côté gauche qui la touche; dans le premier cas le côté gauche se comptera d'après les personnages et Adam sera à gauche, dans le second il se comptera d'après le spectateur et Adam sera à droite de la Sainte-Vierge. A destra ou Dal destro vedi: à la droite ou: à sa droite; dans ce dernier cas Saint Pierre occuperait une place supérieure à celle d'Adam. Une chose est certaine: si Adam est à la gauche de la Sainte Vierge, Sainte Lucie, pour être en face de lui, doit être assise à gauche de Saint-Jean; autrement elle se trouverait dans la partie de l'ancien Testament. Car on a très justement défini la Rose mystique comme étant une sorte de »table

ronde«[1] ou bien une sorte d'amphithéâtre;[2] les convives ont leurs vis-à-vis sur les points opposés du cercle. C'est pourquoi il est impossible d'admettre le commentaire du prof. T. Casini qui, ayant admis que Pierre est à droite et Adam à gauche de la Sainte-Vierge, continue ainsi:[3] »En face de Saint Pierre, à gauche de Saint Jean Baptiste se trouve la mère de la Sainte-Vierge; en face d'Adam, à droite de Jean se trouve Sainte Lucie«.

2⁰. Parmi les plus anciens commentateurs, les uns passent sous silence la question de la suprématie des Saints, les autres ne s'expriment pas clairement, d'autres enfin, reconnaissent la suprématie de Saint Pierre. Le fils du poète, Pietro[4], en ne commentant que les passages essentiels et l'allégorie générale du poème, garde le silence sur ce point; dans les Gloses sur Dante, faussement attribuées à Boccace et publiées d'après deux codes de la bibliothèque Riccardiana[5] il y a une sorte d'opinion émise d'aprés laquelle Saint-Bernard indique que les côtés se comptent d'après le spectateur: »E dicie laltore che comincio prima amostrare alchuno delvechio testamento dallamano sinistra edicie chel primo che gli mostro fu Adamo. E poi dicie che dal diritto lato gli mostro san Piero«. Fr. da Buti[6] dit avec intention d'une façon générale: »da sinistra Adamo, da destra Piero«. Benv. Rambaldi da Imola[7] admet qu'Adam et les Juifs sont assis à gauche de la Sainte Vierge, tandis que Saint Pierre et les Chrétiens sont assis à sa droite: »quegli che da sinistra è vicino à Maria è Adamo, — dal destro lato vicino à Maria è san Piero«. Enfin l'Anonyme florentin[8] comprend aussi expressément: »or guarda dalla sinistra parte di Nostra Donna, che quello che più le s'avvicina, si è Adamo... Dal lato destro di N. D., si è santo Piero«. Les commentateurs modernes ont établi l'opinion d'après laquelle Adam est assis à gauche et Saint-Pierre à droite de la Sainte-

[1] A. Galassini, I cieli danteschi. Firenze 1894, p. 79.

[2] R. Fornaciari, Lectura Dantis. Il Canto XXXII del Paradiso. Firenze 1904, p. 8.

[3] La Divina Commedia, ed. Casini, Comm. ad XXXII, 133—136.

[4] Petri Allegheri Commentarium, ed. Nanucci. Florentiae 1846.

[5] Chiose sopra Dante, ed. Vernan. Firenze 1846, p. 707.

[6] Fr. da Buti, ed. Giannini. Pisa 1862, t. III, p. 846.

[7] B. R. da I., Commento latino sulla D. C., voltato in italiano dal av. G. Tamburini. Imola 1856, vol. III, p. 302.

[8] Anonimo fiorentino, ed. Fanfani. Bologna 1873, t. III, p. 390—1.

Vierge; — je ne connais pas d'opinion contraire[1]. Ils donnent pour raison que le Nouveau Testament est plus respectable que l'Ancien (Fraticelli, Scartazzini). Ils ne prennent pas garde que ce Nouveau Testament, d'après leur propre manière de compter se trouvera à gauche de Saint-Jean et que par conséquent il aura perdu la suprématie de ce côté. Au contraire, par cette ingénieuse idée de la »table ronde« où le »basbout« n'existe pas, Dante aurait voulu adoucir les différences hiérarchiques entre les deux testaments tout en conservant la hiérarchie des personnes. C'est de cette hiérarchie qu'il faut partir — comme nous le verrons, pour déterminer la situation d'Adam et de Pierre.

3°. L'iconographie dantesque n'élucide rien; les miniatures des manuscrits de la Divine Comédie qui représentent la Rose mystique n'illustrent pas à proprement parler le poème; elles sont l'image soit du Couronnement de la Sainte-Vierge, soit de la Gloire céleste avec la Sainte-Trinité exécutée d'aprés les formules consacrées. Aucun peintre de fresques, aucun enlumineur de manuscrits n'aurait osé aller contre l'orthodoxie. Parmi les descriptions faites par Volkmann[2] il n'y a pas un seul exemple où l'on puisse reconnaître la vision du poète. Ainsi, dans le manuscrit de la bibliothèque Trivulziana à Milan, daté de 1347 (n. 1080) l'initiale du Paradis représente le Couronnement de la Sainte-Vierge assise au milieu des anges. Le ms. de la bibliothèque Palatina à Parme, de la seconde moitié du XIV[e] siècle (n. 3285), représente en cet endroit la Sainte Trinité en mandorle; au-dessous d'elle est assise Beatrix; plus bas, à la porte du Paradis, se trouvent Saint Jean et Saint Pierre; dans la majorité des miniatures, ce n'est pas la Sainte-Vierge qui est assise au milieu, mais bien Jésus Christ en mandorle; il a la Sainte-Vierge à sa droite et Saint-Jean Baptiste à sa gauche (ainsi dans le ms. de la Bibl. nat. à Paris, ital. 72, reproduit chez Volkmann, tabl. IV). C'est d'ailleurs la disposition-type.

L'iconographie extra-dantesque, soit byzantine ancienne, soit italienne moderne, ne connait pas également de disposition qui rappelle la Rose mystique. Les mosaïques chrétiennes qui représentent

[1] Ils considèrent ce fait comme indiscutable. Cf. R. Fornaciari, l. cit. p. 24 et Parodi, Fanfulla della Domenica, a. XXX, n. 19 (1908).

[2] Volkmann, Iconografia dantesca, ed. italiana a cura di G. Locella. Firenze 1898.

le Paradis, et publiées par Ciampini (t. I, pl. 65, 67, fig. 2; 68; t. II, pl. 16, 28, 38, 44, 45, 51, etc.)[1] ne permettent pas de pressentir la conception de Dante qui, par suite, est neuve et extrêmement hardie si l'on considère les traditions de la peinture religieuse. Ni les mosaïques byzantines ni les fresques italiens ne représentent jamais la Sainte-Vierge avec Adam et Saint-Pierre. Aucun des savants ne cite rien de semblable: pas plus Detzel[2] que Guénébault[3], Wessely[4], Kraus[5]. De même, dans la représentation du Jugement dernier le schema reste loin de la vision dantesque. Ainsi dans la mosaïque byzantine de Torcello près de Venise (Kraus, II, p. 375) Jésus-Christ en mandorle a la Sainte-Vierge à sa droite et Saint-Jean Baptiste à sa gauche. Là où apparaît Adam, ce n'est jamais comme correspondant à Saint-Pierre, mais comme le doyen des personnages de l'Ancien Testament. Ainsi dans le fresque de S-ta Maria Novella à Florence (Kraus, II, 1, p. 349—50) Jésus Christ est assis entre Adam et Eve; dans le merveilleux Jugement dernier de Fra Angelico à l'Académie de Florence on peut, à cause de son air vénérable deviner Adam dans le premier vieillard assis à la droite de la Vierge; ce qui ne suffit pas pour rapprocher les deux conceptions. Si donc aucune lumière venue de ce côté n'éclaire l'intention du poète, il faut l'élucider par des aperçus tirés du fond de l'oeuvre même.

4. La hiérarchie des personnages du poème constitue de tout l'abord la clef de l'énigme. Elle apparaît avec l'exactitude propre au Moyen Age dans tous les groupes de maudits, de pénitents et de saints. Parmi les poètes, le premier nommé est Homère (Inf. IV. 88); parmi les philosophes (IV, 181), Aristote; dans la vallée fleurie du Purgatoire (VII), parmi les princes avides de gloire terrestre, le premier cité est l'empereur Rodolphe (94). Dans le Paradis la gradation est scrupuleusement maintenue. D'abord apparaissent les esprits encore voilés de l'ombre de leur faute. Ensuite viennent les esprits bienfaiteurs, les esprits charitables, les docteurs de l'Église, les martyrs de la foi et les guerriers, les princes justes et sages, les esprits contemplatifs, les esprits triomphants, Pierre, Jacques, Jean et après

[1] Ciampini J., Vetera monimenta. Romae 1690—99, 2 vol.

[2] Detzel, Christliche Ikonographie, 1894.

[3] Guénébault, Dictionnaire iconographique, 1845.

[4] Wessely, Ikonographie Gottes und der Heiligen, 1845.

[5] Kraus, Geschichte der christlichen Kunst, 1896—1908.

eux Adam, le dernier dans le rang des hommes; ensuite viennent les hiérarchies des anges, la Sainte-Vierge, la Sainte Trinité. La place si éminente occupée par Adam est motivée a) par le poète lui-même, b) par l'opinion établie soit des Pères de l'Eglise et des théologiens, soit de la tradition des légendes chrétiennes.

a) Par le poète lui-même. Adam »quell' uom che non nacque« (Par. VII, 26) est, à côté de Jésus-Christ incarné, le plus sage des hommes. Si Saint-Thomas disait de Salomon: »a veder tanto non surse il secondo« (Par. X, 114), il rapportait cette sagesse uniquement à la dignité royale; le plus sage des rois, comme il l'interprète plus loin (XIII, 31 et sq.).

b) Par les Pères de l'Église, les théologiens et la tradition, Adam était le plus sage des hommes. Saint-Augustin dit que nos esprits comparés à celui d'Adam »plumbei iudicantur« (L. IV, c. LXXV P. L. l. XLV. col. 1381). Saint-Thomas dit qu'il a été du premier abord créé parfait (I^{a} q. XCIV a^{3}) et qu'il possédait toute science humaine: »omnium scientiarum, in quibus homo natus est instrui«. La théologie nouvelle énumère même ce qu'Adam savait: »Il croyait sans aucun doute en Dieu; il connaissait probablement le mystère de la Sainte-Trinité et même le mystère de l'Incarnation[1].

Adam est le représentant de l'humanité; de plus il est le premier organisme d'où est sortie l'humanité entière qui y était contenue tout d'abord, d'après les vieilles théories biologiques. Saint Augustin écrit: »Omnes fuimus enim in illo uno, quando omnes fuimus ille unus (De civ. Dei L. XIII c. 14).

Adam est le symbole du Christ. Le Christ est un second Adam. Saint Paul dans une épître aux Romains V, 18, dit: »Comme donc c'est par un seul péché que la condamnation est venue sur tous les hommes, de même c'est par une seule justice que tous les hommes recevront la justification qui donne la vie«. De même dans son Epitre I-er aux Cor. XV, 21: »Car puisque la mort est venue par un homme, la résurrection des morts est venue aussi par un homme«. Et XV, 45: »Le premier homme, Adam, a été fait avec une âme vivante; mais le dernier Adam est un Esprit vivifiant«. Adam est donc tout ensemble l'analogie et l'antithèse du Christ; Saint-Augustin voit là l'ordre de la justice: »Et qualis forma nisi in contrario?«. (L. II c. XXVII. P. L. XXIV, col. 462).

[1] X. le Bachelet, Dictionnaire de théologie catholique, I, col. 374.

Adam, le premier et le plus éminent des hommes a été aussi racheté le premier parmi les personnages de l'Ancien Testament. Sa rédemption est admise comme certaine par les Pères de l'Église: Saint Augustin (Ep. à Enode. Epist. CLXIV n. b. P. L. XXXIII, col. 711), Irénée, Tertullien, Origène, Grégoire de Nazianze, Jérôme. D'après la tradition légendaire ou iconographique, il a été le premier tiré hors de l'Enfer. Nous lisons dans l'évangile apocryphe de Nicodème, c. 25; »Dominus autem tenens manum Adae tradidit (eum) Michaeli archangelo«. C'est d'après cette scène populaire qu'a été composée la mosaïque détruite de S-ta Maria in Praesepe, dans l'Église de Saint-Pierre (VIII s.) et à Sainte-Praxède (IX s.); de même sur le fresque de Santa Maria Novella[1].

5. La manière constante de compter la droite et la gauche est le criterium le plus certain parmi tous ceux que l'on emploie pour résoudre la question. Dante compte toujours du point de vue du spectateur; il suit le sens de l'oeil qui regarde l'horizon ou de la main qui écrit. Là où il représente un groupe de scènes ou de personnages, il les nomme en commençant par la gauche; on peut vérifier ce fait en examinant chacun des cas.

Inf. p. IX. Du haut de la tour qui garde l'entrée de la ville de Dis trois furies se penchent vers les voyageurs. Virgile les montre à Dante.

Guarda... le feroci Erine.
Quest'è Megera, dal sinistro canto;
Quella che piange dal destro, è Aletto;
Tesifone è nel mezzo (v. 45—8).

La position des spectateurs ainsi que la façon de présenter rappellent la scène de la Rose mystique; ici et là on pourrait en apparence donner une double explication. Scartazzini dit que canto signifie »le côté de la tour« et il cite Benvenuto da Imola qui explique que Mégère est à gauche de Tisiphone »quia est peior quantum ad scandalum in foro civili«. Parmi les plus recents commentateurs L. Filomusi-Guelfi[2], en interprétant le symbole de Mégère, Alecto et Tisiphone selon la classification des péchés d'après Saint Jean

[1] Cf. Legenda aurea: Du mystère de la croix, II, 8; — Kraus, l. cit. II, 1, p. 349—50; — Detzel, l. cit. I, p. 463.

[2] Giorn. dant. vol. XVIII, p. 121.

(concupiscenza della carne, concupiscenza degli occhi, superbia della vita)[1], pense qu'Alecto est à droite comme moins nuisible et Mégère à gauche comme étant plus mauvaise; il ne dit pourtant pas s'il compte la droite et la gauche d'après les personnages ou d'après les spectateurs. L'interprétation de Scartazzini est arbitraire; si l'on prend en considération le style du passage, il est difficile d'admettre que Virgile veuille dire »le flanc de la tour«; il aurait dit là ou auparavant »canto della torre«. De plus le mot canto chez Dante signifie fréquemment »côté«. Ainsi dans Purg. III, 89:

La luce in terra dal mio destro canto.

Il sera plus simple d'appliquer tout le cours des enseignements de Virgile au mot guarda et d'interpréter qu'il montre en comptant de gauche à droite. Le criterium hiérarchique mène également à cette conclusion, mais dans le sens opposé à celui de Benvenuto. Puisque Mégère est en réalité la plus mauvaise, elle doit se tenir à droite de Tisiphone, comme étant plus haute dans la dignité du mal; par là se fortifierait l'opinion que Dante compte de gauche à droite.

Inf. C. XII. Cercle des violents; ils nagent dans le sang, gardés par les centaures, que Virgile montre à Dante d'après leur importance: »Quegli à Nesso, — quel di mezzo è'l gran Chirone, — Quel'altro è Follo« (v. 67—70). Ils sont placés en face; Nessus, le plus célèbre, est à droite de Chiron, ce qui apparaît dans les vers suivants:

Chiron se volse in su la destra poppa E disse a Nesso (v. 97—98).

Par conséquent le poète les regarde et les énumère en comptant de gauche à droite.

Inf. C. XVII. Cercle des usuriers. Les damnés sont enfouis dans le sable brûlant au bord d'un précipice. Dante ayant quitté Gérion s'avance vers la droite (scendemmo alla destra mamella, v. 31) et étant parvenu jusqu'à eux, il commence leur revue par la gauche; Gianfigliazzi, Ubriacchi, Scrovigni. A côté de Scrovigni la place est vide; elle est destinée à Vitaliano:

il mio vicin Vitaliano
Sederà qui dal mio sinistro fianco (v. 68—9).

[1] Pour les autres interprétations voyez Flamini: I significati reconditi della Commedia di Dante. Livorno 1904, t. II, p. 50.

Inf. C. XXXIV. Dante décrit les trois visages de la tête de Lucifer. Le visage de devant est pourpre, celui de droite est jaune-pâle, celui de gauche est noir.

E la destra parea tra bianca e gialla;
La sinistra a veder era tal, quali
Vengon di là, onde il Nilo s'avvalla (v. 43—5).

Par conséquent, là également le poète compte de gauche à droite.

Purg. C. X. Dante mésure des yeux la largeur de la terrasse et par habitude il trace un arc dans la direction usuelle.

E quanto l'occhio mio potea trar d'ale
Or dal sinistro ed or dal destro fianco,
Questa cornice mi parea cotale (v. 25—27).

De même lorsqu'il examine les scènes sculptées dans le socle. La position des spectateurs est telle que Dante marche à gauche de Virgile (v. 48). De son côté il voit la scène de l'Annonciation (v. 34—45); pour examiner la suivante il doit dépasser son guide et Dante décrit son mouvement avec une grande exactitude (v. 49—54).

Purg. C. XXVIII—XXXII. Dans l'allégorie de la procession mystique, le côté droit et gauche du char jouent un rôle important; d'après la position de Dante et de Mathilde devant le Miracle qui passe, on peut conjecturer dans quel ordre le poète représente la scène:

Tre donne in giro, dalla destra ruota Venian danzando (XXIX. 121—2) — et plus loin:... Dalla sinistra quattro facean festa (v. 130).

De quel côté du spectateur se trouve la roue droite et la roue gauche du char? Nous le saurons d'après les positions successives du poète, décrites avec une grande exactitude intentionnelle: Dante ayant pénétré dans le bois a rencontré d'abord le courant du Léthé qui coule vers la gauche, »inver sinistra«, c'est-à-dire vers le nord (XXVIII, 26). Mathilde, de l'autre bord du fleuve lui parle des merveilles du Paradis, après quoi elle se dirige en amont du fleuve: »Allor si mosse contra il fiume«, et le poète fait de même (XXIX, 7—8); par conséquent il avance vers la droite et vers le midi. Cent pas plus loin la rivière se tourne vers l'orient, c'est-à-dire vers la gauche: »per modo ch'a levante mi rendei« (XXIX, 12); le poète suit toujours le bord de l'eau. Sur l'autre bord, le cortège mystique arrive de l'orient: »si movea incontro di noi« (XXIX, 59).

Dante s'arrête; son côté gauche est tourné vers l'eau; »l'acqua splendea dal sinistro fianco« (XXIX—67). Lorsque le char s'est arrêté, il se tourne vers lui de face. En énumérant les personnages placés près de la roue droite, il procède donc dans l'ordre habituel: il compte de gauche à droite. Et plus loin: quand les trois vierges (les trois vertus théologales) l'arrachent à la contemplation de Béatrix, il tourne tout de suite les yeux à gauche: »ver la sinistra« (XXXII, 8—9).

Parad. C. X. Dans le quatrième ciel ensoleillé, une guirlande d'esprits tourne autour de Dante et de Beatrix. Elle s'arrête, et l'un des bienheureux, Saint Thomas d'Aquin, lui montre ses compagnons. En cet endroit la manière de compter est différente; mais c'est une exception qui confirme la règle. Celui qui parle compte à partir de la droite:

»Questi, che m'è a destra piu vicino, Frate e maestro fummi...« Donc Albert de Cologne, Gratien, Pietro Lombardo, Salomon, Denis, Paul Orosius, Boèce, Isidore de Bède, Richard de Saint-Victor (v. 97—132). Le dernier, Siger, ferme le cercle:
»Questi onde a me ritorna il tuo riguardo« (v. 133), et il se trouve à gauche de Saint Thomas. La manière de compter est changée parce que c'est Saint-Thomas qui fait les honneurs; la revue se fait d'après celui qui parle et non pas d'après le spectateur.

Parad. C. XV. Dans la planète Mars apparait l'image de la croix à bras égaux. Du côté de l'un des bras se voit une étoile. C'est Cacciaguida, aïeul du poète.

»Tale, dal corno che in destro si stende
Al piè di quella croce corse un astro« (v. 19—20).

Scartazzini entend: sur le bras droit de la croix; ce qui est inadmissible, si l'on remarque que le poète, quelle que fut d'ailleurs sa vénération pour l'aïeul de sa famille, ne pouvait le placer avant les guerriers célèbres que Cacciaguida énumère lui-même avec une grande connaissance de la hiérarchie et de la chronologie (XVIII, 38—48): Josue, Macchabée, Charlemagne, Roland, Guillaume, Rénouard, Godefroi de Bouillon. La politesse exigeait de désigner une place plus modeste au chef de la famillle des Alighieris; cette place se trouve dans le coin, dans le bras gauche de la croix. Ce qui fortifierait encore l'opinion que poète compte destro et sinistro d'après lui-même.

Parad. C. XVIII. Dans la sixième sphère, celle de Jupiter, les ésprits enflammés en étincelant tour à tour forment un verset: »Diligite iustitiam qui iudicatis terram«, et le poète, voulant nous rendre visible cette scène de la formation du vers, dit comment il notait les lettres les unes après les autres:

Mostrârsi dunque in cinque volte sette
Vocali e consonanti; ed io notai
Le parti sì come mi parver dette (v. 88—90)

c'est-à-dire dans l'ordre où elles se succédaient de gauche à droite.

Parad. C. XX. Les esprits étincelants sont logés dans la tête de l'Aigle, emblème de l'empire romain. L'aigle doit être tourné de profil vers la gauche, car c'est sa forme héraldique. Le poète nomme les esprits l'un après l'autre: David est logé dans la prunelle; parmi les cinq autres, le plus proche du bec, par conséquent le plus à gauche est l'empereur Trajan; puis viennent Ezéchiel, l'empereur Constantin, Guillaume II, Rifée (v. 37—69).

Parad. C. XXVII. Dans le ciel cristallin. Un moment auparavant le poète se trouvait dans la constellation des Gémeaux et dans le méridien de Jérusalem; puis ayant parcouru, par suite du mouvement du ciel, 90° vers l'est, il contemple le détroit de Gibraltar et la Phénicie. Puisqu'il regarde du côté des antipodes, il a Gibraltar à sa gauche et la Phénicie, c'est-à-dire l'Égypte, à sa droite; le poète les énumère dans cet ordre:

Sì ch'io vedea di là da Gade il varco
Folle d'Ulisse, e di qua presso il lito
Nel qual si fece Europa dolce carco (v. 82—4).

La manière de compter de Dante ne semble donc pas être douteuse et si l'argumentation ci-dessus est sûre, Adam a la place la plus honorable à droite de la Sainte-Vierge. La situation même exige une telle explication: Dante et Saint-Bernard se trouvent en bas, à la section fictive du cône ouvert à la partie supérieure. Il faut se représenter le geste indicateur:

»Dal destro vedi quel padre vetusto«, et rappeler le dramatique du style de Dante pour que l'hypothèse devienne certitude.

Il y a encore d'autres moyens de vérification. En face d'Adam est assise Lucie, en face de Pierre, Anne. Mais de quel côté de

Saint-Jean Baptiste? Cela n'apparaît pas dans le texte; il semblerait tout d'abord qu'Anne, étant la mère de la Sainte-Vierge, dût avoir la première place. Mais il convient de remarquer qu'à l'époque de Dante le culte officiel de Sainte-Anne n'existait pas encore, au moins dans l'église romaine; il n'a été introduit qu'en 1378. D'autre part, quoique le nom de Sainte-Anne soit populaire grâce aux évangiles apocryphes tels que le Protoévangile de Saint-Jacques ou l'évangile de nativitate Mariae, elle n'apparait pourtant pas en personne dans la Divine Comédie; elle est nommée ici pour la première et la dernière fois et ce serait une surprise que de lui donner la première place.

Par contre Lucie est dans le poème un personnage de première importance: messagère de la Sainte - Vierge à Béatrix (Inf. II, 97), protectrice de Dante aux portes du Purgatoire (Purg. IX, 55), symbole de la grâce »sans laquelle il n'y a pas de salut«, que ce soit la grâce illuminante ou la grâce justifiante comme le prétend M. Fr. Flamini[1] après Jacques di Dante. Enfin tout le voyage du poète depuis les ténèbres du péché jusqu'aux clartés du salut s'est accompli grâce à trois Femmes: il a eté rendu possible par la pitié de la Donna gentile, la grâce de Lucie, l'intelligence c'est à dire, l'amour de Béatrix. Le poète ne pouvait désigner à Lucie qu'une des places les plus importantes, à droite de Saint - Jean Baptiste. Par suite la place d'Adam se trouve déterminée avec toute l'exactitude désirable.

III.

La hardiesse avec laquelle Dante a donnè à Adam une place si haute dans le choeur des bienheureux doit avoir une cause plus importante qu'une simple nécessité de composition, de division de la Rose en deux parties: l'Ancien et le Nouveau Testament. L'Ancien Testament commence, il est vrai, par Adam, mais le Nouveau ne commence pas par Saint-Pierre qui ne peut être considéré comme le »Père du christianisme«. Dans la dernière vision de Dante se cache un symbole général et supérieur à toute chose temporelle; sa signification apparaîtra par l'exègèse du texte et par un adjuvant dont les nouveaux commentateurs se servent volontiers, à sa-

[1] Fr. Flamini, l. cit. t. II, p. 156.

voir: les analogies des deux premierès parties du poème qui est, comme on sait, un chef-d'oeuvre de construction harmonieuse.

La preuve par analogie est très importante pour l'exégèse dantesque et bien souvent décisive. La scène finale de l'Enfer et la vision finale du Purgatoire annoncent que le problème des rapports de la papauté et de l'empire se trouvera posé et définitivement résolu dans la Rose mystique. Les trois visions finales des trois mondes de la Divine Comédie expriment probablement la même idée, mais par des moyens de plus en plus élevés, d'après la formule théologique qui distingue trois espèces et trois degrés de visions: corporalis, imaginaria, intellectualis, ou bien litteralis, moralis, anagogica [1]. Dans l'Enfer, comme antithèse du monarque et de l'empire d'institution divine, est placé Lucifer, l'Antechrist qui dévore les traîtres à l'idée d'empire et le traître à l'idée chrétienne qui doit être réalisée dans l'Église. Cette vision explicite ne suggère pas de doutes et n'exige pas d'éclaircissements. La vision du Purgatoire, plus compliquée et plus obscure, suscite beaucoup d'explications qui n'ont cessé de naître jusqu'aujourd'hui. Elle est allégorique dans toute l'acception du mot. L'arbre du Paradis terrestre est le troisième (le premier, Purg. XXII, 133, était l'arbre de vie; le second, Purg. XXIV, 103, était l'arbre de la science); et comme tous les êtres et les symboles du Paradis sont les prototypes des êtres et des conceptions terrestres, par conséquent ce troisième arbre est également l'idée, le symbole du d r o i t. Le poète, par l'organe du Griffon-Christ l'appelle: »la semence de justice« »seme d'ogni giusto« (Purg. XXXII, 48). En m'appuyant sur ce point acquis je vais essayer d'expliquer l'allégorie de la façon suivante: »Io sentii mormorare a tutti »Adamo« (XXXII, 37) est un reproche adressé à l'ancêtre d'avoir violé le premier droit. L'idée de la plus haute justice et de la législation est inséparable chez Dante d'avec l'idée de la monarchie: la justice est un attribut principal à côté de l'amour et de la sagesse (Conv. IV, 17). »Pianta despogliata« (v. 38) c'est, par suite, l'empire dépouillé non de ses vertus, comme le veulent les commentateurs (par ex. Scartazzini), mais dépouillé de ses droits de suprématie. Le Griffon-Christ est béni parce qu'il n'a jamais diminué l'empire dans ses droits; au contraire il a ordonné de rendre à César ce qui appar-

---

[1] Au sujet des trois degrès de vision comparez: Enr. Proto, La concezione del Paradiso. Giorn. Dant. XVIII (1910), p. 93—6.

tenait à César. La Curie romaine, qui enlève ses droits au monarque, se tord dans la douleur (la leçon torce et non torse semble être plus juste) et se trouve frappée d'impuissance. Puis vient la scène où le Griffon attache le Char à l'Arbre.

E vôlto al temo ch'egli avea tirato,
Trasselo al piè della vedova frasca[1]
E quel di lei a lei lasciò legato (v. 49—51).

Les commentateurs expliquent »quel di lei«: »le timon du char, en forme de croix«, avec une allusion à la légende de la croix du Christ faite de la souche de l'arbre sous lequel Adam avait péché. Parodi[2] admet l'allusion à la légende, mais à l'encontre de tous les commentateurs italiens et étrangers et pour des raisons de syntaxe il propose l'explication suivante: »Il Grifone (fa) di una fronda dell'Albero un vincolo, che mette in comunicazione e lega insieme Albero e Carro«. Mais puisqu'une fois il a fallu nous engager sur le terrain épineux de cette symbolique étrange, remarquons que les branches de l'arbre étaient courtes à la base et qu'elles s'élargissaient vers le haut en donnant, par ce moyen, à l'arbre la forme d'un cône renversé (v. 40); de plus, elles étaient sèches comme en hiver, après la chute des feuilles (v. 52—4), et par conséquent peu aptes à faire un noeud. Pour le prof. Parodi il s'agit d'obtenir le symbole suivant: »le Griffon a attaché le Char de l'Église à l'institution de l'Empire par le droit naturel de la suprématie du pouvoir monarchique«. On peut cependant arriver à ce même symbole au moyen d'une interprétation plus simple, sans allusion à l'arbre de la croix, allusion inattendue, puisque Dante ne dit rien de la forme du timon. »E quel di lei a lei lasciò legato« s'expliquerait plutôt ainsi: ayant attaché à lui ce qui venait de lui, il le lui laissa. Le poète ne dit pas legò, mais lasciò legato, où lasciò est la fonction principale d'où dérive l'idée d'analogie avec les mots de l'évangile: Rends à César ce qui est à César. Je comprends par quel di lei la matière du timon en bois terrestre, tandis que le reste du char était de nature céleste. Symboliquement celà voudrait dire: la direction temporelle du Char de l'Église est un pouvoir légitime consti-

[1] Rome abandonnée par l'empereur s'appelle également »vedova Roma«. (Purg. VI, 113).

[2] L. cit., p. 271.

tué par une partie du suprême pouvoir monarchique transmise à l'Église; ce pouvoir est actuellement rendu à l'empire par le geste du Griffon-Christ, selon le commendement de l'Évangile et l'idée de Pierre Damiani. Et voici que l'empire, monarchie temporelle, se couvre à nouveau de verdure pour le bien de toute l'humanité. Ici commence pour lui un rôle nouveau, une nouvelle époque. Mais »pour l'exemple«, Béatrix, par la suite, étale devant le poète le tableau retrospectif des destinées de l'Église (v. 109—160)[1]. L'autre était la vision de l'avenir rêvé et désiré; ici, c'est la vision du passé orageux et des horreurs du présent; ces deux visions sont nettement séparées par l'évanouissement de Dante (v. 64—70) qui indique toujours dans le poème le passage d'un monde dans l'autre (Inf. III, 136; Purg. IX, 11, etc.) Il les contemple uniquement pour les décrire aux hommes, afin de les instruire: »in pro del mondo che mal vive« (v. 103); quand à lui, il ne s'attriste pas, il ne souffre pas, quoiqu'un des épisodes (v. 154—5) soit justement sa propre histoire.

Ainsi éclaircie, l'exégèse du texte permet plus facilement de trouver l'idée vraie. Le poète dit qu'Adam et Pierre sont »les racines de la Rose mystique«. La Rose n'est pas la société des élus, ce n'est pas »l'Église« dans le sens thomiste, comme dernière forme de la société des fidèles après l'accomplissement des temps — Rifée n'appartient même pas à la chretienté; — c'est plutôt l'humanité sauvée, assise dans l'éternelle béatitude. La béatitude, autrement dit le retour à la première cause qui est Dieu, c'est le but final de l'humanité: »che il sommo desiderio di ciascuna cosa e prima dalla natura dato, è lo ritornare al suo principio« (Conv. IV, 12). La béatitude terrestre, la paix universelle (pax universalis, Mon. I, 5) qui rendaient possibles le perfectionnement individuel, l'emploi de la force propre (operationem propriae virtutis, Mon. III, 15), pour arriver par elle à jouir de la vue du visage divin (fruitionem divini aspectus, l. c.)[2], telle était la condition de la béatitude terrestre. Et de même que le pape était le soleil qui indique la voie de Dieu, de même le monarque était le soleil qui mène au bonheur terrestre. Par conséquent Adam et Pierre doivent être ici les représentants des deux principales institutions terrestres. Cette explica-

---

[1] On trouve des rétrospections semblables dans l'Enfer: le récit de la fondation de Mantoue, patrie de Virgile; dans le Paradis le récit des destinées de l'empire romain par l'Aigle de Justinien.

tion est confirmée par des épithètes: l'un est »maggior padre di familia«, l'autre est le »padre vetusto di santa chiesa«; l'un est père et chef de l'humanité, l'autre est le chef de l'Église.

La vision contemplée dans l'Empyrée donne la solution du problème, mais transféré dans des régions lointaines, loin de la réalité et des vaines affaires temporelles. Cette vision n'est compréhensible entièrement que pour les yeux qui ont déjà secoué la poussière terrestre, pour les esprits assainis et lavés dans la source de la science, — »inteletti sani«, comme le poète les appelle ailleurs (Inf. IX, 61).

La Mère de Dieu, dans la Rose mystique, ce n'est plus la »Donna pietosa« qui sauve le pécheur; c'est la reine revêtue du surnom d'»Augusta«. L'Empyrée, c'est la Jérusalem céleste à laquelle correspond, sur la terre, civitas, équivalent chez Dante à civilitas. Elle a été préparée par les deux chefs de la terre: l'empereur et le pape et c'est pour celà qu'ils sont éclairés par les plus lumineux rayons de la gloire; ils sont d'ailleurs pris ici entièrement comme abstractions; celui d'entre eux qui dès la création du monde était destiné à la réalisation de cette civilitas, le premier homme, le premier chef, symbole de l'humanité et symbole du droit, prend la place privilégiée. Est-ce là »la verità ascosa« de la vision finale? Dante ne désirait pas être trop facilement compris, il s'en défendait même; il était partisan de la »manière obscure« d'Arnold Daniel et il chassait avec mépris ceux qui voulaient le suivre sur l'océan »in picciolettta barca«. Les commentateurs devront encore longtemps peiner avant de découvrir sa pensée entière; le symbole dantesque, comme tous les symboles, admet beaucoup d'explications et sera encore construit de plusieurs façons bien différentes; sans être nécessairement le seul possible, le présent commentaire, basé sur des faits évidents, nous semble avoir sa bonne raison d'être.

O POMYŚLNYCH WYNIKACH
ZASTOSOWANIA MOJEJ METODY
PRZYWRACANIA ŻYCIA

podał

JAN PRUS

Gdy w roku 1899 na podstawie setki doświadczeń, wykonanych na zwierzętach, wyraziłem nadzieję, że moją metodę przywracania życia za pomocą miesienia serca i sztucznego oddychania można będzie zastosować skutecznie w przypadkach nagłej śmierci u ludzi[1], nie mogłem uwolnić się od niepokojącej myśli, czy nawet w tym przypadku, gdyby powiodło się pobudzić serce i rdzeń przedłużony do samoistnej regularnej czynności, odzyska kora mózgowa swą prawidłową pobudliwość; doświadczenia bowiem na zwierzętach wykonane, wykazywały, że w niektórych przypadkach czynność kory mózgowej jest jeszcze przez pewien czas, i to nawet przez kilka dni upośledzona.

Pomnąc, że kora mózgowa człowieka oddziaływa już tak łatwo na zmniejszenie dopływu krwi zawieszeniem swej czynności (omdlenie, utrata przytomności), mogłem się obawiać, że zupełne wstrzymanie krążenia krwi w mózgu, trwające przez kilka lub kilkadziesiąt minut, pociągnąć musi za sobą trwałe wygaśnięcie pobudliwości kory mózgowej, i że ludzie, których udałoby się przywrócić do życia za pomocą mej metody, podobnie zachowywać się będą, jak ludzie

[1] Prus: Wykład w Tow. lek. lwowskiem dnia 11 listopada 1899.

Prus: »O wskrzeszaniu w przypadkach śmierci z uduszenia, otrucia chloroformem lub rażenia prądem elektrycznym«. (Księga pamiątkowa, wydana przez Uniwersytet lwowski ku uczczeniu 500-letniego jubileuszu Uniwersytetu krakowskiego. 1900).

Prus: »O wskrzeszaniu w przypadkach śmierci z uduszenia, otrucia chloroformem lub rażenia prądem elektrycznym«. (Przegląd lekarski 1900).

Prus: »Ueber die Wiederbelebung in Todesfällen in Folgie von Erstickung, Chloroformvergiftung und elektrischem Schlage«. (Wiener klinische Wochenschrift 1900).

Prus: »Sur les moyens à employer contre la mort due à la suffocation à l'intoxication chloroformique et à la décharge électrique«. (Archives de médecine expérimentale et d'anatomie pathologique, fondés par I. M. Charcot N. 3. Mai 1901).

ze zniszczoną korą mózgową, jak n. p. ludzie w ostatnim okresie rozmiękczenia mózgu, lub nawet jeszcze gorzej, jak ludzie nieprzytomni, n. p. w okresie śpiączki (sopor) lub zapadu (coma). To też z niezwykłym niepokojem wyczekiwałem pierwszych sprawozdań o wynikach zastosowania mojej metody.

W roku 1901 dnia 24 października powiodło się Maagowi w Danii (Maag: »Ein Versuch der Wiederbelebung [ad modum Prus] eines in Chloroformnarkose verstorbenen Mannes«. Centralblatt f. Chirurgie 1901, Nr. 1) za pomocą mojej metody przywrócić życie mężczyźnie 27-letniemu, zmarłemu skutkiem uśpienia chloroformem, operowanego z powodu rwy kulszowej. Gdy wszystkie zabiegi lekarskie, stosowane przez ćwierć godziny, nie odniosły żadnego skutku, wykonał Maag po 15 minutach tracheotomię i otworzył klatkę piersiową za pomocą resekcyi trzeciej i czwartej chrząstki żebrowej. Serce było zupełnie wiotkie i nie okazywało żadnego śladu drgań. Pod wpływem miarowego uciskania serca odsłoniętego pojawiły się wkrótce naprzód słabe ruchy serca, później zaczęło serce stopniowo bić coraz silniej samoistnie. Pół godziny później pojawił się pierwszy samoistny oddech, a po dwóch godzinach oddechy były już tak silne, że można było wstrzymać sztuczne oddechanie i zaszyć ranę, utworzoną na klatce piersiowej i szyi.

Po ośmiu godzinach atoli chory przestał żyć z powodu odmy piersiowej, wśród odsłaniania bowiem serca zraniono worek opłucnowy; chory nie wrócił do przytomności.

Na pytanie, dlaczego przytomność nie wróciła, trudno odpowiedzieć. Ani chloroformu nie było zawiele (bo 15 gramów tylko), ani w ustroju nie było żadnej choroby poprzednio, którąby mogła utratę przytomności tłómaczyć. Może zatrucie CO_2 z powodu niedostatecznego oddychania, wskutek odmy piersiowej. W każdym razie pobudliwość kory mózgowej była obniżona, prawdopodobnie z tego powodu, że przez pewien czas krew nie krążyła w mózgu.

Wobec tego przypadek ten nie rozwiał mych obaw, lecz przeciwnie je zwiększył. Wytłómaczenie śmierci jest w tym przypadku rzeczą podrzędną. Czy to odma, czy krwawienie, czy przepełnienie jelit powietrzem, jest to rzecz mniejszej wagi, w każdym razie oddychanie było niedostateczne.

Dnia 18 grudnia 1902 doc. chirurgii dr. Sick w Kilonii (Centralbl. f. Chirurgie 1903) przywrócił do życia piętnastoletniego chłopca, który już więcej niż godzinę nie okazywał żadnych śladów życia

skutkiem zatrucia chloroformem. Z powodu puchliny brzusznej, na tle gruźliczem powstałej, wykonano u tego chłopca laparotomię i wypuszczono litr płynu surowiczego mętnego, przyczem stwierdzono, że otrzewna ścienna i trzewiowa tudzież krezka pokryta była licznymi gruzełkami, dochodzącymi do wielkości soczewicy, a wątroba i śledziona były powiększone. Gdy ranę zaszywano, zaczął chory silnie tłocznię brzuszną napinać i wymiotować, dano choremu ponownie nieco chloroformu, by uzyskać rychłe uspokojenie się chorego. Skoro tylko chory się uspokoił, wstrzymano podawanie chloroformu, pomimo tego jednak po 5—10 minutach pojawiła się nagle sinica, a tętno zniknęło. Oddech trwał jeszcze chwilkę, poczem ustał. Uciskanie klatki piersiowej według Königa i Maasa, oraz sztuczne oddychanie, poczem oddech samoistny wrócił na jednę minutę. Źrenice rozszerzone ad maximum, zwęziły się znowu, tętno niewyczuwalne, lecz tony serca słyszalne, jeżeli się nie łudzono. Po chwilce atoli ustaje oddychanie, a w sercu nie można dosłuchać się żadnej akcyi. Dalsza półgodzinna praca bez rezultatu, wówczas Sick, czyniąc zadość prośbie kolegów, otworzył klatkę piersiową według metody Rottera i odsłonił serce.

Przekonano się, że serce jest zupełnie wiotkie i bez śladu ruchu, zimne. Pod wpływem sztucznego oddychania i miarowego uciskania serca (mięsienia), tudzież po zastosowaniu ciepłych okładów, często zmienianych, pojawiły się robaczkowe, nieregularne skurcze serca, a po kilku minutach pierwsze ruchy serca, które można było określić jako wyraźny skurcz komórek.

Pół godziny później serce biło regularnie i oddech powrócił. Źrenice były zwężone, barwa twarzy różowa, tętno silne. Ranę osierdzia zaszyto katgutem. W dwie godziny po operacyi chory powrócił do przytomności i żalił się na pragnienie i duszność. Oddech 60. Tętno 144. Przez 24 godzin utrzymywano chorego przy życiu przy pomocy kamfory. Wreszcie powstaje zapad (collapsus), duszność się powiększa i chory traci przytomność, w trzy godziny później umiera.

Sekcya wykazała bardzo daleko posuniętą gruźlicę otrzewnej i krezki i obustronne dawne zapalenie opłucnej (gruźlicze, Pericarditis fibrinosa).

Przypadek ten usunął już wszystkie moje wątpliwości co do wytrzymałości kory mózgowej na dłuższe wstrzymanie krążenia krwi w mózgu. Skoro bowiem, pomimo jednogodzinnego ustania krążenia

krwi z powodu zupełnego porażenia serca, kora mózgowa powróciła do prawidłowej czynności, i to po $1^1/_4$ godziny od chwili śmierci osobnika — nie może już ulegać najmniejszej wątpliwości, że z chwilą ustania krążenia krwi w mózgu nie nastaje natychmiast obumarcie komórek nerwowych, w skład kory wchodzących. Przeciwnie, komórki te, aczkolwiek dotychczas określano je jako nadzwyczaj wrażliwe na wszelkie zaburzenia w krążeniu, są (jak to w tym przypadku się okazało), dość wytrzymałe i znieść mogą brak krążenia krwi co najmniej przez jednę godzinę, zanim ulegną obumarciu. O tem, że żywotność komórek nerwowych kory mózgowej i w ogóle centralnego układu nerwowego jest mniejsza, niż włókien centralnego układu nerwowego, wiemy już dawno, a to na podstawie doświadczeń Ehrlicha i Briegera. Jeżeli zaciśniemy tętnicę główną brzuszną na pół godziny, a następnie usuniemy zacisk i przywrócimy krążenie krwi, to zwierzę dozna porażenia tylnych kończyn, w rdzeniu zaś nastąpi obumarcie istoty szarej w części lędźwiowej rdzenia pacierzowego. Doświadczenia te wskazują, że w ogólności substancya szara jest mniej odporna na wstrzymanie krążenia krwi. Na pytanie, dlaczego nastąpiło stosunkowo rychło obumarcie szarej substancyi, podczas gdy z moich doświadczeń nad wskrzeszeniem wynika, iż nawet szara substancya dość jest odporna — odpowiem, że w doświadczeniach Briegera stosunki krążenia w rdzeniu bardzo gwałtownie się zmieniają, t. j. nagle krążenie ustaje i nagle krążenie powraca po zdjęciu przewiązki z aorty, i że wskutek tego naczynia krwionośne w szarej substancyi rdzenia pękają, powstają wybroczyny do rdzenia. Przypuszczam, że gdyby krążenie krwi przywracano w szarej substancyi rdzenia powoli, nie przyszłoby do obumarcia szarej istoty rdzenia nawet w tych przypadkach, gdyby wstrzymanie krążenia trwało dwie godziny lub nawet dłużej.

Od czasu ogłoszenia przypadku Sicka byłem już zupełnie spokojny o dalszy los mojej metody i jak najgłębiej przeświadczony, że w przypadku odpowiednim pomyślny wynik po zastosowaniu mojej metody musi się ujawnić. W przekonaniu tem umocniłem się jeszcze więcej, gdy w roku 1902 A. Mergari w pracy pod tytułem: »Contributo al massaggio diretto del cuore (Nuovo Raccoglitore Medico Nr. 4. Aprile 1902) ogłosił przypadek śmierci dwuletniego dziecięcia, które umarło skutkiem dławca krtani (croup).

Gdy po trzech kwadransach, mimo sztucznego oddychania, żaden ślad życia się nie pojawił, otworzył Mergari klatkę pier-

siową przez resekcyę czwartej chrząstki żebrowej, a przekonawszy się, że serce nie okazuje najmniejszego ruchu ani drgań włókienkowych, rozpoczął mięsienie serca przez rytmiczne uciskanie serca palcami ręki prawej. Po 10 minutach serce stało się twardsze, następnie zaczęły się drgania włókienkowe, a potem ślad skurczu; później serce funkcyonowało z siłą i z pewną regularnością, następnie wróciły oddechy samoistne, twarz się zaróżowiła, a tętno powróciło. Jeden zacisk spłoził się, powstało krwawienie; naczynia broczące podwiązano. Serce jednak przestało bić. Jakkolwiek ten przypadek również nie zakończył się pomyślnie, to jednak Mergari przepowiada mej metodzie powodzenie, kończąc swą pracę temi słowy:

»Certo si è però, che quando qualunque altro mezzo sia riuscito insufficiente a richiamare in vita un individuo colto da morte improvvisa, ogni chirurgo è autorizzato a tentare il metodo del Prus per attivare la funzione cardiaca e respiratoria, già spente; ed è a sperare che non sarà lungi il giorno in cui brillerà un primo successo, seguito da molti, a questo audace e geniale tentativo«.

I Przypadek pomyślnego zastosowania mojej metody. (Lancet 22 novemb. 1902)[1].

W pół roku później, a mianowicie w listopadzie 1902, powiodło się Lane'owi (opis podał Starling) przywrócić do życia mężczyznę 65-letniego, który w czasie operacyi, przedsięwziętej z powodu zapalenia wyrostka robaczkowego, umarł skutkiem narkozy eterem. Po odcięciu wyrostka robaczkowego ustała powoli zupełnie czynność serca i oddychania. Gdy zwykłe sposoby ratowania (sztuczne oddychanie i pociąganie za język) nie odniosły skutku, Lane wprowadził rękę przez nacięcie powłok brzusznych w dołku podsercowym i rozpoczął uciskać miarowo serce przez nietkniętą przeponę, stosując równocześnie sztuczne oddychanie. Wkrótce, bo po dwóch lub trzech uciśnieniach serca, zaczęło się serce kurczyć, tętna atoli nie można było jeszcze wyczuć. Po dalszem mięsieniu serca i sztucznem oddychaniu pojawił się po 12 minutach pierwszy samoistny oddech i można było już wyczuć tętno w tętnicy sprychowej. Wówczas dokończono operacyi w okolicy wyrostka robaczkowego już bez użycia środków znieczulających i obie rany zaszyto. Chory ten wyzdrowiał zupełnie. Jest to więc pierwszy pomyślny przypadek przy-

[1] Według Lenormant: »Le massage du coeur chez l'homme en particulier dans la syncope chloroformique« Revue de Chirurgie 1906.

wrócenia człowieka do życia według mojej metody, i to pomimo tego, że u chorego była wada serca, objawiająca się szmerem nad koniuszkiem serca. Przebieg pooperacyjny był prawidłowy, chory odczuwał tylko lekki ból, w wysokości przepony, przez pierwsze dwa dni.

II Przypadek. (Cohen. Journal of the Americ. medic. Associat. 7 novemb. 1903 r.). (Według Lenormant).

Kobieta 32-letnia. Cystovarium sinistrum adhaerens. Operacya. (Ovariotomia).

Narkoza chloroformem, pozycya Trendelenburga, Laparotomia. W 15 minut od chwili rozpoczęcia operacyi nagła sinica i zniknięcie tętna, następnie zatrzymanie oddychania. Sztuczne oddychanie przez 2 minuty bez skutku. Cohen wprowadził rękę lewą do brzucha aż do przepony, następnie obrócił rękę tak, że dłoń była zwrócona ku górze, wyczuł serce nieruchome, wiotkie. Druga ręka na klatce piersiowej. Uciskanie rytmiczne. Po 40 sekundach uczuł Cohen lekkie uderzenie serca, potem coraz silniejsze, z początku powolne, później szybsze. Po minucie (od początku miesienia) było 80 uderzeń na minutę, oddech samoistny powrócił, a po dwóch minutach stan normalny. Dalej chloroform. Po pół godziny operacya ukończona. Wyzdrowienie.

III Przypadek ogłosił Igelsrud 1904. Keen, Therapeutic-Gazette 1904. (Według Lenormant).

Kobieta 43 lat; cachexia, carcinoma uteri (wycięcie macicy całkowite przez powłoki brzuszne). Narkoza chloroformowa. Zapad pod koniec operacyi.

Oddychanie sztuczne, faradyzacya nerwu przeponowego przez 3—4 minut bez skutku. Igelsrud przeciął 4 te i 5-te żebro po stronie lewej, otworzył pericardium i odsłonił serce zupełnie nieruchome. Początek miesienia serca 3—4 minut po pojawieniu się synkope. Po minucie uciskania rytmicznego serca powróciły ruchy samoistne, które stopniowo się wzmagały. Gdy pojawiło się już tętno, znowu serce osłabło. Ponowne miesienie przez 1 minutę, poczem czynność serca regularna. Po pięciu tygodniach wyzdrowienie.

IV Przypadek. Sencert, 17 April 1905. Société de biologie 1905. (Według Lenormant).

Mężczyzna lat 51, bardzo wychudzony i kachektyczny. Laparotomia z powodu guza przewodu żółciowego i kamicy żółciowej.

Operacya po raz drugi 17/IV 1905. Chloroform. Wśród ope-

racyi kilka drgań konwulsyjnych, poczem oddech i czynność serca nagle ustaje; chory okazuje wszystkie oznaki śmierci. Twarz blada, trupia, źrenice rozszerzone, tętna brak. Zarządzono sztuczne oddychanie i rytmiczne pociąganie języka; nacieranie całego ciała (flagellatio), wstrzykiwanie podskórne eteru. Zabiegi te przez 7—8 minut nie przyniosły żadnego rezultatu, a ręka, którą operator trzymał w jamie brzusznej, nie wykazywała tętna aorty. Wówczas skierował operator swą rękę ku przeponie, tak że mógł przez nienaruszoną przeponę uciskać palcami koniuszek serca i część komórkową. Palec wielki spoczywał z przodu, inne palce z tyłu uciskały rytmicznie serce. Z początku było serce wiotkie i puste; przepona nie stawiała żadnego oporu. Po pięciu minutach mięsienia zauważył, że mięsień sercowy jędrnieje, i że serce zwiększa swą pojemność i twardość. Po jakimś czasie uczuł pierwszy samoistny skurcz serca, poczem była krótka pauza, a następnie rozpoczęły się rytmiczne uderzenia serca, z początku słabe, później coraz silniejsze.

Tętna nie można było jeszcze wyczuć w tętnicy sprychowej. W dwie minuty później pojawił się pierwszy samoistny oddech. W tym samym czasie zaróżowiła się twarz, źrenice się zwężyły, tętno powróciło, i to dobrze napięte. Już bez dalszej narkozy dokończono operacyi, a chory zbudził się wkrótce. Wieczorem i następnych dni żalił się tylko na nieznaczne bóle międzyżebrowe.

Wynik: wyzdrowienie.

V Przypadek. Smith-Daglish, Novembr. 1905. British. medic. Journal 1905. (Według L e n o r m a n t).

Mężczyzna 63 lat, lekka miażdżyca tętnic, uśpiony chloroformem celem zbadania odbytnicy. Gdy nastał już głęboki sen, zatrzymał się nagle oddech i puls, źrenice rozszerzyły się, a twarz zsiniała. Pociąganie za język, sztuczne oddychanie, injekcya strychniny — bez skutku. Trzy minuty później (licząc od zniknięcia tętna i oddechu) otwarto bardzo szybko, bez dezinfekcyi rąk, brzuch w linii środkowej, tuż pod wyrostkiem mieczykowatym. Zaczęto uciskać serce zupełnie wiotkie przez nienaruszoną przeponę ku tylnej ścianie żeber i mostka ruchem »pétrissement«. Komórki, jakkolwiek miękkie, poczęły okazywać lekkie drgnięcia, w dalszym ciągu mięsienia pojawiły się słabe skurcze, a w minutę później zaczęło serce bić regularnie. Po kilku minutach zaszyto ranę brzuszną.

Wyzdrowienie zupełne.

VI Przypadek. Conkling[1]. New York and Philadelphia med. Journal 1905[2].

Mężczyzna — zranienie klatki piersiowej nożem w okolicy 2-go i 4-go lewego żebra. Zranioną była opłucna i osierdzie. Opatrywanie rany w lekkiej narkozie eterowej, przyczem nastąpiło zatrzymanie ruchów serca. Sztuczne oddychanie bez skutku. Po dwóch minutach rytmiczne uciskanie serca jeszcze odsłoniętego między wielkim palcem a palcem wskazującym. Wynik mięsienia: po $^3/_4$ do 1 minuty samoistna czynność serca. Tamponada rany. Analeptica. Jeszcze przez całą noc wielkie osłabienie.

Wynik: wyzdrowienie.

VII Przypadek Gray I. Lancet 1905. (Według Cackovica).

Kobieta 60-letnia. Synkope pod koniec ovariotomii. Pacyentka staje się blada, nastaje wstrzymanie ruchów serca i oddychania. Rodzaju narkozy nie podano. Sztuczne oddychanie bez skutku. Wprowadzono rękę do brzucha i uciskano serce wiotkie rytmicznie (przez nienaruszoną przeponę). Wynik mięsienia: po 2—3 uciśnięciach serce zaczyna bić i przybiera rytm prawidłowy.

Wynik: wyleczenie.

VIII Przypadek. Ramsay. Intercolonial medical Journal of Australasia 1906. (Według Cackovica).

Kobieta lat 27. Operacya prolapsus uteri. Narkoza: chloroform i eter; 5 minut po skończeniu usypiania wymioty i tętno przepuszczające. Po 4 minutach ustaje oddech, pomimo sztucznego oddechania. Mięsienie serca podprzeponowe. Wynik mięsienia: po jednej minucie powraca pulsacya, z początku słaba, później coraz mocniejsza, a wkrótce pojawia się samoistny oddech. W trzy godziny później tętno 168, nieregularne, przepuszczające. Oddechów 28 na minutę. Chora śpi cztery godziny, potem deliria (majaczenie). Następnego dnia stan jest o wiele lepszy.

Wynik: wyzdrowienie.

IX Przypadek. Gross i Sencert II 17 Juli 1906. Archives provinciales de chirurgie 1906. (Według Cackovica).

Mężczyzna lat 59. Gastrostomia z powodu carcinoma oesophagi. Narkoza chloroformowa. Przy nacięciu skórnem nagle zatrzymanie

[1] Gross, Semert, Mauclaire i Zesas nazywają: Corning.

[2] Według Cackovica: »Ueber directe Massage des Herzens als Mittel zur Wiederbelebung«. Archiv. f. klin. Chirurgie 1909. Tom 88.

oddychania i czynności serca. Chory jest blady. Sztuczne oddychanie, pociąganie języka i t. d. bez skutku. Po 6--8 minutach bezskutecznych usiłowań, nacięcie powyżej pępka. Ujęto palcami serce przez wiotką przeponę i zaczęto rytmicznie uciskać. Wynik mięsienia: po 2 minutach serce twardnieje i wkrótce pojawia się pierwszy skurcz. Z początku są to jeszcze nieregularne drgnięcia, lecz wkrótce zjawia się regularne uderzenie serca, chociaż bardzo przyspieszone (120). W minutę później pojawia się pierwszy samoistny oddech. Szybko dokończono operacyi bez znieczulania.

Wynik: wyzdrowienie.

X Przypadek. Prof. dr. Kader. Przegląd lekarski 1910. »W sprawie cucenia zapomocą mięsienia serca w przypadkach nagłej śmierci w czasie operacyi«.

»Mężczyzna lat 32. Rozpoznanie: Ulcus ventriculi occultum, stenosis pylori. Leczenie: Gastroenterostomia«.

»Dnia 30/IX 1908 uśpienie chloroformowe. W chwili wyciągnięcia żołądka przez powłoki brzuszne zapad (syncope). Brak zupełny czynności serca i oddechu, chory blady jak płótno, źrenice szerokie bez odczynu. Bezzwłocznie sztuczny oddech, w czasie którego uległa zabrudzeniu chusta, włożona do wnętrza jamy brzusznej powyżej żołądka. Przy wyjmowaniu jej wprowadziłem rękę pod przeponę dla usunięcia stamtąd przypadkowo jednocześnie z chustą włożonego małego kawałka gazy, i w tej chwili uczułem przez przeponę ruch, który sprawił na mnie wrażenie skurczu serca. Brak dalszego odczynu ze strony serca naprowadził mnie na myśl ponownego wprowadzenia ręki pod przeponę i wykonywania mięsienia serca. Już po kilku sekundach zaczęło serce bić wyraźnie, oddech powrócił i mogłem w parę minut potem przystąpić do dokończenia operacyi z wynikiem dobrym«.

Chory opuścił łóżko po trzech tygodniach w zupełnie dobrym stanie. Latem 1909 r. widział go prof. dr. Kader po raz ostatni jako zupełnie zdrowego człowieka.

XI Przypadek. Prof. dr. Kader. Przegląd lekarski 1910. »W sprawie cucenia zapomocą mięsienia serca w przypadkach nagłej śmierci w czasie operacyi«.

Kobieta lat 35. Rozpoznanie: Pyosalpinx ambilateralis. Myomata uteri. Adipositas universalis maioris gradus. Leczenie: Exstirpatio uteri.

Chorą tę operował prof. Rosner, a prof. Kader mu asystował.

Chora podała w wywiadach między innemi, że miewała częste napady osłabienia serca i bóle w jego okolicy. Jest bardzo nerwowa.

Dnia 21/III 1910 r. Znieczulenie lędźwiowe. Wstrzyknięto 0·11 rozczynu 2% tropakokainy. Ułożenie chorej na stole operacyjnym w położeniu Trendelenburga maksymalnem tak, że chora leżała z głową prawie prostopadle opuszczoną na dół. Od chwili przybrania tego położenia silna sinica twarzy. Prof. Rosner otwarł jamę brzuszną cięciem od pępka do spojenia łonowego w linii środkowej i zaczął odłączać liczne zrosty pomiędzy macicą a otaczającymi narządami.

Po jakichś 5—8 minutach od rozpoczęcia operacyi, t. j. mniej więcej w 10 minut po wstrzyknięciu tropakokainy, zaczęła chora oddychać coraz płycej, tętno słabło, szybka sinica wzmagała się, wystąpiła niemota. chora mogła poruszać tylko wargami, a nie mogła mówić nawet szeptem; na rozkaz oddychania głębszego otwierała tylko usta i nie mogła wykonać ruchów oddechowych, a w krótką chwilę po wystąpieniu tych objawów oddech i czynność serca ustały zupełnie. Wystąpiło zupełne zwiotczenie mięśni, źrenica była szeroka, nie oddziaływała na światło. zamgliła się. gałki oczne straciły napięcie, zwiotczały.

Chorą ułożono prawie poziomo z nieznacznie tylko obniżoną górną częścią tułowia dla uniknięcia niedokrwienia mózgu. Po przekonaniu się o drożności dróg oddechowych przystąpiono do sztucznego oddechu, tlen, kamfora. Po jakich 8—10 minutach od chwili ustania czynności serca postanowił prof. dr. Kader wobec zupełnej bezskuteczności dotychczasowej akcyi ratunkowej, zastosować mięsienie serca. Rozszerzył cięcie brzuszne aż do mostka, wprowadził prawą rękę pod przeponę, lewą położył w okolicy serca na klatkę piersiową i począł w wyżej opisany sposób mięsić serce. Mimo, że chora miała silnie rozstawione łuki żebrowe i spłaszczoną przeponę, mógł wyraźnie wyczuć serce i poddać je dostatecznemu uciskowi.

Dopiero po 3—4 minutach, które się wydawały wiecznością, uczuł pierwszy bardzo słaby skurcz serca. Przez kilka następnych minut występowały tylko pojedyncze, rzadkie skurcze. Stawały się one coraz wyraźniejsze, silniejsze i częstsze. Pierwszych kilka skurczów miało charakter wyraźnie falowaty; przez cały ten czas stosowano tlen i sztuczny oddech. Po jakichś 12—15 minutach czynność serca stała się zupełnie samoistną i prawidłową, chora oddychała sama, napięcie twarzy i gałek ocznych wróciło, źrenica zwę-

żyła się i zaczęła oddziaływać na światło, rogówka wypukliła się, nabrała prawidłowego połysku i wilgoci. Chora wróciła do zupełnej przytomności w jakieś 20—25 minut po rozpoczęciu mięsienia serca.

W jakieś pół godziny po przyjściu do zupełnej przytomności chorą zachloroformowano i prof. Rosner mógł dokończyć zabiegu wycięcia macicy. Operacya była bardzo ciężka z powodu zrostów z narządami małej miednicy i trwała długo, tak, że chora była przeszło godzinę w uśpieniu chloroformowem.

W dalszym przebiegu chora była w ciągu pierwszych dwóch dni po operacyi bardzo silnie podniecona, popadała kilkakrotnie w długotrwały szał, była prawie stale na wpół przytomną, mówiła bardzo dużo, nie poznawała otoczenia, spała bardzo niewiele. Do przytomności i świadomości zupełnej wróciła dopiero po pięciu dniach. Głównemi jej skargami były wówczas bóle prawie stałe w okolicy serca. Pierwsze dni po operacyi znikły z pamięci chorej najzupełniej.

W lipcu 1910 była pani X. Y. zupełnie zdrowa, stan nerwowy i umysłowy zupełnie prawidłowy, użalała się tylko od czasu do czasu na nieznaczne bóle w okolicy serca.

W czerwcu 1911 pani ta zgłosiła się do mnie, żaląc się na bóle w okolicy dołka podsercowego i wymioty, pojawiające się mniej więcej w odstępach dwutygodniowych. Uwzględniając wynik badania promieniami Röntgena, oraz wszystkie inne czynniki w grę wchodzić mogące, rozpoznałem kamyki żółciowe i poleciłem chorej wyjazd do Karlsbadu. Stan odżywienia chorej znakomity, czynność serca zupełnie prawidłowa, układ nerwowy nie okazuje żadnych zaburzeń, czynności psychiczne odbywają się zupełnie prawidłowo.

Jakkolwiek przytoczone przypadki dowodzą, że moja metoda przywracania życia jest wśród pewnych warunków skuteczna, to jednak nie przestaję pracować nad udoskonaleniem tej metody, a w szczególności pragnę rozwiązać pytanie, czy można wytworzyć sztuczne krążenie krwi, bez uciekania się do zabiegu chirurgicznego, t. j. bez otwierania klatki piersiowej lub jamy brzusznej. Dziś mogę już na podstawie mych doświadczeń dać to zapewnienie, że odpowiedź na powyższe pytanie wypadła twierdząco, jakkolwiek nie udało mi się jeszcze ująć w ścisłe prawidła tych wszystkich czynników, od których pomyślny wynik zależy.

METODA WYPROWADZANIA CAŁEK LOGARYTMICZNYCH RÓWNANIA RÓŻNICZKOWEGO

$$\frac{dy}{dx}=\frac{ax+by+\ldots\ldots\ldots}{a'x+b'y+\ldots\ldots\ldots}$$

napisał

JÓZEF PUZYNA

Briot i Bouquet uwzględnili wypadki, w których równanie

$$(1) \qquad \frac{dy}{dx} = \frac{ax + by + \dots\dots}{a'x + b'y + \dots\dots}$$

daje się rozwiązać przez całki y jednoznaczne (holomorficzne), albo algebraicznej lub przestępnej natury w otoczeniu miejsca $(x, y) = (0, 0)$[1]

Okazało się później[2], że przez rozważania zaczerpnięte z dziedziny równań różniczkowych cząstkowych i przedstawienie całki parą funkcyi $[x = \varphi(t),\ y = \psi(t)]$ o zmiennym parametrze t można równanie (1) rozwiązać w otoczeniu miejsca $(x, y) = (0, 0)$ całkiem ogólnie — w wypadkach nieobjętych poszukiwaniami Briota i Bouqueta — już to przez całki zbliżające się do miejsca $(x, y) = (0, 0)$ spiralnie, już to przez całki logarytmiczne.

W krótkości metoda całkowania przedstawia się w ten sposób:

Równanie (1) zastępuje się równaniem cząstkowem

$$(2) \qquad (a'x + b'y + \dots) \frac{\partial \omega}{dx} + (ax + by + \dots) \frac{\omega}{dy} = O$$

w którem $\omega(xy) = O$ ma być właśnie całką równania (1) dla otoczenia miejsca $(x, y) = (0, 0)$

Przez liniowe podstawienia sprowadza się (2) do postaci:

$$(3) \qquad [y_1 + (y_1 y_2)_2 + \dots] \frac{\partial \omega}{dy_1} + [\lambda y_2 + (y_1 y_2)'_2 + \dots] \frac{\partial \omega}{dy_2} = O,$$

---

[1] Przez sprowadzenie równania (1) do postaci $t . \frac{d\eta}{dt} = \alpha t + \beta \eta + \dots$

[2] Por. E. Picard. «Traitè d'Analyse». T. III (wydanie drugie) Ch. I., a także zapiski źródeł w «Encyklopaedie der mathematischen Wissenschaften». T. II. str. 215 i nast.

gdzie y_1, y_2 są nowe niezależne zmienne, $(y_1, y_2)_2$, $(y_1, y_2)'$ są jednorodnemi funkcyami tych zmiennych stopnia 2-go (po nich następują takież funkcye stopni 3, 4,...), a λ i 1 są pierwiastkami równania stopnia drugiego:

$$(4) \qquad \Delta(\lambda) = \begin{vmatrix} a'-\lambda, & a \\ b', & b-\lambda \end{vmatrix} = 0.$$

Z powodu dowolności jednego ze spółczynników a, b, a', b' przyjąć można, że jeden pierwiastek λ jest $= 1$.

W wypadku kiedy drugi pierwiastek λ jest $\neq 1$ i

1) nie jest całkowity dodatni,

2) nie jest $= \frac{1}{\nu}$, $\nu = 2, 3, 4, \ldots$

3) nie jest odjemny,

całkujemy równanie (3) w ten sposób:

Połóżmy dla krótkości

$$y_1 + (y_1 y_2)_2 + \ldots = \varphi_1, \quad \lambda y_2 + (y_1 y_2)_2' + \ldots = \varphi_2$$

i zamiast (3) rozważmy dwa równania:

$$(a) \qquad \varphi_1 \frac{\partial \omega}{dy_1} + \varphi_2 \frac{\partial \omega}{dy_2} = \lambda \omega$$

$$(b) \qquad \varphi_1 \frac{\partial \omega_1}{dy_1} + \varphi_2 \frac{\partial \omega_1}{dy_2} = \omega_1.$$

O tych równaniach dowodzi się, że posiadają jednoznaczne całki ω, ω_1 w otoczeniu miejsca $(y_1, y_2) = (0,0)$, (a więc i miejsca $(x, y) = (0, 0)$).

Napiszmy (a), (b) w postaciach:

$$(a') \qquad \varphi_1 \frac{\partial}{dy_1} \log \omega^{\frac{1}{\lambda}} + \varphi_2 \frac{\partial}{dy_2} \log \omega^{\frac{1}{\lambda}} = 1$$

$$(b') \qquad \varphi_1 \frac{\partial}{dy_1} \log \omega_1 + \varphi_2 \frac{\partial}{dy_2} \log \omega_1 = 1$$

i odejmijmy równanie (b') od (a'), to dostaniemy:

$$\varphi_1 \frac{\partial}{dy_1} \log \frac{\omega^{\frac{1}{\lambda}}}{\omega_1} + \varphi_2 \frac{\partial}{dy_2} \log \frac{\omega^{\frac{1}{\lambda}}}{\omega_1} = 0$$

a to wskazuje, że

$$\frac{\omega^{\frac{1}{\lambda}}}{\omega_1} = \text{const.}$$

jest całką równania (3). Za powrotem do zmiennych (x, y) dostajemy całkę równania (1)[1].

Uwzględnijmy teraz wykluczone wartości 1), 2), 3). W przerobieniu równania (1) na (3) zrobiono użytek z obudwu pierwiastków: λ, 1 równania $\Delta(\lambda) = 0$.

Gdy się przy tem przerabianiu zrobi użytek tylko z jednego pierwiastka $\lambda \neq 1$, naówczas zamiast równania (3) dostaniemy

$$(5) \qquad [\lambda y_1 + (y_1 y_2)_2 + \ldots] \frac{\partial \omega}{d y_1} + [\mu_1 y_1 + \mu_1 y_2 + \ldots] \frac{\partial \omega}{d y_2} = 0,$$

gdzie przytem μ_1, μ_2 są dowolne.

Gdy równanie $\Delta(\lambda) = 0$ ma powtarzający się pierwiastek λ — (obojętnem jest na razie, czy go zakładamy $= 1$, czy też $\neq 1$), to wtedy zamiast (5) mieć będziemy:

$$(6) \qquad [\lambda y_1 + (y_1 y_2)_2 + \ldots] \frac{\partial \omega}{d y_1} + [\mu_1 y_1 + \lambda y_2 + \ldots] \frac{\partial \omega}{d y_2} = 0.$$

Właśnie ten wypadek powtarzającego się pierwiastka chcę uwzględnić i wyprowadzić całkę logarytmiczną, jaka się tu okazuje, w sposób naturalny[2], za użyciem metody podobnej n. p. do tej, jakiej się używa w równaniach różniczkowych liniowych ze stałymi spółczynnikami w razie powtarzających się pierwiastków równania charakterystycznego.

Naznaczmy pierwiastki równania $\Delta(\lambda) = 0$ przez λ i λ_1, przyjmując je na razie jako różne od siebie, a spółczynniki w równaniu (5) nazwijmy krótko: $X_{\lambda, 0}$, $X_{\mu_1 \mu_2}$.

[1] Przez podstawienie

$$\omega_1 = c t, \quad \omega = c' t^{\lambda},$$

gdzie t jest dowolny parametr, dostajemy z tych równań całkę równania (1) w postaci pary funkcyj.

[2] Picard l. c. str. 32, 33, przechodząc do równań cząstkowych, wprowadza apryocznie dwie zmienne $u = -t$, $v = \frac{t^{\lambda} - 1}{\lambda - 1}$. Z drugiej z nich ($v$) dostajemy, gdy $\lambda = 1$, $v = t \log t$.

Położymy więc

$$(6)\qquad X_{\lambda,0}\frac{\partial\omega}{dy_1}+X_{\mu_1\mu_2}\frac{\partial\omega}{dy_2}=0$$

Równanie to posiada jednoznaczną całkę ω dla otoczenia miejsca $(y_1, y_2)=(0,0)$, a przy rekursywnem obliczaniu spółczynników tej całki zbytecznem jest wykluczać wartości 1), 2), 3), albo zakładać, że $\lambda \neq \lambda_1$.

Zamiast równania (6) zauważmy równanie

$$(\alpha)\qquad X_{\lambda,0}\frac{\partial\omega}{dy_1}+X_{\mu_1\mu_2}\frac{\partial\omega}{dy_2}=\lambda\omega.$$

Lecz analogicznie, gdy się przy przerabianiu równania (1) zrobi użytek tylko z drugiego pierwiastka $\lambda_1 \neq \lambda$, dojdziemy do równania:

$$(7)\qquad X_{\lambda_1 0}\frac{\partial\omega_1}{d y_1}+X_{\nu_1\nu_2}\frac{\partial\omega_1}{d y_2}=0,$$

a w miejsce jego zauważymy:

$$(\beta)\qquad X_{\lambda_1 0}\frac{\partial\omega_1}{d y_1}+X_{\nu_1\nu_2}\frac{\partial\omega_1}{d y_2}=\lambda_1\omega_1$$

Podzielmy równanie (α) przez ω, a równanie (β) przez ω_1 i odejmijmy je potem od siebie, to dojdziemy do związku:

$$(8)\qquad \frac{X_{\lambda 0}\dfrac{\frac{\partial\omega}{dy_1}}{\omega}-X_{\lambda_1 0}\dfrac{\frac{\partial\omega_1}{d y_1}}{\omega_1}}{\lambda-\lambda_1}+\frac{X_{\mu_1\mu_2}\dfrac{\frac{\partial\omega}{dy_2}}{\omega}-X_{\nu_1\nu_2}\dfrac{\frac{\partial\omega_1}{d y_2}}{\omega_1}}{\lambda-\lambda_1}=1.$$

Przyjmijmy teraz $\lambda=\lambda_1=1$, to otrzymamy

$$X_{\lambda 0}=X_{\lambda_1 0}=X_{1 0};\qquad X_{\mu_1\mu_2}=X_{\nu_1\nu_2}=X_{\mu_1\lambda}=X_{\mu_1 1}$$

a więc równanie (8) przejdzie na

$$(\alpha)\qquad X_{10}\frac{\partial}{dy_1}\left[\frac{\log\omega-\log\omega_1}{\lambda-\lambda_1}\right]_{\lambda=\lambda_1=1}+$$

$$+X_{\mu_1 1}\frac{\partial}{dy_2}\left[\frac{\log\omega-\log\omega_1}{\lambda-\lambda_1}\right]_{\lambda=\lambda_1=1}=1.$$

Prócz tego mamy równanie (β), które, gdy $\lambda = \lambda_1 = 1$, ma postać:

$$(\beta') \qquad X_{1,0} \frac{\partial}{dy_1} \log \omega_1 + X_{\mu_1 1} \frac{\partial}{dy_2} \log \omega_1 = 1$$

Przez odjęcie (β') od (α') dostajemy:

$$X_{10} \frac{\partial}{dy_1} \left\{ \left[\frac{\log \omega - \log \omega_1}{\lambda - \lambda_1} \right]_{\lambda = \lambda_1 = 1} - \log \omega_1 \right\} +$$

$$+ X_{\mu_1 1} \frac{\partial}{dy_2} \left\{ \left[\frac{\log \omega - \log \omega_1}{\lambda - \lambda_1} \right]_{\lambda = \lambda_1 = 1} - \log \omega_1 \right\} = O.$$

To wskazuje, że przy $\lambda = \lambda_1 = 1$ ma równanie (6) całkę:

$$(9) \qquad \Omega = \left[\frac{\log \omega - \log \omega_1}{\lambda - \lambda_1} \right]_{\lambda = \lambda_1 = 1} - \log \omega_1 = \text{const.}$$

Lecz

$$N = \left[\frac{\log \omega - \log \omega_1}{\lambda - \lambda_1} \right]_{\lambda = \lambda_1 = 1} = \frac{O}{O},$$

bo w razie $\lambda = \lambda_1$ jest $\omega \equiv \omega_1$. A więc

$$N = \left. \frac{\frac{\partial \omega}{d\lambda}}{\omega} \right]_{\lambda = \lambda_1 = 1}$$

Połóżmyż

(10) $\omega = ct^{\lambda}]_{\lambda = 1}$, a więc $\omega_1 = ct$, gdzie C jest stała dowolna, a t parametrem zmiennym, to dalej mamy:

$$\frac{\partial \omega}{d\lambda} = c.\, t.^{\lambda} \log t \Big]_{\lambda = 1} = ct. \log t$$

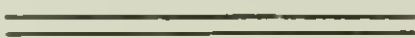
$$\left. \frac{\frac{\partial \omega}{d\lambda}}{\omega} \right]_{\lambda = 1} = \log t, \qquad \log \omega_1 = \log c + \log t$$

i widocznie podstawieniami (10) czynimy zadość równaniu całkowemu (9).

Z równań

$$\frac{\partial \omega}{d\lambda}\Big]_{\lambda=1} = ct.\log t, \quad \omega\, ct^{\lambda}]_{\lambda=1} = ct$$

dostajemy y_1, y_2, a więc i x, y wyrażone w funkcyach ilości ct, $ct \log t$. Ta para funkcyj daje całkę logarytmiczną. Zjawia się ona w wypadku powtarzającego się pierwiastka λ równania $\Delta(\lambda) = O$, bez różnicy czy λ należy do wartości wykluczonych, czy nie.



O UNII INTERPARLAMENTARNEJ

napisał

GUSTAW ROSZKOWSKI

I. Powstanie Unii Interparlamentarnej.

Dawne marzenia monarchów (Henryk IV), mężów Stanu (min. Sully), uczonych (Im. Kant) i filantropów (Abbé St. Pierre) o wiecznym pokoju[1], skrystalizowały się w XIX i bieżącym stuleciu w dążeniu do utworzenia kongresów dla spraw międzynarodowych i sądów polubownych, mających rozstrzygać spory państw. Kongresy były proponowane nietylko przez polityków i uczonych, ale nawet przez monarchów. Napoleon III był wielkim zwolennikiem kongresów dla spraw europejskich. Toż samo Don Pedro, cesarz brazylijski. Miały to być ciała polityczne, z delegatów mocarstw złożone, regulujące stosunki państw do związku międzynarodowego należących, a przezto zapobiegające wybuchowi konfliktów między mocarstwami i przyczyniające się nietylko do utrwalenia dobrych między niemi stosunków, ale co więcej — organizujące stosunki państw zarówno na zasadzie politycznej powszechnego dobra, jak i na zasadzie sprawiedliwości i prawa.

Zwolennicy idei kongresów różnili się tylko między sobą co do tego, czy te kongresy mają być stałe czy peryodycznie zwoływane.

Za pomocą sądów polubownych sądzono, że będzie można uniknąć wybuchu wojny. Otuchą powodzenia na tej drodze dla zwolenników sądów polubownych, była przedewszystkiem uchwała kongresu paryzkiego z 1856 r., stanowiąca, że w razie ponownego wybuchu konfliktu w kwestyi wschodniej, między mocarstwami na kongresie reprezentowanemi, żadne z nich nie chwyci za oręż pier-

---

[1] Ueber den ewigen Frieden. München 1871. Wundsam, Das Buch des Friedens. Bern 1897, str. 8. Moch, Histoire sommaire de l'arbitrage permanent. Monaco 1905. Dr. Steinbach. Die Friedensbewegung. Wien 1899. Dr. Zimmermann, Die Friedensbewegung. Luzern 1905.

wej, aż się odwoła do usług przyjacielskich zaprzyjaźnionego państwa, o ile okoliczności na to pozwolą.

Wrażenie w świecie tej uchwały, było olbrzymie. Sądzono powszechnie, że w tem postanowieniu kongresu paryzkiego tkwi rozwiązanie jednej z najważniejszych kwestyi świata — usunięcie wojen. Powszechnem było mniemanie, że nawet najbardziej zwaśnione mocarstwa, wskutek usług przyjacielskich i przedstawień zaprzyjaźnionego państwa, odstąpią od zamiaru prowadzenia wojny. Na zachodzie Europy, we Francyi, a zwłaszcza w Anglii, rozwinięto nadzwyczaj energiczną akcyę w tym celu, ażeby tylko w mowie będące postanowienie kongresu paryskiego uogólnić i pozbawić ograniczeń z któremi zostało powzięte. Na zgromadzeniach publicznych i meettingach w Anglii, uchwalano adresy do królowej Wiktoryi z prośbą, aby poleciła swemu reprezentantowi na kongresie paryzkim uczynić starania, żeby w mowie będąca uchwała odnosiła się do wszystkich państw i wszelkich sporów. Starania te z polecenia królowej angielskiej zostały dokonane, ale z powodu niezgodzenia się Rosyi, Prus i Austryi, sprawa ta upadła. Mimo to, w szerokich warstwach ludności, a nadewszystko w kołach uczonych utrwaliło się to przekonanie, że pokojowe załatwienie sporów państw jest możebnem, i że droga sądów polubownych najwięcej będzie odpowiadać powadze i godności państw, i najpewniej do utrwalenia pokoju w świecie doprowadzi[1].

Przekonanie to utrwaliło się jeszcze więcej, gdy blizko w dwadzieścia lat po kongresie paryzkim, (w r. 1872) przyszedł do skutku sąd polubowny w sprawie Alabamy. Okazało się, że wielkie i skomplikowane sprawy w ten sposób bardzo dobrze rozstrzygnięte być mogą. Do tego przybył wzgląd inny, bardzo ważny. Największe na morzu mocarstwo — Anglia, roszczące sobie wówczas wyłączne prawo do rozstrzygania w kwestyi prawa wojny morskiej, obwiniona o naruszenie praw z neutralności wynikających, poddała się sądowi i wyrok wykonała, płacąc wynagrodzenia $15\frac{1}{2}$ milionów dolarów

[1] Annuaire de l'Institut de droit international. Paris 1904 str. 181 i n. Dr E. Harmening, Das Recht der Völker auf Frieden. Breslau 1891. Descamps, Die Organisation eines internationalen Schiedsgerichtes, tłóm. Fried. München. Corsi, Étude sur un nauveau traité général d'arbitrage. Turin 1899. Clerget, La question sociale et la paix. La Chaux-de-Fonds. 1903. Descamps, Essai sur l'arbitrage international. Bruxelles 1895.

w złocie. Przez to usuniętą została ważna wątpliwość: czy poddanie się sądowi nie ubliża powadze państwa.

W drugiej połowie XIX-go stulecia, pod wpływem tych wypadków, ruch na korzyść zaprowadzenia sądów polubownych w sporach państw znacznie się spotęgował. Stało się to w dwóch kierunkach. Jedni, idąc za wzorem Manciniego, żądali pomieszczania w traktatach ekonomicznej treści zastrzeżenia: że wszelkie spory z nich wyniknąć mogące rozstrzygane będą przez sądy polubowne, inni — i to jest stanowisko w tej kwestyi najnowsze, żądali ażeby państwa zawierały oddzielne umowy, zapewniające przekazanie sądowi polubownemu wszelkich ich sporów w kwestyach prawnych, i w takich sprawach, które bezpieczeństwa i honoru państwa nie dotyczą.

Ruch ten, objawiający się pierwotnie w literaturze i na zgromadzeniach publicznych, został przeniesiony do parlamentów. Od r. 1873 zacząwszy, najznakomitsi parlamentarzyści w Anglii, we Francyi, w Holandyi, w Danii, Belgii i Szwecyi przemawiali o znaczeniu kulturalnem sądów polubownych. Odpowiedzi rządów brzmiały przeważnie przychylnie. Odpowiedź Gladstowna była jedną z najprzychylniejszych w tej sprawie. W r. 1887 w londyńskiej izbie gmin, poseł William Randal Cremer domagał się traktatu co do sądu polubownego pomiędzy Anglią i Stanami Zjednoczonemi. Z winy kongresu amerykańskiego do tego nie przyszło, ale obrady parlamentarne nad tą sprawą posunęły ją znacznie naprzód — dodały jej znaczenia i ważności.

Opór w tej sprawie kongresu amerykańskiego wywołał przeświadczenie u zwolenników idei pokoju i sądów polubownych, że należy zorganizować posłów wszystkich ciał prawodawczych dla przeprowadzenia traktatów co do pokojowego załatwiania sporów państw drogą wyrokowania sądów. Na czele tej akcyi stanęli dwaj znani pacyfiści: Randal Cremer i Fryderyk Passy.

Oni to zainicyowali pierwszy zjazd w tej sprawie posłów francuzkich i angielskich sprzyjających tej myśli, ażeby przedewszystkiem doprowadzić do tego wpływami ich na rządy i parlamenty, żeby zawarty został traktat co do sądów polubownych między Anglią, Francyą i Stanami Zjednoczonemi.

Zjazd ten odbył się w Paryżu 31 paździer. 1887 r. (w Grand hotelu), przy współudziale 9 posłów angielskich i 25 francuzkich.

Na zjeździe tym uchwalono odbyć w tej samej sprawie w r.

przyszłym ponowny zjazd, a nadto przyjęto następującą rezolucyę:

Une réunion ultérieure, à laquelle seront admis à prendre part, non seulement les membres des trois parlements ci-dessus visés (américain, britannique, français), mais aussi les membres des autres parlements qui se sont fait connaitre par leur dévouement aux mêmes idées, aura lieu l'année prochaine pour compléter l'oeuvre commencée dans cette première conférence«.

Uchwalenie tej rezolucyi było utworzeniem unii interparlamentarnej [1], t. j. związku parlamentów dla sprawy pokoju, a mianowicie dla usuwania wojen przez zobowiązanie się państw do rozstrzygania ich sporów bez rozlewu krwi, przez poddanie się sądowi polubownemu.

Zapowiedziana w r. następnym konferencya odbyła się również w Paryżu, w d. 29 i 30 czerwca 1889, przy współudziale: 55 posłów francuzkich, 30 angielskich, 5 włoskich i po jednej osobie z parlamentu belgijskiego, duńskiego, hiszpańskiego, Stanów Zjednoczonych, Węgrów i Liberii.

Na konferencyi tej uchwalono:

Zebrania interparlamentarne odbywać się będą rokrocznie w innem mieście, ale w krajach, które w Unii interparlamentarnej są reprezentowane.

II. Organizacya Unii.

Utworzony w powyższy sposób związek parlamentów dla sprawy pokoju w świecie, nosił pierwotnie nazwę: La conférence Interparlementaire pour l'arbitrage internationale. Od r. 1899 przyjęto nazwę l'Union interparlementaire.

Dziś Unia interparlamentarna ma swą organizacyę, nawet dosyć skomplikowaną [2]. Wyrabiała się ona stopniowo. Unia składa się

---

[1] L'Union Interparlementaire. Son oeuvre, son organisation actuelle. Bruxelles 1910. Annuaire de l'Union Interparlementaire. Bruxelles 1911.

d'Estournelles de Constant, Conciliation Internationale. L'Organisation de l'Union Interparlementaire. Paris 1910. [Pandolfi] Résumé de l'histoire du mouvement interparlementaire, pour l'arbitrage et la paix. Padoue 1892. Descamps, Le pacigérat. Bruxelles 1898.

[2] Konferencya hagska (1894), Konf. w Christianii (1899), w Berlinie (1908)

z grup parlamentarnych. Wszyscy posłowie z jednego parlamentu, należący do Unii, tworzą grupę parlamentarną. Grupy te nosiły pierwotnie nazwę Comitès interparlementaires, dziś nazywają się one groupes nationaux.

Generalne zebranie grup, tworzy Conférence interparlementaire. Dwóch członków każdej grupy (przeważnie prezes i wiceprezes) tworzą Radę (Conseil). Prezes i czterech członków, należących do różnych grup, tworzą komitet wykonawczy (Comité exécutif).

Rada wybiera z swego grona prezesa Unii, i mianuje sekretarza generalnego. Na konferencyi w Rzymie 1891 r. powstała myśl utworzenia centralnego urzędu Unii. Na konferencyi w Bernie 1892 r. urząd ten powołano do życia, pod nazwą Bureau interparlementaire.

III. Statut Unii.

Najważniejsze postanowienia statutu Unii są następujące[1]:

Celem unii jest połączyć działalność członków wszystkich parlamentów w tym celu, aby w ich państwach w drodze ustaw lub traktatów międzynarodowych została uznaną zasada, że spory państw będą poddane sądowi polubownemu. Unia zajmować się również będzie innemi kwestyami międzynarodowego prawa publicznego.

Siedzibą Unii jest Bruxella (aż do odwołania).

Członkami grup narodowych mogą być:

a) Członkowie parlamentu
b) Byli członkowie rady interparlamentarnej (Conseil.),
c) byli posłowie, którzy ze względu na swe zasługi, na wniosek grupy zostali przez Radę przyjęci do Unii.

Obowiązkiem członków Unii jest podać uchwały konferencyj interparlamentarnej do wiadomości swych parlamentów i przyczyniać się do utrzymania światowego pokoju.

Konferencya interparlamentarna zbiera się rokrocznie. Przewodniczy w niej prezes Rady.

i w Brukseli (1910). Résolutions des Conférences. Bruxelles 1911 str. 48, 68 106, 112.

D'Estournelles de Constant, L'organisation de l'Union Interparlementaire. Paris 1910.

[1] Annuaire de l'Union Interparlementaire. Bruxelles 1911 str. 18.

Rada interparlamentarna składa się z dwóch członków wybranych przez grupy narodowe (zazwyczaj prezes i wiceprezes grupy). Honorowymi członkami rady, z głosem doradczym, są członkowie Unii, którzy przewodniczyli konferencyi.

Członkowie rady gromadzą się po 1-em posiedzeniu konferencyi, dla wyboru swego prezesa.

Do głównych atrybucyj rady należy:

zwoływanie konferencyj i uchwalanie wniosków, które mają być jej przedkładane, proponowanie jej prezesa i wiceprezesów, układanie budżetu, starania o wykonanie celów Unii.

Organem administracyjnym i wykonawczym Unii, jest biuro interparlamentarne. W skład jego wchodzi prezes rady, który jest i biura prezesem, sekretarz generalny i 5 członków przez konfer· wybranych z łona rady. Na każdej konferencyi jeden z nich ustępuje, i przed upływem 2 lat nie może być wybranym.

Biuro jest organem centralnym dla grup, pośredniczącym między niemi, czuwa nad wykonaniem uchwał rady i konferencyi, przygotowuje dla nich obu wnioski, utrzymuje archiwum unii i zbiera dokumenta co do sądów polubownych w sporach państw.

Sprawy biura załatwia sekretarz generalny.

Na początku r. 1911 unia obejmowała 2978 posłów (w tem 97 b. posłów), reprezentujących 20 parlamentów. Wynosi to mniej więcej $^{1}/_{4}$ część wszystkich posłów. Jednakże w Belgii, Holandyi, we Francyi, w Danii, w Szwecyi i Norwegii większość posłów należy do Unii. W tej ogólnej cyfrze uczestników Unii są przeważnie posłowie z Izby niższej, tylko w Portugalii jest większość członków senatu w Unii.

Dotąd do Unii nie należą: posłowie w Bułgaryi, Luxemburgu i Ameryki łacińskiej [1].

IV. Budżety Unii.

Budżety Unii obejmują już poważne kwoty.

I tak: dochody w r. 1910 wynosiły 85.465 fr. 23 c.

wydatki w tymże r. — 39.009 » 45 »

[1] Rapport du secrétaire général au Conseil Interparlementaire. Bruxelles 1912. Str. 5 i n.

dochody w r. 1911 wynosiły 115.757 f. 93 c.
wydatki — — — 56.000 » [1]

Z początku dochody unii stanowiły wkładki jej członków. Norwegia, a za jej przykładem Anglia, były pierwszemi państwami, które przyznały unii subwencye. Obecnie czynią to różne inne państwa, tak że Unia z tego powodu np. w r. 1911 miała 44.897 K 76 h.

V. Unia państw skandynawskich, tudzież Unia holendersko-belgijska.

W obrębie unii interparlamentarnej powstała w r. 1907 unia ściślejsza posłów należących do parlamentów państw skandynawskich (Dania, Szwecya, Norwegia).

Unia ta ma szerszy zakres działania niż unia interparlamentarna, podczas bowiem gdy ta ostatnia istnieje tylko dla sprawy pokoju, a więc ma ona cele tylko należące do związku międzynarodowego, pierwsza — postawiła sobie za zadanie nietylko popieranie celów unii interparlamentarnej, ale nadto zajmowanie się kwestyami prawa międzynarodowego, mającemi szczególną ważność dla państw skandynawskich, i utrzymywanie łączności między tymi państwami.

Druga cecha tej unii jest ta, że ogólne jej zebrania (Conférence) są w dwojakiej formie możebne: wszystkich jej członków, albo tylko delegatów 3-ech grup, po 15 członków z każdej. (Assemblée de délégués). Przez to unia skandynawska uprzedziła unię interparlamentarną w zaprowadzeniu u siebie tej formy posiedzeń, do zaprowadzenia której dąży już od pewnego czasu unia interparlamentarna. Ta forma zebrań okazała się w unii skand. bardzo dla niej dogodną, gdyż trzy plenarne posiedzenia tej unii w r. 1907 (w Kopenhadze), w 1910 (w Stockholmie) i w 1911 (w Kristianii) odbyły się tylko w formie zjazdu delegatów [2].

W r. 1907 powstała również unia posłów holenderskich i belgijskich, p. n. Commission Hollando-Belge. Unia ta jednak ma więcej

[1] Annuaire 1911 r. str. 70.
[2] Annuaire 1911 str. 143.

charakter związku dwu parlamentów dla celów wewnętrznej polityki i dla utrzymywania łączności obu państw, niż dla sprawy światowego pokoju [1].

VI. Spis konferencyj interparlamentarnych.

Konferencye interparlamentarne odbyły się w następującym porządku:

1) w Paryżu 1889 r. [2]
2) w Londynie 1890.
3) w Rzymie 1891 [3]
4) w Bernie 1892
5) w Hadze 1894 [4]
6) w Bruxelli 1895
7) w Budapeszcie 1896 [5]
8) w Bruxelli 1897 [6]
9) w Christianii 1899 [7]
10) w Paryżu 1900 [8]
11) w Wiedniu 1903 [9]
12) w St. Louis 1904 [10]
13) w Bruxelli 1905 [11]
14) w Londynie 1906 [12]
15) w Berlinie 1908 [13]
16) w Bruxelli 1910 [14].

---

[1] Anunaire 1911 str. 144.
[2] Fr. Passy, Pour la paix. Paris 1909. Conférence Interparl. Paris 1889.
[3] Troisième Confér. Interparl. Rome 1891.
[4] Procès-Verbaux des séances de la Confér. interparl. La Haye 1894.
[5] Compte rendu de la VII Confér. Interp. Budapest 1897.
[6] Compte rendu de la VIII Confér. Braine-le-Comte 1898.
[7] Compte rendu de la IX Confér. Berne 1900.
[8] Compte rendu de la X Conf. Paris 1900.
[9] Compte rendu de la XI Conf. Vienne 1903.
[10] Compte rendu de la XII Conf. Washington 1905.
[11] Union Interp. XIIIe Conf. Bruxelles 1905.
[12] Inter-Parliamentary Union, Londres 1907.
[13] Interp. Union. Berlin 1908.
[14] Union Interp. compte rendu de la XVIe Conf. Bruxelles 1910.

Rozbiór szczegółowy prac wszystkich konferencyj byłby bardzo interesującym, przekraczałby jednak stanowczo ramy niniejszej pracy. Musimy się zatem ograniczyć do ogólnego poglądu na wyniki pierwszych piętnastu konferencyj [1], ażeby nieco więcej szczegółowo rozpatrzeć działalność Unii Interparlamentarnej w najnowszych czasach [2], tj. w 2 ostatnich latach.

VII. Działalność Unii od 1889—1908 r.

Działalność pierwszych 15 konferencyj interparlamentarnych, odnosiła się:

I. Do kwestyi sądów polubownych w sporach państw,

II. Do kwestyi ogólnego znaczenia dla prawa narodów.

I.

Kwestya sądów polubownych w sporach państw.

Działalność unii w tym przedmiocie ogarniała:

1) Uchwały co do wprowadzania w życie sądów wymienionych,

2) Projekty traktatów w tym przedmiocie,

3) Uchwały Unii co do klauzuli rozjemczych.

1. Uchwały co do wprowadzania w życie sądów polubownych w sporach państw.

Uchwały konferencyi co do sądów polubownych, w sporach państw, były dwojakie:

Jedne odnosiły się do utworzenia i organizacyi sądów polubownych, drugie wskazywały członkom Unii sposób postępowania do osiągnięcia tego celu [3].

Na konferencyi paryskiej, w r. 1889, powzięto w sprawie sądów polubownych główną zasadniczą uchwałę:

---

[1] Lange. Résolutions des Conférences. Bruxelles 1911.

[2] Rapport du secrétaire général. Bruxelles 1911—1912.

[3] Uchwały konferencyj przedstawiam nie w porządku chronologicznym jak zostały powzięte, ale podług związku ich treści.

Konferencya zaleca usilnie rządom państw cywilizowanych, zawieranie traktatów, przez które rządy nieuchybiając zasadzie niepodległości, niedopuszczając do mięszania się w jego ustrój wewnętrzny, zobowiążą się wszelkie spory państw przekazywać sądom polubownym do rozstrzygania. (Rezulucya 1).

Uchwałę tę powtórzono prawie dosłownie na konferencyi Londyńskiej, w r. 1890, z dodatkiem: tam gdzie zawieranie powyższych traktatów natrafia na trudności, konferencya usilnie zaleca, oddawać każdy pojedynczy spór pod sąd lub pośrednictwo, a członków swych zobowiązuje ażeby cały swój wpływ w parlamencie i po zewnątrz niego zużyli na to, aby powyższa zasada była stosowana w praktyce. (Rezol. 2).

Wreszcie na konferencyi w Wiedniu (1903) uchwalono: Wzywa się państwa które podpisały uchwały konferencyi w Hadze (1899), aby zawierały między sobą ogólne traktaty co do sądów polubownych (Traités généraux d'arbitrage). Wszędzie gdzie okoliczności sprzyjają (jak np. w Stanach Zjednoczonych z Francyą, z Włochami, Hiszpanią), rządy i parlamenty powinny niezaniechać niczego, co może doprowadzić do zawarcia traktatów pokojowych.

Konferencya jest przekonaną, że jak będzie dany przykład, znajdą się i naśladowcy. (Konf. paryska z 1889 r.

Stany Zjednoczone proponowały niektórym państwom zawarcie traktatu pokojowego. Tej sprawie konferencya poświęciła dwie swoje uchwały.

Na posiedzeniu w Peszcie 1896 uchwalono:

Konferencya dowiaduje się z zadowoleniem o układach między Stanami Zjednoczonemi a Anglią, o traktat pokojowy i utworzenie trybunału pokojowego (tribunal pacifique). Konferencya wyraża nadzieję, że układy prędko doprowadzą do skutku, i będzie dowód, że rozstrzyganie sporów państw przez sąd polubowny, jest środkiem praktycznym. (Rezol. 3).

Na konferencyi w Bernie 1892 r. uchwalono:

Ponieważ Stany Zjednoczone proponowały różnym państwom zawarcie traktatów co do arbitrażu, konferencya poleca swym członkom aby żądali od swych parlamentów, ażeby rządy ich państw propozycyę powyższą przyjęły. (Rezol. 1).

Tej samej treści, tylko w ogólnej stylizacyi, powzięła konferencya w Brukselli 1897 r. następującą uchwałę:

Konferencya przypomina, iż uważa za rzecz bardzo doniosłą, ażeby przez jeden lub kilka rządów, utworzony został stały sąd polubowny. (Rezol. 1).

Konferencya interparlamentarna w Hadze, 1894 r. zwraca się do prasy z wezwaniem, ażeby w razie grożącego sporu państw, omawiała go w duchu pojednawczym i łagodzącym. (Rezol. 6).

Konferencya odbyta w Peszcie 1895 r. zobowiązała Biuro interparlamentarne, do porozumienia się z paroma rządami europejskiemi w tym celu, aby skłonić pewną liczbę z nich o przyjęcia projektu traktatu co do sądów polubownych, wypracowanego na wzór przez konfer. brukselską. (Rezol. 2).

Konferencya wyraża życzenie, azeby się odbył kongres międzynarodowy, specyalnie dla rozważenia postępowania (procedury) przy pokojowem załatwieniu sporów państw. (Konf. interparl. w Hadze 1894 r. Rezol. 3).

Traktowaniu sprawy pokoju w parlamentach, Konferencya interparlamentarna poświęciła następujące uchwały:

Konferencya odbyta w Londynie, 1890 r. wyraziła zadowolenie z powodu, 1) iż obie Izby Kongresu Stanów Zjednoczonych, zajmowały się sprawą arbitrażu, a nadto 2) że na kongresie panamerykańskim, reprezentanci państw Ameryki, ułożyli projekt konwencyi co do arbitrażu, który ma być do ratyfikacyi przedłożony rządom. Wreszcie 3) że w toku wówczas była kwestya zawarcia traktatu pokojowego (traité d'arbitrage) Stanów Zjednoczonych z Francyą, i że rezolucyą co do arbitrażu uchwalono we Włoszech, w Norwegii i w Hiszpanii, zaczem niewątpliwie pójdą inne państwa.

Konferencya interparlamentarna na posiedzeniu swem w Brukseli 1895 r. wyraziła zadowolenie (Rezol. 3 i 4):

1) iż izba deputowanych we Francyi jednogłośnie uchwaliła wezwać rząd, aby Stanom Zjednoczonym zaproponował traktat pokojowy (traité d'urbitrage. Angielska izba gmin wyrażała te same tendencye);

2) iż Storting norwegski uchwalił 2000 kor. na utrzymanie biura Unii interparlamentarnej, a nadto, aby dać dowód jak sprzyja idei pokoju, uchwalił on nadto pokrywać ze skarbu państwa koszta podróży swych członków na posiedzenia Unii. (Konf. Brukselska 1895 r. Rezol. 3 i 4).

Wreszcie na posiedzeniu w Bruksellì 1897 r. uchwaliła Konferencya interparlamentarna najprzód żal z powodu iż Senat Stanów Zjednoczonych odrzucił Anglo-Amerykański traktat pokojowy, a z drugiej strony podziękowanie dla rządów Angielskiego i Amerykańskiego za inicyatywę podjętą w tej sprawie i dla tych mężów stanu w obu państwach, którzy traktat wymieniony popierali. Konferencya wyraziła nadto zadowolenie z uchwał na korzyść idei pokoju powziętych w parlamentach: Francuskim, Austryackim, Belgijskim, Duńskim, Norwegskim, Szwedzkim, Angielskim, w kongresie Amerykańskim i Radzie Narodowej Szwajcarskiej.

Konferencya przyjęła z uznaniem do wiadomości, że z inicyatywy prezydenta Mac-Kinleya przygotowany jest nowy projekt traktatu pokojowego, i wyraziła nadzieję, że państwa Europy i Ameryki doprowadzą do zawarcia takich traktatów. Prezydent konferencyi został wezwany o zakomunikowanie powyższych uchwał prezydentowi Mac-Kinley, prezydentowi Senatu Stanów Zjednoczonych Ameryki, lordowi Salibury i prezydentom ministrów innych rządów (Rezol. 2).

Pragnąc, ażeby idea pokoju jak największą miała w parlamentach liczbę zwolenników, Konferencya paryska z 1889 apeluje do wyborców, i wzywa ich, ażeby przez wybory kierowali polityką państwa w duchu sprawiedliwości, prawa i braterstwa ludów. (Rezol. 4).

Na konferencyi peszteńskiej w r. 1896 wezwano grupy, aby rozważyły czy nie należałoby oznaczyć terminu w którym, każda grupa ma zażądać od swego rządu aby zawarł ogólny lub specyalny (z pewnemi państwami) traktat co do sądu polubownego, a nadto aby się przyczynił do zwołania konferencyi dyplomatycznej, któraby na wzór projektu brukselskiego utworzyła Cour permanente unternationale d'arbitrage.

Na konferencyi brukselskiej w 1897 r. i w Christianii 1899 r. Unia wzywała swych członków ażeby przy sprzyjających okolicznościach popierali wobec rządów sprawę sądów polubownych, i zachęcali rządy do zawierania traktatów co do ich ustanawiania.

Dwa ważne postanowienia zostały powzięte na sesyi brukselskiej 1897 r. i na sesyi odbytej w Wiedniu 1903 r.

Pierwsze z nich, nakłada obowiązek na administratora biura interparlamentarnego, żeby w razie grożącej wojny zwołał zebrania

delegatów grupy jednego z państw, a ci po dokładniejszem poinformowaniu się u obu stron o sprawie spornej, wydadzą opinię co do niej, która jak najwięcej powinna być opublikowaną.

Taka opinia pacyfistów jest wielkiej wagi, gdyż łatwo przejść ona może do opinii publicznej i wywierać nacisk moralny, w dzisiejszych czasach nie obojętny dla najpotężniejszego nawet mocarstwa.

Uchwała powzięta na konferencyi wiedeńskiej 1903 r. dotyczy art. 27 konwencyi o pokojowem załatwianiu sporów międzynar. Unia Interp. żąda: ażeby art. ten był wykonywany nawet względem państwa które do uchwał Hagskich z 1899 r. nie przystąpiło, a nadto ażeby państwa wspólnie działały w myśl tego art. ażeby zapobiedz wojnie.

Myśl ta jest bardzo szczęśliwą, bo może wspólna akcya państw neutralnych zapewni wykonalność bardzo doniosłemu postanowieniu, które jest w tym artykule zawartem.

2. Projekty traktatów co do sądów polubownych.

Projektów traktatów co do ustanowienia sądów polubownych,[1] było kilka.

1) projekt ułożony na konfer. bruksels. w r. 1895.

2) projekt p. Ryszarda Bartholdta, prezesa grupy amer.

3) projekt p. Ernesta Plenera prezesa grupy austryackiej.

Projekt Brukselski.

Na konferencyi interparlamentarnej w Brukselli 1895 r. uchwalono organizacyą sądów polubownych dla sporów państw, na następujących zasadach:

Strony kontraktujące ustanawiają stały międzynarodowy sąd polubowny (Cour permanente d'arbitrage international) dla rozstrzygania sporów, które im zostaną przedłożone do decyzyi.

W razie wynikłego sporu między państwami, strony kontraktujące zdecydują, czy jest on tej natury że ma być sądowi przedstawiony z zastrzeżeniem obowiązków wynikających z umów specyalnych.

---

[1] Annuaire de l'Institut de droit intern. Brukselles 1904 str. 36 i n. Ch. Lemonnier, Formule d'un traité d'arbitrage permanent entre nations. Paris. 2 ĕd, Traité d'arbitrage permanent entre peuples. Paris 1890.

Sąd ma siedzibę w . . . .

Siedziba sądu może być przeniesioną gdzieindziej, przez uchwałę $^3/_4$ państw do umowy należących.

Rząd państwa w którym sąd ma siedzibę, gwarantuje jego bezpieczeństwo. równie jak wolność jego dyskusyi i decyzyi.

Każdy rząd podpisujący umowę, mianuje dwóch członków sądu. Także dwa lub więcej państw mogą wspólnie zamianować dwóch członków. Mianowani są oni na 5 lat, i mogą być mianowani ponownie.

Wynagrodzenie członków sądu, płaci państwo które ich mianuje.

Koszta sądu ponoszą państwa należące do umowy, w równych częściach.

Sąd wybiera z swego łona prezydenta i wiceprezydenta na rok.

Prezydent nie może być wybrany ponownie jak po 5 latach.

Wiceprezydent zastępuje prezydenta we wszelkich wypadkach, w których on z powodu przeszkody urzędować nie może.

Sąd mianuje sekretarza i oznacza liczbę urzędników, według swego uznania.

Sekretarz przebywa w miejscu siedziby sądu, i czuwa nad archiwum.

Strony, mogą za wspólną zgodą, oddać bezpośrednio spór sądowi.

Strony uwiadamiają sekretarza o postanowieniu oddania sporu sądowi.

Sekretarz uwiadamia o tem bezpośrednio prezydenta.

Jeżeli strony niekorzystały z możności oddania bezpośrednio swego sporu sądowi, prezydent wyznacza członków sądu, którzy tworzą trybunał wyrokujący w pierwszej instancyi.

Na żądanie jednej ze stron, członków tego trybunału wyznaczy sam sąd.

Członkowie mianowani przez państwo w sporze będące, nie mogą zasiadać w trybunale.

Członkowie wyznaczeni, nie mogą wyboru odmówić.

Kompromis, zawierają rządy w sporze będące.

W braku pod tym względem umowy, punkta sporne określa trybunał, lub sąd.

Dopuszczalnem jest wniesienie skargi wzajemnej.

Wyrok jest motywowany, i będzie ogłoszony w dwa miesiące po zamknięciu obrad. Stronom doręcza go sekretarz.

W ciągu 3 miesięcy od doręczenia, każda strona może wnieść odwołanie (apelacyę).

Odwołanie wnosi się do sądu. Członkowie mianowani przez państwa w sporze bedące i członkowie trybunału, nie mogą zasiadać w sądzie wyrokującym w 2 instancyi.

Postępowanie jest jak w pierwszej instancyi. Wyrok sądu jest ostateczny. Niema środków przeciwko niemu.

Wykonanie wyroku sądu, pozostawianem jest honorowi i dobrej wierze państw będących w sporze.

Sąd zastosuje umowę stron, które w kompromisie dały mu mu środki do sankcyonowania w sposób pokojowy swych decyzyj.

Mianowanie sędziów nastąpi w ciągu 6 miesięcy od wymiany rutyfikacyj niniejszej konwencyi.

Drogą dyplomatyczną zostaną one podane do wiadomości państw które konwencyę podpiszą.

Sąd zostanie utworzony i zbierze się prawomocnie w swej siedzibie, w miesiąc po upływie powyższego terminu, jakakolwiek będzie liczba jego członków. Przystąpi on do wyboru prezydenta, wiceprezydenta i sekretarza, oraz do wypracowania regulaminu swoich czynności.

Strony kontraktujące sformułują regulamin organizacyjny sądu. Będzie on stanowić część integralną konwencyi.

Państwa które nie zawarły konwencyi, mogą do niej przystąpić, w formach zwykłych.

Ich przystąpienie będzie podanem do wiadomości rządu tego państwa, w którem sąd ma swoją siedzibę, a ten ostatni uwiadomi inne rządy, które do konwencyi należą.

Projekt Amerykański (Ryszarda Bartholdta).

1) Kompetencya stałego sądu polubownego[1] (Haga 29 lipca 1899) odnosi się do sporów państw wynikających z powodu interpretacyi albo wykonania traktatów, z powodu przywilejów dyplo-

[1] Résolutions des conférences et décisions principales du conseil. Bruxelles 1911 str. 89.

matycznych lub konsularnych, oznaczenia granic, prawa żeglugi, wynagrodzenia szkód lub reklamacyj pieniężnych, pogwałcenia praw co do osób i rzeczy, a nadto pogwałcenia uznanych zasad prawa narodów.

2) Wszelkie inne kwestye, jakiejbądź natury, będą przekazane komisyi śledczej (Haga, tyd. III, art. 9—14), lub sądowi, ustanowionemu jak ponizej.

3) Od decyzyi zapadłej, istnieje odwołanie do innego sądu.

4) Sąd 1-ej instancyi, o ile strony nieodwołają się do sądu w Hadze, ustanawia się w następujący sposób.

Najwyższy sąd każdego z państw w sporze będących, mianuje 2 sędziów (z pośród swych członków lub innych osób). Ci wybierają sobie superarbitra, albo, dwaj z 1⁰ trybunału wyznacza 1⁰ członka sądu Hagskiego, a los rozstrzyga który z nich będzie superarbitrem.

Odwołanie może mieć miejsce do trybunału Hagskiego, wyjąwszy, jeżeli wyrok zapadł jednogłośnie, albo jeżeli idzie o kwestyę pieniężną, a suma przysądzona jest niższą jak milion funtów szterl.

Sąd ustanawia procedurę, czas i miejsce posiedzeń, mianuje funkcyonaryuszy i oznacza ich zapłatę.

Jeżeli zachodzą trudności w utworzeniu sądu, pisarz sądu w Hadze z urzędu wyznaczy losem 2 sędziów dla każdej strony z pomiędzy członków najwyższych trybunałów każdego z państw w sporze będących i z pomiędzy nich trybunał będzie złożony, w sposób oznaczony ad 4).

Projekt Ernesta Plenera.

Na konferencyi Londyńskiej (23—25 lipca 1906 r.) uchwalono, podług referatu Plenera wzór traktatu w sprawie ustanowienia sądu polubownego w sporach państw. Traktat ten ma zawierać następujące postanowienia:[1]

Kompetencyi sądu podlegają spory państw, wyjąwszy tych, które dotyczą niezależności państwa, jego żywotnych interesów, wykonywania udzielności, oraz interesów państw trzecich.

Każde państwo samo rozstrzyga, czy jego spór do kategoryj spraw wymienionych należy, czy nie.

[1] Résolutions des conférences. Bruxelles 1911 str. 99.

Bezwarunkowo podlegają kompetencyi sądu:

a) sprawy interpretacyi i zastosowania, w traktacie wyliczonych umów międzynarodowych,

b) sprawy granic państwa,

c) sprawy o pieniężne wynagrodzenie szkód, jeżeli wynagrodzenie w zasadzie przez państwa zostały uznane,

d) kwestye długów.

Mianowanie sędziów i procedura będą podług uchwał Hagskich z 29 lipca 1899 r.

Wyrok sądu określa czas w którym ma on być wykonany.

Wymiana pism odnoszących się do sporu, musi nastąpić przed otwarciem posiedzeń sądu.

Czas trwania tego traktatu nie jest ograniczony. Każde państwo może się wycofać z tego traktatu na początku 10 r., o ile to rok przedtem zapowie.

Oprócz tego, na konferencyi Londyńskiej uchwalono następującą rezolucyę:

Jeżeli między państwami, które traktat rozjemczy zawarły, powstanie spór, który się do sądu nie kwalifikuje, strony nie rozpoczną kroków nieprzyjacielskich, dokąd obie lub jedna, albo nie zarządają komisyi śledczej (Commission international d'enquête) albo nie odwołają się do pośrednictwa jednego lub więcej państw zaprzyjaźnionych.

Postępowanie to będzie, w razie potrzeby, przeprowadzonem podług art. 8 (pierwszej) konwencyi Hagskiej z r. 1899.

Jest to klauzula, którą Anglia i Stany Zjednoczone pomieściły w swym projekcie traktatu z 1897 r.

Konferencya londyńska z 1906 r. wyraziła życzenie, ażeby rezolucya ta weszła do wszystkich traktatów rozjemczych.

Elaborat ten p. Plenera, uchwalony na konferencyi londyńskiej w r. 1906, znalazł wielkie uznanie na 2-ej konferencyi pokojowej w Hadze w 1907 r. Reprezentanci 32-ch państw oświadczyli się za nim.

Wskutek tego, berlińska konferencya Unii (1908 r.) uchwaliła następującą rezolucyę:

Wyraża się życzenie, aby wzór traktatu rozjemczego, uchwalony przez Unię w Londynie wzięty był za punkt wyjścia układów między państwami, w sprawie sądów polubownych.

Wzywa się 32 państw, których reprezentanci w Hadze (1907 r.) za tym projektem się oświadczyli, aby zawarły podług niego traktat między sobą, wzywa się nadto inne państwa, aby do tego traktatu przystąpiły.[1])

Z pomiędzy tych trzech projektów, pierwszeństwo należy się niewątpliwie projektowi Plenera, a to ze względu na jasne określenie kompetencyi sądu, oznaczenie czasu wykonania wyroku i postanowienia co do spraw które do kompetencyi sądu nie należą. Utworzenie sądu określone jest w związku z postanowieniem konferencyi hagskiej.

Projekt brukselski proponuje sąd międzynarodowy w formach bardzo zbliżonych do zwykłego sądu polubownego.

Najmniej szczęśliwie pomyślany był projekt amerykański, ze względu na bardzo skomplikowany sposób złożenia sądu polubownego.

Klauzule kompromisowe.

W wielu traktatach spotykamy postanowienie, że wszelkie spory z nich wynikające, będą przez sąd polubowny rozstrzygane (Kompromissarische klausel. clauses d'arbitrage).

Postanowienia te, są oczywiście wynikiem dążności pokojowych państw, które przynajmniej w sporach z jednej umowy wyniknąć mogących, tą drogą sobie pokojowe załatwienie zapewniają. Ze względu na tę doniosłość klauzuli kompromisarskich, sprawą ich zastosowania w traktatach, oddawna się zajmowano w parlamentach.

Po raz pierwszy stało się to w Anglii. Jeszcze w r. 1849 Buckingham i Cobden żądali w Izbie gmin ażeby klauzule te pomieszczane były w traktatach angielskich, ale wniosek ten upadł.

W r. 1853 podobny wniosek przeszedł w senacie Stanów Zjednoczonych, a w r. 1874 został przyjęty przez obie Izby tamtejsze.

W r. 1873 żądanie to podniesiono w parlamencie włoskim (Mancini), w r. 1874 w Hollandyi, w r. 1875 w Belgii, w r. 1893 w Rumunii.

[1] Résolutions des conférences. Bruxelles 1911 str. 103.

Zadania te doczekały się już uwzględnienia przez rządy. Obecnie spotykamy te klauzule w wielu traktatach dotyczących handlu, żeglugi,[1] poczt,[2] a nadto w umowach konsularnych itd., ale przeważnie w umowach ekonomicznej treści. Szersze i ogólniejsze zastosowanie znalazło to postanowienie w traktacie Waszyngtońskim z 18 kwiet. 1890 r. między 17 republ. amer.

Wiele państw europejskich, a przedewszystkiem Włochy i Szwajcarya, w największej liczbie swych umów klauzule kompromisowe pomieszczają.

Nie ulega wątpliwości, że klauzule te nietylko utrzymają się na przyszłość, ale nawet znajdować będą coraz szersze zastosowanie. Nietylko traktaty ekonomicznej treści, ale także i umowy ekstradycyjne, umowy co do własności literackiej i artystycznej, co do wykonywania wyroków zagranicznych i i. o ile politycznych stosunków państw nie dotyczą, mogą zupełnie dobrze mieścić klauzule kompromisowe.

W art. 4 wspomnianego traktatu Waszyngtońskiego powiedziano: iż obowiązek poddania się sądowi ustaje, jeżeli tylko jedna strona w sporze będąca sądzi, iż przedmiot sporu jej niepodległości dotyczy.

Zastrzeżenie to, znaczenie klauzuli kompromisowej osłabia, i dlatego lepiej jest klauzulę tę pomieszczać w tych tylko traktatach które stosunków politycznych państw, ich bytu, niezawisłości i honoru nie dotyczą.

Jest wielką zasługą Manciniego, iż nakłonił rząd włoski do szerokiego stosowania klauzuli kompromisowej w stosunkach międzynarodowych, gdyż ona w wielu wypadkach niebezpieczeństwo wojny usuwa, utrwala nietylko w sferach rządowych, ale i w szerokich warstwach społecznych zamiłowanie pokoju, a w każdym razie duchowi naszego czasu odpowiada i świadczy, iż w dzisiejszej epoce państwa niezaniedbują niczego, ażeby zapobiedz wojnie i fakt gdzie to możebnem, traktaty zawiera i w takiej formie, ażeby one nie dawały okazyi do rozprawy orężnej.

Wobec takiego znaczenia klauzuli kompromisowych, uchwały Unii interparlamentarnej, ażeby klauzule te były pomieszczane w odpowiednich do ich treści traktatach, powzięte w Paryżu, Londynie i Bernie, są zupełnie słuszne i powinny być przez rządy wykonane.

[1] Ullmann, str. 300.

[2] Trakt. berneński z 1874 co do Union postale Univers.

Na konferencyi wiedeńskiej (1903 r.) uchwalono wzór klauzuli kompromisowej. Wzór ten brzmi: Strony kontraktujące zgadzają się poddać wszelkie trudności, które przy zastosowaniu obecnego traktatu mogą wyniknąć, pod sąd polubowny, stosownie do uchwał pierwszej konwencyi hagskiej z 1899 r.[1])

II.

Kwestye ogólnego znaczenia dla prawa narodów.

1. Udział państw w kongresach.
2. Własność prywatna w czasie wojny morskiej.
3. Międzynarodowe prawo prywatne.
4. Unie międzynarodowe.
5. Prawa cudzoziemców.
6. Kodyfikacya prawa narodów.
7. Kwestya neutralności.
8. Agencya pokoju.
9. Organizacya prasy.
10. Kongres międzynarodowy.
11. Uchwały dotyczące wyników konferencyi pokojowej w Hadze.
12. Uchwały odnoszące się do członków Unii.

1. Udział państw w kongresach.

Doskonałą myśl miała Unia interparlamentarna, poruszając na swej konferencyi w Rzymie sprawę udziału państw w kongresach i konferencyach. Uchwała pod tym względem powzięta wymaga, ażeby w interesie pokoju i sprawiedliwości, na przyszłość wszystkie państwa parlamentarne były reprezentowane na wszystkich kongresach państw europejskich.[2]) (Rezol. 1).

Kongresy i konferencye, między któremi ścisłej granicy niema, są poświęcone sprawom dotyczącym pewnych państw, albo całego Związku międzynarodowego.

Co do udziału w tych kongresach, stałej zasady dotąd niema.

---

[1] Résolutions des conférences. Bruxelles 1911 r. str. 79.

[2] Résolutions votées par les huit premières conférences interparlementaires. Berne 1899. str. 10.

Główną zasadą jest, że w obradach biorą udział tylko państwa udzielne. Jednak i pod tym względem był wyjątek na konferencyi pokojowej w Hadze, w której brała udział i Bułgarya.

Co dalszego składu kongresów, dzieje się dotychczas, że przeważnie tylko wielkie mocarstwa (Sexarhia, tj. Rosya, Prusy, Anglia, Francya, Austrya i Włochy) biorą w nich udział. One stoją de facto na czele międzynarodowego Związku państw, i przyznają sobie prawo decydowania o losie państw małych — o nich, bez nich. Przykładów tego jest wiele.

Na konferencyi paryskiej w r. 1869 w sprawie Turcyi i Grecyi (o wyspę Kretę), niezaproszono Grecyi z głosem stanowczym. Reprezentanta jej powołano tylko dla dania wyjaśnień. Bardziej rażący wypadek, zdarzył się po ostatniej wojnie Wschodniej. Na konferencyi odbytej w r. 1877 z inicyatywy Anglii w sprawie pokoju między Turcyą, Serbią i Czarnogórą, Turcyi nie zaproszono! Toż samo na kongresie berlińskim w r. 1878 niezaproszono państw w obradach interesowanych.

Praktyka ta, przeciwna zasadzie równości państw, i obowiązkowi szanowania udzialności wszystkich państw udzielnych do międzynarodowego Związku należących, powinna ustać, jak słusznie Unia orzekła — w imię p o k o j u i s p r a w i e d l i w o ś c i.

Niesłusznie tylko Unia ogranicza swe żądanie do kongresów europejskich, gdyż kongresy nie tylko w Europie bywają, a nadto niesłusznie do państw mających parlamenty. Ustrój państwa jest jego sprawą wewnętrzną i na stosunki jego międzynarodowe wpływać nie może.

2. Własność prywatna w czasie wojny morskiej.

Na konferencyi w Bernie 1892 r. uchwalono:

Wzywa się członków Unii, ażeby w swych parlamentach przeprowadzili wezwanie do rządów, aby odbyła się międzynarodowa konferencya państw, dla uznania zasady prawa narodów, że własność prywatna na morzu w czasie wojny jest nietykalną.[1] (Rezol. 2).

Uchwała ta została powtórzoną na konf. interparl. w Hadze 1894 r. (Rezol. 4) i w Christianii 1899 r.[2] (Rezol. 6).

[1] Actes essentiets. Berne 1902 str. 9.

[2] Résolutions des conférences. Bruxelles 1911 str. 51, 67.

Na tej ostatniej konferencyi, z zadowoleniem podniesiono s'arania prezydenta Stanów Zjednoczonych o uznanie powyższej zasady przez państwa morskie.

Prócz tego, konferencya oświadczyła się za zawieraniem przez państwa traktatu, na wzór umowy z 1871 r. między Włochami i Stanami Zjednoczonemi, uznającego tę zasadę, sądząc, że traktaty te będą początkiem uznania tej zasady przez wszystkie państwa.

Zupełnie słusznem było żądanie Unii interparlamentarnej, ażeby przyszła konferencya reprezentantów państw, uznała nietykalność własności prywatnej na morzu w czasie wojny morskiej, tak jak nietykalną jest własność prywatna w czasie wojny lądowej. Same rządy postawiły już tę kwestyę na porządku dziennym swych przyszłych obrad, skoro konferencya pokojowa w Hadze w r. 1899 przekazała przyszłej konferencyi reprezentantów państw rozważenie tej sprawy.

Stan tej ostatniej w obecnej chwili jest następujący:

Od niepamiętnych czasów, własność prywatna należąca do obywateli państwa nieprzyjacielskiego w czasie wojny morskiej, ulegała zaborowi okrętów wojennych państwa w wojnie udział biorącego lub statków korsarskich. [1]

W myśl tej zasady, okręt i towar na nim będący stanowił dobrą pryzę, podług prawa zaborczego (Prisenrecht). [2]

Ograniczenia pod tym względem wprowadziła deklaracya paryska z r. 1856, która uznała, że nawet towar nieprzyjacielski pod flagą neutralną, a tem bardziej towar neutralny i pod flagą nieprzyjacielską zaborowi nie ulega. Wynika z tego, że towar nieprzyjacielski pod flagą nieprzyjacielską opieki prawa narodów nie doznaje, czyli może być zabranym. [3]

Deklaracya paryska, choć milcząco, ale zasadę tę uświęciła.

---

[1] Wyjęte z pod prawa zaboru są jednak: 1) okręty odbywające podróż naukową, 2) statki rybackie, 3) statki nie służące do celów handlowych, jak statki obsługujące latarnie morskie, statki wysłane do wykonania zawartego kartelu, 4) statki czerwonego krzyża (uchwały z r. 1868 i 1899), 5) towary pochodzące z rozbitych okrętów.

[2] Akt zaboru nie może być dokonanym na wodach należących do państwa neutralnego, Postępowanie zaborcze wskazuje Rivier, Lehrbuch str. 430 i n.

[3] De Boeck, De la propriété privée ennemie sous pavillon ennemi. 1882. Ullmann, Völkerrecht. Freiburg i. Br. 1898 str. 342. Rivier, Lehrbuch d. Völkerr. Stuttgart 1899 str. 429.

Zasada ta jest duchowi dzisiejszego prawa wojny przeciwną. Najprzód dla tego, że wojna ogarnia tylko walczące ze sobą armie i tylko własność państwa skutkom prawa wojny ulega. A następnie, jest przecież dążeniem całej dzisiejszej cywilizacyi, ażeby ograniczyć jak najbardziej skutki wojny, a w każdym razie spokojną ludność kraju, o ile można, od następstw wojny uchronić.

Nie szanowanie własności prywatnej na morzu, sprowadza nieobliczone straty najprzód dla osób w wojnie udziału niebiorących, a następnie rujnuje handel nieprzyjacielskiego państwa i przez to staje się jego klęską.

Walka przeciwko tej zasadzie, stojącej, jak widzimy w jawnej sprzeczności z duchem nowożytnej cywilizacyi, datuje się od końca 18-go stulecia.

W r. 1792 żądano w Zgromadzeniu narodowem we Francyi przeprowadzenia tej zasady, ażeby własność prywatna na morzu była szanowaną.

Niektóre państwa zawierały traktaty co do szanowania własności prywatnej na morzu. Tak uczyniły Prusy z Stanami Zjednoczonemi w r. 1785. Były wypadki, że pewne państwa same zrzekały się prawa zaboru, i to, albo wogóle, pod warunkiem wzajemności, albo tylko na czas toczącej się wojny.

Instytut prawa międzynarodowego, oświadczył się również przeciwko nieszanowaniu własności prywatnej na morzu.[1])

Załatwienie więc tej sprawy, leży w duchu czasu. Wobec uchwały konferencyi hagskiej, uchwała Unii sprawy nie przyspieszy, ale zadaniu temu doda powagi i stanowczości, bo uchwała taka ze strony członków parlamentów całego świata powzięta, jest wyrazem opinii całego cywilizowanego świata.

3. Międzynarodowe prawo prywatne.

Na konferencyi wiedeńskiej uchwalono:

Wzywa się grupy do Unii należące, ażeby wpływały na swoje rządy, aby te ostatnie wprowadziły w życie uchwały konferencyi w Hadze co do międzynarodowego prawa prywatnego, która, z godnej wszelkiego uznania inicyatywy rządu holenderskiego przyszła do skutku.

Stosunki zachodzące między jednostkami do różnych państw

---

[1] Posiedzenia Instytutu w r. 1882, 1883 i 1887.

należącemi, rządzone są przez międzynarodowe prawo prywatne. Ponieważ stosunki te były od dawna, tylko nie w takiej jak teraz ilości, przeto i postanowienia prawne odnoszące się do nich, mieściły się w ustawach państw pojedyńczych. Ale praw tych w dawnych ustawach, np. w kodeksie Napoleona i innych z tej epoki pochodzących kodeksach, jest niewiele. Nowsze kodeksy i nowsze ustawy, jak kodeks cywilny włoski z 1865 r., kod. cyw. hiszpański 1889 r., Le décret congolais sur le conflit des lois z 20 lutego 1891., Loi fédéral suisse du 25 Juin 1891 sur le rapport de droit civil des citoyens établis ou en séjour, nadto projekt belgijski[1], reguł tych zawierają coraz więcej. Prócz tego, między nowszem a dawnem ustawodawstwem w tej kwestyi, jest i pod względem treści różnica. Dawne ustawy dawały przewagę prawu krajowemu, w ocenieniu stosunków cudzoziemców, nawet co do ich czynów dokonanych za granicą i co do stosunków przez nich zawartych w obcem państwie. Wynikało to z mniemania, że udzielność państwa tego wymaga. Dziś zmieniły się pojęcia. Państwa coraz więcej widzą potrzebę stosowania u siebie praw zagranicznych, gdyż zasadą dzisiejszego wymiaru sprawiedliwości jest stosować to prawo, które istocie danego stosunku najwięcej odpowiada. To też w najnowszych kodeksach i ich projektach spotykamy coraz szersze zastosowanie praw obcych.

I jeszcze jedno dla prawnych stosunków świata przybyło zadanie. Nietylko dziś jest powszechnie odczuwaną potrzeba coraz większej ilości praw, dla ciągle mnożących się stosunków obywateli państw różnych, ale co więcej potrzeba ujednostajniać te prawa, gdyż to ułatwia stosunki, nadaje im jednolity charakter w związku międzynarodowym, i zapobiega sporom państw, wyniknąć mogącym z niejednakowego traktowania ich obywateli.

Tę jednolitość praw w sferze międzynarodowego prawa prywatnego, można osiągnąć, wprowadzając do kodeksów państw różnych jednolite postanowienia, a jeszcze skuteczniej przez zawieranie konwencyj międzynarodowych.

Z państw, przedewszystkiem Francya weszła na tę drogę, zawierając w kwestyi spadku konwencyę z Austryą 11 grudnia 1866 r., i takąż konwencyę z Rosyą, 1 kwietnia 1874 r.

Jednak mnożące się nieustannie stosunki międzynarodowe

---

[1] Lainé, Étude sur le projet de la revision du code civil belge. 1890.

jednostek, uwydatniały coraz większą potrzebę konwencyj ogarniających znaczną ilość państw i nie co do pojedynczej kwestyi, ale co do całej grupy stosunków najczęstszych i najważniejszych.

Wielki zwolennik tej myśli włoski uczony i mąż stanu Mancini, w r. 1867 z upoważnienia swego rządu, rozpoczął starania, aby skłonić Francyę, Belgię i Niemcy do zawarcia z Włochami konwencyi ogarniającej przepisy prawne co do cudzoziemców, ale bezskutecznie. W r. 1874 starania w tym duchu podjął rząd holenderski, w r. 1881 rząd włoski, również bez rezultatu.

Instytut prawa międzynarodowego wypracował nawet jako podstawę do umów międzypaństwowych, zestawienie zasad prawnych odnoszących się do tych kwestyj.

Pierwszą kodyfikacyę głównych zasad międzynarodowego prawa prywatnego dokonano w południowej Ameryce, na kongresie w Montevideo w 1889 r.[1].

W Europie rzeczonej kodyfikacyi dokonano na konferencyach odbytych w Hadze w r. 1896 i 1902. Uchwała z 14 listopada 1896 r. jest następstwem obrad dwóch konferencyj, które z inicyatywy rządu holenderskiego odbyły się w Hadze w 1893 i 1894 r. i zawiera postanowienia odnoszące się do procedury cywilnej (Communication d'actes judiciares ou extra-judiciaires. Commissions rogatoires. Caution »judicatum solvi«. Assistance judiciaire gratuite. Contrainte par corps), została zaś podpisaną i ratyfikowaną przez: Belgię, Hiszpanię, Francyę, Włochy, W. X. Luxemburg, Nassau, Holandyę, Portugalię, Szwajcaryę, Szwecyę i Norwegię, Niemcy, Austryę, Danię, Rumunię, Rosyę.

Uchwały z 12 czerwca 1902 r. były rezultatem trzeciej konferencyi hagskiej z 29 maja 1900 r., obejmują one 3 konwencye: o małżeństwie, o rozwodach i seperacyi, tudzież o opiece (le mariage, le divorce et la séparation de corps, la tutelle des mineurs) i zostały podpisane przez Niemcy, Austryę, Belgię, Hiszpanię, Francyę, Włochy, W. X. Luxemburg, Nassau, Hollandyę, Portugalię, Rumunię, Szwecyę, Szwajcaryę[2].

---

[1] Kongres ten trwał od 25 sierpnia 1888 r. do 18 lutego 1889 r. Przyjęły w nim udział: Boliwia, Brazylia, Chili, Paraguay, Peru, Argentyna, Uruguay. Por. Meili, Die Kodifikation des internationalen Civil- u. Handelsrechts. Pradier-Fodéré, Le Congrès de droit international sud-americain et les traités de Montevideo. Revue de dr. intern. 1889 str. 217 i 561.

[2] Asser, La codification du droit international privé. R. de dr. intern. t. 25 str. 521, t. 26 str. 349, t. 28 str. 573. Asser, La convention de la Haye

Konwencya co do małżeństwa zawiera postanowienia jedynie co do ważności małżeństw. Inne kwestye, a przedewszystkiem skutki małżeństwa względem samych małżonków i ich dzieci, pozostawione są przyszłej konferencyi.

Uprawnienie do zawierania małżeństw będzie ocenianem podług praw narodowych (loi nationale)[1] każdego z przyszłych małżonków. Jest rzeczą tych ostatnich udowodnić władzom w państwie, w którem chcą zawrzeć małżeństwo, iż według praw państwa do którego należą, posiadają wszelkie warunki do zawarcia małżeństwa.

Dalsze postanowienia zawierają ograniczenia tej zasady na korzyść praw państwa, w którem małżeństwo ma być zawartem.

W myśl konwencyi co do rozwodów i seperacyj małżonkowie wtedy tylko mogą wnieść skargę o rozwód lub seperacyę, gdy zarówno prawo ich państwa (loi nationale), jak i prawo tego państwa w którem skarga ma być wniesioną, dopuszczają rozwód lub seperacyę.

Jeżeli strony w miejscu zamieszkania nie mogą żądać rozwodu lub seperacyi, mogą od władz kompetentnych tego państwa żądać środków prowizorycznych, dla przerwania wspólności ich pożycia.

Konwencya co do opieki stanowi, iż opieka nad małoletnim ma być urządzoną przez prawo państwa, do którego on należy.

Jeżeli opieka nad małoletnim nie jest zorganizowaną podług powyższej zasady, ustanawiają ją władze miejsca pobytu małoletniego, podług swoich praw.

W myśl ogólnych postanowień wszystkich tych konwencyj zostały one zawarte na lat 5.

---

du 14 Nov. 1896. Asser, La convention de la Haye 1901. Meili, Der erste europäische Staatencongress über internationales Privatrecht. Wien, 1894. Meili, Das internationale Privatrecht und die Staatenkonferenz in Haag. Zürich 1900. Documents relatifs à la troisième Conférence de la Haye pour le droit international privé. La Haye 1900. Lainé. La conférence de Haye relative au droit international privé. Journal de droit int. privé. 1894—5. 1901—2. Rénault, Les conventions de la Haye (1896 et 1902) sur la droit international privé. Paris 1903. Rénault, Le droit international privé et la Conférence de la Haye. Annales de l'Ecole libre des seiences politiques, 1894, str. 310. Roszkowski, Ueber die Beschlüsse der Haager Konferenzen vom 12 Juni 1902. Ztschr. für Völkerrecht u. Bundesstaatsrecht herausg. von Kohler u. Oppenheim Bd. III.

[1] Wyraz narodowe wzięty tu jest w znaczeniu politycznem a nie etnograficznem, i oznacza właściwie państwo, do którego narzeczeni należą.

Milcząco zostają one przedłużone na dalszych lat 5, jeżeli nie zostały wypowiedziane.

Wypowiedzenia mogą nastąpić na 6 mies. przed upływem lat 5.

Powyższe konwencye mogą być przyjęte tylko przez państwa, które w konferencyach hagskich brały udział (Conventions fermées).

Przystąpienie państw innych, możliwem jest tylko za zgodą państw powyższych.

Unia interparlamentarna żąda, ażeby wszystkie państwa powyższe uchwały wprowadziły u siebie w życie.

Z powyższego przedstawienia okazuje się. iż nie jest to zupełnie łatwe zadanie dla państw, które na trzech konferencyach hagskich nie były reprezentowane. Jednak, pomijając tę trudność żądanie powyższe jest słusznem.

Kodyfikacya w tych konwencyach zawarta, aczkolwiek nie wyczerpuje całego międzynarodowego prawa prywatnego, jednak ogarnia najważniejsze kwestye i toruje drogę do dalszej kodyfikacyi. Postanowienia praw w pojedynczych państwach co do cywilnych stosunków jednostek w związku międzynarodowym, są bardzo rozmaite, i kodyfikacya dokonana w Hadze ma na celu przedewszystkiem jednolitość prawnych postanowień zaprowadzić w kwestyach najwazniejszych, t. j. w rzeczach małżeństw, rozwodów i seperacyj.

Zasada, na której oparto konwencye jest sluszna. Dotąd ścierały się w prawodawstwach: zasada prawa miejsca zamieszkania (loi du domicil) i prawa państwa, do którego jednostka należy (loi national). Konwencye przyjęły tę ostatnią. Małżeństwo, we wszelkich z niego wynikających stosunkach, dotyczących jego ważności lub rozwiązania, powinno być oparte na jednem tylko prawie, mianowicie na tem, które jest najbliższem jednostki, które wszelkie jego stosunki przenika, a więc na prawie państwa, do którego jednostka należy. Miejsce zamieszkania może ulegać zmianie, ze zmianą stosunków życiowych, ono więc stałości i niezmienności o którą tu idzie, nie przedstawia.

Postanowienia konwencyi, choć niewątpliwie liberalnym duchem przeniknione. szanują jednak względy religijne, ale ich ważność odnoszą tylko do państwa, którego prawodawstwo w rzeczach małżeństwa form religijnych wymaga.

Austro-węgierska monarchia konwencye podpisała, przedłożenie konwencyj z 1902 r. radzie państwa dotąd nie nastąpiło. Stanie się

to po przeprowadzeniu pod tym względem porozumienia między obiema połowami monarchii.

Konwencya z r. 1896 parlamentowi przedłożoną nie będzie, gdyż odnosi się do form proceduralnych i zasad prawa materyalnego nie zawiera.

4. Unie międzynarodowe.

Unie międzynarodowe należą do najnowszych, ale zarazem i najważniejszych urządzeń w międzynarodowym związku państw. Ten ostatni, długi czas zajmował się przeważnie politycznemi sprawami państw. W kolei czasu jednak, sprawy społeczne, ekonomiczne i duchowe doszły do tego stopnia rozwoju, iż już nie wystarczało urządzanie i regulowanie ich przez prawo w granicach jednego państwa. One zyskiwały coraz więcej charakter międzynarodowy, i okazała się konieczność zapewnienia im opieki międzynarodowego związku państw przez prawo narodów.

Ażeby tej potrzebie zadość uczynić, począwszy od lat sześćdziesiątych w. XIX-go, poczęły się tworzyć w obrębie międzynarodowego związku państw, związki kilkunastu lub więcej państw, mające na celu wspieranie się ich nawzajem w kwestyach społecznych. Związki te noszą nazwę Unij międzynarodowych.

Znamieniem tej nowej formy połączeń państw jest: 1) że one służą dla celów nie politycznych, ale społecznych; 2) że one mają organ zarządzający ich sprawami, t. z. biuro (urząd międzynarodowy), zostający pod kontrolą rządu tego państwa, w którem to ostatnie ma swoją siedzibę; 3) że co pewien czas odbywają się międzynarodowe konferencye dla spraw Unii.

Podstawą Unii jest traktat otwarty, t. z., że każdej chwili państwa do Unii nienależące, mogą do niej przystąpić.

Doniosłe znaczenie tej najnowszej formy międzynarodowych połączeń państw spoczywa w tem:

1) że one zapewniają opiekę prawa narodów i związku międzynarodowego dla spraw społecznych, pierwszorzędnego znaczenia dla kulturalnego rozwoju narodów; a przez to przynoszą dowód, iż związek międzynarodowy tak się rozszerza, iż nie tylko ogarnia sprawy polityczne, ale i wszelkie sprawy i stosunki oświeconych narodów.

2) Że świadczą, iż państwa dzisiejsze wszelkie wzajemne stosunki pragną mieć rządzone przez prawo;

3) że one zacieśniając węzły między państwami, stają się nowem ogniwem łączącem mocarstwa i utrwalającem pokój;

4) że one ułatwiając państwom urzeczywistnienie zadań społecznych wielkiej wagi, torują drogę do postępu kultury.

Dziewięć dotychczas istniejących Unij, dają się rozdzielić na 4 grupy, podług natury ich przedmiotu, a mianowicie: 1) Unie dotyczące środków komunikacyjnych (Unia pocztowa, telegraficzna i Unia dla transportów kolejowych), 2) Unie dotyczące stosunków ekonomicznych (Unia dla publikacyj traktatów cłowych, tudzież Unia dla miar i wag); 3) Unie dla celów duchowych (Unia geodetyczna, Unia dla własności literackiej i przemysłowej); 4) Unia dla zniesienia handlu niewolnikami.

Konferencya bruxelska (1895) uznała wielką użyteczność Unii i urzędów międzynarodowych (Unions universelles et des offices internationnaux), i przepowiada ich rozwój. Specyalnie wyraża ona życzenie, aby wkrótce powstała Unia dla publikacyi traktatów [1].

5. Prawa cudzoziemców.

Uchwały Unii interparlamentarnej co do cudzoziemców, zalecają przedewszystkiem państwom przyjęcie uchwał powziętych co do tej kwestyi przez l'Institut de droit international, a oprócz tego zawierają szereg postanowień specyalnych.

Postanowienia te obejmują 3 kwestye:

dozwolenie cudzoziemcom wstępu na terytoryum państwa;

prawne stanowisko cudzoziemców;

wydalanie cudzoziemców.

Co do pierwszej kwestyi, tj. co do dozwolenia cudzoziemcom wstępu na terytoryum państwa, Unia wyraziła opinię, że:

1) państwa powinny ogłosić warunki pod któremi cudzoziemcy będą mieli wstęp na ich terytorya.

2) Cudzoziemcom nie powinien być zabroniony wstęp na terytoryum państwa ani stale, ani w sposób ogólny, ani dla ochrony pracy krajowców. Może zaś być w interesie publicznym i z przyczyn bardzo ważnych, wstęp cudzoziemców ograniczony, lub czasowo zabroniony: z powodu wojny, rozruchów wewnętrznych lub epidemii.

Co do prawnego stanowiska cudzoziemców, Unia jest zdania:

1) iż cudzoziemcy powinni używać na równi z krajowcami

---

[1] Résolutions des conférences Bruxelles 1911, str. 56.

praw cywilnych, mieć prawo prowadzenia handlu i nabywania własności nieruchomej.

2) Specyalna opieka prawna powinna być rozciągniętą nad tymi cudzoziemcami, którzy mają w państwie zamieszkanie, lub posiadają zakład przemysłowy albo handlowy.

Co do wydalań cudzoziemców, Unia rozróżnia: wydalenia en masse i wydalenia jednostek.

Wydalania en masse mogą mieć miejsce: na czas wojny, albo na czas oznaczony (z powodu rozruchów wewnętrznych).

Wydalania indywidualne mogą dotyczyć:

1) tych co żyją z dobroczynności publicznej,
2) tych którzy są winni lub podejrzani o zbrodnię, lub o zamach na państwo,
3) tych, którzy się wcisnęli do państwa mimo zakazu,
4) tych, którzy są dotknięci chorobą epidemiczną.

Osoby skazane na wydąlenie, powinny mieć prawo odwołania się do sądu wyższego, lub do władzy administracyjnej. Wydalenie pomimo wniesionego rekursu, powinno być tylko prowizorycznem. W każdym razie, wydalanie powinno być wykonywanem z względnością, a z wydalań robione być powinny sprawozdania parlamentom, lub przez urzędowe publikacye.

Życzenia Unii interparlamentarnej w pierwszej kwestyi, t. j. co do dopuszczania cudzoziemców na terytorya państw, odpowiadają obecnemu prawu narodów i dzisiejszej praktyce państw, i są z tego powodu zbyteczne. Ogólne i stałe zabronienie wstępu cudzoziemcom, byłoby wręcz zasadom, na których się opiera dzisiejszy związek międzynarodowy państw przeciwnem, i dlatego nie praktykuje się w obrębie togo związku nigdzie. Czyniły to dawniej niektóre państwa wschodnie, a przedewszystkiem Chiny i Japonia, ale i dziś one tego nie robią. Natomiast słusznem jest, że państwa, w wykonaniu swego zwierzchnictwa terytoryalnego stawiają pewne warunki dla wstępu cudzoziemców, lub zabraniają go osobom niebezpiecznym dla porządku i bezpieczeństwa publicznego, jak zbrodniarzom, ubogim, lub dotkniętym epidemicznemi chorobami. Postanowienia co do tego są ogłaszane w ustawach krajowych lub w traktatach (Niederlassungs, Freundschafts- u. Niederlassungs, wreszcie Handels-Verträge).

Równie się rzecz ma i co do prawnego stanowiska cudzoziemców. W państwach cywilizowanych cudzoziemcy mają zape-

wnioną zupełną prawną obronę swojej osoby i własności[1] i w regule zrównani są z krajowcami pod względem praw cywilnych (Cod. Nap. art. 11. kodeks włoski, art. 3). W jednych państwach równość ta jest zastrzeżoną pod warunkiem wzajemności, w innych, jak we Włoszech, w Hiszpanii i w Holandyi, bez tego ograniczenia. Tam gdzie pod tym względem, w myśl obowiązującego ustawodawstwa, istnieją pewne ograniczenia cudzoziemców, np. co do prawa wytaczania powództwa przed sądy miejscowe w pewnych sprawach, tam państwo przez traktaty z obcemi państwami niewłaściwość tę usuwa. Tak n. p. zrobiła Francya. Inne zaś ograniczenia procesowe, jak co do prawa ubóstwa i obowiązek dostarczania kaucyi w procesie, wynikają z natury stosunków i mają uzasadnienie w ustawodawstwie państw pojedynczych.

W pewnych specyalnych stosunkach, n. p. w kwestyi t. z. własności literackiej i przemysłowej, zrównanie cudzoziemców z krajowcami przeprowadzone jest na podstawie umów międzynarodowych (Union internationale pour la protection des oeuvres littéraires et artistiques). Konwencya berneńska z 9 września 1886 r. (Union internationale pour la protection de la propriété industrielle). Konwencya paryzka z 20 marca 1883.

Pod względem politycznym, cudzoziemcy są niżej postawieni od krajowców o tyle, że nie mają tych praw politycznych, które dają udział krajowcom w wykonywaniu władzy, n. p. praw wyborczych, natomiast na równi z krajowcami korzystają z prawa stowarzyszeń, zgromadzań, ochrony mieszkania, wolności prasy, swobody wyznań i t. d.

Swoboda zajmowania się handlem jest dziś także cudzoziemcom zapewnioną. Ograniczenia, które pod tym względem w niektórych państwach istniały (Szwecya do r. 1864, Dania do r. 1873 i i.) w ostatnich czasach zostały zniesione. Istnieją one tylko na Wschodzie (Chiny, Japonia), ale i tam coraz więcej znikają.

Znikły także wszelkie dawne ograniczenia cudzoziemców co do prawa dziedziczenia, przenoszenia spadku poza granice państwa i co do swobody wiary. Uprzywilejowane natomiast stanowisko mają cudzoziemcy przez to, iż nie pełnią powinności wojskowej.

Z zupełną natomiast słusznością Unia domaga się zniesienia

[1] Obrona ta ma szczególne znaczenie w państwach wschodnich, jak Persya, Japonia, Chiny itd.

istniejącego w niektórych państwach (Anglia, Stany Zjednoczone, Szwecya) ograniczeń cudzoziemców w prawie nabywania własności nieruchomej. Ukaz rosyjski z 1887 r. stoi w sprzeczności nie tylko z prawem narodów, ale i wogóle z wymaganiami dzisiejszej cywilizacyi.

Przedewszystkiem zaś wielkiej wagi są uchwały Unii w kwestyi wydalania cudzoziemców.

Prawny stan tej kwestyi w związku międzynarodowym jest obecnie następujący:

W czasie wojny państwa aż do najnowszych czasów wydalały obywateli państwa nieprzyjacielskiego. W r. 1870 wydalono z Francyi z górą 100.000 Niemców, a w tem 40.000 z samego Paryża. Ale ten barbarzyński zwyczaj w paru ostatnich wojnach: rosyjsko-tureckiej (1877 r.), chińsko-japońskiej (1894 r.) i hiszpańsko-amerykańskiej (1898 r.) został zaniechany. Są nawet umowy międzynarodowe, które zastrzegają niestosowanie wydalania na wypadek wojny, np. traktat Niemiec z Nicaraguą.

W czasie pokoju państwa mają prawo wydalać cudzoziemców, a to państwo do którego oni należą, lub dawniej należeli, ma obowiązek ich przyjąć, nawet choćby oni w niem utracili obywatelstwo, jeśli nie nabyli innego [1]. Jednakże wydalanie to odnosi się do jednostek niebezpiecznych dla państwa, i są traktaty, w których wyraźnie jest zastrzeżonem wydalenie tylko z ważnych przyczyn i za uwiadomieniem agenta dyplomatycznego. Samowolne wydalanie, jak niemniej wydalanie uwłaczające państwu, do którego wydaleni należą, jako przeciwne zasadzie związku międzynarodowego (prawo do szacunku i do utrzymywania międzynarodowych stosunków) uprawnia do skarg w drodze dyplomatycznej i do retorsyi. Masowe wydalanie tak częste w starożytności, dziś nie powinno mieć zastosowania. A jednak, w r. 1869 Greków wydalono z Turcyi, a w r. 1886 Polaków z Prus i Niemców z Rosyi. To ostatnie było niewątpliwie aktem prawu narodów i cywilizacyi uwłaczającym, i przez to kwestya wydalań cudzoziemców weszła na porządek dzienny stosunków międzynarodowych.

Instytut prawa międzynarodowego proponuje przyjęcie następujących zasad:

W zasadzie każde państwo udzielne może zarówno dopuszcza-

---

[1] Zorn, Grundzüge des Völkerrechts. Leipzig 1903. S. 162.

nie cudzoziemców na swoje terytoryum, jak i ich wydalanie, urządzić w sposób który za stosowny uzna. Zasady wykonania tego prawa powinno państwo ogłosić dla wiadomości osób interesowanych.

Wydalanie możebnem jest z powodu wojny lub rozruchów wewnętrznych, tudzież w czasach spokoju. Wydalanie w dwóch pierwszych wypadkach będzie czasowem. Wydalanie w czasie spokoju odnosi się do jednostek (l'expulsion ordinaire), i do pewnych kategoryi jednostek (l'exp. extraordinaire).

W kwestyi wydalania jednostek, należy rozróżnić jednostki mające zamieszkanie, lub zakład handlowy, od tych które tego nie mają.

Decyzya co do wydalania z powodami, powinna być przed jej wykonaniem stronie interesowanej doręczoną.

Wydalanie nadzwyczajne powinno mieć miejsce wskutek specyalnej ustawy lub przynajmniej rozporządzenia, opublikowanego na pewien czas (np. na 6 mies.)[1].

Postanowienia te o wiele lepiej normują kwestyę, niżeli uchwały Unii.

6. Kodyfikacya prawa narodów.

Na konferencyi w Christianii 1899 r. Rada interparlamentarna została wezwaną o wypracowanie kodeksu prawa międzynarodowego, określającego prawa i obowiązki państw, i o przedłożenie go do obrad na jednej z następnych konferencyj interparlamentarnych. (Rezol. 2).

Kwestya kodyfikacyi prawa narodów, którą się Unia interparlamentarna zajmowała, ma swoją historyę.

Oddawna, zarówno w świecie naukowym jak i dyplomatycznym, uznawaną jest potrzeba skodyfikowania prawa narodów.

Prawo zwyczajowe, mimo wielkich swoich zalet, polegających głównie na tem, że ono w bezpośrednim zostaje związku z życiem i pod wpływem jego potrzeb wytwarza się i zmienia, przedstawia zawsze te niedogodności, że nie jest dokładnie określonem i że w praktyce pozostawia wiele wątpliwości co do tego, co obowiązuje a co ulegając zmianom czasu i wypadków, obowiązywać już przestało.

Obok prawa zwyczajowego, istnieje w niezliczonej ilości traktatów mnóstwo reguł, które są prawem dla stron które traktaty zawarły lub do nich przystąpiły. Liczba umów międzynarodowych

[1] Annuaire de l'Institut. X, str. 245. XII, str. 218.

rośnie z postępem czasu, a nadewszystko wzmaga się liczba traktatów ogólnych, obowiązujących w wielkiej ilości państw, a nawet w całym związku międzynarodowym, co jest zarówno dowodem ujednostajnienia się potrzeb w całym międzynarodowym związku, pod wpływem ujednostajnienia się cywilizacyi, jak i tego, że państwa uznają coraz więcej potrzebę uregulowania wzajemnych ich stosunków przez prawo dokładnie określone i jednolite.

Ale zawsze jeszcze największa ilość jest traktatów, które tylko do dwu lub więcej państw się odnoszą. W nich rozpróśzone są zasady postępowania bardzo rozmaite. Otóż duchowi nowszego czasu odpowiada coraz więcej ujednostajnienie praw, i stąd dążność do kodyfikacyi prawa narodów.

Dążność ta przejawiła się po raz pierwszy w końcu XVIII-go stulecia. Zgromadzenie narodowe we Francyi w d. 28 październ. 1792 poleciło Abbé St. Grégoire ułożenie zasad prawa narodów. Elaborat jego wszakże nie został przez konwent przyjęty. W XIX wieku, pierwszy poruszył tę sprawę J. Bentham i sam projekt prawa narodów ułożył. Wstępując w jego ślady, w drugiej połowie z. w. wypracowali projekty kodeksu prawa narodów: August Parodo, Alfons Domin de Petrushevecz, Bluntschli i Dawid Dodley-Field. Projekty te są różnej wartości. Najsłabszy z nich — najpierwszy, gdyż w nim więcej jest poglądów autora, niżeli zebranych reguł prawa zwyczajowego i umownego. Projekt Bluntschlego nie uwydatnia również granicy między postulatami nauki, a prawem dziś obowiązującem. Najlepsze są projekty Petrushevecza i Fielda. Pierwszy z nich odznacza się ścisłością prawniczą, ostatni, oparty jest na bogatym materyale prawa obowiązującego i na praktyce rządu Stanów Zjednoczonych. Żaden jednak z tych elaboratów nie był przedmiotem obrad reprezentantów państw.

Z czasem powstawać zaczęły stowarzyszenia dla sprawy kodyfikacyi: l'Institut de droit international, Association pour la réforme et la codification du droit des gens w r. 1873 (to ostatnie dziś pod nazwą Association du droit international działające), wreszcie w r. 1880 w Petersburgu rosyjskie towarzystwo dla popierania kodyfikacyi prawa narodów.

Najdonioślejsze rezultaty wydały prace Instytutu, który wypracował duży szereg projektów kodyfikacyi prawa narodów: co do wydawania przestępców, co do prawa wojny, co do procedury w są-

dach polubownych dla sporów państw, co do międzynarodowego prawa prywatnego, wykonywania wyroków sądów zagranicznych itd. W pracach tych towarzystw, przyjmują udział najpierwsze naukowe znakomitości świata.

Nie brak jednak i przeciwników kodyfikacyi, którzy sądzą, że ona oderwie prawo narodów od związku z życiem, i nie uzyska nigdy powszechnego przyjęcia w całym związku międzynarodowym

Oba te zarzuty nie są uzasadnione. Każda kodyfikacya jest skrystalizowaniem prawa, unieruchomieniem go, ale nie rozrywa w zupełności jego związku z życiem, gdyż pod jego wpływem rodzące się nowe potrzeby, wywołują co pewien czas rewizye praw skodyfikowanych i ich uzupełnienia.

Niesłuszność drugiego zarzutu wynika z dzisiejszych stosunków dyplomatycznych. Coraz bardziej wzmaga się ilość umów, mających moc obowiązującą w całym związku międzynarodowym, jak traktat pocztowy, telegraficzny, co do własności literackiej i przemysłowej, jak deklaracya petersburgska, jak konwencya genewska, jak uchwały konferencyi pokojowej Hagskiej itd.

Słuszność w sporze o kodyfikacyę prawa narodów, spoczywa w środku, między dwoma krańcowemi zdaniami. Kodyfikacya ta jest potrzebną i przyniesie światu wielkie korzyści. Przez nią zostanie prawo narodów ściśle określonem, ustali się jego znajomość, a świat przekona się o użyteczności reguł tego prawa w praktyce, ujednostajnią się one w całym związku państw, a nadto przeżyte i duchowi czasu nieodpowiadające jego postanowienia przy kodyfikacyi zostaną usunięte. Jednak kodyfikacya nie może być dokonaną od razu, a tylko w miarę przygotowania do niej materyałów. Jest wiele traktatów, zawierających mnóstwo materyałów b. cennych do przyszłej kodyfikacyi pojedynczych działów prawa narodów. Tu należą: traktat wiedeński z 1815 i Akwizgrański z 1818 r., paryzki z 1856, konfer. genewska z 1864 i 1906 r., traktat berliński z 1878, umowy państw będące podstawą Unij międzynarodowych (pocztowej, telegraficznej etc.) uchwały konferencyj hagskich (pokojowej i dla międz. pr. pryw.). Tu należą także ustawy państw pojedynczych, odnoszących się do prawa nar., jak deklaracya rządu belgijskiego i francuskiego wydana w czasie wojny wschodniej w r. 1856, jak amerykańska ustawa o wojnie z 1863 r., ukaz rosyjski z 1877 r., specyalnie co do prawa morskiego: zbrojna neutralność i Code maritime z 1782 r. Tożsamo uchwały Instytutu cenny dla kodyfikacyi

stanowią materyał. Na tej podstawie mogą być projekta kodyfikacyi przygotowane, które reprezentanci państw uczynią z czasem osnową międzynarodowych konwencyj, które, na podobieństwo traktatu pocztowego, hagskiego i i. znajdą moc obowiązującą w całym międz. związku państw. Z tego wszakże wynika, że przygotowanie projektów do kodyfikacyi nie może być zadaniem Unii interparlamentarnej. Członkowie jej, należący do różnych parlamentów świata, łączą się w Unii interparlamentarnej dla propagowania idei pokoju, ale nie mogą się uważać za powołanych do podejmowania pracy, do należytego wykonania której, potrzeba fachowej wiedzy. Parlamenty nie składają się z samych znawców prawa narodów, a ci, którzy nimi nie są, kodyfikować prawa narodów nie mogą. Kodyfikacya nie polega przecież na spisywaniu improwizowanych reguł, odpowiadających osobistemu zapatrywaniu piszącego. Kodyfikacya jest zebraniem praw już istniejących i uzupełnieniem ich w duchu potrzeb życia społecznego. Taka czynność wymaga fachowej wiedzy prawniczej, której od każdego posła wymagać nie można.

Z tych powodów uchwała Unii skodyfikowania prawa narodów nie była słuszną, i dlatego nie została wykonaną.

7. Kwestya neutralności.

W czasie toczącej się wojny, każdemu państwu służy prawo brać udział w niej, lub nie, czyli, w tym ostatnim wypadku, ogłosić swą neutralność.

Neutralność ta jest tylko czasową, trwa bowiem jedynie do końca wojny, i zupełnie od woli państwa i od spełnienia obowiązków z neutralności wynikających zawisłą. Są jednak państwa stale neutralne[1]. One w żadnej wojnie udziału brać nie mogą, muszą więc zachowywać bierną postawę w czasie wojny. Przez to ich samodzielność jest ograniczoną. Za to jednak mają pewne prawa, ale i im odpowiadające obowiązki. Im nie może być wypowiedzianą wojna, terytoryum ich nie może być terenem, na którymby państwa walczące mogły walkę prowadzić. Obowiązkiem ich natomiast jest: żadnemu państwu nie wypowiadać wojny i takie tylko zaciągać zobowiązania, które nie prowadzą do wojny i które tylko w czasie pokoju mogą być wykonane. Z tego wynika, że np. państwa stale neutralne nie mogą zawierać przymierzy zaczepnych, bo to prowadzi do wojny.

[1] Liszt, Das Völkerrecht. Berlin 1902 str. 45.

Dalszym obowiązkiem państw zneutralizowanych jest: nietylko wykonywać obowiązki w ogóle do neutralności przywiązane, ale także i wynikające z traktatu gwarantującego ich neutralność. One nie mogą także dozwolić, aby na ich terytoryum robiono spiski i przygotowania bądź to do rewolucyi w obcem państwie, bądź to do wojny z jakiem bądź państwem· One wreszcie muszą wypełniać obowiązki wynikające z ich udziału w związku międzynarodowym, a nadto muszą być gotowe bronić swej neutralności.

Neutralizacya państw leży zarówno w ich interesie, jak i w interesie związku międzynarodowego. W ich interesie, bo zapewnia im stały pokój, w interesie zaś innych państw, gdyż dla mocarstw sąsiednich daje gwarancyę nietykalności ich granic, dla wszystkich zaś innych państw, gdyż utrudnia wojenną akcyę państw w ogóle i toruje drogę do utrzymania pokoju. Dlatego, jeżeli do neutralności czasowej wystarcza, że ją ogłosi państwo, które chce być neutralnem, do stałej neutralności potrzeba zgody na nią związku międzynarodowego, a nadto gwarancyi tej neutralności ze strony państw paru. Zagwarantowaną neutralność posiadały dawniej Szwajcarya (trakt. wied. Erklärung z 20 marca 1815 r., trakt. paryzki z 20 Nov. 1815. Helvetische Tagsatzung z 27 marca 1815 r. Wiener Schlussakt z 9 czerwca 1815 r.[1]), Wielkie Księstwo Luxemburskie (trakt. Londyński z 11 maja)[2], Belgia (Prot. z 20 stycznia 1831. Vertrag d. achtzen Artikel z 24 czerwca 1831. Vertrag d. vierundzwanzig Artikel z 15 paźdz. 1831 r.)[3].

Wyjątkowe stanowisko zajmuje neutralność państwa Kongo, która w myśl konfer. berlińskiej z 26 lutego 1885 r. (art. 10—12 acte final) jest tylko ograniczoną, i którą państwa gwarancyjne zobowiązały się tylko szanować, ale nie bronić[4].

Możliwą jest także neutralność pewnych części państwa, t. j. jakiejś prowincyi, rzeki, kanału, cieśniny itd. Tak n. p. neutralność Sabaudyi (trakt. wied. Acte final art. 92), wysp Korfu i Paxos (trakt. z 14 list. 1863 między państwami Pentarchii, i trakt. z 29 marca 1864 r.).

---

[1] Państwa gwarancyjne: Rosya, Prusy i Austrya, Anglia i Portugalia, Hiszpania i Szwecya.

[2] Państwa gwarancyjne: Rosya, Prusy, Austrya, Francya, Anglia i Włochy.

[3] Państwa gwarancyjne: Pentarchia.

[4] Pierantoni, Il trattato di Berlino del 1885 e lo stato independente del Congo 1898.

W ostatnich czasach Dania oraz Szwecya i Norwegia wyrażały zamiar uzyskania stałej neutralności [1], ale związek międzynarodowy nic dotąd w tej mierze nie postanowił.

Interparlamentarna konferencya brukselska z 1895 r. wyraziła życzenie, ażeby, jeśli jakiebądź państwo, w drodze konstytucyjnej ogłosi swą stałą neutralność, ta ostatnia została przez państwo uznaną. Członkowie Unii interparl. niech użyją swego wpływu, ażeby sprawa ta została postawioną na porządku dziennym, następnej konferencyi dyplomatycznej. (Rezol. 1).

Na konferencyi interparlamentarnej w Paryżu 1900 r. poruszoną została wielkiej wagi kwestya neutralności. Żądania pod tym względem nie zostały dokładnie sformułowane, ale wyrażono tę myśl, że zachodzi konieczność ścisłego określenia prawnego stosunku państw walczących do niebiorących udziału w walce, aby usunąć dziś pod tym względem panującą niepewność i samowolę, wobec których najdziwaczniejsze pretensye są pod tym względem obecnie dopuszczalne. Konferencya wypowiedziała wreszcie zapatrywanie, że stosunek stron walczących do neutralnych, określony być powinien nie tylko negatywnie, ale i pozytywnie, a wreszcie, że powinien być opartym na ogólnych zasadach pokoju między państwami i na zasadzie równej państw udzielności. (Rezol. 1).

Wreszcie na konferencyi w Wiedniu (1903) delegaci Norwegii przedstawili usiłowania podjęte przez państwa skandynawskie, ażeby uzyskać stałą neutralność. Konferencya interparlamentarna wyraziła sympatyę dla tych usiłowań.

Z powyższych uwag wynika, że uchwała konfer. brukselskiej z r. 1895. (Resol. 1). »Że jeśli jakiebądź państwo ogłosi swą neutralność stałą, to państwa powinny ją uznać«, w obecnym stanie międzynarodowych stosunków nie jest do przeprowadzenia. Dziś stała neutralność jest instytucyą, którą Związek międzynarodowy wytwarza w interesie państw wielu. Jeżeli zatem w tym ostatnim nie leży uznanie stałej neutralności pewnego państwa, albo jeżeli wprost przeciwnie — w interesie ogółu leży, ażeby pewne państwo nie było uznanem stale za neutralne, chcćby ono stałej neutralności dla siebie najbardziej pragnęło, ta ostatnia uznaną nie będzie.

Kiedy życzeniu konferencyi brukselskiej będzie mogło stać się zadość w zupełności? Wtedy, gdy dążenie do utrzymania pokoju

[1] A. Hedin, La neutralité des États scandinaves. Stockholm 1899.

w świecie stanie się jednym z celów Związku międzynarodowego w rzeczywistości. Wtedy środkiem do tego celu będzie, ażeby jak największa ilość państw stałą neutralność uzyskała.

Uchwała zaś konferencyi wiedeńskiej, witająca z uznaniem starania państw skandynawskich o uzyskanie stałej neutralności, charakterowi Unii interparlamentarnej odpowiada i jest na miejscu.

8. Agencya pokoju.

Na konfer. paryskiej w r. 1900 podniesiono myśl stworzenia dwóch instytucyi dla propagowania idei pokoju: agencyę pokoju i biuro międzynarodowe dla zbierania i publikowania dokumentów dyplomatycznych.

W obu tych sprawach niepowzięto uchwały, ale je do zbadania odesłano do Rady interparlamentarnej (Conseil interparlementaire. Agencya pokoju (l'Agence de la paix) miałaby być biurem prasowem, przyłączonem do biura interparlamentarnego w Bernie, i miałaby codziennie wydawać biuletyny o sprawie pokoju i bezpłatnie je rozsyłać. Pomysł nie praktyczny. Sprawa pokoju nie postępuje tak szybko, ażeby codziennie świat o tych zmianach uwiadamiać. Natomiast zupełnie wystarczą sprawozdania coroczne biura berneńskiego. Do codziennych relacyi, wystarczą zwykłe dzienniki.

Natomiast bardzo wielkiej użyteczności byłoby biuro dla zbierania i publikowania dokumentów dyplomatycznych. Te ostatnie przedstawiają oczywiście nadzwyczaj wielki interes nietylko dla przyjaciół pokoju, ale dla polityków, historyków i wszystkich zajmujących się politycznymi stosunkami świata. Dokumenta te są mało dla kogo dostępne i dla tego opublikowanie ich choć w części, byłoby bardzo pożądanem.

9. Organizacya prasy.

Na konfer. paryskiej w 1900 r. hr. Apponyi, imieniem grupy posłów węgierskich, postawił wniosek o zorganizowanie prasy w cywilizowanym świecie, dla popierania sprawy pokoju.

Wniosek ten brzmiał (w streszczeniu): Unia interp. wzywa swe grupy o zorganizowanie w ich krajach prasy na korzyść idei pokoju, na wzór dokonanej już podobnej organizacyi na Węgrzech.

Motywy tego wniosku, są jasne i proste. Ażeby z korzyścią działać na rzecz pokoju, Unia musi pozyskać opinię publiczną dla

swej idei. Z pomiędzy różnych czynników oddziałujących skutecznie na wyrobienie opinii publicznej, jednym z najpotężniejszych jest prasa.

W każdym kraju, mnóstwo jest ludzi którzy myślą myślami dziennika, który czytają; ale nawet i dla samodzielnych umysłów, ciągłe przychylne traktowanie w dziennikach sprawy pokoju, nie może być obojętnem. Artykuły te utrwalają i rozszerzają przekonania dla idei pokoju korzystne, wyświetlają sprawę wszechstronnie, pouczają o jej postępie i o jej cywilizacyjnem znaczeniu, słowem pozyskują umysły.

Wszyscy członkowie Unii uznali oczywiście odrazu wielką użyteczność usług prasy dla sprawy pokoju. Wielu mowców wystąpiło z gorącem poparciem wniosku hr. Apponyiego, wielu innych postawiło wnioski uzupełniające. I tak: Beauquier (franc.) proponował utworzenie agencyi prasy dla sprawy pokoju, połączonej z biurem pokoju w Bernie, albo ewentualnie ustanowienie przy istniejących już dziś znanych agencyach Havasa, Reutera, Wolffa i i. fachowych referentów dla sprawy pokoju.

Ives Guyot proponował utworzenie biura międzynarodowego mającego się zająć zbieraniem wszelkich dokumentów dotyczących stosunków zewnętrznych państw, na podstawie których możnaby w prasie wyjaśniać kwestye sporne.

Oba wnioski, zostały przez Unię przekazane Radzie interparlamentarnej (Conseil. interp.) do zbadania.

Wniosek hr. Apponyiego został jednogłośnie uchwalony.

Wzorem proponowanej Unii prasy światowej miała być Unia prasy węgierskiej. Statut tej Unii, jest właściwie projektem statutu Unii prasy całego cywilizowanego świata. Unia ta ogarnia prasę wszystkich państw, a dziennikarze jednego państwa tworzą grupy narodowe. Otóż Węgrzy utworzyli pierwszą grupę narodową. Ta ostatnia opierała się na następujących zasadach:[1]

Celem Unii jest systematyczne propagowanie idei pokoju i arbitrażu.

Członkowie Unii są dziennikarzami (redaktorowie i współpracownicy), którzy zobowiązują się służyć idei pokoju.

Członkowie Unii z jednego państwa, tworzą grupę narodową.

[1] Union interparlamentaire. Compte rende de la X Confér. Paris 1900 str. 155.

Grupy te łączą się w organizacyi międzynarodowej.

Unia prasy wchodzi w stosunki z Unią interparlamentarną, aby tem skuteczniej razem dożyć do wspólnego celu.

W ramach statutu Unii, grupy narodowe uchwalają sobie regulamin.

Członkowie Unii płacą 5 fr. rocznie, na cele swej grupy i organizacyi międzynarodowej.

Grupy narodowe raz na rok łączą się w zgromadzenia ogólne.

Dziennikarze z państw w których Unia nieistnieje, mogą być zaproszeni do obrad, ale bez prawa głosowania.

Organami Unii są: stała Rada i biuro centralne.

Każda grupa wybiera 2 członków Rady, na 3 lata.

Zadaniem Rady jest: przygotowanie obrad zgromadzenia, wykonanie jego uchwał (łącznie z biurem), i prawo inicyatywy w sprawach Unii.

Biuro zgromadzenia ogólnego jest biurem centralnem, przez rok, aż do następnego zgromadzenia. Ono załatwia sprawy bieżące Unii, pośredniczy między grupami Unii i Unią prasy a Unią interp., zarządza funduszami Unii.

Myśl, założenia Unii prasy całego świata dla pożytku idei pokoju, wypowiedziana przez hr. Apponyiego, została jednogłośnie przez Unię interparl. w Paryżu przyjętą, ale na tem zakończył się cały dla niej zapał. Najpierwsze węgry okazały gotowość do praktycznego urzeczywistnienia tej myśli; za niemi poszła Szwajcarya i Portugalia — w innych państwach myśl powyższa nie znalazła poparcia. Skutkiem tego p. Gobat, na posiedzeniu Unii w Wiedniu w r. 1903[1] oznajmił: iż zorganizowanie prasy niemoże być przeprowadzonem, co zgromadzenie przyjęło do wiadomości.

Tego postanowienia żałować należy. Zostało ono powziętem za wcześnie i z wielką szkodą dla sprawy samej.

Idea pokoju, nierozszerzy się należycie w masach, bez gorącego poparcia prasy. Przy tem rozpowszechnieniu czytania dzienników co dziś, systematyczne zalecanie zamiłowania pokoju jest niewątpliwie jednym z najdzielniejszych środków pozyskania dla niej szerokich warstw społecznych.

Zawcześnie jednak żądano od razu organizacyi prasy całego świata. Najprzód potrzeba tę ostatnią pozyskać, a potem można mówić o jej

[1] Compte rende de la XI Confér. Vienne 1903 str. 93.

organizacyi. Do pozyskania ząś prasy dla idei pokoju, jeszcze bardzo daleko. Namawianie, werbowanie, nie przyda się na nic. Prasa wpływa na przekonania społeczne, a z drugiej strony jest ich wyrazem. Utrwalenie się zamiłowania pokoju w szerszych niż to dziś ma miejsce warstwach społecznych, znajdzie wyraz i w prasie. Należy więc jednocześnie dbać o jedno i drugie. Reforma nauki historyi w szkołach, ustanie gloryfikowanie tylko wojen w nauce historyi, wykazywanie dobrodziejstw płynących dla ludzkości z pokoju, pozyska młode umysły dla idei pokoju, a za tem pójdzie z czasem opinia publiczna i prasa, i wtedy będzie pora myśleć o organizacyi tej prasy. Dziś zwolennicy pokoju powinni się starać pozyskiwać jak największe codzienne dzienniki w każdem państwie. Za niemi pójdą inne, mniejsze wydawnictwa. Ta zaś prasa maleńka, specyalnie dla sprawy pokoju w różnych państwach obecnie powstała i jej wyłącznie poświęcona, niewiele zdziała, gdyż jest mało czytaną, a nadewszystko ona nie reprezentuje opinii mas.

Sprawa więc pozyskiwania prasy, i zużytkowania jej dla propagowania idei pokoju, nie powinna zejść z porządku dziennego obrad Unii, powinna być wznowioną, choć załatwienie jej nie może nastąpić prędko.

10. Kongres międzynarodowy.

Parlament świata.

Projekt grupy amerykańskiej. (Bartholdt).

Unia, na konferencyi w Bruksélli (1905) poleciła do przyjęcia drugiej konferencyi pokojowej w Hadze projekt następujący:

Ustanawia się kongres międzynarodowy, złożony z dwóch Izb: Senatu i Izby deputowanych.

W Senacie każde państwo ma mieć 2-ch członków, a w Izbie deputowanych mieć będzie liczbę posłów odpowiednią do jego handlu międzynarodowego.

Kadencya trwa lat 8.

Większość głosów rozstrzyga.

Konieczną jest zgoda obu Izb.

Każde państwo może się z kongresu usunąć każdej chwili.

Debaty kongresu dotyczą tylko stosunków państw.

Kongres uchwala reguły dla tych stosunków.

Reguły te powinny być uznane za prawo, z wyjątkiem tych, które dawniej określone już zostały przez parlamenty państw odrzucone.

Państwa wzajemnie traktować się powinny jako równe sobie. Każde państwo należąc do kongresu, może się zbroić dowolnie. Wojna będzie uważaną za akcyę legalną, wyjąwszy, jeżeli różne państwa zgodziły się zapomocą traktatów na rozstrzygnięcie sporów przez sąd.

Zbrojne siły państw powinny być do rozporządzenia kongresu, dla wykonania decyzyi Trybunału w Hadze.[1]

Dla rozważenia tego projektu, została przez Unię wybrana komisya[2], która odbyła 3 posiedzenia: 1) 18 i 19 lutego 1905 r., 2) 19 i 20 kwietnia 1906 r. i 3) 2 czerwca 1906 r.

Zaraz na 1-em posiedzeniu zgłoszone zostały w tej kwestyi dwa nowe wnioski.

Sam wnioskodawca, mianowicie p. Bartholdt, przyszedłszy do przekonania, że nie nadeszła jeszcze pora do tworzenia międzynarodowego parlamentu, przedstawił projekt Komitetu, albo Rady państwa (Comité ou Conseil d'État) dla spraw zewnętrznych. Ten komitet złożony z ludzi bardzo wybitnych, z kwestyami międzynarodowemi bardzo obeznanych, miałby odbywać peryodycznie posiedzenia dla międzynarodowych spraw bieżących i dążyć do jednolitej akcyi z organami rządów państw pojedyńczych.

Pan d' Estaurnelles de Constant zaproponował zaś utworzenie międzynarodowego Ministerium, w zastępstwie za trudny do utworzenia parlament międzynarodowy.

Na ostatniem posiedzeniu, w d. 2 czerwca 1906 r. w Brukseli odbytem, ostatecznie nie uchwalono żadnego z powyżej przytoczonych wniosków, zgodzono się natomiast że:

1) konferencye pokojowe w Hadze powinny się odbywać stale peryodycznie;

2) państwa powinny upoważnić swych delegatów na drugą konferencyę hagską, do utworzenia stałej Rady, mającej za zadanie kondyfikacyę i rozwój prawa narodów, oraz doprowadzenie, ile można, do zgody prawodawstw państw pojedyńczych z prawem narodów;

3) przeprowadzić zmianę statutu Unii i przedłożyć Konferencyi wnioski co do zmiany art. 2, 4, 6 i 8 statutów.

Wszystkie te 3 punkta były pierwotnie tj. na pierwszem posiedzeniu, inaczej stylizowane.

---

[1] Résolutions des Conférences. Bruxelles 1911 str. 93.

[2] Komisya ta, nosiła pierwotnie nazwę: Commission pour le parlement international, póżniej została nazwaną Commission de réorganisation.

W punkcie 2-im miano na myśli, aby w państwach pojedyńczych utworzone były Komitety dla spraw zagranicznych, a prócz tego Rada centralna.

Co do punktu 3-go, radzono zastanowić się, czy Unia interparlamentarna niemogłaby z czasem przeistoczyć się w Kongres międzynarodowy? Byłoby bowiem niewątpliwie pożądanem, ażeby Unia miała coraz więcej charakter prawdziwej reprezentacyi międzynarodowej. Innemi słowy: jest pożądanem ażeby Unia była wiernym wyrazem ciał prawodawczych w pojedynczem państwie. Do tego, za konieczną uznano reorganizacyę Unii.

Punkt 1-y, na drugiem posiedzeniu miał bardzo dobrą redakcyę: Byłoby korzystnie przekształcić 2-gą konferencyę hagską na kongres międzynarodowy, zbierający się automatycznie i peryodycznie.

11. Uchwały dotyczące wyników konferencyi pokojowej w Hadze, z 1899 r.

Konferencya interparlamentarna w Christanii z 1899 r. a) wyraziła powinszowania naczelnikom państw i rządom na konferencyi w Hadze reprezentowanym, z powodu wyników konferencyi hagskiej; b) wyraziła radość iż uchwały tej ostatniej wypadły w duchu organizacyi sądów polubownych uchwalonej przez konferencyę interparlamentarną w Brukselli 1896 r., a nadto nadzieję, że dzieło w Hadze zaczęte, doczeka się w przyszłości dalszego rozwoju i wykończenia. W tym celu, konferencya interparlamentarna ofiarowała swój współudział. (Rezol. 3).

Z powodu wojny w południowej Afryce, wybuchłej bezpośrednio po ukończeniu konferencyi hagskiej, Rada interparlamentarna, na posiedzeniu swem odbytem w Brukselli 2 września 1901 r. wystosowała pisma zarówno do Biura międzynarodowego w Hadze jak i do hollenderskiego Ministra spraw zagranicznych, jako prezydenta międzynarodowej rady administracyjnej, z wyrażeniem życzenia:

a) ażeby konwencya hagska została ogłoszoną jako otwarta, ażeby do niej mogły przystąpić państwa, któe w jej zawarciu udziału niebrały;
b) ażeby zasady prawa wojny, były powszechnie ściśle stosowane;
c) ażeby w każdym sporze państw, stosowane były zasady w Hadze przyjęte co do procedury w sądach polubownych.

Konferencya w Chrystianii wyraziła:

a) nadzieję, że państwa w razie sporów, będą się stosować do uchwał hagskich;
b) wyraziła żal, że tego nie uczyniono w sporze Anglii z republikami południowej Afryki;
c) wyraziła życzenie, ażeby zbrojna interwencya mocarstw w Chinach, dla ukarania popełnionych tamże okrucieństw, nie miała za skutek nowych zdobyczy, mogących wywołać wojnę powszechną, ale że przeciwnie ona będzie początkiem zorganizowanej i trwałej Unii państw. (Rezol. 5 i 6).

W sprawie uzupełnienia postanowień konférencyi hagskiej, konf. interparl. w Christianii wyraziła zdanie:
a) iż jest pożądanem. ażeby zdanie sporu na sąd polubowny (arbitrage) było obowiązującem, o ile to nie będzie przeciwnem niepodległości państw;
b) ażeby wszystkie państwa mogły przystąpić do konwencyj hagskich;
c) ażeby organizacya trybunału polubownego (art. 20 konw. hagskiej o pokojowem załatwianiu sporów państw) zbliżyła się do organizacyi stałego sądu polubownego. (Rezol. 5).

Z powodu uchwał hagskich, konfer. interparl. w Paryżu, w 1900 r., poleciła grupom parlamentarnym, ażeby użyły swego wpływu, aby:
a) państwa, w myśl art. 19 konw. hagskiej zawierały traktaty specyalne, zapewniające pokojowe załatwianie ich sporów;
b) aby klauzule co do arbitrażu były pomieszczane w traktatach specyalnych;
c) ażeby obowiązki wynikające dla państw z art. 17 wspomnianej konwencyi, nie były zaniedbywane (Resol. 3);
d) aby posłowie do parlamentów prypominali swym rządom obowiązki. które na nich ciężą, po podpisaniu konferencyi w Hadze. (Rezol. 5).

W myśl zaś uchwał konf. interparl. w Christianii, grupy parlamentarne mają nadto obowiązek:
e) starać sie aby do uchwał hagskich przystąpiły te państwa, które dotąd tego nie uczyniły;
f) aby ich państwa zawierały traktaty pokojowe (traités d'arbitrage);
g) mają ułatwiać przyjęcie do konwencyi hagskich państw w Hadze nie reprezentowanych;

h) podawać do wiadomości ziomków uchwały hagskie, z wyjaśnieniami i oceną tych ostatnich;
i) zachęcać rządy do dalszego rozwoju uchwał hagskich;
j) opinie swe co do uchwał hagskich, podawać do wiadomości Rady interparlamentarnej. (Rezol. 4 i 5).

Na konf. w Wiedniu (1903 r.) uchwalono wreszcie:

a) ażeby państwa które uchwały konf. hagskiej (1899) podpisały, w razie sporu zwracały się do stałego tryb. w Hadze;
b) ażeby państwa w wypełnieniu ciążącego na nich obowiązku z mocy art. 27 uchwał hagskich, porozumiały się między sobą, celem wspólnego działania, mającego na celu przypomnienie państwom w sporze będącym: iż stały trybunał polubowny w Hadze, jest dla nich otwarty (Rezol. 2);
c) że państwa, obowiązki dla nich wynikające z art. 27 uchwał hagskich, stosować będą nawet względem państw, które uchwał hagskich nie podpisały (Rezol. 4);
d) ażeby możliwie najprędzej odbyła się nowa konferencya reprezentantów państw, dla powzięcia uchwały co do kwestyj, które przez konferencyą hagską przekazane zostały do załatwienia następnej konferencyi międzynarodowej.

Taż sama uchwała powziętą została, na wniosek p. Edmunda Robertson, specyalnie co do projektu rosyjskiego, dotyczącego rozbrojenia na lądzie i morzu, a nadto co do zmniejszenia ciężarów wojennych, obciążających budżety.

Na konf. wiedeńskiej zatwierdzono uchwałę Rady interparlamentarnej, która wyraziła życzenie:

a) ażeby konwencya hagska była uznaną za otwartą, tj. ażeby do niej przystąpić mogły państwa, które w konferencyi hagskiej udziału niebrały;
b) ażeby uchwalone w Hadze prawo wojny, było powszechnie i ściśle stosowanem;
c) ażeby we wszelkich sporach państw, stosowane były zasady proceduralne, uchwalone dla sędziów międzynarodowych.

Sekretarz generalny Unii interparlamentarnej, został zobowiązany, o powyższych uchwałach uwiadamiać biuro międzynarodowe w Hadze i holenderskiego ministra spraw zagranicznych.

Powyższe uchwały w przedmiocie konferencyi hagskiej, należą do najsłabszych uchwał Unii interparlamentarnej. Należałoby przypuszczać, iż Unia przyjmując za punkt wyjścia uchwały hagskie,

poweźmie uchwały co do tego jak dalej sprawę pokoju prowadzić należy, jakie nowe instytucye dające rękojmię trwałości pokoju do życia powołać należy. To się nie stało, natomiast uchwały Unii ograaiczają się do zaznaczenia ważności niektórych postanowień konferencyi hagskiej,[1] i wyrażenia nadziei że postanowienia te w interesie sprawy pokoju, będą przestrzegane. Ani jedna nowa myśl w sprawie pacyfikacyi świata przez Unią wypowiedziana nie została, tak że do postępu spraw któremi się konferencya hagska zajmowała, Unia się nie przyczyniła.

Niektóre postanowienia Unii dotyczą w tych kwestyach rzeczy drugorzędnych, a nie pierwszorzędnych. Tak np. gdy wybuchła wojna w południowej Afryce wbrew wyraźnym postanowieniom Konw. hagskiej co do środków które zastowane być powinny dla zapobieżenia wojnie, Unia uchwaliła żądać: ażeby konw. hagskie były uznane za otwarte, tak, żeby wszystkie państwa które w ich zawarciu udziału nie brały, przystąpić do nich mogły, zamiast domagać się ażeby, choć państwa południowej Afryki na konferencyi w Hadze reprezentowane nie były, uchwały hagskie do ich wojny znalazły zastosowanię. Tego duch tych ostatnich uchwał się domagał, bo przecież one nie w innym celu zostały powzięte, jak tylko ażeby pokój w całym świecie utrwalić, a nie specyalnie między pewnemi tylko państwami. Z drugiej strony, mamy w praktyce międzynarodowej przykłady, że pewne reguły niemające mocy prawa, są jednak przez państwa ad hoc dla załatwienia pewnej sprawy, na pewien czas przyjmowane. Deklaracya brukselska z 1874 r. ogarniająca prawo wojny lądowej, nie miała mocy obowiązującej, a jednak w późniejszych wojnach bywała przez strony walczące za modus vivendi przyjmowaną. Błąd swój naprawiła Unia na późniejséem swem posiedzeniu, wyrażając żal, że w wojuie południowo-afrykańskiej uchwały hagskie nie znalazły zastosowania.

Żądanie Unii, ażeby organizacya sądu polubownego w myśl uchwał hagskich (art. 20), zbliżała się do organizacyi stałego sądu polubownego, jest dowodem nie liczenia się Unii dostatecznie z warunkami bytu międzynarodowego związku państw, w którym stały trybunał, zorganizowany jak zwykły stały sąd cywilny jest przecież niemożebnym.

[1] Fried, Handbuch d. Friedensbewegung, Wien 1905. Dr Kolben, Wahrheit u. Klarheit über die Hager Friedenskonferenz. Berlin 1900.

Najważniejsze uchwały Unii co do konferencyi hagskiej, powzięte zostały na jej posiedzeniach w Paryżu i w Wiedniu. Domaganie się Unii, ażeby państwa w myśl art. 17, 19 i 27 konw. o pok. załatwianiu sporów międzynar. zawierały specyalne traktaty co do arbitrażu w sporach już wynikłych lub w przyszłości wyniknąć mogących, ażeby państwa w razie grożącego sporu przypominały stronom interesowanym trybunał polubowny w Hadze, i dla wspólnej pod tym względem akcyi porozumiewały się z sobą — to są uchwały bardzo doniosłego znaczenia, trafiają w rdzeń uchwał hagskich, i jeśli będą wykonane, sprawie pokoju mogą wielkie oddać usługi. Wezwanie państw do stosowania uchwał hagskich do państw w Hadze nie reprezentowanych odpowiada duchowi konferencyi pokojowej i jest zupełnie słusznem a liberalnem tłomaczeniem jej postanowień.

Zasługą jest także Unii żądanie nowej konferencyi w Hadze, a za szczególnie trafne uważać należy na posiedzeniu Unii w Paryżu zrobione wezwanie posłów, ażeby wpływali na swe rządy, w celu doprowadzenia do ścisłego wykonywania i dalszego rozwoju uchwał hagskich.

12. Uchwały konferencyi interparlamentarnej odnoszące się do członków Unii.

Unia interparlamentarna niejednokrotnie wyrażała wezwania do swych członków, które są ważne dla tego, że określają sposoby wykonywania uchwał zasadniczych przez Unią powziętych.

Konferencya peszteńska (1896 r.) wzywała posłów aby oni w parlamencie, na zebraniach publicznych, w publikacyach literackich i naukowych, oraz w memoryałach wniesionych do rządu, propagowali uchwały Unii, aby im zapewnić popularność.

Konferencya paryska (1900 r.) wzywała swych członków, 1) żeby wpływali na rządy aby te zawierały traktaty rozjemcze, a co najmniej, aby w traktatach klauzule rozjemcze zamieszczano, 2) aby przypominali rządom ich obowiązki płynące z uchwał hagskich (1899 r.), 3) aby tworzyli organizacyą prasy w swych krajach, dla sprawy pokoju, 4) aby członkowie grup byli silnie zorganizowani i przed uchwaleniem budżetu ministerstwa spraw zagranicznych, odbywali narady. w sprawie poparcia celów Unii.

Na konferencyi wreszcie w S-t. Louis (1904 r.) zalecano usilnie posłom, by jako członkowie Unii postępowali w sprawie pokoju solidarnie, bez względu na stronnictwa do którego należą.

VIII. Działalność Unii w r. 1910 i 1911.

1. Konferencya brukselska w r. 1910.

Obrady tej konferencyi, trwały od 29 sierpnia do 2 września[1]. Najważniejsze przedmioty jej obrad, dotyczyły zmiany statutów Unii,[2] a nadto następujących kwestyi:

1) Unia zajęła przedewszystkiem stanowisko w sprawie zwołania III konferencyi hagskiej,[3] uznając zasadniczo wielką doniosłość prac kodyfikacyjnych co do prawa narodów I i II konferencyi, tudzież konieczność ich dalszego ciągu, Unia przyłączyła się do ogólnych żądań cywilizowanego świata, ażeby reprezentanci państw zasiedli po raz 3-ci do pracy wspólnej nad unormowaniem reguł prawa co do najżywotniejszych kwestyj obecnej chwili. Droga jednak, którą Unia obrała do tego celu, jest niezwykłą. Unii nie szło o podjęcie inicyatywy w zwołaniu 3-ej konferencyi hagskiej, ale raczej o przygotowanie i zebranie materyałów do jej obrad. Z tego powodu Unia wezwała wszystkie rządy, aby każdy z nich utworzył w swem państwie komisyę, która w ciągu dwóch lat przedstawi swemu parlamentowi sprawozdanie z czynności dokonanych, tak, aby III konf. hagska w 1815 r. mogła być zwołaną. Członkowie zaś Unii zostali wezwani, o uwiadomienie o tej uchwale swój rząd i parlament i dołożyli starań ażeby zwołanie wymienionej konferencyi nie uległo zwłoce.

Uchwała ta została powziętą na wniosek posła amerykańskiego Richarda Bertholdta.

2) Poseł do niemieckiego Reichstagu Pachnicke uczynił wniosek o uznanie cieśnin morskich za neutralne. Kanały wszakże na terytoryum jednego państwa położone, np. Kaiser Wilhelm kanal, nie mają być zneutralizowane.

Dla przestudyowania tej kwestyi, wybrano komisyę. Co zaś

---

[1] Listę uczestników podaje: XVI Conférence Interparlementaire. Bruxelles 1910.

[2] Union Interparlementaire. Statuts et réglements. (Revision de 1910). Bruxelles 1910.

[3] Union Interparlementaire. Préparation du programme de la 3 Conférence de la Haye 1910.

do kanałów w jednem państwie wybudowanych, amerykański jenerał Wavren-Kaifer oświadczył imieniem rządu Stanów Zjednoczonych, że kanał Panama po wykończeniu będzie do międzynarodowego użytku oddany.

3) Najgłówniejsza część obrad Unii, była poświęconą prawu morskiemu.[1]

Skondyfikowanie prawa morskiego, zrobiło w ostatnich czasach bardzo znaczne postępy.

Już na drugiej konferencyi hagskiej, dla rozstrzygania kwestyj dotyczących zdobyczy na morzu, postanowiono utworzyć sąd międzynarodowy (Prisengerichthof), mający rozstrzygać w drugiej instancyi od orzeczeń sądów krajowych, a nadto uchwalono organizacyę tego sądu i postępowanie (procedurę).

W następnym roku, tj. 1909 zebrała się w Londynie konferencya dla prawa morskiego.

Wynikiem obrad tej konferencyi była deklaracya z 26 lutego 1909 r. ogarniająca znaczną ilość skodyfikowanych materyj z prawa morskiego (blokada, kontrabanda i i.).

Ta deklaracya co do prawa morskiego była przedmiotem rozpraw w Unii interparlamentarnej.

Ostatecznie uchwalono:

1) ażeby na przyszłych konferencyach wprowadzono do prawa morskiego zasadę zupełnej nietykalności własności prywatnej na morzu,

2) ażeby dekl. londyńska była zmienioną w ten sposób, ażeby blokada była ograniczoną tylko na porty wojenne,

3) ażeby ze względu na swobodę handlu pojęcie kontrabandy zostało bardziej ograniczonem.

W związku z deklaracyą morską uchwaloną w Londynie, zajmowano się wnioskiem Knoxa, amerykańskiego sekretarza państwa, który w piśmie z 18 października 1909 r. proponował, ażeby sądowi ustanowionemu na 2 hagskiej konferencyi dla spraw dotyczących zdobyczy morskiej (Prisengerichtskonf.), przyznane były atrybucye sądu polubownego istniejącego w Hadze (Schiedsgerichtshof), ewentualnie, jeżeli nie dla wszelkich to przynajmniej dla mniej-

[1] Documents interparlementaires. Bruxelles 1911 nr. IV. Lange, Note sur la Conference navale de Londres. Union Interparlem. F. E. Smith, La neutralisation du Commerce maritime. Bruxelles 1910.

szych sporów. Oba te wnioski Knoxa w Unii nie znalazły poparcia, i słusznie. Sąd złożony z sędziów mianowanych, nie może być postawionym na równi z sądami polubownymi, utworzonymi przez wybór i zaufanie stron; sąd oparty na ustawie, nie może zastąpić sądu opartego na kompromisie stron.

Ostatecznie tedy Unia uchwaliła zalecić państwom do przyjęcia uchwały co do sądu międzynarodowego dla zdobyczy morskiej, bez uzupełniających uwag Knoxa.

4) Ostatnia wreszcie sprawa, nad którą się w Unii zastanawiano, była sprawa przemiany Unii. na międzynarodowy parlament (Intern. parlam.). Miałoby się to stać w ten sposób, żeby w obradach unii nie brali udziału wszyscy członkowie grup narodowych, ale tylko przez nich wybrani posłowie.

Wniosek ten nie został ostatecznie w Bruxeli uchwalony, ponieważ nie znaleziono klucza, podług którego grupy narodowe wybierałyby do tego międzynarodowego parlamentu.

Uchwały konferencyi bruxelskiej zostały ostatecznie ujęte w VIII następujących rezolucyj [1].

I.

Zważywszy, że przez konwencyę zawartą 23 lipca 1881 między rzecząposp. Argentyńską a Chili, neutralność przyznaną została dla cieśniny Magellońskiej, przez konwencyę zawartą w Konstantynopolu 29 października 1888 ten sam charakter został przyznany dla kanału Suezkiego, a przez anglo-amerykańską konwencyę z 18 listopada 1901 r. dla kanału panamskiego;

Zważywszy dalej, że w interesie utrzymania pokoju i ułatwienia międzynarodowych komunikacyj, byłoby pożądanem zapewnić powyższe prawa dla wszelkich cieśnin i kanałów łączących oceany, XVI konferencya interparlamentarna wzywa swą Radę (Conseil) do utworzenia komisyi, którąby zrobiła studya nad tą kwestyą. Każda grupa mająca w tej sprawie interes, może być w tej komisyi reprezentowaną przez jednego członka.

Komisyą ogłosi drukiem i rozdzieli swe sprawozdanie w czasie stosownym, przed jedną z przyszłych konferencyj.

[1] Union Interparlementaire. 17e Conférence. Bruxelles.

II.

XVI konferencya interparlamentarna, uznając wielką doniosłość zebrenia praw i zwyczajów co do wojny morskiej, jak to uczyniono w deklaracyi londyńskiej z 26 lutego 1909 r. zwłaszcza dla dobrego funkcyonowania międzynarodowego trybunału pryzowego, przewidzianego przez konwencyę hagską z 18 października 1907 r., poleca ratyfikacyę deklaracyi londyńskiej i przystąpienie do niej tych państw, które nie brały udziału w jej ułożeniu.

III.

Konferencya zaleca również ratyfikacyę w najkrótszym czasie konwencyi z 18 października 1907 dla wprowadzenia w życie międzynarodowego trybunału pryzowego.

IV.

Zgodnie z uchwałami poprzednich konferencyj, XVI konferencya interparlamentarna wyraża życzenie, ażeby III konferencya hagska uznała następujące zasady w sprawie wojny morskiej:

a) zniesienie prawa łupu;
b) ograniczenie prawa blokady tylko do portów wojennych lub miejsc ufortyfikowanych;
c) ograniczenie charakteru kontrabandy wojennej do broni, amunicyi i innych zapasów wojennych, przeznaczonych dla jednej ze stron należących;
d) zabronienie niszczenia okrętów, wiozących kontrabandę wojenną, i towarów nie stanowiących kontrabandy.

Konferencya XVI obstaje przedewszystkiem przy pierwszem z tych życzeń, i wzywa grupę angielską, francuzką i rosyjską, aby starały się pozyskać dla tej sprawy swe rządy, konferencya wzywa nadto radę interparlamentarną (Conseil), ażeby ustanowiła komisyę, którąby wypracowała projekt międzynarodowej konwencyi, zmieniający w powyższych kwestyach deklaracyę londyńską.

Projekt ten ma być przedstawiony na jednej z najbliższych konferencyj interparlamentarnych.

V.

Zważywszy, że deklaracya morska w Londynie, z 26 lutego 1909 r. została wypracowaną przez ograniczoną ilość państw, które na tę konferencyę zostały zaproszone;

Zważywszy, że jest rzeczą sprawiedliwą i bardzo doniosłą, ażeby wszystkie państwa brały przez swych delegatów udział w obradach nad określeniem przepisów prawa narodów, XVI konferencya interparlamentarna zgodnie z uchwałami poprzednich konferencyj, wyraża życzenie, ażeby na przyszłość wszystkie państwa cywilizowane były zapraszane na podobne jak londyńska konferencye międzynarodowe.

VI.

Zważywszy, że rosnąca ciągle liczba członków Unii, może doprowadzić do tego, iż okaże się koniecznem, ażeby w posiedzeniach Unii brali udział w przyszłości tylko delegaci grup, XVI konferencya interparlamentarna poleca swej komisyi reorganizacyjnej przygotowanie wniosków w tym duchu. Konferencya poleca jej nadto zbadanie kwestyi udziału różnych grup parlamentarnych w pracach Unii.

Wnioski w tych kwestyach będą przedstawione na jednej z następnych konferencyj.

VII.

XVI konferencya interparlamentarna, zaprasza wszystkie rządy i parlamenty w Unii reprezentowane, aby przystąpiły do utworzenia komisyi narodowych, na wzór tej, którą w ostatnich czasach utworzył kongres Stanów Zjednoczonych. Każda z tych komisyj powinna przedstawić sprawozdanie swemu parlamentowi w sprawie zebrania się III międzynarodowej konferencyi w Hadze.

Biuro międzyparlamentarne (t. j. biuro unii interparlamentarnej) jest obowiązane przedstawić niniejsze życzenie oficyalnie wszystkim rządom, a delegaci na konferencyę, tu zebrani, są wezwani, aby zużytkowali ich wpływ osobisty dla skutecznego poparcia tej sprawy.

VIII.

XVI konferencya interparlamentarna wyraża życzenie, aby biuro hagskie każdego roku publikowało tekst traktatów w sprawie

sądów rozjemczych (d'arbitrage), zawartych między państwami, które obie konwencye z r. 1899 i 1907 podpisały (o pokojowem rozstrzyganiu sporów międzynarodowych) i aby ich rządy zakomunikowały te traktaty swym parlamentom.

Na posiedzeniu konferencyi bruxelskiej (1910) wygłosiłem (w d. 1 września) następującą mowę: O znaczeniu kongresów dla sprawy pokoju:

Niedawne to czasy, kiedy rozstrzyganie sporów państw, nie za pomocą oręża, ale przez sądy, za pium desiderium uważano.

Instytucya sądów polubownych w sporach państw jest wprawdzie starą prawie jak świat. Spotykamy ją u narodów, które stały u kolebki cywilizacyi ludzkości. Ludy starożytne, nietylko klasyczne, t. j. Grecy i Rzymianie, ją znali, ale nawet ludy oryentalne mają w swej prastarej historyi wspomnienia, że pewne ich spory polityczne były przez sądy rozstrzygane.

W wiekach średnich papieże, niekiedy jako mężowie zaufania świeckich monarchów, najczęściej zaś z mocy swego wysokiego urzędu kościelnego, jako głowy kościoła, jako reprezentanci władzy boskiej, stojącej ponad władzą świecką, spory państw rozstrzygali. W czasach nowszych historya wykazuje nam już od XVII wieku szereg wypadków, w których sąd w sporach międzynarodowych sprawowały zwykłe trybunały, kapituły, fakultety prawne uniwersytetów.

Wszystko to jednak były wypadki odosobnione, to nie był system załatwiania sporów państw, a nadewszystko te rozstrzygania w drodze polubownej nie były instytucyą prawną. One nie były oparte na prawie narodów i nie były uważane za instytucyę, z prawnej istoty międzynarodowego związku państw wynikającą. W danym wypadku chciano wojny uniknąć i oddawano spór sądowi; ale żadne prawo nie uważało rozprawy sądowej za obowiązek państw, i nie było przepisów prawnych do działalności tych sądów się odnoszących. Było pozostawionem cywilizacyi naszej epoki wielkie to zadanie rozwiązać.

Instytut prawa narodów, który pod powagą najznakomitszych znawców tego prawa wypracowuje niestrudzenie projekta norm prawnych dla dzisiejszych międzynarodowych stosunków, na posiedzeniu swem w Hadze w r. 1877 wypracował projekt procedury dla sądów polubownych, ale projekt ten mocy prawa nie uzyskał.

Dopiero konwencya o polubownem rozstrzyganiu sporów międzynarodowych na 1-ej konferencyi pokojowej w Hadze uchwalona

w r. 1899 i prawie przez wszystkie państwa świata przyjęta, stworzyła instytucyę sądów polubownych w sporach międzynarodowych jako środek prawny, przez prawo uregulowany i z istoty prawnego związku państw wynikający.

Druga konferencya pokojowa z r. 1907, wielki gmach tej instytucyi, zapewniającej tryumf prawa nad przemocą oręża, uzupełniła, nie zmieniając jego istoty.

I od tej pory widzimy bardzo interesujące zjawisko: instytucya ta, którą jeszcze w połowie zeszłego stulecia uważano za marzenie idealistów, odrazu wżyła się w stosunki świata i stała się istotną składową częścią międzynarodowego związku państw.

Znać, że była ona w duchu czasu, że potrzebę jej uznawał świat cały, skoro odrazu zyskała ona w nim obywatelstwo.

Liczne państwa zawarły traktaty, zapewniające, że wszelkie między niemi wyniknąć mogące spory, będą tylko drogą polubowną rozstrzygane. Wiele państw innych w traktatach zastrzega, że wszelkie z tych traktatów wynikłe spory będą sądom przekazane, mnóstwo zaś wielkich i pierwszorzędnych mocarstw, bez tych poprzednich zobowiązań, nowo wybuchłe i dawno się ciągnące spory sądom przekazuje.

Najlepszym tego dowodem jest niedawno odbyty sąd w Hadze, dla rozstrzygnięcia sporu Anglii z Stanami Zjednoczonemi północnej Ameryki, o bardzo ważne prawo rybołóstwa.

Niektóre państwa już cały szereg swych spornych interesów tą drogą załatwiły. To tylko dowodzi zaufania ich do instytucyi sądów międzynarodowych. Są wreszcie pewne jednostki, pierwszorzędni specyaliści w prawie narodów, którzy niemal ciągle godność sędziów międzynarodowych piastują (Lammasch, Beernaert i i.).

Wielki to tryumf dla idei pacyfizmu naszego wieku i wielka nadzieja na przyszłość, że międzynarodowy związek państw stanie się związkiem praworządnym, że panowanie samowoli monarchów, mężów stanu i dyplomatów coraz więcej ustępować będzie przed prawem i wymiarem sprawiedliwości.

Dla sprawy pacyfizmu nie wystarcza jednak samo funkcyonowanie sądów. Należy przyczyny sporów międzynarodowych usunąć. Przyczyny te są bardzo rozmaite. Wywołują je względy polityczne dyplomatyczne, rywalizacya monarchów i dyplomatów, interpretacya traktatów i t. d., słowem bieżące sprawy codziennego życia państw. Ale prócz tego są sprawy różniące państwa, mające obecnie

stałą podstawę w ich dzisiejszej konfiguracyi terytoryalnej. Dawne wojny XVIII i XIX-go stulecia, prowadzone w zaborczych celach, dowolnie ustalały granice państw, rozdzielając narody na części i cząsteczki, stąd odwieczne spory, pretensye i antagonizmy państw. Jeżeli w interesie utrzymania pokoju leży rozstrzyganie sporów drogą polubowną, to niemniej jest ważnem powody sporów wymienionych usuwać, bo one grożą ciągle zakłóceniem pokoju, wybuchem waśni, a przez sądy prawie zawsze załatwić się one nie dadzą, gdyż tu jest w grze honor i integralność terytoryum państw.

Do załatwienia takich spraw będących najgroźniejszem zarzewiem sporów, najodpowiedniejszym byłby kongres.

Dyplomaci, reprezentanci państw, a nawet monarchowie osobiście powinni się zbierać od czasu do czasu, dla rozważenia spraw bieżącej polityki i załatwienia ich za wspólnem porozumieniem pokojowo.

Kongres taki mógłby tworzyć składową część pokojowej konferencyi w Hadze. Część dyplomatów załatwiałaby to co dotąd — zadania ciała prawodawczego, które określa normy prawa narodów; część zaś ukonstytuować by się mogła jako kongres, obradujący nad sprawami bieżącej polityki.

Ileż szczęścia spłynęłoby z tych urządzeń na ludzkość! Wielkiej wagi sprawa organizacyi międzynarodowego związku państw zrobiłaby ważny krok naprzód. Kodyfikowanie prawa narodów przez konferencyę pokojową w Hadze, odpowiada rzeczywistej potrzebie naszej epoki. Usiłowanie rozwiązania najpilniejszych spraw bieżącej polityki świata za wspólnem porozumieniem reprezentantów państw na kongresie lub konferencyi, byłoby usunięciem podstawy do najważniejszych sporów państw i uwieńczeniem wielkiej akcyi naszego stulecia dla utrwalenia pokoju na świecie.

Oby najbliższa przyszłość przyniosła nam i tę zmianę w wielkiem społeczeństwie narodów!

2. Konferencya zapowiedziana w Rzymie 1911 r. Wojna włosko-turecka.

Rok 1911 był dla unii interparlamentarnej bardzo niepomyślnym[1]. Z powodu złego zbiegu okoliczności, Unia nie była w stanie odbyć dorocznego zgromadzenia wszystkich swych członków (Confé-

[1] Fried, Der Weg zum Weltfrieden im J. 1910. Berlin.

rence), a wreszcie w jesieni tego roku wybuchła wojna włosko-turecka.

Postanowieniem Rady Unii (Conseil) z 8 kwietnia 1911 r. powziętem w Bruxeli, konferencya zwołaną została na pierwsze dni października do Rzymu. Zarząd Unii przywiązywał do tej konferencyi wielką wagę i oczekiwał jej odbycia z niecierpliwością. Na porządku dziennym tej konferencyi były b. ważne kwestye. Oprócz drobnej zmiany statutu Unii, kwestya obowiązkowego sądu polubownego, kwestya organizacyi pośrednictwa między państwami, sprawa ciężarów militarnych w armiach lądowych i morskich, sprawa używania balonów i aeroplanów do celów wojennych, sprawa utworzenia stałego organu w związku z międzynarodowemi konferencyami pokoju, kwestya ratyfikacyi uchwał konferencyi hagskich i i.

Zapowiedziana konferencya w Rzymie, przedstawiała także wielki interes i z tego powodu, iż była daleko staranniej przygotowaną niż konferencye poprzednie. Referaty spraw wymienionych złożone były w ręce: pp. prof. Zorna, d'Estournelles de Constant, Beernaert, Van Houten, Houzeau de Lehaie, Hr. Apponyi. Panowie ci wcześnie przedstawili swe referaty na piśmie, które członkom Unii zostały zakomunikowane, można więc było oczekiwać bardzo gruntownych obrad i uchwał konferencyi.

Z powodu panującej w r. 1911 we Włoszech cholery, konferencya do Rzymu zwołana musiała być odwołaną. Stało się to cyrkularzem prezydyum Unii, w połowie września 1911 r.

Wojna włosko-turecka była przewidywaną. Mówiono i pisano o niej, jako o rzeczy prawdopodobnej, a podczas okupacyi Bośni i Herzogowiny mówiono o ponownem porozumieniu Austro-Węgier z Włochami co do tego, jak się Włochy zachowają podczas okupacyi Bośni, a jak Austrya podczas okupacyi Trypolisu. Tylko nikt nie przewidywał rozpoczęcia wojny, w chwili gdy to się stało. Było to zrobione tak nagle, że zrobiło ogólnie wrażenie nie wypowiedzenia wojny pomiędzy cywilizowanemi państwami, ale raczej brutalnego napadu Włoch na Turcyę.

Dla unii interparlamentarnej, będącej niewątpliwie najwybitniejszą przedstawicielką dzisiejszych tendencyj państw i narodów do utrzymania pokoju, wybuch wojny i do tego w tej formie jak się to stało, był rzeczywistym ciosem. Przeciwnicy idei pokoju szyderczo głosili zwycięstwo swych opinii, a zwolennicy pokoju musieli przyznać, że rezultaty przez nich dotąd osiągnięte nie są dostateczne,

aby wojnę powstrzymać nawet tam, gdzie ona nie była konieczną, a nadto że uchwały obu konferencyi hagskich z 1899 i 1907 nie mają dotąd należytej powagi w Związku międzynarodowym, skoro nietylko państwa w sporze będące, t. j. Włochy i Turcya, ale nawet żadne z państw obu półkuli do nich się nie zastosowało.

Poza tem że konferencya unii z powodu cholery we Włoszech, w Rzymie odbyć się nie mogła, odbycie jej na ziemi włoskiej z powodu wybuchłej wojny, było niepodobieństwem. Czy nie byłoby najwyższą ironią, ażeby uczeni, mężowie stanu, przedstawiciele ekonomicznej pracy radzili nad utrzymaniem pokoju w państwie, które bez usprawiedliwienia wysyła swą armię, dla wykonania napadu na Turcyę, która nikomu nie zagraża, przeciwko napaści Włoch bezustannie do opinii publicznej świata apeluje, i żąda przedewszystkiem aby rzeź obu armii ustała.

Po ustaniu wojny przyjdzie czas, kiedy opina publiczna uzna, że czyny gwałtu i podeptanie praw, w określeniu których w Hadze państwo włoskie przez swych przedstawicieli w r. 1899 i 1907 udział brało, nie dowodzi, ażeby idea pokoju, którą chlubi się wiek XX, nie była słuszną i dla postępu cywilizacyi konieczną, ale dokąd grają armaty, mówić o utrzymaniu pokoju, nie byłoby rzeczą stosowną.

Inne czynności Unii, mimo chwilowego sparaliżowania jej akcyi przez wojnę, prowadzone były prawidłowo i z wielką usilnością. Komitet wykonawczy (Comité exécutif) odbył w ciągu 1911 r. trzy posiedzenia (4 lut., 8 kwiet. w Bruxeli, 4 paździer. w Paryżu), a Rada (Conseil) dwa posiedzenia: 8 kwietnia w Bruxeli i 4 października w Paryżu.

3. Posiedzenia Rady w Bruxeli i w Paryżu.

Zebranie Rady w kwietniu, miało za główne zadanie oznaczyć czas i miejsce XVII konferencyi, a nadto ustalić porządek dzienny jej obrad. Oznaczono Rzym.

Gdy w skutek cholery zjazd w Rzymie został odwołany, Rada zebrana w Paryżu miała zadanie oznaczyć czas i miejsce XVII konferencyi w 1912 r. Rada jednak przedewszystkiem uznała, że wskutek toczącej się wojny, nie może w sprawie tejże konferencyi powziąć żadnej uchwały.

Natomiast Rada wypowiedziała swe zdanie o toczącej się wojnie.

Zdanie to brzmi dosłownie:[1]

»Fidéle aux idées hautement pacifiques qui forment le programe de l'Union, qui sont sa raison d'être, et dont elle restera plus que jamais le champion, le Conseil croit devoir exprimer le vif regret qu'il ait été tenu si peu compte de l'esprit de paix et de justice qui a animé les deux Conférences de la Haye, et que la déclaration de guerre ait été rapide au point d'écarter jusqu'à la possibilité d'une entente ou d'une intervention au sens des articles 3 et 48 de la Convention du 16 Octobre 1907. Le conseil exprime le regret que les démarches qui auraient été faites par certaines Puissances, interposant leurs bons offices, aient été, jusqu'à présent, infructueuses....

Inne uchwały powzięte w Paryżu, były administracyjnej i formalnej natury.

Uchwalono budżet na r. 1912, a hr. Apponyi zgłosił wniosek do uchwalenia przez konferencyę: ażeby uchwały obu konferencyj hagskich (z 1899 i 1907 r.) były przez parlamenty zatwierdzone i w dziennikach ustaw państwa ogłoszone[2].

Powyższa uchwała Rady, kończy się wezwaniem grup Unii, ażeby użyły całego swego wpływu na rządy, ażeby dołożyły starań aby obecna włosko-turecka wojna została jak najprędzej zakończoną. Zadanie to zostało wykonanem w parlamentach: francuzkim, węgierskim, tureckim, niemieckim, angielskim, belgijskim i rosyjskim. Zlecenie to zostało popartem przez odezwę grupy tureckiej, wystosowaną do wszystkich innych grup, depeszami z 18 paźdz. 1911 r.[3]

Depesze te brzmiały: Confiant dans l'efficacité des principes de justice et de paix entre nations qui constituent la base de l'Union interparlementaire, le groupe parlementaire ottoman croit de son devoir de faire appel aux sentiments humanitaires qui animent votre groupe, vous priant d'interposer vos bons offices auprès de votre gouvernement vis-à-vis de l'agression italienne. Il fait cette demarche en conformité de la résolution du Conseil interparlementaire à Paris et vous remercie d'avance pour toutes les démarches qui seront faites dans l'intérêt du triomphe du droit sur la force.

Takiej samej treści odezwę p. Bustany wystosował do zarządu Unii interparlamentarnej, na ręce jej generalnego sekretarza p. Lange.

[1] Procés verbaux du Conseil interparlementaire IV, str. 16.
[2] Proces-verbaux du Conseil interparlementaire p. 7.
[3] Documents Interparl. Nr. 7 str. 12.

4. Starania członków Unii w sprawie zakończenia wojny włosko-tureckiej.

Rezultat starań uczynionych w tej sprawie przez grupy pojedyncze, był następujący:

W drugiej depeszy, wysłanej przez p. Bustany w d. 11 listop. 1911 r. w imieniu grupy parlamentu tureckiego do wszystkich innych grup Unii[1], stwierdza on wielkie naruszenia prawa narodów przez armię włoską. »L'armée italienne, mówi on, se livre en Tripolitaine, province intégrante de l'Empire ottoman que l'Italie a envahie contrairement aux traités et aux principes du droit international, à des actes incompatibles avec les lois de la civilisation et de l'humanité; elle retient comme prisonniers de guerre des non-combattants et même des élèves. Elle massacre et fait passez par les armes, sans pitié aucune, les défenseurs volontaires du pays qu'elle considère comme des rebelles à l'encontre des deux conventions de la Haye, d'après les dispositions desquelles les volontaires en armes devraient, en tant que combattants, jouir des mêmes droits que les militaires. La vie des femmes, des vieillards, des enfants n'est également pas respectée, et l'on s'attaque même à des particuliers en prière dans les mosquées, foulant ainsi aux pieds tous sentiments religieux. En présence de ces faits, le parlement ottoman croit devoir appeler votre bienveillante et amicale attention sur les actes inqualifiables dont il sagit, et proteste formellement par- devant l'Univers civilisé, vous priant de porter sa protestation à la connaissance de l'honorable assemblée dont vous faites partie.

Imieniem grupy parlamentarnej francuzkiej, jej prezes p. d'Estournelles de Constant wystosował 1 października 1911 r. a więc przed uchwałą Conseil, pismo do ówczesnego prezydenta Rady ministrów p. Caillaux, w którem, zwracając jego uwagę na to, iż wojna włosko-turecka, ze względu na trudności terenu i klimatu, może mieć dla Włoch rujnujące następstwa, zapytuje, czy rząd francuzki, nie uchybiając swym dyplomatycznym zobowiązaniom względem Włoch, i nie schodząc ze stanowiska przyjaźni w stosunku do tego państwa, przeciwnie zarówno w interesie Włoch jak i Turcyi, a nadto powszechnego pokoju, nie mógłby ofiarować obu państwom walczącym swych usług przyjacielskich, w duchu konwencyi hagskiej z 18 paźdz. 1907 r. (O pokojowem załatwianiu

[1] Documents interp. nr. 7 str. 15.

sporów międzynarodowych, Tyt. II O usługach przyjacielskich i pośrednictwie).

Członkowie ciała prawodawczego i senatu, działając już w myśl uchwały rady interparlamentarnej, w tym samym duchu ustnie i na piśmie zwracali się do rządu, ale ze strony gabinetu p. Caillaux żadnej nie uzyskali odpowiedzi.

Rząd niemiecki odpowiedział prezesowi grupy niemieckiej p. Eickhoffowi, że on już myślał o tem, ażeby przyczynić się ile możności do zlokalizowania sporu włosko-tureckiego, a nadto poczynić starania o prędkie zakończenie konfliktu.

Grupa bdlgijska uchwaliła następującą rezolucyę:

»Konferencya Hagska z 29 lipca 1899 i z 18 paźdz. 1907 r. nakładają na państwa w sporze będące obowiązek, przed użyciem broni odwołać się do usług przyjacielskich i pośrednictwa jednego lub więcej państw zaprzyjaźnionych, a z drugiej strony, te ostatnie mają prawo interweniowania w tym duchu nawet podczas trwania kroków nieprzyjacielskich, a tego rodzaju interwencya nie może być uważaną za akt mało przyjacielski.

Belgijska grupa unii interparlamentarnej ubolewa, że szybkość z jaką akcya nieprzyjacielska skierowaną została przez rząd włoski przeciwko Turcyi, uczyniła niemożliwem próbowanie przedtem interwencyi, i wyraża życzenie, ażeby rząd belgijski mógł należeć do wszelkich zbiorowych pośrednictw, które mogą się wytworzyć, dla ustalenia pokoju między państwami zwaśnionemi, zgodnie z prawem i sprawiedliwością. Grupa belgijska ubolewa nad popełnieniem czynów przeciwnych uczuciom ludzkości i konwencyom hagskim.

W końcu grupa belgijska wyraża nadzieję, że rola militarna awiatyki, na przyszłej konferencyi hagskiej będzie gruntownie zbadaną, ze stanowiska zasad ludzkości«.

Rezolucya ta została 23 listopada 1911 r. wręczoną prezydentowi rządu, baronowi de Broqueville, i ministrowi spraw zagranicznych, p. Davignon.

Rząd zapewnił, że z całą sympatyą i bezstronnością zbada życzenia powyższe.

Działanie rządu musi być w granicach neutralności państwa. Belgii najwięcej zależy na poszanowaniu prawa narodów, i powita ona serdecznie przywrócenie pokoju.

Grupa członków rosyjskiej dumy poleciła swemu prezydyum, odnieść się do ministra spraw zagranicznych z żądaniem, aby sko-

rzystał z pierwszej okazyi sprzyjającej, aby spowodować nowe przyjacielskie pośrednictwo państw, aby położyć kres okropnościom wojny i zabezpieczyć pokój Europy.

W motywach powiedziano, iż członkowie dumy ubolewają, iż ze strony włoskiej popełniane bywają w obecnej wojnie czyny opłakane, mają oni jednak nadzieję, że na przyszłość obie strony postępować będą zgodnie z dzisiejszem prawem narodów. Posłowie rosyjscy ubolewają nadto, że dotąd usiłowania podjęte w duchu konwencyi hagskich nie doprowadziły do przywrócenia pokoju. Mają oni jednak nadzieję, że te usiłowania będą wznowione w warunkach korzystniejszych.

Najpoważniejsza wymiana zdań w sprawie obecnej wojny, odbyła się w Izbie deputowanych węgierskiej, w d. 11 i 24 października 1911 r., wskutek interpelacyi wniesionej przez hr. Apponyj.

Interpelacya ta odnosi się do dwóch kwestyj. Ponieważ konw. hagskie z 1899 i 1907 wymagają, aby przed wojną i w czasie jej trwania państwa neutralne przez pośrednictwo starały się o przywrócenie pokoju; a nadto ponieważ obecna wojna może naruszyć w dalszym jej przebiegu interesa naszego państwa, przeto hr. Apponyi postawił do rządu pytanie:

1) Czy przed wybuchem wojny włosko-tureckiej miało miejsce pośrednictwo ze strony państw neutralnych, czy Min. Spraw Zagr. austryacko-węg. monarchii brało w tem udział, i czy zechce kroki te wznowić obecnie;

2) Czy rząd jest zdania, że wojna obecna interesów naszej monarchii nie naruszy.

Na oba te pytania prezydent gabinetu hr. Khuen-Hedervary dał odpowiedź twierdzącą.

Co do 1) Rząd czynił od dawna przedstawienia w Konstantynopolu, aby żądania Włoch co do jego gospodarczych interesów w Tripolisie ze strony tureckiej nie lekceważono. Gdy jednak to nie odniosło skutku i Włochy postanowiły użycie siły, okazało się, iż rząd włoski nie życzy sobie żadnej interwencyi. Rząd austro-węgierski czynił starania o zapewnienie pokoju, i uczyni to w chwili gdy będzie prawdopodobieństwo, iż to odniesie skutek.

Co do 2) iż rząd włoski będzie unikać rozszerzenia wojny na niekorzyść Austro-Węgier, a to oświadczenie zrobionem zostało w tak poważnej formie, iż trzeba było nabrać przekonania, iż to jest rzeczywistem jego postanowieniem.

Z powyższego przedstawienia akcyi grup poselskich należących do unii interparlamentarnej w obec ich rządów, wynika:

1) Że rządy w wielu parlamentach albo nie dały posłom żadnych odpowiedzi, albo odpowiedzi te, jak w parlamencie węgierskim, były ogólnikowe, nie stanowcze, właściwie nic nie wyjaśniające. Z odpowiedzi hr. Khuena nie można się dowiedzieć kiedy i które rządy czyniły starania o przywrócenie pokoju, i całe twierdzenie premiera węgierskiego o tych staraniach stoi w sprzeczności z jego własnem twierdzeniem, iż rząd włoski okazał, iż wszelkiej interwencyi państw obcych sobie nie życzy.

2) Uchwała Conseil Unii z 4/X 1911 r. jest trafną. Wyraża ona potępienie tego niezbitego faktu, iż zarówno rząd włoski postąpił wbrew uchwałom hagskim, jak i wszystkie państwa, z niewyjaśnionych dotąd powodów i dyplomatycznych tajnych konspiracyj, uchwał powyższych nie uszanowały.

3) Skoro tak, to okazuje się koniecznem, ażeby przyszła konferencya hagska obmyśliła takie urządzenia w związku międzynarodowym, którehy czuwały nad tem, aby niesłychanie w skutkach swoich ważny obowiązek państw neutralnych interweniowania w sprawie utrzymania pokoju, nie był jak dotąd martwą literą.

5. Prace w komisyach.

Choć w r. 1911 nie odbyło się posiedzenie unii interparlamentarnej zapowiedziane w Rzymie, za to pracowały prawie wszystkie jej komisye.

Komisya dla reorganizacyi unii, została wybraną jeszcze na sesyi w Bruxeli 1905 r. Komisya ta na posiedzeniu odbytem w d. 4 lutego 1911 r. w Bruxeli, uchwaliła pewne zmiany art. 1 i 3 statutu, które będą przedmiotem uchwał najbliższej konferencyi unii.

Komisya dla ograniczenia ciężarów wojennych w armii lądowej i morskiej, zebrała się 5 stycznia 1911 r. i uchwaliła wezwać rządy do studyowania tej kwestyi.

Komisya dla wniosku p. Richarda Bartholdta w Berlinie 1908 odbyła posiedzenie w Paryżu 3 października 1911 r. i uchwaliła prosić rządy, ażeby:

1) przy zawieraniu w przyszłości traktatów co do arbitrażu (t. j. co do używania w swych sporach sądów polubownych) zechciały w tych traktatach uznać wzajemnie ich narodową niepodle-

głość, niezależność ich terytoryów i ich absolutną udzielność w sprawach wewnętrznych.

2) Aby zechciały delegatom na 3 konferencyę hagską dać polecenie, ażeby domagali się, żeby konferencya wymieniona zbierała się automatycznie w terminach z góry oznaczonych, tak, żeby nie było potrzeba troszczyć się o to, który rząd i kiedy zwoła nową konferencyę.

Komisya dla sprawy neutralizacyi cieśnin i kanałów, odbyła 2 posiedzenia 3 i 4 paździer. 1911 r.

Prace nie zostały ukończone. Postawiono szereg pytań do rozwiązania tej kwestyi i ustalono zasady prawnicze do neutralizacyi[1].

Z powyższego przeglądu prac komisyjnych okazuje się, że najważniejsze były wyniki pracy komisyi co do wniosku Bertholdta w ustanowieniu terminu zebrań pokojowej konferencyi w Hadze. Konferencya ta stała się międzynarodową komisyą dla kodyfikacyi prawa narodów. Zadanie to, tak pięknie zaczęte, powinno być prowadzonem dalej. Po dwóch sesyach konferencya ta zyskała ogólną sympatyę i uznanie, i liczne a poważne dają się słyszeć głosy, ażeby konferencya wymieniona przekształconą została w stałą instytucyę związku międzynarodowego. Uchwała komisyi wymienionej zdąża do tego celu.

Natomiast sprawa zmniejszenia ciężarów na wojsko i uzbrojenia, powinna tymczasowo zniknąć z porządku obrad kongresowych, gdyż nie ma w obecnej chwili żadnych warunków do jej przeprowadzenia w praktyce. Obrady 1-ej konferencyi hagskiej udowodniły to dostatecznie. Ciągłe wznawianie[2] tej wielkiej dla cywilizacyi sprawy, napróżno, tylko znaczenie jej obniża.

[1] Rapport du secrétaire général au Conseil Interparlementaire. Bruxelles 1912. Nr. 12.

Annuaire de l'Union interparlementaire. Bruxelles 1911 str. 31.

[2] Na posiedzeniu unii interparlamentarnej skandynawskiej, odbytem w Krystyanii 19 i 20 czerwca 1911 r. kwestya ograniczenia ciężarów wojennych na lądzie i morzu była na porządku dziennym (Nr. 2). Zebranie gorąco się za tem ograniczeniem oświadczało, w kwestyi zaś sposobu przeprowadzenia tej myśli, jeden z szwedzkich deputowanych postawił wniosek, aby małe państwa wzięły inicyatywę w załatwienia tej sprawy. Wniosek ten został odesłany do Rady (Conseil) unii skandynawskiej. Annuaire str. 143. Rapport du secrétaire général au Conseil interparlementaire pour l'année 1911. Bruxelles 1912 str. 16.

Kwestya ograniczania ciężarów wojennych na lądzie i morzu, stanowi także punkt 5 porządku dziennego konferencyi interparlamentarnej, która ma się odbyć w r. b. Sprawozdawcą będzie p. d'Estournelles de Constant.

6. Układy członków Unii z rządami, o przygotowanie trzeciej konferencyi pokojowej w Hadze.

Jedną z najwięcej interesujących stron działania Unii interparlamentarnej w r. 1911 były układy członków unii z rządami, o przygotowanie 3-ej konferencyi pokojowej w Hadze. W staraniach tych na pierwszy plan wysuwa się kwestya zmniejszenia wydatków na uzbrojenia, czyli jak niektórzy mówią — choć zupełnie niewłaściwie — kwestya rozbrojenia. Traktowanie tej sprawy jest bardzo ciekawem, ze względu na stanowisko rządów w obec niej [1].

W r. 1910 na konferencyi interparlamentarnej w Bruxeli powzięto (7 rezolucya) następującą uchwałę: XVI konferencya interparlamentarna wzywa rządy i parlamenty w unii reprezentowane, aby przystąpiły do utworzenia komisyj (Commissions nationales), na podobieństwo komisyi utworzonej przez kongres Stanów Zjednoczonych. Każda komisya ma złożyć sprawozdanie swemu parlamentowi w kwestyi zebrania się 3-ej konferencyi międzynarodowej w Hadze.

Biuro interparlamentarne jest obowiązanem przedstawić urzędownie to życzenie wszystkim rządom, a uczestnicy konferencyi tu zebrani mają obowiązek zużyć swój wpływ osobisty, aby zapewnić akcyę szybką i korzystną w tym przedmiocie [2].

W wykonaniu uchwały bruxelskiej, w Anglii, we Francyi, w Holandyi, w delegacyach austro-węgierskich i w Szwecyi posłowie interpelowali rządy w kwestyi zebrania się 3-ej konferencyi pokojowej, w kwestyi przygotowania materyału do jej obrad, a przedewszystkiem co do postawienia na jej porządku dziennym sprawy rozbrojenia w powyżej przytoczonem znaczeniu.

Odpowiedzi rządów na te interpelacye były dla sprawy powstrzymania uzbrojeń b. niekorzystne. W zasadzie wszystkie rządy myśl tę uważały za szlachetną i dla kultury świata bardzo pożyteczną, ale za niedającą się urzeczywistnić w obecnych czasach.

I tak: w Anglii, która jest tak wielką zwolenniczką traktatów co do sądów polubownych w sporach państw, w odpowiedzi na interpelacyę w izbie gmin odpowiedział rząd: że z myślą rozbrojenia sympatyzuje, ale żadnych przyrzeczeń uczynić nie może.

[1] Documents interparlementaires. Bruxelles 1911 nr. 4, 5, 6.
[2] Annuaire str. 67.

Przyjdzie niewątpliwie dzień, w którym zbrojenia będą ograniczone, ale dziś o tem nie można myśleć. Do ogólnego pokoju jeszcze bardzo daleko. Stanie się to wtedy, gdy narody wzniosą się na znacznie wyższy szczebel kultury.

Anglia, mimo swych pomyślnych stosunków z obcymi państwami, musi utrzymać swą potęgę na morzu i mieć flotę, zdolną skutecznie stawić opór koalicyi flot państw innych [1].

We Francyi minister spraw zagranicznych Pichon oświadczył w Corps législativ, że jeżeli sprawa wstrzymania zbrojeń będzie na porządku 3 konferencyi postawioną, rząd francuski sprzeciwiać się temu nie będzie. Ale, gdy w czasie debaty budżetowej, posłowie socyaliści postawili wniosek o przeprowadzenie rokowań Francyi z Anglią i Niemcami w kwestyi rozbrojenia, p. Pichon wniosek ten zwalczał, i żądał wielkiego kredytu na budowę dwóch nowych okrętów wojennych. Akcya skierowana do ograniczenia zbrojeń jest, jego zdaniem, bez żadnych widoków powodzenia, a dla interesów kraju — niebezpieczną. Francya, zakończył p. Pichon, nie może się osłabiać, gdy inne państwa się zbroją.

Ciało prawodawcze we Francyi znać zdanie to podziela, skoro Izba wniosek socyalistów odrzuciła, a przyjęła wniosek rządu [2].

W delegacyach austryackich (25 lutego 1911 r.) wyrażano życzenie, aby rząd użył wszelkich środków dla zapewnienia zmniejszenia wydatków na uzbrojenia. Ze strony zaś deputowanych węgierskich (21 lutego — 7 marca 1911 r.) wprost wezwano rząd, ażeby przez ministerstwo spraw zagranicznych poczynił przygotowania do 3 konferencyi hagskiej, a nadto podjął starania, ażeby na porządku dziennym tej konferencyi postawioną była kwestya zmniejszenia uzbrojeń.

Minister prezydent węgierski oświadczył krótko, że zgadza się z postawioną rezolucyą, jednak za jej wykonanie nie ręczy, zaś minister spraw zagranicznych hr. Aerenthal wyraził w delegacyach wspólnych sympatye dla sprawy ograniczenia zbrojeń, sądził jednak, iż do tego przyjśćby mogło dopiero wtedy, gdyby wszystkie państwa zgodziły się na to. Ponieważ horyzont polityczny świata każdej chwili może się zaciemnić, przeto nasza monarchia potrzebuje armii i floty gotowych do akcyi. We wszystkich państwach widać brak

[1] Annuaire, str. 26. Osseg, Der europäische Militarismus. Amberg 1880.
[2] Annuaire, str. 25.

wiary w to, ażeby wkrótce mogło przyjść do redukcyi uzbrojeń, przeciwnie wszędzie widzimy nowe zbrojenia nawet gorączkowo przedsiębrane. W Anglii żądano olbrzymich kredytów na okręty, a kongres waszyngtoński uchwalił ufortyfikować kanał Panama kosztem stu milionów dolarów, a odrzucono wniosek o uznanie tego kanału za neutralny. Widocznem z tego, że kongres waszyngtoński sam nie wierzy w możność przeprowadzania redukcyi uzbrojeń.

Wielkie mocarstwa podtrzymują zbrojny pokój, bo on jest rękojmią, iż nie będzie wojny, a z żądań rozbrojenia mało kto sobie coś robi. Te żądania nie prowadzą do niczego. Prawo mocniejszego ustało dziś wewnątrz państwa. Czas byłby, żeby ustało także w stosunkach państw. Będziemy więc pracować z innemi państwami nad zmniejszeniem uzbrojeń, o ile to będzie bez szkody dla naszego bezpieczeństwa [1].

W Holandyi poruszano sprawę zmniejszenia uzbrojeń podczas debaty budżetowej w r. 1911. Nie wchodzono jednak w meritum tej sprawy, ograniczono się do przedsięwzięcia przygotowań do 3-ej konferencyi hagskiej. Rząd oświadczył, że komisyj do tego zadania niema, ale że zamierza ją utworzyć.

Dyskusya nad sprawą zmniejszenia uzbrojeń w Szwecyi przedstawia wiele stron ciekawych. Minister spraw zagranicznych Br. Taube dawał bardzo otwarte i szczere wyjaśnienia, a nadto tam poruszono tę myśl, ażeby małe państwa w sprawie rozbrojenia wzięły inicyatywę. Br. Taube oświadczył, że badał usposobienie państw wielkich dla tej sprawy, i przyszedł do tego przekonania, iż niema prawie żadnej nadziei, ażeby się państwa te na to zgodziły. W obecnej chwili absolutnie nic w tym celu nie uczyniono, tak, że choć myśl sama jest piękna, to trzeba ją uważać w obecnych warunkach za niemożliwą do urzeczywistnienia. Dlatego oświadczył on: ponieważ przygotowanie do 3 konferencyi hagskiej jest koniecznem, ażeby uniknąć tych trudności, które się okazały na 2 konferencyi w r. 1907 z powodu nieprzygotowania materyału do obrad, przeto zaproponuję królowi powołanie do życia komisyi, która z pominięciem sprawy rozbrojenia, wypracuje inne dla konferencyi projekty.

Co się zaś tyczy żądania, ażeby małe państwa wzięły inicyatywę w sprawie rozbrojenia i przeprowadziły je u siebie, a nadto, ażeby w tej akcyi rząd szwecki stanął na czele, pan Br. Taube

[1] Annuaire str. 27.

z całą słusznością odpowiedział, że akcya ta nie doprowadziłaby do żadnego rezultatu. Wielkie mocarstwa mimo to rozbrojenia nie przeprowadzą u siebie, a bez tego cel nie zostałby osiągnięty, małe zaś państwa nie mogą dla własnego bezpieczeństwa osłabiać swej potęgi, gdy wielkie państwa ją wzmacniają[1].

Przytoczyłem te oświadczenia rządów państw wielkich i małych, aby wykazać, że sprawa redukcyi uzbrojeń dziś nie jest do przeprowadzenia. Ona nie da się zadekretować przez żaden akt międzynarodowy. Rozbrojenie przyjdzie kiedyś do skutku, ale tylko pod wpływem zmienionych warunków życia państw w związku międzynarodowym. Dziś, gdy dawne antagonizmy dynastyj i rządów istnieją w całej pełni, choć często są one upozorowane przyjaźnią państw i formalnie zawartemi przymierzami, dziś gdy stosunki państw, po szeregu dawnych zaborczych wojen, nie są uregulowane, i gdy w Europie niema jednego państwa na granicy którego nie byłoby sporów z sąsiedniemi państwami o posiadanie terytoryalne, albo o niezależność polityczną ludów, które przez swą kulturę i przeszłość mają do tego niezaprzeczone prawo, — z tych i z innych powodów sprawa zredukowania uzbrojeń nie przedstawia żadnych widoków powodzenia. Można o niej mówić i pisać, jako o pięknym postulacie przyszłości, można głosić światu ileby ludzkość pod względem kulturalnym zyskała z jej przeprowadzenia, ale jest błędem stawiać ją na porządku dziennym kongresów, bo pewny jej upadek, obniża powagę i osłabia kulturalne znaczenie samej idei zmniejszenia ciężarów zbrojnego pokoju.

7. Żądania Unii w kwestyi prawa morskiego.

W kwestyi prawa morskiego Unia Interparlamentarna oddawna liczne proponowała zmiany.

Na konferencyi bruxelskiej uchwalono przedewszystkiem poczynić u rządów starania;

a) o zniesienie prawa łupu,
b) o ograniczenie prawa blokady tylko do portów wojennych lub miejsc ufortyfikowanych,
c) o ograniczenie pojęcia kontrabandy wojennej tylko do broni, amunicyj i innych zapasów wojennych, przeznaczonych dla jednej ze stron walczących,

[1] Annuaire, str. 23 i 34.

d) o zabronienie niszczenia okrętów wiozących kontrabandę wojenną, oraz towarów nie stanowiących kontrabandy wojennej.

Szczególną wagę przywiązywała konferencya do zniesienia prawa łupu, i wezwała posłów angielskich, francuzkich i rosyjskich o poczynienie starań, aby ich rządy zasadę tę przyjęły.

W ciągu r. 1911 żądaniu temu uczynili zadość posłowie francuzcy i rosyjscy. Natomiast posłowie angielscy nie byli w stanie nic uczynić, a to dlatego, że w Anglii była (w 1911 r.) silna opozycya przeciwko ratyfikowaniu przez króla uchwał konferencyi co do prawa morskiego odbytej w Londynie. Posłowie angielscy dokładali wszelkich starań, aby ratyfikacya nastąpiła, nie mogli więc jednocześnie robić starań o zmianę ważnego postanowienia uchwał londyńskich.

W francuzkiem ciele prawodawczem, sprawa łupu poruszoną została podczas debaty budżetowej 16 stycznia 1911 r. przez posła Maur. Colin.

Minister Spraw Zagranicznych p. Pichon oświadczył zupełną zgodę z uchwałą unii.

W Dumie petersburskiej, poseł Effremoff domagał się, ażeby kwestyę prawa łupu postawić na porządku dziennym 3-ej konferencyi w Hadze.

Odpowiedź rządu w tej sprawie nie jest znaną.

Zakończenie.

W chwili, gdy na wielką skalę prowadzoną jest obecnie akcya na korzyść pokoju w dziedzinie teoryi, państwa całego cywilizowanego świata wysyłają swych przedstawicieli na konferencyę do Hagi, dla zawierania konwencyi, mających — w duchu wymagań naszego czasu — rozliczne wzajemne ich stosunki oprzeć na prawie. Różne towarzystwa i Ligi pokoju jednoczą w swem gronie zwolenników idei pokoju. Unia interparlamentarna ogarnia mężów stanu i członków parlamentu, których działalność nie jest bez wpływu na uchwały reprezentantów rządów na pokojowych konferencyach w Hadze. I tak, nie trudno jest wykazać związek między uchwaloną na konferencyi Unii interparlamentarnej w Bruxeli 1895 r. organizacyą sądu polubownego dla sporów państw, a pierwszą konwencyą hagską z 1899 r. (Convention pour le réglement pacifique des conflits internationaux). Opinia publiczna domagała się zwołania drugiej konferencyi pokojo-

wej do Hagi, ale bezpośredniemu wpływowi konferencyi Unii w St. Louis (1904) na prezydenta Roosevelta, zawdzięcza się jego inicyatywa w dojściu w 1907 r. do skutku tej konferencyi. Na konferencyi w Londynie (1906 r.) uchwalony został projekt Plenera wzorowego traktatu rozjemczego. Projekt ten przedstawiony na drugiej konferencyi hagskiej nie uzyskał jednomyślnej aprobaty państw, ale z 44 państw tam reprezentowanych, 32 oświadczyły się za nim. Przygotowanie materyałów do obrad dla 3-ej konferencyi hagskiej, stanowi najważniejszy przedmiot prac unii interparlamentarnej.

Działalność unii zyskuje w coraz wyższym stopniu uznanie opinii publicznej. Rośnie bezustannie liczba jej członków; mężowie stanu najgłośniejszego imienia biorą udział w pracach Unii, państwa wreszcie udzielają subwencye na wydatki Unii. Przez to składają one dowód, że uznają ważność prac Unii, tak że ona jest dziś już ważnym organem w ustroju międzynarodowego związku państw.

Jeżeli obecnie jednym rzutem oka zechcemy ogarnąć całą dotychczasową działalność unii interparlamentarnej, to przyjdziemy do przekonania, że ona jest potężnym czynnikiem służącym do propagowania idei pokoju.

Ona jest przedewszystkiem jedynem w swoim rodzaju ciałem, które przeprowadza organizacyą członków ciał prawodawczych i parlamentów całego świata. Ona gromadzi w swoim składzie mężów stanu, ludzi należących do najrozmaitszych zawodów, ale zawsze doświadczonych w sprawach publicznych.

W tem właśnie spoczywa charakterystyczne znamie unii interparlamentarnej, w różnicy od zwykłych kongresów pokoju. Na tych ostatnich znajdują wyraz wszelkie wyobrażenia o sposobach utrwalenia pokoju, Unia — właśnie dlatego, że jej członkowie znają dokładnie warunki i potrzeby politycznego życia ludów, wyraża zawsze projekty utrwalenia pokoju, oparte o rzeczywiste wymagania społecznego i politycznego życia. Wpływ parlamentów na rządy i bezpośredni ich z rządami stosunek, daje unii możność szybkiego realizowania swoich wymagań, a ich stosunek do najszerszych warstw społecznych, daje im możność oddziaływania na masy.

Potrzebaby nie znać chyba historyi, ażeby zaprzeczyć, że wojny były niejednokrotnie ważnym cywilizacyjnym czynnikiem: wpływały na pomyślny ustrój państw, stawały się powodem ich ważnych przekształcań, zbliżały do siebie narody, i przenosiły ziarna cywilizacyi z jego państwa do drugiego. Nie sięgając daleko w prze-

szłość, wojna włoska doprowadziła do zjednoczenia Włoch, wojna 1870 r. przyspieszyła Zjednoczenie Niemiec, a choć Francya z niej z ciężkiemi wyszła ranami, wojna niemiecka odrodziła ją moralnie materyalnie i pod względem politycznym. Rosya, w japońskiej wojnie poniosła klęski prawie nieznane w historyi, a jednak wyszła ona z tej wojny niewątpliwie z głębokiem przeświadczeniem, że główną choć pośrednią przyczyną jej klęsk jest obecny system polityczny państwa, który roztrwonił jej bogactwa, i całe społeczeństwo rosyjskie do stanu zgnilizny doprowadził.

Nietylko w Mandżuryi padały ofiary w ludziach. Krew Rosyan lała się i w samej ich ojczyźnie, ale ta straszna walka nietylko na granicach państwa, ale i w jego wnętrzu, może się stać źródłem odrodzenia i rzeczywistej potęgi narodu i państwa rosyjskiego.

Dziwnem zrządzeniem losu, korzyści z wojen odnoszą w ten sposób nieraz nietylko zwycięzcy, ale i zwyciężeni.

A jednak z tego bynajmniej nie wynika, ażeby wojny miały być koniecznym, niezbędnym czynnikiem cywilizacyjnym świata. Był czas, gdy siła materyalna wyrażająca się w potędze oręża, jedynie narody wiodła do postępu, ale dziś jest do tego celu tyle duchowych i moralnych czynników, że rozlew krwi nie jest w największej liczbie wypadków koniecznym, aby ludzkości torować drogę do szczęścia. Zjednoczenie Włoch i Niemiec byłoby się dokonało bez wojen, odrodzenie Rosyi mogłoby się stać może później, ale i bez krwi rozlewu. Historya uczy, że wojny w największej liczbie wypadków więcej klęsk niż pożytku światu przynoszą, burzą dobytki cywilizacyi, najdzielniejszych ludzi wtrącają do grobu, i niezliczony szereg klęsk sprowadzają na ludzkość, a miliardy, które dzisiejszy zbrojny pokój pochłania, wstrzymają naturalnie postęp kultury.

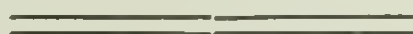
To też dziś ludzkość pragnie pokoju i stwarza rozliczne w międzynarodowym związku państw urządzenia, które bez krwi rozlewu mają zapewnić światu to, co dawniej starano się osiągnąć przez wojny.

Unia interparlamentarna w tym wielkim cywilizacyjnym ruchu, może i powinna wielką odegrać rolę, ale stanie się to tylko wtedy, gdy po pięknych mowach ich członków nastąpią czyny, gdy przez parlamenty i rządy urzeczywistniać oni będą stopniowo, ale stale to, czego się geniusz człowieka domaga, — ażeby światu zapewnić błogosławieństwa pokoju.

TREŚĆ.

Sprostowanie.

Na str. 5 w wierszu 3 od dołu, zamiast 31 paździer. 1887, ma być: 31 paździer. 1888 r.



RUCH HANDLOWY
W STAROŻYTNEJ BABILONII

(Okres Chammurapiego ± 2060—1760 przed Chr.)

napisał

MOJŻESZ SCHORR

W artykule niniejszym zamierzam przedstawić tylko ważniejsze zjawiska z życia gospodarczego w starożytnej Babilonii, jako uzupełnienie wywodów zawartych w rozprawie mojej: »Państwo i społeczeństwo babilońskie w okresie t. zw. dynastyi Hamurabiego« (Kwartalnik historyczny 1905, tom XIX, także w odbitce). W ciągu ubiegłego pięciolecia bowiem materyał dotyczący więcej niż w trójnasób się pomnożył, tak, że umożliwia nakreślenie pełnego obrazu życia gospodarczego w rozmaitych jego przejawach. Cały ten materyał jest obecnie w tłómaczeniu zebrany i prawniczo oświetlony w dziele: J. Kohler — A. Ungnad: Hamurabi's Gesetz. Tom III—V. Lipsk 1909—11. Por. recenzyę moją w Wiener Zeitschrift für die Kunde des Morgenlandes T. 24 str. 431—461 (skróc. WZKM).

Około połowy III. tysiąclecia przed Chr. zapukały o wały graniczne dolnej doliny nadeufrackiej, a więc właściwej Babilonii, koczownicze hordy Semitów. Ciągnąc stale z zachodu, zrazu sporadycznie, potem większemi masami, wdzierają się w okolice pograniczne, a stąd szybko posuwają się w głąb północnej i środkowej części kraju i zlewają się z ludnością tubylczą. Ich charakter cudzoziemski — czy kananejski czy arabski, sporną jest dotąd kwestyą — zaznacza się w licznych imionach własnych jakoteż w kilku nowych, nieznanych dotąd bóstwach, któremi wzbogacają rodzimy panteon babiloński. I jak nieraz później w historyi bywało, osiągnęli ci najeźdzcy, obdarzeni niespożytą jeszcze siłą, już po dwóch, trzech wiekach przewagę polityczną nad dawną osiadłą ludnością, której zdobycze kulturne sobie szybko przyswoili. U schyłku trzeciego tysiąclecia przed Chr. zagarnęli rządy i owładnęli tron, zrazu w północnej Babilonii, gdzie Sumu-abi poczyna nową dynastyę, t. zw. I. dynastyę Babilonu, która przez trzysta blisko lat panowała i podniosła państwo babilońskie do niezwykłego politycznego i ekonomicznego rozkwitu.

Sumu-abi ogłosił się koło r. 2060 przed Chr.[1] samodzielnym królem w Babilonie. Terytoryalny zakres jego władzy, jak i najbliższych jego następców, nie mógł być wielkim, skoro przez 150 lat jeszcze spotykamy w południowej Babilonii, co najmniej na przemian w dwóch centrach, w Isin i Larsa, królów, którzy się tytułują królami »Sumeru i Akkadu«, t. j. całej Babilonii. Pierwsze dwa wieki wypełniają też walki między władcami północno- a południowo-babilońskimi. Dopiero szósty król tej dynastyi Chammurapi[2] zdołał w licznych zwycięskich walkach nietylko utrzymać

[1] W kwestyi chronologii tych czasów por. Ed. Meyera: Geschichte des Altertums II wyd., II tom, str. 332 i nast.

[2] Podług obliczenia Ed. Meyera l. c. str. 557 panował od r. 1958 do r. 1916 przed Chr. Lektura: »Chammurapi« jest teraz powszechnie przyjęta.

panowanie w północnej części, w Akkad, ale także i wyrugować władców południa i w ten sposób połączyć Akkad i Sumer w jednolite wielkie państwo babilońskie, z rezydencyą w Babilonie, którego bóg Marduk zajmuje odtąd pierwsze miejsce w bogatym panteonie. Odtąd koncentrują się także w Babilonie wszelkie nici politycznego i ekonomicznego życia.

Z dumą przekazał Chammurapi potomności pamięć o swych walkach zwycięskich: »Jam silny bawół, który ubódł wrogów; bronią potężną, którą bogowie Zamama i Isztar mnie wyposażyli, mądrością, której mi bóg Ea użyczył, siłą, którą bóg Marduk mnie obdarzył, wytępiłem przeciwników na górze i na dole, walkom kres położyłem, dobrobyt kraju podniosłem, ludziom bezpieczne miejsca pobytu stworzyłem«[1].

»Jam słońce Babilonu, który wysyłam światło na kraj Sumer i Akkad, jam król, który w karbach trzyma cztery krańce świata«[2]. Poskromiwszy wszystkich swych wrogów, poświęca Chammurapi ostatnie lata swego panowania wyłącznie dziełom pokojowym, poszczególnie wymienionym we wstępie do kodeksu. Na cześć bogów buduje wspaniałe świątynie, na pożytek ludzi odnawia zniszczone w długoletnich walkach miasta, kopie kanały, które nawadniają pola i ogrody i ułatwiają zarazem komunikacyę handlową, wprowadza sprężystą administracyę w całem państwie, a rządzi przytem nie jak tyran, lecz jak »ojciec własny« swymi poddanymi. Dobrobyt materyalny podnosi się też za jego panowania bardzo wysoko.

W całej pełni odzwierciedla się on w owem słynnem, przed kilku laty w Suzie wykopanem dziele ustawodawczem, którem król Chammurapi postawił sobie na wieczne czasy pomnik nad spiż trwalszy. W normach tego kodeksu widzimy przedewszystkiem strukturę społeczeństwa niezmiernie zróżniczkowaną: w grupie ludzi wolnych (mârê awêlim), którymi prawo najwięcej się zajmuje, przesuwają się przed nami rozmaite typy ekonomiczne, począwszy od potężnego kapitalisty jako właściciela dóbr lub domów, bankiera, kupca, po przez przedstawicieli wyższych zawodów jak lekarzy, weterynarzy, architektów, aż do szarego proletaryatu robotników polnych, pasterzy i rzemieślników. Organizacyę państwową i religijną reprezentują

[1] Epilog do kodeksu Chammurapiego (kol. XXIV, 24—39). Por. także Schorr: Państwo babilońskie (w odbitce) str. 16.

[2] Ibid.

lennicy wojskowi, urzędnicy i kapłani, wszyscy wyposażeni szczególnymi przywilejami. A całej tej grupie wolnych przeciwstają olbrzymie tłumy niewolników, ostro od tamtych odgraniczone i prawnie i społecznie[1]. Temu to skomplikowanemu uwarstwowaniu społecznemu odpowiada też obraz życia gospodarczego w rozmaitych jego przejawach. Podczas gdy jednak normy kodeksu obraz ten tylko w abstrakcyi, niejako w refleksie okazują, to dokumenta praktyki prywatno-prawnej. setkami przechowane w archiwach świątyń, głównych ognisk handlowych, pozwalają nam bezpośrednio śledzić zjawiska ruchu ekonomicznego na poszczególnych konkretnych faktach, a zarazem pozwalają nam wyrobić sobie sąd o tem, o ile życie to wybiegało poza formy prawem tradycyjnie przekazane, lub też odwrotnie w innych wypadkach szło w tyle poza teoryą prawa, która te formy przełamała, dostosowawszy się do nowych warunków społecznych.

Już powierzchowny rzut oka na rozmaite kategorye tych dokumentów: akta kupna i sprzedaży, wymiany, darowizny, najmu i dzierżawy, spółki i ajencyi, pożyczki i depozytu i t. p., może nam dać wyobrażenie o żywotności i wysokim rozwoju ówczesnego gospodarstwa handlowego w Babilonii.

Własność majątkowa ma już w najstarszych aktach tego okresu charakter na wskróś indywidualny, a jeżeli tu i ówdzie przeziera jeszcze własność rodowa, to są to przeżytki, które praktyka prawna wprawdzie jeszcze toleruje, teorya jednak wyeliminowała. Ruch handlowy ma przeważnie charakter wymiany pieniężnej. Istnieje zupełnie wyrobiony system monetarny, na wadze oparty: talent, mina, szekel i sze'u (ziarno). Ustawa normuje ceny towarów taksy rzemieślnicze, czynsze różnego rodzaju w minach i szeklach srebrnych, i powołuje się na taryfę królewską powszechnie obowiązującą. Ogniskiem ruchu handlowego są naturalnie większe miasta, siędziby głównych bogów, a więc Babilon ze świątynią Marduka, Sippar ze świątynią Szamasza, Nippur ze świątynią Ellila; Dilbat ze świątynią Urasza (Niniba) i inne.

Te świątynie uznanych w całej Babilonii bóstw stanowią niezmiernie ważny czynnik życia gospodarczego i wpływają stanowczo na intenzywność stosunków handlowych. Każda z tych świątyń jest

[1] Por. Schorr: Państwo i społeczeństwo babilońskie (w odbitce), str. 47–50, gdzie stanowisko prawne poszczególnych grup bliżej określone.

nietylko instytucyą religijną, ale także i finansową. Zarówno z danin obowiązkowych, jak i z dobrowolnych ofiar wzrasta stopniowo skarbiec świątyni. Z czasem rozporządza ona nietylko wielkim majątkiem pieniężnym, ale i nieruchomym w gruntach ornych i budowlanych i w trzodach bogatych. Temi wszystkiemi dobrami prowadzi świątynia rozległy handel, pieniądze wypożycza na wysoki procent, pola i ogrody oddaje w dzierżawę, a nawet i dochody swe wydzierżawia.

Bardzo żywy udział bierze także w gospodarstwie handlowem dwór królewski (êkallum). Tak jak na rzecz świątyń, tak i na rzecz pałacu królewskiego są miasta obowiązane do regularnych danin, z których wyrasta majątek prywatny króla, również składający się głównie z dóbr nieruchomych. Tymi dobrami zarządzają osobni urzędnicy królewscy, którzy z ramienia króla prowadzą rozległy handel ich dochodami.

O znaczeniu świątyni i pałacu królewskiego dla życia ekonomicznego świadczy i ten fakt, że miara i waga w nich używana stanowią normę, wedle której płaci się w handlu prywatnym. Tak np. w pewnym kontrakcie dzierżawy waruje sobie właściciel pola: »Trzy kur zboża ma dzierżawca płacić podług miary świątyni Szamasza. jednego szekla w srebrze podług kamienia (wagi) Szamasza«[1]. Pewne ślady wskazują nawet na istnienie urzędu probierczego w świątyni, bo kilkakrotnie jest wzmianka o srebrze pieczętowanem (kaspum kankum), co tylko znaczyć może, że urzędowo stwierdzono na danej monecie jej pełną wartość; toż samo nieobjaśnione dotąd słowo mešekum, które stale spotykamy tam, gdzie mowa jest o »mierze Szamasza (Giš. Bar[il] Šamaš)« jako bliższy określnik, może naszem zdaniem tylko oznaczać miarę probierczo uznaną[2]. Tak więc świątynia i dwór królewski, koncentrując olbrzymi kapitał, wpływają niezmiernie na energię ruchu handlowego, który zresztą rozwija się swobodnie na tle stosunków prywatno-majątkowych.

Nasuwa się najpierw pytanie: Kto miał prawo zawierania układu handlowego i w ogóle wykonywania czynności prawnej?

---

[1] Analogię mamy także w biblii, gdzie raz wymieniony jest »szekel świątyni« (szekel hakôdesz) Exod. XXX 13, a raz »kamień królewski« (eben hamelek) II ks. Sam. XIV 26.

[2] Por. Schorr: Altbabylonische Rechtsurkunden I str. 124 (Sitzungsberichte der Wiener Akademie der Wissenschaften. T. 155).

Otóż każdy człowiek wolny a pełnoletni ma pełną zdolność do działań prawnych. Także kobieta, która ma już w tym okresie pełną osobowość prawną, występuje samodzielnie w rozmaitych akcyach prawnych, nawet w stanie zamężnym, staje jako oskarżycielka i jako świadek w procesach itd.[1] Szczególnie kapłanki, a przedewszystkiem zajęte przy świątyni Szamasza w Sippar, biorą niezwykle żywy udział we wszelakich dziedzinach handlu. Wedle §§ 178—179 kodeksu Cham. kobieta, poświęcająca się służbie przy świątyni, czyto jako dziewica w klasztorze czyli w domu narzeczonych (bît kallâti), czyto jako zalotnica (kadištum, awêlit zikrum), otrzymuje od ojca posag, którym rozporządza wedle własnej woli jako majątkiem prywatnym. Otóż chcąc ciągnąć zysk z tego kapitału, kapłanka jużto prowadzi interesy kupieckie, kupuje grunty i sprzedaje, wypożycza pieniądze na procent, jużto wkłada kapitał swój w grunty, pola lub domy, które oddaje w dzierżawę, względnie wynajmuje.

W setkach dokumentów cywilno-prawnych niema ani jednego wypadku[2], w którymby niewolnik występował jako podmiot prawny, choć z § 7-go kodeksu Cham. mogłoby wynikać, że niewolnik mógł jako pełnomocnik pana swego prowadzić interesa. Ten fakt uderza tem bardziej, że w okresie nowobabilońskim, w VII. i VI. wieku przed Chr., niewolnicy często biorą czynny udział w życiu ekonomicznem, czy to jako plenipotenci, czy to jako ajenci wędrowni, a nawet jako wspólnicy w przedsiębiorstwach.

Najważniejszy moment, odnoszący się do techniki ruchu handlowego i gospodarczego w ogóle, jest wyrażony w następującej zasadzie prawnej:

Bez piśmiennego układu i świadków żadna transakcya niema mocy prawnej[3] (§ 7). Tejto ścisłej zasadzie technicznej, rozciągającej się na wszelkie dziedziny czynności prywatno-prawnych, mamy do zawdzięczenia bogate skarby dokumen-

---

[1] Por. Kohler - Ungnad III Nr. 309, 356, 404, 441, 500, 528, 594, 710, 704, 717, 910, t. V. 1115, 1123 i t. d.

[2] Wątpliwość zachodzi przecież w jednym wypadku w akcie procesowym, jeżeli tam słowo zuchârum znaczy »niewolnik« dosł. »mały«. Por. Schorr: Altbabyl. Rechtsurkunden II Nr. 39 i do tego interpretacyę moją obecną w Wiener Zeitschrift für die Kunde des Morgenlandes T. 24 str. 459 uw. 4.

[3] Por. Schorr: Państwo babilońskie str. 81—82.

tów, wykopanych w archiwach głównych świątyń, gdzie je składano i skrupulatnie przechowywano dla celów kontroli i zabezpieczenia sobie prawa posiadania.

Dokumenty wszystkie wykazują jedną ogólną znamienną cechę: brzmienie ich nie jest w każdym wypadku dowolne, lecz ujęte w pewnych poszczególnych kategoryach w ścisły schemat, tak że do każdej kategoryi istniał osobny stały formularz. Ta okoliczność, na którą ja pierwszy zwróciłem uwagę[1], ma doniosłe znaczenie dla interpretacyi dokumentów, ułatwia bowiem w wątpliwych razach przydzielenie pewnych aktów do pewnej kategoryi i pozwala z wielkiem prawdopodobieństwem uzupełnić luki, gdzie dotyczące tabliczki przechowały się fragmentarycznie.

Poznawszy te ogólne momenty ruchu handlowego, przejdźmy teraz do poszczególnych zjawisk, przyczem zajmiemy się bliżej tylko temi znamionami, które dla dotyczących zjawisk są w świetle nowszych zwłaszcza zbiorów aktów prawnych szczególnie charakterystyczne[2].

1. Kupno i sprzedaż.

Przedmiotem kupna są przeważnie grunty, rolne i budowlane, względnie domy mieszkalne, sklepy, stodoły, dalej niewolnicy i zwierzęta robocze. Za kupioną rzecz płaci się z reguły gotówką całą cenę (kaspam gamram). Wśród setek dokumentów prawnych jest ledwie kilka przykładów[3], w których cena kupna ma być później zapłacona, czyli gdzie się kupuje na kredyt. Ale i w tych wypadkach nie zachodzi prawnie kupno na kredyt, bo typ kontraktu jest zupełnie taki sam, jak przy kupnie za gotówkę, zwłaszcza w formułce stwierdzającej moc dokonanego przeniesienia własności: »sprawa jest załatwiona, serce jego (sprzedającego) jest zadowolone«. Kohler[4] słusznie przypuszcza, że wyjście prawne było takie: Uważano cenę za zapłaconą, a tę fikcyjnie zapłaconą sumę zwracał kupujący sprzedającemu jako pożyczkę za kwitem. »Kredyt mógł zatem być udzielony tylko we formie pożyczki obok kupna,

---

[1] Por. Schorr: Altbab. Rechtsurkunden I str. 2.
[2] Por. wyżej str. 1 uw. 1.
[3] Kohler-Ungnad III Nr. 374, 375, 384, 427, 438, 439, IV Nr. 949, V 1149.
[4] Ibid. t. III. str. 240.

nie zaś w samem kupnie«. Rzecz mogła przejść na własność dopiero po pełnem uiszczeniu ceny kupna.

Cena gruntów, pól i domów, była bardzo chwiejna, zależnie od jakości gruntu i jego położenia. Zresztą w kontraktach dawniejszych cena wcale nie jest podawana. Odnośna formułka brzmi tylko ogólnie »w pełnej cenie srebro odważył«. Dopiero od piątego króla Sin-muballita (Kohler-Ungnad Nr. 259) podaje się w kontraktach wyraźnie wysokość zapłaconej sumy.

Ciekawy szczegół nastręczają późniejsze kontrakty kupna, od czasów Abî-ešucha począwszy, mianowicie, że nabywca do samej ceny kupna dodaje jeszcze drobną monetę jako przyczynek (ana Si. Bi. iškun)[1].

Müller[2] upatruje w nim rodzaj agio, a więc nadwyżkę dla wyrównania wartości realnej danej monety obiegowej z jej wartością nominalną. Ale w takim razie musiałby zachodzić regularny stosunek nadwyżki do wysokości ceny, podczas gdy w rzeczywistości stosunek ten jest zupełnie chwiejny. Przy tej samej cenie kupna np. jest agio rozmaite.

Zdaje mi się raczej, że mamy tu zwyczaj o podkładzie ludowym, zabobonnym. Kupujący płaci ponad żądaną cenę, aby sprzedający nie urzekł mu nabytej własności. Jako potwierdzenie tej interpretacyi mogłaby posłużyć symboliczna czynność, która stale od najdawniejszych czasów towarzyszy aktowi kupna każdej nieruchomości, tj. wręczenie tak zwanego bukannum, sztaby czy pręta — podobnie jak w germańskiem prawie — na znak przeniesienia własności. Kohler[3] faktycznie wywodzi ten symbol z motywów magicznych. »Widocznie uchodziły grunty i niewolnicy za res mancipii, które tylko pod szczególną ochroną sił magicznych można było przenieść na drugiego«. A jak silną była wiara w zaklęcia magiczne, świadczą dwa pierwsze postanowienia kodeksu Chammurapiego.

Przy kupnie gruntu i niewolnika zastrzega się często nabywca przeciw rewindykacyi ze strony trzeciej osoby, wobec której odpowiada sprzedający[4]. Przy kupnie niewolnika ręczy ponadto właści-

[1] Kohler-Ungnad III Nr. 366—368, 413, 414, 429, 430, 431, 432, 437.

[2] Por. Schorr: Altbab. Rechtsurkunden II str. 66 (ad Nr. 28).

[3] L. c. str. 236.

[4] Por. Kohler-Ungnad III Nr. 244, 290, 274, 275, 279, 280, 283, 297, 300, 304 i t. d. a odnośnie do niewolników 422, 425, 429, 430, 433, V 1152, 1154.

ciel pierwotny na wypadek, jeżeli niewolnik jest zbiegiem. Prawo bowiem nakłada karę śmierci na takiego, który nabył niewolnika zbiega (§ 16—19). Ale poręka ta trwa tylko dzień lub trzy dni, oprócz tego ręczy na przeciąg miesiąca na wypadek, gdyby choroba bennu (epilepsya?) nawiedziła niewolnika[1].

Przy kupnie gruntu jest zawsze dokładnie podana wielkość w mierze ówczesnej; nieraz jednak spotykamy ciekawy dodatek: »mniej lub więcej« (lîtir limti-ma) albo »jeśli grunt jest większy albo mniejszy (niż w kontrakcie opiewa), to idzie to na rachunek nabywcy«[2]. Ta klauzula miała obydwie strony chronić przed reklamacyą wzajemną z tytułu, że wymiar faktyczny nie odpowiadał wymiarowi podanemu w kontrakcie. Ale co ciekawsza, z dwóch procesów, wynikłych z tego właśnie tytułu spornego, widzimy, że przy archiwum świątyni istniał kataster, w którym przechowywano rysopisy gruntów rolnych i budowlanych celem ewentualnej kontroli granic posiadania. W jednym z nich[3] sędziowie po porównaniu aktu kupna z rysopisem katastralnym przekonali się, że sprzedający ukrócił miarę kontraktowo umówioną i nałożyli nań karę. W drugim natomiast wykazało się również z badania w aktach katastralnych, że nabywca dostał więcej, niż w kontrakcie zapisano, skutkiem czego musiał odpowiednią nadwyżkę dopłacić. Ze względu na rzadkość tego rodzaju dokumentów i na mylną interpretacyę Ungnada i pierwszego wydawcy Gautiera[4], nie od rzeczy będzie cały dokument tutaj przytoczyć:

»Z powodu domu, który Nâchilum kupił był od Awêl-matum, wniósł Awêl-matum skargę; do namiestnika Babilonu przybył; tenże na postępowanie procesowe im zezwolił; rysopisy (świątyni) Urasza przyniesiono do domu, dom wymierzono. Ponieważ 1 Sar gruntu było za wiele, zapłacił Nâchilum z powodu nadmiaru gruntu budowlanego, oprócz kwoty dawnego kontraktu, cztery szekle srebra Awêlmatumowi. Awêl-matum nie naruszając wyroku, w przyszłości skargi nie wniesie. Na (boga) Urasza i (króla) Apil-Sina złożył przysięgę«. Następują świadkowie.

[1] Nr. 429—432. Co do istoty tej choroby por. Sudhoff: Archiv f. Gesch. d. Medizin t. IV (1910) str. 353 i nast.

[2] Kohler-Ungnad III Nr. 295, 297, 300, 513, IV Nr. 937, 977.

[3] Kohler-Ungnad III Nr. 700. Por. Schorr: Rechtsurkunden I str. 78.

[4] Por. Kohler-Ungnad T. IV Nr. 1058. Cały dokument w należytej trankrypcyi i tłómaczeniu podałem także we Wiener Zeitschrift f. d. K. d. M. T. 24 str. 329.

Co w tych dwóch procesach pośrednio tylko poznajemy, posiadamy także czarno na białem, a raczej rylcem na glinie. Scheil, słynny pierwszy wydawca kodeksu Chammurapiego, znalazł takie mapy katastralne w archiwum świątyni Sippar i podał nam ich kopie[1].

Przy kupnie niewolnika kontrakt dokonywuje się pod tymi samymi warunkami i przy przestrzeganiu tych samych formalności, co przy kupnie gruntu; także typ kontraktu jest ten sam[2]. Tutaj chciałbym tylko wspomnieć o znamiennem prawie § 280 kodeksu Cham., które proklamuje niewolnika - krajowca, sprzedanego za granicę, wolnym w razie dobrowolnego lub poniewolnego powrotu do kraju[3]. Prawo to, mające swą analogię w późniejszem prawie żydowskiem, zawiera obok momentu samowiedzy plemiennej czy narodowej także ważny moment gospodarczy. Chciano widocznie zapobiec eksportowi sił roboczych za granicę i dlatego unieważniono z góry ich wartość w razie powrotu do kraju. Bardzo ciekawą illustracyę do tego prawa daje nam jedyny w swym rodzaju dokument, który tu w dosłownem tłómaczeniu następuje:[4]

CT VI 29[5].

»[1] Warad-Bunene, którego Pirchi-iliszu, pan jego, do miasta Tupliasz (Asz. nun. na)[6] za $1^1/_2$ miny srebra sprzedał, [5] służył jako niewolnik pięć lat w Tupliasz, a następnie uciekł do Babilonu.

---

[1] Por. Scheil: Une Saison des fouilles à Sippar str. 126, 127, 137 etc.

[2] Por. Schorr: Państwo babilońskie str. 84, gdzie odnośne postanowienia kodeksu są obszernie omówione.

[3] Prawo to przez wszystkich tłómaczy kodeksu mylnie interpretowane omówiłem obszernie w rozprawce: Die §§ 280—282 des Hamurabi-Gesetzes (Wiener Zeitschrift f. d. Kunde d. Morgenlandes t. 22 str. 385—392). Por. tamże także wywody Müllera do tej kwestyi.

[4] Kohler-Ungnad III Nr. 740, gdzie jednak tak tłómaczenie, jak i prawna interpretacya (str. 254) są mylne.

[5] Skrócenie oznacza: Cuneiform Texts of the British Museum, tom VI. p. 29, gdzie powyższy dokument jest wydany.

[6] W nawiasie jest podana sumeryjska nazwa. Miasto to leżało na pograniczu między Babilonią a Elamem, po tamtej stronie Tygru, niedaleko Nippuru. W tym czasie należy ono do państwa elamickiego, a zatem jest miejscowością zagraniczną.

Sin-muszalim i Marduk-lamazaszu, strażnicy (?) zawoławszy Warad-Bunena, tak doń przemówili, jak następuje, oni sami: Jesteś wolny, twoja oznaka (niewolnicza) została odcięta; pójdź między wojskowych.

Tenże Warad-Bunene tak odrzekł, jak następuje, on sam: Między wojskowych nie pójdę, lenno mego domu ojcowskiego obejmę.

Lipit-Adad, Adad-lû-zêrum i Ibni-szamasz, bracia jego złożyli przysięgę na boga Marduka i na króla Ammi-ditana, że nie wniosą skargi przeciw bratu swemu Warad-bunene z powodu niewolnictwa (?)[1].

Warad-Bunene, jak długo żyć będzie, razem z braćmi swymi, będzie zarządzał lennem domu ich ojca.

Przed (świadkiem) Apil-Adad, sekretarzem boga Amurrum.

Przed (świadkiem) Ilum-pi-sza, synem Sin-idinnama.

Dnia 25. Dûzu, roku w którym król Ammi-ditana na mocy wielkiego wyroku Szamasza i Marduka...[2].«

Treść tego niezmiernie ciekawego aktu jest następująca:

Warad-Bunene, niewolnik, rodem Babilończyk został przez swego pana sprzedany za granicę. Po pięciu latach udało mu się zbiec i wrócić do Babilonu. Podług prawa przestał być niewolnikiem z chwilą wstąpienia na terytoryum babilońskie. Tę odzyskaną wolność proklamuje też urząd formułką: »*Jesteś wolny, twoja oznaka (niewolnicza) została odcięta*«. Urząd proponuje wyzwoleńcowi, by się zaciągnął w służbę wojskową. On jednak woli zarządzać lennem swego ojcowskiego domu razem z braćmi, którzy przysięgą się obowiązują, że nie wniosą przeciw niemu skargi z powodu dawnego niewolnictwa.

Osobny rodzaj kupna stanowi *wykupno* (retrakt). Jestto prawo znane także w prawie starohebrajskiem (biblijnem) jako *miszpat* ge'ullâh, dopuszczające krewnych sprzedającego (brata, syna, wnuka i t. d.) do wykupienia ojcowskiego mienia: *bit abišu patâru* »dom ojca wyzwolić« — jak brzmi termin prawny. Kodeks nie wspomina ani słowem o tej transakcyi, bo była niezgodna z całym ustrojem gospodarczym, opartym na *indywidualnej* własności majątkowej. W praktyce natomiast tu i ówdzie jeszcze się

[1] W oryginale: *ana rišutim*. Możliwe także tłómaczenie »z powodu pierworodztwa«, co jednak nie daje dobrego sensu.

[2] Jestto I rok tego króla.

utrzymuje [1], jako przeżytek dawnego ustroju rodowego, na którym np. opiera się zasadniczo prawo biblijne. Przeciw tej instytucyi walczy jednak ustrój gospodarczy, co między innemi w tem się objawia, że nieraz nabywca w osobnej klauzuli zastrzega się przeciw wzruszeniu kupna ze strony krewnych. »Jeśliby bracia albo siostry sprzedawcy rewindykowali pole« — tak czytamy w akcie kupna z czasów króla Zabium — »to sprzedawca jest za to odpowiedzialny« [2].

Obok kupna występuje w aktach jako forma przeniesienia własności wymiana (pûchum), szczególnie wymiana gruntów i niewolników. Ta prymitywna forma ruchu handlowego, pochodząca z okresu gospodarki naturalnej, przystosowana jest już do ustroju gospodarki pieniężnej, co się w tem objawia, że nadwyżkę wartości otrzymanej w zamian rzeczy płaci się w pieniądzach. Istotnym momentem przy tej transakcyi jest zaznaczenie obopólnej zgody i wzajemnej gwarancyi na wypadek rewindykacyi ze strony osoby trzeciej [3].

2. Najem i dzierżawa.

Oprócz rezultatów, które już z dawniejszych aktów praktyki prawnej w zakresie tych dwóch instytucyi gospodarczych wysnuć się dały [4], nastręczają nowsze akta jeszcze następujące znamienne szczegóły:

Przy najmie domu uiszcza nieraz wynajmujący, podobnie jak przy dzierżawie pól, podarunki pewne na święta na rzecz właściciela, zwłaszcza gdzie właścicielką jest kapłanka Szamasza [5].

Najmu robotników dokonywuje się w trojakiej formie: a) Najmuje się niewolnika od właściciela, któremu się też płaci czynsz

---

[1] Por. Kohler-Ungnad III Nr. 440—441; IV 979—980.

[2] Kohler-Ungnad III Nr. 386.

[3] Por. Kohler-Ungnad III Nr. 451.

[4] Por. Schorr: Państwo babilońskie str. 79—81, 87—88, również Schorr: Kodeks Hamurabiego a ówczesna praktyka prawna (Rozpr. Akad. krak. T. 50 str. 247—248).

[5] Por. Kohler-Ungnad III Nr. 499, 502—504 V 1161—1163.

najemny[1]. b) Najmuje się robotnika wolnego od przedstawiciela jego rodziny, ojca, matki lub brata[2]. c) Wolny robotnik sam się wynajmuje w służbę; formułka brzmi wtedy: A wynajął B od niego samego (ina ramânišu)[3]. Bardzo słusznie powiada Kohler[4], że ostatnia forma przeszła wpierw przez stadyum wynajmywania się dłużnika w służbę u swego wierzyciela — stosunek, który kodeks także normuje (§ 114). Nie mogąc uiścić długu, udaje się dłużnik dobrowolnie w służbę do wierzyciela, by sumę dłużną spłacić robotą. Z tego ściśle określonego stosunku rozwinął się dopiero później wolny kontrakt służbowy. d) Ktoś otrzymuje pewną kwotę jako płacę najmu z góry wypłaconą we formie pożyczki. W terminie płatności (czas żniw) nie zwraca dłużnik pożyczki w pieniądzach, lecz dostarcza robotników, których płaca najemna odpowiada wysokości otrzymanej pożyczki. Tak należy obecnie rozumieć cały szereg odnośnych kontraktów[5] w świetle trafnej interpretacyi Ungnada i Kohlera[6], podczas gdy przedtem mylnie je wszyscy inaczej tłómaczyli. Zachodzi tutaj — jak Kohler słusznie przyjmuje — pewien stosunek pośrednictwa pracy. Ktoś wynajmuje robotników z tem, że w czasie żniw mają się stawić do roboty u dowolnej osoby, którą najemca im wskaże. Wychodzi na tem dobrze i pośrednik i właściciel pola; pierwszy, bo otrzymuje płacę najmu z góry na kilka miesięcy przedtem i może tą kwotą dowolnie rozporządzać dla zysku aż do terminu płatności, drugi, bo nie potrzebuje w czasie żniw troszczyć się o robotników, wtedy kiedy ich trudno dostać i żądania ich może są wygórowane.

Dla illustracyi przytaczam jeden przykład tej kategoryi:[7]

»$^1/_2$ szekla srebra dla żniwiarzy wypożyczył od Lamassi, kapłanki Szamasza, córki Gimil-Upi Ibkusza, syn Szamasz-rabi'ego.

---

[1] Por. Kohler-Ungnad III Nr. 542, 550; IV Nr. 1001; 1007, 1019.

[2] Kohler-Ungnad III Nr. 538, 539, 547, 552, 561, 564, 565, 570; t. IV Nr. 1016, 1018, 1021, V 1172.

[3] Por. Kohler-Ungnad III Nr. 548, 551, 556, 560, 567, V 1174..

[4] L. c. str. 243.

[5] Kohler-Ungnad III Nr. 541, 555, 559, 563; t. IV Nr. 1002, 1003, 1004, 1010, 1011, 1022, 1023, 1024, V 1173.

[6] Por. l. c. t. IV str. 81 i 96.

[7] Kohler-Ungnad IV Nr. 1003. Ten dokument musiał naprowadzić na należytą interpretacyę wszystkich innych tej samej kategoryi.

W czasie żniw przyjdzie 10 żniwiarzy. Jeżeli nie przyjdą, postąpi się podług ustaw króla«.

Kilkakrotnie jest wzmianka w kontraktach najmu osobowego o rękojemcy, który daje gwarancyę za zjawienie się robtnika na czas[1]. Termin techniczny brzmi: »A trzyma głowę B (robotnika)«.

Wśród setek dokumentów znajdujemy tylko dwa kontrakty najmu zwierzęcia[2]. W drugim wypadku czynsz najmu (trzy kur zboża rocznie) jest zupełnie zgodny z taryfą ustanowioną przez ustawę (§ 243).

Drogi handlowe prowadzą w tym czasie juz nietylko lądem, ale także wodą. Okręty z towarami, zbożem, wełną, oliwą, daktylami i t. d. kursują po Eufracie i Tygrze i po kanałach rzecznych, które przerzynają cały kraj. Ustawa normuje też w kilku postanowieniach (§§ 236, 275—277) najem okrętów i żeglarzy. Z praktyki znamy tylko nieliczne dokumenty tego rodzaju[3]. Razem z okrętem wynajmywano nieraz także żeglarza; najemca obowiązuje się zwrócić okręt w dobrym stanie. Wynajmuje się okręt albo na pewien czas, albo na pewną drogę.

W kraju tak urodzajnym i przez naturę tak błogosławionym, jak Babilonia, stanowi uprawa pól i ogrodów ważny czynnik w życiu gospodarczem. Prawo Chammurapiego poświęca też kulturze rolnej baczną uwagę, z wyraźną tendencyą popierania intenzywnej kultury ziemi obok obrony osobisto-prawnych interesów agraryuszy[4]. W dokumentach jest dzierżawa pól i ogrodów obficie reprezentowana. Wydzierżawia się zazwyczaj na rok, rzadko na trzy lata. Czynsz dzierżawny uiszcza się prawie wyłącznie w naturaliach, w zbożu, względnie w daktylach przy uprawie ogrodów palmowych, przyczem z reguły oblicza się czynsz dzierżawny według ilości morgów (Gan). Od każdego Gan płaci się pewną miarę Kur (hebr. kôr), której wysokość zależy od jakości gruntu. Nieraz za normę opłaty służy czynsz dzierżawny pola sąsiedniego. Podobnie jak przy najmie domów, uiszcza nieraz dzierżawca część dzierżawnego z góry w zbożu lub pieniądzach. Za szkody, wynikające z niedbalstwa, po-

---

[1] Kobler-Ungnad III Nr. 539, 551, 567; IV 999.

[2] Ibid. III Nr. 534; IV Nr. 999.

[3] Ibid. III Nr. 530, 531, 537, 544.

[4] Odnośne postanowienia kodeksu są omówione w pracy mej: Państwo babilońskie str. 79—80.

nosi dzierżawca pełną odpowiedzialność, zgodnie z ustawą (§§ 42—44)[1]. Jeżeli zaś pole jest kamieniste, to wolno dzierżawcy część dzierżawnego ściągnąć[2]. Obok głównej opłaty obowiązuje się dzierżawca często do pewnych datków ubocznych, najczęściej tam, gdzie właścicielką pola jest kapłanka. »Przez trzy następne święta dostarczy po jednym kawale mięsa, po 10 Ka mąki, 20 Ka wódki« (lub podobnie) czytamy w aktach dotyczących[3]. Bardzo często wydzierżawia się pustkowie celem zamiany na glebę orną, pole lub ogród. Warunki dzierżawy są wtedy lżejsze; normalny czynsz cięży na gruncie dopiero od 3 roku, w pierwszych dwu latach płaci się czynsz mniejszy albo nawet — co częściej bywa — pole jest w pierwszym roku zupełnie wolne od opłaty. Ponieważ jednak z dzierżawy samego pustkowia dzierżawca, biedny wieśniak, wyżyć nie mógł, brał tedy obok pustkowia od tegoż właściciela także grunt żyzny, za który płaci normalne dzierżawne. Najczęściej też kontrakty zawierają tę kombinacyę dzierżawy pustkowia, obok gleby płododajnej. »Aż nie użyźni pustkowia, wolno mu spożywać z pola uprawnego[4].

3. Spółka i ajencya.

Znamieniem żywotności ruchu handlowego jest istnienie spółki handlowej. Dokumenty odnośne są dla nas tem cenniejsze, że ustawa 'Chammurapiego o tej instytucyi wcale nie wspomina. Dwu lub więcej kontrahentów wkłada wspólnie pewien kapitał w produktach lub w gotówce celem wspólnego prowadzenia przedsiębiorstwa handlowego (charrânum). Znamy wszystkie prawne terminy spółki; transakcya sama zwie się tappûtum; kapitał wkładowy ummânum, kapitał obrotowy kîsum, zysk nêmelum, wydatki wspólne, mające się odliczyć przy rozdziale zysku, mânachtum[5].

Rozwiązanie spółki odbywa się w świątyni przed sędziami. W tym celu składają tam wspólnicy rachunki, zwracają sobie wzajem kapitał

[1] »Jeżeli pola zaniedba, to przecież dzierżawne uiści«. Kohler-Ungnad III Nr. 578. »Jeżeli pola nie uprawi, to przecież (właściciel) swą połowę zabierze«. Ibid. IV Nr. 1027, co jednak Ungnad inaczej tłómaczy.

[2] Ibid. III Nr. 591.

[3] Zwyczaj ten znamy także z grecko-egipskich papyrusów z czasów rzymskich. Por. Waszyński. Die Bodenpacht str. 124.

[4] Kohler-Ungnad III Nr. 628, 631, 633, 634, 638, 639, 657.

[5] Por. Schorr: Altbab. Rechtsurkunden III.

zakładowy, dzielą się w równej mierze zyskiem jak i stratą »z tego, co w mieście i co w podróży handlowej uzyskali«, poczem stwierdzają ugodę przysięgą, obowiązując się jej nie naruszyć. W razie śmierci jednego spólnika gaśnie tem samem spółka, obrachunek następuje wtedy ze spadkobiercami również w sądzie [1].

Obok spółki handlowej spotykamy także spółkę agrarną, która się zawiązuje wśród analogicznych warunków jak tamta. Dwu lub więcej wspólników wydzierżawia razem pole. Dzierżawcy ponoszą wspólnie wydatki uprawy i dzielą się w równej mierze zbiorami po ściągnięciu dzierżawnego, w którem również jednakowo uczestniczą. Ciekawy i skombinowany jest w tej kategoryi wypadek, w którym sam właściciel pola występuje jako współdzierżawca; [2] wtedy ponosi część kosztów i wykonywuje część pracy, tożsamo dostaje połowę zbiorów i połowę dzierżawnego, podczas gdy druga połowa, którą sam sobie miałby płacić, odpada. Tak interpretuje Köhler [3] ten stosunek prawny, który wyrażony jest we formułce: »Pole o X Gan, własność A wynajęli od A, właściciela, A i B«. Podług Müllera [4] natomiast, który rzeczowo tak samo stosunek ten pojmuje, mamy w tej formułce fikcyę prawniczą celem uproszczenia kontraktu.

Postanowienia ustawy o ajencyi handlowej omówiłem na innem miejscu [5]. Z praktyki prawnej znane nam są tylko dwa przykłady: W jednym z nich mamy pokwitowanie ajenta dane kupcowi na pewną kwotę, oddaną mu w komis celem zakupienia produktów [6], w drugim dostają trzej ludzie drogą pożyczki dziesięć szekli do zakupienia pierścienia złotego dla świątyni Szamasza. Po miesiącu mają zwrócić pożyczkę bezprocentowo, zyskiem osiągniętym zaś dzielić się z wierzycielem. Wierzyciel występuje tu jako kupiec (tamkarum), dłużnicy jako ajenci [7].

Stosunkiem, pokrewnym ajencyi jest pełnomocnictwo.

[1] Por. Kohler-Ungnad III Nr. 668—670; 672; obrachunki po śmierci jednego wspólnika ibid. Nr. 47, 706; Schorr: Rechtsurkunden II Nr. 11.
[2] Kohler-Ungnad III Nr. 651, 655, 656, 657.
[3] Ibid. str. 246.
[4] Schorr: Altbab. Rechtsurkunden I str. 151—152.
[5] Schorr: Państwo babilońskie str. 88.
[6] Por. Schorr: Kodeks Hamurabiego (Rozpr. Akad. krak. T. 50 str. 232).
[7] Schorr: Altbabyl. Rechtsurkunden II Nr. 37.

W aktach spotykamy je przy dzierżawie gruntów, przy pożyczkach, przy kontrakcie ślubnym[1].

4. Pożyczka i depozyt.

Ruch handlowy nie byłby osiągnął tej wyżyny, jaka się i w teoryi i w praktyce prawnej tego okresu odzwierciedla, gdyby nie istniał był kredyt, bez którego żywszy ruch handlowy nie może się rozwinąć. W instytucyi pożyczki i jej charakterze uwydatnia się też od razu różnica ustroju ekonomicznego w starożytnem państwie izraelskiem a babilońskiem w czasach Chammurapiego. Tam widzimy prymitywny ustrój agrarny, prawo zabrania wypożyczania na procent w ogóle[2], tutaj tak ustawa jak i praktyka liczą się z pożyczką procentową jako zjawiskiem koniecznem, nie czyniąc żadnej różnicy między krajowcem a cudzoziemcem. Cała troska ustawodawcy obraca się tylko około tendencyi regulowania ruchu kredytowego, utrzymania równowagi w stosunkach handlowych, niedopuszczania do lichwy i wyzysku.

W istocie trzeba przyznać, że w tej dziedzinie prawo stoi na wyżynie socyalno-etycznej, jakiej daremnie szukać będziemy zresztą w ustawodawstwach starożytnych lub średniowiecznych. Obok postanowień odnośnych kodeksu, już na innem miejscu omówionych[3], zasługują na szczególną jeszcze uwagę swą humanitarną tendencyą §§ 49. i 66., które nie pozwalają wierzycielowi wyzyskać niekorzystnej sytuacyi dłużnika nawet za jego zgodą. Jeżeli wierzyciel — orzekają te dwie normy — wezwie dłużnika do zwrotu długu, a on nie ma ani pieniędzy ani zboża, i dobrowolnie zaofiaruje wierzycielowi ustąpienie mu całego zbioru na polu lub w ogrodzie, to taka umowa nie ma prawnego znaczenia. Wierzyciel może sobie tylko ściągnąć ekwiwalent pożyczki wraz z odsetkami, reszta jest własnością dłużnika.

---

[1] Por. Schorr: Kodeks Hamurabiego (Rozpr. Akad. krak. T. 50 str. 246).

[2] Później dopiero czyni prawo wyłom na rzecz cudzoziemca (V ks. Mojż. rozdz. XXIII 20—21). Że wszędzie, gdzie prawo Mojżeszowe zawiera zakaz brania odsetek przy pożyczkach, ma ono na myśli odsetki w ogóle a nie lichwę w znaczeniu nadmiernych odsetek, wykazał świetnie Müller w Wiener Zeitschrift f. d. Kunde d. Morgenl. T. XVIII.

[3] Por. Schorr: Państwo babilońskie str. 90—91.

A teraz przypatrzmy się, jaki był ruch kredytowy w praktyce. Wszelka pożyczka jest z reguły procentową; jeżeli nią nie jest, np. gdy się ją bierze na kilka dni, to dokument wyraźnie stwierdza »odsetek niema« (ciptum ul išu), albo że pożyczka jest udzielona »z grzeczności« (ana tadmiktim), »dla wsparcia« (ana usâtim). Zresztą istnieje normalna stopa procentowa, na którą zazwyczaj powołuje się kwit dłużny (ciptum kênum)[1], a która przy gotówce wynosiła 20%, przy pożyczce w zbożu $33^1/_2$%, jak wynika z tych dokumentów, gdzie wysokość odsetek wyraźnie jest podana[2]. Świątynia Szamasza ma swą własną stopę procentową (cipat [il] Šamaš), która zazwyczaj obowiązuje w interesach prowadzonych z kapłankami przy świątyni i ze skarbcem świątyni samej[3].

Nieraz określony jest gatunek wypożyczonego zboża lub srebra (pieniędzy) jako »nieskazitelne i prawdziwe« z tem, że pożyczka ma być w tym samym dobrym stanie zwrócona[4].

Jako termin spłacenia długu najczęściej podany jest czas żniw; dłużnik zebrawszy zboże z pola, mógł wtedy najwygodniej swe zobowiązania spełnić. Nieraz jednak wymawia sobie wierzyciel, że dług płatny wtedy, kiedy go zażąda[5]. Kilkakrotnie jest wzmianka o karze umownej na wypadek nieuiszczenia długu w umówionym terminie[6]. Za zgodą wierzyciela można było przenieść dług (asygnować) na inną osobę, tak np. z ojca na syna[7]. Nieraz jednak wymawia sobie wierzyciel wyraźnie, że nie wolno dłużnikowi przenieść zobowiązania na osobę trzecią[8].

Znajdujemy także pożyczki za poręką trzeciej osoby. Forma jest ta, że A wystawia kwit dłużny tej treści, że zaciągnął pożyczkę od B dla C; w dniu uiszczenia długu przez C zostanie jego kwit zniszczony[9].

---

[1] Kohler-Ungnad III Nr. 156, 170, 173; IV Nr. 848, 862, 864, 879, 896, 897, 903, V 1120, 1122.

[2] Por. Kohler-Ungnad III Nr. 148.

[3] Kohler-Ungnad III Nr. 150—153, 157; IV Nr. 849, 851, 857—860, 866—868, 919, V 1115.

[4] Ibid. III Nr. 154, 164, 187, 189, 205; IV 878, 1004, V 1118.

[5] Ibid. IV Nr. 847, 862, 863, 869, 871.

[6] Ibid. III Nr. 184; IV 874, 878.

[7] Por. Schorr: Kodeks Hamurabiego l. c. str. 247; także Kohler-Ungnad IV Nr. 847, do czego por. Wiener Zeitschrift T. 24 str. 332.

[8] Por. Schorr: Altbab. Rechtsurkunden III Nr. 45.

[9] Schorr: Altb. Rechtsurkunden I Nr. 58.

Istnieją też akta stwierdzające, że »ponieważ ręka dłużnika została cofnięta« (t. j. ogłosił niewypłacalność), »ma rękojemca za niego dług uiścić«[1]. W innym akcie »wycofuje rękojemca rękę wierzyciela«, to znaczy wstępuje na miejsce dłużnika i uwalnia go od egzekucyi[2].

Najciekawsze zjawisko w instytucyi pożyczki nastręczają nam te kwity dłużne, w których znajdujemy stypulacyę: »okazicielowi kwitu swego (ana nâš kanikišu) pieniądze zapłaci«[3]. Widzimy w aktach tych, jak kredyt wyłamuje się stopniowo — od czasów Chammurapiego począwszy pojawia się ta klauzula — z pod stosunku osobistego i wiąże się li tylko z dokumentem. A to chyba jest początek weksla.

Że i w tych czasach można było obejść prawo i mimo surowych przepisów jego przeciw lichwie przecież prowadzić interesy lichwiarskie, świadczą te dokumenty, w których ktoś zaciąga dług w gotówce, a ma go spłacić w zbożu[4]. Jak Kohler[5] bardzo trafnie wyjaśnia, zachodzi we wszystkich tych wypadkach fikcya prawna. Wieśniak zaciąga pożyczkę w zbożu na zasiew (ana šipkâti), której wartość wstawiona jest w dokumencie w pieniądzach podług ówczesnego kursu. W czasie zbiorów ma wieśniak uiścić dług w zbożu, ale także podług bieżącego kursu (kîma machirâti illakû). Ponieważ kurs zboża po żniwach jest o wiele niższy niż podczas zasiewów, więc wierzyciel dostaje o wiele większą miarę zboża, aniżeli kwota wypożyczona reprezentowała w dniu zaciągnięcia pożyczki. Jestto więc ukryta lichwa, ukryta w różnicy wartości zboża w różnych porach roku.

Pozostaje nam omówić jeszcze depozyt, który jest pewnego rodzaju pożyczką. Depozyt jest interesem, i dlatego — jak

---

[1] Kohler-Ungnad III Nr. 84, 87.

[2] Kohler-Ungnad IV Nr. 808 i str. 92 ibid. Por. także Schorr: Rechtsurkunden III (r. 1910) Nr. 44. Co do wyrażenia »rękę wycofać« (kâtam nasâchu) por. także ciekawe wywody w rozprawie Ed. Cuqa: Le droit babylonien au temps de la première dynastie de Babylone (Nouvelle Revue historique de droit français et étranger T. XXXIII str. 430). Cuq zestawia to wyrażenie z analogicznym zwrotem w prawie rzymskiem manum depellere w przeciwieństwie do manus iniectio.

[3] Por. Kohler-Ungnad III Nr. 225—240; IV 919—920; V 1132.

[4] Ibid. III Nr. 206—216, 235—240; IV 850, 852, 871, 877, 912—913.

[5] Ibid. str. 239.

każdy inny — musi się odbyć przy świadkach i być stwierdzony układem piśmiennym (§ 122). Depozytaryusz odpowiada za zaginięcie depozytu (§ 125)[1], a gdy się go wypiera, płaci podwójną wartość. Odbierając depozyt, deponent kwituje na piśmie. Najczęściej deponowano zboże. Nie mając własnego spichlerza, składa je wieśniak u sąsiada, płacąc składowe wedle kodeksu 5 Ka za jeden Kur. Zboże musi być zwrócone podług miary deponenta. Ale oddaje się także srebro, ołów i inne rzeczy w przechowanie. W jednym akcie depozytaryusz, u którego złożono $8^1/_2$ min ołowiu na 15 dni, otrzymuje pozwolenie dalszego rozrządzania ołowiem pod warunkiem, że od 10 szekli będzie płacił $^1/_3$ szekla procentu. Depozyt przechodzi zatem w pożyczkę[2].

Tak przedstawia się w ogólnych zarysach ruch handlowy w swych ważniejszych objawach w Babilonii w okresie dynastyi Chammurapiego. W tych objawach przebija się wysoki stopień rozwoju gospodarczego. Co zaś szczególnie zaznaczenia godne, to jednolitość ustroju ekonomicznego w całem państwie Sumeru i Akkadu, oparta na jednolitości politycznej i administracyjnej, genialnie stworzonej przez największego króla tej dynastyi, Chammurapiego. Od najdalszych zakątków na południu aż do Babilonu i wyżej na północ, wszędzie jedna norma, jedno prawo. Następne wieki mało co nowego stworzyły. Mogły tylko rozwinąć te instytucye ekonomiczne i prawne, które w tym okresie jeszcze powstały. Nie bez powodu uchodzi ten okres za złoty w historyi babilońskiej.

[1] Kohler-Ungnad IV Nr. 842.
[2] Kohler-Ungnad III Nr. 171. Inny ciekawy przykład zob. u Schorra Rechtsurkunden III Nr. 28[a–b].

PRZYCZYNKI DYPLOMATYCZNE Z WIEKÓW ŚREDNICH

napisał

WŁADYSŁAW SEMKOWICZ

1. Dokument Maura, biskupa krakowskiego (1109—1118) dla kościoła w Pacanowie.

W mało znanem u nas piśmie duchownem p. t. *Notificationes e curia Principis Episcopi cracoviensis ad universum ven. clerum*, urzędowym organie konsystorza biskupiego w Krakowie, pojawiały się przed kilkunastu laty, w dziale »*Miscellanea historica*«, cenne notaty i materyały historyczne, które anonimowy wydawca pełną dłonią czerpał z bogatego a niedostatecznie dotąd zbadanego archiwum konsystorza krakowskiego. Nie będziemy już dziś okrywać tajemnicą nazwiska skromnego pracownika, którym był niedoceniony u nas badacz, podówczas archiwaryusz konsystorski w Krakowie, ks. dr. Zygmunt Dunin Kozicki.

W nrach 1710 (str. 57) i 1805 (str. 75) wspomnianego pisma z r. 1894 zamieścił ks. Kozicki szereg dokumentów, odnoszących się do kościoła parafialnego w Pacanowie, pośród których na pierwszy plan wysuwa się przywilej biskupa krakowskiego Maura, w przedmiocie dziesięcin dla tegoż kościoła. Dokument ten, niedatowany, zawarty jest w transsumpcie biskupa Iwona (Odrowąża) z 15 sierpnia r. 1219.

Dokument pacanowski, jeśliby się okazał autentycznym, byłby jednym z najdawniejszych zabytków dyplomatyki polskiej, wystawca bowiem jego, biskup Maurus, zasiadał na stolcu krakowskim w latach 1109—1118 [1]. Najstarszy znany dokument polski Włodzisława Hermana z r. ok. 1085 [2], odkryty przez prof. Wojciechowskiego, opiewa dla obcego odbiorcy, kościoła bamberskiego. Tyniecki zaś dokument legata Idziego pochodzi od obcego wystawcy, zresztą, o ile jest autentyczny (na co nie ma w naszej nauce po-

[1] Rocznik kapitulny krakowski. Mon. Pol. t. II, str. 797.

[2] Kwartalnik historyczny, r. 1902, str. 169.

wszechnej zgody), datuje się dopiero z czasu między r. 1119—1124, jest więc młodszy od dokumentu biskupa Maura[1]. Faktycznie przeto byłby przywilej pacanowski najstarszym znanym rdzennie polskim dokumentem polskiego wystawcy dla polskiego odbiorcy[2].

Transsumpt biskupa Iwona, w który powyższy przywilej Maura jest inserowany, wobec ubóstwa dyplomatyki polskiej z pocz. XIII w. i nader szczupłej garstki znanych dokumentów tego biskupa, także ze wszech miar zasługuje na rozpatrzenie.

Mimo to rzeczone dokumenty, z powodu małego rozpowszechnienia »Notificationum« [3], nie zwróciły na się uwagi, na jakąby ze względu na swą wartość zasługiwały. Wiedziało o nich kilka ledwie osób ze ścisłego grona naszych mediewistów, nikt jednak nie pokusił się dotąd o bliższe zbadanie ich autentyczności i wszechstronne zużytkowanie zawartych w nich szczegółów historycznych. Jedynie Dr. Stanisław Zachorowski w cennej rozprawie p. t. *Początki parafii polskich*, idąc za wskazówką ś. p. K. Potkańskiego[4], powołał się w kilku kwestyach na dokument Maura, przedrukowując nawet w notce z »Notificationes« jego tekst, w którym zauważył parę niedokładności. Zapowiedziane jednak przezeń ponowne wydanie i opracowanie tego dokumentu, mimo upływu trzech lat, nie doczekało się urzeczywistnienia, wobec czego uważałem za stosowne podjąć się tego zadania. W tym celu sięgnąłem jeszcze raz do źródła, z którego te dokumenty zaczerpnięto, i wydaję je tu ponownie w poprawnym tekście.

Dnia 18 marca 1502 r.[5] zjawił się przed urzędem oficyała krakowskiego. Maciej Ślimawa, doktor medycyny i pleban w Paca-

[1] Data jego 1105 odnosi się do sporządzonego w tym roku spisu wsi i osadników klasztoru tynieckiego. Por. Papée Fr. Najstarszy dokument polski. Kraków, 1888 (Odb. z XXIII t. Rozpr. Ak. Um. Wydz. hist. fil.), oraz Piekosiński: Jeszcze słowo o dokumencie legata Idziego dla Tyńca (Kwartalnik histor. z r. 1889, str. 49).

[2] O rzekomem nadaniu dziesięcin na rzecz kl. Jędrzejowskiego przez biskupa Maura przechowała się wzmianka w innowacyi przywilejów opactwa, dokonanej w r. 1210 przez Wincentego Kadłubka, biskupa krakowskiego. Por. Małecki: W kwestyi fałszerstwa dokumentów. Kwart. hist. r. 1904, str. 8.

[3] Nie posiada ich żadna z świeckich bibliotek we Lwowie.

[4] Ś. p. Potkański powołał się także na dokument biskupa Maura w niedrukowanej dotąd pracy p. t. Ród Nagodziców, którą czytałem w rękopisie.

[5] Acta Officialia, vol. 21 (z lat 1499—1508) pag. 174^v.

nowie, prosząc o wpis do aktów oficyalatu przywilejów swego kościoła, z powodu przeszkód, doznawanych ze strony patronów i kollatorów kościoła: Jana Wapowskiego, Mikołaja Secygniowskiego i Jana Pacanowskiego, oraz braci tegoż ostatniego, Piotra, Bieniasza i Mikołaja. Dokumentów tych było sześć, z tych dwa tyczyły się dziesięcin kościoła, tj. przywilej biskupa Maura w transsumpcie biskupa Iwona z r. 1219, oraz dokument biskupa Jana Muskaty z czasu między r. 1317 a 1319.

Transsumpt biskupa Iwona, znany nam zatem tylko z powyższej kopii, brzmi jak następuje:

In nomine sancte trinitatis et individue[1] amen[2]. Ego Ivo miseracione divina episcopus Cracouiensis universitati filiorum matris ecclesie salutem in domino Ihesu. Cum ea que in tempore geruntur cum eo transeant et caduce fiant temporum acciones, innotesco futuris et[3] presentibus super dotaliciis ecclesie de Paczanow[4], mihi oblatum fuisse privilegium domini Mavri, condam episcopi Cracouiensis, qui in ordine successive institucionis me antecessit septimus, quod ob ineruderatam formam privilegiorum simplicis et rustice antiquitatis, parum aut nihil predicte ecclesie fore vidi profuturum. Quod tale fuit:

Ego Maurus Cracouiensis episcopus, licet indignus, confero[5] Deo et beato Martino, in dedicacione eius ecclesie, decimam de villa, in qua eius ecclesia sita[6] est et de Zabche et de Isgorsko et de Negoslauicha[7] et de Gurouo et de Goracouo et de Scheglino et in Quassouo sortem

[1] W tekście »Notificationes« mylnie przemieniono porządek tych wyrazów: »sancte et indiuidue Trinitatis«.

[2] Brak tego wyrazu w »Notificationes«.

[3] Ten wyraz opuszczony w kopii.

[4] W oryginale była prawdopodobnie forma »Paczonów« jako dawniejsza od formy Paczanów.

[5] W kopii: conferro.

[6] W kopii: sitta.

[7] Ks. Kozicki w »Notificationes« odczytał Yegolamcha. Tymczasem pierwsza litera, przypominająca istotnie nieco »y« jest raczej »n« z drugim trzonkiem, przedłużonym pod linię. Między »o« a »l« widzimy w kopii literę »r«, a literę »m« można równie dobrze czytać jako »ui«. Tak więc wyraz ten czytam w kopii: »negorlauicha«. Jest to błędna lekcya oryginału, gdzie niewątpliwie było »negoslauicha«, jak na to wskazują względy rzeczowe, o których niżej. Paleograficznie da się taki błąd kopisty łatwo wytłómaczyć.

Mangoldi. Semianus[1] autem patronus confert tabernam de eadem villa, decimum piscem, decimum vitulum, decimum agnellum, decimum porcellum, decimum caseum. Qui hoc immutaverit, anathema sit.

Ego igitur iuris equitate et comitis Pacoslai pia in Domino devocione pensatis, eruderaciori cirographo cum consensu mei capituli ex ordine requisito, vetus novo privilegium innovando, confirmavi donacionem domini Mauri episcopi, predicte ecclesie in perpetuum tranquille possidendum. Hec autem publice acta sunt in capitulo Cracouiensi, ordinato in ministerium Ihesu Christi in eadem ecclesia. Vissezlao decano, Bogufalo preposito, Andrea archidiacono, Benedicto scolastico, Laurencio cantore, Pantizlao custode ceterisque eiusdem capituli canonicis utpote Woycone, Radulfo, Blasio, Martino, Ioanne, Domano, Wychardo, Stephano, Troyano, Petro, Gaudencio, Gregorio, Vito, Nicolao, Gocuino, Zawissa et Roberto. Anno incarnacionis dominice M⁰CC⁰XIX epacta III, concurrente primo, in die Assumpcionis beate Virginis Marie, anno pontificatus mei primo, regnante in Cracouia duce Lestcone[2]. Ne qua igitur super predictis imposterum suboriatur calumpnia, meo et capituli mei presentem paginam sigillis communivi. Si qua ecclesiastica secularisve persona factum hoc attemptaverit infirmare, sciat se excomunicacionis vinculo innodari et cum Pilato in extremis porcionem recepturum.

Dokument biskupa krak. Jana Muskaty w przedmiocie dziesięcin dla kościoła w Pacanowie, dotąd nigdzie nie drukowany, jest niestety znacznie uszkodzony, brakuje bowiem w samym środku kawałka karty. Niektóre wyrazy, łatwiej dające się domyślić, zamieściłem w nawiasach.

---

[1] Ks. Kozicki odczytał Senuarius, ja czytam Semiarius. Początkowe »mi« składa się z 4 równych trzonków, wprawdzie bez kreski nad ostatnim, ale ze względu na to, że Długosz w Lib. Ben. podaję lekcyę »Seminianus« (zob. niżej), nie ulega wątpliwości, że w oryginale było »mi« a nie »nu«. Końcowe »rius«, jak również porównanie z lekcyą Długosza wskazuje, musiało w oryginale brzmieć: »nus«. Z »n« kopista XVI w. mógł łatwo zrobić »ri«. Względy rzeczowe również przemawiają za tem, że mamy tu do czynienia z imieniem »Semianus«, czego się już domyślał ks. Kozicki w objaśnieniach do tekstu tego dokumentu (Notificationes, nr. 1710, str. 76).

[2] W tekście kopii błędnie: Lesccone, gdzie w miejscu pierwszego »c« w oryginale było »t«. Paleograficznie omyłka łatwa.

In nomine domini Amen. Nos Joannes Dei gracia Cracoviensis episcopus, per presentes publice protestamur, quod ecclesiam Sancti Martini apud Paczanow invenimus in possessione decimarum infrascriptarum, videlicet eiusdem Paczanow, Sabcze, Zgorsco, Nyegoslauicze, Suthow, Sczeglino, Maraczow et sortis Mangoldi in Quasszow et etiam in possessione taberne [ibidem, necnon decimi piscis], decimi vituli, decimi agnelli, decimi porcelli, [decimi casei... Qu]am possessionem predictorum gratam et ratam [habentes, auctoritate nostra] imperpetuum confirmamus. Datum apud Cracoviam [anno Domini M. CCC...[1] Au]gusti. Actum presentibus hiis: domino [3—4 wyrazów brak][2] Adamo preposito Cracoviensi, domino Jarostio [custode ibidem, domino Nankero canonico i]bidem et archidiacono Sandomiriensi et domino Eng[ilberto, canonico Cr]acoviensi et preposito Scarbimiriensi et [aliis pluribus fidedignis ad capitulum] specialiter vocatis.

Wreszcie dla porównania przytaczam odpowiednie miejsce z *Liber Beneficiorum* Długosza[3], w którem jest wzmianka o dokumencie biskupa Maura dla Pacanowa, widocznie przeto znanym naszemu dziejopisowi, choć niewiadomo czy z oryginału, czy też z transsumptu Iwonowego:

»Quam quidem ecclesiam ad honorem Beati Martini confessoris, Maurus Cracoviensis episcopus ad petitionem Seminiani patroni dedicavit, et octo decimis manipularibus de mensa episcopali dotavit, prout in privilegio, cuius exemplar subnectimus, latius continetur[4]...

---

[1] Datę, której brak w dokumencie z powodu wydarcia w tem miejscu karty, możemy określić w przybliżeniu. Ze względu na Kraków, jako na miejsce wystawienia dokumentu, przyjąć trzeba, że akt wydany został między r. 1302 (w którym kustoszem krakowskim był jeszcze Piotr, KKK. nr. 106) a r. 1308, w którym biskup Jan Muskata z kanonikiem Engelbertem poszli na wygnanie, albo między r. 1317, kiedy wrócili z wygnania a 1319, w którym Nanker był już dziekanem krakowskim (Theiner Mon. Vat. I. nr. 148). Ze względu na Nankera, który w charakterze archidyakona sandomierskiego pojawia się dopiero w r. 1308 (KM. nr. 138), oświadczam się za drugą ewentualnością. Por. Abraham, Sprawa Muskaty, Rozpr. A. U. W. hist. fil. t. XXX. s. 151 i 167.

[2] Może »Rymboldo, archidiacono«.

[3] Por. wydanie Przeździeckiego, t. II, str. 422.

[4] Stwierdziłem w autografie Długosza, przechowanym w kapitule krakowskiej, że zapowiedzianego tekstu przywileju biskupa Maura nie ma tam ani śladu.

Item de eisdem praediis tenentur heredes dare plebano decimum caseum, decimum agnellum, decimum porcellum. Item de lacubus Petri Sancznigyewsky datur plebano decimus piscis etc.«

Zanim przystąpimy do rozbioru dokumentu biskupa Maura, poddamy zbadaniu autentyczność transsumptu biskupa Iwona z r. 1219. Badanie to z natury rzeczy ograniczyć się musi do kryteryów wewnętrznych, przy pomocy materyału porównawczego, którego dostarczą nam nieliczne — co prawda — inne dokumenty Iwona Odrowąża.

Dokumentów tego biskupa znamy wszystkiego siedm (nasz byłby zatem ósmy), z tych jeden jeszcze z czasów jego kanonikatu i kanclerstwa, z d. 24 czerwca 1213 [1], przechowany w oryginale, sześć zaś z czasów biskupstwa, mianowicie: 1) z d. 25 grudnia 1219 dla klasztoru w Mstowie, znany z kopii [2]; 2) bez daty dnia z r. 1222 dla klasztoru w Mogile, oryginał [3]; 3) z d. 6 sierpnia 1223 dla brata swego Wisława, oryginał [4]; 4) z d. 28 września 1227 r. dla Dominikanów krakowskich, oryginał [5]; 5) z d. 29 września 1228 r. dla klasztoru w Dłubni, kopia [6]; 6) z d. 18 stycznia 1229 dla klasztoru w Mogile, oryginał [7].

Zarówno styl, jak i formuły dokumentalne transsumptu Iwonowego z r. 1219, nie budzą żadnych podejrzeń, przeciwnie, noszą one wszelkie cechy dyplomatyczne z pocz. XIII w., w szczególności właściwe dokumentom biskupa Iwona. Dyktat jego nie razi żadnym anachronizmem, nie zawiera żadnych zwrotów ani wyrażeń niezgodnych z duchem czasu; zwięzły i prosty styl, znany z innych dokumentów Iwonowych, stanowi ważne znamię jego autentyczności. Z ważniejszych formuł, ten typ inwokacyi jest wówczas najczę-

[1] Rzyszcz. Muczk. Cod. dipl. Pol. t. III, nr. 7.

[2] Kod. dypl. Mpol. t. II, nr. 385. Wydawca tego kodeksu mylnie przenosi datę tego dokumentu na r. 1220, wychodząc z fałszywego założenia, że jeden ze świadków, Pęcław, kustosz krakowski nie mógł jeszcze w r. 1219 sprawować tej godności kapitulnej, bo w r. 1220 (Kod. mogil. nr. 1) występuje jako kustosz Herman. Otóż Piekosiński nie zwrócił uwagi na to, że ów Herman był kustoszem u św. Michała (por. Kmp. I. nr. 9 i 12) a nie katedralnym.

[3] Kod. mog. nr. 2.

[4] Tamże, nr. 3.

[5] Rzyszcz. Muczk. t. I. nr. 18.

[6] KKK. t. I. nr. 21.

[7] Kod. mog. nr. 9.

ściej w użyciu, taki mają też cztery z wyżej wymienionych dokumentów Iwona[1]. Również intytulacya singularna, zaczynająca się od zaimka »Ego«, jest w tych czasach jeszcze regułą i tylko dwa dokumenty biskupa Iwona posiadają intytulacyę pluralną[2], lecz oba znane są z kopii, w której już późniejszy przepisywacz mógł dokonać przemiany wyszłej w jego czasach z użycia formy singularnej na powszechne później »majestaticum«. Salutacya, jakkolwiek należy do rzadszych formuł dyplomatycznych, nie obcą jest jednak dokumentom osób duchownych tych czasów[3]. Komminacya, zawierająca klątwę, przy końcu transsumptu, stanowi również cechę współczesnych dokumentów i w zbliżonem brzmieniu występuje w innych dokumentach biskupa Iwona[4].

Szczegóły chronologiczne transsumptu również nie wykazują żadnej sprzeczności, a rzetelność ich łatwo można sprawdzić. I tak biskupa Maura trafnie nazywa Iwo siódmym z rzędu swoim poprzednikiem, licząc wstecz od swego bezpośredniego antecessora[5], jak to wówczas było w zwyczaju. Podobnie biskup poznański Benedykt (ok. r. 1190) określił Radwana, jako piątego swego poprzednika[6]. Datacya transsumptu składa się z kilku znamion chronologicznych na określenie roku, co jest szczególnie charakterystyczną cechą dokumentów Iwonowych[7]. Epakta III i konkurrenta I, zgadzają

[1] Z lat 1213, 1222, 1227 i 1228.

[2] Z lat 1219 i 1228.

[3] Por. dok. biskupa krak. Pełki z r. 1192 (KM. I. nr. 3), Wincentego Kadłubka z r. 1210 (Ib. II. nr. 386), biskupa płockiego Guntera z r. 1227 (Ib. II. nr. 392), arcyb. Pełki z r. 1233 (RM. II[1], nr. 15), etc.

[4] Z lat 1219 i 1229.

[5] Okazuje się to z następującego zestawienia:
7) Maurus, 1109—1118.
6) Radost, 1118—1142.
5) Robert, 1142—1144.
4) Mateusz, 1144—1166.
3) Gedko, 1166—1185.
2) Pełka, 1186—1207.
1) Wincenty, 1207—1218.
0) Iwo, 1218—1229.

[6] Por. moją rozprawę: Nieznane nadania na rzecz opactwa jędrzejowskiego z XII w. Kwart. hist. z r. 1910, str. 84.

[7] Por. np. dokument biskupa Iwona z r. 1227 (RM. t. I. nr. 18), który prócz daty »ab incarnatione« podaje — podobnie jak nasz transsumpt — epaktę, konkurrentę i rok pontyfikatu wystawcy.

się z rokiem 1219. Jako datę pontyfikatu podaje transsumpt rok pierwszy. Otóż Katalogi biskupów krakowskich i Rocznik kapitulny krakowski kładą jego konsekracyę pod rokiem 1218, bez bliższego jednak określenia pory, w której zasiadł na stolicy biskupiej [1]. Ponieważ jednak na ten sam rok przypadła rezygnacya poprzednika jego, Wincentego i Kadłubka, z godności biskupiej, oraz podróż Iwona do Rzymu [2], przeto przyjąć trzeba, że konsekracya jego odbyła się w drugiej już połowie roku 1218, a w takim razie w dniu wystawienia transsumptu, 15 sierpnia 1219, mógł jeszcze trwać pierwszy rok pontyfikatu Iwona [3].

Najważniejszym jednak probierzem autentyczności transsumptu Iwonowego są świadkowie, wszyscy znani ze współczesnych dokumentów, choć w żadnym z nich kapituła krakowska nie występuje w tak pełnym jak tu komplecie: sześciu dygnitarzy i 17 kanoników bez godności [4]. Przyjrzyjmy się im bliżej i określmy na podstawie innych dokumentów ich chronologię w celu stwierdzenia ich współczesności.

Z dostojników kapitulnych wymienieni są w transsumpcie Iwonowym w porządku następujące osoby:

1) Wisław występuje jako dziekan już w r. 1206 (RM. I. nr. 7) i sprawuje tę godność do r. 1229, w którym postąpił na katedrę biskupią w Krakowie (KMp. I. nr. 12).

2) Bogufał był proboszczem w latach 1206—1228 (KKK. I. nr. 11 i 29).

3) Andrzej sprawuje archidyakonat w latach 1206—1219 (RM. I. nr. 7. — KM. II. nr. 385).

4) Benedykt był scholastykiem w latach 1206—1224. (RM. I. nr. 7. — Rocz. kap. krak. MP. t. II. s. 802).

5) Wawrzyniec jako kantor występuje w latach 1206—1222 (RM. I. nr. 7. — K. mog. nr. 2).

6) Pęcisław (Pęcław) z godnością kustosza występuje w latach 1219—1230 (KM. II. nr. 385. — K. mog. nr. 10).

[1] Mon. Pol. t. II. str. 802, t. III. str. 329.

[2] Por. Długosz, Hist. Pol. t. II. str. 206. Szczegóły wiarygodne z nieznanego źródła. Zob. Al. Semkowicz, Krytyczny rozbiór, str. 214.

[3] Konsekracya jego odbyła się widocznie jeszcze przed 28 września 1218 r., gdyż dokument z r. 1227, mający tę datę dzienną, wspomina już o 10 roku pontyfikatu (RM. t. I. nr. 18).

[4] Najpełniejszy znany z tych czasów spis kanoników z r. 1222 (K. mog. nr. 2) wylicza tylko 14 kanoników kapitulnych.

Z kanoników, niesprawujących dostojeństw, wymienieni są w naszym dokumencie:

1) Wojko, 1212—1219 (KKK. I. nr. 8. — KM. II. nr. 385).
2) Radulf, 1214—1222 (KM. II. nr. 383. — K. mog. nr. 2).
3) Błażej, 1206—1222 (RM. I. nr. 7. — K. mog. nr. 2).
4) Marcin, 1212—1220 (KKK. I. nr. 8. — K. mog. nr. 1).
5) Jan, 1212—1222 (KKK. I. nr. 8. — K. mog. nr. 2).
6) Doman, 1219—1235 (KM. II. nr. 385. — Tamże, nr. 413).
7) Wychardus jako kustosz kielecki występuje w dokum. z r. 1212 (KM. I. nr. 19); czy jednak w obu wypadkach nie jest to tylko pomyłka zamiast »Richardus«, który jako kanonik krakowski występuje w latach 1210—1222. (KM. II. nr. 380. — K. mog. nr. 2).
8) Stefan, 1206—1228 (RM. I. nr. 7. — KKK. I. nr. 21).

Tych ośmiu kanoników było prawdopodobnie presbyterami, jak okazuje porównanie z dokumentem z r. 1222, gdzie niektórzy z nich są wymienieni wedle stopni święceń[1].

Następuje czterech kanoników dyakonów:

9) Trojan, 1210—1236 (KM. II. nr. 380. — RM. I. nr. 26).
10) Piotr, 1212—1224 (KKK. I. nr. 8. — Tamże, nr. 13).
11) Gaudenty, 1212—1220 (KM. I. nr. 15. — K. mog. nr. 1).
12) Grzegorz, 1219—1235 (jak wyżej, pod nrem 6).

Ostatnich pięciu, to zapewne kanonicy-subdyakonowie:

13) Wit, 1212—1222 (jak wyżej, pod nrem 7).
14) Mikołaj, 1206—1228 (jak wyżej, pod nrem 8).
15) Gocwin, 1210—1222 (jak wyżej, pod nrem 7).
16) Zawisza, 1214 (KM. II. nr. 383).
17) Robert, 1220—1222 (K. mog. nr. 1. — Tamże, nr. 2).

Zarówno więc kryterya formalne, jak i świadkowie, znani z współczesnych dokumentów, stwierdzają autentyczność transsumptu biskupa Iwona.

Nierównie trudniejszą jest ocena autentyczności dokumentu biskupa Maura, brak nam bowiem zupełnie współczesnego materyału porównawczego, dlatego wnioski z formalnej jego strony wysnute, nie mogą być zupełnie pewne i ścisłe.

Dokument ten odznacza się przedewszystkiem nader prostą budową dyplomatyczną, ubóstwem formuł, z których posiada tylko intytulacyę i sankcyę. Całą niemal osnowę stanowi tu dyspozycya

[1] K. mog. nr. 2. Dokument ten wymienia ich tylko pięciu.

odznaczająca się krótkim, lapidarnym stylem, pozbawionym zupełnie frazesów i wszelkich ozdób retorycznych. Szczególnie charakterystyczną i wysoce archaiczną jest króciutka anatema, zjawiająca się w podobnej formie jeszcze niekiedy w drugiej połowie XII w.[1]. Tą formą swą odbiega przywilej pacanowski zarówno od późniejszych dokumentów polskich, jak i od współczesnych mu okazów nawet prywatnej dyplomatyki zachodniej, mających w tym czasie już dobrze rozwinięte formy dyplomatyczne.

Wewnętrznej prostocie tekstu odpowiadała niewątpliwie zewnętrzna forma dokumentu Maura. Konfirmacya Iwona uzasadnia konieczność jego odnowienia względem na *„ineruderatam formam... simplicis et rustice antiquitatis“*, przyczem ani słowem nie wspomina o pieczęci, której też prawdopodobnie nie było wcale.

Wszystkie te kryterya, tak wewnętrzne, jak zewnętrzne, świadczą za autentycznością przywileju pacanowskiego, który był typowym okazem dokumentu prywatnego z epoki jego upadku[2], która na Zachodzie przypada na wiek X i XI, u nas zaś przetrwała dłużej, prawie do końca wieku XII. Dyplom formalny stracił w tym czasie znaczenie środka prawnie dowodowego, a w ślad za tem zeszedł do rzędu prostego, nieuwierzytelnionego aktu, którego celem było jedynie zachowanie danego zdarzenia w pamięci. Ten cel nie wymagał oczywiście form ani zewnętrznych, ani wewnętrznych, nie potrzebował też legalizacyi ze strony wystawcy, a cały jego walor tkwił w końcowej maledykcyi, obowiązującej jedynie w sferze sumienia religijnego.

Otóż przypuszczam, że tak było i w naszym wypadku. Przy poświęceniu kościoła w Pacanowie biskup i patron poczynili nadania dziesięcinne, które spisano współcześnie na kawałku pergaminu na wieczną pamiątkę, aby każdoczesny pleban wiedział, co mu się należy ze stołu biskupa i dziedzica, na zabezpieczenie zaś swych praw miał w zanadrzu na piśmie anatemę biskupią. W zwyczajnych warunkach mogło to wówczas wystarczyć i niewątpliwie wystarczało, ale na wypadek procesu, taki akt nieuwierzytelniony, pozbawiony był zgoła wartości i znaczenia dowodowego, tembardziej, jeśli nie było w nim wymienionych świadków czynności nadawczej, którzy w razie potrzeby mogli zaświadczyć jej dojście do skutku.

[1] Por. dokument Benedykta, biskupa poznańskiego z ok. r. 1190. KWp. nr. 29.
[2] Bresslau H., Urkundenlehre, t. I. str. 500 nast.

Za wzorem Zachodu dokument formalny zaczął sobie u nas w ciągu XII w. zdobywać uznanie i prawo obywatelstwa, tak, że w początkach XIII w. już taki akt, pozbawiony form i nieuwierzytelniony pieczęcią, odbiorcy nie wystarczał. Wyraźnie podkreśla to transsumpt biskupa Iwona, że dokument Maura z powodu nieokrzesanej formy *(ineruderatam formam privilegiorum)* stał się dla kościoła pacanowskiego nieprzydatny. Dlatego były kanclerz książęcy, bywalec we Włoszech, ojczyźnie dyplomu, znawca zachodniej dyplomatyki, zastąpił stary przywilej nowym, *eruderatiori cirographo*[1], jak się znamiennie wyraża, a uczynił to w formie transsumptu, u nas jeszcze podówczas dość rzadkiej.

Do każdego transsumptu zwracamy się zwykle z pewną nieufnością, bo to był istotnie najdogodniejszy i najczęstszy sposób przemycania falsyfikatów. W naszym jednak wypadku nic nie budzi podejrzenia, a prostota budowy i lakoniczność stylu, właściwe dokumentowi Maura, byłyby już w czasach biskupa Iwona niemożebne.

Rozpatrzmy z kolei materyał faktyczny, zawarty w dokumencie biskupa Maura i starajmy się wyciągnąć zeń wnioski ogólniejszej natury.

Niektórych kwestyi, zwłaszcza tyczących się stosunków kościelnych, dotknął już przedemną znalazca i pierwszy wydawca omawianego dokumentu, ks. dr. Kozicki, oraz dr. Zachorowski w pracy *Początki parafii polskich*. Ten ostatni zwrócił uwagę, że dokument Maura zawiera jednę z najdawniejszych wzmianek o kościołach wiejskich w Polsce[2]. Datę erekcyi kościoła określa ks. Kozicki na rok 1109 na tej podstawie, że rok ten podają akta wizytacyi[3], skąd Sz. autor wnosi, że była ona zapewne wypisana *in verso* transsumptu Iwonowego. Otóż nadmienić trzeba, że powołane wizyty określają rok tylko w przybliżeniu *(circa a. 1109)*; lecz choćby nawet ta data figurowała *in dorso* konfirmacyi biskupa Iwona, to przypuścić należy, że wpisano ją tam nie współcześnie, ale dopiero później, jako znaną

[1] Wyraz ten, oznaczający właściwie szczególny rodzaj podwójnych dokumentów, jest tu użyty niewątpliwie w ogólnem znaczeniu »dokumentu«.

[2] L. c. str. 13.

[3] Wizyta Małachowskiego z r. 1699: »ecclesia parochialis *circa* annum 1109 partim ex lapide, partim ex lateribus edificata, ad petitionem heredis Seminiani a Mauro episcopo Crac. consecrata (Acta Visit. t. XIV, p. 196). Wizyta Poniatowskiego z r. 1783 wspomina o dokumencie Maura z r. 1109, ale powołuje się na oblatę w aktach konsystorza krak. (Acta Visit. t. LVI, p. 4).

z roczników początkową datę episkopatu Maura (1109—1118). Zresztą dacie 1109 sprzeciwia się ta okoliczność, że dzień konsekracyi obchodzono w kościele pacanowskim w pierwszą niedzielę po św. Bartłomieju[1] (24 sierpnia), która przypadała najpóźniej na 30 sierpnia, podczas gdy poprzednik biskupa Maura, Baldwin, zmarł dopiero 7 września 1109[2]. Konsekracya kościoła pacanowskiego przez biskupa Maura mogła się przeto odbyć najwcześniej z końcem sierpnia 1110 r., gdy zaś biskup Maurus zmarł dnia 5 marca 1118 r.[3], jako termin *ad quem* przyjąć zatem należy sierpień r. 1117.

Dr. Zachorowski, powołując się na dokument Maura, zwrócił uwagę na uwidoczniający się w nim stosunek terytoryum dziesięcinnego do późniejszego terytoryum parafialnego i wysnuł stąd wniosek o wpływie czynnika czysto kościelnego, dziesięcinnego, na tworzenie się organizacyi parafialnej w Polsce. Moment własności prywatnej (rodowej), który autor wykazał w innych wypadkach, tu zdaje się on wyłączać, w każdym zaś razie przypisuje mu rolę podrzędną, wysuwając na pierwszy plan czynnik kościelny[4]. Sprawa ta domaga się bliższego rozpatrzenia na tle stosunków rodowo-własnościowych, punktem zaś wyjścia dla tych badań będą wymienione w dokumencie miejscowości oraz osoba patrona kościoła św. Marcina — Siemiana.

Około tej postaci skupia się głównie nasza uwaga, choćby z tego względu, że jest to najdawniejszy znany u nas świecki patron kościelny[5]. Że zaś prawo patronatu wyrosło na gruncie własności prywatnej[6], a ta znów ściśle związana była z stosunkami rodowymi, więc przedewszystkiem nasuwa się pytanie: kto był ów Siemian, z jakiego pochodził rodu i w jakim stosunku pozostawał do wymienionych w dokumencie Maura włości, z których dziesięciny przeznaczał biskup na rzecz kościoła w Pacanowie? Ciekawość naszą w tym względzie potęguje okoliczność, że mamy tu do czynie-

[1] Acta Visit. t. LVI. p. 4.

[2] Rocznik i kalendarz krak. Mon. Pol. II. s. 797 i 930.

[3] Tamże, str. 797 i 915.

[4] L. c. str. 22.

[5] Pierwszą wyraźną wzmiankę o patronach we właściwem znaczeniu mieliśmy dotąd dopiero w bulli papieża Celestyna III. z r. 1193 dla klasztoru św. Wincentego we Wrocławiu. Por. Abraham, Początki prawa patronatu w Polsce, Przegl. pr. i adm. z r. 1889, str. 595.

[6] Abraham, l. c. str. 593 nast.

nia z osobą bezwątpienia znaczniejszą, żyjącą w samych początkach XII w., z których to czasów znanych nam ludzi na palcach moglibyśmy policzyć.

Na naszego Siemiana zwrócił już uwagę nieodżałowany nasz uczony prof. Potkański, w niedrukowanej dotąd pracy p. t. »Ród Nagodziców«, którą przedstawił na posiedzeniu Wydziału hist. filoz. Akad. Umiej., d. 18 marca r. 1907, a króciutkie tylko streszczenie podał w »Sprawozdaniach z posiedzeń«. Mając możność korzystać z tej niezmiernie ciekawej i ważnej pracy w rękopisie, poczuwam się do obowiązku uwzględnić te wyniki badań Potkańskiego, które łączą się z tematem niniejszych rozważań.

Potkański rzucił pomysł, że ów Siemian mógłby być członkiem rodu Nagodziców-Jelitów, czyli Koźlichrogów. Pomysł taki nasuwają dwie okoliczności:

1) W księdze konfraterni lubińskiej zapisano przy końcu XII w. imię Siemiana Dziwiszowica [1]. Imię Dziwisz, skrócone z Dziwigor, a odpowiadające kościelnemu imieniu Dyonizy, było rodowem u Nagodziców, a w innych rodach prawie nieużywanem [2]. Jeden z tych Dziwiszów, proboszcz szkalmierski, żyjący w pocz. XV w., pisze się »z Pacanowa« [3]. Otóż ów Siemian Dziwiszowic z końca XII w., niewątpliwy Nagodzic, mógłby być wnukiem naszego Siemiana, patrona pacanowskiego.

2) Pacanów za czasów Długosza należał do Nagodziców [4].

Mimo tak ponętnych danych do wysnucia wniosku, że Siemian z dokumentu biskupa Maura pochodził z rodu Nagodziców, Potkański, niezmiernie (powiem — nadmiernie nieraz) ostrożny w konstrukcyi historycznej, odrzucił ten pomysł i wolał »zostawić tych Siemianów tak jak są, tj. nie łączyć ich z sobą, choć się to może wydać ponętnem«. Na uzasadnienie takiej konkluzyi podał Potkański najpierw ogólną metodyczną wskazówkę, że »nie należy w ogóle zbytnio unie-

[1] Mon. Pol. t. V. str. 580. Wydawca tej księgi kładzie datę 1170. Ponieważ jednak przed Siemianem zapisany jest Odo (Mieszkowicz) z żoną i synami, których miał dwóch, przeto ze względu na datę urodzenia drugiego jego syna Ottona, mianowicie rok 1191 lub 1192 (Balzer, Genealogia Piastów, str. 224) trzeba przesunąć czas wpisania kommemoracyi na sam koniec XII w.

[2] Zwrócił na to uwagę już Piekosiński: Rycerstwo Pol. t. II. str. 248. Podzielał to zapatrywanie Potkański w cyt. rozprawie.

[3] Piekosiński, Zapiski sandomierskie, nr. 76, 162, 315, 1009.

[4] Długosz, Lib. Beneficiorum, t. II, str. 422.

ruchomiać stosunków średniowiecznych; lat trzysta (*sic*), to zbyt długi okres, aby módz powiedzieć, że i w pierwszych latach XII w. ci sami Nagodzice mieszkali w Pacanowie«. Ten negatywny wniosek autora »Rodu Nagodziców«, opiera się na dwóch przesłankach:

1) Że imię Siemian poza tym jednym przykładem z księgi lubińskiej — o ile można sprawdzić — już więcej w tym rodzie się nie powtarza.

2) Że w r. 1219, t. j. w czasie wydania transsumptu Iwonowego dziedzicem Pacanowa i patronem kościoła był komes Pakosław, na którego prośbę biskup Iwo transsumował dokument Maura. »Jest to — słowa autora — dobrze znany z dokumentów współczesnych komes Pakosław Stary. Należał on do rodu Habdanków, jak samo imię wskazuje i pieczęć, na której widnieje znak tego rodu« [1]. Dodaje w końcu Potkański, że »związać z sobą oba te rody (Nagodziców i Habdanków) nie jesteśmy w możności, wszelkie też kombinacye i domysły w tym względzie na nicby się nie przydały«.

Tego zapatrywania zasłużonego badacza naszej przeszłości podzielać nie mogę, i uważając naszego Siemiana za Nagodzica, sądzę, że jest on istotnie protoplastą późniejszych Pacanowskich.

Przedewszystkiem imię Siemian było u Nagodziców, przynajmniej do końca XIII w., rodowem, i prócz owego Dziwiszowica z księgi lubińskiej, dadzą się wykryć inni Nagodzice tegoż imienia. I tak u schyłku wieku XIII występuje Siemian »de Glow«, który w roku 1279 sprawował urząd podczaszego krakowskiego, a w roku 1290 stolnika krakowskiego [2]. Otóż »Glow« to niewątpliwie osada »Głowo« w ziemi łęczyckiej, nad rzeką Swonką, w parafii Gieczno [3]. Leży ona właśnie na linii rozsiedlenia Nagodziców, między Gajem a Modrzewiem, także osadami Nagodziców [4]. Z tego to Głowa wyszła zapewne rodzina Głowów h. Nagody, która w XV w. przeniosła się

---

[1] W notce nadmienia Potkański, że idzie w tym względzie zupełnie za zdaniem Piekosińskiego, iż »Pakosławy nie są Lisy, lecz Habdanki, a imię Pakosław, stale się w tym rodzie powtarzające, uznać należy za rodowe«.

[2] Kod. kat. krak. t. I. nr. 82 i Kod. wpol. t. II. nr. 516. W tym ostatnim dokumencie występuje on w towarzystwie dwóch Floryanów, także Nagodziców. Za członka tego rodu uważał go też Piekosiński, l. c. str. 213.

[3] Słownik geograficzny Król. Pol. »Głowo«.

[4] Paprocki zalicza dziedziców tych wsi do Nagodziców. »Herby ryc. pol.« str. 267 i 270.

w Pilznieńskie (gdzie założyła osadę Głowów) i dalej na Ruś[1]. Znamy nadto kilka wsi o nazwach urobionych z imienia Siemian, które pozostają niewątpliwie w związku z Nagodzicami. I tak w okolicy Kutna i Gostynina mamy na przestrzeni około 4 mil dwie wsie o nazwie »Nagodów«, a w ich sąsiedztwie Siemiony, Siemianów i Siemianice. Wszystkie te wsie leżą na linii rozsiedlenia Nagodziców, w pobliżu innych wsi tegoż rodu (Kotowa, Gaju i Dębowej góry)[2]. Nadto Potkański zwrócił uwagę, że osada śląska pod Krzyżborkiem, zwana dziś Ludwigsdorf, zwała się dawniej Nagodowice. Otóż w pobliżu niej (ok. 3 mile) leży wieś Siemianice (pod Bolesławcem).

Wszystko to wskazuje na ścisły związek imienia »Siemian« z rodem Nagodziców i każe uznać to imię u nich za rodowe. Że i Siemian z dokumentu biskupa Maura był Nagodzicem, przemawia za tem ta okoliczność, iż był patronem kościoła św. Marcina, a więc i dziedzicem Pacanowa, w którym w dwa (nie trzy, jak utrzymywał Potkański) wieki znów spotykamy się z tym rodem. Oto z początkiem XIV w. żyje Piotr z Mokrska i P a c a n o w a, kasztelan małogojski (1306—1310), później wiślicki (1315), wreszcie sandomierski (1317—1328), ojciec biskupa Floryana z Mokrska, notorycznego Nagodzica[3].

Chodzi o to, czy możemy naszego Siemiana łączyć genealogicznie z tym Piotrem i upatrywać ciągłość w dziedziczeniu Nagodziców na Pacanowie. Śp. Potkański przestrzega przed unieruchomianiem stosunków średniowiecznych — w zasadzie słusznie, choć z drugiej strony, jeśli chodzi o to, co uważać za regułę w tych czasach: czy tendencyę do zmiany w stosunkach własności ziemskiej, czy przeciwnie dążność do utrzymania ich stałości, to przyjąłbym raczej ten drugi pogląd, pomny na siłę średniowiecznych związków krwi, przywiązanie do ziemi rodowej i prawną jej ochronę

[1] Paprocki, l. c. str. 269 oraz Boniecki, Herbarz szlachty pol. pod »Głowowie«.

[2] Na ten szczegół nie zwrócił uwagi Potkański.

[3] Zob. o nim Piekosińskiego, Rycerstwo małopolskie, t. I. str. 256. — Por. nadto Kod. małop. t. I. nr. 175, gdzie występuje nasz Piotr w dokumencie, znanym tylko z dwóch błędnych kopii, z których w jednej podany jest jako Petrus castellanus »dictus Paczn«, w drugiej »dictus Pacemus«. Podzielam zdanie Piekosińskiego (l. c.), że tu mowa o Pacanowie, w którym niebawem znów widzimy notorycznych Nagodziców (od r. 1397 Dziwisz z Pacanowa, prepozyt szkalmierski. Zap. sandomierskie, nr. 76, 162, 315 etc.). — O tem, że Piotr był ojcem biskupa Floryana, zob. MPol. t. II. str. 912. — O pochodzeniu biskupa Floryana, zob. MPol. t. III. str. 370.

w postaci prawa bliższości. Mnogie są też przykłady, że własność ziemska, zwłaszcza u większych rodów, trwała nieraz przez szereg wieków, a możnaby przytoczyć wiele dowodów na to, że rody, których członkowie występują w danych miejscowościach w wieku XII, trzymają je jeszcze w swem władaniu w XV, ba nawet w XVI i XVII stuleciu [1]. W każdym poszczególnym wypadku trzeba przeto rzecz badać z osobna.

Co do Pacanowa, to pozorną przeszkodę w upatrywaniu ciągłości dziedziczenia Nagodziców między Siemianem z pocz. XII w. a Piotrem z pocz. XIV w. stanowi ów Pakosław, na którego prośbę biskup Iwo transsumował przywilej Maura. Potkański uważał go za Habdanka i utożsamiał nawet ze znaną postacią współczesną, Pakosławem Starym, synem Lasoty. Przyjmując to przypuszczenie, nie musimy równocześnie uważać Pakosława za dziedzica Pacanowa. W dokumencie występuje on w roli interwenienta, a wiadomo, że na interwenientów upraszano zazwyczaj właśnie osoby wpływowe i znaczne. Jeśli przeto nasz Pakosław jest identyczny z Pakosławem Starym-Habdankiem [2], to z tej okoliczności, że wstawiał się u biskupa Iwona za kościołem pacanowskim, nie ma powodu wysnuwać wniosku, że był dziedzicem Pacanowa, a nawet patronem kościoła św. Marcina. Mógł być zresztą Pakosław-Habdank współpatronem kościoła i z tego tytułu interwenientem w dokumencie Iwonowym. Pod samym Pacanowem, w Karsach i Książnicach, spotykamy w połowie XV w. Habdanków [3]. Karsy należą do parafii pacanowskiej, więc z tego tytułu mogli mieć Habdanki współpatronat kościoła. Lecz oni są w tych stronach niewątpliwie przybyszami, i to przyżeńcami, pochodzą bowiem z Sudołu i Budziszowic [4] pod Skalbmierzem, gdzie było główne gniazdo małopolskich Habdanków (Skalbmierz od Skarbimirza, imienia Habdanków). Skłaniałbym się nawet do przypuszczenia, że także posiadłości Nagodziców w okolicy Skalbmierza i Działoszyc mogły być przez nich nabyte drogą przyżenku. Na związki rodzinne między Habdankami a Nagodzicami, i to już wczesne, bo

[1] Np. Toporczycy w okolicy Tęczyna, Odrowąże w okolicy Końskiego, Łabędzie — Skrzynna, Pałuki — Łekna, Leszczyce — Łabiszyna i Pakości etc.

[2] Zwracam uwagę, że prócz Pakosława Starego żyło współcześnie jeszcze dwóch innych Habdanków tego imienia: Pakosław Młodszy Wojciechowicz i Pakosław Włostowicz. Zob. o nich artykuł Dra Łodyńskiego w Mies. herald. z r. 1911 zesz. 5/6,

[3] Długosz, Lib. Ben. t. II. str. 421, 422.

[4] Długosz, l. c. i Boniecki pod Książnickimi.

pocz. XIII w. sięgające, wskazywałaby wymiana imion rodowych. Tak np. Floryan, jedno z najbardziej typowych imion u Nagodziców, pojawia się w tym czasie także u Habdanków: nosi je brat rodzony Pakosława Młodszego, a stryjeczny Starego [1]. Naodwrót mogło imię Pakosław dostać się przez kobiety od Habdanków do Nagodziców, i Pakosław z dokumentu Iwona mógłby być nawet Nagodzicem, a niekoniecznie Habdankiem [2]. Nie jest to imię w tym czasie już wyłącznie Habdankom tylko właściwe, lecz spotykamy je u innych nadto rodów, na Śląsku [3] i na Mazowszu [4]. Tylko wielkopolskich Pakosławów uważać trzeba za Habdanków, bo tam w okolicy Lubinia było pierwotne ich gniazdo.

Z rozważań tych wynika, że Pakosław z r. 1219 nie powinien wchodzić w drogę Nagodzicom pacanowskim i nie ma powodu przypuszczać, że Pacanów w tym czasie był w ręku Habdanków, przeciwnie, jest wysoce prawdopodobnem, że między Siemianem z pocz. XII w., a Piotrem i jego następcami z XIV i XV w., dziedziczył na Pacanowie cały łańcuch nieznanych nam bliżej Nagodziców. Z pośród licznych Floryanów, których w XIII w. spotykamy w ziemi krakowskiej i sandomierskiej, zapewne niejeden był także rodem z Pacanowa. Niestety źródła z tych czasów nie podają nam jeszcze miejsca pochodzenia osób stanu rycerskiego i stąd pochodzi nasza niepewność w określaniu rodowem jednostek.

Wykazanie, że Nagodzice dziedziczyli na Pacanowie już co najmniej od poczatku XII w., osłabia w znacznej mierze tezę Potkańskiego, upatrującą pierwotne gniazdo tego rodu nie w Małopolsce, ale w Sieradzkiem, w okolicy Rozprzy. Polemikę z wywodami zasłużonego badacza, zanim praca jego zostanie ogłoszona, uważam za rzecz niepożądaną — może mi to danem będzie uczynić w innym czasie i na innem miejscu. Tu tylko ogólnie zauważę na podstawie własnych badań nad tym rodem, że: 1) w odniesieniu do Rozprzy ani jedna wzmianka o osiedleniu w tej okolicy Nagodziców nie może się równać pod względem starożytności z dokumentem Maura, stwier-

---

[1] Kod. mp. t. I. nr. 24.

[2] Przychodzi tu na myśl, co niech rozstrzygną filologowie, że nazwa Pacanów, pierwotnie zawsze Paczonów, może pochodzić od Pakosława = Paczona. Zwracam uwagę, że w dokumencie Maura osada ta nie ma jeszcze nazwy, która pojawia się dopiero w dokumencie Iwona z r. 1219 wraz z Pakosławem.

[3] Pakosław Henrykowicz de Slesia. Kod. mog. nr. 12.

[4] Pakosław z Żyromina. Kod. mazow. nr. 10.

dzającym ich osadnictwo w Małopolsce już na pocz. XII w., 2) że gniazdo rozpierskie przedstawia się tylko jako ogniwo w łańcuchu osadniczym Nagodziców [1], który się ciągnie od Pacanowa (gniazdo) w kierunku płn. zach. przez Szczaworzysz, Żerniki i Widuchową do Mokrska nad Nidą (gniazdo), skąd wysyła gałąź secygniewską na południe, dalej przez Bizorędę pod Chęcinami i Małogoszczą ku Węgleszynowi (gniazdo), skąd znów ramię południowe przez Kępie do Witowic Pieniążków (gniazdo). Dalej przez Mnin, Pilczycę i Czermno, skąd jedna gałąź idzie pod Żarnów (Skórkowice, Dziebałtów), zmierza ten łańcuch osadniczy Nagodziców do Majkowic pod Przedborzem nad Pilicą, gdzie wznoszą się do dziś dnia potężne zwaliska zamku Floryana Szarego, Surdega. Tu poczyna się obszerniejsze gniazdo rozpierskie, które otacza ten gród od południa i zachodu, przechodząc ku północy znów w łańcuch, ciągnący się w tym kierunku wzdłuż wschodniej granicy ziemi łęczyckiej aż po Kutno i Gostynin. Na terytoryum łęczyckiem osadnictwo Nagodziców ma przeto widocznie charakter »pograniczny«, jak znów ich osadnictwo pod Rozprzą, Żarnowem i Małogoszczą, zdaje się być w związku z tymiż grodami [2].

Gniazdo pacanowskie jest w tym osadniczym łańcuchu końcowem ogniwem, wysuniętem najdalej na południe. Czy i najstarszem, jakby z chronologii dokumentów wnosić można — tego na razie nie twierdzę, jakkolwiek wydaje mi się to wcale prawdopodobnem.

Położenie i rozmieszczenie osad w gnieździe pacanowskiem możemy poznać dopiero na podstawie działów rodzinnych z pocz. XV w. oraz Długosza *Liber Beneficiorum* [3]. Znamy dwa działy rodzinne, jeden z r. 1419, przekazany w Paprockiego »Herbach rycerstwa polskiego« [4], drugi z r. 1432, który znalazłem w aktach wiślickich, przechowanych w Archiwum głównem w Warszawie [5].

W pierwszym z tych działów, który czynią synowie Floryana z Mokrska, P a c a n ó w, N i e g o s ł a w i c e, Rataje i Szczucin [6] dostały się Floryanowi. W drugim dziale, między Floryanem z Mokrska

---

[1] Na to zjawisko nie zwrócił uwagi śp. Potkański w swej pracy.
[2] Potkański wykazał to tylko w odniesieniu do Rozprzy.
[3] Długosz, Lib. Benef. t. II. str. 422—426.
[4] Paprocki, Herby ryc. pol. str. 257.
[5] Tom VI. pag. 178v.
[6] W tekście Paprockiego mylnie Schuchczyn.

a Tomaszem i Janem z Secygniewa, pierwszy otrzymał dwór w Pacanowie *circa templum* z przynależnościami i niektóremi częściami miasta, nadto wsie: Wilkowyje, Górę i Sadowe; dwaj drudzy dostali niektóre części Pacanowa, Karsy, oraz 100 grzywien na Zgórsku. Wedle Długosza zaś do Floryana i Piotra Pacanowskich, synów stolnika krakowskiego, należy Pacanów, gdzie pewną część ma nadto Piotr Secygniewski, dalej Niegosławice, Szczeglin, Zgórsko, Żabiec, Słup, Wilkowyje i Czermno (Czyrnin)[1], nadto w Karsach dziedziczy wspomniany Piotr Secygniewski, a w Świniarach Jan Zakrzowski, wszyscy Nagodzice.

Zestawmy teraz wsie dziesięcinne kościoła pacanowskiego z dokumentu biskupa Maura z temi, które w XV w. wykryliśmy w posiadaniu Nagodziców w okolicy Pacanowa.

	Dok. Maura.	*Dział z r. 1419.*	*Dział z r. 1432.*	*Lib. Benef.*
1.	Pacanów	Pacanów	Pacanów	Pacanów
2.	Żabcze	—	—	Żabiec
3.	Zgórsko	—	Zgórsko	Zgórsko
4.	Niegosławice	Niegosławice	—	Niegosławice
5.	Górowo	—	Góra	—
6.	Gorakowo	—	—	—
7.	Szczeglino	—	—	Szczeglin
8.	Kwasowo	—	—	—
9.	—	Rataje	—	—
10.	—	Szczucin	—	Szczucin
11.	—	—	Wilkowyje	Wilkowyje
12.	—	—	Sadowe	—
13.	—	—	Karsy	Karsy
14.	—	—	—	Słup
15.	—	—	—	Czermno
16.	—	—	—	Świniary

Na ośm wsi, płacących w pocz. XII w. dziesięciny kościołowi w Pacanowie, sześć znaleźliśmy jeszcze w XV w. w rękach Nagodziców. Pozostają jeszcze dwie, Kwasowo, nie dające się później wykryć w ręku tego rodu i Gorakowo, co do której nie mamy pewności, czy nazwa jej później zaginęła, czy też jest ona identyczna

[1] Lib. Benef. t. II. str. 403.

z późniejszą Gorzakwią w parafii Gnojno, oddaloną tylko o 3 mile na płn. od Pacanowa. To ostatnie przypuszczenie jest prawdopodobne, bo wprawdzie w Gorzakwi samej nie znajdujemy później Nagodziców, ale siedzą oni w sąsiednich wsiach: Podstoli[1] i Jarząbkach[2], parafia Gnojno zaś, do której te wsie wraz z Gorzakwią należą, pobiera dziesięcinę z pewnych pól wsi Słup pod Pacanowem, należącej do Nagodziców[3]. Jest przeto rzeczą możliwą, że Gorakowo z dokumentu Maura — to Gorzakiew pod Gnojnem, która to wieś — zdaje się — była także kiedyś w posiadaniu Nagodziców.

Prof. Dr. Wł. Abraham wykazał w swej cennej pracy »O powstaniu dziesięciny swobodnej«[4], że osady i wsie, z których w XII w. płacono dziesięciny, należały głównie lub nawet wyłącznie do fundatora kościoła. Skoro w naszym wypadku fundatorem-patronem był Siemian Nagodzic, przyjąć trzeba, że on był właścicielem wymienionych w dokumencie Maura wsi dziesięcinnych, co potwierdza fakt, że prawie wszystkie pozostały w ręku Nagodziców aż do XV w. Kościół św. Marcina był tedy kościołem rodowym Nagodziców dla gniazda pacanowskiego, podobnie jak kościół w Łeknie dla terytoryum Pałuków[5]. Terytoryum kościelne, podlegające wówczas duszpasterswu pacanowskiemu, pokrywało się z gniazdem rodowem Nagodziców. Rozciągało się ono po obu brzegach Wisły, sięgając na lewym brzegu po Gorzakiew, a na prawym po Zgórsko. Otóż stwierdzić trzeba, że jest to obszar, pokrywający się w przybliżeniu z późniejszym dekanatem pacanowskim, czyli księżnickim. To samo zjawisko dostrzegliśmy na terytoryum Pałuków, gdzie również granice dekanatu łekneńskiego pokrywają się z gniazdem rodowem Pałuków[6]. Ponieważ zaś późniejsze okręgi dekanalne odpowiadają jak przypuszczać można, pierwotnym terytoryom parafialnym, widoczna przeto, że w pierwiastkowej organizacyi kościelnej, gniazda rodowe odegrały niepoślednią rolę. Nie wiemy, czy gniazdu pacanowskiemu odpowiadał także jakiś okręg administracyjny, np. ziemia, jak stwierdziliśmy na terytoryum Pałuków, gdzie gniazdo rodowe pokrywało się z ziemią. Obecność książęcego grodu, może nie w Pacano-

[1] Piotr de Podstole, Chęcińskie grodzkie, t. I. bez pag.
[2] Dziwisz a więc Nagodzic. Długosz, Lib. Ben. t. II. 444.
[3] Tamże, str. 444.
[4] Biblioteka warszawska, r. 1891, t. IV. str. 164.
[5] Por. moją pracę »Ród Pałuków«, str. 31.
[6] Tamże.

wie, lecz raczej w sąsiednim Słupie (= gród), zdają się stwierdzać okoliczne osady narokowe: Książnice, Świniary i Rataje. Byłaby w tem wskazówka, że klucz pacanowski, to nadanie książęce. Sąsiedztwo królewszczyzn (klucz stopnicki, połaniecki i korczyński), zdaje się ten domysł potwierdzać.

Natomiast późniejsza parafia pacanowska obejmowała tylko cząstkę obszaru gniazdowego, w najbliższej okolicy Pacanowa, mianowicie prócz Pacanowa wsie: Szczeglin, Kwasów, Niegosławice, Słup, Karsy, Rataje i Żabiec. Nie sięgała ona już na prawy brzeg Wisły i nie zawierała trzech wymienionych w dokumencie Maura wsi, bardziej od Pacanowa odległych: Góry, Gorzakwi i Zgórska, pomijając już inne w tych stronach osady, które z późniejszych źródeł powiodło się nam wykryć jako własność (niezawodnie już i dawniejszą) Nagodziców. Terytoryum parafii św. Marcina z czasów późniejszych, mogłoby odpowiadać innej jednostce administracyjnej, mianowicie opolu.

Na związek między parafią a opolem nie zwrócono u nas jeszcze dostatecznej uwagi i rzecz ta wymagałaby bliższego zbadania. Tu mimochodem tylko napomknę, że w ziemi lubelskiej, gdzie później niż w innych ziemiach polskich przeprowadzono organizacyę kościelną, reminiscencye tego związku organizacyi kościelnej z opolną trwają jeszcze do XV w. i przejawiają się na kartach ksiąg sądowych. Jakkolwiek rzecz ta odbiega nieco od właściwego tematu, uważam za stosowne przy sposobności zużytkować w tem miejscu moje spostrzeżenia.

W Lubelskiem opole (vicinia) ma nieco odmienną nazwę: »osada«, żywo przypominającą analogiczną nazwę w Czechach, na oznaczenie tejże jednostki terytoryalnej[1]. »Osada« spełnia w Lubelskiem tę samą rolę, co w innych stronach Polski opole, więc przedewszystkiem świadczy w sporach granicznych, jak wskazują wzmianki: *„habent inducere ossada“*, *„ossadą mayą wywyeszcz inter Wanglowo et Czczennik“*, *„educit senes alias ossada“*[2]. Otóż w niektórych zapiskach tych czytamy: *„debet inducere parochiam vulgariter ossada“*[3]. Wyraźnie tu więc zidentyfikowano parafię z osadą czyli

[1] Lippert, Socialgeschichte Böhmens, t. I. s. 320. Wyraz »osada« w znaczeniu »opola« pojawia się sporadycznie w źródłach polskich z innych okolic. Por. np. dok. z r. 1224: de osada hii fuerunt presentes etc. Kod. kap. krak. nr. 14.

[2] Księga lubelska nr. 20696 f. 138ᵛ, 205 i 342 (Archiwum centr. w Wilnie).

[3] Tamże, pag. 137ᵛ.

opolem, w czem nowy dowód, że terytoryalna organizacya Kościoła w Polsce powstawała na zrębie gotowego już ustroju politycznego.

Dokument pacanowski rzuca także nieco światła na stosunki gospodarcze klucza pacanowskiego w pocz. XII w. Przedewszystkiem nader ciekawem zjawiskiem jest postać Mangolda z Kwasowa, którego imię nie pozostawia wątpliwości, że mamy do czynienia z — pierwszym znanym — kolonistą niemieckim w Polsce. Niebawem już, w bulli gnieźnieńskiej z r. 1136 pojawi się niemieckie imię Lederg[1], a od szóstego dziesiątka XII w. pierwsze wzmianki o »kolonach«[2]. Zwraca dalej naszą uwagę dziesięcina z ryb, cieląt, jagniąt, prosiąt i serów, którą patron Siemian zobowiązał się płacić na rzecz kościoła św. Marcina. Taką dań kościelną z płodów gospodarki pasterskiej spotykamy później, w drugiej połowie XII w., w postaci dziewięciny. Tak np. w uposażeniu klasztoru w Mogilnie z r. 1165 wymieniono między innemi „*nonum porcum, nonum poledrum, nonum piscem*“[3] a komes Nikor nadał w r. 1175 klasztorowi w Lubiążu, prócz pewnej ilości koni, wołów i krów, dziewiątą rybę (de lacu nonum piscem)[4]. Taka dziewięcina, względnie — jak w naszym wypadku — dziesięcina, świadczy o rozwiniętej gospodarce pasterskiej w niektórych okolicach Polski, szczególnie zaś w ziemi wiślickiej, gdzie jej dawne ślady nad średnią i dolną Nidą przechował najstarszy dokument poblizkiego klasztoru Johannitów w Zagościu.

2. Dwa przywileje księcia Bolesława Konradowicza z r. 1244 w przedmiocie nadania „prawa rycerskiego“.

Dokumenty, które poniżej po raz pierwszy drukujemy i objaśniamy, pochodzą z materyałów do »Kodeksu dyplomatycznego Mazowsza«, który wydać zamierza p. Jan K. Kochanowski w Warszawie. Ze względu na szczególną ich wartość historyczną, mianowicie dla kwestyi osadnictwa szlachty i prawa rycerskiego, p. Kochanowski

---

[1] Jan Rozwadowski, Bulla z r. 1137. Materyały i prace kom. językt. IV. str. 454.

[2] Por. moją pracę: Nieznane nadania na rzecz opactwa jędrzejowskiego z XII w. Kwart. hist. z r. 1910, str. 72.

[3] Kod. wpol. t. I. nr. 3.

[4] Büsching, Urkb. d. Klosters Leubus nr. 1.

udzielił mi życzliwie ich odpisów, z upoważnieniem naukowego zużytkowania, za co mu serdeczne składam podziękowanie. Dotychczas powoływał się na nie w jednej kwestyi, mianowicie kar sądowych, tylko p. M. Handelsman[1].

Oba dokumenty znane są tylko z transsumptów, i to nie w oryginałach przechowanych, ale w oblatach. Z tego względu badanie ich wymaga zdwojonej ostrożności, a reprodukcya tekstów nie może się obyć bez oczyszczenia ich z błędów i późniejszych nalotów.

Pierwszy dokument, w przedmiocie nadania Kiełbowa, przechował się w transsumpcie ks. Janusza II, wydanym w Ciechanowie d. 21 maja 1487 r. na prośbę szlachetnych: Stanisława i syna jego Jana; Macieja, Marcina, Jakuba, Piotra i Stefana, synów Ścibora; Pawła, Antoniego, Andrzeja i Mikołaja, synów Jana; Łukasza, Mikołaja i Jakuba, synów Piotra — dziedziców Kiełbowa, oraz Piotra ze Strożęcina. Transsumpt ten wpisano później do ksiąg metrycznych (t. VI. f. 202 v.), skąd też tekst inserowanego dokumentu Bolesława Konradowicza pochodzi[2].

Drugi dokument, tyczący się nadania Grochowarska, transsumował ks. Ziemowit III (IV), dnia 31 grudnia 1379 na prośbę dziedziców Grochowarska, rycerzy: Gotarda, Jakuba, Dziersława, Jakuba, Wisława, Jakusza Chamca, Wojciecha, Grzymisława i Henryka z wszystkimi braćmi ich z Grochowarska. Wpisany jest w akta płockie ziemskie wieczyste, t. 1—2, f. 40 v.

Oto tekst tych dokumentów:

I.

In nomine sancte et individue Trinitatis amen. Dignum est, ut in se benemeriti et in suis posteris principum beneficiis consolentur. Ego igitur Boleslaus. dei gratia dux Mazovie, tam presentibus quam futuris, presentium noticiam potituris, volo esse notum, quod de maturo consilio baronum suscepi meam in terram Mazouiam gratuite

[1] W pracy p. t. Kara w najdawniejszem prawie polskiem, str. 166 nast.

[2] Za skollacyonowanie tekstów niniejszych składam wyrazy wdzięczności Prof. Drowi Teodorowi Wierzbowskiemu, Dyrektorowi Archiwum Głównego w Warszawie

istos viros: Ratiborium et Albertum, bonos meos[1] servitores de terra Polonie et *de genelogia ista dicta Gelitho* cum scitu meo bono *et vocitatione Godlo Nagody et*[2] stabilivi eos in dicta terra mea Mazouia, dedi donavique eis et eorum legitimis successoribus imperpetuum meam hereditatem vulgariter nuncupatam Kelbowo in territorio Plocensi sitam, cum integritate omnium utilitatum, cum campis, agris, pratis, aquis, mericis, silvis et cum omni iure militali, sic quod predictos servitores Ratiborium et Albertum cum eorum posteris facio liberos et solutos a citatione iudiciisque palatinorum et omnium castellanorum meorum. Do etiam eisdem servitoribus meis cum eorum posteris ratione servitiorum ipsorum, que mihi ubilibet tam soliciter quam fideliter exhibere studuerunt, tollere facultatem penam pro furto et homicidio triginta marcas et a se daturi erunt. Huius rei hii testes sunt, qui tunc assessores mei fuerunt: primus Petrus thesaurarius, Albertus subcamerarius, Johannes subiudex, Pribislaus subagazo, Petrus subpincerna, Climas, Damianus. Woytek Nagorka[3], Rombel[4], Nicolaus filius Zbroslai, Boguslaus Swyanthoslai, Czechoslaus, Jacobus capellanus curie mee, Petrus Lopatka, Vitalis clericus. Hoc actum est et datum in Ploczk in die beati Sigismundi regis et martiris (2 maja), anno incarnationis Domini Millesimo ducentesimo quadragesimo quarto.

II.

In nomine patris et filii et spiritus sancti amen. Cognoscat presens[5] etas et sciat postera, quod ego Boleslaus dux Mazouie, maturo consilio habito baronum nostrorum, advocitavi[6] ad meam terram Mazouie et suscepi[7] gratuite hoc est bonos viros, Henricum,

---

[1] W kopii: m̄.

[2] Wyrazy kursywą oznaczone uważam za interpolacyę późniejszą. Zob. niżej.

[3] W kopii mylnie: Nagorki.

[4] W kopii mylnie: Combel.

[5] W kopii »plena«, zdaje się jednak, że w oryginale było »presens«, jako przeciwstawienie do następnego »postera«.

[6] W kopii błędnie »ad noticiam«, paleograficznie łatwo możliwe z »aduocitaui«.

[7] W kopii po »suscepi« wyraz »eos«, którego w oryginale zapewne nie było.

Martinum et Woynonem de Raygrod et dedi, donavique[1] eis et eorum legitimis natis hereditatem meam[2] utputa Grochovarsko nuncupatam, cum integritate omnium utilitatum ad eandem hereditatem spectantium et cum fluvio dicto Squa cum ambobus litoribus. Et omne ius militale habeant predicti, prout omnes milites...[3] penam seu caput post suum villanum. Et facio[4] insuper supradictos milites meos[5], Henricum, Martinum et Woynonem cum eorum posteris solutos et liberos a citatione et iudicio omnium palatinorum et castellanorum meorum. Duxi etiam donandum iamdictis servitoribus meis in predicta hereditate ipsorum liberam venationem omnium ferarum et castorum in eodem fluvio eorum. Ceterum hiidem servitores mei cum suis posteris non habebunt in iudicio solvere istam penam quinquagintarum *zuppariis*[6], nisi unam penam mihi et meis posteris, liberandum etiam eosdem milites duxi ab ista pena dicta sex marcarum *zuppariorum nostrorum*[7]. Ut igitur ista donatio mee[8] hereditatis prefatis servitoribus meis et eorum posteris perpetuis temporibus fixa maneat et perseveret, hanc litteram seu privilegium eis rescriptum dedi et mei sigilli annulo roboravi. Datum[9] est in die beate Margarethe virginis (17 lipca). Hii sunt testes ad hoc, qui tunc mei assessores fuerunt in curia mea: primus Petrus thesaurarius, Albertus succamerarius, Johannes iudex, Przibislaus subagazo, Petrus subpincerna, Damianus, Voythko[10] Nagorka, Nicolaus filius Zbroslai. Hoc actum est tercio Kalendas Julii (29 czerwca), anno incarnationis Domini Millesimo ducentesimo quadragesimo quarto.

---

[1] W kopii: donavi.

[2] W kopii: »unam«.

[3] Oderwane u dołu karty 2—3 wiersze, z których tylko koniec pierwszego wiersza... nt[2] in... pozostał.

[4] W kopii: effacio.

[5] W kopii: »nostros«.

[6] Późniejszy wtręt. Zob. niżej.

[7] Późniejszy wtręt. Zob. niżej.

[8] W kopii: »mea«.

[9] W kopii jest »actum«, ze względu jednak na drugie, wcześniejsze chronologicznie »actum« przy końcu dokumentu, przyjąć trzeba, że tu było w oryginale »Datum«.

[10] W kopii Vythko.

Przytoczone dokumenty Bolesława Konradowicza z r. 1244 wykazują na pierwszy rzut oka szereg cech pokrewnych. Przejawiają się one przedewszystkiem w analogicznej treści obu przywilejów, których przedmiotem jest przesiedlenie na Mazowsze zasłużonych rycerzy z obcych stron i obdarzenie ich ziemią oraz pełnem prawem rycerskiem.

Powtóre styl czyli dyktat dokumentów wykazuje cały szereg wspólnych zwrotów i wyrażeń, które każą przypisać sporządzenie obu jednemu i temu samemu dyktatorowi. Oto zestawienie charakterystycznych zwrotów, wspólnych obu dokumentom:

Dokument I.	Dokument II.
1) *Suscepi* meam in terram Mazouiam *gratuite.*	advocitavi ad meam terram Mazouiam et *suscepi* eos *gratuite.*
2) *dedi, donavique eis et eorum legitimis* successoribus.	*dedi, donavique eis et eorum legitimis* natis.
3) hereditatem... *cum integritate omnium utilitatum.*	hereditatem... *cum integritate omnium utilitatum.*
4) predictos servitores... *cum eorum posteris facio liberos et solutos a citatione iudiciisque palatinorum et omnium castellanorum meorum.*	Et *facio* insuper supradictos milites nostros... *cum eorum posteris solutos et liberos a citatione et iudicio omnium castellanorum meorum.*
5) Huius rei *hii testes sunt, qui tunc assessores mei fuerunt: primus etc.*	*Hii sunt testes* ad hoc, *qui tunc mei assessores fuerunt* in curia mea: *primus etc.*

Stwierdzenie pokrewieństwa dyktatu w dwóch lub więcej dokumentach jednego wystawcy, dla różnych, niezależnych od siebie odbiorców, stwarza presumpcyę o powstaniu ich w kancelaryi tegoż wystawcy [1] i prowadzi do wykrycia ich dyktatora, którego szukać trzeba w dokumentach księcia Bolesława Konradowicza z czasu ok. r. 1244.

Z tegoż samego roku posiadamy dokument tego księcia, wystawiony d. 15 sierpnia dla Andrzeja, nadwornego kanclerza księcia i proboszcza płockiego oraz brata jego Hipolita, zawierający nadanie źrebia we wsi ich Wletropy [2]. Otóż niektóre formuły tego dokumentu prawie dosłownie powtarzają się w naszych dwóch dokumentach, jak się okazuje z poniższego zestawienia:

[1] Bresslau H. Urkundenlehre t. I. str. 587.

[2] Ulanowski: Dokumenty kuj. mazow. Arch. kom. hist. t. IV, str. 152, nr. 4.

Dok. z 15 sierp.	Dok. I-szy.	Dok. II-gi.
1) Huius rei hii testes sunt barones mei, qui tunc temporis mei assessores fuerunt...	Huius rei hii testes sunt, qui tunc assessores mei fuerunt.	Hii sunt testes ad hoc, qui tunc mei assessores fuerunt in curia mea.
2) Hoc autem actum est anno incarnationis Domini etc.	Hoc actum est et datum... anno incarnationis Domini.	Hoc actum est... anno incarnationis Domini.

Ale co więcej: we wszystkich trzech dokumentach pojawiają się prawie ci sami świadkowie i to w tym samym dokładnie porządku: Oto ich wykaz:

Dok. z 15 sierp.	Dok. I-szy.	Dok. II-gi.
Petrus thesaurarius	Petrus thesaurarius	Petrus thesaurarius
Albertus subagazo	Albertus subcamerarius	Albertus subcamer.
—	Johannes subiudex	Johannes iudex
—	Pribislaus subagazo	Pribislaus subagazo
Petrus subpincerna	Petrus subpincerna	Petrus subpincerna
Climas	Climas	—
Damianus	Damianus	Damianus
Voytech Nagorka	Woytek Nagorka	Voytho Nagorka
Rambel	Rombel	—
Nicolaus f. et Broslaus[1]	Nicolaus f. Zbroslai	Nicolaus f. Zbroslai
Boguslaus f. Swantoslai	Boguslaus Swyanthoslai	—
Cechoslaus	Czechoslaus	—
Jacobus capellanus	Jacobus capellanus	—
Petrus Lopata	Petrus Lopatka	—
Vitalis, clericus	Vitalis, clericus	—

Ta zgodność formuł i porządku świadków uprawnia do przypisania redakcyi wszystkich trzech dokumentów jednej osobie, zatrudnionej w kancelaryi Bolesława Konradowicza. Niedaleko będziemy jej szukać: był nią wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sam kanclerz księcia Bolesława, Andrzej, proboszcz płocki, późniejszy biskup mazowiecki (1254—1260)[2] członek rodu Ciołków. On to, jako odbiorca, zredagował zapewne dla siebie i swego brata Hipolita dokument z 15 sierpnia 1244, on też — jak porównanie wykazało — był dyktatorem dwóch omawianych przywilejów rycerskich. Czy był zarazem ich pisarzem,

[1] Ma być oczywiście filius Zbroslai.

[2] Długosz, Historia Pol. Opera omnia, t. II. str. 343.

tego w braku oryginałów rozstrzygnąć niepodobna. Raczej przypuszczać można, że jako kanclerz redagował tylko koncepty dokumentów, czystopisy zaś sporządzał notaryusz, którym był prawdopodobnie jeden ze świadków naszych dokumentów, kleryk Witalis, już w r. 1239 pojawiający się na dokumentach Bolesława Konradowicza z tytułem *notarius*[1].

Jakkolwiek wykrycie dyktatora oraz — co za tem idzie — kancelaryjnego charakteru i pochodzenia dokumentów Bolesława Konradowicza, zawiera w sobie zarazem presumpcyę autentyczności, to jednak zbadajmy inne jeszcze jej kryterya na podstawie porównania z dwudziestu kilku dochowanymi dokumentami tego księcia.

Inwokacya I-go dokumentu, wzywająca Trójcę jako jedność[2] oraz II-go dokumentu, wzywająca poszczególne osoby boskie[3], pojawia się także w znanych dokumentach Bolesława Konradowicza. Singularna forma w intytulacyi »Ego« występuje w dokumentach jego[4] obok formy pluralnej. Określenie daty dziennej również w dwóch występuje typach: albo wedle Świętych kalendarza chrześcijańskiego (jak w dok. I-szym)[5], albo wedle kalendarza rzymskiego (jak w dok. II-im)[6]. Zwraca naszą uwagę podwójna datacya II-go dokumentu, raz wedle kalendarza chrześcijańskiego, drugi raz rzymskiego. Otóż mamy jeszcze inny dokument Bolesława Konradowicza, z r. 1247, w którym oba te rodzaje określenia daty dziennej obok siebie się pojawiają[7]. W naszym dokumencie pierwsza data jako późniejsza odnosi się niewątpliwie do dokumentacyi, druga zaś do czynności prawnej nadania.

Co się tyczy świadków, to są oni w przeważnej części ludźmi dobrze znanymi z innych dokumentów tego czasu. Piotr, jako skarbnik, pojawia się w r. 1243 a sprawuje tę godność jeszcze w r. 1247[8]. Wojciech był podkomorzym w latach 1244—1247[9]. Jan

---

[1] Ulanowski, l. c. str. 290, nr. 5.

[2] Rzyszcz. Muczk. t. I. nr. 23 i Kod. mazow. nr. 14.

[3] Ulanowski, l. c. str. 290 i str. 292.

[4] Kod. małop. t. II, nr. 399 i 403. — Rzyszcz. Muczk. t. I. nr. 27, 28. — Kod. mazow. nr. 14. — Ulanowski, l. c. str. 152 i 291.

[5] Ulanowski, l. c. str. 153, 155 i 290.

[6] Kod. maz. nr. 14 i 15. — Ulanowski, l. c. str. 153, 290, 293 etc.

[7] Kętrzyński W. 30 dokumentów katedry płockiej, nr. 5.

[8] Ulanowski, l. c. str. 293. — Kod. mazow. nr. 16.

[9] Ulanowski, l. c. str. 153. — Kod. maz. nr. 16.

w charakterze podsędka występuje już w r. 1239 i pozostaje na tym urzędzie widocznie do maja r. 1244[1], posuwając się w tym czasie na stanowisko sędziego[2]. Przybysław sprawuje urząd podkoniuszego jeszcze w latach 1247—1249[3]. Piotr był podczaszym w latach 1244—1247[4]. Jakub, jako kapelan nadworny i Witalis, jako kleryk, figurują na dokumentach Bolesława Konradowicza z lat 1239—1247[5]. Reszta świadków, występująca na dokumentach naszych bez urzędów, znana jest ze wspomnianego przywileju z r. 1244 dla kanclerza Andrzeja Ciołka, oraz z innych współczesnych dokumentów[6].

Tak tedy rozbiór kryteryów wewnętrznych naszych dokumentów stwierdził także ich autentyczność. Na tem jednak poprzestać nam nie wolno, znając bowiem tekst dokumentów jedynie z transsumptów, nie możemy być pewni, czy doszedł on nas w swej pierwotnej czystości, czy nie doznał interpolacyi, opuszczeń lub innego rodzaju pofałszowania. Nic bowiem łatwiejszego, jak przy sposobności transsumowania dokumentu opuścić w nim jakieś niewygodne dla odbiorcy zdanie, lub dodać coś, co mu nową korzyść przynieść może.

Ale wykrycie tych zmian natrafia na znaczne trudności, z tego powodu, że dokumentów pokrewnej treści zachowało się z owych czasów bardzo niewiele. Przywileje kościołów i klasztorów znalazły bezpieczne schronienie w ich archiwach, dlatego przechowały się do naszych czasów w znaczniejszej liczbie, natomiast przywileje rycerskie — niegdyś niewątpliwie również bardzo liczne, zaginęły w przeważnej części bezpowrotnie, tak, że z czasu do połowy wieku XIII zachowało się ich zaledwie 6, nie wliczając w to dwóch niniejszych dokumentów[7]. Materyał porównawczy, mający nam służyć przy badaniu, co w nich pochodzi z pierwotnego tekstu, a co może być późniejszym wtrętem, jest przeto bardzo szczupły.

Nadanie książęce w obu przywilejach z r. 1244 zawiera:

1) darowiznę wsi książęcych z przynależnościami;

---

[1] Ulanowski, l. c. str. 290 i 294.

[2] Jak w IIim dokumencie.

[3] Kod. mazow. nr. 16 i Ulanowski, l. c. str. 156.

[4] Ulanowski, l. c. str. 153 i Kod. mazow. nr. 16.

[5] Ulanowski, l. c. str. 290 i Kod. maz. nr. 16.

[6] Ulanowski, l. c. str. 153, 290 etc.

[7] Piekosiński, Rycerstwo polskie, t. I. s. 211.

2) nadanie pełnego prawa rycerskiego *(omne ius militare)*, którego treścią jest:

a) zwolnienie od jurysdykcyi sądów wojewodzińskich i kasztelańskich;

b) prawo pobierania pewnych kar sądowych od swych poddanych;

c) zwolnienie od niektórych kar sądowych, opłacanych dotąd urzędnikom książęcym;

d) wolne prawo polowania w obrębie nadanej posiadłości (tylko w II-gim przywileju).

Pierwsza część nadania, tj. darowizna ziemi przez księcia, nie nasuwa żadnych wątpliwości, wobec czego zajmiemy się tylko drugą jego częścią, zawierającą nadanie prawa rycerskiego.

Określenie »*ius militare*« zjawia się w omawianych dokumentach po raz pierwszy. Okoliczność ta nie powinna jednak budzić podejrzenia, ile że już niebawem, bo w r. 1276 spotykamy się z niem powtórnie, w dokumencie Leszka, ks. sieradzkiego dla Racława syna Domasława, który otrzymuje »*plenum ius militale*« i wieś Dąbrowę »*cum omni iure militali*«, a zatem tak, jak w naszych dokumentach. Krótki czas dzielący te nadania uzasadnia przypuszczenie, że skoro pojęcie »*ius militare*« było znane w r. 1276, mogło już istnieć trzy dziesiątki lat przedtem i być użytem w dokumencie z r. 1244. Jestto tembardziej prawdopodobne, że — jak się okazuje z traktatu człowego, zawartego w r. 1252 między Kazimierzem Konradowiczem bratem Bolesława, wystawcy naszych dokumentów) a Zakonem krzyżackim — istniało już w tym czasie zróżnicowanie w obrębie stanu rycerskiego, przejawiające się w różnym wymiarze okupu za zabójstwo[1] dla trzech grup rycerstwa, przyczem ta grupa, której przysługiwał najwyższy okup (30 grzywien), posiadała oczywiście pełne prawo rycerskie, w przeciwieństwie do t. zw. »*milites simplices i milites fictaticii*«, nie mających pełnego, ale tylko częściowe prawo rycerskie. Zresztą już sam fakt, że jednobrzmiące wyrażenia »*cum omni iure militali*« pojawiają się równocześnie w dwóch dokumentach, pochodzących wprawdzie z jednej kancelaryi, ale opiewających dla dwóch różnych i niezależnych od siebie odbiorców, wyłącza myśl, aby one były późniejszą interpolacyą i raczej każe

[1] Codex dipl. Pomeraniae, ed. Hasselbach et Kosegarten, t. I. nr. 479 Por. moich »Włodyków na tle porównawczem słowiańskiem«, str. 33.

przypuszczać, że one pochodzą od pierwotnego dyktatora obu dokumentów.

Samo zresztą określenie pojęcia prawnego nie odgrywa tu zasadniczej roli; nierównie większe dla nas znaczenie będzie miała wewnętrzna treść jego, tj. prerogatywy, płynące z pojęcia »*ius militare*«, te zaś znane są z innych współczesnych przywilejów rycerskich. Tak np. nadanie Konrada ks. łęczyckiego dla rycerza Gotarda, pogromcy Jadźwingów, z r. 1241, zawiera przyznanie mu kar sądowych, w szczególności główszczyzny od swych poddanych [1] (jak wyżej pod 2b), drugie zaś nadanie Konrada dla tegoż Gotarda zawiera zwolnienie od sądownictwa wojewodzińskiego i kasztelańskiego (jak wyżej pod 2a) i polowanie w nadanych dobrach (jak pod 2d) [2]. Przywilej Bolesława ks. kaliskiego dla komesa Raczona z r. 1252 zwalnia go »*a citatione cuiuslibet castri et castellani*« (jak pod 2a), dalej od kary siedmnadziesta (jak 2a) a wreszcie nadaje mu »*penam capitis*« od poddanych kmieci (jak 2b) [3]. Inne przywileje, jak Bolesława Wstydliwego dla Klemensa z Ruszczy z r. 1252 [4] i Bolesława kaliskiego dla Janka Wojciechowicza z r. 1257 [5], zawierają nadto inne, jeszcze obszerniejsze prerogatywy, *(jus aquae, ferri, duelli etc.)*, które wszystkie razem wziąwszy składały się na pojęcie »pełnego prawa rycerskiego«, jakkolwiek tego pojęcia wprost tam nie wyrażono.

Skoro zatem nietylko określenie »*jus militare*«, ale i poszczególne prerogatywy z tego prawa płynące nie są obce współczesnym dokumentom, przeto mogą być uważane za integralną część pierwotnego tekstu, na co zresztą wskazuje pokrewna stylizacya, pochodząca niewątpliwie od wspólnego dyktatora, zatrudnionego w kancelaryi Bolesława Konradowicza.

Ale rzeczone dokumenty przecież nie są wolne zupełnie od późniejszych naleciałości. Za wtręt uważam przedewszystkiem wyrazy, służące ku określeniu rodowego pochodzenia odbiorców 1-ego dokumentu: »*de genelogia ista dicta Gelitho... et vocitatione godlo*

---

[1] Rzyszcz. Muczk. t. II [1], nr. 28.
[2] Tamże, t. I. nr. 32.
[3] Kod. Wpol. t. I. nr. 305.
[4] Kod. małop. t. II nr. 436.
[5] Kod. Wpol. t. I, nr. 364.

Nagody« [1]. Wyrazy te nie dadzą się pomyśleć w czasach, z których pochodzi dokument; co najwcześniej możnaby je odnieść do pierwszej połowy XIV w., kiedy to pojawia się także po raz pierwszy przydomek Jelito [2]. Ale wyrazy powyższe pochodzą prawdopodobnie z XV w., t. j. z czasu transsumowania przywileju z r. 1244. W dodatku trzeba zwrócić uwagę na to, że interpolacyi tej dokonano niezgrabnie, rozrywając ją na dwie części, po których opuszczeniu wraca dawny poprawny sens zdania. Łatwo pojąć, że odbiorcom transsumptu musiało zależeć na tem, by w potwierdzonych przywilejach wyrażona była przynależność ich przodków do rodu, z którego oni sami pochodzili, tą drogą bowiem uzyskiwali pośrednio dowód dziedziczności swych uprawnień, płynących z posiadanych przywilejów.

Natomiast w II-gim dokumencie razić nas może jedynie wyraz *»zupparii«* na oznaczenie wyższych urzędników, na rzecz których szły kary sądowe. Z wyrazem tym spotykamy się w dokumentach dopiero u schyłku XIII w. [3], tak, że przypuszczać należy, iż jest on tu wtrętem, pochodzącym z czasu transsumowania dokumentu, t. j. z r. 1379, a raczej zajmuje miejsce innego wyrązu, (*officiales*, *dignitarii* etc.), którego w poł. XIII w. używano na określenie urzędników książęcych, a który z czasem ustąpił miejsca wyrazowi *»zupparius«*. Nie wypływa stąd jednak, abyśmy uważając wyraz ten za dowolną zmianę, dokonaną przy transsumowaniu, mieli w czemkolwiek naruszać związany z nim tekst dokumentu, tyczący się kar *»quinquaginta«* i *»sex marcarum«*. Przeciwnie, ustęp ten ma wszelkie znamiona autentyczności i współczesności z datą dokumentu, jak wykazuje porównanie jego z innemi źródłami, odnoszącemi się do systemu kar pieniężnych na Mazowszu w w. XII i XIII [4].

[1] Z tych czasów posiadamy jeszcze drugi dokument, gdzie wymieniony jest ród odbiorcy. Jestto dokument Bolesława Henrykowicza ks. śląskiego dla Sibotona »de nobili familia Ovium« z r. 1242 (Grünhagen, Regesten z. schles. Gesch. nr. 591b.). Dokument ten, znany tylko z późniejszych kopii, jeśli nie jest podrobiony, posiada wtręty, do których zaliczam także i powyższe określenie rodowe.

[2] Petrus dictus Jelito, kasztelan sandomierski, Kod. mpol. t. I. nr. 147.

[3] Por. zestawienie w pracy Balzera pt. O zadrudze słowiańskiej. Kwartalnik historyczny z r. 1899, str. 219. — W r. 1242 występuje »suppanus« ale w znaczeniu jakiegoś funkcyonaryusza wiejskiego. Kod. wpol. nr. 234.

[4] Zwrócił na to uwagę M. Handelsman w pracy »Kara w najdawniejszem prawie polskiem« str. 166 nast. Autor powołuje się na odnośne miejsca naszych

Poza tymi dwoma wtrętami oba dokumenty z r. 1244 nie zawierają zresztą nic takiego, coby tchnęło anachronizmem i było sprzecznem z faktami lub pojęciami prawnemi epoki, datą ich wskazanej. Natomiast przynoszą one nieznane a nader ciekawe szczegóły historyczne, dające się dobrze wytłómaczyć na tle współczesnych wypadków i rzucają nowe światło na kwestyę osadnictwa rycerstwa średniowiecznego.

Książę Bolesław nazywa obdarowanych rycerzy *»boni mei servitores«*, *»boni viri«*, i wspomina o usługach *(servitia)* przez nich mu świadczonych. Że tu mowa o usługach wojennych, nie może ulegać żadnej wątpliwości, dokumenty bowiem niniejsze są odgłosem walk, które toczyli wówczas książęta mazowieccy na południowych i północnych rubieżach swych ziem. Stary Konrad, niezłamany klęską poniesioną w maju 1243 pod Suchodołem, ponowił w następnym roku wyprawę na Kraków i dążył zapamiętale do opanowania dzielnic Wstydliwego [1]. Obrawszy sobie za podstawę operacyjną ziemię łęczycką [2], obronę dziedzicznych Kujaw i Mazowsza powierzył synom: Kazimierzowi i Bolesławowi. Bolesław więc od kilku lat już siedząc na Mazowszu [3], strzegł północnych i wschodnich jego granic przed groźnymi najazdami Prusaków i ich pogańskich pobratymców [4]. Właśnie w początkach lipca, korzystając z zajęcia Konrada na południowym terenie walk, ponowili Prusacy wyprawę łupiezką na Mazowsze, lecz w odwrocie ponieśli dotkliwą klęskę pod Ciechanowem (13 lipca) [5].

Przypatrzmy się w tem oświetleniu szczegółom historycznym zawartym w naszych dokumentach.

dwóch dokumentów z r. 1244, które znał także z odpisów p. J. Kochanowskiego i na tle współczesnych pojęć prawnych wykazuje niezmierną wartość ich dla polskiego prawa karnego.

[1] Por. wiarygodne wiadomości u Długosza, Hist. II. str, 297, poparte zapiską rocz. kapitulnego pod r. 1244: Kylcia per milites ducis Cunradi devastatur.

[2] Konrad tytułuje się też w tym czasie (od bitwy suchodolskiej) księciem łęczyckim. Pod. Kod. młpol t. II, str. 77.

[3] Ulanowski, l. c. str. 289—293, oraz 152—155. (Lata 1239—1248).

[4] Wersya Długoszowa o współudziale Prusaków w wyprawie Konrada do ziemi sandomierskiej jest co najmniej wątpliwa. Por. Al. Semkowicz, Krytyczny rozbiór Długosza, str. 264.

[5] Długosz, l. c. str. 300. na podstawie nieznanego źródła. Udział Litwinów jest wątpliwy. Por. Semkowicz Al. l. c.

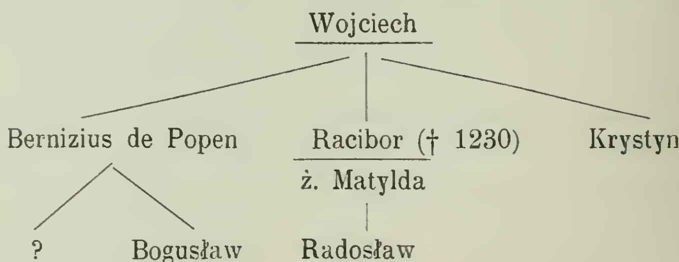
1) Książę przyjął na Mazowsze Racibora i Wojciecha z Polski *(suscepi meam in terram Mazouiam R. et A. de terra Polonie).*

2) powołał i przyjął na Mazowsze Henryka, Marcina i Wojnę z Rajgrodu *(advocitavi ad meam terram Mazoviam et suscepi... H., M. et W. de Raygrod).*

ad 1) Określenie »*de terra Polonie*« przeciwstawione pojęciu »*terra Mazovia*«, oznacza tu w ogóle ziemie polskie poza Mazowszem, a zatem może się odnosić zarówno do Wielko- jak i Małopolski, ziemi sieradzkiej, łęczyckiej etc. Ze względu na teren ówczesnych walk należałoby tu — zdaniem mojem — wyłączyć z zakresu rozważań właściwą Wielkopolskę, a rycerzy Racibora i Wojciecha poszukiwać w Małopolsce lub w sieradzko-łęczyckiej dzielnicy Konrada.

Jedyną wskazówkę posiadamy tylko w imionach obdarzonych rycerzy, którzy byli zapewne braćmi, a w każdym razie blizkimi krewnymi, jakkolwiek w dokumencie nie ma o tem wzmianki.

Otóż w pierwszej połowie XIII w. występuje w ziemi krakowskiej ród, w którym oba te imiona spotykamy. Oto jego genealogia:



Racibor Wojciechowicz był dziedzicem wsi Zrazowej pod Mogiłą, którą sprzedał tamtejszemu klasztorowi[1]. Zmarł między 24 czerwca a 19 grudnia 1230 r., pozostawiając wdowę Matyldę (córkę Bronisza Wojsławicza) i syna Radosława czyli Racława[2]. Ten to Racibor był zapewne założycielem wsi Raciborowice nad Dłubnią, w blizkiem sąsiedztwie Zrazowej. Wieś ta w r. 1212 nie miała jeszcze widocznie nazwy patronimicznej, ale inną, od rzeki wziętą, skoro Racibor pisze się wówczas »*de Dlubna*«, jako świadek na dokumencie krewnego swego Radwana, brata (innego) Racibora, dziedzica Bieżanowa[3]. Być może, synem tego Racibora z Raciborowic

[1] Kod. mogil. nr. 5 i 10.
[2] Tamże, nr. 11.
[3] Kod. kap. krak. nr. 8.

był Jakub, kasztelan sandomierski, który zginął pod Chmielnikiem w r. 1241, a który świadkuje na dok. z r. 1239 z synem, także Raciborem [1]. Ten ostatni, dziedzic wspomnianych Raciborowic, zmarły przed r. 1273, darował tę wieś kapitule krakowskiej, zastrzegając żonie dożywotnie jej użytkowanie [2].

Czy Racibor i Wojciech z r. 1244 pozostają w związku z wspomnianym dopiero co rodem, niema żadnej pewności, same imiona bowiem, któremi tu jedynie rozporządzamy, nie mogą stanowić jeszcze dostatecznego dowodu przynależności rodowej; jest tylko prawdopodobieństwo, oparte na wspólności dwóch imion: mogliby to być synowie Racibora Wojciechowicza.

Nie mamy także bezpośredniego dowodu na to, że dwaj nasi rycerze istotnie byli Nagodzicami, jak głosi wtrącone później do dokumentu z r. 1244 zdanie: *de genelogia Gelitho et vocitatione godlo Nagody*. Imiona Racibor i Wojciech w tym rodzie się nie pojawiają, co jednak nie wyłącza możliwości sporadycznego ich używania. Na niektóre szczegóły jednak należy zwrócić uwagę: heraldycy nasi zaliczają do Nagodziców rodzinę Raciborowskich z Raciborowic [3]. Wsi tej nazwy znamy dwie: jedną pod Krakowem, o której wyżej wspomniałem, że w poł. XIII w. przeszła na własność kapituły krakowskiej, nie mogła przeto dać początku nazwisku szlacheckiemu, drugą zaś pod Wolborzem, szlachecką. Otóż ta ostatnia wieś leży istotnie w sąsiedztwie osad Nagodziców: Romiszowic, Kalina i Żeromina, skąd można wnosić, że z niej to właśnie wyszła rodzina Raciborowskich-Nagodziców. Jest i pod Kutnem w Łęczyckiem miejscowość Raciborów, leżąca na linii osiedlenia Nagodziców, między wsiami Nagodowem (1$^1/_2$ mili) a Siemianowem ($^1/_2$ mili) [4]. Otóż te okoliczności zdają się wskazywać na pewien związek między Raciborami a rodem Nagodziców, tem samem zaś popierać fakt przynależności Racibora i Wojciecha z r. 1244 do tegoż rodu.

W zgodzie z tym faktem pozostaje jeszcze jedna okoliczność niemałej wagi. Oto można wykazać dowodnie, że Nagodzice w istocie należeli do stronników książąt mazowieckich. Na dokumentach Bolesława Konradowicza, jako księcia sandomierskiego, z lat 1232

---

[1] Kod. mpol. nr. 24.
[2] Kod. kap. krak. nr. 72.
[3] Niesiecki, Herbarz t. VIII. str. 2.
[4] Por. wyżej, str. 17.

i 1237 świadkuje Dziwisz[1], z imienia sądząc niewątpliwy Nagodzic[2]. Rzecz znamienna, że do stronników Konrada i syna jego Bolesława należał w tych latach także Pakosław Starszy i cały zapewne ród Habdanków[3], których związki powinowactwa z Nagodzicami wykazaliśmy w poprzednim artykule[4]. Pośród świadków dokumentu Bolesława z r. 1246 spotykamy Jakuba Korytkę[5]. Nietylko imię Jakób, ale przedewszystkiem przydomek Korytko, wskazuje, że to był Nagodzic. Korytków - Nagodziców znają wszyscy nasi heraldycy, począwszy od Długosza[6]. Główne posiadłości Nagodziców leżały w ziemi sandomierskiej i sieradzkiej, w tej ostatniej — jak wykazał Potkański[7] — skupiały się już w poł. XIII w. około Rozprzy. Rozprza należała do grodów Konrada, jak świadczy wyraźna wzmianka w roczniku kapituły poznańskiej[8]. Otóż kasztelanem Rozprzy, jeszcze za życia Konrada, a także po jego śmierci był Floryan, po nim zaś Dziwisz, obaj niewątpliwi Nagodzice[9].

Przytoczone szczegóły dowodzą, że Nagodzice należeli istotnie do adherentów książąt mazowieckich w czasie walk ich z Henrykiem Brodatym, a potem z Bolesławem Wstydliwym. Kojarząc tę przesłankę z faktem wysnutym z naszego dokumentu, o zasługach Racibora i Wojciecha wobec księcia Bolesława Konradowicza, dojdziemy do wniosku, że zaliczeniu ich do rodu Nagodziców nic nie stoi na przeszkodzie, a gdy w w. XV. dziedzice na Kiełbowie i Stróżęcinie (pod Raciążem) w interpolacyi transsumptu przodków swych Nagodzicami ochrzcili, trzeba przyznać, że jest to wielce prawdopo-

---

[1] Kod. dypl. małop. t. II. nr. 403 i 414.

[2] Por. wyżej, str. 15.

[3] W r. 1232 w obecności Konrada i synów jego Bolesława i Kazimierza nadał kl. miechowskiemu wieś Udorz (Kmpol, t. II. nr. 404). W r. 1237 jako kasztelan żarnowski świadczy na dok. Bolesława Konradowicza (Rzyszcz. Muczk. I nr. 27).

[4] Por. wyżej, str. 18.

[5] Rzyszcz. Muczk. t. I. nr. 33.

[6] Stanisław i Mikołaj Korytkowie h. Jelita. Lib. Benef. t. I. s. 529, t. II, s. 365.

[7] W cyt. pracy pt. Ród Nagodziców.

[8] MPol. t. III, str. 13, r. 1247. Po śmierci Konrada Rozprzę zagarnął Kazimierz kujawski.

[9] Potkański, l. c. Floryan występuje w latach 1246—1264, Dziwisz zaś w latach 1273—4 jako kasztelanowie rozpierscy.

podobne i że tu tradycya rodowa musiała odegrać niepośledną rolę[1].

ad 2). Rycerze obdarzeni II-gim przywilejem z r. 1244, Henryk, Marcin i Wojno, pochodzili z Rajgrodu. Jak Racibor i Wojciech skierowali nasze poszukiwania na teren Małopolski, tak rycerze z Rajgrodu wskazują nam drogę na pogranicze mazowiecko-podlaskie.

Rajgród leżał na Podlasiu, w miejscu, gdzie się zbiegały dzierżawy Mazowszan, Prusaków i Jadźwingów. Gród zbudowany na ostrowie rozległego jeziora (rajgrodzkiego), już z natury samej był obronny, stanowił przeto ważną placówkę strategiczną. Nazwa Rajgród brzmi czysto z polska i nie pozostawia wątpliwości, że założycielami grodu byli Polacy, jakkolwiek wcześnie już zawładnęli nim Jadźwingowie. Najdawniejszą dotąd znaną wzmiankę o Rajgrodzie zawiera Latopis hipacki, w opisie wypraw książąt ruskich Daniela i Lwa na Jadźwingów, przedsięwziętą wespół z Ziemowitem Konradowiczem ks. mazowieckim w r. 1253[2]. Opowiada to źródło, że Daniel, ścigając wodza Jadźwingów Skomonda, zapuścił się w ich kraj, gdzie ujrzał na brzegu jeziora gród zwany »Raj«[3]. Jestto niewątpliwie nasz Rajgród, który, jak z tego się okazuje, leżał w r. 1253 na terytoryum Jadźwingów. Tak też było niewątpliwie i w czasie, z którego pochodzi nasz dokument, zawierający — nawiasem mówiąc -- najdawniejszą wzmiankę o Rajgrodzie. Skoro dokument wyraźnie mówi o powołaniu rycerzy z Rajgrodu na Mazowsze, wynika stąd, że w r. 1244 gród ów leżał poza obrębem Mazowsza.

Kto zatem byli rycerze Henryk, Marcin i Wojno, i jaką w Rajgrodzie odgrywali rolę? Jadźwingami nie byli z pewnością — prze-

[1] Boniecki przytacza rodzinę Kiełbowskich z XVI w., ale nie podaje jej herbu. Herbarz Polski, t. X. str. 22.

[2] Lietopis po ipatskomu spisku (Izd. archeograf. komiss. str. 549). Zdarzenie to zapisuje Latopis pod mylną datą 6763 (1255). Zrektyfikował chronologię tego źródła Hruszewskij w pracy „Chronologia podij hałyćko-wołyńskoji litopysy. (Zapysky Tow. Szewcz. t. XLI. str. 38). Por. też Sjörgen A. Über die Wohnsitze u. die Verhältnisse der Jatwägen, str. 10.

[3] ...Daniłu że Korolowi iduszczu jemu (Skomondowi) po jezeru i widie pri berezie horu Krasnu i hrad bywszi na nej preże, imenem Raj.

czą temu stanowczo ich imiona[1], z których dwa pierwsze są chrześcijańskie i mogły należeć zarówno do Polaków jak i cudzoziemców-zachodnich, trzecie zaś jest imieniem słowiańskim, w tym wypadku niewątpliwie polskiem.

Co się zaś tyczy ich roli w Rajgrodzie, to dokument nasz tylko ogólnie nazywa ich »*servitores*« księcia Bolesława mazowieckiego. Z określenia tego można jednak wysnuć ciekawy wniosek: Rajgród był przed r. 1244 obsadzony rycerstwem mazowieckiem. Czy także i potem, tego nie wiemy.

Nie wiemy także, od jakiego czasu był Rajgród w ręku polskiem, czy od podboju ziem Jadźwingów przez Kazimierza Sprawiedliwego[2], czy dopiero od wypraw zdobywczych Konrada mazowieckiego. Do jednej z takich wypraw odnosi się zapewne dokument Konrada mazowieckiego, wydany dla rycerza Gotarda, syna Łukasza, z r. 1241, w którym książę nagradza go nadaniem wsi za to, że w walce z Jadźwingami siedmiu ich naczelników pobrał w niewolę, z której się dopiero po złożeniu wysokiego okupu uwolnili[3]. W tej akcyi Konrada około podboju północnej części Podlasia brali prawdopodobnie udział »rycerze Chrystusowi«, których książę ten w r. 1237 osadził w Drohiczynie, nie w innym zapewne celu, jak dla walki z pogańskimi pobratymcami Prusaków, którym podołać nie mogli[4].

Z tych to czasów pochodzić może załoga polska w Rajgrodzie, do której należeli także trzej odbiorcy przywileju z r. 1244[5]. Dlaczego jednak Bolesław Konradowicz przesiedla ich na Mazowsze? Czy zmuszeni byli opuścić Rajgród, zdobyty ponownie przez Jadźwingów? Rzecz to prawdopodobna, czas bowiem, z którego pochodzi nasz dokument, stanowił w dziejach Mazowsza chwilę przełomu. Klęska Konrada pod Suchodołem w maju 1243 była dla północnych wrogów jego hasłem do stworzenia wielkiej koalicyi przeciw Konradowi i sprzymierzonemu z nim Zakonowi, której duszą był

[1] Imiona Jadźwingów są typu łotewskiego: Komat, Stajknit, Skomond, Mintele.

[2] Kadłubek obszernie o tem się rozpisuje, nazywając Jadźwingów »Pollexiani«. M. Pol. t. II. str. 421 nast.

[3] Po 700 grzywien od osoby. Por. Rzyszcz Muczk. t. I. nr. 28.

[4] Hasselbach-Kosegarten, Cod. dipl. Pomeranie, t. I. str. 556.

[5] Ród naszych rycerzy określić trudno. Dziedziców Grochowarska (w powiecie płońskim), gdzie ich przesiedlił Bolesław Konradowicz, zaliczają jedni heraldycy do Ślepowronów (Niesiecki), inni do Jastrzębców (Boniecki).

Świętopełk pomorski. Z pomocą Prusaków, Litwinów i Jadźwingów [1] uderzył on w w r. 1244 na ziemię chełmińską, a potem na Kujawy, których bronił syn Konrada, Kazimierz, gdyż sam Konrad zajęty był w Małopolsce. Bolesławowi przypadła rola obrońcy Mazowsza przed najazdem pogańskich sąsiadów z północy, którzy równocześnie niemal zapuścili swe zagony aż w głąb Lubelszczyzny [2]. Wprawdzie Długosz, jedyne źródło do tych wypadków, ale czerpiące niewątpliwie z jakichś nieznanych nam dziś kronik czy roczników mazowieckich [3], wspomina tylko o napadzie Prusaków, domyśleć się jednak można z udziału Jadźwingów w koalicyi Świętopełka jakiejś akcyi zaczepnej i z ich strony, tem bardziej, że była ona skierowana na ziemię łukowską i lubelską, sąsiadujące z dzierżawami Jadźwingów. Celem tej akcyi musiał być przedewszystkiem pograniczny Rajgród, który prawdopodobnie został przez Jadźwingów zdobyty, skoro w r. 1253, w czasie wyprawy Daniela, był już w ich posiadaniu [4]. Otóż wydaje mi się rzeczą możliwą, że przesiedlenie Henryka, Marcina i Wojny na Mazowsze pozostawało w związku z skreślonymi wypadkami, tembardziej, że i chronologia jest tu w zupełnej zgodzie. Klęskę wracających z łupiezkiej wyprawy Prusaków pod Ciechanowem zapisuje Długosz pod dniem 13 lipca 1244 [5], najazd więc miał miejsce zapewne z końcem czerwca lub z początkiem lipca tegoż roku. Powołanie zaś naszych rycerzy z Rajgrodu i obdarzenie ich dobrami przypada także na sam koniec (29) czerwca. Równoczesność tych zdarzeń może mieć tedy powód w ich wzajemnym związku.

Powołanie rycerzy rajgrodzkich na Mazowsze można jednak w inny jeszcze sposób wytłómaczyć, niekoniecznie upadkiem Rajgrodu, ale polityką osadniczą książąt mazowieckich, polegającą na ściąganiu na Mazowsze rycerstwa z obcych dzielnic. Ten pomysł ma

---

[1] Długosz, Historia Pol., t. II. str. 302. Udział Jadźwingów w tej wyprawie stwierdza Jeroschin (Script. rer. Pruss. t. III. str. 40). Wspomniany przez Długosza udział Litwinów jest wątpliwy.

[2] Długosz mówi wprawdzie o najeździe Prusaków jako o sprawie wcześniejszej, niż akcya Świętopełka, ale przypuścić trzeba, że te wypadki zaszły współcześnie i w związku z sobą. Zresztą rocznik kapitulny zapisuje pod r. 1244 kilka napadów pruskich »frequentes insultus«. M. Pol. t. II. str. 838.

[3] Semkowicz Al. Krytyczny rozbiór etc. str. 264.

[4] Zob. wyżej, str. 39.

[5] Długosz, l. c. str. 300.

tem większe za sobą prawdopodobieństwo, że i poprzednio omówiony przywilej z tegoż samego roku, tyczy się także przesiedlonych na Mazowsze rycerzy. W pełnem świetle przedstawi się ta sprawa dopiero w zestawieniu ze spostrzeżeniami, jakie poczyniłem w pracy mej p. t. »Włodycy polscy na tle porównawczem słowiańskiem« [1]. Zwróciłem tam uwagę na mazowieckie pochodzenie drobnego rycerstwa, rozsiedlonego w ziemi krakowskiej dokoła grodów i na pograniczu, niemniej też starałem się wykazać związek między tem osadnictwem a walkami Konrada mazowieckiego z Henrykiem Brodatym, a następnie z Bolesławem Wstydliwym o Kraków i dzielnice małopolskie. Konrad w dzielnicach tych opierał się częścią na oddanem sobie rycerstwie miejscowem (Nagodzice, Habdanki, Lisy etc.), częścią zaś na rycerstwie sprowadzonem tam z Mazowsza i Kujaw. Zdaje się, że to samo działo się w innych kierunkach ekspanzyi mazowieckiej, ku wschodowi i północy, a sprzyjało tej akcyi centralne położenie Mazowsza, jego gęste zaludnienie i wielka siła rozrodcza ludności, objawy dające się śledzić długo jeszcze później, w czasach bardziej obfitych w źródła (w. XV i XVI).

Ale równolegle z tym prądem odśrodkowym, który rycerstwo mazowieckie rozsiewał po ziemiach sąsiednich, szedł prąd tamtemu przeciwny, dośrodkowy, immigracyjny. W miejsce rycerzy opuszczających rodzinne siedziby, ściągali książęta mazowieccy rycerstwo obce, z ziem sąsiednich i dalszych, osiedlając je w swej dzielnicy. Fakt, że z jednego roku 1244 dochowały się aż dwa świadectwa na to samo zjawisko, dowodzi, że nie była to rzecz przypadku, ale akcya planowa i na szerszą zakrojona skalę. Rzecz wielce prawdopodobna, że obie te akcye, emigracyjna i immigracyjna, pozostawały z sobą w związku. Rycerstwo mazowieckie trzymało w podbitych ziemiach ich ludność w uległości, odwrotnie zaś rycerstwo z obcych dzielnic, osiedlone na Mazowszu i obdarowane ziemią, trzymało tam w szachu niezadowolone żywioły miejscowe, jakich tam z pewnością nie brakło, wskutek bezwzględnej srogości Konrada względem swoich poddanych (wojewoda Krystyn, ksiądz Jan Czapla). Wszak taka polityka wymiany wojska i wzajemnego utrzymywania w szachu jednych szczepów przez drugie, była znana jeszcze w starożytności we wszystkich państwach na

[1] Kwartalnik historyczny z r. 1908, str. 597 nast.

podboju opartych i stosowana jest przecież gdzieniegdzie po dziś dzień.

3. Podrobiony dokument Lamberta-Suły, biskupa krakowskiego, dla kościoła w Kazimirzy Małej z r. 1063.

Początki dyplomatyki polskiej schodzą się co do czasu z zaraniem polskiego dziejopisarstwa. Podczas gdy najbliżsi sąsiedzi nasi, Czesi i Węgrzy, posiadają sporą garść oryginalnych dokumentów z XI. w., my mamy tylko jeden, Włodzisława Hermana z r. ok. 1085 dla Bamberga. Czyśmy ich nie mieli więcej? Czy brak ich przypisać należy zatraceniu, czyli też odpowiada on istotnemu stanowi rzeczy? Oto pytania, które nasunąć się muszą dyplomatykowi polskiemu.

Mimowoli zwracamy się do Długosza, który o połowę bliższy od nas tym zamierzchłym czasom, rozporządzał jeszcze znacznym zasobem zaginionego dziś materyału źródłowego[1], celem stwierdzenia, czy znane mu były dokumenty starsze od tych, które my posiadamy. Okazuje się, że ojciec dziejopisarstwa polskiego raz jedynie powołuje się na autopsyę dokumentu z XI w. Mianowicie wspominając w »Dziejach Polski« o śmierci biskupa krakowskiego Lamberta-Suły (r. 1071), dodaje, że czytał jego dokument fundacyjny dla kościoła w Kazimirzy Małej z r. 1063, w którym jeden szczegół zwrócił jego uwagę. Oto pośród świadków na pierwszem miejscu wymieniony był św. Stanisław, podówczas jeszcze kanonik krakowski. Tę samą wiadomość, z małemi odmianami, powtarza w »Żywotach biskupów« pod Lambertem-Sułą[2].

Przytaczamy poniżej obie wersye Długoszowe w zestawieniu obok siebie i zaznaczamy kursywą miejsca, w których teksty ich wzajem się uzupełniają:

Hunc (sct. Lampertum) ad devotam petitionem Nicolai de Mykolayow *filii* Wsczeklicze, cornu pro armis, Stanislai et Bogussii de Zemlicze, caput asininum, Petri et Jacobi *de* Sbilutowicze,	Hunc (sct. Lampertum) *ad instantiam et* petitionem devotam *nobilium* Nicolai Wsczeklicze de Mykolayow de armis *in clipeo unum* cornu, Stauissii et Bogussii de Zemlicze *de armis Po-*

[1] Semkowicz Al. Krytyczny rozbiór Dziejów Polskich Jana Długosza, str. 42 i 47.

[2] Opera omnia, t. I. str. 383.

clypeum in clypeo, Msczugii et Johannis de Jakuscbowicze, babatum cum cruce, pro insignibus deferentium, ecclesiam parochialem in minori Kazimirza reperio fundasse et certas decimas manipulares illi adiunxisse. In fundationis quoque privilegio *Anno Domini Millesimo sexagesimo tertio in Dzerzaszna scripto et confecto*, cuius memini me legisse tenorem, beatum Stanislaum tunc Cracoviensem canonicum, pro primo et principali cum aliis Cracoviensibus et Wratislaviensibus canonicis testem scripsisse.

lukoza caput asininum, Petri et Jacobi Sbilutowicze *de armis Janina*, clipeum in clipeo, Msczugii et Johannis de Jakuschowicze *de armis Jastrzambczi*, babatum cum cruce pro insigni deferentium, ecclesiam parochialem in minori Kazimirza reperio fundasse, et certas illi decimas manipulares adiunxisse et in fundationis privilegio, cuius tenorem me legisse recolo, beatum Stanislaum tunc Cracoviensem canonicum pro primo et principali, cum aliis Cracoviensibus et Wratislaviensibus canonicis pro testibus posuisse.

Zasób przywiedzionych w tem streszczeniu szczegółów z dokumentu biskupa Lamberta dowodzi, że Długosz nietylko go — jak zaznacza — czytał, ale niewątpliwie sporządził sobie zeń wyciąg, który spożytkował następnie w obu swych dziełach. Byłby to zatem jedyny z XI w. do czasów jego dochowany dokument, najdawniejszy zarazem okaz dyplomatyki polskiej, gdyby okazał się autentycznym. Niestety, już streszczenie Długoszowe nasuwa w tym względzie poważne wątpliwości. Bo jakkolwiek data dokumentu r. 1063 pozostaje w zgodzie z czasem zasiadania Lamberta-Suły na krakowskim stolcu biskupim (1061—1071), jakkolwiek obecność Stanisława, kanonika krakowskiego, sama przez się nie budziłaby jeszcze nieufności, to jednak owa szlachta, pisząca się ze swych dóbr dziedzicznych »de Mykolayow«, »de Zemlicze« etc., nastręcza uznaniu dokumentu za autentyczny nieprzezwyciężone trudności, chyba że te przydomki uznałoby się za własne dodatki Długosza, względnie za interpolacye, które on przejął za pośrednictwem jakichś transsumptów. Najmniej stosunkowo podejrzeń budziłby opis herbów przytoczonych rycerzy, który łatwo złożyć było można na karb znanej skłonności autora »Klejnotów« do heraldyzacyi. Wobec tych jednak wątpliwości, na podstawie notatki Długosza, nie podobna było wytworzyć sobie o dokumencie biskupa Lamberta należytego wyobrażenia, i nie pozostawało nic innego, jak przejść nad nim do porządku dziennego, gdyby nie odkrycie samego dokumentu w aktach konsystorza krakowskiego.

Na dokument biskupa Lamberta zwrócił moją uwagę ks. Zygmunt Dunin Kozicki, gruntowny znawca archiwum konsystorskiego

w Krakowie. Kierując się jego wskazówkami, za które mu gorącą wyrażam podziękę, odnalazłem przy życzliwej pomocy ks. Jana Sygańskiego T. J. rzeczony dokument, inserowany dwukrotnie w aktach procesowych z r. 1330, które oblatowano w księgi oficyalatu krakowskiego z lat 1627/8. (Tom 123, str. 1019—1025 i 1077—1082)[1].

Ponieważ sam proces o dziesięciny z r. 1330 nie bez wartości jest dla prawa kanonicznego, przytaczam go także w całości, wraz z zawartym w nim dokumentem biskupa Lamberta.

In nomine Domini amen. Anno nativitatis eiusdem millesimo trecentesimo tricesimo, indictione secunda, decimo octavo calendas mensis Julii, hora quasi prima in Radlow, venerabili in Christo patre domino Joanne, divina et apostolicae sedis providentia episcopo Cracoviensi in palatio suo praesidente, honorabilis vir dominus Arnoldus de Kamen, canonicus S. Michaelis in Cracovia, quandam sententiam diffinitivam in praesentia mei, notarii infrascripti testiumque subsciptorum, nomine dicti domini episcopi tulit et publicavit, in papirea charta legendo in haec verba:

In nomine Domini amen. Nos Joannes divina et apostolicae sedis providentia episcopus cracoviensis, notum facimus universis, praesentes litteras habituris, quod, cum inter discretos viros Bogdasium, rectorem ecclesiae de Parva Kazimirza ex una, actorem, et Boskonem plebanum de Zeben[2], Nicolaumque capellanum nobilis viri Tomeslai (palatini)[3] Sandomiriensis, reos parte ex altera, super decimis

[1] Akt ten oblatował Jan Suliński, pleban w Kazimirzy Małej, dnia 2 lipca 1628 r.

[2] W kopii raz Zelen drugi raz Debini. Takie parafie nie istniały wcale, natomiast względy rzeczowe, które rozważymy niżej, wskazują na Szebnię, która występuje w źródłach w pisowni: Seben, Sebin, Czeben (Theiner, Mon. Vat. t. I. str. 244, 278 oraz KKK. nr. 228. W oryginale mogło być Zeben, co kopista źle odczytawszy, przepisał raz Zelen, drugi raz Debini. Tu błąd paleograficzny był bardzo łatwy.

[3] Tego wyrazu brak w kopii ale następny wyraz »Sandomiriensis« nakazuje domyślać się, że przed nim opuszczono jakiś tytuł. Otóż Tomisław był niewątpliwie w roku 1330 wojewodą sandomirskim. Występuje on bowiem w tej godności w latach 1320—1327 (KMp. I. nr. 163 — KM. II. 593) i sprawował ją zapewne jeszcze w r. 1330. W następnym roku 1331 wojewodą sandomierskim był już Mścigniew Warcisławicz (KM. II. nr. 604).

in Mikolaiow, Stropeszyn et Zagaiow, coram nobis quaestio fuisset exorta pro parte dicti Bogdasii, rectoris ecclesiae praedictae de Parva Kazimirza, libellus existit in haec verba oblatus:

Coram vobis honorabili viro magistro Petro, officiali auditoreque causarum domini episcopi Cracoviensis, ego Bogdasius, rector ecclesiae praedictae de Parva Kazimirza contra et adversus Boskonem de Zeben et Nicolaum Thomeslai capellanum in iudicio constitutus conquerendo propono, quod cum decimas post araturas Sandonis militis in Mikolaiow, Stropeszyn et Zagaiow a tempore, cuius contrarii memoria non existit, praedecessores mei nomine ecclesiae meae possederunt, perceperunt, ac ego possideram aliquibus annis easdem, idem Bosko et Nicolaus me et ecclesiam meam praedictis decimis spoliare non desistunt. Quare peto nomine quo supra per vestram sententiam mihi et ecclesiae meae easdem decimas adiudicari sine strepitu et figura iudicii, cum fructibus perceptis, vel quae percipi potuerunt. Peto etiam expensas in lite factas et protestor de faciendis.

In testimonium vero eiusdem libelli obtulit ecclesiae suae veterissimum (sic) privilegium vetustate praeventum, ad quod quidem quinque sigilla vetustissima erant appensa. Descriptiones item sigillorum infra patebant, prout in forma erant et cuius tenor erat et est talis:

> In nomine Domini amen. Noverint universi, praesentes et futuri, quorum audientiae praesens scriptum fuerit recitatum, quod in fundatione ecclesiae in Parva Kazimirza coram nobis Lamperto divina providentia episcopo Cracoviensi, nobiles viri nostri in praesentia constituti, scilicet Nicolaus de Mikolaiow filius Wsczeklice, Stanissius et Bogussius Michaelis de Szemlice, Sbilutus et Petrus Jacobi de Sbiluthowice, Mscugius Joannis (s.) de Jakuszowice haeredes, sana ac libera voluntate, post araturas suas decimas, videlicet Nicolaus in Mikolaiow et Stropeszyn et in Zagaiow, Stanissius et Bogussius in Szemlice, Osmolice, Gabolthow, Bogumilowice, Sbyluth et Petrus in Zbylutowice, Mnogolice, Mscugius in Jakuszowice, nunc vero blisne, sredne, dalne Jakuszowice nuncupatur, ad honorem et laudem omnipotentis Dei et ob reverentiam Beatae et gloriosae Dei genitricis Virginis Mariae et omnium Sanctorum, dictae ecclesiae in Parva Kazimirza dictas decimas dederunt, contulerunt et perpetuis temporibus assignaverunt. Quam quidem donationem

et assignationem considerantes rite et rationabiliter esse factam, ipsam admittentes, de solita nostra pontificali dignitate ratificamus, *cum descriptionibus sigillorum*[1] approbamus et gratuite confirmamus. In cuius rei testimonium sigillorum nostrorum, praemissorumque nobilium sigilla sunt appensa. Actum in Dzierzasna, feria sexta quatuor temporum autumni, anno Domini millesimo sexagesimo tertio, praesentibus his: Stanislao canonico Cracoviensi, Nicolao Vratislaviensi et Godfredo canonicis[2], Gamberto de Bithom, Heluigo de Slawcovia plebanis et Radomiro nostrae curiae prothonotario et aliis quam plurimis fidedignis.

Descriptiones sigillorum itaque veterissimi (sic) privilegii erant in hanc formam: atque primum sigillum erat longum, appensum rubeo serico, cera ab extra alba, intus vero rubea, in medio erat imago pontificalis, tenens curvaturam in manu sinistra, cum dextra vero ad modum benedictionis, verba erant circumferentialiter: Sigillum Lamberti episcopi Cracoviensis. Aliud vero erat rotundum, cera ab extra alba, intus vero viridis, in medio erat clypeus et in medio clypei cornu cervi, verba erant circumferentialiter: Sigillum Nicolai haeredis de Mikolaiow. Tertium erat rotundum, cera extra alba, intus vero nigra, in medio erat clypeus in clypeo, verba circumferentialiter: Sigillum Petri de Sbyluth. Quartum vero ad modum clypei erat, cera extra alba, intus vero viridis, in medio erat caput asininum, verba circumferentialiter: Sigillum Stanislai de Zemlice. Quintum erat rotundum, cera ab extra alba, intus vero nigra, in medio erat babatum, intus habens crucem, verba circumferentialiter erant: Sigillum Mscugii de Jakuszowice.

Lite igitur et tali privilegio legittime contestata, dicto Boskoni et Nicolao ad audiendam sententiam definitivam sufficienter citatis, ipsis tamquam contumaciter absentibus, quorum absentiam divina repleta providentia, deliberatione diligenti super hoc et consilio sapientum habito, Dei nomine invocato, dicto Bogdasio et ecclesiae ipsius praedictas decimas in supradictis villis cum perceptis adiudicamus, praemissumque privilegium antiquitate praeventum, nostris sigillis perpetuis temporibus in his scriptis, salvis suis sigillorum descriptionibus ratificando, renovando, roborando confirmamus.

---

[1] To oczywiście wtręt transsumującego notaryusza.

[2] W kopii brak wyszczególnienia tej ostatniej kanonii.

Super qua ratificatione, roboratione, sigillorum descriptione, confirmatione et renovatione, locatione, praefatus Bogdasius a me notario infrascripto sibi petiit fieri publicum instrumentum. Actum anno, indictione, die, mense, hora, loco, quibus supra. Praesentibus honorabilibus et discretis viris: Bodzanta decano Cracoviensi, Naasan praeposito, magistro Petro cantore Visliciensi, Derscone custode S. Floriani, Ichrico (s.) de Zambocin, Nicolao in Socoliny, Petro de Gabolthow plebanis, et aliis quam pluribus testibus fidedignis, ad praemissa vocatis et rogatis.

Et ego Albertus Jasconis [1] de Opatowiec, clericus Cracoviensis dioecesis, praesentibus aucthoritate apostolica et imperiali notarius, supradictae sigillorum descriptioni, renovationi, ratificationi, confirmationi, definitivae sententiae lationi aliisque omnibus et singulis praemissis, dum sic agerentur, una cum testibus praenotatis vocatus et rogatus, praesens interfui, ipsamque ad petitionem supradicti Bogdasii propria manu in hanc publicam formam redegi, meoque signo et nomine consuetis consignando in testimonium omnium praemissorum.

Treścią przytoczonego aktu jest proces i wyrok sądu biskupiego krakowskiego w sporze o dziesięciny między plebanami kościołów w Kazimirzy Małej i w Szebni w r. 1330. Prawno - faktyczna strona aktu nie budzi żadnych podejrzeń i nie zawiera nic, coby z datą wyroku pozostawało w sprzeczności [2]. Geneza sporu wystąpi jaśniej na tle stosunków rodowych.

[1] W kopii »Petrus Basconis« jest błędne. Takiego notaryusza źródła z tych czasów nie znają, natomiast występuje współcześnie »Albertus Johannis, (Jasconis) de Opatowiec«, który w r. 1326 jest wikaryuszem katedralnym krakowskim (KM. II. nr. 592), a w r. 1332 jako notaryusz publiczny redaguje inny wyrok (KKK. nr. 150), którego styl wielce zbliża się do dyktatu niniejszego aktu. (Zob. niżej str. 50). Wobec tego nie może być wątpliwości, że tu kopista popełnił błąd, przekręcając imię notaryusza i jego ojca.

[2] Zwracam jedynie uwagę na błędną indykcyę; na rok 1330 przypada indykcya XIII. Błąd ten niekoniecznie kopiście przypisać należy. W tych czaskch często błędnie obliczano znamiona chronologiczne i w najautentyczniejszych dokumentach zdarzają się omyłki. Por. np. dokument z r. 1333, gdzie podana jest indykcya XVI, jakkolwiek taka indykcya zgoła nie istniała (ostatnia była XV).

Kazimirza Mała, leżąca nad Nidzicą w ziemi wiślickiej i szereg wsi okolicznych, należały w pocz. XV w. do rodu Bibersteinów, który posiadał nadto w tych czasach drugi klucz dóbr, mianowicie Szebnię w Jasielskiem[1]. Między kazimirską a szebieńską gałęzią Bibersteinów dadzą się wykryć jeszcze w XV w. związki, przejawiające się w dziedziczeniu rodzonych braci na obu kluczach dóbr. Tak np. w r. 1427 występują bracia rodzeni: Spytek, Henryk i Nawój, z których pierwszy posiada Mikołajów w kluczu kazimirskim, a tamci dwaj Moderówkę i Szebnię w kluczu szebieńskim. Wskazuje to na niedawne stosunkowo rozczepienie się rodu na obie gałęzie, nie dalej, jak dwie albo trzy generacye wstecz.

Otóż domysł ten znajduje potwierdzenie w naszym procesie między plebanem kazimirskim a szebieńskim o dziesięciny *„post araturam Sandonis, militis in Mikolaiow, Stropieszyn et Zagajow“*. Wsie te leżą pod Kazimirzą Małą, a Mikołajów, jak wspomnieliśmy był jeszcze w pocz. XV w. w ręku Spytka Bibersteina, którego bracia dziedziczyli w Szebni. Rycerz Sąd, dziedziczący w r. 1330 na Mikołajowie, Stropieszynie i Zagajowie, to niewątpliwie także Biberstein, a przodek wspomnianych braci. Imię Sąd nieobce jest tej rodzinie, i jeszcze w pocz. XV w. nosi je dziedzic Moderówki, syn wymienionego dopieroco Henryka[2]. Otóż jest rzeczą nader prawdopodobną, że ów Sąd z naszego procesu, to nie kto inny, jeno kasztelan sandomierski z lat 1333—1334, którego zachowana pieczęć z r. 1334 przedstawia właśnie herb Bibersteinów[3]. On sam, czy też może któryś z przodków jego, wydzielił widocznie — jak to nieraz bywało — z funduszu kościoła kazimirskiego dziesięciny niektórych wsi dla kościoła w dziedzicznej Szebni[4]. Proboszcz kazimirski, pokrzywdzony w swych prawach, pozwał wówczas plebana z Szebni przez sąd biskupi. Oprócz plebana szebieńskiego pozwał proboszcz kazimirski Mikołaja, kapelana wojewody sandomierskiego Tomisława[5]. Kto był ten Tomisław i z jakiego pochodził rodu,

[1] Por. Białkowski L. Ród Bibersteinów, str. 17 i 21.

[2] Tamże, str. 25.

[3] Piekosiński. Pieczęcie polskie wieków średnich, nr. 372. W »Rycerstwie pol. w. śr.« t. III. str. 265 Piekosiński mylnie zalicza go (na podstawie imienia) do Odrowążów.

[4] Szebnia istnieje już w r. 1326. Theiner, t. I. str. 244.

[5] Że Tomisław był wojewodą sandomierskim, zwróciłem uwagę wyżej na str. 45 przypisek 3.

na to bezpośrednich wskazówek nie posiadamy [1]. Domyślać się jednak można z toku całej sprawy, że i on pochodził także z rodu Bibersteinów. Jego to synem lub bratankiem był niewątpliwie Tomisław z Szebni, świadczący na dokumencie z r. 1362 [2].

Nietylko względy rzeczowe, zawarte w treści aktu, przemawiają za jego autentycznością, ale i kryterya formalne, zwłaszcza dyktat daje temu wymowne świadectwo. Redaktorem wyroku, który nadał mu „*publicam formam*" był Wojciech syn Jaśka z Opatowca, notaryusz biskupi. Otóż znamy inny wyrok redakcyi tegoż notaryusza, z r. 1332 [3], którego porównanie z naszym wyrokiem wykazuje istotnie ten sam dyktat. Zestawiamy poniżej parę formuł końcowych obu wyroków:

Wyrok z r. 1330.	Wyrok z r. 1332.
Quod cum... questio fuisset exorta *pro parte* dicti Bogdassii... *libellus extitit* in haec verba *oblatus: Coram Vobis* Honorabili viro... *Ego* B. rector ecclesiae... *contra* et adversus... conquerendo *propono*, *quod cum* etc.	Quibus sic exhibitis demum *pro parte* domini episcopi Cracoviensis *libellus extitit oblatus* sub isto tenore: *Coram vobis* religioso viro... *ego* W. plebanus... *propono contra*... *quod cum* etc.
Et ego Albertus Jasconis de Opatowiec, clericus Cracoviensis dioecesis, praesentibus *auctoritate apostolica et imperiali notarius* etc.	*Et ego Albertus* olim *Johannis de Opatowecz clericus diocesis Cracoviensis, apostolica et imperiali auctoritate notarius* publicus etc.
... supradictae sententiae lationi... *vocatus et rogatus* praesens *interfui*, ipsamque ad petitionem supradicti B. propria manu in hanc *publicam formam redegi*, *meoque signo et nomine* consuetis *consignando in testimonium* *omnium praemissorum*.	... praedictae causae *interfui vocatus et rogatus* et eam de mandato et auctoritate praedicti judicis delegati suum sigillum apponendo sic *in publicam formam redegi, nomine et signo meo* ipsam *consignando in testimonium praemissorum* et perpetuam rei memoriam habendam.

Wreszcie osoby występujące w procesie są nam w znacznej części znane ze współczesnych źródeł i również stwierdzają auten-

[1] Piekosiński zalicza go dowolnie do rodu Jelitczyków i identyfikuje bez udowodnienia z Tomisławem z Mokrska.

[2] KKK. nr. 228.

[3] Tamże, nr. 150.

tyczność aktu. Mistrz Piotr, sędzia nadworny biskupa krakowskiego, zarazem pleban ze Skałki i kantor wiślicki (pośród świadków wyroku) występuje w tym charakterze w latach 1328—1337 [1]. Bodzanta jest dziekanem krakowskim w latach 1320—1348 [2], Nasan proboszczem wiślickim w latach 1328—1343 [3], Dzierzko kanonikiem u św. Floryana w r. 1330 [4], Piotr, pleban w Gabułtowie występuje w roku 1337 [5], wreszcie Wojciech, syn Jana z Opatowca, jako notaryusz biskupi w r. 1332 [6].

Wykazawszy tym sposobem autentyczność wyroku w sprawie dziesięcin kościoła Kazimirzy Małej, przystępujemy obecnie do rozpatrzenia dokumentu fundacyjnego tegoż kościoła, przedłożonego w procesie przez jego proboszcza na dowód praw dziesięcinnych.

Jak zaznaczyliśmy na początku, znał ten dokument Długosz i podał w »Historyi« i w »Żywotach biskupów« jego streszczenie. Z porównania notatki Długoszowej z samym dokumentem, okazuje się niewątpliwie 1) że nie inny, ale ten właśnie tekst miał Długosz przed sobą, 2) że streszczenie jego jest wierne i pozbawione własnych dodatków Długosza.

Ale jeśli notatka Długosza budziła tylko podejrzenia co do autentyczności dokumentu, to pełny tekst jego rozprasza w tym kierunku wszelkie wątpliwości i okazuje, że mamy do czynienia z wierutnym falsyfikatem.

Więc najpierw — ile chodzi o formułę — inwokacya »*In nomine domini amen*«, niezwykła jeszcze w wieku XII, rozpowszechnia się dopiero w następnem stuleciu. Rażącym anachronizmem jest *maiestaticus pluralis* biskupa wystawcy, rażące nazwy miejscowości przy imionach rycerzy-dziedziców, wprost niedorzecznością w tym czasie ich pieczęcie z herbami. Pomijam już styl zawiły, brak formuły penalnej i inne właściwości, niedające się wprost pomyśleć, już nie tylko w XI, ale nawet w XII w.

[1] Kod. kat. kr. tom I. nr. 149—161, tom II. nr. 244—250. Kod. mog. nr. 56.

[2] Kod. młp. t. I. nr. 164. W r. 1348 zostaje biskupem krakowskim.

[3] K. kat. kr. t. I. nr. 144—147, t. II. nr. 244, 245, Kod. mp. tom III. nr. 641.

[4] Kod. mp. II. nr. 602.

[5] Kod. kat. kr. nr. 161.

[6] Kod. kat. krak. nr. 150.

Lecz uznanie dokumentu biskupa Lamberta za falsyfikat nie zwalnia nas jeszcze od dalszych nad nim badań. Dyplomatyka nowoczesna jest czemś więcej, niż »*ars discernendi diplomata vera ac falsa*« — jak ją dawnemi określano czasy, zadanie jej nie kończy się przeto na prostem stwierdzeniu fałszerstwa. Wnikając głębiej w istotę i przyczyny podrobienia dokumentu, dzisiejsza dyplomatyka bada czas, miejsce, sprawcę fałszerstwa i inne okoliczności mu towarzyszące, stara się przy tem dociec, czy i w jakiej mierze fałszerz zużytkował wiarygodne wiadomości, zaczerpnięte z autentycznych dokumentów, zapisek lub tradycyi.

Co się tyczy czasu podrobienia dokumentu, to mamy w nim jeden szczegół, który kwestyę tę odrazu rozwiązuje. Oto pieczęć biskupa Lamberta przywieszona do dokumentu z r. 1063 miała być wyciśnięta w czerwonym wosku. Aż do Nankera włącznie (t. j. do r. 1326) używali biskupi krakowscy stale wosku zwykłego — pierwszym, który zaczął wyciskać pieczęć w czerwonym wosku, był Jan Grot[1] (1326—1347), t. j. ten właśnie biskup, przed którego sądem toczył się spór o dziesięciny Kazimirzy Małej. Wynika stąd, że fałszerstwa dokonano współcześnie t. j. na krótko przed r. 1330, w którym dokument przedłożono w sądzie biskupim.

Ta ostatnia okoliczność wyjaśnia nam zarazem cel fałszerstwa. Nie ulega wątpliwości, że dokument Lamberta podrobiony został *ad hoc*, dla zyskania środka dowodowego w procesie o dziesięciny.

Sprawcą fałszerstwa był zapewne sam proboszcz kazimirski, w każdym zaś razie ktoś niezbyt biegły w sztuce podrabiania dawnych dokumentów i nie mający widocznie pod ręką starych wzorów, choćby z XII w. Gdyby bowiem fałszerstwo było dokonane w kapitule krakowskiej lub w którymkolwiek ze starych klasztorów ub kollegiat polskich, byłby fałszerz niezawodnie zużytkował zachowane tam dawne autentyki, celem nadania swemu falsyfikatowi pozoru cech archaicznych.

Inna rzecz, czy fałszerz nie znał jakich zapisek, które mogły mu dostarczyć rzeczowego substratu do podrobienia dokumentu. Te rzeczowe szczegóły mogły dotyczyć: 1) aktu konsekracyi kościoła kazimirskiego w r. 1063 przez biskupa Lamberta, ewentualnie także

---

[1] Por. Piekosiński. Pieczęcie pol. w. średn. nr. 326 (Nanker) i 368 (Jan Grot).

świadków obecnych przy konsekracyi, 2) nadań dziesięcinnych, poczynionych przez okoliczne rycerstwo na rzecz kościoła.

Co do konsekracyi, podnieśliśmy już pierwej jeden moment niemałej wagi, mianowicie zgodność daty dokumentu z pontyfikatem Lamberta-Suły, którego chronologię poświadczają najdawniejsze nasze roczniki (1061—1071)[1]. Przypadkowością tego faktu tłómaczyć nie wolno, niepodobna zaś przypuszczać, by fałszerz, który grzeszył zupełną ignorancyą dawnych zasad dyplomatyki i nie troszczył się o najbardziej zdradliwą w procesie formę dokumentu, dbał o zgodność chronologii dla tak odległej epoki i czynił w tym kierunku jakieś badania. Możnaby to przyjąć dla dokumentu podrobionego w kapitule, gdzie były pod ręką roczniki i katalogi biskupów, gdzie zatem dobór daty nie przedstawiał trudności, ale nie dla falsyfikatu, który powstał niewątpliwie w prowincyonalnym kościele. Otóż przypuszczam, że fałszerz miał w istocie pod ręką zapiskę o konsekracyi kościoła kazimirskiego przez biskupa Lamberta w r. 1063. Za założyciela Kazimirzy uważaćby zatem należało Kazimierza Odnowiciela.

Osad o nazwie Kazimierz, Kazimirza, jest kilka na obszarze ziem polskich; wszystkie one są bardzo stare i z wyjątkiem Kazimierza krakowskiego i lubelskiego dadzą się związać z imieniem jednego z dwóch pierwszych Kazimierzów: Odnowiciela lub Sprawiedliwego.

Kazimirza, o której mowa, składała się z dwóch osad, położonych po obu brzegach Nidzicy. Osada leżąca po stronie krakowskiej zwała się Wielką, druga po stronie wiślickiej — Małą. Trudno dziś dociec, czy od początku były tam dwie osady, czy też może łączył je stosunek macierzy do córy. W tym ostatnim razie, który jest prawdopodobniejszy, Kazimirza Mała (Młodsza) byłaby filią Wielkiej (Starej), co nie wyłącza możliwości powstania obu jeszcze za Kazimierza Odnowiciela. Jakkolwiekbądź się rzecz miała, faktem jest, że obie osady posiadały już bardzo dawno kościoły parafialne: Wielka pod wezwaniem św. Krzyża, Mała pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP. Oba kościoły figurują już w najdawniejszych kollektoryach świętopietrza jako siedziby dekanatów[2], w szczególności Mała

[1] Rocznik kapitulny krak. Mon. Pol. t. II. str. 795.
[2] Theiner, Mon. Pol. Vat. t. I. str. 243.

Kazimirza była nią w latach 1349—1357 [1]. Jestto ważne kryteryum starożytności kościoła, nie ulega bowiem wątpliwości, że stolice dekanatów łączyły się z najstarszemi świątyniami, że wymienię Prandocin, Jędrzejów, Sącz, Sławków, Bytom, Korczyn, Kije, które to kościoły należą niewątpliwie do najdawniejszych, z XI i XII w.

I tytuł kościoła *»Assumptionis B. M. V.«* należy do bardzo starych. Matce Bożej dedykowane były prawie wszystkie dawne kościoły polskie, bądź to samoistnie, bądź obok drugiego wezwania. Kościoły w Gnieźnie, Mogilnie, Łęczycy, Wiślicy, Kielcach, należące do najstarszych, miały wezwanie NMPanny. Rozważenie tych wszystkich okoliczności pozwala odnieść założenie kościoła w Kazimirzy Małej do wieku XI, do czasów biskupa Lamberta.

Z aktem konsekracyi łączy się nadto miejsce wystawienia dokumentu fundacyjnego i jego świadkowie. Dzierząznia, jako miejsce wystawienia dokumentu jest prowdopodobnie przez fałszerza zmyślona, jako jedna z najbliższych Kazimirzy w XIV w. posiadłości biskupich. Lecz wątpić należy, czy przynależność jej do stołu biskupiego sięga XI w. Najdawniejszą wzmiankę o Dzierząznі znajdujemy w dokumencie arcybiskupa Jana dla klasztoru w Jędrzejowie z r. 1174/6. Wymieniona jest tam ona między wsiami, które arcybiskup zakupił dla tego klasztoru [2]. Na własność biskupstwa przeszła, zdaje się, dopiero w r. 1287, kiedy Leszek Czarny nadał Pawłowi z Przemankowa *„villam suam in Derusna"* [3]. Wiadomość Długosza, jakoby w czasie bitwy nad rzeką Mozgawą w r. 1195 biskup krakowski Pełka stał w Dzierząznі, polega tylko na kombinacyi, nie popartej zresztą żadnem dawnem źródłem [4]. Z tem wszystkiem do szczegółu tego w naszym dokumencie nie można przywiązywać zbytniej wagi.

Co powiedzieć o świadkach, z pośród których kanonik Stanisław zwrócił już uwagę Długosza, stanowiąc istotnie najciekawszy szczegół w naszym dokumencie, bo gdyby się okazał autentycznym, mielibyśmy cenną zdobycz naukową. Niestety, wykazać tego niepodobna. Jakkolwiek bowiem jest rzeczą prawdopodobną, że Stanisław

[1] Korzystałem dzięki uprzejmości Dra J. Ptaśnika z kollektoryów, które wejść mają do wydawnictwa Monumenta Poloniae Vaticana.

[2] Kod. mpol. t. II. nr. 374.

[3] Kod. kat. krak. nr. 85.

[4] Historya Pol. tom II. str. 146. Por. Al. Semkowicz, Krytyczny rozbiór r. 200.

był w tym czasie kanonikiem krakowskim, a »Żywot mniejszy«, źródło z pierwszej połowy XIII w., wyraźnie mówi o tem, że biskup Lambert *„fecit eum in ecclesia Cracoviensi fratrem et canonicum“* [1], to jednak zarówno ta wiadomość, jak i umieszczenie Stanisława, jako kanonika krakowskiego, na liście świadków dokumentu kazimirskiego może polegać tylko na prostej kombinacyi, że za pontyfikatu swego poprzednika Lamberta był Stanisław kanonikiem. Nie mamy przeto żadnej pewności, że szczegół ten w naszym dokumencie opiera się na jakichkolwiek wiarygodnych danych, mianowicie na zapisce o konsekracyi kościoła, gdzie mogliby być wymienieni świadkowie tego aktu, i raczej przypuścić trzeba, że mamy tu do czynienia z czczym wymysłem, w celu nadania falsyfikatowi większej powagi i wiarygodności.

Toż samo tyczy się reszty świadków, jakkolwiek i tu nie brak pozorów wiarygodności. Zwłaszcza dwaj plebani, bytomski i sławkowski, mogliby zrazu łudzić, bo Bytom i Sławków to bardzo stare grody [2], gdzie już wcześnie mogły istnieć kościoły grodowe; czy jednak w tym czasie może być mowa o »plebanach«, jest rzeczą więcej niż wątpliwą. Ostatni ze świadków, pronotaryusz biskupi, jest już niedorzecznym wymysłem. Tytuł ten, dotąd niewyjaśnionego (zdaje się bizantyńskiego) pochodzenia, był w XI w. jedynie w użyciu u Normanów Włoch południowych [3]. W Europie środkowej, mianowicie w kancelaryi cesarskiej a w ślad za tem w kancelaryach biskupich, zjawia się dopiero w poł. XII w. [4], w kuryi papieskiej zaś dopiero w XIV w. [5]. W Polsce zjawia się protonotaryusz z końcem XIII w. za rządów czeskich [6]. Z tych względów wzmiankę o pronotaryuszu w naszym dokumencie nie podobna uważać za wiarygodną, tembardziej, że o zorganizowanej kancelaryi biskupiej w Polsce tych czasów nie może być w ogóle mowy. Podobnie tedy jak

[1] Mon. Pol. t. IV. str. 250.

[2] Bytom wspomniany już u Galla (Chronicon, str. 66, 87, 88) oraz w bulli gnieźnieńskiej z roku 1136 (Kwp. nr. 7). Sławków był jedną z najdawniejszych posiadłości biskupstwa krakowskiego i jeszcze w XIII w. istniał tam gród, jako centrum »kasztelani sławkowskiej«. Kod. kat. krak. t. I. nr. 88.

[3] Por. Erben-Redlich, Urkundenlehre, str. 80.

[4] Tamże, oraz Bresslau, Urkundenlehre, str. 369.

[5] Bresslau, l. c, str. 233.

[6] Henryk Quas, protonotaryusz Wacława czeskiego w r. 1292. Kod. mpol. t. II. nr. 521 i 522.

miejsce wystawienia dokumentu i całą grupę świadków uważam za zmyśloną, włącznie z datą dzienną, wyrażoną w falsyfikacie sposobem niezwykłym i bardzo rzadko w użyciu będącym, wedle suchednich (jesiennych), quatuor tempora (autumni).

Przechodzimy wreszcie do nadawców dziesięcin, celem stwierdzenia, czy są to postacie rzeczywiste, czy także — jak świadkowie — fikcyjne, przez fałszerza zmyślone. Są oni określeni w dokumencie wedle imion, dziedzin i rodów. Ten właśnie wzgląd nie dozwala ich odnieść do w. XI, gdyż rycerstwo dopiero z początkiem XIII w. zaczęło przybierać przydomki od swych dziedzicznych dóbr, który to zwyczaj ustala się w ciągu tego stulecia[1]. W XI w., jak i w XII, spodziewalibyśmy się tylko samych imion, co najwyżej z *patronimicum*. Nie mogą to być także osoby współczesne pobrobieniu dokumentu, a więc żyjące około r. 1330, nie podobna bowiem przypuścić, aby w falsyfikacie, mającym służyć za środek dowodowy w procesie o dziesięciny, współcześni ludzie figurowali jako nadawcy z w. XI. Pozostają zatem dwie alternatywy: 1) albo są to postacie historyczne, znane fałszerzowi z zapisek kościelnych, lecz zmarłe dawno, jakkolwiek nie przed wiekiem XIII (ze względu na przydomki); 2) albo też są oni wszyscy zmyśleni wraz z swemi imionami, dziedzinami i herbami.

Aby tę kwestyę rozstrzygnąć, trzeba przejść wszystkich nadawców po kolei i rozpatrzyć na podstawie źródeł ich stosunek do dóbr i rodów, do których wedle opisu pieczęci należeli.

1) Mikołaj, syn Wścieklicy z Mikołajowa, z rodu Bibersteinów, dziedzic Mikołajowa, Stropieszyna i Zagajowa. Już na początku niniejszej pracy wspomniałem, że Bibersteinowie byli w XIV i XV w. dziedzicami Kazimirzy Małej i kilku sąsiednich osad[2]. Najwcześniejsze ich w tej okolicy ślady sięgają trzeciego dziesiątka XIV w, t. j. czasu procesu o dziesięciny (Sąd, kasztelan sandomirski). Z trzech wsi, wymienionych w dokumencie Lamberta, z których kościół kazimirski miał pobierać dziesięciny, tylko Miko-

[1] W Małopolsce pierwszy raz pojawia się taki sposób określania pochodzenia w Album miechowskiem z r. 1198 (Kod. mp. t. II. nr. 376). W dok. z r. 1224 występuje już cały szereg rycerzy z takimi przydomkami. (KKK. tom I. nr. 14.).

[2] Patrz wyżej, str. 49.

łajów należał jeszcze w XV w. do Bibersteinów[1]. Dwie inne wsi nie dadzą się na podstawie znanych źródeł wykazać jako własność tego rodu; w poł. XV w. Stropieszyn należy do Kocińskiego h. Grabia, a Zagajów do Ujejskiego h. Drużyna, ale w najbliższem ich sąsiedztwie położona wieś Bibersteinów, Sokolina, wskazuje, że i one były niegdyś zapewne w ich posiadaniu[2]. Przezwisko Wścieklica nie obce jest źródłom naszym. Do dokumentu Łokietka dla katedry krakowskiej z r. 1306 przywiesił swą pieczęć »Nicolaus Fsceklicza«[3]; niestety pieczęć ta zaginęła, tak, że nie wiemy, czy to był Biberstein, ale identyczne imię i przezwisko wskazują, że nasz fałszerz nie wyssał ich z palca, czyli innemi słowy: Mikołaj syn Wścieklicy z Mikołajowa może być postacią rzeczywistą i pochodzić z rodu Bibersteinów, którzy istotnie na Mikołajowie dziedziczyli. Do jakiego czasu należy odnieść tego Mikołaja? Bibersteinowie, ród łużycki, pojawiają się w pierwszej połowie XIII w. na Śląsku[4], do Małopolski przybyć zatem mogli z Henrykiem Brodatym, jak tyle innych rodów, siedzących w tych stronach na pograniczu ziemi krakowskiej[5].

2) Stanisław i Bogusz, synowie Michała z Ziemlic, h. Połukoza, dziedzice Ziemlic, Osmolic, Gabułtowa i Bogumiłowic. Przedewszystkiem stwierdzić trzeba, że wszystkie te imiona były rzeczywiście w częstem użyciu w rodzie Połukozów. Imię Bogusz stało się nawet z czasem przydomkiem odrębnej rodziny h. Połukoza, która pisała się stale »de Zemblice«, utrzymując tradycyę swego pochodzenia[6]. Otóż w tej rodzinie Boguszów imiona Stanisław i Bogusz przetrwały bardzo długo, bo do XVI i XVII stulecia. Tak samo imię Michał bardzo często w rodzie Połukozów się powtarza, tak, że je Piekosiński słusznie za rodowe ich imię uznał[7]. Z czterech wsi, wymienionych jako własność Połukozów, z wyjąt-

---

[1] Spytek z Mikołajowa, 1427 (Białkowski, Ród Bibersteinów, str. 26) Henryk z Bibersteinów poł. XV w. (Liber Benef. t. II. s. 146).

[2] Liber Benef. t. II. str. 146, 412.

[3] Kod. kat. krak. t. I. nr. 114.

[4] Białkowski, l. c. str. 7 nast.

[5] Por. moją pracę: Włodycy polscy na tle porównawczem słowiańskiem, str. 48.

[6] Bogusz Adam, Mikołaja Bogusza spadkobiercy. Miesięcznik heraldyczny, r. 1909. nr. 4.

[7] Rycerstwo Polskie, t. III, str. 33.

kiem Osmolic, wsi wcześnie już opuszczonej [1], trzy pozostałe dadzą się wykazać w rękach tego rodu. O Ziemlicach mówiliśmy przed chwilą, że tradycya uważała je za gniazdo Boguszów-Półkoziców [2]. Gabułtów, w sąsiedztwie Ziemlic i Bogumiłowice pod Tarnowem, jeszcze do XV wieku przetrwały we władaniu Połukozów [3]. I ten szczegół zatem w dokumencie Lamberta uważać należy za wiarygodny, Michała zaś, ojca Stanisława i Bogusza możnaby zidentyfikować z Michałem Piotrkowiczem z rodu Połukozów, kasztelanem krakowskim (1243—1255) [4].

3) Zbylut i Piotr, synowie Jakuba ze Zbylutowic z rodu Janina, dziedzice Zbylutowic i Mnogolic. Rycerze ci źródłom naszym są zgoła nieznani, posiadłości zaś ich zjawiają się dopiero w XV w., lecz już w ręku innych rodów: w Zbylutowicach siedzą Ławszowici i Turzynici [5], w Mnogolicach Dębnowie [6]. W pobliżu jednak, w Kęsowie i w Cudzinowicach spotykamy w XV w. Janinów [7]. Imię Zbylut właściwe było wielkopolskiemu rodowi Pałuków [8], mamy tu jednak dowód, że pojawiało się ono i u małopolskich Janinów. Tem wytłómaczyć można genezę kilku nazw wsi małopolskich, utworzonych z imienia Zbylut. Janinowie byli też zapewne założycielami Zbylitowej góry pod Tarnowem, w pobliżu której posiadali jeszcze w XV w. Chyszów [9]. Rozważenie powyższych szczegółów dozwala Zbyluta i Piotra ze Zbylutowic uznać za postaci autentyczne.

4) Mszczuj i Jan z Jakuszowic, z rodu Jastrzębców, dziedzice Jakuszowic. Związku imion i dóbr ich z Jastrzębcami na podstawie dochowanych źródeł wykryć nie podobna. Jakuszowice należą w XV w. do Turzynitów i Połukoziców [10]. Jedynej

---

[1] Za czasów Długosza była już «deserta« Lib. Ben. t. II. s. 418.

[2] W XV w. były one już w posiadaniu Gerałtów i Różyców (Lib. Benef. t. II. str. 67 i 145).

[3] Co do Gabułtowa: zob. Lib. Benef. t. II str. 145. Co do Bogumiłowic: zob. Piekosiński, Heraldyka pol. w. średnich, str. 125, gdzie pieczęć Pawła z Bogumiłowic, sędziego z. krak. oraz Lib. Benef. t. II. str. 494.

[4] Piekosiński, Rycerstwo małop. t. III. str: 31—33,

[5] Lib. Benef. t. II. str. 146.

[6] Tamże, str. 146.

[7] Lib. Ben. t. II. str. 502 i Ulanowski, Inscr. clenod. nr. 338, 471, 481, 572.

[8] Por. moją pracę: Ród Pałuków.

[9] Piekosiński, Zap. wiślickie, nr. 29, 36.

[10] Lib. Ben. t. II. s. 146. oraz Ulanowski, Inscr. clenod. nr. 285, 320 i 477.

wskazówki mogą tu dostarczyć poblizkie osady Jastrzębców, Sokolina i Stawiszyce[1].

Zbierając wyniki powyższych rozważań, dochodzimy do wniosku, że szczegóły, tyczące się nadań dziesięcinnych na rzecz kościoła kazimirskiego opierają się prawdopodobnie na wiarygodnym przekazie miejscowych zapisek, a wymienieni rycerze są postaciami historycznemi z połowy XIII wieku.

[1] Lib. Ben. t. I. str. 416 i t. II. str. 414.

Treść.

PRZYCZYNEK DO TEORYI MNOGOŚCI

napisał

WACŁAW SIERPIŃSKI

W pracy niniejszej podam pewne twierdzenie z teoryi mnogości punktowych i wyprowadzę z niego kilka wniosków.

Będziemy oznaczali tym samym symbolem liczbę rzeczywistą oraz punkt prostej, będący jej obrazem. Mówić będziemy, że punkt p należy do przedziału $\delta = (a, b)$, jeżeli $a \leqslant p \leqslant b$, zaś że punkt p leży wewnątrz tego przedziału, jeżeli $a < p < b$.

Niech P oznacza dany zbiór punktów prostej (ograniczony lub nie). Dany punkt g prostej nazywamy, jak wiadomo, miejscem skupienia zbioru P (Cantor), jeżeli przy wszelkiem $\alpha < g$ oraz wszelkiem $\beta > g$ wewnątrz przedziału (α, β) zawiera się nieskończenie wiele punktów zbioru P, oraz miejscem kondensacyi tego zbioru (Lindelöf), jeżeli wewnątrz każdego takiego przedziału (α, β) zawiera się nieprzeliczalna mnogość punktów zbioru P. Jeżeli, w szczególności przy wszelkich $\alpha < g$ oraz $\beta > g$, mamy nieskończenie wiele — względnie nieprzeliczalną mnogość — punktów zbioru P wewnątrz każdego z przedziałów (α, g) oraz (g, β), to punkt g nazywać będziemy obustronnem miejscem skupienia — względnie kondensacyi — zbioru P.

Twierdzenie. Jeżeli każdy punkt zbioru P należy do jednego przynajmniej z przedziałów, tworzących zbiór Δ, to mnogość wszystkich tych punktów zbioru P, które nie leżą wewnątrz żadnego z przedziałów zbioru Δ, jest co najwyżej przeliczalną.

Dowód. Oznaczmy przez Q zbiór tych wszystkich punktów zbioru P, które nie leżą wewnątrz żadnego z przedziałów zbioru Δ; każdy punkt zbioru Q, jako części zbioru P, należeć będzie, w myśl założenia, do jednego przynajmniej z przedziałów zbioru Δ. Oznaczmy przez Δ_n zbiór wszystkich tych przedziałów zbioru Δ, które są większe od $\frac{1}{n}$, zaś przez Q_n zbiór wszystkich tych punktów zbioru Q,

które należą do jednego przynajmniej z przedziałów zbioru Δ_n. Będzie oczywiście

$$Q = Q_1 + (Q_2 - Q_1) + (Q_3 - Q_2) + (Q_4 - Q_3) + \dots \qquad (*)$$

Powiadam, że każdy ze zbiorów Q_n jest co najwyżej przeliczalnym.

W samej rzeczy, podzielmy prostą na odcinki o długości $\frac{1}{n}$: okażemy, że na każdym z nich leżą co najwyżej dwa punkty zbioru Q_n. Załóżmy w tym celu, że na jednym z naszych odcinków leżą trzy różne punkty q_1, q_2, q_3 zbioru Q_n. Jeżeli $q_1 < q_2 < q_3$, to będziemy oczywiście mieli $q_2 - q_1 < \frac{1}{n}$, oraz $q_3 - q_2 < \frac{1}{n}$. Oznaczmy przez δ przedział zbioru Δ_n, do którego należy q_2: skoro q_2 należy do przedziału $\delta > \frac{1}{n}$, a nie leży wewnątrz tego przedziału, więc musi być jednym z jego końców. Jeżeli q_2 jest lewym końcem przedziału δ, to oczywiście q_3 leży wewnątrz δ, jeżeli zaś prawym, to q_1 leży wewnątrz δ. W obu przypadkach wpadamy w sprzeczność z założeniem, że punkty q_1 i q_3 należą do Q.

Dowiedliśmy więc, że podzieliwszy prostą na przeliczalną mnogość odcinków o długości $\frac{1}{n}$, mamy na każdym z nich co najwyżej dwa punkty zbioru Q_n: zbiór ten jest więc co najwyżej przeliczalnym. Wobec wzoru (*) wynika stąd natychmiast, że i zbiór Q jest co najwyżej przeliczalnym, co było do udowodnienia.

Wniosek 1. Każdy zbiór punktów posiada co najwyżej przeliczalną mnogość miejsc skupienia, które nie są obustronnemi.

Dowód. Oznaczmy przez Q zbiór wszystkich tych miejsc skupienia danego zbioru P, które nie są obustronnemi. Jeżeli q jest jednem z nich, to istnieje odpowiedni przedział δ, którego (lewym lub prawym) końcem jest q, i wewnątrz którego niema żadnego punktu zbioru P, a więc też żadnego miejsca skupienia tego zbioru. Żaden zatem punkt zbioru Q nie może leżeć wewnątrz przedziału δ. Możemy więc względem zbioru Q oraz odpowiedniego zbioru Δ wszystkich przedziałów δ zastosować dowiedzione twierdzenie, skąd wynika, że zbiór Q jest co najwyżej przeliczalnym.

Gdybyśmy powtórzyli powyższy dowód, oznaczając przez Q

zbiór wszystkich punktów zbioru P, które nie są jego obustronnemi miejscami skupienia, to wnioskowalibyśmy, iż każdy zbiór punktów zawiera co najwyżej przeliczalną mnogość punktów, które nie są jego obustronnemi miejscami skupienia. Stąd natychmiast wynika

Wniosek 2. Każdy nieprzeliczalny zbiór punktów zawiera nieprzeliczalną mnogość punktów, które są jego obustronnemi miejscami skupienia.

Wniosek 3. Każdy zbiór punktów posiada co najwyżej przeliczalną mnogość miejsc kondensacyi, które nie są obustronnemi.

Dowód. Dla każdego miejsca kondensacyi q danego zbioru, które nie jest obustronnem, istnieje przedział δ, którego końcem jest q i wewnątrz którego zawiera się co najwyżej przeliczalna mnogość punktów danego zbioru. Żadne zatem miejsce kondensacyi nie może leżeć wewnątrz δ. Stąd natychmiast słuszność naszego wniosku.

Wniosek 4. Każdy zbiór liczb rzeczywistych, który uporządkowany według wielkości jest dobrze uporządkowanym, musi być co najwyżej przeliczalnym.

Dowód. Gdyby nasz zbiór był nieprzeliczalnym, posiadałby w myśl wniosku 2-go miejsce obustronnego skupienia. Możnaby więc z jego elementów zbudować ciąg nieskończony typu $^*\omega$, co przeczy założeniu, że zbiór jest dobrze uporządkowanym.

Wniosek 5. Wśród każdej nieprzeliczalnej mnogości miejsc nieciągłości funkcyi $f(x)$ w danym przedziale istnieje nieprzeliczalna mnogość punktów, w których $f(x)$ posiada z obu stron nieciągłość rodzaju 2-go[1].

Dowód. Niech P oznacza nieprzeliczalny zbiór punktów nieciągłości funkcyi $f(x)$. Oznaczmy przez $\omega(x)$ oscylacyę funkcyi $f(x)$ w punkcie x[2]. Gdyby przy wszelkiem naturalnem n zbiór P_n wszystkich, należących do P rozwiązań nierówności $\omega(x) \geqslant \frac{1}{n}$ był przeliczalnym, to i zbiór P musiałby, wbrew założeniu, być przeliczalnym. Jest więc przy pewnem n zbiór P_n nieprzeliczalnym. W zbiorze P_n

[1] Pojęcie dwóch rodzajów nieciągłości wprowadził Dini. Zob. Grundlagen für eine Theorie der Functionen einer veränderlichen reellen Grösse. Leipzig 1892.

[2] Definicyę tego pojęcia zob. n. p. u Baire'a: Leçons sur les fonct. discontinues. Paris 1905.

istnieje zatem, w myśl wniosku 2-go, nieprzeliczalna mnogość punktów, które są jego obustronnemi miejscami skupienia. Niech p będzie jednem z nich; z uwagi, że p jest obustronnem miejscem skupienia punktów, dla których $\omega(x) \geqslant \frac{1}{n}$, wynika w jednej chwili, że p jest dla $f(x)$ punktem nieciągłości z obu stron 2-go rodzaju.

Wniosek nasz został więc udowodnionym; z niego wynika natychmiast

Wniosek 6. W każdym przedziale istnieje co najwyżej przeliczalna mnogość miejsc, w których funkcya jest z jednej strony ciągłą, a z drugiej nieciągłą.

Jeżeli dla danej liczby g istnieje w danym zbiorze P ciąg nieskończony, wzrastający, zmierzający do g, to g nazwiemy prawostronnem miejscem skupienia tego zbioru. Zbiór, zawierający wszystkie swe prawostronne miejsca skupienia, nazwiemy prawostronnie zamkniętym.

Wniosek 7. Zbiór prawostronnie zamknięty różni się od swojej pochodnej co najwyżej o przeliczalną mnogość punktów.

Dowód. Niech F oznacza dany zbiór prawostronnie zamknięty. Połóżmy $F = F_1 + F_2$, oznaczając przez F_1 zbiór wszystkich tych punktów zbioru F, które nie są jego miejscami skupienia; zbiór F_1 będzie, jak wiemy, co najwyżej przeliczalnym, wszystkie zaś punkty zbioru F_2 będą zarazem elementami zbioru pochodnego F'.

Oznaczmy przez Q zbiór wszystkich tych elementów zbioru F', które nie są elementami zbioru F. Ponieważ ten ostatni jest zamkniętym prawostronnie, więc punkty zbioru Q będą lewostronnemi tylko miejscami skupienia dla F, i zbiór Q będzie zatem co najwyżej przeliczalnym. Mamy też oczywiście $F' = F_2 + Q$. Jest więc

$$F + Q = F_1 + F'$$

skąd, wobec wniosku o mocy zbiorów Q i F_1 wynika słuszność naszego twierdzenia.

TRZEJ POECI POLSKO-ŁACIŃSCY
Z XIX WIEKU.

Napisał

TADEUSZ SINKO.

Wiersze łacińskie pisano w Polsce tak długo, jak długo »poetyka« stanowiła integralną część wykształcenia. A że to wykształcenie spoczywało przeważnie w rękach Jezuitów lub osób (duchownych czy świeckich), stosujących się do jezuickiej »Ratio studiorum«, losy poezyi łacińskiej w Polsce niepodległej związane są z losami zakonu Jezuitów i ich planami nauk. Kassacyjne *breve* Klemensa XIV z r. 1773 jest zarazem wyrokiem śmierci na poezyę łacińską. W zreformowanych szkołach pojezuickich nie było już miejsca na pisanie wierszy łacińskich. Gdy więc ostatni jezuiccy nauczyciele poetyki, a zarazem poeci (jak Fr. Dyonizy Kniaźnin, Michał Korycki, Michał Leśniewski, by wymienić tylko autorów większych zbiorków z r. 1781, 1817, 1790), zstąpili do grobu, gdy wygasła generacya, wychowana w szkołach jezuickich (czy podobnych pijarskich, teatyńskich, ew. akademickich), skończył się (razem z niepodległą Polską) organiczny rozwój poezyi łacińskiej u nas. To, co na tem polu wydał wiek XIX, nie łączy się już organicznie z wykształceniem i kulturą narodową, jest egzotyczną osobliwością.

Na progu w. XIX spotykamy dwóch cudzoziemskich księży, piszących u nas i o naszych osobistościach znaczną liczbę wierszy łacińskich: Jeden, to Niemiec, Marcin Kuralt, kustosz biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie, autor wielu ulotnych panegiryków i epigramów; drugi — Włoch, Paweł Tarenghi, sprowadzony z Rzymu na profesora literatury rzymskiej do Wilna. Jego tomik, wydany w Wilnie w r. 1805 p. t.: *Odarum libri quattuor... Epodon liber,* jest ostatniem echem tej tak bujnej poezyi wileńskiej, której archegetą był Sarbiewski. Tej importowanej poezyi Kuralta i Tarenghiego nie potrzebujemy bynajmniej windykować dla literatury polskiej, skoro nie brak nam w tych czasach i własnych wierszorobów łacińskich.

Siedzibą jednego było wolne miasto Kraków w czasach, w których naczelną postacią umysłowości krakowskiej był poliglotta, niezmordowany tłumacz epiki europejskiej, Jacek Idzi Przybylski

(1756—1819)[1]. Pisywał on po łacinie, a czasami i ogłaszał wiersze okolicznościowe i panegiryki, ale że ich nie zebrał razem, za Marcyalisa czy Stacyusza wolnego miasta Krakowa nie jego uznać nam wypada, lecz jego przyjaciela i admiratora, Macieja Dubieckiego. jako autora zbiorku p. t.: *Subseciva carmina... Latio numquam negligendo sacrata* (Cracoviae, Typis Academicis, 1815, stron 96, 8⁰). »Mieści się tu 260 epigramatów dłuższych i krótszych, o sprawach prywatnych i publicznych«, tak opisał zawartość tego tomiku Piotr Chmielowski w rozprawie p. t.: »Ostatni z poetów polsko-łacińskich« (t. j. Kniaźnin, Eos IX 1903 str. 112). Ponieważ te epigramy pozwalają nam odtworzyć obraz umysłowego życia wśród cichego grodu podwawelskiego w epoce, »kiedy reszta świata we łzach i krwi tonęła«; ponieważ pozwalają poznać, jakiem echem odbiła się sława »boga wojny« w arkadyjskim ogródku kanclerza katedry krakowskiej (bo tę godność wymienia autor w tytule), warto im poświęcić chwilę uwagi.

Z »Curriculum vitae Authoris« (epigr. 255) dowiadujemy się, że Dubiecki pochodził z Wołynia, uczęszczał do szkół (prawdopodobnie jeszcze jezuickich) w Łucku (Luceoria), w Zamościu studyował prawo i filozofię, w Wilnie osiągnął stopień akademicki (doktorat teologii?), potem zawadził o dwór królewski, następnie zwiedził Rzym, a wreszcie osiadł w Krakowie. Tu żył zadowolony z siebie, boć i szlachetnie się urodził i porządne odebrał wykształcenie i rozkoszując się słodyczą żywota, czekał na słodką śmierć: »Sat mihi nobiliter nasci, recteque doceri, / vivere dulce fuit, dulce sit heicce mori«. — Dlaczego osiadł właśnie w Krakowie, tłumaczy w wierszu p. t.: »Ratio manendi Cracoviae« (epigr. 212): W mieście Kraka ma kulturne otoczenie. Nie brak tu ani znakomitych poetów, ani wybornych mowców, których imiona wdzięczna potomność na świeczniku postawi. Ale przedewszystkiem wiążą go pamiątki przeszłości. »Heroas veteres animato miror in aere, / subque meum aspectum turba togata venit«. Zaledwie ziemia Romulidów

[1] Najważniejsze daty bio- i biblio-graficzne wraz z charakterystyką osobistości i jej zasług u Pawła Czajkowskiego, profesora Akademii krakowskiej, w pochwale Przybylskiego, umieszczonej w Roczniku Tow. naukowego z uniwersytetem krak. połączonego, t. 9 (1824), str. 151—214. Wspomnienia o »anielskim« panu Jacku u Ambrożego Grabowskiego (Wspomnienia. wyd. St. Estreicher, Bibl. Krak. t. 40, 41, 1909, II 102—109). Szczegółową ocenę przekładów Przybylskiego z autorów klasycznych podamy przy innej sposobności.

ma tyle starodawnych dziwów; pomniki Wawelu tak mu się podobają, jak niegdyś wszystkim podobał się wyniosły Kapitol. Kraków zastępuje mu i wymowne Ateny i Rzym. »Heic oculos pasces, heic mille leporibus aures, / aures grata tenent, mira tenent oculos«. Niktby w te cudy nie uwierzył, ktoby ich sam nie oglądał. — Wielka wolna ojczyzna skurczyłą się w wolny Kraków. Więc Dubiecki całą swą miłość na niego przenosi, w nim widzi zgromadzone wszystkie błogosławieństwa i skarby całego świata (Cracovia vetus et nova, epigr. 181): Pominąwszy wspomnienia historyczne, związane z grobami bohaterów, Kraków ma wszystko: »Eximiis opulenta viris, sacris sublimior aris, / Slava tribu, studiis orbis, Romana poëtis, / Attica terra sophis, tellus promissa colonis. / Mercibus est Sidon, fructu insuperabilis ulli: / dives agris, generosa mero, famosa fodinis, / messe ferax, inoperta rubis, nemorosa viretis, / mira sale, admiranda Copernico et alma Vavello, / munda focis, peramoena situ, tenet omne venustum: / Libera, tuta, potens, Regumque favoribus aucta! / O utinam superum munere duret opus!«

Ta apoteoza Krakowa z dwóch względów zasługiwała na częściowe przynajmniej przytoczenie: najpierw jako ostatnie ogniwo w łańcuchu tych *laudes Cracoviae,* które począwszy od Stanisława Ciołka, Konrada Celtisa i Wawrzyńca Korwina przewijają się przez całe trzy wieki[1]; a po drugie jako wyraz patryotycznego, a raczej szowinistycznego zaślepienia w ukochanem mieście, zaślepienia, jakiego przykład odnośnie do całej Polski znajdujemy u Jezuity Franciszka Michała Leśniewskiego (Lyrica..., Leopoli 1790). Ten (str. 10), apoteozując panowanie Augusta III, mówi (w r. 1760) przez usta Polski: »Vivo beatum saeculum Polonia, / mihi invidetote exteri«. Taką samą prawdę zawierają słowa Dubieckiego o Krakowie z początku XIX w.: »Libera, tuta, potens, Regumque favoribus aucta«. Bo przecież te »regum favores« to »łaski« płynące od trzech mocarstw »opiekuńczych«, gwarantujących »wolność« miasta, a zarazem jego »bezpieczeństwo« i »potęgę«. Mimo to nie można w epigramie Dubieckiego dopatrywać się jedynie humanistycznego naśladownictwa Wergiliuszowskich (Georg. II 136—176) »laudes Italiae«. Kanclerz kapituły zbyt często odwiedzał groby wodzów i hetmanów na Wawelu, zbyt często odczytywał z ich napisów dawne dzieje, by

[1] Towarzystwo Miłośników Krakowa znalazłoby w nich wdzięczny przedmiot do wypełnienia jednego tomiku Biblioteki Krakowskiej.

nie ulec illuzyi, że ta cała świetność dawnej Polski nietylko pochowana jest. ale chowa się i żyje w Krakowie[1].

Dubiecki, jak współczesny mu Woronicz, zasmakował już w poezyi grobów. Oto, co opowiada o »Sepulchra regum in Arce Vavelli incidenda aeri« (epigr. 184): Pod sztandarami tych królów Polacy stawali do boju, na ich skinienie szli na śmierć, ich rady zapewniały byt bliskim narodom, a pokój wnętrznościom słodkiej ojczyzny. Teraz ich potęgę i świetność kryje marmurowa trumna. Bo taki jest porządek rzeczy, takie prawo zmiennego czasu, że wszystko, co złośliwy dzień wyżywi, znowu porywa. A po srogiej stracie, zadanej przez los, może pocieszyć jedynie »gadatliwy napis na starym marmurze« (littera in antiquis garrula marmoribus) i marmurowa czy bronzowa postać, opowiadająca samym wyglądem przyszłym wiekom dawne dzieje. — I tu następuje niespodziewany zwrot. Patryotyczne rozrzewnienie ustępuje miejsca rozważaniom o potędze — sztuki plastycznej: »Felices Artes! rabiem quae vincitis Orci / atque aliquid fati demitis imperio, / vos ego saepo meis, vos versibus excolo mirans, / et dicam Aoniis cantibus esse pares«. I znów charakterystyczne umotywowanie takiego oceniania tych rzeźb: Wygładziły je palce polskie tak biegłe, że zaledwie ręce Rzymian mogły stworzyć coś tak wielkiego.

Łącznikami między pochowaną na Wawelu przeszłością a teraźniejszością są dla Dubieckiego mężowie, którzy zasłynąwszy w literaturze, nauce i polityce, jeszcze przed ostatecznym upadkiem Polski, wrazili się w pamięć młodzieńca niby żywe pomniki niedawnej świetności. Sławi więc Naruszewicza (epigr. 155), nazywając go: »Naso Elegis, Lyricis Flaccus, Maro carmine grandi« i wynosząc jego zasługi na polu historyografii. — W Krasickim (epigr. 44) widzi geniusza, któremu świat nie wystarczał, prawdopodobnie dlatego, że za mało dostarczał mu przedmiotów poznania: »Quod natura tenet, quod mos probat, omnia novit, / scriptis aetatis gloria summa suae«. Muzy auzońskie i greckie mają rozpuścić włosy na znak żałoby po sławie i chlubie swego chóru, ojczyzna opłakuje w nim nie tyle dobrego obywatela, ile ojca... Ale na co długo wyliczać jego cnoty? »Krasickius hic est, / hoc nomen longi carminis instar erit«. —

[1] To też przytoczony epigram na Kraków współczesny Dubieckiemu jest tylko jakby rozprowadzeniem epigramatycznej pochwały Polski z połowy XVI w., umieszczonej na jakimś portyku pałacu watykańskiego przez papieża Piusa IV Medici (epigr. 257).

Innemu uczestnikowi wieczorów czwartkowych, nuncyuszowi Duriniemu, odwdzięcza się za komplement, według którego wygnany między Sarmatów Owidyusz, zobaczywszy Polaków pod rządami Stanisława i samego króla, odmówiłby wezwaniu Augusta do powrotu, bo: »Roma sit exilium, Patria Varsavia est«, w ten sposób, że przyznaje mu potrójny laur i potrójną mitrę za opiewanie króla i narodu polskiego: »Si vates Latii cuperent sibi sciscere regem, / Musa, cui faveant, Angeliana docet«. — W sposób mniej konwencyonalny zwraca się do innego przedstawiciela poezyi Stanisławowskiej, do Franciszka Karpińskiego (epigr. 256): »Candida Musa, fides tibi candida, candida vita est...«, by wnet popaść w hyperbolizm: »Candidior Cygno, Philomela suavior, Hybla / dulcior es metris, clare Poëta, Tuis. — W galeryi postaci Stanisławowskich znajdujemy wreszcie twórców Konstytucyi 3 maja, Stanisława Małachowskiego (epigr. 26 i 166) i Hugona Kołłątaja (epigr. 248).

Wymienionych poetów i polityków oglądał, a przynajmniej mógł oglądać Dubiecki jako młodzieniec. W dojrzałym już wieku patrzył na sławę braci Śniadeckich (epigr. 254), których pochwałę opatrzył wyciągami z Długosza i Starowolskiego, zawierającymi »elogia Universitatis Cracoviensis«, a sam roznosił sławę biskupa krakowskiego, Woronicza (epigr. 165 i 185): Jest on dla niego wielkim mowcą, filozofem, poetą i prawnikiem w jednej osobie: »O! te felicem, tantum quae terra tulisti! / Tu mihi vel magno non minor es Latio«. — Z jego przybyciem do Krakowa »venit amor recti, venit et ipsa fides, / venerunt Charites et iuncta Sororibus octo / floribus instravit Calliopeia viam«. Dom, w którym najpierw spoczął, będzie miejscem zawsze przez poetę czczonym; ziemia, po której kroczył, nie powinna być krajana lemieszem; Wisła, po której płynął, powinna zawsze mieć czystą wodę... To przedsmak tego panegirycznego hiperbolizmu, z jakim traktuje małe wielkości współczesnego Krakowa. Kto wie dzisiaj o »znamienitym poecie«, Józefie Leszczyńskim? A przecież zdaniem Dubieckiego (epigr. 167) pięć Muz pomagało mu przy graniu na lutni, a gdyby czasy były łaskawsze na jego talenty, to sławą przewyższyłby — Nasona. »Inter Romanos Vates te Sarmata censet, / hoc fatur Flaccus, fatur et ipse Maro«. Albo kto słyszał o »celującym poecie«, Marcinie Molskim? Dubiecki dowiedział się o jego poezyach od przyjaciela, który swe pochwały ukoronował zdaniem: »Opiewa on cesarza Aleksandra, a jak niema godniejszego przedmiotu pochwał, tak też w godniejszy

sposób niktby go chwalić nie potrafił«. Usłyszawszy to, pragnie Dubiecki poznać Molskiego i życzy mu przewyższenia poetów »patria quos, et quos terra Latina tulit« (epigr. 213). Trzecią chlubą krakowskiego Parnasu jest liryk i elegik, a zarazem doktor obojga praw, Erazm Komar: »Donec Sarmaticis dabitur sua gloria metris, / certa datur metris gloria Komaricis«. Dubiecki widzi go już w towarzystwie Apollina i dziewięciu Muz i modli się do niego: »Komare, tu patriae lux ades alma Tuae« (epigr. 195). — Tej samej miary wielkością był kanonik katedralny, »filozof« Andrzej Trzciński, w którego mózgu mieszkali (jeśli w ogóle gdzie byli): »Cous, (t. j. Hippokrates) Aristoteles, Newton, Maro, Tullius, Hermes« (epigr. 162); który znał wszystkie twory natury, był po trzykroć Arystotelesem, Pliniusem, Hippokratesem i jak Pallada wyskoczył z głowy Jowisza (epigr. 163); który powinien się nazywać nie od trzciny, lecz od wawrzynu (epigr. 164). Drugim Arystotelesem, Celsusem i Galenem był także lekarz Czerwiakowski (epigr. 139), podobnie jak Hasselt, który uratował życie poecie (epigr. 192). — Wincenty Łańcucki (epigr. 216) był »Seneca ingenio, Maro carmine, Tullius ore«; kaznodzieja Józef Markiewicz, zwany apostołem, najbardziej zbliżał się do św. Pawła (epigr. 217); Dominik Markiewicz, doktor teologii i filozofii, celował zarówno mądrością, jak wymową i wykształceniem humanistycznem (humanis studiis nobilis in Latio, epigr. 210).

Za miarę powyższych, dziś nieznanych wielkości może służyć to, że największą z nich był znany Jacek Idzi Przybylski. Dubiecki poświęcił mu aż szesnaście epigramów, z których streszczamy najbardziej charakterystyczne: Bardziej od siedmiu cudów świata, bardziej od siedmiu mędrców greckich podziwia poeta męża, u którego jedna głowa, a ośm — języków (caput unum, / linguae versandis artibus octo). Ocenić go i opiewać należycie zdołałby tylko sam — Homer (epigr. 33). Dubiecki nie może się dość nadziwić słodyczy, delikatności, miękkości wiersza w przekładzie Homera (epigr. 34). Kongenialność tłumacza z pierwowzorem tem się chyba objaśnia, że albo Przybylski jest — Homerem, albo Homer był Przybylskim (Tu vel Homerus es, aut ille Hyacinthus erat, epigr. 46). Nie podobna rozstrzygnąć, czy większy z niego mowca czy poeta, bo przemawia jak Cycero, a śpiewa jak Maro. Trudno też orzec, jaki jest jego język rodzinny: »Philologum relegunt te Laechia, Graecia, Roma, / Quae Tibi natalis lingua sit? Ipse doce« (epigr. 148). Na grobie jego

starczy za wszelkie napisy samo imię, bo pomniki (wyraz stworzony przez Przybylskiego) jego pracy dość sławić go będą (epigr. 92).
Traduktorska działalność Przybylskiego wystarczała Dubieckiemu, by go uważać za Febusa wśród sarmackich wieszczów: »Aut vatum Phoebus reliquorum est hicce fatendus, / aut extra hunc vates nemo vocandus erit« (epigr. 199). To też ucieszył się bardzo, gdy Przybylski pochwalił jego wiersze i uznał w nim poetę: »Vatibus adnumeror? carmen censente Helicone? / Ex Helicone metrum, quando, Hyacynthe probas« (epigr. 198). Taki sąd Przybylskiego umieścił na drugiej stronicy swych »Subseciva carmina«. Czy rozwesela żywych przyjaciół, czy opłakuje zmarłych, zawsze pieśń jego przysparza i jednym i drugim zaszczytu. Ze subtelnym sądem łączy poeta uczucie, z talentem sztukę: »Novit Posteritas te, Vir Venerande Dubeci! / devinxisse homines, et placuisse Diis«. Obok epigramu Przybylskiego umieścił Dubiecki dwa inne, pochodzące od tych poetów krakowskich, o których pisze w epigramie 212: »Heic (sc. Cracoviae) mihi nec desunt praestantes arte poëtae, / nec quibus a lingua divite venit honos, / quorum posteritas, operoso grata labori, / nomina sub longa luce videnda dabit«. Jeden, podpisany inicyałami C. P., sądzi, że Dubiecki, podejmując pisanie wierszy łacińskich, chce, ażeby po śmierci ciał żyły dusze; pragnie, by Sarmacya nie mogła się wydawać ziemią barbarzyńską, nie nadającą się do rzymskiej togi. Choćby nawet jaki poeta ojczysty był celniejszy od niego, to uczeńszy być nie może. A że pierwszy wprowadził Muzy na zamek krakowski, sława jego będzie nieśmiertelna. — Drugi, kryjący się pod opisaniem »Manu notus, corde totus«, sławi Muzę Dubieckiego zapomocą piętnastu porównań: Jest ona bielsza od liścia ligustru, kwiecistsza od łąki, wyższa od wysokiego klonu, przejrzystsza od szkła, wspanialsza od purpury, gładsza od muszli startych falami morza, przyjemniejsza od słońca w zimie, od cienia w lecie. »Nobilior pomis, platano conspectior alta, / Lucidior glacie, matura dulcior uva, / mollior et cygni plumis et lacte coacto, / diceris atque vives riguo formosior horto«. — Jeśli istota komizmu leży w braku proporcyi między ideą a jej zewnętrzną formą, między celem a środkami, użytymi do jego osiągnięcia, to ten wiersz »Ad Musam Authoris« musielibyśmy uznać za bardzo komiczny, gdyby nie rozbrajał swą — naiwnością. Anonim wypisał z jakiegoś »Gradus ad Parnassum« kilkanaście hyperbolicznych porównań z zakresu »niemożliwości«, i bez względu na sens przyczepił je do Muzy

Dubieckiego, a ten, widząc w epigramie takie same komplementy humanistyczne, jakiemi on częstował choćby tylko Przybylskiego, umieścił go dla uprzedzenia czytelnika na czele zbioru. W atmosferze, przesyconej wonią tak niewybrednych kadzideł, zawracała mu się głowa, powtarzał za starożytnymi i humanistami, że poezya (a swoje wiersze uważał za poezyę) daje nieśmiertelność i powoływał się na świadectwo Owidyusza (Am III 9, 17 u): »Hinc sacri vates et divum cura vocantur, / atque fuere sacri, qui numen habere putabant« (epigr. 179). Dla ludzi, niepodzielających tych poglądów i nieczytających jego łacińskich poezyi, miał znów Owidyusza słowa (Trist. V 10, 37 n): »Si non intelligor ulli, / derident stolidi verba Latina Getae« (epigr. 113).

Przytoczyliśmy niektóre akty tego towarzystwa wzajemnej adoracyi, które w czasie kongresu wiedeńskiego skupiało w sobie najuczeńsze osobistości wolnego miasta Krakowa, sądząc, że przynoszą one do charakterystyki ówczesnej umysłowości i towarzyskości ton, skądinąd (n. p. ze Wspomnień A. Grabowskiego) nieznany. Miejscem schadzek tych spóźnionych Arkadyjczyków był może ogród Dubieckiego, ogród, któremu poświęcił parę epigramów (249, 203, 96, 156). Dla odstraszenia od niego złodziei nie postawił wprawdzie klasycznego Priapa, ale jak Priap wołał na nich (epigr. 203): »Ne continge tua, non tua poma manu« i groził: »cum malis nostris ne mala nostra feras«. W tem zaciszu rozczytywał się w ulubionych klasykach, nie zaniedbując jednak i ojców Kościoła, jak to widać z dwuwierszowych epigramów, sławiących i charakteryzujących Homera (236). Solona (239), Platona (231), i Arystotelesa (232), Euklidesa (238) i Klaudyusza Ptolemeusza (233 i 16), astronomów Timocharesa (15) i Hipparcha (17), dalej Hippokratesa (241) i Galena (242), Cycerona (234), Wergiliusza (237) i Senekę filozofa (235), ale także świętych Ambrożego (247), Hieronima (246), Augustyna (244) i Grzegorza Wielkiego (245). Na równi z temi wielkościami starożytnemi stawiał staropolskie, przedewszystkiem Kopernika (epigr. 13, 14, 140, 186), dalej Skargę (epigr. 224, 225), Szymonowicza (258) i Sarbiewskiego (220). Z pośród królów poświęca wspomnienie tylko Janowi III (epigr. 202). O innych, zdaniem jego, mówiły same nagrobki wawelskie (epigr. 50).

By w postaci spóźnionego humanisty dojrzeć także człowieka, posłuchajmy głosów jego serca, szczerych, bo odzywających się nad grobem rodziców: Więc bogom jest wdzięczny za to, że mu dali

największe ze wszystkich dóbr, taką matkę, i jeżeli komu z ludzi dobrze życzy, życzy mu takiej właśnie matki (epigr. 20). Ile razy zobaczy grób Zofii (więc takie było imię jego matki), zmywa go gorącemi łzami i pragnie, by jego popioły spoczęły w tej samej urnie (ut una duos urna tegat cineres, epigr. 52). Od śmierci matki żyje wbrew swej woli, światło rodzi mu tylko ciemności, głos tylko lament (epigr. 53). Oby za każdą łzę syna bogowie dali jednę radość matce, a płacze on głównie z tego powodu, że nie umarł razem z nią (quod volui, haud potui, Te moriente mori). Jedyną pociechą dla nieszczęsnego są sny o matce (epigr. 54). Że ta matka umarła w podeszłym wieku, wnioskować można z epigramu 72. — Zwracając się z jakiemiś ofiarami do zmarłego ojca, widzi nierówność wzajemnych dobrodziejstw: »Tu mihi das auras, ego Tibi mortis honores« (epigr. 38). Gdyby mógł swojem życiem okupić życie ojca, dawnoby to był uczynił. Niestety: »sed mea vita nihil, potior tua caelica vita!« (epigr. 146). Więc za niezliczone dobrodziejstwa daje mu tylko łzy i treny. Gdyby mu wolno było wznieść marmurowy grobowiec, to postawiłby na grobie własny posąg z paryjskiego marmuru i kazał wyryć napis: »Jure Dubiecki / condidit ossa Patris fitque Patri tumulus« (epigr. 176). I pomysł i pomnik godne humanisty, który czytał gdzieś (może u Arystof. Aves 471 nn) o skowronku, grzebiącym zmarłego ojca w własnej głowie (bo ziemi jeszcze nie było), i według klasycznego wzoru sam chciał być grobem ojca. — Z wielką czułością przemawia też Dubiecki do swego przyrodniego brata (po matce), Michała Bieńkowskiego: »Te nisi vel vigil alloquerer, vel imagine ficta / per somnum socius fallerer, heu! morerer« (epigr. 55). O swem przywiązaniu, któremu nawet śmierć kresu nie położy, zapewnia go w odzie safickiej (nr. 211), wypełnionej konwencyonalnemi »niemożliwościami« (ἀδύνατα): Pierwej świat pozbawiony będzie słońca, nie będzie znał zimnych obrotów księżyca, a gwiazdy opuszczą firmament; pierwej Rak dzień skróci, a Koziorożec przedłuży; pierwej łódź będzie pływać po ziemi, wóz jeździć po wodzie, ryba paść się na drzewach, a dzik na dnie morza, nim... i t. d. — Prócz Michała do najbliższych sercu księdza kanclerza należał wychowanek jego Karol, którego opiekun uczcił odą alcejską: Ad amicum meum ex pupillo meo factum (nr. 205): Kto żyje pogodnie i łagodnie wśród towarzyszów, przejętych tą samą myślą, oddanych tym samym studyom, ten zawsze i wszędzie szczę-

śliwy: »O Carle! Musas inter amabiles / interque iunctas brachia Gratias, / risus, iocos, lusus alacres / *officium Patriae feramus*«.

Jakto? Więc humanistyczne estetyzowanie, bawienie się łacińskimi wierszykami, miłe spędzanie czasu było służeniem ojczyźnie i to w czasach, gdy jej losy spoczywały na ostrzu miecza Napoleońskiego? Takiego poglądu nie wolno imputować Dubieckiemu. W przytoczonej strofie wyraża tylko to, że i między służeniem Muzom i Gracyom, między zabawami i żartami, to znaczy obok tego wszystkiego trzeba służyć ojczyźnie. Bo ojczyzna, to więcej niż rodzina: »Me mihi carior est mea stirps, mea Patria stirpe« (epigr. 51). Więc chociaż nad wejściem do swego ogródka napisał: »Civiles curae procul hinc abite«, to nie dla tego, jakoby przed niemi zamykał drzwi swego domu. Przeciwnie, *civiles curae* były i jego główną troską. A najbardziej interesujące wiersze jego zbioru dotyczą tych właśnie trosk publicznych. W jednym, zatytułowanym »Anxia vita« (epigr. 56) zapytuje się, dlaczego rodzice nazwali go Szczęsnym (było to widocznie jego drugie imię), skoro życie jego bardziej uciążliwe niż śmierć, odkąd naród traci grunt pod nogami i wali się w gruzy: »Nil bene successit, Patrias iam perdimus oras, / gens antiqua ruit, qui valuere ruunt«. Czy on wobec tego ma zachowywać się jak starożytny mędrzec, który nawet w kajdanach czuje się wolny? Owszem, niech na niego, jak na mędrca Horacyuszowskiego (carm. 3, 3) runie cały świat: »Dummodo patria stet, non ego sorte cado«. Tej ojczyzny wygląda z utęsknieniem, jak Ulisses dymu z komina swego domu (epigr. 120) i dla tego tylko nie idzie połączyć się ze zmarłym ojcem, by doczekać się lepszych losów ojczyzny (epigr. 48): »Linquor ego, Patriae si bene, tum redeo«. A odwracając kosmopolityczną zasadę: »Ubi bene, ibi patria«, głosi przeciwnie (epigr. 59): »Sit bene, sit male, ego Patriam Patriamque reposco, / quem mala consternunt, aufugit ex Patria. / Dent alii Patriae nomen, quibus est bene, ab extra, / in Patria bene sum, non male semper ego«. Bo ojczyzny jak śmierci wybierać nie można (epigr. 121).

Dobrze się działo w ojczyźnie, jak długo dobrego nagroda, złego spotykała kara. Gdy jednak po szlachetnych ojcach nastała przewrotna młodzież, naród, źle zabezpieczony, upadł wskutek niezgód: »Eversae Patriae tristes relevate ruinas! / Armis, consiliis, moribus, arte, fide« (epigr. 60). Zdawało się, że na razie najprędzej do celu doprowadzi pierwszy środek, oręż. Bo oto nieba zesłały na ziemię wielkiego wojownika: »Mittitur de Coelo Bellator summus in

Orbe«. Ale zaraz budzi się wątpliwość: »Hunc fors ira Dei, gratia forsque dedit« (epigr. 117). Bo owoce wojny są straszne (epigr. 111):

Quod cessat Phoebaea chelys, quod carmine rupto
Aeoniae siluere Deae, Mars impius egit.
Quod spretis audax Musis petit arma iuventus
Et volucres premere audet equos, Mars impius egit.
Quod cernis nullum deserta per oppida civem
Nec campis errare greges, Mars impius egit.
Quod ligo, quod vomer, quod sarcula, rastra, bidentes
In gladios abiere truces, Mars impius egit.

A gdy wojnie towarzyszą i klęski elementarne, zdaje się, że to już koniec świata (epigr. 136). Mimo to orły polskie lecą za Napoleońskim. Chorąży gardzi ranami, a jeśli nie potrafi zwyciężyć, zginie za ojczyznę: »Vincere si nequeo, pro Patria peream« (epigr. 42): »Flens fueram nactus vitam puer omine diro, / flebilis erepta vita fuit Patria. / Nunc quoque flens morior, ne quid non flebile restet, / Discite, mortales! quae ratio Patriae«. Ta krew przelana za ojczyznę zaczęła wydawać owoce, choć Napoleon, odkąd został cesarzem, szkodził tylko narodom (epigr. 205). Na pamiątkę 15 lipca 1809 kazał Dubiecki na swoim domu umieścić tablicę z następującym napisem (str. 82, nota do epigr. 1): Anno Domini 1809 Dies 15 Julii, Urbi Cracoviae faustus ac celeber, quo Duce et Heroe Iosepho Principe Poniatowski, Stanislai Augusti Regis Polonorum Nepote, Exercitus Magni Ducatus Varsoviensis Hostiles Cohortes ad moenia Urbis virtute haud copia adorsus, trans Vandalum et ultra deturbavit, Cives Patriae Fratres Fratribus tertio vergente lustro adunavit. Saecula ne memoria diem felicem deleverint.

Najbliższy wiersz o Napoleonie pisany jest po Berezynie (epigr. 118). Rzeka ta była ostatnią granicą szczęścia Napoleona, dalej mu iść nie wolno: »Ergo siste gradum, capiat nunc Victor habenas, / Imperet Augustus, Tu superate, cede«. Ten Augustus, to cesarz rosyjski Aleksander, z którym Dubiecki już dawniej musiał łączyć nadzieje patryotyczne, skoro od razu po upadku Napoleona powitał Aleksandra jako zbawcę. Z całej epopei Napoleońskiej jedynie książę Józef Poniatowski znalazł łaskę w jego oczach: Przyznaje więc, że z nim zginęły nadzieje ojczyzny (epigr. 36), a tę samą myśl tak formułuje przy opisie warszawskiego pogrzebu (epigr. 201): »Heu dux, hoc tumulo solus non conderis atro, / est pariter tecum condita spes Patriae«. — Gdy cudzoziemcy pytali się poety, jak wiel-

kim bohaterem był Poniatowski, on w odpowiedzi wyrysował obozy· góry, miasta, ogrody, łąki, lasy, łany, jeziora, gwiązdy, słowem cały świat i ukazując ten obraz, rzekł: »Quantus erat? vultis discere? Magnus erat« (epigr. 1). — Sam bohater żali się, że zginął w marnej rzece, a sławy pokonania go niema nieprzyjaciel (epigr. 3). To znów przyznaje, że pokonał go Aleksander: »Victus ab Invicto cecidi sic Hector Achille, / Victus et Invictus laurea serta capit« (epigr. 2).

Oczy kanclerza katedralnego zwrócone były w stronę Kongresu wiedeńskiego. Chwilami bał się, by miecz rzucony na wagę Temidy nie przechylił szali na naszą niekorzyść, ale uspokajała go ufność w Aleksandra: »Pono metum, gladium non Divae dextra movebit, / Divus Alexander fortiter invigilat« (epigr. 61). I zdawało się, że owa ufność była zupełnie usprawiedliwiona: Do Krakowa przyszła wieść o odbudowaniu Królestwa Polskiego: »Salve, festa dies — woła poeta — meliorque revertere semper. / Nunc mihi stella micat, sed redeat Patria!« (epigr. 119).

A im większego dobroczyńcę narodu widział w Aleksandrze, tem większym szkodnikiem sprawy polskiej wydawał mu się zamknięty na Elbie Napoleon. Ile razy pomyśli o Elbie i jej więźniu, nie może się wstrzymać od urągania pokonanemu: Wobec pokoju zawartego między Francyą i Rosyą, sęp korsykański, oskubany z pierza i zamknięty, musi milczeć: »Corse, tace, accipiter, / Rossia cum Sociis prostravit Napoleonem / et deplumatum prociduumque tenet« (epigr. 47). — Słusznie na obfitującą w stal wyspę dostał się ten, który sam był z żelaza i wypłoszył z ziemi złoty wiek (epigr. 10). Dubiecki nazywa go Mulcybrem, królem stali, który sam wyznaje: »Carcere pro diademate ponto cingor in Ilva, / ne noceam, ut nocui, nunc luo supplicium« (epigr. 40). — Świat był dla niego za mały, teraz wystarcza mu mała wyspa i stal (epigr. 49). — Szukając przyczyn jego upadku, sądzi, że runął, bo porwał się na rzeczy, przechodzące jego siły (epigr. 103). Synowi Napoleona oznajmia, że berło, nabyte przez ojca męstwem, a utracone nienawiścią, utrzyma, jeśli »naprawi sławne imiona« (si reparas, nomina clara, puer, epigr. 45). Jak straszne było przerażenie Dubieckiego, gdy się dowiedział o wylądowaniu Napoleona w Cannes, widać z fragmentu 215: Poeta widzi, jak morza znów roją się od wioseł, jak ziemia błyszczy od oręża, a niebo od płomieni i sądzi, że Furye pozazdrościły ziemi pokoju, okupionego przecież już krwią. — Ta sama Fortuna, która z Cezara zrobiła Nic, teraz znów z niczego zrobiła Cezara (epigr.

170). — Poetę niecierpliwi bezczynność sprzymierzonych, którzy zamiast energicznie wystąpić przeciw uzurpatorowi, bawią się wesoło w Wiedniu (epigr. 115). — Wreszcie 100 dni się skończyło, a Napoleon pojechał na wyspę św. Heleny. Dubiecki w przekonaniu, że teraz karyera jego na zawsze skończona (mimo wątpliwości w epigr. 227), odetchnął, a wyraz nienawiści do więźnia z św. Heleny dał w epigramie (41): In quemdam ut in immane portentum:

Hunc natura semel terris ostendit atrocem,
quo toto in toto non foret orbe quies.

Po ostatecznym upadku Napoleona znękane wojnami narody wyciągają do zwycięzcy dłonie, błagając o pokój: »Nil opus est bellis, nos otia poscimus omnes, / porrigimus vinctas ad tua iura manus« (epigr. 83). Szczególnie Polska poleca się jego opiece: »Afflictae mea fata vides, afflicta sed oro, / Sis memor afflictae, qui mea fata regis« (epigr. 145). — I nie zawiodła się ani cała Polska, ani ukochany przez poetę Kraków: »Cracia pone metus, Tibi sors praeclara paratur, / Te reges sociant, Cracia pone metus« (epigr. 109). Po Kraku drugim założycielem miasta jest Aleksander, który dodał mu nowej świetności, i jeśli dawniej było bogatsze, to teraz bardziej słynie z sztuk, rządów i Cezara (epigr. 12). To też »Primus Alexander, qui condidit aurea saecla, / gratorum Cracidum vivat in ore Pater« (epigr. 37). Uczestników tej szczęśliwości wzywa poeta, by przestrzegali wierności, zgody i sprawiedliwości, pomni na los ojców (epigr. 65), a sam zabiera się do opiewania Aleksandra, jako króla polskiego. Bo ustanowienie królestwa kongresowego wydaje się Dubieckiemu, jak tylu innym, wskrzeszeniem dawnej Polski.

Stwierdzajac jej wskrzeszenie (epigr. 159), pisze: »Nil alii nobis spem praeter et arma dedere, / unus Aleksander Regna Polona creat«. To porównanie Aleksandra z Napoleonem szerzej rozprowadza w epigramie 251:

Maior Alexandro sit vis? an Napoleoni?
Ultima bella docent: hic fugit, ille fugat.
Maior Alexandro sit vis? an Napoleoni?
Regna Polona docent: hic nocet, ille iuvat.
Maior Alexandro sit laus? an Napoleoni?
Dicitur a populis hic male, at ille bene.

A gdy po raz trzeci (epigr. 85) porównywał Napoleona, nie wymieniając go wyraźnie, z Aleksandrem i wynosił księcia pokoju nad męża wojny, wtrącił niespodziewanie taki zwrot: »Quid moeres

pallesque audito nomine Corsi? / Fide Deo, salvo Caesare sospes eris«. Ogłoszenie się Aleksandra królem Polski uświetnia odą alcejską (nr. 158): Wzywa w niej Muzy do zjawienia się z najpiękniejszemi pieśniami, obywateli do porzucenia trosk i radowania się w chwili, gdy pogromca świata bierze na świętą głowę należącą mu się koronę. Lepszego władcy świat nie zobaczy, choćby się wrócił wiek złoty. — W drugiej odzie, także alcejskiej (nr. 207), porównuje tęsknotę Lechitów za prawdziwym ojcem ojczyzny z tęsknotą piskląt, oczekujących przybycia matki z pożywieniem. Przybył nareszcie, przyniósł im pokój i jego dobrodziejstwa. — Podobne myśli wyraża poeta w epigramie 173 i 219. W innych na inne się sili pomysły. Tak w epigramie (4), umieszczonym niby pod obrazem, przedstawiającym Aleksandra, podpisującego akta Kongresu wiedeńskiego, każe cesarzowi uzasadniać swe pretensye do przydomka »Wielki« i streszczać je w zdaniu: »Dicor Alexander factis, conamine Titus, / Numa cohortatu, Romulus auxiliis«. — Wdzięczna Lechia wznosi mu posąg, przedstawiający go jako ojca, przy którym stoi ksiądz, mieszczanin, szlachcic i wieśniak: »Exultant omnes, omnes grato ore perorant, / atque magis gaudent, qui doluere magis« (epigr. 8). Nie pragnie on królować, lecz królestwom przywracać prawa (epigr. 5). Największą jego cnotą jest to, że nieszczęśliwym rozkuł kajdany (epigr. 9).

Gdy Dubiecki pisze o Aleksandrze (epigr. 5): »Ille potens sapiensque uno minor est Iove« lub (epigr. 85): »In coelis Iupiter, Caesar regit omnia terris, / Caesar Alexander pro Iove regna tenet«, to nie przemawia jak kanclerz katedralny krakowski o cesarzu rosyjskim, lecz jak poeta augustowski (zwłaszcza Horacyusz) o Auguście. Ale po za naśladownictwem literackiem trzeba uwzględnić i moment psychologiczny: Po pierwsze Aleksander przez akceptowanie Kongresówki faktycznie więcej zrobił dla Polaków niż Napoleon, którego nieokreślone obietnice i nieszczere zamiary okupiono tylu ofiarami; po drugie zwycięzca geniusza wojny, który przez tyle lat krwią zlewał Europę, wydawał się wielu, a zwłaszcza ludziom, czującym awersyę do wojny, zwiastunem tak upragnionego pokoju; po trzecie cesarz Aleksander, zwłaszcza odkąd został królem polskim, cieszył się wielkiemi sympatyami w kołach profesorskich, szczególnie krakowskich. Informowano go widocznie o tem, skoro w kilka lat potem obdarzył »Febusa poetów« krakowskich Przybylskiego za przekład Homera kosztownym pierścieniem. Oto co mówi o tem akademicki

chwalca Przybylskiego, Czajkowski (Roczn. Tow. nauk. krak. t. IX str. 195): »Lecz nie czekał na nią (t. j. sławę) tak długo, bo mu osłodziła wieczór życia, gdy jej pierwszy zadatek otrzymał w kosztownym darze z rąk N. Aleksandra, Cesarza Rosyi, Króla Polskiego, na którego świat w tęskności wyglądał, a niebo niczem bardziej, jak jego rządem i opieką pocieszyć nas nie mogło i który nie ma w sobie ani uczucia ani życzenia, coby nie mnożyło powodzeń i szczęścia ludzkości«.

Dubieckiego poglądy i uczucia patryotyczne wspólne mu są niewątpliwie z innymi Arkadyjczykami krakowskimi. Pod względem przekonań religijnych był on, jak Bandtke (por. Epigr. 93), jak Przybylski, mimo swej duchownej sukienki, przedstawicielem »oświecenia«, które z wieku XVIII utrzymało się u nas aż do zwycięstwa romantyzmu. Dlatego, mimo zasady: »Musarum fidibus sociabis religiosa, — Cui sacer est Helicon, percolit ille Deos« (epigr. 188), nigdy nie potrąca o strunę pobożności, nigdy w »bogach« nie widzi nic więcej, jak aktorów losu. Epigram o Kościele, który wyrósł z krwi Chrystusa, a urósł przez krew męczenników (epigr. 71), i wzmianka o powrocie do Rzymu Piusa VII, który »non vi, sed precibus Victor ab hoste redit (epigr. 230), dowodzą tylko, że »oświecenie« jego nie kłóciło się z uszanowaniem dla Kościoła i jego głowy. Natomiast epigram na przywrócenie Jezuitów (228) nie jest wolny od dwuznacznej złośliwości: »En Socius Jesu recipit cum nomine vestem, / re nempe atque animo, quod fuit ante, manet«.

Tak te epigramy spóźnionego humanisty wawelskiego, choć estetycznie bezwartościowe, zasługują przecież na uwagę jako świadectwa prądów umysłowych i politycznych, panujących w pewnych kołach w Krakowie między rokiem 1800 a 1815. A że historycy uwzględniają dziś nietylko świadectwa faktów, ale także świadectwa nastrojów zbiorowych, dla dziejopisa Krakowa będą one dokumentami historycznymi.

Mniej wartości historycznej, a za to więcej zawartości poetycznej mają *Carmina, quae cecinit Romana voce Polonus* Henricus L. N. Bando (Varsoviae, 1819, str. 51 [właściwie 35] 8°) Autor przedstawia się w przedmowie jako młody słuchacz filozofii w uniwersytecie warszawskim, uczeń Zinserlinga, Campie'go i Jacoba, a nadto Szwejkowskiego i Lindego. Płody swej młodzieńczej Muzy publikuje za radą profesorów w tym celu, by zadać kłam zagranicznej opinii,

według której Polacy zaniedbują studya klasyczne i omal niemi nie gardzą. — Tego celu prawdopodobnie nie osiągnął, bo zagranica nie zwróciła uwagi na te szkolne ćwiczenia poetyckie, ale za to swoim dał dowód, że nietylko umiał składać ładne wiersze łacińskie, ale także miał w nich coś do powiedzenia.

Bando przystępuje do pisania wierszy z gotowym programem, ubranym według klasycznych wzorów we formę sennej wizyi (Elegia I): Spoczywając niedawno nad świętem źródłem Muz, widział poeta pokryte wawrzynem szczyty Olimpu i pragnął się na nie dostać, gdy mu drogę zastąpił Apollo z Muzami i tak doń przemówił: Niech inni opisują w pieśniach wojny i wynoszą pod niebo bohaterów, niech malują obyczaje i sławią Wenerę w lirycznych melodyach, snując poematy z delikatnego wątku; ty stąd nie spodziewaj się należnej sławy. — Rzekłszy to, ukazał mu kościanym plektrem miejsce, na którem widać było rozmaite sceny: Tu człowiek wypędzony z ojczyzny błądzi po nieznanej ziemi barbarzyńskiej; tu młodzieniec z płaczem wraca z pogrzebu ojca; tu związani jeńcy oglądają się na swe gniazda; tu nieszczęśliwi płaczą nad zgliszczami swych domów i świątyń. — Takie smutne przygody kazał mu Apollo opiewać w elegiach, obiecując za to sławę.

By ten program i jego wierne, jak zobaczymy, wykonanie nie wydawał się koncepcyą czysto akademicką, teoretyczną, przypominam ustęp z »Dziennika wojskowego z r. 1813« Kazimierza Brodzińskiego (Arch. do dziejów lit. ośw. w Polsce, t. XII, 1910, str. 279). Ciągnąc z armią księcia Józefa z Krakowa ku Śląskowi, odpoczywał Brodziński 9 maja w jakiejś wiosce za Wadowicami. Na przechadzce pod lasem przychodzi mu na myśl Wergiliuszowski Melibeusz (Ecl. I): »My pola, my ojczyste rzucamy zagrody, / my wygnańce... A my pojdziem po Afrów tułać się krainie, / do Scytów lub gdzie Oax rwie kretejskie skały, / gdzie Brytanów od świata dzielą morskie wały. / Czy kiedy los dozwoli słodkiej nam pociechy / ujrzeć domów ojczystych darniem kryte strzechy, / widzieć po długich latach łanów naszych plony? / Srogi żołnierz te gnojne posiędzie zagony, / pozbiera z naszej pracy żniwa już gotowe... / Gdzie nas przywiodły, bracie, niezgody domowe!« — Otóż jak Brodziński uczucia i myśli, wywołane krwawą rzeczywistością Napoleońską, wyraził cytatem rzymskiego sielankopisa, tak Bando, który w roku 1809 miał może dziesięć lat, opisywał wrażenia, odniesione pod wpływem tych sa-

mych wypadków, barwami, zaczerpniętemi z tej samej eklogi Wergiliusza.

Oto (Eleg. 6) człowiek, który wskutek wypadków wojennych (w. 20) musi na zawsze opuścić ojczyznę i rodzinę i płynąć do Afryki (w. 28), jak Wergiliuszowski Melibeusz (at nos hinc alii sitientes ibimus Afros, Ecl. I 65). Odchodząc, a raczej odpływając, zasyła ostatnie pozdrowienie ojczyźnie i domowi, miasteczku rodzinnemu i jego otoczeniu. Na górze, wznoszącej się nad miasteczkiem, spostrzega biednego rybaka, który w promieniach zachodzącego słońca suszy swoje sieci, pośpiewując przytem wesoło, uprzytomnia sobie, jaka radość czeka tego biedaka w domu ze strony dzieci i żony i z losem jego, zostającego w ojczyźnie i w rodzinie, porównuje los swój, wygnańca. — I nowa fala wzruszenia zalewa mu duszę, jeszcze raz wspomina o dzieciach, penatach (queis pius heu! frustra thura precesque dedi), mieście rodzinnem, wspomina o łąkach i źródłach, nad któremi się bawił i śpiewał, o gaju, gdzie jako chłopiec zbierał fiołki i lilie, o wiernych towarzyszach i o żonie, ukochanej przez wiele lat. — Rzeczom, które musi opuścić, przeciwstawia kraj, do którego zmierza. Jest to ziemia płona, nieuprawna, piaszczysta, gorąca, pełna dzikich zwierząt. Tam będzie dzień i noc narzekał na swój los, tam przyjdzie na niego starość, tam rozmyślać będzie o tem, co stracił: »Dura infelici memoratio prisca bonorum est«[1]. Oby tylko śmierć przyszła szybko po niego i wyzwoliła go z cierpień: »In patria quoniam non possum vivere cara, / vivere iam nolo; sit mihi posse mori«. Najokropniejsze to, że popioły jego spoczną w barbarzyńskiej ziemi. — Z ostatniego ustępu dowiadujemy się, że wygnaniec rozwodził swe żale na pokładzie odpływającego okrętu: Już zniknęły mu z przed oczu dachy, świątynie i wieże, już ginie brzeg, a zapłakane oko widzi tylko wodę i niebo.

Wolelibyśmy, by w tej elegii żegnał się z ojczyzną Polak, żołnierz Napoleoński, odpływający do Egiptu lub na St. Domingo, ale i tak musimy przyznać, że utajone wspomnienie o tych niedawnych, a tak bliskich autorowi żołnierzach-tułaczach ogrzało nieco sztywny konwencyonalizm motywów Wergiliusza, Horacyusza i Owidyusza. Natomiast akademickiem naśladownictwem listów z wygnania Owidyusza jest Elegia 7 (Exul coniugi), zawierająca zapewnienia dozgonnej pamięci i miłości; żal z tego powodu, że wygnaniec nie umarł

[1] Może echo Dantejskiego: Nessun maggior dolore etc.

w dniu rozstania się z żoną: Lepiej umrzeć naraz, jak umierać po trochu. Smutne dni i noce wypełnia wygnaniec rozpamiętywaniem o żonie, której obraz zawsze unosi się przed jego oczami; słodyczy chwil wspólnie z nią spędzonych nie zapomni nawet, gdy napije się z Lete: »Non ego, si immemoris biberemus pocula Lethes, / excidere haec nostro pectore posse putem« [1]. Ale szczęście przeminęło, wygnaniec tuła się po obcych lądach i morzach. Chciałby mieć teraz skrzydlate smoki Medei czy Hekaty, by na nich wznieść się w powietrze i polecieć do ojczyzny i swoich, a jeśli to niemożliwe, to chciałby, by straszne jego cierpienia zakończyła śmierć.

Temat przymusowego opuszczenia ojcowizny i ojczyzny opracowuje Bando po raz drugi (Ecloga 1) we formie Wergiliuszowskiej eklogi: Do Korydona, który sławi człowieka żyjącego zdala od wojen i ich następstw, jak wypędzenie z domu i ojczyzny, przybywa przyjaciel Tytyrus, opowiada, że i jego nieprzyjaciel wypędził z ojcowskiej zagrody i uczynił bezdomnym wygnańcem. Tytyrus resztę życia pragnie spędzić razem z przyjacielem i dzielić z nim wspólny los, na co się Korydon zgadza z radością, a równocześnie prosi o relacyę katastrofy. Tytyrus opowiada więc, jak mu zwycięski wróg dobytek zrabował, chatę spalił, a jego wypędził: »Iam tacuere canes, requiescebantque coloni, / nocturnosque regebat equos Hecate taciturna«, gdy Tytyrowi udało się przez gęsty las umknąć przed nieprzyjacielem. — Opowieść przerywa huk bębnów, wrzawa trąbek: »Tympana dant strepitum, reboant iam classica rauca, / en ferus hostis adest altis cum turribus. Eheu!« Przyjaciele uciekają, Korydon zasyła ostatnie pozdrowienie polom i łąkom i wybiera się z przyjacielem do — Afrów, chytrych Persów lub dalekich Arabów.

W ten sposób spełnił Bando dwa punkty z programu, podanego mu przez Apollina. Pozostał (El. I w. 21 n.) »...iuvenis, late moestis loca questibus implens«, który, »dilecti a patris funere moestus abit«. Ten temat traktuje poeta w elegii trzeciej, poświęconej »Manibus patris«. Zaczyna od ogólnych refleksyi o nieuniknionej śmierci, od której nie wybawi ani bogactwo, ani siła, ani geniusz, ani pobożność: »Omne profanat enim mors violenta sacrum. / Ecce Pater carus, nulli pietate secundus, / nunc iacet in tacito, corpus inane, solo«. Ten fakt wydziera z piersi poety szereg pytań, stre-

[1] Bando nie zapomniał Schillerowskich słów żegnającego się z żoną Hektora: Hektors Liebe stirbt in Lethe nicht!

szczających się w okrzyku: »Nilne igitur nostri post ultima fata perennat? / Anne igitur toti pulvis et umbra sumus?«. — Odpowiedź na te pytania i ukojenie znajduje w nauce Chrystusa, który dał nam nadzieję życia pozagrobowego. W niebie poeta zobaczy się znów z ojcem, któremu zawdzięcza swój talent i cnoty; dopóki zaś żyje, będzie zawsze (na wiosnę, w lecie, w jesieni, w zimie) o nim wspominał, a podziękuje mu aż w niebie. — Rzecz cała jest tak konwencyonalna, że niepodobna rozstrzygnąć, czy Bando lamentuje po śmierci własnego ojca, czy też pisze zadanie na temat śmierci jakiegokolwiek ojca. Nie potrafi się też zdobyć na szczersze akcenty, gdy opłakuje śmierć księcia Józefa Poniatowskiego (El. 2): Po zwykłej inwokacyi do Elegii następuje opis rzeki Sali i przypomnienie tryumfów Bolesława Chrobrego tam odniesionych. Wznowił je Poniatowski, walcząc nad sąsiednią Elsterą i ginąc w niej. Ojciec Ocean powinien ją za to ukarać, powinny w niej uróść góry, woda powinna wyschnąć. Polska opłakuje zmarłego, jak matka syna, i strzeże jego smutnego grobu. Ale prócz popiołów została po bohaterze nieśmiertelna sława. Nad grobem wodza stoją jego żołnierze, rozpamiętują czyny pod nim dokonane i wyrażają nadzieję, że jeśli w człowieku jest coś więcej, niż cień i popiół, to Jowisz na czworoprzężnym rydwanie zabierze sarmackiego Alcydę miedzy błyszczące gwiazdy.

Na szczersze tony zdobywa się Bando, gdy własne opowiada przeżycia. Oto cmentarz wiejski (El. 5, Manibus rusticorum). Rączy rydwan Febusa zmywa już czerwone morze, a Słońce zdejmuje z purpurowych koni krzywe jarzma; już szybkim biegiem spieszą pod wiejski dach bydlęta, pasące się w górach i wełnonośne stada: »Iamque tenent tacitas sacrata silentia silvas. / omniaque in campis iam taciturna silent«. Ciszę przerywa tylko cykanie świerszczy i hukanie puszczyka. W taki wieczór błądzi poeta po samotnem ustroniu. — Zachodzi na wiejski cmentarz, zarosły drzewami, otoczony żywym płotem. Gdy chowano spoczywających tam zmarłych, nie grały im smutne trąby, nie było żadnych uroczystości, jak na grobie niema żadnego marmuru. Ale ta ziemia wiejska użycza znużonym członkom świętego spokoju. Nie będzie ich już wzywał do nowej pracy ptak, który czujnem gardłem wywołuje dzień; nie będzie ich nękał przez ociężałe dni niezmierzony szereg twardych prac; ojciec nie będzie odbierał pocałunków dzieci, matka nie będzie dzieci nosiła na kwiecistą łąkę, chłopiec nie będzie śpiewał, tańczył, cieszył się pawiem piórkiem, dziewczynka nie będzie zbierać do koszyczka

fiołków i lilij: »Sedibus obscuris iam tempus in omne quiescit / turba colonorum candida (czy condita?) pace sacra«. — Tu wymienia poeta wiejskie zajęcia i prace, a od nich zwraca się niespodziewanie do człowieka pysznego z wezwaniem, by przestał naśmiewać się z brzemienia ubóstwa, które uciska niezasłużenie ludzi. Śmierć zrówna bogacza z biedakiem, po żadnym nic nie zostanie. Jedynie pieśni, jedynie płody talentu unikają śmierci. Może i na cmentarzu wiejskim spoczywa niejeden niepoznany geniusz. Gdyby ich za życia zrównano wobec prawa z innymi, to kraj dziś możeby kwitnął, morza nie byłyby pełne rozbitków, pola nie byłyby pokryte kośćmi! Głupiec niech gardzi chłopami, poeta ceni ich cnoty, zapewniające im zbawienie wieczne. — A może i ja wnet umrę, spocznę pod taką samą mogiłą, tak samo zgniję i będę zapomniany? zapytuje się poeta. Może jaki krewny lub przyjaciel przyjdzie nad mój grób, ustroi go kwiatami, zapłacze i odczyta napis o cnotliwym młodzieńcu, który wcześnie piął się na Helikon, ale bieda doprowadziła go do bezczynnego (pod względem literackim) życia i pogrążyła w niesławie.

Tak po swojem ubóstwie nie spodziewał się Bando wiele w swej karyerze literackiej. Zato ubóstwo poprzestających na małem wieśniaków wydawało mu się godnem osobnej pochwały (El. 4, Paupertas celebratur). Wieśniak chwali swe skromne stosunki, nazywa ubóstwo strażnikiem cnót i przyjacielem wstydu, wymienia swe gospodarskie zajęcia, urozmaicone służbą Bakchusa i Wenery, sądzi, że ubóstwo jest bezpieczniejsze niż bogactwo, które narażone jest na większe zmiany i ciosy losu, a zmarłemu i tak na nic się nie zda. Opisem przeprawy zmarłych przez Acheront i pośmiertnego sądu kończy się ta elegia, treścią raczej satyry Persiusa, Juwenalisa i Lukiana przypominająca. Jest ona oczywiście waryacyą na temat Wergiliuszowskich *Laudes vitae rusticae* (Georg. II 458 nn), ale łączy się także z tą reakcyą uczuciową, która ze wstrętu do ciągłych wojen i przewrotów wydała u nas idylliczność choćby tylko artylerzystów Napoleońskich, Reklewskiego i Brodzińskiego. I Brodziński podczas marszu wojennego popada w »romansowe marzenia« (Archiwum j. w. str. 281): »O wy, szczęśliwi wieśniacy! / Gdybym ja miał chatkę z wami, / Obudzaliby mię ptacy / Chodzić co rano do pracy / Z wypoczętymi wołkami i t. d.«.

Bando nietylko tęsknił za życiem na wsi, ale prawdopodobnie, jako syn biednego chłopa, znał je dobrze. Ta znajomość połączona z poczuciem stylu, wykształconem na Wergiliuszu, ale i Gessnerze,

wydała wdzięczny obrazek dramatyczny (Ecloga 2), przypominający osnową Goethego: Die Launen des Verliebten: O wschodzie słońca, po rosie, spotyka pasterz Melibeusz pasterkę Amaryllis, która zapłakana, z obnażoną piersią, z rozpuszczonymi włosami biegnie w stronę lasu, bije się w piersi i wzywa na pomoc bogów. Zapytana przez Melibeusza o przyczynę takiego stanu i zachowania się, objaśnia, że nieuleczalna rana serdeczna pogrąża ją w łzach i smutku. Melibeusz sądzi, że smutek nie na czasie, gdy cała wieś przygotowuje się do radosnego obchodu na cześć opiekuna owiec i owczarków, Pana, i radby Amaryllidę widzieć w gronie świętujących dziewcząt. Ale ona nie potrafi udawać wesołości. Tak ciężko ją zasmucił ukochany Dafnis, nie przychodząc na umówioną schadzkę wczorajszego wieczora. Dotychczas nigdy się nawet nie spóźnił. Widocznie albo zachorował, albo pogonił za wilkiem, który mu porwał jagnię. — Przypuszczenia te obala Melibeusz doniesieniem, że właśnie wczoraj wieczór widział Dafnisa, jak wesoło z wiankiem w ręku dokądś spieszył. — To wystarcza Amaryllidzie, by uwierzyła, że Dafnis ją porzucił, skoro ani na schadzkę nie przyszedł, ani nie przyniósł jej wianka. Dawniej, to jej powtarzał: »Tu mihi sola places; praeter te nulla puella / dulcia vincla mihi iniciet«. Teraz ją opuścił, widocznie już mu się nie podoba, widocznie poszukał sobie innej, ładniejszej. Do niej to poszedł wczoraj wieczór, jej zaniósł kwiatki. Opuszczona życzy sobie, by ją ziemia pochłonęła, by ją piorun zabił, bo bez miłości Dafnisa żyć nie potrafi. Ale niechaj równocześnie bogowie ukarzą wiarołomcę. — Próżno Melibeusz pociesza zrozpaczoną, poddając jej myśl, że owe obawy o Dafnisa może bezpodstawne. — Ona rozpamiętuje minione szczęście. Spodziewała się najszczęśliwszego pożycia z Dafnisem, gdy raz widziała pieszczące się gołąbki. One zdrady nie znają, miłość ich zawsze jest delikatna i słodka. — I nasza taka zawsze będzie, oświadcza, podejmując ostatnie posłyszane słowa, nadchodzący Dafnis, i my aż do późnej starości tak żyć i kochać się będziemy. Oto przynoszę ci wianki w dowód miłości. Ale co znaczą twe łzy? Twe rozpuszczone włosy? — Amaryllis opowiada, jak przedtem Melibeuszowi, o niedotrzymanej schadzce i swych czarnych przypuszczeniach. Ale teraz już wszystko dobrze, gdy ogląda znów Dafnisa, pamiętającego o niej i wesołego. — Nowe zapewnienia miłości ze strony Dafnisa i zaproszenie ze strony Melibeusza, by pogodzeni kochankowie wzięli udział w święcie Pana.

I Teokryt i Wergiliusz wypełniają swe idylle i mimy radościami, a zwłaszcza rozpaczami zakochanych, ale żaden z nich nie zdobył się na tak dramatyczną akcyę, taką gradacyę uczuć, żaden z nich nie potrafił w 100 wierszach zamknąć całej komedyi pastoralnej, a raczej tego, co Niemcy »Schäferspiel« nazywają. Pastorałka Banda napisana po polsku, godnieby stanąć mogła obok »Laury i Filona« Karpińskiego. Łacina jej, jak i innych omówionych utworów, świadczy o wielkiem opanowaniu formy u młodego filologa.

Na polu liryki nie kazał Apollo szukać młodemu poecie sławy. To też zachowane ody (w liczbie siedmiu) i treścią i formą świadczą, że powstały wbrew woli Apollina i Muz. Wstępna oda do króla polskiego, cesarza Aleksandra, ujęta jest w strofy Archilochijskie (t. zw. pierwsze, jak Hor. carm. IV 7), a zawiera szumną inwokacyę do Apollina, krótki opis czynów wojennych Aleksandra Macedońskiego, a po przejściu: »Tu maior es illo! / Te meliora iuvant« opisanie błogich skutków pokoju, przyniesionego światu przez cesarza. Konkluzya: »Gaudeat heroum qui vult cognomine Magni, / Maximus esto Tibi«. — Odę do ministra oświaty, Stanisława Potockiego, ubiera w formę strofy archilochijskiej, zwanej drugą (jak Hor. epod. 13) i opowiada w niej pielgrzymowi, że tu, gdzie dziś błyszczą przybytki Muz, były niedawno zgliszcza i pożogi. Wzniesienie wspaniałych gmachów i wprowadzenie do nich Muz jest dziełem Potockiego, którego młodzież powinna wielbić jak Boga (Hunc celebrate Deum). Chciał to uczynić i poeta, ale wstrzymał go od tego Apollo »tam parva ne immensum darem / vela per oceanum«. — W odzie (3) do profesora łaciny Zinserlinga, pod którego przewodnictwem rzymska Muza wraca do Polski, parafrazuje w metrum alcejskiem pierwszą pieśń pierwszej księgi Horacego. — W tem samem metrum sławi (oda 4) sprawiedliwość sędziego apelacyjnego (a zarazem profesora uniwersytetu) Urmowskiego, który tak dobrze wpływa na przestępców, że niedowiarek, oszust, rozbójnik chodzi gorliwie do kościoła »et mollit aversos penates / thure sacro precibusque blandis«. Ten Urmowski był dobroczyńcą poety, jemu też dedykuje swój zbiorek w bardzo udanej elegii następującej treści: Gdybym był pasterzem, składałbym ci na ofiarę tłuste sztuki bydła; gdybym był rolnikiem, ofiarowałbym ci pierwsze plony i kwiaty; gdybym był myśliwym, przynosiłbym ci ubitą zwierzynę: »Ast ego non habeo errantes in montibus agnas, / nec largas messes fert mihi pinguis humus, / nec mea dextra valet telis nec arundine acuta. / Nilne offerre tibi mens

mea grata potest? / Pierios habeo cantus citharamque sonantem; / quos cecini versus, Vir venerande feram«. Trudno odmówić wdzięku tej waryacyi na temat Horacyuszowskiego: Donarem pateras (carm. IV, 8).

Trzy pozostałe ody zwrócone są do przyjaciół. Aleksandra Komara prosi w safickich strofach (o. 5), by go z gaju, gdzie zdala od trosk i hałasów składa wiersze, nie wywoływał na zabawy[1]; Henrykowi Geysmerowi (o. 6) przypomina w strofach alkmańskich, że »aufugit irreparabile tempus«, illustruje to przebiegiem pór roku i ludzkiego życia i radzi za młodu ćwiczyć się w pisaniu wierszy, by po śmierci pozostała sława; wreszcie (o. 7) Aleksandrowi Thisemu dowodzi (w strofie asklep. trzeciej) na przykładach historycznych zmienności losu, której ten tylko uniknie, kto, jak Bias, całe swe mienie nosi ze sobą.

Ostatni z polsko-łacińskich Horacyańczyków ostatnie też między nimi zajmuje miejsce, nie dorównując nawet Konarskiemu czy Leśniewskiemu, by nie wspominać o dawniejszych naśladowcach Sarbiewskiego, jak Inez, Kanon i inni. Ale jako elegik godzien stanąć choćby tylko obok Kniaźnina, godnie zamyka szereg elegików, tak chlubnie rozpoczęty przez Janickiego.

Przypadek zrządził, że prócz świeckiego księdza (Dubiecki) i świeckiego humanisty (Bando) także Jezuici i Pijarzy, którzy w w. XVIII prym dzierżyli na Parnasie, i w wieku XIX po raz ostatni przychodzą do głosu: Połocki Jezuita, Nikodem Muśnicki ogłosił w Dzienniku połockim (I, 1818): *De Christi ab inferis reditu poëma*, podejmując temat Pawła z Krosna, traktowany w Sapphicon de inferorum vastatione z r. 1514; a eks-pijar Antoni Moszyński zebrał swe panegiryki na cześć biskupa wileńskiego w maleńkim *Manipulus carminum* (Wilno, 1853, stron 11). Wreszcie przypadkowy epilog do całej poezyi polsko-łacińskiej stanowią wydane w Tarnowie w r. 1868 (Tomus I, str. 71, Impensis auctoris) *Carmina* [quae] *composuit et permultis versibus celeberrimorum antiquorum poëtarum ornavit* Joannes Neniczka, caes. reg. Iudex Districtus Zassoviensis. Epilog to prawie komiczny, jak dramat satyrowy po tragedyi, nie dlatego, jakoby pan sędzia powiatowy miał choć odrobinę humoru naturalnego (przecież traktuje przedmioty bardzo poważne —

[1] Nie notujemy ani tu ani indziej licznych reminiscencyi z Horacyusza, bo te chyba każdemu filologowi same się nasuną.

bardzo poważnie), ale przez humor mimowolny. Nazwisko wskazuje na pochodzenie czeskie i każe się domyślać w Neniczce jednego z licznych w dobie germanizacyjnej urzędników, importowanych do Galicyi z Czech. Ponieważ jednak, jak potwierdzają świadkowie, którzy go pamiętają jeszcze z Tarnowa, Neniczka się zupełnie u nas zaaklimatyzował i założył polską rodzinę, wolno go zaliczyć między poetów łacińsko-polskich. Wychował on się widocznie w jakimś klasztorze, gdzie około r. 1830 uczono robić wiersze łacińskie, skoro jeszcze na starość umiał układać jakie takie heksametry na temat grzechu pierworodnego (De primis parentibus, 288 hex, podzielonych na 9 rozdziałów z prologiem i epilogiem), dzieła odkupienia (Zacharias, Crux, 202 hex), pisać elegie o 7 prośbach modlitwy pańskiej (Oratio Dominica, 7 elegii z prologiem i epilogiem), parafrazować »Zdrowaś« (Salutatio angelica, 62 hex) i Wierzę (Symbolum apostolicum w 12 ustępach heksametrycznych). Opracowanie historyi biblijnej, dokonane w wierszu i frazeologii rzymskich epików, zwłaszcza Wergiliusza, nie może się wprawdzie równać z metrycznem przedstawieniem Nowego Testamentu przez Hiszpana Juwenkusa z czasów cesarza Konstantyna, ale gdyby nie było, jak jest, naszpikowane błędami typograficznemi, nie możnaby mu było odmówić pewnej potoczystości. Biblii zawdzięcza autor tylko ogólną treść, szczegóły sam wymyśla, ewentualnie powtarza za apokryfami. Oto. jak wyglądali pierwsi rodzice (str. 14):

Non roseis venit umbra genis et nulla lanugo.
In blanda facie vernabant dulcia mala,
Et geminum frontis micat ignea lumina sidus.
Oris multus honor, facundia magna, maiestas,
Eximii fuerant generosi corporis artus.
Forma placet niveusque color flavique capilli,
Os humerosque Deo similis, praeclarus munere formae,
Semper vivax fuerat. nullo periturus in aevo. —
Sponsa fuit compar, similis probitate marito,
Coniunx grata viro, multos dilecta per annos,
Insignis facie. formosis pectore mammis,
Dedita blanditiis, curandae dedite formae,
Et decus egregiae formae superaverat omnes.
Haec fuit marito ex usu junctissima longo
Mixtaque blanditiis puerilibus oscula iungens.

Nie przytaczamy opisu raju, niby klasycznego Elysium, ani opisu węża, bo podane wiersze wystarczą jako próbka formy Neniczki, a zarazem dowód, że nie fantazya wyposażała biblijne przed-

mioty w szczegóły, lecz pamięć, oblepiająca je klasycznemi frazesami i hemistychiami, nieraz bez względu na treść. Tak n. p. wiersz: »dedita blanditiis, curandae dedita formae« bardziej licuje z rzymską heterą, niż z matką rodzaju ludzkiego. Czasami jednak zdobywa się i na inwencyę motywów. Tak wąż kusiciel opowiada, że w ciemnej nocy widział, jak złotowłosy Gabryel zrywał słodkie jabłka z zakazanego drzewa i zanosił je w fałdach szaty Bogu Ojcu. Albo Ewa, mając ochotę na owoc zakazany, mówi: »Et rapido stimulor quam nunquam corporis oestro. / Deliciae inficiunt animum praecepsque cupido... / Tuque et mi consors dubiis ne defice rebus, / Hic atque hac poteris mecum requiescere nocte, / Basia pressa meo niveo coniungere collo...«. Trudno w takich szczegółach nie widzieć braku wszelkiego smaku i taktu, skoro Neniczka nie miał bynajmniej zamiaru parodyować historyi biblijnej.

Parafraza modlitw (Preces christianae correctae), napisana według zapewnienia autora »ante bellum borussiacum et italum 1866« przypomina poniekąd »Theomusa sive doctrina fidei Christianae« Stanisława Lubomirskiego, ale przewyższa ją gadatliwością. Tak modląc się o przyjście królestwa Bożego, woła: »Sperne voluptates, nocet empta dolore voluptas, / Corporis infamis cernitur atra lues! / Aspice florentes luxus quas verterat urbes, / Hos tulit fructus perdita luxuries...« Podobnie gromi przy sposobności i bez sposobności inne grzechy, przeplatając swe kazanie sentencyami, głównie z Owidyusza czerpanemi. Jak zaś dumny był z takich centonów, o tem świadczy umieszczone w tytule zbiorku zdanie, ze pieśni »permultis versibus celeberrimorum antiquorum poetarum ornavit«.

Jako prawy c. k. biurokrata, Neniczka uderza także w strunę lojalności i nie tylko modli się za cesarza przed wojną pruską i włoską (str. 9). ale także planuje poemat o śmierci cesarza Meksyku, Maksymiliana. Napisał tylko 16 hexametrów, dalszy ciąg zapowiedział w tomie — odrazu trzecim, bo drugi miała wypełnić pieśń »De Joanne Baptista et Salvatore Magno Jesu Christo«. Niestety »durus labor officiorum / cogit et impellit suaves abrumpere cantus« (str. 60).

Szkoda, że taki oryginał o sobie samym nie napisał więcej, jak kilka nic prawie nie mówiących wierszy. Przy objęciu urzędu sędziowskiego sławi w elegii Sprawiedliwość. Przytem tak określa sprawiedliwego (str. 34): »Iustus homo est, qui recta colit, sine crimine vivit, / Et paret monitus principis imperio«. Zawód

sędziowski jednak mu się nie podobał, jak wynika z wiersza p. t.: »Meum optarium« (str. 7). Wolałby być księdzem, a że to już niemożliwe, rolnikiem na ojczystej grzędzie. — W dostatki ziemskie nie opływał, ale pocieszał się, że bogacz nigdy nie czuje się szczęśliwym (Dives, str. 11), natomiast ubóstwo jest matką wielu cnót (Paupertas, str. 5). Ciekawy jest wiersz do jakiegoś nieprzyjaciela (Inimico, str. 70), który się cieszył z powodu dyscyplinarnego przeniesienia Neniczki do Zasowa. Pan sędzia twierdzi: »Est mea culpa levis«, zwraca uwagę na niestałość losu, który łatwo może nieszczęściem dotknąć i urągającego, i tak kończy: »Posse puta fieri, veniam mihi dante Ministro, / ut videas vultus tristis ab arte meos«. — W dwóch początkowych wierszach, zwróconych do czytelnika, daje Neniczka świadectwo, że poza heksametrem i pentametrem innych form i miar używać nie umiał i tworzył dziwadła metryczne w rodzaju tym: »Portat lectori salutem / Aurorae roseis libellus / Scriptus in undis«.

Takiego »poetę« postawił przypadek na końcu szeregu naszych wierszopisów łacińskich. Po Neniczce notuje bibliografia jeszcze kilkunastu autorów wierszy ulotnych, poświęconych z powodu rozmaitych jubileuszów, cesarzowi, papieżowi, biskupom i innym dostojnikom. Obok konwencyonalnych panegiryków, znajdzie się czasem i humorystyczny wiersz okolicznościowy, ujęty w średniowieczne rytmy i rymy. Nawet w XX w. przynosi n. p. »Gazeta Kościelna« od czasu do czasu łacińską odę czy poemat jakiego księdza. Ale zdaje się, że niema dziś na ziemiach polskich nikogo, ktoby mógł stanąć do amsterdamskiego konkursu poetyckiego imienia Hoeuffta, nikogo, ktoby umiał pisać takie wiersze łacińskie, jak w wieku XIX papież Leon XIII, lub szwajcarski Jezuita, Piotr Esseiwa. Mamy za to takiego poetę greckiego, jakim inne kraje (oczywiście po za Grecyą) pochlubić sie nie mogą.

O PEWNEM ZAGADNIENIU KINETYCZNEJ TEORYI ROZTWORÓW

napisał

MARYAN SMOLUCHOWSKI.

Jako podstawę teoryi roztworów przyjmujemy dzisiaj powszechnie tę zasadę, że drobiny ciała rozpuszczonego zachowują się w roztworze zupełnie analogicznie jak drobiny gazu, to jest że posiadają tę samą energię kinetyczną, jakąby w tejże temperaturze musiały posiadać drobiny gazu, a wskutek tego że wywierają — przynajmniej w roztworach rozrzedzonych — ciśnienie osmotyczne ściśle zgodne z prawem Boyle Charlesa, charakterystycznem dla gazów. Twierdzenie o tej analogii, o ile ona się wyraża w tej prawidłowości ciśnienia osmotycznego, zostało pierwszy raz jasno sformułowane w słynnych pracach Van t'Hoffa (1885), ale podstawowa myśl, odnosząca się do energii kinetycznej, jest już implicite zawarta w dawno wypowiedzianem twierdzeniu Maxwella[1] »o ekwipartycyi energii« w systemach mechanicznych.

Na tej samej zasadzie oparli Einstein oraz autor niniejszej pracy teoryę ruchów Browna[2], tłómacząc owe drobne ruchy, wykonywane bezustannie przez mikroskopijnie małe cząstki w cieczach zawieszone, jako widoczny objaw ruchów »drobinowych«, i wyprowadzając na tej podstawie pewne wzory ilościowe, których stwierdzenie doświadczalne uważa się dziś za jeden z najwięcej przekonywujących dowodów teoryi kinetycznej.

Dziwna rzecz, że nikt dotychczas nie podniósł przeciwko tym teoryom pewnego zarzutu, łatwo się nasuwającego każdemu, co się zajmował hydrodynamiką teoretyczną, mianowicie, że energia kinetyczna ciała poruszającego się w środowisku ciekłem zależy nie tylko od masy tego ciała i jego prędkości, ale także od rodzaju tej cieczy.

Już w r. 1833 Green[3] obliczył oddziaływanie ciekłego ośrodka

[1] Maxwell, Coll. Works I p. 378, II p. 713.

[2] Einstein, Ann. d. Phys. 17 p. 549 (1905); 19 p. 371 (1906); Zeitschr. f. Elektroch. 1908 p. 235. Smoluchowski, Ann. d. Phys. 21 p. 756 (1906); 25 p. 205 (1908).

[3] Green, Researches on the Vibrations of Pendulums in Fluid Media Tr. R. S. Edinb. 1833.

na ruch wahadła, później Stokes, Dirichlet, Clebsch [1] i inni uogólnili te rozważania dla ciał o różnych postaciach oraz pod założeniem ruchów dowolnych. Wynika z tych prac, że n. p. kula o objętości ω, poruszająca się z daną prędkością C, wzbudza w otaczającym ośrodku (o gęstości ϱ) prąd, którego energia kinetyczna wynosi $\frac{\omega\varrho C^2}{4}$, a jeżeli ruch kuli jest niejednostajny, ośrodek ciekły oddziaływa na nią w taki sposób, jak gdyby powiększał jej bezwładność; mianowicie pozorne powiększenie masy kuli wynosi połowę masy cieczy przez nią wypartej, t. j. $\frac{\omega\varrho}{2}$.

Dla ciał o innej postaci wynikają wartości odmienne, a w pewnych wypadkach obecność środowiska powoduje także powstanie momentów obrotowych.

A nawet wydrążenie w środowisku ciekłem będzie się tak poruszać, jak gdyby posiadało masę bezwładną, z czego zrodziła się jedna z licznych hipotez co do natury atomów, interpretująca je jako »dziury w eterze«.

Wobec tych, żadnej wątpliwości nie podlegających wyników hydrodynamiki teoretycznej zdawałoby się, że także wtedy, gdy chodzi o owe ruchy Browna, cząstka zawieszona w cieczy tak się musi poruszać, jak gdyby posiadała masę pozorną, większą od masy rzeczywistej, a mianowicie w razie postaci kulistej: większą o połowę masy cieczy wypartej. Założenie zasadnicze teoryi kinetycznej, że energia kinetyczna ruchu postępowego takiej cząstki jest proporcyonalna do temperatury bezwzględnej, musiałoby i nadal pozostać ważnem, ale wynikałaby z niego mniejsza prędkość, niż bez obecności ciekłego ośrodka, gdyż rozstrzygającą dla energii kinetycznej byłaby wówczas nie masa rzeczywista cząstki, tylko jej masa pozorna.

Nie chodzi tu o drobne poprawki, tylko o zmiany bardzo znaczne. Stosując te rozważania n. p. do emulsyi gumigutty lub mastyksu, którymi Perrin, Dąbrowski, Chaudesaigues posługiwali się w swych pracach, stwierdzających słuszność kinetycznej teoryi ruchów Browna, mamy do czynienia z cząstkami o prawie tej samej gęstości, co ciecz (woda) otaczająca. Musielibyśmy zatem przyjąć masę pozorną półtora raza większą, niż masa rzeczywista, z czego

[1] Patrz n. p. Lamb, Hydrodynamics p. 115.

wynikałaby prędkość postępowa C w stosunku $\sqrt{\frac{2}{3}} = 0{\cdot}8165$ zmniejszona, w porównaniu z wartością, obliczoną bez uwzględnienia wpływu ośrodka. Podobne wnioski dotyczą roztworów koloidalnych w rodzaju białka, gumy i t. p., zawierających drobiny o ciężarze drobinowym, kilka set albo kilka tysięcy razy większym od ciężaru drobinowego wody.

Wątpliwości nasuwają się jednak, czy wolno tę samą argumentacyę w niezmienionej formie przenieść także na wypadek zwykłych roztworów krystaloidalnych, w których drobiny rozpuszczalnika i ciała rozpuszczonego są wielkością sobie podobne. Pozorne powiększenie masy cząstki zanurzonej pochodzi bowiem stąd, że wywołuje ona w swem otoczeniu ruch wspólny środowiska, którego bezwładność przy zmianie prędkości łączy się z bezwładnością cząstki samej. Gdy jednak chodzi o jednę drobinę, poruszającą się między innemi, mniej więcej tego samego rodzaju, nie można oczywiście tych ostatnich uważać jako jednorodnego ośrodka ciekłego; ruch owej drobiny nie wywoła wspólnego prądu całego otoczenia, gdyż ruchy drobin otaczających będą w znacznej części niezależne.

Zapewne każdy chemik twierdzić będzie, że przedewszystkiem już same doświadczenia dobrze znane dowodzą mylności tej hipotezy o »pozornej masie hydrodynamicznej« drobin — przynajmniej co się tyczy roztworów — gdyż ciężary drobinowe substancyi rozpuszczonych, obliczone na podstawie zjawisk obniżenia temperatury krzepnięcia i t. p., zgadzają się najzupełniej z liczbami, które innymi sposobami dla nich znajdujemy i bynajmniej owego pozornego powiększenia masy nie wykazują. Byłaby to jednak zbyt powierzchowna argumentacya.

Wszystkie owe metody oznaczenia ciężaru drobinowego w roztworach polegają pośrednio na pojęciu ciśnienia osmotycznego, wywieranego przez drobiny substancyi rozpuszczonej. Otóż twierdzę, że z teoryi kinetycznej musi wyniknąć zupełnie ta sama wartość ciśnienia osmotycznego, niezależnie od tego, czy uznajemy istotnie ową hipotezę, czy też nie.

Mianowicie ciśnienie określone jest wzorem: $p = \frac{1}{3} nMC^2$, w którym M oznacza masę drobin substancyi rozpuszczonej, n ich liczbę w jednostce objętości, a prędkość C wynika z warunku ekwipartycyi energii: $MC^2 = mc^2 = 2\alpha\theta$, w którym θ oznacza temperaturę bezwzględną, a spółczynnik α wynosi mniej więcej $= 3{\cdot}6 \,.\, 10^{-16}$.

Jeżeli zaś uwzględnimy wpływ pozornej masy hydrodynamicznej, to w jednem i drugiem równaniu musimy zastąpić rzeczywistą masę drobin M przez ich pozorną M', co nie zmieni wzoru końcowego dla ciśnienia osmotycznego, wynikającego przez eliminacyę wielkości MC^2 z obu tych równań. Na liczbę gramodrobin uwzględnienie masy pozornej oczywiście wcale nie wpływa, więc też metody określenia rzeczywistego ciężaru drobinowego pozostają ważne i uwzględnienie pozornej masy hydrodynamicznej nic w tem nie zmieni.

W tej dziedzinie zatem doświadczenia nie mogą rozstrzygnąć wyłuszczonego zagadnienia, a co jeszcze ciekawsze, że to samo stosuje się również do ruchów Browna i pokrewnych zjawisk. Czy postępujemy drogą argumentacyi Einsteina, opartej na pojęciu ciśnienia osmotycznego, czy też stosujemy metodę bezpośredniego obliczenia przezemnie podaną, dochodzimy do tych samych końcowych wzorów dla przesunięcia cząstek, dla rozdziału ich pod wpływem ciężkości, oraz dla spółczynnika dyfuzyi, niezależnie od przyjęcia owej hipotezy. Zauważymy w ogóle, że nie posiadamy dotychczas sposobu bezpośredniego określenia prędkości drobin w cieczach, a wszystkie obliczenia polegają jedynie na zasadzie ekwipartycyi energii, dającej nam wartość iloczynu MC^2, ale nie jego pojedyńczych czynników.

Nie mogąc zatem na podstawie dotychczasowych doświadczeń rozstrzygnąć zagadnienia co do słuszności tej hipotezy, musimy się starać wyrobić sobie sąd drogą teoretycznego rozumowania. W tej mierze skłaniam się do zdania, że hipoteza »pozornej masy« nie jest słuszna, i że dotychczasowe teorye są ważne w niezmienionej formie.

Wywody Maxwella, odnoszące się do ekwipartycyi energii, nie określają bliżej rodzaju systemów mechanicznych, do których ta zasada się odnosi, powinny się zatem stosować równie dobrze do cząstki otoczonej gazem, jak drobinami cieczy, jak nawet tworzącej część ciała stałego. W każdym wypadku przeciętna energia kinetyczna, przypadająca na ruch postępowy środka masy owej cząstki, powinna być równa energii kinetycznej drobiny gazu, posiadającego tę samą temperaturę, i przy tem wchodzi w rachubę wyłącznie rzeczywista masa cząstki, bez względu na otoczenie. Gdyby rzeczywiście istniały ciecze takie, jakiemi się zajmuje hydrodynamika teoretyczna, któreby się nie składały z oddzielnych drobin, tylko tworzyły płyn jednorodny, bezpośrednio przylegający do cząstek w nim zawieszonych, cała sprawa przedstawiałaby się zupełnie inaczej.

Wtedy każde przesunięcie, jakkolwiek małe, owej cząstki byłoby koniecznie połączone z przesunięciem otaczającej cieczy, tworzącej wówczas z nią jednę całość pod względem mechanicznym, więc energia kinetyczna ruchu postępowego cząstki musiałaby też zawierać człon, odnoszący się do »masy pozornej«.

W rzeczywistości zaś istnieje pewna swoboda ruchów względnych cząstki i otaczających drobin; spółrzędne tych drobin oraz środka masy cząstki są spółrzędnemi niezależnie zmiennemi, mimo ewentualnego istnienia między niemi sił przyciągających lub odpychających i t. p.; dlatego też w zasadzie ekwipartycyi tylko rzeczywista masa cząstki powinna wchodzić w rachubę.

Wynika z tego następujące, nieco paradoksalne, twierdzenie:

Wyobraźmy sobie dwa roztwory tej samej substancyi w dwóch naczyniach o tej samej temperaturze; w pierwszem niech rozpuszczalnikiem będzie jakaś ciecz rzeczywista, o składzie drobinowym, w drugiem ciecz »idealna«, tworząca ośrodek ciągły, jednorodny. W takim razie drobiny owej substancyi w pierwszym roztworze będą posiadać prędkość wynikającą z wzoru $C=\sqrt{\frac{2\alpha\theta}{M}}$, zupełnie niezależną od rodzaju owej cieczy, podczas gdy w drugim będą się poruszać z prędkością mniejszą, zależną od gęstości cieczy:

$$C'=\sqrt{\frac{2\alpha\theta}{M+\frac{1}{2}\omega\varrho}}.$$

Możnaby a priori przypuścić, że ośrodek ciekły, składający się z drobin oddzielnych, można stopniowo upodobnić coraz więcej do cieczy idealnej, zmniejszając rozmiary drobin, a powiększając ich liczbę i prędkość ich ruchów; tymczasem widzimy, że pod powyższym względem zachodzi między nimi różnica zupełnie zasadnicza.

Wiadomo, że także inne paradoksy są związane z ową zasadą ekwipartycyi energii. Tak n. p. stosunek ciepła właściwego przy stałem ciśnieniu, a przy stałej objętości powinien na mocy tej zasady wynosić $k=1\frac{2}{3}$, jeżeli drobiny gazu są ściśle kuliste, zaś $k=1\frac{2}{5}$ lub $k=1\frac{1}{3}$, jeżeli choć najmniejsze istnieje zboczenie od kształtu idealnie kulistego. Nie można zatem pod tym względem gazu o drobinach kulistych uważać za specyalny wypadek gazu o drobinach elipsoidalnych, w których osi elipsoid są równe.

W podobnych wypadkach — jakich jeszcze niemało dałoby się przytoczyć — można jednak obejść sprzeczność z zasadą: »na-

tura non facit saltus« przez wprowadzenie »czasu relaksacyi«, który w nich będzie wykazywał tylko różnice ilościowe, stopniowe. Paradoksalność twierdzenia powyższego zaś jest wiele jaskrawsza i stanowi zasadniczą różnicę cieczy »idealnej«, takiej, jaką się zajmuje hydrodynamika klasyczna, a rzeczywistej cieczy, o składzie atomistycznym.

Wobec tego, że powyższe, paradoksalne rozwiązanie poruszonego tu zagadnienia opiera się wyłącznie na Maxwella wywodach o ekwipartycyi energii, będących do dziś dnia jeszcze do pewnego stopnia przedmiotem polemiki naukowej, byłoby oczywiście rzeczą bardzo pożądaną, żeby można je poprzeć wynikami doświadczalnymi, ale niestety nie widać na razie drogi, któraby ku temu mogła posłużyć.

SĄDY PRZYSIĘGŁYCH I SĄDY ŁAWNICZE

napisał

PIOTR STEBELSKI.

I.

Jak wiadomo, Austrya znajduje się w przededniu stworzenia pomnikowej pracy kodyfikacyjnej. Jeżeli pewne enuncyacye naszej najwyższej administracyi sądowej można wziąć na seryo, to zdaje się, że tak dawno wyczekiwana reforma materyalnego ustawodawstwa karnego przybierze w niedalekiej przyszłości wyraźniejsze kształty, i może post tot discrimina rerum powitamy ostatecznie dzieło, mające za sobą, powiedzmy otwarcie, nie bardzo nęcącą i interesującą historyę.

A może i obecny nasz optymizm jest zwodniczy?

Habent sua fata libelli.

Lat pięćdziesiąt mija, odkąd pierwszy projekt, reformujący obecną ustawę karną, ujrzał światło dzienne. Nie jest to wdzięcznem zadaniem, a powiedzmy wprost jest nużącem, przedstawiać genezę tych licznych projektów, jakie począwszy od roku 1861 pojawiają się, będących chyba wymownem świadectwem nieudolności w stworzeniu nowego dzieła kodyfikacyjnego. Niemal każdy minister sprawiedliwości rozpoczynał swe rządy, inaugurując reformę i ambicyonując, aby nazwisko jego znalazło się umieszczone na nowym projekcie, i z góry, rzec można, przystępował do tego z niewiarą w powodzenie. Nad każdym nowym projektem zawisł fatalizm, że stał się przestarzałym, zanim prace, podjęte przez powołane czynniki, ukończone zostały.

W dobie tych prac rozpoczął się w nauce prawa karnego okres fermentacyi i przesilenia. Nowe doktryny, zasilone zdobyczami nauk przyrodniczych i społecznych, wywołały ten prąd ewolucyjny, wobec którego runąć muszą dawniejsze instytucye prawne. Przyszła sprawiedliwość karna postępować ma odmiennemi torami. Wielkie zagadnienia prawa karnego mają być rozwiązywane na innych podstawach, niż je rozwiązuje dzisiejsza apryorystyczna jurysprudencya klasyczna. A jednem z haseł, wywieszonych na sztandarze tych no-

1*

wych szermierzy, jest celowe zorganizowanie walki z przestępstwem i obrona społeczeństwa zagrożonego w swych podstawach.

Kodeks obecny, będący poprawną edycyą kodeksu z r. 1803, a mający za sobą przeszło wiekową tradycyę, hołdujący zasadzie bezwzględnego odwetu, stał się już dawno anachronizmem. Zaczęto posiłkować się przeróżnemi nowelami, środkiem, jak wiadomo, z natury swej połowicznym i odbierającym danemu ustawodawstwu cechę jednolitości.

Wszelka reforma, którąby negowała postulaty nowych kierunków, wprowadzonych gdzieindziej z pomyślnymi wynikami, nie stanęłaby na wysokości swego zadania i staćby się musiała bezcelową. Rutyna, tradycya ustapić muszą przed nowymi ożywczymi pierwiastkami.

Z tymi prądami liczyć się musieli redaktorowie najnowszego projektu, porzucając dawne utarte szlaki i wyprowadzając instytucye wypielegnowane na gruncie nowych idei.

Czy jednak nie ulękli się i nie stanęli na drodze połowicznej, czy zdołano zwalczyć zakorzenione poglądy i czy stworzono pracę na wskróś jednolitą?

Na to pytanie odpowiedzieć wypadnie chyba przecząco. Jest pewna połowiczność i chwiejność, targowanie się o zasady kierujące, koncesye na każdym kroku, lękliwość przed wszechwładzą sędziowską i obawa, żeby praca ta legislacyjna nie była zbyt postępową. To też krytyka, która na ogół powitała projekt dosyć przychylnie, niemal jednogłośnie wyrzekła sąd, że jest to praca, która wzrosła na gruncie wzajemnych kompromisów i ustępstw.

I mimowoli zadać sobie należy pytanie, czy doba dzisiejsza w ewolucyi tych pojęć zasadniczych, zanim ten proces kształtowania ukończył się, zanim nowe zasady, które wstrząsnęły podwalinami prawa karnego, staną niewzruszone jak opoka, nadaje się do zapoczątkowania tego dzieła, czy chwila szczęśliwie została obraną, czy nie należałoby raczej zająć wyczekującego stanowiska.

Możliwa, że te wątpliwości wpłynęły na naszą najwyższą administracyę sądową, skoro udzielając szczupłemu gronu prawników projekt najnowszy, będący ostatecznie pracą prywatną, zaznaczyło wyraźnie, że dopiero w przyszłości zastrzega sobie określić swoje stanowisko i swój sąd wydać.

Równocześnie z ogłoszeniem projektu, który dla zaakcentowania niejako jego prowizorycznego charakteru, otrzymał nazwę

»Vorentwurf«, ministerstwo sprawiedliwości podało do wiadomości, że komisya, której poruczono prace reformujące obecną ustawę, czyli raczej ściślejszy jej komitet, przygotowuje projekt, zmieniający niektóre postanowienia obecnego formalnego ustawodawstwa karnego. Projektem tym objęte być mają te przepisy postępowania karnego, które wobec nowego kodeksu prawa materyalnego już ostać się nie mogły, albo które ulec musiały radykalnej zmianie.

Zapowiedź ta doczekała się urzeczywistnienia. W grudniu 1909 opublikowało ministerstwo projekty do ustaw, zmieniających prawo procesowe karne, a równocześnie ogłoszono sprawozdanie komisyi, czyli raczej ściślejszego jej komitetu, wraz z szczegółowemi motywami.

I znowu ministerstwo, ogłaszając te projekty przed przedłożeniem ich w ciałach parlamentarnych, zaznacza w wstępnych uwagach, że są one owocem prac ściślejszego komitetu, że wprawdzie na redakcyę niektórych postanowień ministerstwo wpłynęło, zastrzega sobie jednakże w późniejszym czasie uzasadnić stanowisko, jakie wobec zaproponowanych zmian zająć zamierza.

A zmiany te są wprost pierwszorzędnego znaczenia. W krótkiem streszczeniu podaje komisya kierunek i granice swych prac. Wychodząc z założenia, że reforma materyalnego prawa stała się naglącą koniecznością i dalej odwlec się nie da, zaznacza komisya, że nie było jej zamiarem stworzyć nowego prawa procesowego, któreby dostosowało się do projektowanego prawa materyalnego. Wprowadzenie nowych instytucyj prawnych, obcych dotychczasowemu ustawodawstwu, wymagać musiało z natury swej norm regulujących je, a lubo postępowanie wstępne, postępowanie na rozprawie głównej i system środków prawnych pozostały niezmienione, to jednak zmiany są nader liczne i wprost doniosłej natury.

Co do formy projektu tego spotykamy się poraz pierwszy z pewną innowacyą, obcą niemal dotychczasowej technice kodyfikacyjnej.

Nie było zamiarem kodyfikatorów ująć tych nowych postanowień z zakresu prawa formalnego w jednę w sobie zamkniętą, tworzącą jednolitą całość ustawę. Komisya poszła odmienną drogą. Uzupełniając, bądź modyfikując istniejące prawo procesowe, wciela te nowe normy do procedury z r. 1873, starając się zatrzymać i terminologię i sposób jej wyrażania się. W przyszłości więc według zakreślonego planu całość prawa procesowego obejmie i istniejącą procedurę i nowe postanowienia w redakcyi zaproponowanej przez komisyę.

Że dzieło w ten sposób zbudowane nie będzie jednolitem, a na-

wet w praktycznem zastosowaniu nastręczyć musi licznych trudności, rzecz aż nadto jasna.

Cel wytkniętej reformy i wytyczne jej granice komisya, jak to w wstępnych swych uwagach podnosi, ujęła w dwa punkty: 1) dostosowanie obowiązującej ustawy o postępowaniu karnem do nowego materyalnego prawa; 2) zmiana przepisów organizacyjnych o orzecznictwie sądów z silniejszym współudziałem elementu obywatelskiego.

Zdaje się, że najwyższa administracya sądowa przywiązuje największą wagę do tego drugiego punktu programowego reformy, skoro w przedmowie z całą otwartością zaznacza swe stanowisko, a wypowiadając wotum nieufności pod adresem instytucyi sądów przysięgłych, domaga się powołania żywiołu obywatelskiego w orzecznictwie w sprawach karnych w szerszym rozmiarze, a to pod formą sądu ławniczego. Na tę przewodnią ideę reformy ministerstwo kładzie największy nacisk i przytacza na usprawiedliwienie zajętego stanowiska cały szereg poważnych argumentów, dochodząc do wniosku ostatecznego, że sąd ławniczy jest najdoskonalszą formą, w której problem współudziału sądu obywatelskiego w tej niemal najważniejszej funkcyi życia publicznego ma się ucieleśnić.

I nad tem chcielibyśmy zastanowić się obecnie. Pytanie to, jak wiadomo, już od dawna zaprząta umysły prawników i przyczyniło się do olbrzymiego wprost wzrostu literatury procesowej. Kwestya ta po raz pierwszy poruszona przez Schwarzego w roku 1864 (Geschwornengericht und Schöffengericht, ein Beitrag zur Lösung der Schwurgerichtsfrage) nie schodziła dłuższy czas z porządku zjazdów prawników, odbywających się w Niemczech, i dała powód do polemiki i do dyskusyi namiętnie niemal prowadzonej. Antagonizm ten spowodował, że autorowie o dźwięcznych nazwiskach podzielili się na dwa wrogie obozy, nawzajem się zwalczające. Po jednej stronie z całym arsenałem argumentów w obronie sądu przysięgłych wystąpili Glaser, Wahlberg, Bar, John, Mayer, a ich przeciwnikami byli Schwarze, Zachariae, Hugo Meyer, Binder. Spór ten ostatecznie nie został rozegrany, po walce lat kilkanaście trwającej nastąpiło zawieszenie broni i pewne ochłodzenie zapału.

Dziś powrócić musimy do tej kwestyi. Której formie sądu obywatelskiego przyznać należy wyższość, i czy droga obrana przez naszych kodyfikatorów jest szczęśliwą? Tym pytaniom chcielibyśmy poświęcić kilka uwag, zaczerpniętych przedewszystkiem z obserwacyi

dotychczasowej praktyki, z szczególniejszem uwzględnieniem stosunków u nas istniejących.

II.

Sądy przysięgłych, zaprowadzone na kontynencie w czasach wielkich wstrząśnień politycznych i społecznych, spowodowanych wielką rewolucyą francuską, wchodziły w program ówczesnych postulatów politycznych i stanowić miały paladyum wolności osobistej przeciw wszelkim zamachom władzy państwowej, a zarazem służyć do realizowania celów politycznych. Historya stwierdza też, że oddały one niepoślednie usługi i terroryzmowi rewolucyjnemu i despotyzmowi napoleońskiemu. Prawo karne i sprawiedliwość ugiąć się musiały przed wszechwładzą udzielności ludu, uosobionej w owej conviction intime przysięgłych, będącej zarazem wyrazem najwyższej samowoli.

Była to epoka najwyższego zachwytu, porywu i obudzenia gwałtownego po wiekowym śnie, w której dla refleksyi nie było miejsca. Napróżno w Niemczech taka powaga naukowa jak Feuerbach, a za nim jego adepci jak Möhl, Hepfner, Jagemann, Grohmann, Vollert i inni, wskazywali na niebezpieczeństwo. jakie zrodzić się musiało z przeniesieniem instytucyi obcej i niewypróbowanej na grunt nieprzygotowany. Głos ich musiał przebrzmieć niemal niepostrzeżenie, a wśród wielkich przesileń politycznych w roku 1848 powitano przysięgłych jako prawdziwych reprezentantów uciśnionego ludu. Apoteoza ta w Niemczech dosięgła zenitu, gdy wystąpili autorowie, starający się nadać sądom przysięgłych podstawy historyczne i narodowe, przedstawiając je jako instytucyę nawskróś rodzimą, znaną dawnemu prawu niemieckiemu,

Ale już w latach najbliższych po r. 1848 zaczyna budzić się refleksya. Poznano, że zbyt jednostronne zaakcentowanie pierwiastka politycznego z zupełnem pominięciem charakteru prawnego jest niebezpieczne, a dla prawnika podobny widnokrąg jest za ciasny i niewystarczający. I zaczęto zadawać sobie pytanie, czy jeżeli ma być usankcyonowany udział elementu niefachowego w jednej z najważniejszych funkcyj życia publicznego, ten udział tylko w formie przyjętej przez sąd przysięgłych może się dokonać? Zgodzono się w zasadzie, że społeczeństwo musi mieć swych reprezentantów w tej funkcyi, lecz zarazem postawiono kwestyę, czy forma przyjęta w są-

dzie przysięgłych jest jedynie uprzywilejowaną, czy też zasada dopuszczenia pierwiastka ludowego może być i w innej formie dającej większe rękojmie dla idei prawa, przeprowadzona. I wówczas utorowało sobie drogę przekonanie, że w tej epoce gorączkowej za mało uwagi zwrócono na charakter prawny instytucyi sądów przysięgłych, skąd wyrodziło się pytanie, czy rzeczywiście organizacya ich jest tak doskonałą, iżby ze stanowiska idei prawa i celów sprawiedliwości wytrzymać mogła krytykę.

Zarysowuje się więc wyraźnie charakter prawny tej instytucyi i pod hasłem tem zaczynają ścierać się zdania. Występują do walki przeciwnicy sądów przysięgłych, jednak nie pod hasłem reakcyjnem lub antiliberalnem. Najżarliwsi antagoniści bynajmniej nie atakują idei reprezentacyjnej, ucieleśniającej się w sądzie przysięgłych, nie przeoczają też wielkich korzyści, jakie przysparza zbliżenie społeczeństwa do prawa i tendencya wyrównania tych różnic, jakie uwydatniają się między abstrakcyjnem prawem pisanem a stosunkami życiowemi. Wszak i oni bronią zapatrywania, że sędzia powinien być tłómaczem prawa na to ustanowionym, by to prawo rozciągał i prostował dedukcyjnie i kazuistycznie, by analizował objawy życia, i wreszcie aby nie był to człowiek nieznający tego życia i jego pulsowań, myślą gdzieś w abstrakcyach krążący. Przeciwnicy ci nie stoją więc wcale na stanowisku, jakoby tylko władza państwowa przez swe organy powołana była do realizowania prawa w wypadku jego naruszenia, i nie bronią zapatrywania owego filozofa niemieckiego, jakoby usunięcie sędziów państwowych było negacyą prawa i podkopywało byt i istnienie jego; dla nich jedynie forma przyjęta w sądzie przysięgłych nie jest dla idei prawa idealną i doskonałą.

Nie mamy tu oczywiście na myśli owego antagonizmu kastowego, który początkowo stanął do walki. Był to antagonizm koteryjny, biurokratyczny, formalistyczny, nie mogący pogodzić się z myślą, aby element inny, żyjący w sferze odmiennych pojęć i wyobrażeń, mógł przysporzyć jakich korzyści w usługach wymiaru sprawiedliwości. W Austryi scholastycyzm ten zapleśniały przyczynił się w pewnej mierze do upadku sądów przysięgłych, wprowadzonych po raz pierwszy po wypadkach marcowych. Był to żywioł nawskróś reakcyjny, wrogi wszelkim liberalnym innowacyom. Antagonizm ten należy dziś już do historyi, jakkolwiek nie możemy zataić, że nie wszyscy nasi sędziowie zawodowi są entuzyastycznymi zwolennikami idei współdziałania czynnika obywatelskiego w orzecznictwie karnem.

W czasach niemal ostatnich spotykamy się ze znaczącym symptomem. Propagandę przeciw sądom przysięgłych podjęto w obozie zupełnie innym, bo w najbardziej postępowym.

Włoscy pozytywiści wołają, że musi być to społeczeństwo w podstawach swego bytu zagrożone, skoro werdykty sądów przysięgłych przyczyniają się do wzrostu ogólnej przestępności, a przysięgli zauzurpowali sobie prawo monarsze, bo prawo ułaskawiania. To też między postulatami szkoły antropologicznej i między punktami programowymi zwolenników rozmaitych jej odcieni znajdujemy jako jeden z najskuteczniejszych środków, torujących przyszłą reformę społeczną, zniesienie sądów przysięgłych.

Moglibyśmy wymienić cały szereg dźwięcznych nazwisk między koryfeuszami nowych horyzontów, przepowiadających w niedalekiej przyszłości upadek tej instytucyi, którą Włosi od pewnego czasu zaczęli z jawnym przekąsem nazywać barokową. Chcielibyśmy jednak powołać się na zdanie niewątpliwie najznakomitszego współczesnego kryminologa francuskiego Tarde, który podzielając najzupełniej stanowisko, zajęte przez włoskich antropologów, dowodzi, że dalsze istnienie sądów przysięgłych równa się zastojowi. Bo cóż powołało je do życia — pyta Tarde — czy istotna potrzeba, upatrująca w nich największą rękojmię skutecznego wymiaru sprawiedliwości? Była u nas epoka naśladowniczości, wskazywano na Anglię, urządzającą swe instytucye prawne na szerokich podstawach samorządnych, olśniewał nas liberalizm wiekowy angielski i przenieśliśmy na grunt nasz instytucyę, która w swym zaczątku nosiła już zaród śmierci. Głosowi Tarda wtóruje cała plejada kryminologów nowych szkół rozmaitych odcieni, zarówno Włosi, Francuzi, Belgijczycy, Niemcy.

Lecz porzućmy antropologów, nie przyjmujących funkcyi sądzenia w obręb swych doktryn, lecz wierzących w klasyfikatorów, zastępujących miejsce sędziów, porzućmy tych przyszłych organizatorów społeczeństwa, których wyznawcy klasycznej jurysprudencyi nazywają utopistami, a ich doktryny paradoksalnemi, i posłuchajmy co mówią klasycy, nicujący projekty reformatorskie pozytywistów.

W Niemczech propaganda nieprzychylna sądom przysięgłych znalazła wyraz w rezolucyach, uchwalanych na kilku zjazdach prawników, a były pruski minister sprawiedliwości Leonhardt nosił się z myślą zastąpienia sądów przysięgłych wielkim sądem ławniczym. Tak na XVIII zjeździe uchwalono rezolucyę: 1) sądy ławnicze okazały się w praktyce użytecznemi; 2) obecna organizacya sądów przy-

sięgłych wymaga gwałtownie reformy. Rezolucya ta jednak uchwalona została po zaciętej szermierce. Niemal wszyscy uczestnicy zjazdu oświadczyli się przeciw sądom przysięgłych, których wyroki są wymownem świadectwem przeróżnych nieobliczalnych niekonsekwencyj. Całą instytucyę poddano gnębiącej krytyce, rezolucya Olshausena, proponująca votum nieufności, zyskała niemal ogólny poklask, a w ostatniej chwili ocalił ją Jacques. Trafiła do przekonania argumentacya, że sprawa jeszcze nie jest dojrzałą, aby ogłaszać światu bankructwo tak doniosłej instytucyi.

Przypominamy, że i na II zjeździe prawników i ekonomistów polskich z r. 1889 kwestya ta stanęła również na porządku dziennym.

Opinię ujemną wydał prof. Krzymuski, uznając sąd przysięgłych za instytucyę nierozumną i w najwyższym stopniu niebezpieczną dla porządku prawnego.

Referat ten sięgnął do organizacyjnych podstaw tej formy sądów, a stawiając pewnik, że o winie kryminalnej, mieszczącej tyle zawiłości i kwestyi czysto prawnych, orzekać może i powinien tylko sędzia fachowy, odsądza sędziego obywatelskiego od zdolności oceniania faktu prawnego, odsądza go od udziału w orzecznictwie, widząc w nim dla wymiaru sprawiedliwości karnej czynnik wielce niebezpieczny. W tem leży właśnie najsłabsza strona instytucyi sądu przysięgłych, podkopująca byt jej w najistotniejszych podstawach.

Drugi referat spoczywał w ręku piszącego te słowa, który posługując się dosyć obfitym materyałem statystycznym, nagromadzonym w publikacyach urzędowych centralnej komisyi statystycznej, i przedstawiając w świetle cyfr działalność sądów tych tak w ogólności, jak i co do poszczególnych przestępstw, na pytanie »czy i o ile okazały się w Galicyi w praktyce sądy przysięgłych użytecznymi«, przedstawił tezę »sądy przysięgłych nie odpowiedziały w Galicyi swemu zadaniu i w praktyce nie okazały się użytecznymi«.

W interesie ścisłości sprawozdawczej podnieść należy, że przeciwny kierunek reprezentowany był na zjeździe w referacie śp. prof. Ostrożyńskiego.

Sprawozdanie to bynajmniej nie zaprzecza obniżeniu się wartości werdyktów sędziów przysięgłych i uznaje też zasadność podnoszonych przeciw nim zarzutów. Mimo to ta forma udziału elementu niefachowego jest zdaniem sprawozdawcy najidealniejszą, i sto wyżej od formy sądownictwa mięszanego, w którejby sędziowie za-

wodowi już z mocy swego stanowiska musieli mieć przewagę nad sędziami wyszłymi z ludu.

I jeżeli sędziowie ci nie zawsze stoją na wysokości swego zadania, jeżeli ich wyroki spotykają się z zasłużoną, a czasami surową krytyką, to przyczynę tego stanu upatrywać należy nie w samej instytucyi, lecz w obecnym jej składzie, a głównie w tej okoliczności, że obowiązek sprawowania funkcyi sędziego przysięgłego wkłada obowiązujące prawo na ludzi, którzy inteligencyą swą nie mogą sprostać zadaniu, do którego spełnienia ich powołano.

Odpowiadając na tezę »w jakim kierunku należałoby przeprowadzić reformę sądów przysięgłych, by instytucyę tę uczynić pożyteczniejszą przy wymiarze karnej sprawiedliwości«, sprawozdanie przedstawia następujące wnioski:

1) należy sąd przysięgłych nadal zatrzymać przy wymiarze sprawiedliwości karnej w sprawach o najcięższe przestępstwa i przestępstwa polityczne, pozostawiając im orzekanie w kwestyi czynu;

2) rozszerzyć przyjęty przez obowiązujące prawo szereg przyczyn niezdolności do sprawowania urzędu sędziego przysięgłego, wymagając większego, aniżeli dotychczas, wykształcenia i nieskazitelnego charakteru;

3) odjąć urzędowi temu cechę ciężaru, jaką ma dotychczas, płacąc sędziom przysięgłym za sprawowanie funkcyi odpowiednie wynagrodzenie.

III.

W Austryi upływa czwarte dziesięciolecie od czasu wprowadzenia sądów przysięgłych. Okres to czasu poważny i dostateczny, aby bezstronnie i bez uprzedzenia zdać sobie sprawę z działalności tej instytucyi, którą i u nas powitano jako jednę z największych zdobyczy, osiągniętych w zakresie prawa politycznego. Dziś już ten zapał ostygł, gorący entuzyazm zniknął, a miejsce jego zajęła refleksya. Nawet najzagorzalsi zwolennicy zasady reprezentacyjnej w sądownictwie nie zapatrują się na nią tak różowo, jak z początku, i przyznają, że są pewne braki, które wymagają poprawy. W społeczeństwie zdania są podzielone. Werdykt krzywdzący i stojący w sprzeczności z poczuciem prawnem ogółu, wywołuje okrzyk oburzenia i wyrazy potępienia. Opinia ta jest zresztą chwiejna, zmienna, a pod wrażeniem werdyktu jej sympatycznego nuci hymny pochwalne.

Kreśląc te uwagi zaczerpnięte z życia, mamy oczywiście na względzie owe normalne warunki, wśród których sąd przysięgłych funkcyonuje. Miarą naszej oceny nie mogą być owe wyjątkowe stosunki, które w danej chwili społeczeństwem wstrząsają. Rozszalałe namiętności polityczne, zaślepiony antagonizm narodowościowy i inne zewnętrzne wpływy podkopać mogą nieraz wiarę w prawidłowe funkcyonowanie sądów przysięgłych. Są to jednak zjawiska efemeryczne, przemijające, które nie mogą być brane za podstawę naszych rozmyślań.

I najwyższa administracya sądowa już od pewnego czasu nie występuje z ową bałwochwalczą apoteozą w obronie werdyktu sądów przysięgłych, jak to swego czasu czynił Glaser, ów najżarliwszy propagator idei autonomicznej w orzecznictwie karnem.

Kilka procesów głośnych i mających ogólniejsze znaczenie, przeprowadzonych w Austryi, komentowanych następnie w ciałach parlamentarnych i prasie, dały asumpt ministrowi sprawiedliwości do wydania reskryptu w dniu 3 listopada 1892. Minister daje tu krótki pogląd na działanie sądów karnych, a przechodząc następnie do sędziów przysięgłych, poddaje ich orzecznictwo ujemnej krytyce i w sposób jasny i niedwuznaczny wypowiada swe niezadowolenie. »Instytucya sądów przysięgłych, żywo atakowana z jednej strony, z drugiej uznawana za niezbędną rękojmię urządzeń liberalnych, niezupełnie odpowiedziała daleko posuniętym oczekiwaniom. Walki życia politycznego nie powinny jej wzruszać, lecz powinna ona pozostać nietkniętą« — tak przemawia minister pod adresem sędziów przysięgłych.

Zdarzały się u nas wypadki, że przewodniczący rozprawy zwracał się wprost do sędziów przysięgłych, karcąc ich za to, że wydają werdykty gwałcące poczucie prawa. Także i z trybuny prokuratorskiej padały słowa zabójczej krytyki na temat zbyt częstych i nieuzasadnionych uwolnień. I w jednym i w drugim wypadku postąpiono nielegalnie, z ujmą niezawisłości sędziów przysięgłych, a jednak nie błahe widocznie musiały zachodzić powody, skoro zdecydowano się na krok tyle niezwykły w rocznikach orzecznictwa karnego. Sporadyczne to wprawdzie wypadki, nie omylimy się jednak, twierdząc, że admonicya udzielona przysięgłym była wyrazem opinii, panującej w sferach sędziów zawodowych. Trudno ich posądzić o antagonizm kastowy, gdy na widok zdeptanej sprawiedliwości nie mogą powstrzymać się od głosu słusznego oburzenia.

Bo też szczególną etyką kierują się przysięgli. Zasiadłszy na ławie dziwnej ulegają metamorfozie. Znaliśmy mężów surowych zasad, a nawet wytrawnych prawników, którzy powołani na stanowisko przysięgłego, posuwali pobłażliwość dla ułomności ludzkich, wchodzących w kolizyę z kodeksem karnym, do najskrajniejszych granic, i z punktu widzenia ogólno-ludzkiego starali się ciężkie nawet zbrodnie puścić bezkarnie. Mają przysięgli swój odrębny kodeks, nie paragrafowy wprawdzie, w który ślepo wierzą, pomijając wszelkie prawo pozytywne. Wyrobiło się przekonanie, niestety na prawdzie osnute, że pewne kategorye ciężkich przestępstw uchodzą w naszem społeczeństwie bezkarnie. Nie pamiętamy wypadku, aby dzieciobójczyni była potępiona. Nieodgadnione, zmienne, urągające prawu zapatrywanie podmiotowe zaważa częstokroć na szali sprawiedliwości.

Wszechwładza przysięgłych wyradza się w pewnego rodzaju cynizm, szydzący z prawa, a nieraz słyszymy głosy chełpienia się, że mimo przekonywującego materyału dowodowego uwolniono oskarżonego. Idea sprawiedliwości cierpi, jeżeli w społeczeństwie pomniejsze naruszenia prawa ścigane bywają z bezwzględną surowością, a cięższe, wstrząsające podwalinami jego bytu, nie doznają represyi.

Najlepiej może pojął i zrozumiał etykę przysięgłych świat zbrodniczy, który w zamian darzy ich bezgranicznem zaufaniem.

Najdosadniej jednak występuje cała nieudolność sądu przysięgłych w procesach o obrazę czci, popełnionych treścią pisma drukowego. Wpływy zewnętrzne, namowa, głos opinii publicznej, często błędnej, gonienie za popularnością, stronniczość i namiętność o podkładzie narodowościowym, źle pojęty sentymentalizm i karygodne niemal lekceważenie tego, co jest najdroższem dla jednostki — to wszystko składa się na to, że dziś wiara w sprawiedliwość werdyktów, w tych sprawach wydawanych, zupełnie upadła. A nie są to sprawy błahe i nieznaczące. Cóż może być boleśniejszego, jak targnięcie się na cześć; i to właśnie ujść ma bezkarnie, a nawet wyrokiem sądowym otrzymać sankcyę.

Zrozumiały to sfery kierujące już dawno, skoro zdecydowały się ścieśnić kompetencyę sądów przysięgłych, wyjmując te sprawy z pod ich orzecznictwa i przekazując zwykłym trybunałom. Projekt odnośny, na pozór reakcyjny, bo przedstawiający się jako zamach na atrybucye sądów przysięgłych, na ogół został przychylnie powitany, a jedynie prasa, zwłaszcza rewolwerowa, uprawiająca szantaż, wystąpiła przeciw niemu z całą żarliwością.

Zapytajmyż się dalej, w jaki sposób urząd sędziego przysięgłego bywa w Galicyi wykonywany, i oprzyjmy naszą odpowiedź na obserwacyach, jakie poczyniliśmy, spełniając przez dłuższy czas obowiązki sędziego zawodowego. Wstrzymujemy się od przesady wszelkiej i kreślimy te nasze uwagi bez żadnego uprzedzenia. Wyrobiło się u nas, niestety na prawdzie osnute mniemanie, że cała instytucya w swem praktycznem zastosowaniu, pozostawia wiele do życzenia. To już oczywiście nie wina organizacyjnych jej podstaw, lecz wina czynników, biorących udział w procesie, a powołanych do ich strzeżenia i poszanowania. Czujemy, że podnosimy zbyt ciężki zarzut, nie wyrażając się tak pochlebnie o instytucyi tyle poważnej, i może krzywdzimy ją, generalizując nasze zarzuty; a jednak gorzkie te słowa nasuwają się nam mimowoli.

Przypatrzmy się scenom prawdziwie upokarzającym, jakich widownią jest sala rozpraw sądowych przed rozpoczęciem rozprawy w czasie tworzenia składu ławy przysięgłych. Widzimy tu obraz nie licujący ani z powagą miejsca, ani z owym wysławianym liberalizmem. Ileż tu próśb, zabiegów, kłamstw, aby tylko uwolnić się od zasiadania na ławie. Wyszukuje się przeróżne prawdziwe i nieprawdziwe przeszkody, apeluje się do znajomości, protekcyi, a jeżeli wyjątkowo znajdzie się prokurator lub obrońca, głuchy na te prośby i modły, poddaje się wreszcie przysięgły z nietajoną niechęcią swemu losowi z tem przekonaniem, że spełnił w usługach społeczeństwa wielką ofiarę.

I to wszystko odbywa się w obliczu całego zgromadzonego trybunału, w obecności oskarżonego, który będąc widzem scen gorszących, stracić może wiarę i zaufanie do sędziów, w których ręku spoczęły jego losy.

Podnosimy więc zarzut przeciw prokuratorom i obrońcom, którzy przy wykonywaniu służącego im prawa wyłączenia nie kierują się względami rzeczowymi, lecz czy to dla zdobycia sobie popularności, czy też z lekceważenia przyjętych obowiązków, przyczyniają się pośrednio do demoralizacyi ławy przysięgłych.

Podnosimy wreszcie zarzut przeciw przewodniczącym, którzy z mocy przysługującej im władzy dyskrecyonalnej winni skarcić podobne, majestatowi sprawiedliwości uwłaczające praktyki.

A nie jest to sprawa błaha i nic nieznacząca, jakby na pierwszy rzut oka zdawać się mogło.

W izbie przysięgłych nieraz podnoszą się głosy oburzenia na

stronnicze postępowanie odnośnych czynników, faworyzujące jednych kosztem drugich. Element, dający największą rękojmię, że z zrozumieniem spełni swój obowiązek, niemal systematycznie usuwa się. Fakty to luźne, niestety zbyt często powtarzające się, z których stworzyć sobie można obraz całości.

Ustawodawstwo obowiązujące oparło zdolność sprawowania urzędu sędziego przysięgłego na systemie mięszanym, powołując na ten urząd obywateli, opłacających podatek w pewnej wysokości, lub bez względu na podatek, posiadających pewien szczególny stopień wykształcenia. W tem połączeniu systemu szacunku majątkowego z systemem zdolności osobistej ustawodawstwo upatrywało jednę z najistotniejszych gwarancyi sprawiedliwości werdyktów, sądziło bowiem, że żywioł inteligentny, współdziałając z żywiołem mniej oświeconym, usunie niejeden brak wynikający z nizkiego poziomu pewnej części przysięgłych.

Intencya ta ustawodawcy została jednak w praktyce wypaczona. Obywatele, w których ręku mógłby z całym spokojem spocząć los sprawy, usuwają się od spełnienia tego obywatelskiego obowiązku, spychając ciężar sądzenia na swych współobywateli, wprawdzie chętnych, lecz najmniej do sądzenia powołanych. Sama znajomość czytania i pisania obok opłacania pewnego podatku nie jest jeszcze świadectwem kwalifikującem przysięgłego, który w sprawach zwłaszcza wymagających wytrawniejszego sądu, i nastręczających pewne trudności nawet dla prawnika zawodowego, nie może spełnić należycie urzędu nań włożonego. W ogóle to sumienie, to przekonanie sędziego przysięgłego, mające dla niego powagę najwyższej instancyi, jest w jego pojmowaniu czemś bardzo elastycznem, wygodnem i sankcyonującem najwyższą krzywdę, wyrządzoną idei sprawiedliwości.

Uwagi nasze skierowane są przedewszystkiem pod adresem sędziów w miastach, zwłaszcza prowincyonalnych. Nizki poziom inteligencyi, obniżenie się poczucia prawa i zobojętnienie wobec tych form bezprawia kryminalnego, które nie naruszają najwyższych dóbr — to wszystko niewątpliwie przyczynia się do dekadencyi wartości werdyktów.

Jeżeli do tego dodamy, że przysięgli w przeważnej części zaciągają się z ludności niezamożnej, nieraz walczącej z nędzą, dla której przebywanie w siedzibie trybunału sądu przysięgłych połączone jest z ciężkiemi ofiarami, że zdarzają się wcale nierzadkie wypadki, iż ogołoceni z najpierwszych potrzeb, dopraszają się o przy-

znanie sobie choćby nieznacznego wynagrodzenia, to będziemy mieli w najgłówniejszych konturach obraz tej instytucyi obywatelskiej, jak ona w świetle praktyki się przedstawia. Stosunki te idą w parze niestety z ogólnym stanem ekonomicznym; gdzieindziej ukształtowanie tych stosunków jest nierównie korzystniejsze.

Zapytajmyż wreszcie, czy wina tego niewątpliwego obniżenia instytucyi leży wyłącznie tylko po stronie sędziów przysięgłych, czynnie występujących dopiero w ostatnim akcie dramatu, jaki zaczyna się na rozprawie głównej, czy też tych przyczyn rozkładowych nie należy szukać także i gdzieindziej. Zapytajmy więc, czyli nasi przewodniczący, obrońcy w granicach ustawą zakreślonych, wywiązują się należycie ze swego zadania. I przedewszystkiem odpowiedzmy na pytanie, czy w świetle krytyki mogą wyjść obronnie nasi przewodniczący, owi najznakomitsi reprezentanci sądu państwowego, w których ręce ustawodawstwo nasze złożyło pełnię atrybucyj wywyższających ich na kierujące stanowisko, a zarazem liczne i daleko idące obowiązki, zabezpieczające w procesie wykrycie najwyższej prawdy, a w następstwie i należyty wymiar sprawiedliwości.

Jak wiadomo, ustawodawstwo austryackie, określając stanowisko przewodniczącego, poszło w ślady prawa francuskiego, i przyznało mu między wszystkimi czynnikami, biorącymi udział w procesie, rolę najprzedniejszą i najczynniejszą. Jest on duszą całej rozprawy, panem wszechwładnym, ograniczonym tylko swym honorem i sumieniem, któremu we wszystkich czynnościach przyświecać winna jako myśl przewodnia idea wykrycia w procesie prawdy materyalnej. Stanowisko jego jest potężne, ale zarazem i arcytrudne. Mając poruczoną sobie na rozprawie instrukcyę sprawy, musi należycie przygotować się do spełnienia tego obowiązku, musi przestudyować dokładnie materyał nagromadzony, a zarazem przyswoić sobie rutynę i pewną technikę, któraby ochroniła go przed przeróżnemi niewłaściwościami.

Najważniejszym jednak bez wątpienia obowiązkiem jego będzie uniknąć tego wszystkiego, coby ściągnąć na niego mogło zarzut stronniczości. A zadanie to nie jest łatwe. Byliśmy świadkami, jak przewodniczący na rozprawie starali się podtrzymać ugruntowane na aktach śledczych zdanie, i nie uwzględniali wyników rozprawy, zadających kłam faktom, uznanym w postępowaniu wstępnem za prawdziwe. To apryorystyczne przekonanie i oparta na niem tendencyj-

ność może utrudnić, a niekiedy uniemożliwić przysięgłym spełnienie zadania, a nawet spowodować niesprawiedliwy wyrok. Oczywiście zajęcie stanowiska przedmiotowego, uwzględniającego równomiernie interes stron walczących, i zachowanie tej miary, któraby utrzymywała osoby występujące w procesie w szrankach ustawą zakreślonych, jest rzeczą indywidualnego taktu, rutyny, temperamentu, a nawet i pewnej intuicyi.

Francuski kryminalista Berenger żąda od przewodniczącego nie tyle olśniewającego talentu, jak raczej pewnej roztropności umysłu i pewności, zimnej krwi, a zarazem łagodności i dobroci serca, spokoju, a zarazem szlachetności, a jeden z niemieckich praktyków, długoletni przewodniczący w sądach przysięgłych, ułożył schemat obejmujący owe przymioty, które przeciętny prezydujący posiadać winien, jeżeli ma sprostać swemu zadaniu. Są one następujące: *a)* dar słowa i pewność wyrażania się, *b)* donośny organ mowy, *c)* obznajomienie się z językiem ludu i jego zwyczajami, *d)* surowe przestrzeganie karności i porządku, *e)* unikanie wszelkich namiętnych wybuchów, *f)* równość wobec wszystkich uczestników rozprawy, *g)* dążenie do wykrycia prawdy i unikanie wszelkiej, choćby najlżejszej stronniczości, *i)* zachowanie powagi bez przesady i pedanteryi, *k)* stanowcze wystąpienie przeciw nadużywaniu słowa, bądź w toku rozprawy, bądź w wywodach ostatecznych. Mybyśmy dodali jeszcze dwa inne, które pominął niemiecki rutynista. Mamy na myśli gruntowne obznajomienie się ze stanem sprawy w sądzie roztrząsanej, a więc przestudyowanie materyału śledczego, i posiadanie pewnego encyklopedycznego wykształcenia, któreby go uchroniło od ignorancyi lub jednostronności.

Takich jednak idealnych przewodniczących nie posiadamy, a składają się na to rozmaite powody, te jednak nie wchodzą w ramy niniejszych naszych uwag. Gdzieindziej administracya państwowa dokłada starań, aby z pośród grona sędziów zawodowych wychować sobie zastęp dzielnych specyalnych prezydujących, którzyby mogli w przyszłości sprostać zadaniu. W Galicyi czynniki powołane wobec tych całkiem uzasadnionych postulatów dziwnie apatycznie się zachowują, nie odstępując od tradycyjnych szablonów. Wcale zresztą do wyjątków nie należy, że przewodniczący dopiero w ostatniej chwili ma możność dorywczego i powierzchownego zaznajomienia się z aktami sprawy sądzić się mającej, przez co kierownictwo jego nosić musi piętno pobieżności i niepewności.

W wyż powołanym reskrypcie domaga się minister sprawiedliwości powierzenia kierownictwa rozpraw tylko takim funkcyonaryuszom, po których spodziewać się można, że zdołali należycie ogarnąć cały materyał nagromadzony, i którzy odznaczają się tym spokojem i taktem, jakiego wymaga powaga sądu. Reskrypt ten wskazuje dalej na ten wysoki nimb, jakim otoczeni są sędziowie angielscy, i zwraca się w końcu przeciw owym przewodniczącym, którzy obniżając powagę miejsca, z sali sądowej czynią arenę swych niewłaściwych wycieczek i uwag, drażniących nieraz także uczucia narodowe.

O kierownictwie rozprawy przez przewodniczących w Galicyi moglibyśmy w ogólności powiedzieć, że czasami zanadto mało posiadają samoistności, a natomiast za wiele oglądają się na prokuratorów. Że faktycznie wytworzył się stosunek pewnej zawisłości od prokuratorów, to rzecz powszechnie wiadoma, i dopiero w ostatnich czasach zaczyna się dosyć wyraźnie zarysowywać tendencya wyzwolenia z pod wpływów prokuratorskich. Temu też przypisać należy, że nieraz przewodniczący zwracają się do prokuratorów, żądając od nich postawienia wniosków w kwestyach, które przewodniczący z mocy władzy swej dyskrecyonalnej sami bez udziału stron rozstrzygnąć winni.

Zarzucamy dalej przewodniczącym na rozprawach, że ze zbytniej obawy przed zarzutem pobieżności, gubią się w szczegółach drobnostkowych i utrudniają tym sposobem zadanie przysięgłym, którzy tracąc wątek całości, nie mogą się wobec ogromu materyału należycie zoryentować. Wada ta jest u nas dosyć powszechnie zakorzeniona, a nieraz dają się słyszeć z ławy przysięgłych głosy niezadowolenia, że przeciąga się rozprawę ponad rzeczywistą potrzebę.

Nie wyczerpalibyśmy tych, w najgłówniejszych zarysach skreślonych uwag, gdybyśmy nie dotknęli jednej, nader ważnej atrybucyi przewodniczącego, będącej tak w literaturze, jak i w pozytywnych ustawodawstwach przedmiotem ożywionej krytyki. Mamy na myśli przemówienie jego końcowe, tak jak ono w ustawodawstwie naszem zostało unormowane.

Geneza powstania przepisu odnoszącego się do resumé według naszego prawa procesowego, wykazuje, że w ciałach prawodawczych podnosiły się głosy za ograniczeniem przewodniczącego w jego przemówieniu jedynie do kwestyi prawnej, z wykluczeniem wszelkich wywodów, odnoszących się do kwestyi faktycznej. Głosy te jednak były w mniejszości, a pod wpływem ówczesnych zapa-

trywań wyszedł § 325 ust. o post. karn., który objął przepisy zaczerpnięte i z prawa francuskiego i z prawa angielskiego. I odkąd instytucya sądów przysięgłych w Austryi została wprowadzona, odtąd na porządku dziennym stawianą jest kwestya reformy resumé, a § 325 ustawy procesowej wystawiony jest na największe zaczepki.

Nie jest zadaniem naszem podawać historyi owych reformatorskich dążeń, odnoszących się do resumé. W krótkości jedynie podajemy, że pierwszy niejako, który w Austryi spopularyzował myśl zniesienia resumé w postaci obecnej, był Jacques. Myśl tę krzewił on począwszy od wprowadzenia obecnej procedury, przy każdej sposobności na zjazdach, w czasopismach fachowych występował przeciw obecnej stylizacyi § 325, a w końcu na posiedzeniu 259 Rady państwa w r. 1883 postawił wniosek dostatecznie poparty, o wydanie noweli do postępowania karnego. Wniosek Jacquesa zdąża do zmiany obecnego resumé w podwójnym kierunku. Pierwsza część wniosku zwalnia przewodniczącego od resumé we właściwem czyli technicznem tego słowa znaczeniu zwalnia go więc od reprodukcyi przebiegu całej przeprowadzonej rozprawy, i stosownie do postulatów nauki i zdobyczy zebranych na polu praktycznego doświadczenia, ma odpaść w przyszłości unaocznienie momentów ważniejszych rozprawy, a przysięgli wiedząc, że powtórne streszczenie przy końcu rozprawy już nie nastąpi, pobudzeni będą tem samem do żywszego uczestniczenia, baczniejszej uwagi i zajęcia się rozgrywającą się przed nimi akcyą. W ten sposób wyrokować będą na podstawie swoich, i to bezpośrednio odniesionych wrażeń z rozprawy głównej, a werdykt ich będzie pełnym i niezamąconym wyrazem ich wewnętrznego, swobodnego przekonania.

Druga część wniosku dotyczy właściwego pouczenia prawnego. Istota i zakres tej funkcyi przewodniczącego nie doznaje we wniosku Jacquesa najmniejszej zmiany, i w tej mierze wnioskodawca stoi na stanowisku prawa obowiązującego, które na przewodniczącego nakłada obowiązek wyłuszczenia ustawowych znamion czynu karygodnego i znaczenia znajdujących się w pytaniu ustawowych wyrazów.

Zrobiliśmy to spostrzeżenie, że resumé nie czyni na przysięgłych potężnego wrażenia. Zazwyczaj jest ono oschłem, bezbarwnem i niemal niewolniczem powtórzeniem rozprawy, bez polotu i bez barwności pociągającej i nadającej życie. Brak w niem pewnej siły argumentacyi, brak krytycznego rozumowania. Temu też przypisać należy, że zazwyczaj przysięgli obojętnie przysłuchują się wy-

wodom przewodniczącego, a niekiedy i zdradzają pewną niecierpliwość.

A już zupełnie odmówić musimy daru udzielania jasnego pouczenia prawnego. Zwykle odczytuje przewodniczący odnośny ustęp z ustawy karnej, objaśniając go mniej lub więcej niezręcznie, a czasami całkiem mylnie. Z takiej lekcyi przysięgli odnoszą nader wątpliwą korzyść. Niewątpliwie rzecz to niełatwa podać laikom zawiłe konstrukcye prawne w formie przystępnej. Temu też przypisać należy, że przysięgli, przyszedłszy do izby obrad, kierują się albo swym instynktem, lub, co częściej bywa, idą za głosem tego przysięgłego, który im imponuje pewnym zasobem wiedzy prawniczej. A wówczas werdykt nie jest wyrazem przekonania całej ławy przysięgłych, lecz pewnej jednostki, górującej wiedzą i doświadczeniem.

Przystępujemy wreszcie do odpowiedzi na pytanie, czy obrońcy przejęci są szczytnością tego zadania, jakie w usługach sprawiedliwości spełnić mają.

Śledząc pilnie wszelkie symptomatyczne objawy, można powiedzieć, że od pewnego czasu począł wiać prąd nieprzychylny obrońcom.

Pomijamy pozytywistów, a na ich czele Lombrosa, który utrzymuje, iż w zachodniej Europie panuje teraz adwokacka oligarchia, zupełnie nieprzychylna porządkowi publicznemu i sprawiedliwości, pomijamy i ten skryty antagonizm, jaki faktycznie wytworzył się między prokuratorami a obrońcami, mącący harmonijne współdziałanie tych czynników, pomijamy wreszcie i ową utajoną niechęć naszych sędziów, objawiającą się niekiedy i na zewnątrz, a zwracamy się do głośnego w swoim czasie memoryału prezydenta wiedeńskiego sądu karnego, w którym wypowiada wotum nieufności całemu stanowi adwokackiemu, a przedewszystkiem obrońcom.

Memoryał ten wywołał głos oburzenia i dał nawet powód wiedeńskiej izbie adwokatów do założenia formalnego protestu. W proteście tym zaznaczono, że słowa ujemnej krytyki, wyrzeczone w memoryale, są wyrazem owej nieżyczliwości i niechęci, panującej w sferach sędziów zawodowych, która utrudnia obrońcom spełnianie ich zadania. Stosunek, jaki się faktycznie między trybunałem a ławą obrońców wytworzył, nacechowany jest wzajemną nieufnością, pobudzającą niekiedy przewodniczących lub prokuratorów do enuncyacyj, podkopujących powagę obrońców. Skutkiem tego obrona stała się officium odiosum.

A jednak słowa te, oparte w pewnej części na słusznych spostrzeżeniach, znalazły oddźwięk i u nas.

Obrońców, występujących na rozprawach, dzielimy na trzy kategorye:

Pierwsza, niestety nieliczna, zwolna znikająca, przejęta szczytnością swego powołania, nie goni za efektami, nie lubuje się w wywoływaniu scen dramatycznych i sztucznych, lecz ze spokojem a zarazem z godnością występuje w sali sądowej w obronie niewinności. Ci obrońcy nie mogą uskarżać się ani na stronniczość, ani na nieprzychylność ze strony sądów.

Drugą kategoryę stanowią ci obrońcy, którzy dla reklamy szukając spraw sensacyjnych, gonią za popularnością w szerszych warstwach, a dla zdobycia jej nie przebierają w środkach, nieodpowiadających ich wysokiemu stanowisku. Tacy obrońcy nie mają zbyt wielkiego powodzenia u sędziów, natomiast frazesami nietreściwymi lecz pociągającymi wywołują niekiedy na ławie przysięgłych pewien efekt. Ci obrońcy jednak znikają jak meteory, ustępują ze swych stanowisk i robią miejsca nowym gwiazdom.

Trzecia kategorya jest najsmutniejsza. Weterani w służbie sądowej, adwokaci bez klienteli, za nędznem wynagrodzeniem zastępują obrońców z urzędu ustanowionych. Jest to wprawdzie element spokojny, niezapalny, ale zarazem odgrywający rolę niepoczesną w sali sądowej. Przemówienia ich są zazwyczaj szablonowe, liche, nie budzące zainteresowania i przemijające bez wpływu na ławę przysięgłych.

Na tem kończymy nasze spostrzeżenia o sądach przysięgłych w Galicyi. Dotknęliśmy tylko rzeczy najważniejszych i powszechnie odczuwanych. Te ulotne jednak uwagi są aż nadto wystarczające, aby podzielić w tej kwestyi zapatrywanie tak ministerstwa sprawiedliwości, jak i komisyi. »Das Geschwornengericht hat die Hoffnungen nicht erfüllt, die man bei seiner Einrichtung hegte. Selbst die unbedingten Anhänger der Einrichtung geben zu, dass der Taumel der Begeisterung, der die Einführung der Geschwornengerichte forderte, sehr schnell einer erheblichen Ernüchterung gewichen sei und dass das Geschwornengericht an schweren Mängeln leide« — czytamy w motywach komisyjnych i na te słowa piszemy się w zupełności.

IV.

I ministerstwo sprawiedliwości podnosi w swych wstępnych uwagach, że sąd przysięgłych nie odpowiedział oczekiwaniom. Przyczynę upadku tej instytucyi upatruje nasza administracya sądowa w samej organizacyi tych sądów, w których funkcye sędziowskie rozdzielone są między dwa odrębne ciała. W sądzie przysięgłych osobno radzą i orzekają najpierw laicy o winie, a następnie sędziowie zawodowi o pytaniu co do kary.

Rozdział tych funkcyj sędziowskich sprowadzić musiał w następstwie przeróżne ujemne skutki, które dadzą się streścić w następujących punktach:

a) przysięgli odpowiadają na zadane sobie pytania, sformułowane przez trybunał sądu przysięgłych. Jest to niewątpliwie najtrudniejsza kwestya w postępowaniu przed sądem przysięgłych, będąca źródłem licznych nieporozumień, i pociągająca donośne następstwa w postaci werdyktów, opartych na odpowiedziach błędnie pojętych. Odczuwano już oddawna tę najujemniejszą stronę instytucyi sądów przysięgłych, skoro w literaturze spotykamy się z nader licznymi wnioskami, zdążającymi do reformy tego stadyum postępowania (Wahlberg, Bar, Heinze, Götze, Herman). A dodajmy zaraz, że żaden z tych wniosków nie potrafi złemu zaradzić. Poruszono także myśl, ażeby przysięgłym dodać w sali narad sędziego, któryby kierował ich obradami, pouczał ich o prawie, zwrócił uwagę na to, ażeby nie wciągano do narad okoliczności obojętnych, czuwał nad sposobem głosowania i udzielał w tej mierze wskazówek. Nie ulega wątpliwości, że wniosek taki jest w wysokim stopniu niebezpieczny, a przysięgli łatwo mogliby ulec przemożnemu wpływowi tego sędziego, werdykt ich nie byłby wyrazem ich przekonania;

b) postępowanie sprostowawcze nie usuwa niejasności, niedokładności i sprzeczności werdyktów, lecz przeciwnie jest źródłem nowych nieporozumień;

c) zwolnienie przysięgłych od przedstawiania pobudek orzeczenia powoduje, że przysięgli nie zastanawiając się głębiej nad motywami, przyswoili sobie faktycznie prawo ułaskawiania.

Z tych powodów projekt komisyjny przemawia za wprowadzeniem jednolitej organizacyi w postaci sądu ławniczego, w którym owe dwa kollegia prawników i laików, radzące i orzekające w sądzie przysięgłych z osobna o różnych częściach wyroku, złą-

czone byłyby w jedno ciało. Tak zorganizowany sąd miałby wyższość nad sądem przysięgłych, byłoby to bowiem jedno kollegium, w którem sędziowie zawodowi i sędziowie wyszli z ludu, spólnie i równocześnie orzekaliby i o winie i o karze oskarżonego i wydawali jednolity, niepodzielony na pytania i odpowiedzi wyrok.

Organizacya sądów orzekających w pierwszej instancyi według art. VI VIII ustawy wprowadczej w nowej stylizacyi i § 484 ust. o post. karn. oparta jest na następujących podstawach:

a) do kompetencyi sądów przysięgłych należą zbrodnie i występki polityczne, tudzież zbrodnie zagrożone karą śmierci, karą dożywotniego więzienia i karą ścieśnienia wolności wyżej lat dziesięciu;

b) wszystkie inne przestępstwa, dotychczas należące do orzecznictwa sądów przysięgłych, a mianowicie przestępstwa popełnione osnową pisma drukowego i przestępstwa zagrożone karą na wolności wyżej lat pięciu, należą przed trybunały pierwszej instancyi jako wielkie sądy ławnicze;

c) wszystkie inne przestępstwa, należące dotychczas do orzecznictwa trybunałów pierwszej instancyi jako sądów wyrokujących, przekazane są trybunałom pierwszej instancyi jako małym sądom ławniczym;

d) do sądów powiatowych należy orzekanie o wszystkich przekroczeniach, przekazanych im do osądzenia ustawą karną.

Według § 13 ust. o post. karn. w nowej stylizacyi wielki sąd ławniczy składa się z sześciu sędziów, trzech sędziów zawodowych i trzech ławników, przewodnictwo należy do sędziego zawodowego; mały sąd ławniczy składa się z dwóch sędziów i dwóch ławników.

Sędziowie i ławnicy tworzą jednolite ciało i w spólnej naradzie i spólnem głosowaniu orzekają o winie, karze i wszelkich innych pytaniach procesowych, tudzież o prywatno-prawnych roszczeniach poszkodowanego i o zastosowaniu środków zabezpieczających.

Z tych postanowień wynika, że projekt nie zrywa zupełnie z sądem przysięgłych, lecz przeciwnie zatrzymuje go w przestępstwach politycznych i zbrodniach najcięższych.

Motywa, przyznając bezwzględnie wyższość sądowi ławniczemu i upatrując w nim najdoskonalszą formę sądu obywatelskiego, usprawiedliwiają to połowiczne stanowisko, jakie w tej kwestyi projekt zajmuje.

Motywa liczą się z tem głęboko zakorzenionem przekonaniem, że sędzia zawodowy w sądzie ławniczym zawsze zajmować będzie

stanowisko przodownicze i górujące nad ławnikiem, który czując wyższość sędziego, łatwo ulegnie jego wpływowi. Projekt czyni więc koncesyę, zatrzymując sąd przysięgłych w przestępstwach politycznych, przy których, jak to zresztą z ich natury wynika, łatwo sędzia zawodowy mógłby z ujmą interesów oskarżonego wyzyskać swoje stanowisko. Ażeby jednakże wobec tak ograniczonego zakresu kompetencyjnego sąd przysięgłych nie stał się sądem wyjątkowym, przekazuje projekt orzecznictwu tegoż sądu także i zbrodnie, zagrożone karą więzienia wyżej lat dziesięciu.

Projekt tym sposobem stwarza niejednolitą organizacyę sądownictwa karnego, poruczając sprawy najcięższe przysięgłym, średnie sądom ławniczym, a najlżejsze sędziom samoistnym. Taka dualistyczna organizacya w przestępstwach wyższej kategoryi, osnuta na wręcz odmiennych zasadach, jest niewątpliwie nieracyonalną, a projekt w tej mierze jest niekonsekwentny. Z myślą podobnej organizacyi spotkaliśmy się w literaturze procesowej; Binder, Stenglein i większość praktyków niemieckich uchwalili na IX i X zjeździe prawników zasadę, że instytucya sądów ławniczych ma być wprowadzoną jedynie dla spraw, nieprzekazanych sądom przysięgłych.

Najwyższa administracya sądowa zawahała się i stanęła znowu na drodze połowicznej. Zatrzymuje sąd przysięgłych, lubo w szczuplejszym zakresie, a na swoje usprawiedliwienie przytacza: »das Geschworengericht gilt in der Bevölkerung vielfach noch als Palladium der bürgerlichen Freiheit. Seine Abschaffung, bevor noch das Schöffengericht gezeigt, dass auch bei ihm die Freiheit des Bürgers gesichert sei, würde vielleicht das Vertrauen in der Rechtspflege erschüttern«. Słowa te wskazywałyby, że ministerstwo w tej sprawie zajmuje stanowisko wyczekujące, a dopiero w czasie późniejszym, oparłszy się na wynikach działalności sądu ławniczego, przystąpi do zniesienia sądu przysięgłych.

Jak wiadomo, przeciwnicy sądu ławników podnoszą cały szereg poważnych zarzutów, które dadzą się streścić w punktach następujących:

a) sąd ławniczy ma tworzyć jednolite ciało sędziowskie, powołane do rozstrzygnięcia pytania co do winy i co do kary. Ciało więc, składające się z dwóch tak różnorodnych pierwiastków, o odmiennych poglądach i o różnym sposobie myślenia, nie jest zdolne do harmonijnego współdziałania, przeciwnie spólne działanie i spólna narada stają się tu niemal niemożliwe;

b) wyższość sędziów zawodowych nad laikami sprowadzić musi majoryzowanie tych ostatnich z ujmą owej samodzielności wyroku, która cechuje orzeczenia przysięgłych. Stosunek podporządkowania i zależności ławników od sędziów urzędowych stanie się przyczyną, że ich udział nie będzie ową rękojmią sprawiedliwego wyroku, jakiej po nich się spodziewamy;

c) zarzucają sądowi ławników, że wskutek zaprowadzenia tej instytucyi orzecznictwo w sprawach karnych stracić musi cechę popularności, poczucie prawne ogółu nie będzie objawiać się już samoistnie, i nie znajdzie tak jasnego wyrazu, jak w orzeczeniu przysięgłych;

d) wobec współudziału sędziów zawodowych odpowiedzialność ławników za orzeczenia przez nich wydawane zmniejszy się, skutkiem czego ta uszczuplona odpowiedzialność odbije się niekorzystnie na osądzeniu sprawy im przekazanej;

e) w sądzie ławników odpada publiczne zadawanie pytań i publiczne pouczenie co do prawa, pouczenie to odbywać się będzie bez kontroli stron, a więc nie będzie mogło być zaczepione przez strony.

Takie byłyby w ulotnem streszczeniu najgłówniejsze zarzuty przeciw sądowi ławniczemu. Nie ze wszystkimi, tylko z dwoma rozprawiają się motywa projektu, a mianowicie z zarzutem, że ławnicy nie zdołają sprostać zadaniu im przekazanemu, tudzież że stosunek podporządkowania i zależności, w jaki popadną wobec sędziów zawodowych, oddziałać musi niekorzystnie na ich orzecznictwo.

Zarzut pierwszy odpierają motywa bardzo trafnie, upatrując w współdziałaniu ławników gwarancyę sprawiedliwego wymiaru sprawiedliwości. Sędzia urzędowy, zastanawiając się nad sprawą, zwykł generalizować, stosować się do przyjętych tradycyj i ustalonej praktyki, laik przeciwnie uwzględnia tylko przypadek indywidualny, sądzi według osobistości oskarżonego i właściwości sprawy, a znajomość życia codziennego, ludzi i pewien zasób doświadczenia wskaże mu w każdym poszczególnym wypadku właściwą drogę. Połączenie dwóch tych żywiołów, stojących przeważnie na krańcowych stanowiskach, w jedno kollegium, przyczynić się tylko może do wyrównania zdań i poglądów, i może tylko zapobiec, aby wyrok nie grzeszył jednostronnością.

Zarzut drugi jest nietrafny. Przeciwnicy sądu ławniczego zapominają, że dziś szerokie warstwy ludności stały się już dojrza-

łemi. Powołanie ich do współdziałania w życiu publicznem, uczestniczenie w przeróżnych organizacyach ekonomicznych i społecznych, wyrobić musiało pewną dojrzałość i przyczyniło się do rozszerzenia widnokręgu. Płonną więc jest obawa, aby laik uświadomiony ukorzył się przed powagą sędziego zawodowego, raczej przejęty uczuciem odpowiedzialności, starać się będzie zawarować na każdym kroku swoję samodzielność.

Zresztą i stanowisko sędziego urzędowego dziś uległo radykalnej zmianie. Proces inkwizycyjny ze swoją organizacyą i stosunek zupełnej zależności sędziego zawodowego wobec władzy państwowej, stworzyć musiały pewną nieufność do sędziego, mianowanego przez nieodpowiedzialny rząd. Przywilej nieusuwalności i niezależności, zapewnionej ustawami zasadniczemi, nadał mu inne stanowisko. Sędzia dzisiejszy nie może odgraniczyć się od ludności, wśród której urzęduje, a zadanie jego jest przedewszystkiem społeczne.

W kwestyi organizacyi sądu ławników projekt poszedł odmienną drogą, niż to czyniły dotychczasowe ustawodawstwa, które w Niemczech przyjęły sąd ławników. Najżarliwszy propagator, rzec można twórca tej instytucyi, Schwarze (Das deutsche Schwurgericht und dessen Reform, das Schöffengericht) przemawiał za tem, ażeby w kolegium sędziowskiem ławnicy tworzyli większość, mianowicie w sprawach, przekazanych sądom przysięgłym i sądom kolegialnym, sąd ławniczy miał składać się z sześciu ławników i z trzech sędziów urzędowych, w przekroczeniach zaś, przekazanych sądom jednoosobowym, sąd ławniczy złożony być miał z dwóch ławników i z jednego sędziego zawodowego. Do uznania winy oskarżonego i do każdej uchwały dla niego niekorzystnej, wymaganą jest większość dwóch trzecich głosów.

Wnioski organizacyjne Schwarzego nie zostały przyjęte przez Zachariae'go (Das moderne Schöffengericht), który projektował odmienny skład sądu ławniczego. W sprawach, przekazanych dziś sądom przysięgłych, wyrokować ma pięciu sędziów urzędowych i siedmiu ławników, a do wyroku skazującego wymaga się co najmniej głosów ośmiu. W sprawach, przekazanych sądom kolegialnym bez udziału przysięgłych, sąd ławniczy składa się z trzech sędziów i z pięciu ławników, do wyroku zaś skazującego wymaga się głosów sześciu.

Projekt staje na stanowisku równorzędności obu tych czynników. Zasada ta musi się domagać, aby oba te czynniki równorzędnie w kolegium sędziowskiem były zastąpione, inaczej utworzyćby się

musiał pewien antagonizm. Przewaga ławników wskazywałaby, że ustawodawca uważa czynnik ten za nierównorzędny. Obawa majoryzowania przez takie ukształtowanie sądu ławniczego jest wykluczona; większość i mniejszość składać się zawsze musi z przedstawicieli obu tych czynników.

Projekt porucza ławnikom władzę w całym jej zakresie, i w tej mierze nie przyjmuje żadnych ograniczeń, jak tego domagają się przeróżni organizatorowie sądu ławniczego. Becker przemawiał za poruczeniem ławnikom orzekania o kwestyi winy i o karze, z wyłączeniem jednak kwestyi procesualnych, jako wymagających już pewnego wyższego zasobu wiedzy prawniczej, Schwarze dopuszczał ławników do orzekania o winie, wyłączył ich jednak od udziału w uchwałach procesualnych i w wymierzaniu kary, wychodząc z tego założenia, że ławnicy, nie posiadając potrzebnej rutyny w należytym wymiarze kary, popadną albo w nadmierną surowość, albo kierując się zbytnim sentymentalizmem, będą skłonni do nadzwyczajnej łagodności.

Stanowisko to jest jednostronne, i raczej przemawialibyśmy za przyznaniem ławnikom pełni władzy sędziowskiej bez jakiegokolwiek ograniczania. Jeżeli bowiem mają być ławnicy owym czynnikiem ożywczym, zrywającym z szablonem i rutyną, jeżeli przeciw sędziom zawodowym podnosi się całkiem uzasadniony zarzut, że przy wymiarze kary zwykli trzymać się pewnej stałej, utartej miary, a ławnicy powołani są właśnie do stworzenia tu pewnej równowagi, odbiegającej od utartej praktyki a indywidualizującej winę oskarżonego, dla czegóż uszczuplać ich zakres działania i ściągać ich na stanowisko sędziów drugiej klasy?

Kwestye procesualne, wyłaniające się w toku rozprawy głównej, nie są znowu tak doniosłego znaczenia. Brak pewnych szczegółowych wiadomości technicznych nie wpłynie tak ujemnie na samo zawyrokowanie, a każdy laik, śledząc pilnie wyniki rozprawy, sam bez wszelkiej pomocy rozstrzygnie pytanie, czy zachodzi potrzeba zawezwania nowych świadków, znawców, przedsiębrania oględzin.

Z tych powodów oświadczamy się za projektem, który przyjmując zasadę równorzędności, wyposaża ławników w pełnię władzy sędziowskiej (Vollrichter).

Na tem kończymy nasze uwagi. Dotknęliśmy tylko najważniejszych wyłaniających się tu kwestyj. A jeżeli pewne symptomatyczne objawy nie okażą się zwodniczymi, może w niedalekiej przyszłości

powitamy sąd ławniczy jako wyraz demokratyzacyi społeczeństwa. Wszak szerokie warstwy, po długotrwałym letargu, przychodzą do uświadomienia i żądają współudziału w rozwiązywaniu wielkich zagadnień życia publicznego. A kto wie, czy po latach doświadczenia idea reprezentacyjna pierwiastka ludowego nie zwycięży zupełnie; wówczas sąd przysięgłych należeć już będzie do historyi.

SZKIC MOICH BADAŃ W KARPATACH
O ILE ONE DOTYCZĄ PŁASZCZOWIN FLISZU

napisał

WAWRZYNIEC TEISSEYRE.

Pod nazwą płaszczowiny Zamury (Vf. Zamura-Leordanu nad Teleażenem na wschód od Slaniku) wyłączyłem w roku 1908 pewien pas fliszu, na kilka mil szeroki, który we wschodniej Muntenii przedziela znaną pośrodkową strefę piaskowca Uzu względem skrajnie zewnętrznej strefy fliszowej piaskowca kliwskiego (Valeni de Munte).

Jakkolwiek szczegół ten, zaczerpnięty w połaci Karpat południowych pomiędzy rzekami Dymbovicą a Buzeu, jest na pozór drobny, mimo to w rzeczywistości, jak się okaże poniżej, ma on ważne zastosowanie w rekonstrukcyi ustroju tektonicznego pasma Karpat.

Badania moje, w tej okolicy rozpoczęte w czasie, kiedy płaszczowin nie znano, przedstawiały szereg corocznych próbnych zdjęć geologicznych, wszakże miejscami nawet szczegółowych, o ile że dostosowanych do chwilowych potrzeb górnictwa naftowego. Sporządzone przezemnie mapy geologiczne (1:50000), zalegające swego czasu w manuskryptach zrazu w Ministerstwie Domen, obecnie zaś w Instytucie geologicznym w Bukareszcie, spożytkowane są w dotychczasowej literaturze miejscowej [1] o tyle, o ile przedstawiony na tych, dotąd (1910) jedynych mapach tej okolicy obraz geologii miejscowej z natury rzeczy musiał być punktem wyjścia rozpatrywań tektonicznych. Mapy te tworzą podstawę dla zdjęć szczegółowszych, które Instytut geologiczny rozpoczyna już w roku bieżącym, obejmują zaś one część wschodniej Muntenii, która przypada na strefę Karpat miopliocenską, oraz na skrajną połać strefy fliszu pomiędzy linią poprzeczną Dymbovicy a rzekami Buzeu i Slanikiem (okręgi Dymbowica, Prahowa i Buzeu).

Do systematycznego spożytkowania zdęć tych przystąpiłem niedawno w pracy pod tytułem: »Über die zonare und transversale

[1] Mrazec, Popescu-Voitesti, Teisseyre.

Gliederung der Flysch- und Neogenkarpaten in Ostmuntenia«, którą przedłożyłem Instytutowi geologicznemu w Bukareszcie na wiosnę w r. 1909. Obecnie jest na ukończeniu druk szczegółowej mapy geologicznej (Valeni de Munte 1:50000), która do tej pracy jest dołączona.

Oprócz tego potrąciłem o niektóre w tej okolicy poczynione spostrzeżenia tektoniczne w pracy stratygraficznej pod tytułem: »Über die maeotische, pontische und dacische Stufe in den Südkarpaten der östlichen Muntenia« (odbitka z Anuarul Institutului geologic al Romániei, II tom, 1908, zeszyt 3, Bukareszt 1909).

Mapka naszkicowana w rozmiarze 1:500000, dołączona do przytoczonej pracy stratygraficznej, przedstawia wierną kopię przeważnej części zaznaczeń moich w rozmiarze 1:50000, obejmujących obszar Karpat wschodniej Muntenii, jednakowoż z pominięciem pewnej części zbadanego flyszu, i z pominięciem szczegółów tektonicznych.

Miejscowe stosunki tektoniczne »Karpat plioceńskich wschodniej Muntenii«, mimo to na podstawie tej mapki krótko są objaśniane w tekście (str. 319). Nawiązując do tych uwag, a przedewszystkiem do moich map, do zaznaczeń granic fliszu na przytoczonej mapce i do profilów w zapowiedzianej pracy tektonicznej, spróbuję poniżej określić sumarycznie stosunek, w jakim zdjęcia moje pozostają do problemu płaszczowin w tej części Karpat.

Płaszczowina Zamura.

Do szczegółów tektonicznych, których opis w nadmienionej pracy stratygraficznej zapowiedziałem, należy właśnie płaszczowina Zamury.

Główny pas fliszu wschodniej Muntenii, oznaczony w pracach Mrazka, Athanasiu i moich nazwą płaszczowiny Uzu (Herbich)[1], niewątpliwie łączy się w jednę całość z płaszczowiną magórską Karpat północnych.

Z badań moich wynika, że pas Uzu nie graniczy na zewnątrz w Muntenii wschodniej bezpośrednio z opisaną poniżej płaszczowiną

[1] Przechrzczono ją niedawno na płaszczowinę piaskowca Siriu (zamiast Uzu), sądzę jednak, że nazwa ta wzbogaci niepotrzebnie synonimikę stratygraficzną.

kliwską z Valeni de Munte, jak się to dotąd wydawało. Z jednej strony rozgraniczają się obszary piaskowca Uzu i piaskowca kliwskiego, jak już wiadomo, szerokim na kilkanaście do kilkudziesięciu km. obszarem, na który przypada znana zatoka formacyi solonośnej, oznaczona nazwą miejscowości Slanik (Prahowa).

Stosunek tego obszaru tej formacyi do płaszczowin fliszu, dotychczas, jak sądzę, nie jest udowodniony[1]. Mimo to nie może to być, jak się okaże poniżej, część składowa płaszczowiny Uzu, ani też kliwskiej. Z poszukiwań moich (zdjęcia w obrębie obszaru arkusza Valeni de Munte 1:50000) wynika, że płaszczowina kliwska ma swoistą formacyę solonośną o odrębnej facyi.

Z drugiej strony także w okolicy pomiędzy rzekami Teleażenem a Buzeu, gdzie zatoka Slaniku w kierunku warstw na północno-wschodni wschód zwęża i nareszcie klinem się gubi, płaszczowina z Valeni de Munte bynajmniej nie graniczy bezpośrednio z płaszczowiną Uzu. Właśnie tutaj udało mi się w roku 1906 rozpoznać istnienie odrębnej trzeciej płaszczowiny. Występuje ona nad Teleażenem w postaci szerokiego siodła, ku południowo-zachodniemu zachodowi nurzającego się pod neogen zatoki Slaniku. Siodło to tworzy półwysep fliszowy gór Zamura-Leordanu, który wkracza nad Teleażenem na południowo-południowy zachód na kilkadziesiąt km. szerokim klinem w głąb zatoki Slaniku. i sprawia, że zatoka ta rozwidla się na dwie pomniejsze zatoki[2].

Szereg warstw płaszczowiny Zamura przypomina bardzo okolicę Żabiego rozwojem facyj, przedewszystkiem oligoceńskich. Możliwa jest, że mamy tu do czynienia z jedną wielką płaszczowiną Zamury-Mikuliczyna, której wszakże niepodobna oznaczać nazwą podbeskidowej, bo jest to niewątpliwie tylko jedna z płaszczowin obszaru podbeskidowego. Niedawno, zwiedzając okolice Żabiego, byłem zdziwiony tożsamością warstw tamtejszych z warstwami płaszczowiny Zamury.

Poza zewnętrznym brzegiem płaszczowiny magórskiej, który tutaj ostro orograficznie zaznacza się, całkiem jak brzeg zewnętrzny płaszczowiny Uzu w Muntenii wschodniej, wkraczamy w obszar

---

[1] Zatoka Slaniku przedstawia podług interpretacyi Mrazka okno, którem formacya solna wyziera z pod flyszu. Mrazec, Industrie du pétrole en Roumainie, Bucarest 1910.

[2] Por. mapkę w przytoczonej mojej pracy stratygraficznej.

warstw ze Żabiego. Jest to osobliwsza, znana poniekąd z prac Zubera i innych facies piętra menilitowego, przeważnie petrograficznie zbliżona do formacyi solonośnej, ale bez gipsu i bez typowych piaskowców kliwskich. Łupki margliste ze Żabiego są zupełnie podobne do moich warstw z Cernesti i Homoriciu nad Doftaną, t. j. do składników płaszczowiny Zamury.

Piaskowce, wśród tych łupków marglistych wtrącone, po części zbliżają się bardzo do kliwskich, po części zaś są najwidoczniej tożsame z piaskowcem Zamury nad Doftaną i Teleażenem (Fussaru-Sandstein Mrazka).

Jeżeli istotnie płaszczowina Zamura ciągnie się na Żabie i Mikuliczyn, to nad Czeremoszem i Rybnicą należy do niej flisz obwodowy, poza płaszczowiną nagórską położony, łącznie z warstwami dobrotowskiemi, które, jak wynika z różnych tamtejszych spostrzeżeń, należą jeszcze do szeregu wierzchnich warstw tej płaszczowiny.

W Kosowie odniosłem wrażenie, że tylko warstwy dobrotowskie. odcinające się nasunięciami od młodszej formacyi solonośnej brzegu karpackiego, mogły być przefałdowane. Istotnie też warstwy dobrotowskie powtarzają się wtrąceniami jeszcze daleko na wewnątrz od brzegu gór wśród piętra menilitowego (Horod-Babin).

Pod płaszczowiną Zamury Mikuliczyna, jak nad Teleażenem, tak i tutaj spodziewać się należy płaszczowiny kliwskiej. Nie widać jej jednak na dniu nad Czeremoszem i Rybnicą. Świadczyć to może o tem, że w tej stronie Karpat, ta samoistna, najniższa płaszczowina, kliwska, wynurza się tylko sporadycznie (Delatyn)?

Kwestya co do przefałdowanego albo też tubylczego charakteru fliszu Zamury (Mikuliczyna) łączy się ściśle z rozpoznaniem przefałdowania strefy kliwskiej (Valeni de Munte). Podług tego bowiem flisz Zamury ciągnie się szeroką smugą pomiędzy dwiema niewątpliwemi płaszczowinami (I Uzu i II kliwską). i nie może być tubylczym, jeżeli płaszczowina Valeni de Munte zapada pod flisz Zamury. a nie leży na nim. Nad rzeką Buzeu, gdzie flisz Zamury bezpośrednio dotyka fliszu Valeni, o ile że tutaj wyklinia się zatoka solonośna Slaniku. która obie te strefy przegradza (Ogretinu-Chiojdu), flisz Zamury może być powierzchownie przewalony na flisz Valeni. a niekoniecznie musi na nim pływać. Ale tak sądzić można jedynie z pozorów miejscowych. Podobnie także i fakt, że płaszczowina Zamury wynurza się w postaci siodła z pod neogenu zatoki Slaniku, sam przez się jeszcze nie rozstrzyga, czy

leży ona pod płaszczowiną kliwską, czy też na niej z jednej strony, oraz czy zapada ona pod płaszczowinę Uzu i opisaną poniżej płaszczowinę Jałomicy z drugiej strony. Oprócz tego jest jeszcze wątpliwem, czy płaszczowina Zamura obejmuje wśród swych wierzchnich składników stratygraficznych także formacyę solonośną »zatoki Slaniku«, albo czy formacya ta należy nie do tej, ale do innej płaszczowiny (Jałomicy), albo nakoniec czy »zatoka Slaniku« bierze istotnie udział w przefałdowaniu płaszczowin flyszu.

Jak wszędzie, tak i tutaj, kwestye tego rodzaju tylko po części można objaśnić stosunkami miejscowymi. Zagadki takie od czasu do czasu rozwiązują się same przez się, w chwili gdy porównujemy szereg dosyć dokładnych arkuszy map geologicznych.

Do fliszu Zamury należą wyłączone przezemnie na mapach (1:50000) »obszary warstw wątpliwych« (1906), które tworzą kilka wielkich wysp wśród formacyi solonośnej t. zw. zatoki Slaniku[1].

Sposób, w jaki na mojej mapce Valeni de Munte 1:50000 rozgranicza się obszar warstw wątpliwych Cosmina de sus Livadea[2] względem formacyi solonośnej[3], świadczy sam przez się o tem, że wchodzi tu w grę ważny moment tektoniczny.

Właśnie do tego rodzaju spostrzeżeń, od szeregu lat drogą kartograficzną nagromadzonych, nawiązuje moja dotąd nieogłoszona praca pod tytułem: »Über die zonare und transversale Gliederung der Flysch- und Neogenkarpaten von Ostmuntenia«. Zdjęcia te moje geologiczne poruszają się w okolicach stosunkowo najbogatszych w naftę; trudny do ogłoszenia w danych warunkach manuskrypt mój spoczywa pod korcem aż do pojawienia się należących do niego map, ale do spożytkowania ich pospieszają już obecnie różne nowe siły.

W przytoczonej stratygraficznej mojej publikacyi (l. c. 1908 str. 319, wiersz 6 od dołu) zaledwie kilku słowy zdołałem zapowiedzieć rozpoznanie płaszczowiny Zamury. Opis tej samej płaszczowiny podaje nieco później p. Popescu-Voitesti, niezależnie może od mojej tymczasowej o niej wzmiance[4], ale spożytkowując w ten

---

[1] Por. mapkę geologiczną w przytoczonej mojej publikacyi stratygraficznej.

[2] Na północ od Busztenar położony.

[3] To jest względem t. zw. »okna« Ogretinu-Chiojdu. Jest to odgałęzienie t. zw. zatoki Slaniku, położone pomiędzy fliszem Zamury a fliszem Valeni.

[4] W przytoczonej mojej pracy stratygraficznej l. c. Anuarul II, 1908, str. 319 wiersz 6 od dołu (»Flyschdeckenzone«).

sposób moje mapy. Autor nazywa ją płaszczowiną Fussaru[1], zaś miejscowe nazwy warstw (n. p. piaskowiec Fussaru) zapożycza z nieogłoszonych i mniejsza o to, że nieprzytoczonych, zdjęć moich.

Owóż co do wieku geologicznego piaskowca Fussaru, to znalezione swego czasu przezemnie, a później przez p. Popescu-Voitesti systematycznie zbierane i oznaczone nummulity świadczą o tem, że należy on do eocenu średniego i górnego[2]. Muszę jednak zauważyć, że piaskowiec ten bardzo trudno petrograficznie odróżnić od młodszych na nim leżących pokładów (piaskowiec z Cornu, piaskowiec z Vf. Rotundu w Doftanie i t. d.), które obejmują o wiele większy okres czasu, aniżeli to sobie p. Popescu-Voitesti wyobraża. Ku górze z małymi zmianami sięga ten szereg warstw nie tylko w górny eocen, ale aż w sarmat, i to prawdopodobnie nie tylko nad Doftaną, ale także nad Jałomicą. Jakkolwiek typ sarmacki znalezionych przezemnie we Visinesti (w pobliżu Jałomicy) szczątków skamieniałości, nie da się zaprzeczyć, mimo to są to nieoznaczalne na razie ślady, znalezione na odłamach piaskowca, do celów technicznych zwiezionych w owym czasie we Visinesti, gdzieś z otoczenia Maluri.

W ogóle trzeba się liczyć poważnie z koniecznością określenia stosunku, w jakim sarmat pozostaje do tej płaszczowiny, zwłaszcza, że w północnem otoczeniu Busztenar sarmat zaściela ją wielkim płatem synklinalnym (Melicesti).

Płaszczowina Uzu czyli magórska.

Płaszczowina ta jest, jak sądzę, naturalną jednostką tektoniczną, ale dopiero po wyłączeniu płaszczowiny Zamury.

---

[1] Nummulites (Gümbelia) lenticularis Ficht, u. Molt. var. granulata de la Harpe (det. Zuber).

[2] Popescu-Voitesti, Contributiuni la studiul geol. si paleont. al regiunii Muscelebor, Anuarul Instit. geol. II. zeszyt 3. i tegoż autora: Contributions à l'étude stratigraphique du Nummulitique etc. Annarul etc. tom III, zeszyt 2.

W pracy p. Popescu-Voitesti rozchodzi się o cenne poszukiwania fanniczne i stratygraficzne, ale autor łączy je w sztuczną całość ze spekulacyami tektonicznemi, które zapełniają przeważną część jego wywodów. Są to wywody, niemające związku z własnemi badaniami autora. Są to raczej kompilacye z literatury tektonicznej (Murgoci) i z poufnie sobie jako materyału dydaktycznego udzielonych spostrzeżeń i zdjęć pp. Athanasiu i Mrazka oraz moich.

Jestto poprostu polowanie na pierwszeństwo naukowe co do spostrzeżeń, o których się poufnie wie, że mają być niebawem ogłoszone, bo wyrażone są już na mapach, które zalegają w manuskryptach. Cała ta kompilacya jest niezrozumiała dla niewtajemniczonych i zmusza tylko do wyjaśnień.

Teoretycznie pod tym względem zgadzają się z mojemi zaznaczeniami późniejsze sposoby pojmowania płaszczowiny Zamury (= Fussaru) Mrazka (w przytoczonej pracy p. Popescu-Voitesti). Mimo to jednak nie mogę uznać za trafny podanego tutaj sposobu rozgraniczania płaszczowiny Zamury i Uzu (p. mapkę w pracy p. Popescu-Voitesti l. c.).

Tak co do tej, jak i co do innych płaszczowin, na razie kłaść musimy nacisk na stosunki miejscowe, a z czasem trudność porównania odległych połaci Karpat północnych sama przez się zniknie.

Bardzo pouczająca jest okolica nad rzekami Doftaną i Prahową. Tutaj płaszczowina Uzu wyklinia się w kierunku biegu warstw na południowy wschód. Przekrój tego klinu płaszczowiny Uzu przed Doftaną przedstawiać się zdaje szeroki łęg, ale rozszczepiony na fałdy pomniejsze czyli drugorzędne. Fałdy te przechodzą w znamienną strukturę łuskową w obrębie zewnętrznego, t. j. południowo-wschodniego skrzydła synkliny pierwszorzędnej.

Są to owe łuski, przypadające na brzeg zewnętrzny strefy Uzu, opisane dawniej jako linia nasunięć »wzdłuż krawędzi fliszu« [1].

Jeszcze nad Doftaną smuga płaszczowiny Uzu jest szeroka na kilkanaście do kilkudziesięciu km. Odtąd ku południowemu zachodowi zwęża się cała wstęga płaszczowiny Uzu tak szybko, że przedstawia ona na mapie tej okolicy szeroki trójkątny klin, który prawie że nie dosięga pobliskiej rzeki Prahowy (arkusze Comarnic i Câmpina-Bustenari 1 : 50000).

W przeciwnym kierunku, t. j. w stronę linii poprzecznej Penteleu-Rimnic-Sarat [2], strefa Uzu znacznie zyskuje na szerokości.

Klinu, którym płaszczowina Uzu dotyka od wschodu rzeki Prahowy, w mapce dołączonej do przytoczonej pracy stratygraficznej nie uwzględniłem.

Klin ten jest zaznaczony natomiast na sporządzonym przezemnie arkuszu mapy Câmpina Bustenari 1:50000, którego południową

---

[1] Linia Besdeadu — Slonu w pracach Mrazka i moich, między innemi przedewszystkiem w pracy: Allgemeine geologische und tektonische Betrachtungen über die Petroleumlagerstätten in Rumänien, zredagowanej przez Athanasiu, Mrazka i przezemnie (Arbeiten der mit dem Studium der Petroleum-Regionen betrauten Kommission, Bukareszt 1904).

[2] Por. artykuł: O związku w budowie tektonicznej Karpat i ich przedmurza — Kosmos XXXII, Lwów 1907, str. 399 (»dyslokacya północnego boku horstu Dobrodży«).

część objaśnia publikacya Mrazka i moja o okolicy Câmpina-Bustenari.

W jądrach siodeł łuskowych, na które rozczłania się południowy brzeg płaszczowiny Uzu, występuje wszędzie nad Doftaną i Slanikiem senon. Jestto zawsze owa charakterystyczna facies z Breaza, która przypomina od razu margle z Puchowa w Karpatach zachodnich.

Na podstawie dotychczasowych swoich poszukiwań nie mógłbym obecnie inaczej orzec, jak tylko, że senon ten spoczywa pod płaszczowiną Uzu, a nie na niej (Popescu-Voitesti), i że należy on do odrębnej pod nią leżącej płaszczowiny, a mianowicie do opisanej poniżej płaszczowiny Jałomicy (nie do płaszczowiny Uzu, jak przypuszcza Mrazec). Podług moich zapisków miejscowych senon ten jawi się na obszarze płaszczowiny Uzu w jądrach siodeł zawsze w towarzystwie składników stratygraficznych płaszczowiny Jałomicy. Tak przynajmniej ma się rzecz tam, gdzie, jak przyznaję, szczupły zresztą skrawek płaszczowiny Uzu wkracza w okolicę przezemnie zbadaną.

W przeciwieństwie do tego senonu kreda płaszczowiny Uzu zdaje się zdradzać całkiem inny typ. Tu panuje ów znany z literatury piaskowiec z Vf. Tirifoi, w którym przed laty Mrazec znalazł szczątek ammonita[1], i który może sięga daleko wstecz w okres kredowy.

Synklinalna prawdopodobna budowa klinu płaszczowiny Uzu, jak i cały nadmieniony profil nad Doftaną, zasługują na uwagę, gdy chodzi o stosunek co do wzajemnego po sobie następstwa płaszczowin fliszu w Karpatach w ogóle.

Z niektórych tymczasowych przekrojów płaszczowin fliszu, które podaje Mrazec (l. c. Industrie de pétrole 1910), zdaje się wynikać, że płaszczowina Uzu, jako najwyższa, na znacznych obszarach, zasłania lub nawet wytłacza płaszczowiny niższe. Wogóle będzie trudno pogodzić ze sobą profile okolic odległych, nie licząc się należycie z tem, jaką rolę w Karpatach odgrywa flisz Uzu i magórski.

Z przelotnej podróży w poprzek płaszczowiny magórskiej nad Prutem, kędy dawniej sięgały badania Paula, Tietzego, Zubera, Zapałowicza i innych, odniosłem wrażenie, że najzupełniej zgadza się

---

[1] Das Salzvorkommen in Rumänien. W. Teisseyre und L. Mrazec. Öster. Zeitschr. f. Berg- und Hüttenw. Wien LI. 1903.

ona z przekrojem płaszczowiny Uzu wzdłuż Doftany. Prawdopodobnie w obu razach mamy do czynienia z olbrzymią synkliną, której skrzydła rozczłaniają się dzisiaj prawie nie do poznania na szereg drugorzędnych, ku zewnętrznej stronie pasma karpackiego przechylonych, lub też ku tej stronie nasuniętych na siebie siodeł i łęgów.

Pasmo Czarnej Hory przedstawia skrzydło południowo-zachodnie, Kostrzyca zaś północno-wschodnie skrzydło wielkiej synkliny. Na północno-wschodnim skrzydle synkliny, t. j. na przestrzeni Bystrec-Kostrzyca, fałdy drugorzędne przechodzą przeważnie w strukturę łuskową.

W literaturze znane są dotąd tylko te drugorzędne siodła i łęgi, nie zauważono natomiast wcale pierwszorzędnej synklinali, z której one powstały, a która obejmuje całą niemal szerokość pasu danej płaszczowiny (Burkut Żabie).

Płaszczowina Valeni de Munte czyli płaszczowina kliwska Karpat południowych.

Od zewnętrznego brzegu pasu fliszowego Karpat odgałęziają się charakterystyczne pomniejsze pasma fliszowe, opisane przez różnych autorów.

W Mołdawii i na Wołoszczyźnie półwyspy te fliszowe, wkraczające nieco skośnie w głąb gór podkarpackich, oraz analogiczne wyspy fliszu, odcięte zupełnie od głównego pasu fliszowego (n. p. w okolicy Bakowa), zdradzają rozwój stosunkowo potężny.

Kwestya co do powstania tych półwyspów fliszu łączy się ściśle z najzawilszemi zagadnieniami tektoniki Karpat. Prawdopodobnie półwyspy zawdzięczają powstanie swe drobnym na pozór różnicom co do kierunku drugorzędnego fałdowania dwóch na sobie leżących płaszczowin, albo też różnicom co do fałdów tubylczego podłoża fliszu względem neogenu. Dokładniejszego zbadania tych półwyspów spodziewać się należy w niedalekiej przyszłości.

Opisany przezemnie w r. 1900[1] półwysep Valeni de Munte był później za kilkoma nawrotami przedmiotem studyów Mrazka i moich; poniżej spróbuję zaledwie wskazać, jak wiele on jeszcze

[1] W zredagowanej przezemnie notatce o stratygrafii i tektonice terenów naftowych w Rumunii, dołączonej do publikacyi: Contributions à l'étude des pétroles roumains par Bourqui, Bukareszt 1900.

nastręcza kwestyj wątpliwych a ważnych ze stanowiska tektoniki Karpat, a pomimo długoletnich miejscowych studyów różnych autorów do niedawna nawet niespodziewanych [1].

Ciągnie się półwysep Valeni de Munte milami w poprzek obszaru kilku przytykających do siebie arkuszy mapy 1:50000. Jest to wąska (kilka km.), a długa wstęga fliszu, odgałęziająca się od głównej strefy fliszu w okolicy rzeki Buzeu. Gubi się ona wśród Karpat neogeńskich dopiero po zachodniej stronie rzeki Prahowy.

Dawniej nie odróżniano piaskowców kliwskich tego półwyspu od zaścielających je transgresywnie i niezgodnie warstw mioceńskich i meotyckich, które wyjątkowo tutaj miejscami petrograficznie bardzo są podobne do piaskowca kliwskiego, o ile że powstały w tych miejscach z przeławicenia tego piaskowca.

Później półwysep Valeni de Munte przybierał na mapach moich zarysy coraz to wierniejsze, i wreszcie nawet w bardzo drobnych szczegółach zaczął się w nich odzwierciedlać. Jeszcze później szybko zmieniały się coraz bardziej poglądy na tektonikę całej tej części Karpat.

Wreszcie na tej podstawie przystąpiłem z kolei, nasamprzód w r. 1906, do rewizyi swych dawniejszych zaznaczeń i zapisków miejscowych, jako datujących się z czasów, kiedy jeszcze płaszczowin nie znano, i do sporządzenia szczegółowej mapy geologicznej okolicy Valeni de Munte (1:50000).

Owóż pomiędzy smugami paleogeńskiemi półwysep ten posiada tu i ówdzie wklinione wstęgi formacyi solonośnej, którą dawniej uważałem za miocen. Te kliny młodszych utworów w profilach były przedstawiane zrazu jako synklinale. Ale już wówczas musiałem postawić sobie pytanie, dla czego dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie te synklinale mają budowę wachlarzową. Później w toku systematycznych zdjęć mapowych przekonałem się na miejscu, że nie są to wcale wachlarze synklinalne, ale antiklinale, t. j. że półwysep Valeni de Munte (eocen i starszy oligocen) spoczywa na formacyi solonośnej, która występuje na jaw w antyklinalach [2]. Wiek

[1] Por. n. p. Bergéron, Observations rélatives à la structure de la haute vallée de la Jalomita (Roumanie), Bul. Soc. geol. de France 4. Ser. t. IV, Paris 1904.

[2] W przytoczonej pracy, będącej w druku, i zaopatrzonej w arkusz mapy geologicznej Valeni de Munte 1:50000.

jej oznaczyłem tym razem w tej okolicy jako młodszą część oligocenu (dolna formacya solonośna)[1].

Cały półwysep Valeni de Munte podzielić można podług sfałdowania drugorzędnego, które miało miejsce po powstaniu płaszczowiny, na dwie wiązki fałdów. Północno-zachodnia czyli zewnętrzna wiązka składa się z kilku smug eocenu (warstwy hieroglifowe) i oligocenu (piaskowiec kliwski i łupki menilitowe, z warstwami szypockiemi zawsze na granicy względem warstw hieroglifowych). Zewnętrzna natomiast wiązka fałdów obejmuje wyłącznie smugi oligoceńskie, a mianowicie piaskowce kliwskie i łupki menilitowe (niższy oligocen) w synklinalach, dolną zaś formacyę solonośną (wyższy oligocen) w antiklinach.

Brak eocenu we wiązce fałdów południowej objaśnia się najprawdopodobniej wytłoczeniem.

Na obszarze wiązki południowej w jednem miejscu udało mi się wykryć gips pod kilkusetmetrowym płatem warstw piaskowca kliwskiego, wynurzający się w korycie Teleażenu (Valeni de Munte E). Gips ten należy do dolnej formacyi solonośnej. Młodszych ogniw formacyi solonośnej nigdzie na obszarze półwyspu Valeni de Munte nie widać, i w tem leży cała trudność, gdy chodzi o rozstrzygnięcie kwestyi co do podłoża, na którem ten półwysep pływa.

Rzecz osobliwsza, że piętro kliwskie łączy się właśnie w tej okolicy wszędzie powolnemi stratygraficznemi przejściami z dołującą pod niem naszą dolną formacyą solonośną, która, przynajmniej o ile się odsłania, nie jest utworem tubylczym, ale bierze udział w przefałdowaniu płaszczowiny. Te powolne przejścia stratygraficzne łącznie z tem następstwem warstw są dowodem, że zewnętrzna wiązka fałdów półwyspu Valeni de Munte przedstawia szereg warstw przewróconych. Jest to dolne skrzydło płaszczowiny, w którego drugorzędnych antiklinach nie wynurza się nigdzie podłoże, po którem ta płaszczowina się sunęła (średnie ogniwo formacyi solonośnej?).

[1] Jestto dolna formacya solonośna w myśl mojego miejscowego podziału formacyi solonośnej Karpat południowych na trzy piętra.

W tem też znaczeniu należy rozumieć wyrażenie »Saliferul inferior al lui Teisseyre« w pracy Mrazka pod tytułem »Industria petrolului în România 1908, Buucuresti 1909, str. 39. Odnosi się to wyrażenie do podziału formacyi solonośnej, w owym czasie przedłożonego, należącego do pracy mojej jeszcze nieogłoszonej drukiem, z której wyjątki niniejszem podaję w tym artykule.

Mamy tu flisz przewrócony, podobnie jak fliszu przewróconego domyślał się na obwodzie Karpat północnych Limanowski. W rzeczywistości wszakże o analogii mowy być nie może, bo flisz obwodowy Karpat północnych (mikuliczyński) wcale nie jest przewróconym. W zastosowaniu teoryi płaszczowin zdarza się wprawdzie tu i ówdzie, że profile geologiczne poczynają rzucać nowe światło na stosunki miejscowe. Mimo to spostrzeżenia moje miejscowe nad Rybnicą i nad Oporem od razu zgadzają się z dawniejszemi pojęciami autorów, tak że flisz obwodowy Karpat północnych bynajmniej nie może być przewrócony.

Północną wiązkę fałdów półwyspu Valeni de Munte, składającą się, jak widzieliśmy, z naprzemianległych smug eocenu i piętra menilitowego, można przez porównanie szeregu profilów poprzecznych z łatwością sprowadzić do jednej wielkiej synklinali, która dopiero później rozszczepiła się na pomniejsze fałdy.

Jądro tej synkliny, a zarazem grzbiet płaszczowiny przedstawia piaskowiec kliwski na szczycie Vf. Peri. Z pośród drugorzędnych fałdów na obszarze tej synkliny zasługuje na uwagę skrajne siodło, które towarzyszy brzegowi wewnętrznemu płaszczowiny (Arsenesele koło Valeni). Jest ono przewrócone i niejako nasunięte w kierunku ku północnemu zachodowi na formacyę solną t. zw. zatoki Slaniku (Ogretiun-Chiojdu). Pomiędzy tą formacyą solną a przewróconym piaskowcem kliwskim tego siodła nie ma ani śladu fliszu Zamury, ani też fliszu Jałomicy. Jeżeli jednak flisz kliwski zapada wzdłuż tej linii pod t. zw. zatoką Slaniku, a zatem i pod flisz Zamury (zamiast żeby miał odgałęziać się od fliszu Zamury lub Uzu w postaci dygitacyi grzbietnej), to wytłoczenie fliszu Zamury (względnie Uzu oraz Jałomicy) wzdłuż północno zachodniego brzegu t. zw. półwyspu Valeni de Munte jest postulatem logiki w całej tej tektonice.

W kierunku ku południowemu zachodowi płaszczowina Valeni zdaje się podnosić coraz to wyżej na obszarze południowej wiązki fałdów półwyspu Valeni, to znaczy, że łęgi, które tworzy płaszczowina skutkiem fałdowania drugorzędnego ku tej stronie, stają się coraz to płytsze. Łęgi kliwskie południowej wiązki są to głowy pomniejsze płaszczowiny. Czoło jej wybiega prawdopodobnie w powietrze. Eocen mógłby być zatem na obszarze wiązki południowej nie wyłącznie wytłoczony, ale po części może i zdenudowany.

Niepodobna wątpić o tożsamości płaszczowiny z Valeni de Munte z p ł a s z c z o w i n ą k l i w s k ą K a r p a t p ó ł n o c n y c h.

Dotychczas w Karpatach północnych nie ma wprawdzie mowy o tej płaszczowinie, ale o magórskiej i mikuliczyńskiej (beskidowej i podbeskidowej). Sądzę jednak, że tym pojęciom nadano sztucznie i przedwcześnie pewne ściśle określone znaczenie teoretyczne, w myśl poglądów i hipotez bądź to nieudowodnionych, bądź też mylnych.

Ściśle rzecz biorąc, mówić na razie możemy o płaszczowinie kliwskiej z Valeni de Munte (Karpaty południowe) z jednej, i o płaszczowinie kliwskiej Karpat półn.-wsch. z drugiej strony (Mołdawia-Bukowina). Dopiero po zbadaniu całego pasu kliwskiego będzie można dokładniej określić stosunek jego do pozostałego pasu fliszowego Karpat wschodnich. W każdym razie zbadana przeze mnie okolica nad Teleażenem pozwala rozpoznać, że pas kliwski nie może należeć do płaszczowiny mikuliczyńskiej czyli podbeskidowej. Tutaj niejako możemy sprawdzić, że nazwy stref beskidowej i podbeskidowej są, w uogólnieniu swem, znanem z literatury, stanowczo przedwczesne. Żałować tylko należy, że niektórzy autorowie bez żadnych zastrzeżeń lub uzasadnień poprzestają jeszcze i teraz na sztucznem dostosowywaniu swych własnych, mimo to przecież z natury zaczerpniętych profilów i map, do tych przedwcześnie ustalonych teoretycznych pojęć.

Problem t. zw. zatoki Slaniku oraz kwestya co do płaszczowiny skałek nad Jałomicą.

Swego czasu wyróżniłem nad Jałomicą[1] osobną senońsko-paleogeńską strefę gór, w której panuje szereg warstw, towarzyszących marglom pstrym z Breaza (senon). Margle tworzą przeważający żywioł wśród różnych facyj tamtejszej kredy i trzeciorzędu.

Od północnego zachodu graniczy ta strefa ze znaną strefą warstw, które oznaczyłem także nazwą warstw ze Sinaia, od południowego wschodu zaś ze strefą nadmienionych powyżej piaskowców z Vf. Fussaru, których w owym czasie nie odróżniałem od piaskowców z Cornu, przedstawiających spód formacyi solonośnej

[1] Tektonische Verhältnisse Subkarp. am Jalomitzafluss, Bukareszt 1905. Por. referat, Kosmos, Lwów 1906, str. 25.

w t. zw. zatoce Slaniku, t. j. prawdopodobnie górny oligocen. Te trzy strefy górskie, odgraniczone walnemi liniami nasunięć, stanowią poniekąd chwilową zagadkę geologiczną wschodniej Muntenii. Cała trudność tkwi w pytaniu, jak się zachowują względem siebie te trzy strefy, ile że one niezawodnie po części przedstawiają płaszczowiny. Niedawno pokuszono się o tymczasowe objaśnienie tej zagadki kilku śmiałemi, a jednak zasługującemi na uwagę hipotezami i kilku szematycznymi profilami [1]. Co do mnie, sądzę, że połączenie strefy senońsko-paleogeńskiej z płaszczowiną Uzu (jako jej spód) nie było trafne. Już z góry należało oczekiwać zwrotu, który w zapatrywaniach na tę kwestyę dokonywuje się obecnie. W toku wycieczek miałem wprawdzie sposobność poznać zaledwie pewną część obszaru, o który się tutaj rozchodzi, ale zawsze miałem to wrażenie, że szereg warstw obszaru »senońsko-palacogeńskiego« jest równowiekowy, i tylko co do facyi swej odrębny względem warstw towarzyszących piaskowcowi Uzu. Rozchodzi się tylko o to, jak pojmować wzajemny stosunek płaszczowiny Jałomicy i Uzu, oraz stosunek pierwszej do t. zw. zatoki Slaniku.

Po zachodniej stronie poprzecznej linii, której opis niebawem podam, a którą nazwać możnaby linią Kempinicy (Câmpinita), płaszczowina Jałomica obejmuje jako właściwy sobie szereg warstw średnią i górną kredę, we facyi zlepieńca i piaskowca Bucecs oraz marglu z Breaza (senon) i marglu cementowego, który sięga ku górze w paleogen i we warstwy nummulitowe, odpowiadające opisanym przez Mrazka pokładom w Sotrile i wreszcie w oligocen, który przypomina warstwy z Cernesti (flisz Zamury). Oligocen typu analogicznego do płaszczowiny Zamury tworzy nad rzeką Jałomicą szeroką, może na milę płaską synklinę, a na przedłużenie jej w kierunku warstw w oddaleniu około mili przypada takież płaskie synklinalne zagłębie formacyi solonośnej w Besdeadu, będące bezpośredniem odgałęzieniem t. zw. zatoki Slaniku i dalszym ciągiem północnej z obu wielkich synklin, na które półwysep fliszu Zamury dzieli zatokę Slaniku nad Teleażenem [2]. Niekoniecznie formacya solonośna w Besdeadu leżeć musi na oligocenie. Istniejące odkrywki pozwalając jak sądzę, tak samo domyślać się, że formacya solna leży w tej synklinie pod oligocenem (względnie pod senonem i oligocenem). Oligocen ten

[1] Mrazec I. c. 1910, a także Mrazec w przytoczonej pracy p. Popescu-Voitesti.
[2] Por. mapkę w przytoczonej mojej pracy stratygraficznej.

wraz z senonem i innymi składnikami płaszczowiny Jałomicy półkolem obejmuje od północy, zachodu i południa zagłębie solne w Besdeadu. Po południowej stronie synkliny Besdeadu wyklinia się paleogen i senon na wschód wzdłuż linii nasunięć biegnącej w poprzek doliny Prahowy u stóp Vf. Cornu (wieś Cornu)[1].

Po wschodniej stronie linii poprzecznej Kempinicy, a wzdłuż linii nasunięć Cornu, nie ma już ani śladu senonu.

Po przeciwnym północnym brzegu zatoki Slaniku mamy długi a wąski (kilka kilometrów) rąbek warstw płaszczowiny Jałomicy, który wyziera, jak sądzę, z pod płaszczowiny Uzu, wzdłuż jej krawędzi zewnętrznej, piętrzącej się wysoko ponad zatoką Slaniku. Rąbek ten senoński wyklinia się ku wschodowi ostatecznie dopiero nad Teleażenem (Maneciu).

Postępując wreszcie odtąd wzdłuż rzeki Teleażenu na południe, wkraczamy wkrótce w półwysep fliszu Zamury, i tutaj widzimy, że formacya solonośna zatoki Slaniku spoczywa bezpośrednio na fliszu Zamury.

Znany zlepieniec z Cornu, analogiczny względem zlepieńca ze Słobody Rungurskiej, przedstawia najniższą część formacyi solonośnej w zatoce Slaniku, i należy, jak świadczą spostrzeżone raz przezemnie ślady drobnych nummulitów, prawdopodobnie do górnego oligocenu (Val. Praja dolna formacya solonośna podług mojego podziału miejscowego) koło Slaniku.

Oprócz zlepieńca tego wyjątkowo miejscami jawi się w zatoce Slaniku brekcya tektoniczna tego samego składu petrograficznego, o szybko w danem miejscu rosnącej olbrzymiej miąższości (n. p. Podu Ursului). Sądzę, że mamy tu do czynienia z brekcyą tektoniczną, powstałą w toku przefałdowania ze zlepieńca Bucecs, i to w tej okolicy jako składnika płaszczowiny Jałomicy, która widocznie albo pływała na t. zw. zatoce Slaniku, albo ją podściela.

Mianowicie poza południowym brzegiem zatoki solnej Besdeadu i poza południową krawędzią fliszu Uzu dzisiaj nie ma już tej płaszczowiny w przyległej t. zw. zatoce Slaniku. Są jednak ślady jej, jako to porwaki, luźne głazy, skałki bez korzenia brekcyi wapiennej lub zlepieńca typu Bucecs, także ślady senonu wątpliwego, zaliczane dotąd do pstrej formacyi solnej, a jednak wątpliwe i czekające

[1] Jest to znana linia Cornu, o której znaczeniu dla miejscowej tektoniki mowa jest zresztą w przytoczonej mojej pracy statygraficznej.

dopiero na zbadanie, jak n. p. na stoku zachodnim Vf. Puciosa koło stacyi tejże nazwy[1] i t. d.

Owoż przedstawiony na mapach moich ogólny obraz stosunków miejscowych możnaby na pozór jednakowo dobrze pogodzić z kilku wręcz odrębnemi przypuszczeniami.

Najłatwiejszy może sposób objaśnienia tych stosunków polegałby na tem, że formacya solonośna należy jako wierzch do płaszczowiny Jałomicy, pod którą leżałby flisz Zamury, ale na znacznym obszarze, skutkiem wytłoczenia fliszu płaszczowiny Jałomicy, formacya jej solna legła bezpośrednio na fliszu Zamury. Inny sposób pojmowania tej okolicy możnaby wysnuć z hipotezy, może niemniej zasługującej na uwagę, a mianowicie że t. zw. zatoka solonośna Besdeadu-Slaniku należy jako wierzch raczej do płaszczowiny Zamury (a nie do Jałomicy), i że w okolicy Prahowy pływa na niej dzisiaj wysepkami, to senon, to cenoman. Ten wtóry sposób objaśnienia rzeczy zgadza się z tem, że ku zachodowi w kierunku warstw pochylają się tutejsze Karpaty (pas fliszu i neogenu) pod wielkie zapadlisko zachodniej Muntenii. Podług tego zatoka solonośna Besdeadu zapadałaby w tym kierunku pod płaszczowinę Jałomicy.

Istotnie też, jeżeli się sprawdzą moje, dotychczas tylko dorywcze spostrzeżenia co do zwartego półkola, którem płaszczowina Jałomicy otacza od zachodu (w kierunku warstw) t. zw. zatokę solną Besdeadu, to będzie tem samem udowodnione, że wszędzie tutaj cecoman, senon, względnie oligocen pływa na formacyi solnej.

Badania moje, przeprowadzone w tej okolicy przed kilku laty, nie liczyły się jeszcze krytycznie z temi różnemi możliwościami, i wymagają z tej przyczyny rewizyi stosunków miejscowych celem rozstrzygnięcia tych wątpliwości.

Ze swej strony rozpatrywał p. Mrazec hipotezę, że zatoka Slaniku jest oknem formacyi solnej, na której pływa płaszczowina Zamury-Uzu (dołująca niby pod kliwską). Ja jednak sądzę, że tego objaśnienia nie można brać w rachubę bez różnych zastrzeżeń. Oto flisz Zamury wynurza się w postaci siodła z pod formacyi solnej zatoki Slaniku, formacya ta tworzy zaś dwa wielkie łęgi po obu stronach tego siodła, przyczem pod zewnętrzny łęg formacyi solnej zdaje się zapadać przyległa od południa płaszczowina fliszu Valeni.

[1] Niektóre szczegóły co do tego wątpliwego senonu i wątpliwej formacyi solnej w pracy mojej l. c. 1905.

Albo przeto formacya solna zatoki Slaniku, jako utwór młodszy, w ogóle wcale nie bierze udziału w przefałdowaniu fliszu, albo też tworzy ona sam wierzch jednej z płaszczowin fliszu, po którym może sunęły się płaszczowiny wyższe, ale w każdym razie nie wyziera ona z pod nich w postaci okna, jeno w postaci schodu w znaczeniu fałdowania drugorzędnego. Okno musiałoby być dokoła otoczone fliszem jednej płaszczowiny.

Analogiczny wierzch formacyi solnej u innych płyszczowin fliszu nie jest znany (wytłoczenia, zmycia?). Jednak tutaj znowu wchodziłaby w rachubę nadmieniona dopiero co okoliczność, że południowe Karpaty fliszowe i neogenowe w kierunku warstw zapadają powoli[1] ku linii poprzecznej Dymbowicy pod neogen wielkiego zapadliska gockiego, i o tych zjawiskach najlepiej będą mogły pouczyć stosunki półwyspu Valeni de Munte[1].

Jeżeli pewna dolna część neogenu w Karpatach połud. ma udział w przefałdowaniu płaszczowin fliszu, to na grzbiecie fliszu musiała ona ulec denudacyi wszędzie, z wyjatkiem okolic w pobliżu zapadliska gockiego położonych, gdzie flisz zapada zrazu pod neogen, a wreszcie pod pliocen w kierunku swych warstw[2]. Podobnie też, jeżeli istotnie płaszczowina Jałomicy zamyka półkolem zatokę solną Besdeadu w kierunku warstw od zachodu, to formacya solna zapada tutaj pod tę płaszczowinę.

Brzegi zewnętrzne płaszczowin fliszu.

Brzegi te występują w pojęciach dotychczasowych bez wyjątku jako linie denudacyjne. Nasamprzód wypowiedział to zapatrywanie Limanowski, któremu zawdzięczamy pierwszą próbkę profilu płaszczowin fliszu w Karpatach północnych (płaszczowina magórska i mikuliczyńska). Później przyłączył się do tego zapatrywania Uhlig. W ogóle jednak nie zastanawiano się jeszcze nad tem, że brzegi zewnętrzne płaszczowin fliszowych niekoniecznie muszą być zawsze i wszędzie denudacyjne.

Kładę nacisk na to, że całokształt tektoniczny, który płaszczowina z Valeni de Munte przybiera skutkiem późniejszego fałdowania

[1] Por. pracę moją o Karpatach nad Jałomicą l. c. 1905.

[2] Mrazec i Teisseyre, Struktura geol. okolicy Câmpina-Busztenari (po rumuńsku). Acad. Romãna Analele. Ser. II. t. XXVIII, Bukareszt 1906.

miejscowego, wyraża się w synklinali — że tak powiem — schodowej, t. j. płaszczowina zachowała się jako synklina, ograniczona dyslokacyami podłużnemi, a rozszczepiana miejscami nie dó pôznania, na późniejsze pomniejsze fałdy.

Synklina płaszczowiny magórskiej należy także do typu synklin schodowych, t. j. obejmujących wszerz cały niemal jeden wielki próg schodowy gór. Linie podłużne, ograniczające taki schód, niekoniecznie muszą być uskokami. Przeważnie są to raczej schody, wynikłe z nasunięć, ale mogą one przechodzić tu i ówdzie w schody z uskoków i nasunięć powstałe, i przytem niekoniecznie skrzydło zapadłe danej linii schodowej musi leżeć po stronie jej zewnętrznej w stosunku do łuku pasma Karpat.

Różne mamy w Muntenii wschodniej przykłady, jak wielkie pierwszorzędne łęgi schodowe gubią się w kierunku biegu warstw przez rozszczepienie się na liczne pomniejsze antykliny i synkliny, i jak dalece skrzydło zewnętrzne synkliny pierwszorzędnej zdradza w toku fałdowania drugorzędnego wszędzie stałą dążność do wytworzenia t. zw. struktury łuskowej. Tu należą wielki łęg pomiędzy kopalnią nafty Draganiasa a Vf. Sultanu i synklina Melicesci - Maces na północ od Busztenar, następnie przekrój fliszu Valeni, przekrój fliszu Uzu i t. d.).

Drugorzędne, na południowem skrzydle pierwotnej synkliny powstałe siodła, nasuwają się wzajemnie na siebie skutkiem oporu od strony sąsiadującego w kierunku na zewnątrz następnego progu schodowego Karpat, który zwykle znowu ze swej strony, w wielu miejscach, zbliża się przekrojem swym najbardziej do typu synkliny schodowej.

W ten sposób we wschodniej Muntenii, pomiędzy linią poprzeczną Dymbowicy a rzeką Buzeu, brzegi przednie płaszczowin zazwyczaj przypadają na podłużne linie schodowe, po części już dawniej opisane (»Staffellinien«)[1], ale schody po sobie następujące nie zawsze wkraczają w różne płaszczowiny, bo jedna i ta sama płaszczowina — jak się zresztą rozumie — może rozczłaniać się na kilka schodów.

Zazwyczaj zewnętrzne skrzydła linii schodowych zapadają, we-

[1] Por. co do bliższych szczegółów referat pracy mojej, dotyczącej Karpat nad rzeką Jałomicą, w Kosmosie. l. c.

wnętrzne zaś zostają na nie nasunięte, ale miejscami mamy, jak sądzę, zadziwiające wyjątki od tej reguły, i rozpoznanie ich jest poniekąd warunkiem zrozumienia przekroju płaszczowin.

Zasługuje na uwagę fakt, że po pierwsze: poszczególne strefy Karpat fliszowych i neogeńskich nad Jałomicą, Prahową i Teleażenem są zbudowane z coraz to młodszych warstw, w miarę jak postępujemy ku stronie zewnętrznej łuku gór karpackich. Przyczyna tego porządku musi się jasno wyrażać zarówno w profilu płaszczowin, jak i w profilu samychże schodów, idących w parze z późniejszem fałdowaniem drugorzędnem.

Powtóre widzieliśmy, że wszystkie te schody pochylają się łagodnie w kierunku biegu warstw na zachód ku linii poprzecznej Dymbowicy, i nurzają się ku tej stronie stopniowo coraz to głębiej pod transgresywny neogen. Wiadomo, że w ten sposób cały ten schodowy skrawek gór (Buzeu-Dymbowica) w kierunku biegu warstw na zachód powoli nurza się pod sąsiednie wielkie zapadlisko zachodniej Muntenii.

Poprzeczne rozczłonienie obszaru płaszczowin

jest, jak już z Alp wiadomo, zjawiskiem, którego rozpoznanie w wielu razach jest pierwszym krokiem na drodze do przekonania się o istnieniu płaszczowin.

W zbadanej przezemnie części wschodniej Muntenii uderza wprawdzie w pierwszym rzędzie rozczłonienie płaszczowin na schody podłużne, które są warunkiem zachowania się płaszczowin w danych granicach, i to płaszczowin coraz to niższych na obszarze schodów, następujących po sobie w kierunku ku stronie zewnętrznej Karpat. Ale oprócz tego spróbuję udowodnić, że panuje tutaj także fałdowanie poprzeczne. Jest to zjawisko w ogóle bardzo mało dotychczas w Karpatach znane. W Muntenii wschodniej wpływ tego czynnika jest tego rodzaju, że nieuwzględniając go, niepodobna trafnie pojąć poszczególnych profilów, a tyczy się to przedewszystkiem profilów płaszczowin (n. p. linia poprzeczna Kempinicy, linia poprzeczna Ocnita-Fieni, synklina poprzeczna Filipesci de padure — Colibasi i t. d.).

Niestety muszę tutaj poprzestać na tej ogólnikowej wzmiance, gdyż obawiam się, że niektóre moje spostrzeżenia miejscowe zbyt wiele

straciłyby na tem, że szkic ten nie jest zaopatrzony w objaśniające mapy i profile.

Niektóre spostrzeżenia o fałdach i dyslokacyach poprzecznych tymczasowo krótko podałem w przytoczonej pracy stratygraficznej, i na tem też i tutaj muszę z konieczności poprzestać.

Wnioski.

Możnaby przypuszczać, że w Karpatach południowych płaszczowina Uzu (magórska) spoczywa na płaszczowinie skałek Jałomicy, ta zaś na fliszu Zamury (mikuliczyńskim), podścielonym ze swej strony płaszczowiną kliwską — od tego fliszu odrębną.

Słabą stronę dotychczasowych prób zestawienia przekroju poprzecznego płaszczowin fliszu jest, powtarzam, zapoznanie zarówno poprzecznej, jak i podłużnej schodowej[1] budowy gór, dzięki której w wielu okolicach brzegi zewnętrzne płaszczowin nie są erozyjne, jak to z góry przyjmują autorowie za regułę bez wyjątków.

Z pewnością nie wszędzie panują stosunki jednakowe. Wiadomo, jak dalece przeprowadzenie rewizyi dotychczasowych profilów w toku badań do tego celu zastosowanych jest koniecznem. Nawet szybka dorywcza rewizya przekrojów przestarzałych prowadzi do wyników ważnych, jeżeli się opieramy na doświadczeniu już raz nabytem w okolicach pokrewnych, w których płaszczowiny udało się rozwikłać.

[1] Rozumie się, że nazwa schodów nie zawsze jest odpowiednią w dosłownem znaczeniu, ale to już jest właściwością wyrazów technicznych w ogólności.

O CZYNNOŚCIACH I WYTWORACH

KILKA UWAG Z POGRANICZA PSYCHOLOGII, GRAMATYKI I LOGIKI

napisał

KAZIMIERZ TWARDOWSKI

§ 1. Z dwu wyrazów, zestawionych w takich parach jak: chodzić — chód, biegać — bieg, skakać — skok, krzyczeć — krzyk, spiewać — spiew, mówić — mowa, myśleć — myśl, błądzić — błąd, sądzić — sąd, zwracać — zwrot — z dwu takich wyrazów pierwszy oznacza jakąś czynność; rozpatrzenie znaczenia drugiego wyrazu w stosunku do znaczenia wyrazu pierwszego jest zadaniem niniejszych wywodów.

§ 2. Możnaby zrazu przypuścić, że różność [1] takich dwu wyrazów jest tylko gramatyczna, a nie logiczna, t. j., że dotyczy jedynie ich formy, a nie ich znaczenia. Więc wyrazy bieg, skok i t. d. miałyby oznaczać tak samo czynność, jak oznaczają ją wyrazy biegać, skakać i t. d. I w samej rzeczy można bieg lub skok nazwać czynnością, ale zarazem niepodobna zaprzeczyć, że rzeczowniki te — właśnie dlatego, że są rzeczownikami — nie uwydatniają momentu czynnościowego tak wyraźnie, jak czasowniki biegać, skakać, że natomiast wysuwają moment inny, któryby można nazwać zjawiskowym, zdarzeniowym. Mówiąc o biegu, o skoku, mamy na myśli może nie tyle wykonywaną przez kogoś czynność, ile raczej jakiś fakt, jakieś zjawisko, coś, co się dzieje lub zdarza. Mówimy np., że się na wyścigach odbywa bieg koni chowu krajowego, a w zwrocie tym jasno występuje wspomniany moment zjawiskowy, zdarzeniowy; gdy natomiast chodzi nam o uwydatnienie momentu czynnościowego, używamy raczej rzeczowników słownych (substantiva verbalia); mówimy np., że chodzenie po górach sprawia nam przyjemność.

§ 3. Zaznaczony tutaj stosunek czasownika i odpowiedniego

[1] Używam wyrazu różność, a nie różnica, gdyż w ścisłem tego słowa znaczeniu róznica oznacza wielkość, o którą jedna wielkość jest większa lub mniejsza od drugiej, gdy tymczasem różność oznacza stosunek, zachodzący pomiędzy dwoma przedmiotami nierównymi właśnie dzięki temu, że nie są równe. Por. Höfler, Psychologie, 1897, str. 224 i nast.

rzeczownika występuje wyraźniej w przykładach innych, np. w parze: krzyczeć — krzyk. O ile krzyczenie nazwiemy bez wahania czynnością, o tyle trudno czynnością nazwać krzyk. Krzyk, to jakieś zjawisko akustyczne, o którem powiadamia nas słuch; a chociaż wiemy, że bez czynności, zwanej krzyczeniem, nie byłoby krzyku, przecież, mówiąc o krzyku, czynność ową pomijamy, traktując krzyk jako zjawisko akustyczne na równi z hukiem, szmerem i t. p.

§ 4. Podobnie ma się rzecz z resztą przytoczonych par wyrazów i w wszystkich tego rodzaju przypadkach. W niektórych mniej, w niektórych bardziej dobitnie występuje wspomniana różność znaczeń, polegająca na tem, że czasownik uwydatnia przedewszystkiem moment czynnościowy, rzeczownik moment zjawiskowy. Gdzie różność ta jest mniej wyraźna, oba wyrazy przedstawiają się niemal tylko jako dwa sposoby ujęcia tej samej rzeczy, raz bardziej z jednej, raz bardziej z drugiej strony. Taki stosunek zachodzi np. między czasownikiem walczyć a rzeczownikiem walka, albowiem rzeczownik walka obok momentu zjawiskowego zawiera w sobie jeszcze wiele z owego momentu czynnościowego, który wyczerpuje znaczenie czasownika walczyć. Jeżeli się natomiast porówna wyrazy takie jak błądzić — błąd, zwracać — zwrot, można zauważyć, że tutaj różność między znaczeniem czasownika a rzeczownika jest bardzo znaczna, gdyż rzeczowniki te są zupełnie wolne od momentu czynnościowego. Między tymi krańcowymi przypadkami, jakie zachodzić mogą w ustosunkowaniu znaczeń rzeczowników i czasowników jednej takiej pary, istnieją oczywiście liczne przypadki przejściowe.

§. 5. Gramatycy od dawien dawna zwrócili uwagę na stosunek wzajemny takich wyrazów, mówiąc o t. zw. figurze etymologicznej. Rozumieją przez nią konstrukcyę, w której rzeczownik, utworzony z tego samego tematu, co czasownik, odgrywa względem niego rolę dopełnienia [1] (przedmiotu), zwanego w takich razach dopełnieniem (przedmiotem) wewnętrznem. Dopełnienie to może występywać w bierniku, np. tańczyć taniec, zadać zadanie, albo też w innym przypadku, np. żyć życiem (gorączkowem), krzyczeć krzykiem (wielkim) i t. p. Wiadomo też, że taki stosunek czasownika i rzeczownika nie

[1] Według terminologii, użytej w »Gramatyce jezyka polskiego« Steina i Zawilińskiego, Kraków-Warszawa, 1907, §§ 13, 14 i nast., którzy nazywają dopełnieniem to, co się zwykle w gramatyce nazywa przedmiotem.

jest ograniczony do figury etymologicznej, a wtedy stosunek między czasownikiem a rzeczownikiem, tworzącym jego dopełnienie wewnętrzne, może być dwojaki: Czasownik może wymieniać w sposób zupełnie ogólnikowy czynność, nie wskazując swem znaczeniem wcale rodzaju dopełnienia. Taki czasownik, jak np. wykonać, może się wskutek tego łączyć z dopełnieniami o znaczeniach bardzo różnych. Wykonać można spiew, skok, zwrot i t. p. Inne czasowniki znaczeniem swem wskazują już pewien rodzaj dopełnienia. I tak czasownik popełnić wymaga dopełnienia, które oznacza coś ujemnego: popełnić błąd, kłamstwo i t. p.; czasownik wygłaszać wymaga dopełnienia, które oznacza jakieś zjawisko akustyczne: wygłaszać mowę, wiersz i t. p. Figurę etymologiczną można uważać za krańcowy przypadek tego stosunku, gdyż w tej konstrukcyi czasownik sam niejako wprost wyznacza sobie dopełnienie wewnętrzne [1].

§ 6. »Wewnętrzność« takiego dopełnienia — jeżeli wolno tak powiedzieć — wyraża się między innemi bądź w figurze etymologicznej, polegającej na tożsamości tematu czasownika i jego dopełnienia, bądź też w tej okoliczności, że zamiast zwrotu, złożonego z czasownika i oznaczającego jego dopełnienie rzeczownika, można użyć wprost odpowiedniego czasownika, nie dodając mu dopełnienia. Więc zamiast wykonać skok: skoczyć; zamiast popełnić kłamstwo: skłamać, zamiast udzielić rady: radzić; zamiast wydawać sąd: sądzić.

§ 7. To, cośmy powiedzieli na wstępie o stosunku znaczeń czasowników i rzeczowników, zestawionych w przytoczonych i tym podobnych parach wyrazów, dotyczy zatem czasowników z dopełnieniem (przedmiotem) wewnętrznem. Na tej podstawie możemy sobie też zdać sprawę ze znaczenia dopełnienia wewnętrznego. Zauważyliśmy bowiem, że rzeczownik taki jak bieg uwydatnia bardziej zjawiskowy moment na niekorzyść czynnościowego momentu, uwydatnionego w czasowniku biegać; ale zjawisko, zwane biegiem, zjawia się właśnie dzięki czynności biegania, a może jest nawet z nią identyczne, tylko, że mówiąc o bieganiu, kładziemy nacisk na moment czynnościowy, a mówiąc o biegu, na moment zdarzeniowy. Jakkolwiekbądź rzecz się ma, można powiedzieć, że bieg jest zdarzeniem, zjawiskiem, które powstaje dzięki czynności biegania.

[1] Wiadomo też, że niektóre czasowniki mogą, wzięte w pewnem znaczeniu, łączyć się z dopełnieniem wewnętrznem, a wzięte w innem znaczeniu, z dopełnieniem zewnętrznem: wydawać rozkazy — wydawać obiady.

W miarę, jak moment czynnościowy i zjawiskowy bardziej się rozstępują, mniej też sztucznym przedstawia się zwrot, orzekający, że dzięki czynności, wymienionej w czasowniku, powstaje to, co wymienia rzeczownik. Istotnie niema nic w tem sztucznego, gdy mówimy, że wskutek krzyczenia powstaje krzyk, dzięki błądzeniu powstają błędy i t. p.

§ 8. Ogólnie można tedy powiedzieć, że w stosunku czasownika do odpowiądającego mu jako dopełnienie wewnętrzne rzeczownika wyraża się stosunek jakiejś czynności do tego, co dzięki, wskutek tej czynności, przez tę czynność powstaje. Gdy walczymy, powstaje walka, gdy myślimy, powstają myśli, gdy rozkazujemy, powstaje rozkaz, gdy spiewamy, powstaje spiew i t. p.

§ 9. To, co dzięki, wskutek jakiejś czynności czyli przez tę czynność powstaje, nazwać można *wytworem* tej czynności. Można więc powiedzieć, że skok jest wytworem skakania, spiew wytworem spiewania, błąd wytworem błądzenia i t. p., przyczem zachodzi, jak wiemy, stopniowanie od przypadków, w których wytwór niemal się zlewa z wytwarzającą go czynnością, aż do przypadków, w których czynność i jej wytwór coraz wyraźniej się rozstępują [1].

§ 10. Przykłady, na których wyjaśnialiśmy pojęcie wytworu, dotyczyły czynności i wytworów różnych rodzajów, które można sprowadzić do dwóch zasadniczych, do czynności i wytworów *fizycznych*, i do czynności i wytworów *psychicznych*. Do pierwszego rodzaju należą chodzić — chód, biegać — bieg, skakać — skok; do drugiego należą myśleć — myśl, sądzić — sąd, zamierzać — zamiar [2]. Wśród czynności i wytworów fizycznych należy wyróżnić

---

[1] Znaczenie wyrazów wytwarzać i wytwór, w powyższy sposób określonych, nie zawiera w sobie cechy twórczości w tem znaczeniu, w jakiem przeciwstawiamy ją czynności odtwarzającej. To też zarówno to, co powstaje dzięki czynności odtwarzającej, jak też to, co powstaje dzięki czynności twórczej w zwykłem znaczeniu, więc dzięki twórczości oryginalnej, jest wytworem w znaczeniu tutaj określonem. O tem trzeba pamiętać ze względu na różność odtwarzającej czynności pamięci i wytwórczej czynności fantazyi. (Zob. moją rozprawę p. t. Wyobrażenia i Pojęcia, Lwów, 1898, str. 25). Obie te czynności są czynnościami wytwarzającemi w znaczeniu tutaj przyjętem, czynnościami, dzięki którym powstają pewne wytwory.

[2] Ponieważ mowa ludzka posiada w wielu przypadkach osobne wyrazy na oznaczenie czynności i wytworów nie tylko fizycznych, lecz także psychicznych, przeto logicy zwłaszcza od dawien dawna operują wytworami psychicznymi jako czemś od czynności różnem, chociaż może nie zawsze zdawali so-

odrębny gatunek czynności i wytworów psychofizycznych. Psychofizyczną jest czynność fizyczna, jeżeli towarzyszy jej czynność psychiczna, wywierająca jakiś wpływ na przebieg czynności fizycznej a tem samem na powstający dzięki niej wytwór; powstający zaś w ten sposób wytwór nazywa się także psychofizycznym. Należą tu czynności i wytwory, oznaczone wyrazami krzyczeć — krzyk, spiewać — spiew, mówić — mowa; kłamać — kłamstwo i t. p.[1].

§ 11. Granica między wyrazami, które wymieniają czynności i wytwory fizyczne a wyrazami, które wymieniają czynności i wytwory psychofizyczne, jest dość płynna, gdyż często te same wyrazy służą obu celom. Krzyczenie bywa na ogół czynnością psychofizyczną, gdyż towarzyszy mu zwykle czynność psychiczna, wywierająca wpływ na krzyczenie; można jednak także krzyczeć odruchowo, a wtedy czynność może być czysto fizyczna.

§ 12. Istnieją też przykłady wyrazów, które mogą oznaczać

---

bie jasno sprawę z tego rozróżnienia. Bolzano, który je sobie uświadamia (Bei den Worten: ein Urteil, ...eine Behauptung stellen wir uns sicher nichts anderes vor, als etwas, das durch Urteilen... und Behaupten hervorgebracht ist. Wissenschaftslehre, I. 1837, str. 82), przytacza cały szereg ustępów z dzieł dawniejszych i współczesnych, które dowodzą, że to rozróżnienie mniej lub więcej świadomie przeprowadzono. Po Bolzanie rozróżnia wytwór od czynności bardzo stanowczo Bergmann, nazywając myśl, pojęcie, sąd już wprost wytworem (Erzeugnis, Werk, Gebilde) dotyczących czynności. (Reine Logik, Berlin, 1879, str. 2—3, 10—12, 38—39). O wytworach psychicznych wogóle mówi Stumpf (Erscheinungen und psychische Funktionen, Abhandlungen der kgl. preuss. Akademie der Wissenschaften vom Jahre 1906, w odbitce Berlin, 1907, str. 28—33, oraz Zur Einteilung der Wissenschaften, tamże, w odbitce Berlin, 1907, str. 32 i nast.), posługując się wyrazem Gebilde psychischer Funktionen. Zdaje się jednak, że pojęcie wytworu psychicznego, którem operuje Stumpf, nie pod każdym względem schodzi się z pojęciem tutaj rozwiniętem, przynajmniej o ile chodzi o wytwór czynności sądzenia; sprawa ta wymaga jednak osobnego rozpatrzenia, gdyż łączy się m. i. ze stosunkiem pojęcia wytworu sądzenia do tego, co Meinong (Ueber Annahmen, 2. wyd. 1910) nazywa objektywem. Najpełniej rozwinął pojęcie wytworów psychicznych i konsekwentnie przeprowadził w swej psychologii Witasek (Grundlinien der Psychologie, Leipzig, 1908, zob. zwłaszcza I. Teil, 4. Kapitel). Przeciwstawia on psychiczne wytwory (do których zalicza np. Vorstellung, Empfindung, Urteil, Gedanke, Gefühl, Hoffnung, Sehnsucht, Begehrung) procesom psychicznym (Vorstellen, Empfinden, Urteilen, Denken, Fühlen, Hoffen, Sehnen, Begehren).

[1] W innem znaczeniu należałoby uważać za psychofizyczne wszystkie wogóle czynności psychiczne, o ile towarzyszą im czynności fizyczne w ustroju, wywierające na nie wpływ. Możemy jednak tutaj znaczenie to pominąć.

bądź czynności i wytwory psychofizyczne a nawet fizyczne, bądź czynności i wytwory psychiczne. Takie trojakie znaczenie ma wyraz ujęcie, dwojakie wyraz zdanie. Albowiem przez zdanie można rozumieć bądź wytwór psychiczny, który oznaczamy też wyrazami przekonanie, pogląd, zapatrywanie, albo też wytwór psychofizyczny, gdy używamy wyrazu zdanie w znaczeniu gramatycznem. Podobnie wyrazy twierdzić i przeczyć oznaczają bądź określoną co do jakości czynność psychiczną sądzenia, bądź też psychofizyczną czynność wygłaszania sądu twierdzącego lub przeczącego. Ale obok tych wyrazów istnieją liczne inne, które bądź należą wyłącznie do zakresu czynności i wytworów psychicznych (np. myśleć — myśl), bądź też zyskały sobie w tym zakresie pełne prawo obywatelskie, chociaż niekiedy dotyczą także czynności i wytworów psychofizycznych (np. sądzić — sąd, pojmować — pojęcie, zamierzać — zamiar, czuć — wrażenie, odczuwać — uczucie i t. p.)[1].

§ 13. Przytoczone przykłady dotyczą wieloznaczności, polegającej na tem, że te same wyrazy mogą oznaczać wytwory i czynności różnych rodzajów. Istnieje jednak jeszcze inna wieloznaczność, występująca w zakresie tego samego rodzaju czynności i wytworów, a wieloznaczność ta przez długi czas utrudniała i poniekąd jeszcze dzisiaj utrudnia uchwycenie różności, zachodzącej między czynnością a jej wytworem.

§ 14. Mówiąc o czynnościach i ich wytworach, przeciwstawialiśmy jedne drugim przy pomocy czasowników i odpowiednich rze-

[1] Mogłaby powstać wątpliwość, czy rozróżnienie czynności i wytworów psychicznych da się też stosować w ten sposób, by nazywać czucie czyli doznawanie wrażeń czynnością, a wrażenie wytworem tej czynności, a dalej odczuwanie czyli doznawanie uczuć czynnością, a uczucie (więc i przyjemność i przykrość) wytworem tej czynności. Wątpliwość ta mogłaby wyniknąć stąd, że wszelkie doznawanie jest raczej jakimś stanem biernym, a nie czynnym, że więc trudno nazwać czucie i odczuwanie czynnościami. Jeżeli się jednak zważy, że wyrazu czynność używa się bardzo często nie w przeciwstawieniu do stanów biernych, lecz w znaczeniu ogólniejszem, w którem można go też zastąpić wyrazem funkcya, wątpliwość ustąpi. Na innych opierając się założeniach, Dr. Wł. Witwicki pod względem, o który tutaj chodzi, także stawia sąd i przekonanie zupełnie na równi z bolem i rozkoszą, mówiąc nawet nie tylko o doznawaniu bolu i rozkoszy, lecz także o doznawaniu przekonania. (Zob. rzecz p. t. »W sprawie przedmiotu i podziału psychologii« w niniejszej Księdze pamiątkowej str. 10). Witasek celem uwydatnienia różności funkcyi o charakterze bardziej czynnym od funkcyi o charakterze bardziej biernym dzieli procesy psychiczne (zob. pow. str. 7 uw.) na Thätigkeiten i Vorgänge (l. c. str. 84 i nast.).

czowników, przyjmując, że tak, jak czasownik oznacza zawsze czynność, odpowiedni rzeczownik oznacza zawsze wytwór tej czynności. Nie ulega jednak wątpliwości, że często posługujemy się także rzeczownikiem, by oznaczyć czynność, dzięki czemu rzeczowniki te stają się dwuznacznymi, mogąc oznaczać na przemian czynności i ich wytwory. W zwrocie »udzielić komuś rady« wyraz rada oznacza wytwór czynności radzenia, ale gdy powiadamy: »tu trudna rada«, chcemy wyrazić przekonanie, że czynność znalezienia lub udzielenia rady natrafia na trudności. Podobna różność zachodzi w zwrotach »przedłożyć komuś prośbę« i »zacząć od prośby«. Gdy dalej mówimy: »tego błędu nigdy ci nie przebaczę«, chodzi o czynność błądzenia, więc grozimy, że nie przebaczymy popełnienia błędu; ale gdy o błędzie powiadamy, że jest łatwy do wykrycia, bynajmniej nie mamy na myśli czynności błądzenia, lecz jej wytwór. Taksamo ma się rzecz z rzeczownikiem sąd, który również po dziś dzień służy obu tym znaczeniom, raz dotycząc wytworu, raz czynności, dzięki której wytwór powstaje. W pierwszem znaczeniu mówi się np., że pewne sądy są następstwem logicznem sądów innych; w drugiem znaczeniu mówi się o sądach jako funkcyach psychicznych, nazywając sąd np. czynnością poznawczą i t. p. Dla odróżnienia obu tych znaczeń wyrazu sąd używa się niekiedy określeń: sąd w znaczeniu psychologicznem t. j. czynność, i sąd w znaczeniu logicznem, t. j. wytwór. Lepiej jednak zastrzedz wyrazowi sąd tylko jedno z tych dwu znaczeń, mianowicie znaczenie wytworu, a tam, gdzie chodzi o czynność, mówić o sądzeniu czyli wydawaniu sądów [1].

§. 15. Lecz na tem się nie kończy wieloznaczność wyrazów takich jak sąd. Niekiedy bowiem nie używamy go ani w znaczeniu czynności wydawania sądów, ani w znaczeniu wytworów tej czynności czyli sądów, lecz w znaczeniu trzeciem, mianowicie, w zna-

[1] Należy się mieć na baczności, by czasownika wydawać w tym zwrocie stosowanego nie brać w znaczeniu jakiejś czynności uzewnętrzniającej, tem bardziej, że czasownik wydawać w połączeniu z innemi dopełnieniami wewnętrznemi i zewnętrznemi (por. str. 5 uw.) może mieć takie znaczenie, np. w zwrocie wydawać komuś rozkazy. Otóż zwrot wydawać sądy nie znaczy bynajmniej tyle co wygłaszać sądy, wypowiadać sądy, oznajmiać sądy, wyrażać sądy, lecz znaczy poprostu tyle, co dokonywać w umyśle czynności sądzenia czyli sądzić (niemieckie Urteil fällen tyle co urteilen, francuskie porter un jugement tyle co juger). Wydawanie sądów tak samo nie ma nic wspólnego z ich uzewnętrznianiem, jak niesienie pomocy albo przytoczone właśnie francuskie porter un jugement nie ma nic wspólnego z noszeniem.

czeniu dyspozycyi [1] do wydawania sądów, czyli sądzenia. I tak np. mówimy »człowiek ten ma trafny sąd o rzeczach«. Tu rzeczywiście chodzi o zdolność wydawania trafnych sądów, a dyspozycyjny charakter sądu w tem znaczeniu wziętego występuje w tem, że ten »trafny sąd« o rzeczach jest względnie stałą właściwością danego osobnika, gdy tymczasem czynność trafnego sądzenia jest w każdym przypadku czemś chwilowem. W znaczeniu dyspozycyjnem bierzemy także wyraz sąd, mówiąc np. że nauka ma kształcić nie tylko pamięć, lecz także sąd [2]. Podobnie ma się rzecz z wyrazem wiara. W zwrocie »wiara cię uzdrowiła« chodzi niewątpliwie o czynność wierzenia (»akt wiary«); gdy mowa o różnych wiarach, które ludzkość wyznaje, chodzi o wytwory, a gdy powiadamy o kimś, że wiarę stracił, stwierdzamy, że stracił zdolność do wierzenia w pewne rzeczy czyli do wzbudzania w sobie pewnych aktów wiary, więc czynności psychicznych. Analogiczne przykłady znajdujemy też w zakresie czynności i wytworów psychofizycznych. Jeżeli powiadamy, że mowa [3] czyjaś trwała godzinę, mamy na myśli czynność mówienia, wygłaszania mowy; w zwrocie »mowa twoja niech będzie tak i nie« chodzi o wytwór mówienia, a gdy powiada się, że komuś przerażenie odjęło mowę, chodzi o zdolność mówienia. Tak samo dyspozycyę do pewnej czynności a nie tylko jej wytwór może oznaczać wyraz dowcip (człowiek posiadający dowcip) a nawet wyraz chód (ten człowiek ma lekki chód).

§ 16. Z natury rzeczy niebezpieczeństwo pomieszania czynności i jej wytworu jest na ogół większe, aniżeli niebezpieczeństwo pomieszania wytworu lub czynności z odpowiednią dyspozycyą. Dalszem zaś utrudnieniem odróżnienia czynności od wytworu jest częsty brak osobnego rzeczownika na oznaczanie wytworu i — wobec tego — ko-

---

[1] Wyrazu dyspozycya używam w znaczeniu, sformułowanem przez Höflera; Psychologie, 1897, § 12, który też (tamże § 6) zwraca uwagę na wyrazy, oznaczające promiscue czynności (wytwory) i dyspozycye.

[2] U niektórych pisarzy wyraz sąd występuje w czwartem jeszcze znaczeniu, oznaczając to, co się zwykle nazywa enuntiatio, propositio, Aussage a co po polsku zaproponowałem nazwać powiedzeniem (por. moją rozprawę O t. zw. prawdach względnych, odbitka z Księgi pamiątkowej, wydanej przez Uniwersytet lwowski ku uczczeniu 500-letniej rocznicy odnowienia Uniwersytetu krakowskiego, Lwów, 1900). W tem czwartem wiec znaczeniu wyraz sąd oznacza pewien wytwór psychofizyczny. Zob. o tem poniżej str. 28, uwaga.

[3] W zwrotach tych mowa jest wzięta wszędzie w znaczeniu łacińskiego sermo, nie oratio.

nieczność posługiwania się rzeczownikiem słownym. Gdzie bowiem istnieje rzeczownik niesłowny na oznaczenie wytworu czynności, tam rzeczownik słowny zachowuje zwykle znaczenie czynnościowe: prosić — proszenie — prośba, radzić — radzenie — rada, mówić — mówienie — mowa, rozkazać — rozkazanie — rozkaz, zakazać — zakazanie — zakaz [1]. Tam zaś, gdzie brak innego aniżeli słownego rzeczownika, rzeczownik taki przybiera czasem obok swego znaczenia czynnościowego także znaczenie wytworu. Ponieważ np. nie używamy od czasownika przykazać rzeczownika »przykaz«, analogicznego do »rozkaz« i »zakaz«, przeto rzeczownik słowny przykazanie przybrał znaczenie wytworu, i to tak dalece, że to znaczenie właściwie przytłumia znaczenie czynnościowe. W innych jednak przypadkach oba znaczenia istnieją obok siebie, np. w wyrazie »pytanie«, który w zwrocie »mam dość tego pytania« oznaczać może czynność zapytywania lub wypytywania, a w zwrocie »pytanie to nie da się rozwiązać« oznacza widocznie nie czynność, lecz wytwór. Należą tu dalej wyrazy poznanie, przekonanie, zapatrywanie, wierzenie, mniemanie, postanowienie, pragnienie, przedstawienie, wyobrażenie, czucie, przeżycie, ujęcie, pojęcie, spostrzeżenie, przypomnienie, rozumowanie, porównanie, żądanie, doświadczenie, doznanie i t. p.

§ 17. Dwuznaczność tych wyrazów stwierdzono oddawna; wiadomo też, że podobnie jak w języku polskim te rzeczowniki słowne, okazują ją w łacińskim języku utworzone z czasowników wyrazy na *io*, w języku niemieckim utworzone w podobny sposób rzeczowniki na *ung* [2]. O ile te rzeczowniki łacińskie stosujemy w języku polskim, zbliżamy je ich znaczeniem raczej do wytworów, zachowując dla oznaczania czynności zwykle słowną formę rzeczownika: abstrahowanie — abstrakcya, kombinowanie — kombinacya, konstruowanie — konstrukcya i t. p.

§ 18. Chcąc w tych przypadkach w języku polskim oznaczyć czynność w odróżnieniu od wytworu, uciekamy się zwykle — gdzie to możebne — do rzeczownika słownego, utworzonego od formy częstotliwej czasownika. Gdy więc mówimy o poznawaniu, postanawianiu, przedstawianiu, wyobrażaniu, przeżywaniu, ujmowaniu, poj-

---

[1] W niektórych przypadkach wyraźna dwuznaczność czasownika słownego istnieje, chociaż posiadamy osobny rzeczownik niesłowny do oznaczenia wytworu; np. opowiadać — opowiadanie — opowieść.

[2] Analogicznie polskie rzeczowniki na *unek* (ratunek) i na *itwa* (modlitwa).

mowaniu, spostrzeganiu, przypominaniu, porównywaniu, doświadczaniu, doznawaniu i t. p., każdy widzi, że mówimy o czynnościach, a nie o ich wytworach, których wobec tego naturalnym wyrazem staje się rzeczownik słowny, utworzony od nieczęstotliwej formy czasownika, więc w brzmieniu poprzednio w § 16 przytoczonem [1]. Gdzie niepodobna użyć tego sposobu, rzeczownik słowny pozostaje dwuznacznym, jak to widać w przykładach wierzenie, mniemanie, zapatrywanie, pragnienie, rozumowanie, żądanie, o ile zwyczaj nie wysuwa naprzód bardziej jednego niż drugiego znaczenia, jak to zachodzi przy wyrazie przekonanie, oznaczającym raczej wytwór, aniżeli czynność, albo o ile nie posiadamy innego sposobu odróżnienia obu znaczeń, jak np. wtedy, gdy dla uwydatnienia momentu czynnościowego mówimy o zapatrywaniu się, rozumiejąc przez zapatrywanie raczej wytwór [2].

§ 19. Ale ograniczając znaczenie wyrazów takich jak zapatrywanie, pojęcie, przekonanie i t. p. do wytworów, nie usuwamy innej dwuznaczności, dzięki której mogą podobnie jak rzeczowniki sąd, wiara i t. p. obok wytworów oznaczać także dyspozycye do czynności, dzięki którym takie wytwory powstają. Gdy np. o kimś powiadamy, że posiada wyrobione przekonania, przypisujemy mu wyrobione dyspozycye do wydawania sądów. W dyspozycyjnym charakterze używamy także wyrazu przekonanie, gdy mówimy o przekonaniach niezłomnych, stałych i t. p. tak, jak w innych razach

[1] Nie jest więc tem samem teorya poznawania i teorya poznania, lecz zachodzi tu taka sama różność, jak między teoryą sądzenia a teoryą sądu; pierwsza jest teoryą psychologiczną pewnych czynności umysłowych, druga jest teoryą powstających dzięki tym czynnościom wytworów.

[2] W języku niemieckim, posiadającym rodzajnik, rozgraniczeniu czynności i wytworu służyć może doskonale konsekwentne używanie bezokolicznika w znaczeniu czynności, a odpowiedniego rzeczownika w znaczeniu wytworu (np. Bolzano w zdaniu przytoczonem w uw. na str. 7 i w wielu innych miejscach swego dzieła). Więc Urteilen — Urteil, Vorstellen — Vorstellung, Behaupten — Behauptung, Aussagen — Aussage i t. p. W rozprawie swej Zur Lehre vom Inhalt und Gegenstand der Vorstellungen (Wien 1894) nazwałem czynność przedstawiania aktem, a wytwór przedstawiania treścią przedstawienia (Vorstellungsakt, Vorstellungsinhalt). Terminologię tę m. i. przyjął i konsekwentnie przeprowadził Kreibig w dziele Die intellektuellen Funktionen, Wien und Leipzig, 1909. To więc, co w owej rozprawie nazwałem treścią przedstawienia, najdokładniej odpowiada temu, co tutaj występuje jako wytwór przedstawiania. (Gramatycy nazywają niekiedy biernik dopełnienia wewnętrznego, odpowiadającego wytworowi, biernikiem treści).

przypisujemy niezłomność, stałość czyjejś woli, t. j. dyspozycyi do postanawiania w pewien sposób [1]. I znowu to dyspozycyjne znaczenie wyrazów przekonanie, zapatrywanie, pojęcie i t. p. występuje najjaśniej w zwrotach, w których o przekonaniu, o pojęciu i t. p. mówimy jako o czemś trwałem (por. § 15), więc w zwrotach takich jak żywić przekonanie, posiadać pojęcie i t. p. [2].

§ 20. I ażeby dopełnić wielorodności znaczeń, jakie mogą się łączyć z omawianymi wyrazami, używamy niekiedy zwrotów takich jak »energia jest jednem z zasadniczych pojęć współczesnej fizyki«. Oczywiście są to zwroty skrócone, gdyż energia nie jest pojęciem, lecz przedmiotem pojęcia. Ale zwroty takie dowodzą, że mieszamy też pojęcie z jego przedmiotem [3]. Czy Schopenhauer, pisząc o świecie jako woli i przedstawieniu, zdawał sobie sprawę z tego, w jakiem znaczeniu używa wyrazu przedstawienie? Zdaje się, że ścisłe rozgraniczenie tych różnych znaczeń, które mogą się z tego rodzaju wyrazami łączyć, wyszłoby bardzo na korzyść różnym teoryom epistemologicznym i metafizycznym.

§ 21. O tem, że należy odróżniać znaczenie, w którem tego rodzaju wyrazy dotyczą dyspozycyi, od znaczenia, w którem dotyczą czynności, i od znaczenia, w którem dotyczą przedmiotów, nikt chyba nie wątpi. Natomiast mogą się zjawić wątpliwości, czy istotnie znaczenie, w którem tego rodzaju wyrazy dotyczą wytworów czynności, należy odróżniać od znaczenia, w którem dotyczą czynności. Mogłoby się nasunąć przypuszczenie, że różność jest tylko pozorna, że pochodzi z różnych sposobów, w jakie możemy wyrażać tę samą myśl, że się sprowadza do tego, co Marty nazwał kaprysami mowy. Wątpliwości te muszą jednak ustąpić wobec pewnego faktu, który świadczy o konieczności tego rozróżnienia. Dotknęliśmy go już w poprzednich rozważaniach.

§ 22. Fakt ten polega na tem, że o wytworach orzekamy nie-

---

[1] Por. Marty, Ueber Annahmen, Zeitschrift für Psychologie, 40 (1906) str. 11.

[2] O dyspozycyjnem znaczeniu wyrazu pojęcie zob. moją rozprawę Wyobrażenia i Pojęcia, Lwów, 1898, str. 144 i nast. oraz Ueber begriffliche Vorstellungen w Wissenschaftliche Beilage zum Jahresbericht der Philosophischen Gesellschaft an der k. k. Universität zu Wien, Leipzig, 1903, str. 25 i nast.

[3] Ten przedmiot pojęcia, a więc wytworu, jest zarazem zewnętrznym przedmiotem czynności, której przedmiotem wewnętrznym jest wytwór. Por. uw. 2, str. 15.

jedno, czego nie powiadamy o dotyczących czynnościach. Mówimy np. o określaniu pojęć, przyczem nie chodzi nam wcale o określanie pojmowania; pewne pytania nazywamy niezrozumiałemi, nie chcąc tem samem twierdzić, jakoby stawianie pytań było czynnością niezrozumiałą; charakteryzujemy niekiedy jakieś zadanie jako nierozwiązalne, co się oczywiście nie może tyczyć czynności zadawania; zarzucamy komuś, że przeoczył błąd, co wcale nie ma znaczyć, że przeoczył czynność błądzenia; mówimy o niespełnionych marzeniach, o postanowieniach, które nie zostały wprowadzone w czyn, a nie wyrażamy się w ten sposób o czynności marzenia albo o czynności postanawiania; mówimy o »złotych myślach« znakomitego pisarza, ale nie nazwiemy złotem jego myślenia [1]. Widocznie więc chodzi nam o coś inego, gdy mówimy o wytworach, a o coś innego, gdy mówimy o dotyczących czynnościach, wobec czego rozróżnienie czynności i wytworów jest rzeczą zupełnie uzasadnioną.

§ 23. O ile jednak rozróżnienie czynności i wytworu wymaga osobnego uzasadnienia w przypadkach dotąd przytaczanych, w innych samo się ono narzuca. Dotąd przytaczane wytwory możnaby nazwać wytworami nietrwałymi, t. j. wytworami, które istnieją tylko tak długo, jak długo istnieje czynność, dzięki której powstają. Krzyk istnieje, póki trwa czynność krzyczenia, spiew, póki trwa czynność spiewania, myśl, jak długo ktoś myśli, sąd istnieje wtedy, gdy ktoś sądzi [2]. Mówimy wprawdzie także o pewnych przekonaniach, że utrzymują się przez długie wieki, mówimy też o myślach mędrca, że go przetrwać mogą, ale nie chodzi tu o niezależne od czynności trwałe aktualne istnienie wytworów, lecz o powtarzanie się przez szereg pokoleń czynności i wytworów podobnych do tych, które zachodziły w pokoleniach poprzednich lub w owym mędrcu. Analogicznie mówimy, że są w nas pojęcia, przekonania, pragnienia, chociaż w da-

[1] Mogłoby się niekiedy wydawać, jakoby było rzeczą dowolną, czy cechę pewną przypisujemy za pomocą przymiotnika wytworowi, czy też za pomocą przysłówka czynności. Mówimy bowiem równie dobrze, że ktoś wydał przeraźliwy okrzyk, jak też, że przeraźliwie krzyknął. Widoczną jest jednak rzeczą, że ściśle mówiąc, cecha przeraźliwości przysługuje okrzykowi jako zjawisku akustycznemu, a nie czynności krzyczenia, gdyż nie wydanie okrzyku jest przeraźliwe, lecz sam okrzyk. Nie przeszkadza to oczywiście temu, że w innych przypadkach przypisujemy pewną cechę w właściwem znaczeniu samej czynności.

[2] Por. Bergmann l. c. str. 38: Das Urteil ist das mit dem Urteilen zugleich auftretende und wieder verschwindende Erzeugnis desselben.

nej chwili nie odbywają się w nas odpowiednie czynności. Znaczy to — jak wiadomo — tylko, że są w nas dyspozycye, dzięki którym w przyszłości mogą powstawać w nas wytwory takie same jak poprzednie. Gdy zatem mówimy o trwałem istnieniu wytworów tego rodzaju, chodzi bądź o powtarzanie się jednakowych czynności i wytworów, bądź o ich istnienie potencyalne[1]. Dlatego też wytwory te można nazwać nietrwałymi, mianowicie w tem znaczeniu, że aktualnie nie trwają dłużej aniżeli czynność, dzięki której powstają.

§ 24. Ale obok nich istnieje rodzaj wytworów, które mogą trwać i zwykle trwają dłużej, aniżeli czynność, dzięki której powstają. Przykładami takich czynności i wytworów są: kreślić — kreska, splatać — splot, odciskać — odcisk, rysować — rysunek, pisać — pismo, drukować — druk, malować — malowidło, rzeźbić — rzeźba, budować — budynek i t. p. Rzeczownik, złączony w każdej parze wyrazów z odpowiednim czasownikiem, może pod względem gramatycznym spełniać względem niego rolę dopełnienia czyli przedmiotu wewnętrznego. Mówi się, stosując figurę etymologiczną, o kreśleniu kresek, rysowaniu rysunku, drukowaniu druków, o budowaniu budynków, a bez niej o modelowaniu rzeźby, o stawianiu budynków i t. p. I nie tylko możność stosowania figury etymologicznej dowodzi, że mamy tutaj do czynienia z przedmiotem wewnętrznym, lecz także fakt, że rzeczownik oznacza coś, co powstaje dopiero dzięki czyli wskutek odpowiedniej czynności, przez tę czynność, tak jak w poprzednio przytoczonych przypadkach skakać — skok, pojmować — pojęcie, sądzić — sąd i t. p. Niepodobna też mówić tutaj o przedmiocie zewnętrznym, albowiem czynność, oznaczona czasownikiem, nie przechodzi na to, co oznacza rzeczownik, chociaż czasowniki te miewają przy sobie także przedmioty zewnętrzne, np. gdy powiadamy splatać włosy i t. p.[2].

---

[1] Potencyalność tę można pojmować w sposób chociażby najbardziej daleko idący, gdy np. mówi się o »istnieniu« prawd, których jeszcze nikt nie zna, t. j. o »istnieniu« prawdziwych sądów, których jeszcze nigdy nikt nie wydał. Chodzi tu oczywiście o możność wydania tych sądów, a tem, co istnieje, nie są sądy, lecz jest niem możność ich wydania.

[2] Tak samo ma się rzecz, jak wspomnieliśmy w uw. 3. str. 13, z czasownikami poprzednio omawianymi. Sąd jest przedmiotem wewnętrznym sądzenia, ale to, o czem sądzę, jest zewnętrznym przedmiotem sądzenia. Pojęcie jest wewnętrznym przedmiotem pojmowania, ale mówiąc »ja nie pojmuję jego postępowania«, przytaczam w wyrazie »jego postępowanie« przedmiot zewnętrzny czyn-

§ 25. Jest więc kreska, rysunek itd. przedmiotem wewnętrznym a tem samem wytworem kreślenia, rysowania i t. p. Ale między wymienionymi właśnie przedmiotami a poprzednio omawianymi zachodzi przecież ta ważna, powyżej zaznaczona różność, że przedmioty wewnętrzne czyli wytwory czynności takich jak kreślenie, rysowanie mogą trwać i zwykle trwają dłużej aniżeli same czynności, czyli że są trwałe. Gramatycy dlatego właśnie odróżniają je czasem od nietrwałych przedmiotów wewnętrznych i tworzą z nich odrębny rodzaj przedmiotów, także różny od przedmiotów zewnętrznych. A ponieważ wytwory trwałe tak samo jak nietrwałe są wytworami, t. j. czemś, co dopiero dzięki jakiejś czynności powstaje [1], przeto należy je na równi przeciwstawiać przedmiotom zewnętrznym, t. j. czemuś, co już istnieje, zanim przechodząca na nie czynność się rozpoczęła. Dlatego też koordynujemy przedmioty wewnętrzne i zewnętrzne, czyli przedmioty, które są wytworami pewnych czynności i przedmioty, które nie są ich wytworami, a przedmioty, które są wytworami, dzielimy na dwie współrzędne grupy, na przedmioty nietrwałe i trwałe [2].

§ 26. Możność trwania pewnych wytworów po dokonaniu czyn-

ności pojmowania. Rozróżnieniu wewnętrznego i zewnętrznego przedmiotu przedstawiania poświęcona jest moja rozprawa Zur Lehre vom Inhalt und Gegenstand der Vorstellungen, Wien 1894. Łączy się z tem kwestya, które z czynności muszą mieć przedmiot zewnętrzny obok wewnętrznego, a które mogą się ograniczać do przedmiotu wewnętrznego. Kwestya ta jest aktualna w psychologii, gdy np. stawia się pytanie, czy uczucie może występywać tylko w połączeniu z przedstawieniem czy też bez przedstawienia. Sąd bowiem zawsze się musi łączyć z przedstawieniem, które uprzytomnia sądzącemu przedmiot (zewnętrzny) sądzenia; otóż, czy doznając uczucia, musimy też mieć zawsze przedstawienie (chociażby wrażenie zmysłowe) przedmiotu (zewnętrznego), którego się to uczucie tyczy?

[1] W tem znaczeniu mówi B r u g m a n n o Akkusativ des Inhalts i Akkusativ des Resultats, które dopełniają czasowniki, oznaczające jakieś wytwarzanie (Verba des Hervorbringens). Por. jego Griechische Grammatik w Müllera Handbuch der klassischen Altertumswissenschaft, II. I. München, 1900, § 439, 2.

[2] Ze względu na to, że trwałość przedmiotów trwałych może przybierać różne rozmiary, między wytworami trwałymi i nietrwałymi niema ścisłej granicy. I tak krzyk, odbity echem, trwa dłużej aniżeli czynność krzyczenia, chociaż przecież na ogół wziąwszy należy go uważać za wytwór nietrwały; kreślenie natomiast, chociaż wytwór jego uważamy na ogół za wytwór trwały, może nie pozostawić po sobie żadnych chociażby chwilowych śladów, więc nie dać początku wytworowi trwałemu.

ności, dzięki której powstają, polega na tem, że czynności te przechodzą na coś czyli dokonywują się na czemś, co istnieje już przed rozpoczęciem czynności i istnieje też dalej po dokonaniu czynności, a co można najogólniej nazwać materyałem czynności. Splatając czyli robiąc splot, robimy splot z czegoś (splatamy coś), odciskając czyli robiąc odcisk, robimy go w czemś i t. p. Sama zaś czynność, dzięki której powstaje wytwór trwały, polega na przekształcaniu, przeobrażaniu materyału; czynność ta zmienia układ jego cząstek lub innej dokonywa w nim zmiany. Wytwarzając stopą odcisk w piasku, zmieniamy układ ziarnek piasku, a chociaż czynność wyciśnięcia odcisku już została dokonana i przestała istnieć, zmieniony układ ziarnek piasku trwa, będąc tym sposobem trwałym wytworem dokonanej czynności. Ściśle więc rzecz biorąc, wytworem czynności jest tylko nowy układ, przeobrażenie, przekształcenie [1] materyału, gdyż materyał istniał już przed czynnością; to też nazywając rysunek wytworem rysowania, nie chcemy przez to powiedzieć, jakoby cząstki grafitu i papier były wytworem rysowania, gdyż wytworem tym jest tylko ten właśnie układ cząstek grafitu na papierze. Tak samo nie farby i płótno są wytworem malowania (dziełem malarza), lecz wytworem jego jest pewne rozmieszczenie farb na płótnie; nie bryła gliny lub marmuru jest wytworem rzeźbienia, lecz pewna postać nadana bryle gliny lub marmuru. Ale ponieważ układ, rozmieszczenie, postać i t. p. istnieją tylko w pewnym materyale, przeto, wyrażając się nieściśle, nazywamy konkretną całość, więc ułożone w pewien sposób cząstki grafitu czyli kreski, rozmieszczone w pewien sposób na płótnie farby, posiadającą pewną postać bryłę gliny lub marmuru rysunkiem, malowidłem, rzeźbą.

§ 27. W zakresie czynności, dzięki którym powstają wytwory trwałe, rozróżnienie wytworów od czynności nie nasuwa żadnych wątpliwości. Wszak tutaj rozróżnienie samo się narzuca wobec tego, że wytwór trwa także po dokonanej już czynności. I jeżeli powiedzieliśmy, odróżniając wytwory nietrwałe od odpowiednich czynności, że wyrazy, oznaczające czynności, uwydatniają moment czynnościowy, a wyrazy oznaczające wytwory ich, moment bardziej zjawiskowy, zdarzeniowy, tutaj, gdzie chodzi o wytwory trwałe, po-

[1] Wyrazy te wzięte są tutaj, rzecz jasna, w znaczeniu wytworu, a nie w znaczeniu czynności przeobrażania, przekształcania.

wiedzieć można, że się one przedstawiają nietyle jako zjawiska lub zdarzenia, lecz jako rzeczy [1].

§ 28. Czynności, dzięki którym powstają wytwory nietrwałe, jakoteż same wytwory nietrwałe podzieliliśmy na fizyczne i psychiczne, wyróżniając wśród fizycznych jako osobny gatunek czynności i wytwory psychofizyczne. Otóż w zakresie wytworów trwałych niema miejsca na wytwory psychiczne. Wprawdzie mógłby się ktoś powołać na to, że pewne czynności psychiczne dokonywują się przecież na pewnym »materyale«. I tak tworząc fantastyczne wyobrażenia operujemy materyałem wyobrażeń, dostarczonych nam przez pamięć; tworząc łańcusznik, układamy w pewien sposób sądy, służące za »materyał« do niego. Ale ktoby w ten sposób chciał dowodzić trwałości pewnych przynajmniej wytworów psychicznych, zapomniałby, że musiałby też dowieść, iż owe inne wytwory psychiczne, które odgrywają rolę »materyału«, są wytworami trwałymi.

§ 29. W zakresie czynności i wytworów trwałych można tedy mówić tylko o wytworach fizycznych, wyróżniając wśród nich jako osobny gatunek wytwory psychofizyczne. Trwałym wytworem fizycznym takiejże czynności jest np. odcisk stopy w piasku, jeżeli odcisk ten powstał bez udziału świadomości kroczącego po piasku człowieka; trwałym wytworem psychofizycznym takiejże czynności będzie odcisk stopy, zrobiony w piasku świadomie i z zamiarem. Psychofizycznymi wytworami są malowidło, rzeźba i t. p., a to dlatego, że wytwory te powstają dzięki czynności psychofizycznej, t. j. dzięki takiej czynności fizycznej, której towarzyszy czynność psychiczna, wywierająca wpływ na przebieg czynności fizycznej i tem samem na powstający dzięki tej czynności wytwór.

§ 30. Ze względu na ten związek, zachodzący w takich razach między podpadającym pod zmysły wytworem psychofizycznym a nie podpadającym pod zmysły wytworem psychicznym, wytwór psychofizyczny staje się zewnętrznym w y r a z e m wytworu psychicznego. Stosunek ten zachodzi zarówno w nietrwałych, jak w trwałych wytworach psychofizycznych. I tak krzyk może być wyrazem bolu,

[1] Wytwory nietrwałe nie istnieją w znaczeniu aktualnem oddzielnie od odpowiednich czynności, lecz tylko w połączeniu z niemi; możemy je tylko oddzielnie od owych czynności rozważać. Wytwory trwałe natomiast mogą istnieć i istnieją w znaczeniu aktualnem oddzielnie od czynności, dzięki którym powstają.

pewien ruch głowy wyrazem sądu twierdzącego, pewien skok wyrazem przerażenia. Tak samo odcisk może być wyrazem chęci oparcia się, rysunek wyrazem pomysłu rysownika, cięcie komuś zadane wyrazem złości, którą odczuwał raniący do ranionego [1]. We wszystkich tych przypadkach wytwór psychiczny wyraża się na zewnątrz w odpowiednim wytworze psychofizycznym, a to dzięki temu, że wytwór psychofizyczny powstaje nie wskutek czysto fizycznej, lecz wskutek psychofizycznej czynności [2]. Twierdzenie zatem, że w jakimś wytworze psychofizycznym wyraża się jakiś wytwór psychiczny, czyli że jakiś wytwór psychiczny znajduje swój wyraz w wytworze psychofizycznym, sprowadza się do dwóch momentów: po pierwsze, że wytwór psychiczny (wraz z odpowiadającą mu czynnością psychiczną) jest częściową przyczyną powstania wytworu psychofizycznego, a po drugie, że ów wytwór psychiczny, tak jak odpowiadająca mu czynność psychiczna, pod zmysły nie podpada, gdy tymczasem wytwór psychofizyczny pod zmysły podpada [3].

§ 31. O wytworze psychicznym, który się wyraża w wytworze

[1] Analogiczny stosunek do tego, który zachodzi tutaj między wytworami, zachodzi też między czynnościami. W czynności psychofizycznej wyraża się odpowiednia czynność psychiczna: w krzyczeniu doznawanie bolu, w rysowaniu pomyślenie sobie pewnego rysunku i t. p.

[2] Ponieważ jakiś wytwór psychofizyczny może powstać wskutek nie jednej, lecz kilku czynności psychofizycznych, przeto mogą się w nim wyrażać różne wytwory psychiczne. I tak w rysunku wyrazić się może wyobrażenie rysunku, które rysownik ma, kreśląc rysunek, dalej pojęcie, które rysownik pragnie swym rysunkiem uzmysłowić, pragnienie uzmysłowienia pojęcia i t. p. W ten sposób wytwór psychofizyczny wyraża pewne wytwory psychiczne bezpośrednio, inne pośrednio w różnych stopniach pośredniości. Analogiczne ustopniowanie zachodzi wtedy między odpowiedniemi czynnościami, przyczem jedne z nich służą niekiedy za środki do dokonywania czynności innych, których wytwory znajdują następnie pośredni wyraz w wytworze psychofizycznym. Te czynności i wytwory pomocnicze są tem, co się nazywa w ścisłem tego słowa znaczeniu »techniką«.

[3] Fakt, że o wyrażaniu się częściowej przyczyny w wytworze dzięki niej powstającym mówimy także tam, gdzie brak drugiego powyżej przytoczonego momentu (np. powiększenie ciężaru wyraziło się w szybszym obrocie koła), nie wchodzi w grę tutaj, gdzie mowa o wytworach psychofizycznych. Tak samo możemy tu pominąć wspomniany pow. w uw. 1 fakt, że także czynność psychiczna, będąc wraz z swym wytworem częściową przyczyną powstania wytworu psychofizycznego, w nim się obok wytworu swego wyraża. Zajmujemy się tu bowiem przedewszystkiem wytworami, a czynnościami odpowiedniemi tylko o tyle, o ile tego rozważanie wzajemnego stosunku różnych wytworów wymaga.

psychofizycznym czyli którego wyrazem jest wytwór psychofizyczny, mówimy niekiedy, że ten wytwór psychofizyczny go wyraża, czyli że wytwór psychiczny jest przez wytwór psychofizyczny wyrażony. Ale mówimy tak tylko pod pewnym warunkiem, mianowicie wtedy, jeżeli wytwór psychofizyczny, w którym się wyraża jakiś wytwór psychiczny, sam może się stać częściową przyczyną powstania takiego samego lub podobnego wytworu psychicznego [1], a to tym sposobem, że wywołuje czynność psychiczną taką samą jak ta, dzięki której sam powstał albo przynajmniej do niej podobną. Tak np. okrzyk, w którym się wyraża przerażenie, tylko wtedy sam będzie to przerażenie wyrażał, jeżeli w słyszącym go osobniku również powstanie przerażenie [2]. Tak samo rysunek, w którym się wyraża myśl rysownika, tylko wtedy myśl tę naprawdę wyraża, jeżeli w oglądającym rysunek osobniku powstaje myśl, odpowiadająca tej, którą miał rysownik, kreśląc swój rysunek. Jeżeli rysunek jest tego rodzaju, że w oglądającym go osobniku innym a może nawet w samym rysowniku po niejakim czasie nie powstaje na jego widok myśl, odpowiadająca tej, którą rysownik miał, gdy go rysował, wtedy rysunek jest »niezrozumiały« i tej myśli nie wyraża, chociaż znalazła ona w nim swój — w tym przypadku bardzo nieudolny — wyraz [3]. Jakie zaś składają się na to okoliczności, że pewne wytwory psychofizyczne wyrażają jakieś wytwory psychiczne, gdy tymczasem inne są tylko ich wyrazem, jest rzeczą dla samego faktu

[1] Pozostałe części przyczyny leżą w oddziaływaniu wytworu psychofizycznego na obdarzonego odpowiedniemi dyspozycyami osobnika.

[2] Zamiast samego przerażenia, więc wytworu podobnego do tego, który w krzyku się wyraża, może w osobniku, słyszącym krzyk, powstać też samo tylko przedstawienie przerażenia; wtedy przedstawienie przerażenia występuje niejako w zastępstwie samego przerażenia i ze względu na to jest wytworem zastępczym. O wytworach zastępczych będzie mowa poniżej w §§ 42—44.

[3] Należy zatem ściśle odróżniać zwrot: »wytwór psychofizyczny (podmiot) wyraża wytwór psychiczny (przedmiot)« od następujących między sobą synonimicznych zwrotów: »wytwór psychiczny wyraża się czyli znajduje swój wyraz w wytworze psychofizycznym«, »wytwór psychofizyczny jest wyrazem wytworu psychicznego«. Rozróżnienie to pozwala usunąć różne nieporozumienia. I tak np. może się ono przyczynić do wyjaśnienia tak bardzo spornej kwestyi stosunku muzyki do uczuć. Jeżeli się bowiem wszyscy godzą na to, że w utworze muzycznym mogą się wyrażać uczucia (a także myśli), których doznaje kompozytor, utwór ten tworząc, nie wynika z tego bynajmniej, by utwór ten owe uczucia wyrażał. Por. Hanslick, Vom Musikalisch-Schönen i Hausegger, Die Musik als Ausdruck (Wien 1885).

wyrażania obojętną. Działa tu skojarzenie, bądź na podstawie podobieństwa, bądź na podstawie umowy i t. p.

§ 32. Wytwory psychofizyczne, które wyrażają jakieś wytwory psychiczne, nazywają się też znakami tych wytworów psychicznych, a same te wytwory psychiczne ich znaczeniem[1]. Znaczeniem jest tedy każdy wytwór psychiczny, który pozostaje do wytworu psychofizycznego w tym stosunku, że go wytwór psychofizyczny wyraża. Mówimy tedy o znaczeniu krzyku, znaczeniu rysunku, znaczeniu ruchu, znaczeniu rumieńca i t. p. A »wyrazy« mowy są także wytworami psychofizycznymi, w których znajdują swój wyraz pewne wytwory psychiczne, myśli, sądy i t. p.; zarazem wyrazy mowy wyrażają na ogół dokładniej aniżeli inne wytwory psychofizyczne te wytwory psychiczne, które są ich znaczeniem, a których one same są znakami. Co zaś chcemy powiedzieć, jeżeli jakiś znak nazywamy wieloznacznym, wynika bezpośrednio z powyższych wywodów, przyczem jasną też jest rzeczą, że wieloznaczność, przekraczająca pewną granicę, staje się niezrozumiałością. Tak więc i tutaj les extrèmes se touchent, skoro wytwór psychofizyczny, obdarzony zbyt wielu znaczeniami, staje się właściwie wytworem psychofizycznym bez znaczenia[2].

[1] Szczegółową teoryę znaków i znaczenia rozwija Martinak w pracy p. t. Psychologische Untersuchungen zur Bedeutungslehre, Leipzig 1901.

[2] Co do terminologii należy zauważyć, że wyraz »znaczyć« sam nie jest jednoznaczny. Jeżeli mówimy, że jakiś wyraz coś znaczy, chcemy przez to powiedzieć, ze ma on jakieś znaczenie. Tak rozumiany wyraz znaczyć odpowiada łacińskiemu significare, niemieckiemu bedeuten. Zamiast powiedzieć, że jakiś wyraz lub wogóle jakiś wytwór psychofizyczny coś znaczy, możemy nie tylko powiedzieć, że on ma jakieś znaczenie, lecz także, że on zawiera jakieś znaczenie, że się z nim łączy jakieś znaczenie, że w nim tkwi jakieś znaczenie, że on wyraża jakieś znaczenie. Coś innego natomiast mamy na myśli, gdy używamy zwrotu: znaczyć drzewa, owce i t. p. Wyrazowi znaczyć tak użytemu odpowiada łacińskie denotare, niemieckie bezeichnen. Chodzi tu o zaopatrywanie przedmiotów cechami, odróżniającemi je od innych przedmiotów, a cechy te także nazywają się znakami. Rzeczownik słowny »znaczenie« może zgodnie z tem, cośmy powiedzieli o rzeczownikach słownych wogóle, dotyczyć bądź wytworu psychicznego, wyrażonego przez pewien wytwór psychofizyczny, bądź czynności zaopatrywania czegoś znakami. Czynność zaopatrywania czegoś znakami nazywamy też oznaczaniem. Przenośnie mówimy także, że same wytwory psychofizyczne coś oznaczają, mianowicie oznaczają one zewnętrzne przedmioty czynności, dzięki którym powstają owe wytwory psychofizyczne. Tak więc mówimy o wyrazach mowy, że one nie tylko coś znaczą, lecz że także coś ozna-

§ 33. W chwili, gdy się dokonywa czynność psychofizyczna, dzięki której jakiś wytwór psychiczny wyraża się czyli znajduje swój wyraz w odpowiednim wytworze psychofizycznym (np. przerażenie w okrzyku w chwili krzyczenia, myśl w rysunku w chwili rysowania), istnieją aktualnie równocześnie i wytwór psychiczny i wytwór psychofizyczny. Można bowiem bez popełnienia zbyt jaskrawej niedokładności powiedzieć, że krzyczący z przerażenia doznaje przerażenia równocześnie z wydawaniem krzyku, albo że rysujący uprzytomnia sobie myśl pewną równocześnie z rysowaniem rysunku, w którym chce ją wyrazić. Tam, gdzie wytwory psychofizyczne są nietrwałe, wraz z wytworem psychicznym mniej więcej równocześnie znika wytwór psychofizyczny, a nawet wytwór psychiczny może przetrwać odpowiedni wytwór psychofizyczny, ale nie naodwrót. W chwili więc, w której wytwór psychofizyczny przestaje istnieć, wytwór psychiczny przestaje też się wyrażać. Gdy ustaje jęk, już się cierpienie nie wyraża, chociaż może istnieć dalej. Tam zaś, gdzie wytwór psychofizyczny jest trwały, sprawa ma się odwrotnie: chociaż już rozwiała się myśl w głowie rysownika, istnieje przecież rysunek, w której ją wyraził, i w której ona znajduje swój wyraz tak długo, jak długo rysunek istnieje. Zatem w aktualnie istniejącym wytworze psychofizycznym znajduje swój wyraz wytwór psychiczny, który już nie istnieje. Znajdując zaś wyraz swój w wytworze trwałym, wytwór nietrwały »żyjąc w nim dalej« sam nabiera pozoru jakiejś trwałości, non omnis mortuus est, skoro istnieje nadal wytwór psychofizyczny, do którego powstania wytwór psychiczny się przyczynił.

§ 34. Coś podobnego dzieje się też wtedy, gdy wytwór psychiczny jest znaczeniem wytworu psychofizycznego, gdy więc ten wytwór psychofizyczny go wyraża, jest jego znakiem. Wytwór psychofizyczny nazywamy znakiem wytworu psychicznego, a wytwór psychi-

czają. Pewne wyrazy mowy bowiem powstają przez nadawanie przedmiotom nazw. Więc wytworem psychofizycznym tej czynności jest nazwa, imię, t. j. wyraz mowy, którego znaczeniem jest przedstawienie danego przedmiotu. A zarazem imię, nazwa, wyraz mowy oznacza, czyli — jak się też mówi — wymienia ów przedmiot. I tak wyraz Syn Sofroniska wyraża pewne pojęcie, które jest jego znaczeniem, a zarazem wymienia pewną osobę. Podobnie wyraz trójkąt wyraża pewne pojęcie, które jest jego znaczeniem, a oznacza czyli wymienia wszystkie przedmioty, które pod to pojęcie podpadają. Por. moją rozprawę Zur Lehre vom Inhalt und Gegenstand der Vorstellungen, § 3.

czny znaczeniem wytworu psychofizycznego, jeżeli, jak powiedzieliśmy, wytwór psychofizyczny, w którym się wyraża wytwór psychiczny, może się stać częściową przyczyną powstania takiego samego lub podobnego wytworu psychicznego. Otóż, o ile znak jest wytworem trwałym, istnieje — jak długo znak istnieje — trwała częściowa przyczyna powstania wytworu psychicznego nietrwałego. Tak więc w naszym przykładzie rysunek jest tą trwałą częściową przyczyną myśli, która, gdy przyczyna będzie dopełniona, powstanie jako wytwór psychiczny w oglądającym rysunek osobniku. Ten wytwór psychiczny sam nie jest trwały; istnieje tylko tak długo, jak długo istnieje wytwarzająca go czynność psychiczna; może taki wytwór psychiczny powstawać kilkakrotnie, ale zawsze będzie on wytworem nietrwałym. Ale i w tym czasie, gdy wytwór psychiczny nie istnieje, t. j. wtedy, gdy w nikim nie odbywa się czynność psychiczna, dająca początek wytworowi psychicznemu, istnieje przecież jedna z częściowych przyczyn, dzięki którym w danej chwili może powstać ów wytwór nietrwały, mianowicie trwały wytwór psychofizyczny, będący znakiem wytworu psychicznego. Otóż podobnie, jak o przyczynie mówimy, że »istnieje« dalej w skutku, tak też mówimy o skutku, że istnieje potencyalnie już w przyczynie chociażby częściowej. Mówimy więc także, że wytwór psychiczny, będący znaczeniem odpowiedniego wytworu psychofizycznego czyli odpowiedniego znaku, istnieje potencyalnie w owym wytworze psychofizycznym, w owym znaku. Ów wytwór psychiczny, owo znaczenie, owa treść i t. p., pozostająca w określonym tutaj stosunku do wytworu psychofizycznego, przybiera pozory, jakoby w tym wytworze psychofizycznym tkwiła, w nim była zawarta, jakoby była weń zaklęta lub wcielona, a wszystkie te wyrażenia nie znaczą oczywiście nic innego, jak to, że ów wytwór psychofizyczny jest jedną z częściowych przyczyn powstania wytworu psychicznego, że więc wytwór psychiczny istnieje potencyalnie (a bynajmniej naprawdę i aktualnie) w wytworze psychofizycznym [1]. Wiadomo jednak, jak dalece w mowie poto-

[1] Wskutek takiego stanu rzeczy wyraz »znaczenie« przybiera jeszcze trzecie (okok przytoczonych na str. 21) znaczenie, mianowicie znaczenie zdolności wywoływania (oczywiście przy pomocy jeszcze innych częściowych przyczyn) wytworu psychicznego w osobniku, na który wytwór psychofizyczny jako znak owego wytworu psychicznego oddziaływa, czyli, króciej, zdolności uprzytomnienia odpowiedniego wytworu psychicznego. Jest to przesunięcie znaczenia analogiczne do tego, o którem już była mowa, a na mocy którego »sąd« oznaczać

cznej a niekiedy nawet w terminologii naukowej potencyalne i aktualne znaczenie wyrazu »istnieć« nie bywa dość skrupulatnie rozróżniane, wskutek czego zatraca się świadomość potencyalności istnienia, jakie przypisujemy wytworowi psychicznemu w wytworze psychofizycznym, a dalszem tego następstwem jest to, że wytwór psychiczny, »istniejąc« w ten sposób w trwałym wytworze psychofizycznym, także z tej strony przybiera pozory wytworu trwałego, chociaż z natury swej jest przecież wytworem nietrwałym.

§ 35. Tak więc trwałe wytwory psychofizyczne nadają nietrwałym wytworom psychicznym pozory trwałości jako ich trwałe skutki i jako ich trwałe częściowe przyczyny. To też wytwory psychiczne, złączone powyżej określonym stosunkiem z trwałymi wytworami psychofizycznymi, można nazwać wytworami utrwalonymi, i zgodnie z tem można mówić o utrwalaniu wytworów nietrwałych. Utrwalanie to nie jest ograniczone do wytworów psychicznych, lecz może też dotyczyć nietrwałych wytworów fizycznych i psychofizycznych. Zawsze będzie ono polegało na takiem ustosunkowaniu nietrwałego wytworu do wytworu trwałego, by wytwór trwały, będąc skutkiem wytworu nietrwałego, stał się częściową przyczyną, która w połączeniu z resztą częściowych przyczyn da początek powstaniu takiego samego lub podobnego wytworu nietrwałego. Utrwalając np. okrzyk na płycie fonograficznej, każemy czynności krzyczenia, wytwarzającej okrzyk, więc wytwór nietrwały, równocześnie pośrednio wytwarzać wyżłobienia na płycie, więc wytwory trwałe. Te wytwory trwałe stają się tem samem przyczyną częściową, dzięki której może powstać wytwór nietrwały, podobny do poprzedniego, t. j. okrzyk oddany gramofonem, a tym sposobem okrzyk ów utrwalają.

§ 36. W przytoczonym przykładzie ta sama czynność, która wytwarza wytwór nietrwały (okrzyk), wytwarza też pośrednio wytwory trwałe (wyżłobienia na płycie). Ale celem utrwalenia wytworów nietrwałych można się posługiwać wytworami trwałymi, do wytworzenia których trzeba czynności odrębnej. Czynność koncypowa-

może obok wytworu sądzenia także zdolność sądzenia. Przy tej sposobności należy może zwrócić uwagę na to, że istnieje jeszcze czwarte znaczenie wyrazu znaczenie, w którem mówimy np. że wypadek jakiś jest bez znaczenia. Że to czwarte znaczenie nie jest bez związku ze znaczeniem wyrazu znaczenie, w którem dotyczy on wytworu psychicznego, na to wskazuje chociażby zwrot łaciński: idem significare et tantumdem valere.

nia pewnego układu kresek czyli wyobrażania sobie tego układu, więc czynność wytwarzająca wyobrażenie tego układu, sama z siebie nie jest zdolna tego wyobrażenia utrwalić. Trzeba na to czynności odrębnej, mianowicie kreślenia rysunku, więc czynności »technicznej«, i dopiero ona wytworzy wytwór trwały, mianowicie pewien układ kresek na papierze, w którym się wyobrażenie rysownika wyrazi.

§ 37. Jeszcze bardziej złożony jest proces utrwalania wytworów psychicznych, myśli, uczuć, pragnień, postanowień i t. p. w piśmie, druku i t. p. Albowiem tutaj nie utrwalamy wprost nietrwałego wytworu psychicznego przy pomocy trwałego wytworu psychofizycznego, jak to ma miejsce w powyższym przykładzie z rysunkiem, lecz utrwalamy nietrwałe wytwory psychofizyczne, które wyrażają nietrwałe wytwory psychiczne. Obok jednego szeregu wytworów nietrwałych psychicznych mamy tutaj dwa szeregi wytworów psychofizycznych, z których jeden obejmuje wytwory nietrwałe, drugi wytwory trwałe. Myśląc, dokonywamy czynności psychicznych, których wytworami są nasze myśli. Są to nietrwałe wytwory psychiczne. Równocześnie dokonywamy czynności mówienia, dzięki której powstają nietrwałe wytwory psychofizyczne, wygłaszane przez nas wyrazy mowy, zdania i t. p. I dopiero te wytwory nietrwałe psychofizyczne utrwalamy za pomocą czynności, przez którą powstają trwałe wytwory psychofizyczne, znaki pisarskie w najogólniejszem tego słowa znaczeniu [1].

§ 38. Dzięki utrwaleniu wytwory nietrwałe nabierają nietylko pozoru wytworów trwałych, lecz także pozoru wytworów poniekąd od wytwarzających je czynności niezależnych, upodobniając się i pod tym względem w naszej nie zawsze zupełnie jasnej świadomości do wytworów trwałych, w których zostają utrwalone. Wszak wytwory trwałe istnieją istotnie niezależnie od wytwarzających je czynności o tyle, że istnieją dalej, chociaż owe czynności już istnieć przestały. A tę pozorną niezależność wytworu nietrwałego od wytwarzającej go czynności potęgują jeszcze dwie inne okoliczności.

§ 39. Jeżeli wytwór trwały psychofizyczny wywołuje kolejno w tym samym osobniku albo kolejno lub równocześnie w różnych osobnikach wyrażony w nim wytwór psychiczny, wywołuje on oczy-

[1] Wskutek zmechanizowania czynności może z biegiem czasu środkowy szereg czynności i wytworów odpaść, ale nie zmienia to faktu, że w ten właśnie sposób powstają znaki pisarskie.

wiście nie jeden tylko wytwór, lecz tyle wytworów, ile jest czynności, wytwarzających wytwory. A te wytwory nie będą sobie zupełnie równe, lecz będą się między sobą mniej lub więcej różnić. Wystarczy przypomnieć sobie, jak różne wytwory psychiczne powstają w różnych osobnikach, na które działa np. ten sam obraz, to samo zdanie [1]. Jak długo jednak mamy ów wytwór psychofizyczny uważać za wytwór, wyrażający jakiś wytwór psychiczny, różność pomiędzy wytworami psychicznymi, przezeń wywołanymi, nie śmie iść za daleko, musi istnieć w tych poszczególnych wytworach psychicznych szereg cech wspólnych [2]. I właśnie te cechy wspólne, to, w czem się owe poszczególne wytwory psychiczne zgadzają, uważamy zwykle za znaczenie wytworu psychofizycznego, za zawartą w nim treść, pod warunkiem oczywiście, że odpowiadają one zamiarowi, w którym ów wytwór psychofizyczny został jako znak użyty. Dlatego mówimy też, że jakieś zdanie budzi w różnych osobach myśl »tę samą«, gdy tymczasem, ściśle rzecz biorąc, budzi ono tyle myśli, ile jest osobników, przyczem myśli te nie są sobie nawet równe. Ale abstrahujemy od tego, czem się te myśli różnią, i za myśl, która jest znaczeniem zdania, uważamy tylko te jej składniki, które się zgadzają ze sobą i z odpowiednimi składnikami myśli osobnika, posługującego się owem zdaniem. Mówimy więc tylko o jednem znaczeniu znaku — pominąwszy przypadki wieloznaczności — a nie o tylu znaczeniach, ile wytworów psychicznych ów znak budzi lub może budzić w osobnikach, na które działa. W ten zaś sposób pojęte znaczenie nie jest już konkretnym wytworem psychicznym, lecz czemś, do czego dochodzimy drogą abstrahowania, dokonanego na konkretnych wytworach [3]. Jest to sprawa analogiczna zupełnie do postępowania naszego, gdy mówimy, że pewnej osobie zdarzyło się to samo, co osobie innej. Wszak »to samo« nie mogło się zda-

---

[1] Ta różność wytworów psychicznych zaznacza się oczywiście także wobec nietrwałych wytworów psychofizycznych: uczucia, które budzi ten sam okrzyk, słyszany przez kilka osób, z pewnością nie jest jednakowe w każdej z nich. Pomijam tu kwestyę, czy wogóle okrzyk jest dla każdej osoby, która go słyszy, »ten sam« albo przynajmniej »taki sam«; jeżeli ktoś woli przyjąć, że nie, wyjdzie to tylko na korzyść naszych wywodów.

[2] W tem znaczeniu mówi Stumpf o »inwaryantach« wytworów. Por. Erscheinungen und psychische Funktionen, str. 33. Uwaga.

[3] Sprawą tą zajmuje się szczegółowo Husserl w swych Logische Untersuchungen, tom II. (Halle, 1901), str. 97 i następne, mówiąc o »ideale Bedeutung«.

rzyć dwa razy, ale mówimy tak, gdyż w danym przypadku chodzi nam o cechy wspólne obu zdarzeń.

§ 40. Otóż ponieważ w używaniu wytworów psychofizycznych celem wzbudzania w innych osobnikach odpowiednich wytworów psychicznych chodzi nam właśnie o to, by te różne wytwory psychiczne, w różnych osobnikach powstające, posiadały pewne cechy wspólne, ponieważ wskutek tego pomijamy zupełnie ile możności osobnicze cechy tych wytworów psychicznych, a pomijając je, wyrażamy się tak, jak gdyby tylko te wspólne cechy wytworów istniały, jak gdyby więc we wszystkich osobnikach istniał jeden i ten sam wytwór, przeto, zatracając znowu świadomość właściwego znaczenia takiego sposobu wyrażania się, odnosimy wrażenie, jakoby szereg różnych czynności psychicznych wytwarzał jeden i ten sam wytwór psychiczny. A działa przytem i tutaj pewne upodobnienie wytworu psychicznego do psychofizycznego, skoro przecież tem, co na różne osobniki działa, jest często jeden i ten sam wytwór psychofizyczny. Dzięki tym okolicznościom wytwór psychiczny, powtarzający się niejako w sposób identyczny w osobnikach różnych, nabiera wybitnego charakteru czegoś od owych czynności niezależnego.

§ 41. Druga, wspomniana powyżej okoliczność, potęgująca pozory niezależności wytworów psychicznych od wytwarzających je czynności psychicznych, polega na tem, że stosujemy bardzo często wyrazy, oznaczające wytwory, do czegoś, co nie jest wytworem czynności. Mówimy np. o rysunku, »utworzonym« przez pewien układ żyłek na powierzchni liścia, mówimy o splocie włókien, mówimy o kreskach, występujących na powierzchni szlifowanej kamienia, chociaż wiemy, że nie było tu żadnej czynności rysowania, splatania, kreślenia. Więc mamy tu pewne »niby-wytwory«, które powstały nie dzięki czynnościom wytwarzającym je, lecz w inny sposób. Traktujemy zaś te »niby-wytwory« — przynajmniej pod względem językowym — tak, jak gdyby były istotnie wytworami, nazywamy je rysunkiem, splotem, kreskami; więc i tym sposobem uczymy się istotne wytwory bez trudności wszelkiej rozważać całkiem niezależnie od czynności, dzięki którym jedynie mogą powstać.

§ 42. Łączy się z tem pewien fakt, godny uwagi. Obok »niby-wytworów«, powstających nie dzięki jakiejś czynności, lecz w sposób inny, istnieją wytwory, które powstają wprawdzie dzięki jakiejś czynności, ale tak, że naśladują lub zastępują wytwory inne, powstające dzięki czynnościom innym. Można je nazwać wytworami

sztucznymi albo zastępczymi. Odcisk stopy w glinie może być zrobiony sztucznie, więc może powstać nie wskutek odciśnięcia stopy w glinie, lecz wskutek odpowiedniego wyżłobienia gliny ręką. Nie będzie to więc rzeczywisty odcisk stopy, lecz wytwór, powstały wskutek czynności odmiennej, co nie przeszkadza, że dla pewnych celów ten sztuczny wytwór będzie mógł oddawać takie same usługi jak rzeczywisty odcisk stopy. Jeżeli możnaby wytwory nietrwałe, utrwalone przy pomocy wytworów trwałych, nazwać petrefaktami, to takim wytworom zastępczym, sztucznym, możnaby nadać nazwę artefaktów.

§ 43. Takie artefakty zdarzają się często w zakresie wytworów psychofizycznych. Obfity z nich użytek czyni np. aktor, przyjmując postawę, w której ma się wyrażać jakieś uczucie. W istocie jednak aktor uczucie to zwykle sobie tylko przedstawia, tak iż postawa owa, ów wytwór psychofizyczny, nie powstaje dzięki rzeczywistemu uczuciu, które się w takiej postawie zwykle wyraża, lecz dzięki przedstawieniu uczucia czyli uczuciu przedstawionemu. Więc tak, jak owo uczucie tylko przedstawione jest wytworem, zastępującym uczucie rzeczywiste, tak też i owa postawa jest wytworem sztucznym, gdyż nie jest ona rzeczywistym wyrazem uczucia, lecz tylko jego wyrazem udanym, przybranym.

§ 44. Innego przykładu stosowania artefaktów dostarcza logika. Sąd jako wytwór czynności sądzenia czyli wydawania sądów wyraża się w powiedzeniach, t. j. w wytworach psychofizycznych, które powstają dzięki czynności psychofizycznej wypowiadania czyli wygłaszania powiedzeń. Takie powiedzenia wyrażają tedy sądy czyli znaczeniem takich powiedzeń są sądy [1]. Można jednak tworzyć po-

[1] Powyżej wspomnieliśmy, że niektórzy nazywają sądem właśnie to, co tutaj występuje pod nazwą powiedzenia. Czyni tak m. i. Prof. Dr. Łukasiewicz, określając sąd jako »szereg słów albo innych znaków, orzekających, że jakiś przedmiot posiada pewną cechę albo jej nie posiada« (O zasadzie sprzeczności u Arystotelesa, Kraków, 1910, str. 12). Traktując jednak sąd jako szereg słów albo innych znaków, musi Dr. Łukasiewicz od tego szeregu słów albo innych znaków odróżniać to, co jest jego znaczeniem. W samej rzeczy mówi też Dr. Łukasiewicz o »sądach równoznacznych«, określając je jako takie, które »wyrażają w różnych słowach myśl tę samą« (tamże str. 15). Otóż ta myśl, wyrażona w słowach, nie jest oczywiście niczem innem, jak sądem w znaczeniu wytworu czynności sądzenia; gdyby więc wyraz sąd miał służyć do oznaczania »szeregu słów albo innych znaków«, które tego rodzaju myśl wyrażają, zabrakłoby wyrazu na oznaczanie takiej myśli.

wiedzenia sztuczne, zastępcze, które nie będą wyrazem sądów wydanych, lecz wyrazem wytworów sztucznych, zastępujących sądy wydane, mianowicie sądów tylko przedstawionych. Więc i znaczeniem tych sztucznych powiedzeń nie będą sądy wydane czyli sądy rzeczywiste, lecz sądy tylko przedstawione czyli przedstawienia sądów [1]. Takiemi sztucznemi powiedzeniami są nie tylko owe symbole, których logika używa, jak np. SaP, $a < b$, lecz także stosowane w niej powiedzenia, złożone z wyrazów mowy. Albowiem logik (a podobnie gramatyk i t. p.), który wygłasza lub wypisuje powiedzenia dla przykładu, zwykle nie wydaje wcale sądów, które są znaczeniem tych powiedzeń. Często nawet nie mógłby ich wcale wydawać, gdyby nawet chciał [2]. Jeżeli np. celem przytoczenia przykładu wnioskowania pod względem formalnym prawidłowego, chociaż operującego samymi materyalnie fałszywymi sądami, wygłasza lub wypisuje powiedzenia:

Wszystkie trójkąty są kwadratami,
Wszystkie kwadraty są kołami,
____
Wszystkie trójkąty są kołami,

powiedzenia jego nie są wytworami psychofizycznymi, któreby wyrażały sądy rzeczywiste czyli wydane. Wyrażają one sądy przedstawione tylko [3], a te sądy przedstawione tylko zastępują sądy wydane

[1] Doniosłość, jaką posiadają w naszem życiu psychicznem sądy przedstawione tylko, wynika m. i. z faktu, że wchodzą one w skład wszystkich naszych pojęć (Por. moją rozprawę p. t. Wyobrażenia i pojęcia, Lwów, 1898, zwłaszcza § 11).

[2] Używamy niekiedy zwrotu: istnieją sądy, których nikt nigdy wydać nie może. Znaczy to, że można sobie pomyśleć czyli przedstawić takie sądy; nadajemy więc tutaj wyrazowi »istnieć« znowu znaczenie niewłaściwe. Por. powyżej str. 15 uw. 1.

[3] Powiedzeniami, które nie wyrażają sądów rzeczywistych, lecz sądy przedstawione tylko, zajmuje się m. i. A. Marty (Untersuchungen zur Grundlegung der allgemeinen Grammatik und Sprachphilosophie, Halle 1908, § 115). Nazywa on takie powiedzenia fikcyjnemi i zalicza je konsekwentnie wraz z nazwami (imionami), które są oddawna znanymi znakami słownymi przedstawień, do jednej grupy znaków słownych, mianowicie do tak przez niego zwanych Vorstellungssuggestive. Tym powiedzeniom fikcyjnym, należącym do Vorstellungssuggestive, przeciwstawia powiedzenia rzeczywiste czyli t. zw. Urteilssuggestive. Powiedzenia, należące do Vorstellungssuggestive (czyli do — jak możnaby ten wyraz przetłumaczyć — przedstawników), możnaby nazwać powiedzeniami w zna-

czyli rzeczywiste tak samo, jak owe powiedzenia zastępują powiedzenia rzeczywiste, t. j. wyrażające sądy rzeczywiste. Artefakt psychofizyczny wyraża tu artefakt psychiczny [1].

§ 45. Tego rodzaju utrwalone wytwory zastępcze przedstawiają najskrajniejszy przypadek uniezależnienia wytworów psychicznych od czynności, dzięki którym jedynie istnieć mogą naprawdę czyli aktualnie. Operując takimi wytworami zastępczymi i w nauce i w życiu potocznem, nie odczuwamy też żadnej trudności w operowaniu niezastępczymi wytworami niezależnie od wytwarzających je czynności, tem bardziej, że niezmiernie często wytwory rzeczywiste i zastępcze zjawiają się naprzemian, np. gdy wydajemy sąd, który przyjęliśmy zrazu z niedowierzaniem [2]. To też nie można się temu dziwić, że utrwalone w wytworach psychofizycznych wytwory psychiczne traktujemy niemal jako coś objektywnego, czyniąc z nich przedmiot naszych dociekań życiowych i naukowych. Nasuwa się możność wyróżnienia w całokształcie badań naukowych pewnej grupy nauk w ten właśnie sposób, że się za ich wyłączny lub główny przedmiot uzna wytwory psychiczne. Pojęciu tych nauk odpowiadałaby może

czeniu szerszem, zaś powiedzenia, należące do Urteilssuggestive, powiedzeniami w znaczeniu ściślejszem.

[1] Pierwszym, który taki pogląd na przedmiot logiki szczegółowo uzasadnił, był Bernard Bolzano. Sądy w powyżej określony sposób uniezależnione od czynności sądzenia nazwał »Sätze an sich«. Obok »Sätze an sich« zna Bolzano także »Vorstellungen an sich«, t. j. przedstawienia w takiż sposób uniezależnione od czynności przedstawiania (Wissenschaftslehre 1837, tom I. §§ 19—23 oraz 48—53, gdzie też przytoczone są liczne cytaty z dzieł autorów dawniejszych, którzy już mniej lub więcej zbliżali się do uchwycenia tych pojęć). (Dla uniknięcia nieporozumień zauważyć trzeba, że czynnością zastępczą, dzięki której powstają przedstawienia zastępcze, jest także przedstawianie, ale przedstawianie inne, aniżeli to, którego wytworem byłoby odpowiednie przedstawienie rzeczywiste). Wyłuszczeniem i zastosowaniem pojęć »Sätze an sich« i »Vorstellungen an sich« wyprzedził Bolzano znacznie współczesnych mu logików, podobnie jak wprowadzeniem pojęcia zmiennych logicznych i (pod nazwą Gültigkeit) pojęcia wartości logicznych, odgrywających tak wielką rolę w dzisiejszej logice symbolicznej. Bolzano posługuje się m. i. temi pojęciami w celach systematyki stosunków logicznych i dla określenia pojęcia prawdopodobieństwa (l. c. tom. II. §§ 147, 154—161).

[2] Ilekrotnie uprzytomniamy sobie wytwór psychiczny, nie istniejący w danej chwili aktualnie w naszym umyśle, czynimy to przy pomocy wytworu zastępczego, t. j. przy pomocy przedstawienia owego wytworu, które to przedstawienie odbywa się nadto zwykle drogą symbolicznego myślenia (Por. moją rozprawę p. t. Wyobrażenia i Pojęcia, str. 89—95).

najlepiej nazwa nauk humanistycznych [1]. Idąc w tym kierunku dalej, możnaby usiłować znaleźć określenie psychologii, nauki bądź co bądź w zakresie wszystkich nauk humanistycznych podstawowej. W określeniu tem rozróżnienie wytworów i czynności psychicznych jakoteż rozróżnienie różnych rodzajów wytworów psychicznych może oddać niemałą usługę. Podobne względy mogą się przyczynić do wyjaśnienia wzajemnego stosunku poszczególnych nauk humanistycznych wogóle. I tak ścisłe odgraniczenie wytworów od czynności przyczyniło się już w sposób decydujący do uwolnienia logiki od naleciałości psychologicznych. Może taki sam sposób postępowania, okazawszy się tak płodnym dla logiki, dałby się zastosować do nauk, zajmujących się innymi wytworami psychicznymi? Po rozpatrzeniu różnych rodzajów wytworów psychicznych i psychofizycznych oraz stosunku jednych do drugich możnaby sie też spodziewać niejednego wyjaśnienia w sprawie zadań i przedmiotu każdej nauki humanistycznej z osobna. Wszak charakter danej nauki humanistycznej w znacznej mierze zależy też od tego, czy operuje tylko zastępczymi, czy też rzeczywistymi wytworami psychicznymi, oraz od tego, jak dalece w rozważaniu wytworów psychicznych abstrahuje od ich cech osobniczych (por. powyżej § 39—40). Niemniej ważną rolę odgrywa wzgląd na znaczenie, jakie dla pewnej nauki posiada sposób utrwalania wytworów psychicznych, więc wzgląd na rodzaj dotyczących wytworów psychofizycznych i na ich stosunek do wytworów psychicznych. Tak więc odróżnienie wytworów od czynności psychicznych nie tylko rodzi szereg zagadnień, lecz może się także przyczynić do ich wyświetlenia. Dlatego systematyczne badanie wytworów, rozważanych dotąd, stosownie do po-

---

[1] Stumpf, który dla nauk, zajmujących się wytworami psychicznymi, proponuje nazwę eidologii, ogranicza te nauki do trzech, mianowicie do logiki, etyki i estetyki, uważając za przedmiot nauk humanistycznych (nauki o państwie i społeczeństwie, językoznawstwa, teoryi religii, teoryi sztuki i t. p.) złożone funkcye psychiczne, gdy tymczasem psychologia zajmuje się według niego elementarnemi funkcyami psychicznemi (por. Zur Einteilung der Wissenschaften, Berlin 1907, str. 21, 32, 37). Sądzę, że naturalniejsze jest pojęcie nauk humanistycznych, upatrujące wspólną ich cechę w tem, że się zajmują wytworami psychicznemi; w ten sposób logika, etyka i estetyka nie znajdują się poza obrębem nauk humanistycznych, lecz należą do nich razem z innemi naukami, zajmującemi się wytworami psychicznemi. Trudno bowiem zgodzić się ze Stumpfem, gdy twierdzi, że nauki humanistyczne zajmują się funkcyami psychicznemi.

trzeb różnych nauk, tylko z pewnych szczegółowych punktów widzenia, nie jest może rzeczą bezużyteczną; przeprowadzone zaś w odpowiedni sposób, tworzyłoby teoryę wytworów.

TREŚĆ.



POCZĄTEK ŻYCIA

napisał

Ks. KAZIMIERZ WAIS

Z wielką ciekawością śledzi dzisiejszy filozof przyrody budzącą się i rozpowszechniającą coraz bardziej reakcyę w dziedzinie biologii. Biolog z przed trzydziestu lat, jeśli nie chciał stawać pod sztandarem Du Bois Reymonda i wołać razem z nim: *Ignoramus et ignorabimus*, upatrywał za Lotzem i Moleschottem jedyny klucz do rozwiązania zagadki życia w siłach fizycznych i chemicznych. Nie ma — powtarzano wówczas w kołach uczonych, należących do tego kierunku, zwanego mechanizmem — nie ma przepaści między światem nieorganicznym a organicznym, nie ma istotnej różnicy między czynnością jestestw żyjących a działaniem materyi martwej. Wszystko, co istnieje, należy uważać za ruch materyi, ułożonej w pewien sposób. Ustrój jest machiną, utworzoną przez stosowne połączenie cząsteczek chemicznych w komórki; z komórek powstają tkanki, z tkanek narządy, z narządów ciało żywe.

Zdawało się, że mechanizm, popierany gorliwie z jednej strony przez darwinizm, a z drugiej przez materyalistyczno-monistyczną filozofię Büchnera, Vogta i Haeckla, zawładnie na zawsze biologią, że natomiast pogląd przeciwny, czyli witalizm, którego w pierwszej połowie XIX. wieku bronili J. Müller i Liebig, jest pogrzebany na zawsze. »Około 70-go i 80-go roku — pisze witalista E. von Hartmann[1] — uchodził oparty o darwinizm mechaniczny pogląd na świat za niewzruszony dogmat, a wszelka teleologiczna i witalistyczna myśl za kacerstwo«. Jedna tylko, rzec można, filozofia scholastyczna nie wyparła się witalizmu, uważając go, zgodnie z swą przeszłością i tradycyą, za jeden z najcenniejszych klejnotów, otrzymanych w spuściźnie po genialnym myślicielu Hellady, Arystotelesie[2].

Tymczasem w dwóch ostatnich dziesięcioleciach zjawił się niespodzianie, prawie nagle, silny prąd, skierowany przeciw rozpano-

[1] Das Problem des Lebens, Bad Sachsa 1906, str. 99.
[2] Zob. F. Bouillier, Le principe vitale, wyd. 2, Paryż 1873.

szonemu mechanizmowi. Samodzielniejsi i odważniejsi uczeni, widząc doskonale słabe strony systemu, w którym się wychowali, zaczęli tu i ówdzie, niekiedy nieśmiało i ostrożnie, zrywać jego kajdany i nawracać się do zarzuconego witalizmu. Przykład dał w r. 1886 G. von Bunge, za którym poszło wielu badaczy, najpierw w Niemczech, a potem w innych krajach. Dziś poczet poważnych neowitalistów jest dość długi; należą do niego: O. Hamann, Rindfleisch, H. Driesch, Gurwitsch, Fr. Ehrhardt, G. Wolff, Jan i Fryderyk Reinke, K. C. Schneider, R. Neumeister, Dennert, Herbst, G. Jäger, Pauly, Francé, Vignon, Grégoir, lord Kelvin (Thomson), Haldane, Wilson, B. Moore, Windle, Grassi, Wasmann, Muckermann, Gemelli i wielu innych[1]. Są między nimi znaczne różnice w szczegółach, ale wszyscy zgadzają się na to, że objawy życiowe nie dadzą się wytłómaczyć mechanicznie. Niektórzy, jak Driesch, wyłuszczając swe myśli, przemawiają niemal językiem Stagiryty i scholastyków. Wszystko najlepsze i najcenniejsze — uczy od r. 1896 embryolog heidelberski[2] — co wiemy o życiu, przeczuł wielki Grek w książce: »O duszy«. Życie polega na współdziałaniu czynnika celowego, entelechii arystotelesowskiej, z siłami nieorganicznemi. Entelechia (ὃ ἔχει ἐν ἑαυτῷ τὸ τέλος) nie posiada żadnych części rozciągłych, ale jest jakościową zasadą czynności i indywidualności ustrojów.

Nowa szkoła ściągnęła na siebie, co łatwo można było przewidzieć, oburzenie i gromy ze strony mechanistów. Do dnia dzisiejszego stara się wielu zwolenników starego kierunku ośmieszyć, a przez to stłumić i zabić witalizm. W tym celu zarzuca się neowitalistom mistycyzm, albo piętnuje się ich naukę jako »zaśniedziały przesąd«, będący objawem »owej słusznie znienawidzonej metody

---

[1] Do tego kierunku zbliża się znakomity biolog berliński, O. Hertwig, Der Kampf um Kernfragen der Entwicklungs- und Vererbungslehre, Jena 1909, str. 55—81.

[2] Die Maschinentheorie des Lebens (Biol. Zentralblatt, 1896); Studien über das Regulationsvermögen der Organismen (Archiv für Entwickelungsmechanik, 1899—1902); Die Lokalisation morphogenetischer Vorgänge, Lipsk 1899; Die organischen Regulationen, tamże 1901; Kritisches und Polemisches (Biol. Zentralbl., 1902); Zwei Beweise für die Autonomie von Lebensvorgängen, Jena 1902; Die »Seele« als elementarer Naturfaktor, Lipsk 1903; Naturbegriffe und Naturteile, tamże 1904; Der Vitalismus als Geschichte und als Lehre, tamże 1905; Philosophie des Organischen, tamże 1909.

ogłupiania, która w mroku średniowiecznym nosiła otwartą nazwę scholastyki«[1].

Umysł nieuprzedzony przyzna, że taka taktyka, acz bardzo łatwa i wygodna, zaostrza chyba spory, lecz nie prowadzi do rozwiązania zagadki życiowej. Tylko spokojna i rozważna analiza faktów, poznanych drogą już to pospolitego doświadczenia, już to ściśle naukowego badania, może rozstrzygać, po czyjej stronie jest słuszność: mechanizmu, czy witalizmu.

Sądzę, że fakta przemawiają stanowczo na korzyść tego drugiego systemu. Nie mam zamiaru, jak świadczy napis niniejszej rozprawki, dowodzić szczegółowo słuszności witalizmu. Nie mogę jednak pominąć najgłówniejszych powodów, dla których przyjmuję tę teoryę, a odrzucam mechanizm; inaczej rozpatrywanie rozmaitych poglądów na początek życia byłoby pozbawione należytej podstawy. W rzeczy samej, kto chce znaleść zadowalniającą odpowiedź na pytanie, skąd się wzięło życie, musi wpierw poznać stosunek, zachodzący między jestestwami żyjącemi a nieżyjącemi.

Mechanizm biologiczny daje się należycie zrozumieć i ocenić w związku z innym systemem, z mechanizmem atomicznym, noszącym zwyczajnie nazwę atomizmu mechanicznego. Oba te systemy tłómaczą świat, jak wskazuje ich nazwa, mechanicznie, z tą tylko różnicą, że pierwszy zajmuje się światem organicznym, a drugi nieorganicznym; stąd pierwszy jest dalszym ciągiem drugiego. Mechanizm atomiczny widzi w świecie nieorganicznym tylko masę i przenoszący się z ciała na ciało ruch, a odmawia mu wszelkich sił i wszelkich w ogóle jakości, albo sprowadza je do ruchu. Materya jest według niego wszędzie jednorodna; rozmaitość ciał powstaje dzięki rozmaitym ruchom atomów.

Wszakże tezy te nie dają się pogodzić z wielu faktami. Jeżeli materya wszystkich ciał jest jednorodna, to jak wytłumaczyć n. p. zjawisko, że każdy pierwiastek chemiczny zachowuje zawsze, choć wchodzi w skład najrozmaitszych związków, właściwy sobie ciężar atomowy, albo że okazuje stale dążność do łączenia się tylko z pewnymi pierwiastkami? Ten drugi fakt chcą mechaniści wyjaśnić dodatkową hipotezą, według której dwa ciała pozostają do siebie w stosunku powinowactwa chemicznego wówczas, gdy ruchy ich

[1] Wł. M. Kozłowski, Przyrodoznawstwo i filozofia, Warszawa 1909, str. 109 i nn.

atomów są do tego stopnia zgodne, iż mogą w końcu przejść w stan równowagi stałej. Niestety, nasuwają się tutaj niepokonalne trudności. Wszak w myśl teoryi ruch pochodzi tylko z zewnątrz: każdy mianowicie atom o tyle jest w ruchu, o ile go pcha w pewnym kierunku inny atom. Lecz łatwo zrozumieć, że pod wpływem ciepła, elektryczności lub innych czynników pchnięcia i kierunki ruchów mogą się u atomów zmieniać w nieskończoność. Gdyby tedy dodatkowa hipoteza była prawdziwa, musiałyby się także zmieniać powinowactwa chemiczne. Tymczasem pewne pierwiastki łączą się wyłącznie z pewnymi pierwiastkami. Dodajmy, że z filozoficznego punktu widzenia przenoszenie się ruchu z jednego atomu na drugi jest bezwarunkowo wykluczone, gdyż ruch, jak każda inna przypadłość, tkwi z istoty swej tylko w jakiejś rzeczy jako w swym podmiocie, i dla tego nie może ani od niej oderwać się, ani z niej na inną rzecz przenieść.

Dla tych i podobnych powodów wielu filozofów słusznie twierdzi, że, chcąc wytłómaczyć wszystkie zjawiska, spotykane w ciele, należy za przykładem Arystotelesa przyjąć w niem dwie ostateczne zasady: jedną z siebie nieoznaczoną i wspólną wszystkim ciałom, drugą zaś rozstrzygającą o tem, że pewne ciało jest tem, a nie innem ciałem, że posiada te, a nie inne przymioty, siły, dążności i sposoby działania, że podlega tym, a nie innym prawom. Tamta zasada, z istoty swej bierna, zowie się pramateryą; ta, czynna i celowa, entelechią albo — jak zwyczajnie mówią scholastycy — formą substancyalną [1].

Według tego systemu ciała żyjące składają się również z pramateryi i formy substancyalnej, a są odgraniczone od ciał martwych tem, że posiadają entelechię istotnie różną, wyższą i doskonalszą, która, dając bytom życie, zwie się ich duszą. Owszem, entelechia ta stanowi trzy istotnie różne stopnie życia: roślinnego, zwierzęcego i ludzkiego; stąd rozróżniamy duszę roślinną, zwierzęcą i ludzką.

Z tego wynika, że animizm, czyli witalizm Arystotelesa, zwany umiarkowanym, różni się zasadniczo od skrajnego witalizmu n. p.

---

[1] Zob. Dr: A. Michelitsch, Atomismus, Hylemorphismus und Naturwissenschaft, Grac 1897; P. Mielle, De substantiae corporalis vi et ratione, Lingonis 1894; F. Million, La clef de la philosophie scolastique, Paryż 1896; A. Farges, Matière et forme, wyd. 5, Paryż 1900; D. Nys, Cosmologie ou Étude philosophique du monde inorganique, wyd. 2, Lowanium 1906.

Paracelsusa (1493—1541), van Helmonta (1577—1644), Stahla (1660—1734), sławnej szkoły medycznej z Montpellier (wiek XVIII.), tudzież niektórych pozornych przeciwników mechanizmu biologicznego, żyjących w naszych czasach. Paracelsus tłómaczył celowe czynności ustrojów cząstką ducha bożego, a van Helmont odwoływa się do rządzącego organizmem archeusza, któremu podlegają archeusze niższe, kierujące czynnościami narządów. Stahl sądził, że podstawą każdego życia roślinnego jeśt dusza rozumna, gdyż tylko od takiej duszy może pochodzić celowość ustrojów. Lekarze z Montpellier przyjmowali w człowieku obok duszy rozumnej niezależną od niej siłę życiową, która kształtuje ciało. Pozorni witaliści dzisiejsi, mówiąc o sile życiowej, rozumieją przez nią jakąś nieznaną siłę materyalną[1].

Według Stagiryty i jego zwolenników entelechia ciał żyjących, czyli dusza, nie stanowi siły w zwyczajnem tego słowa znaczeniu; jest ona zasadą życiową *sui generis*, skojarzoną z pramateryą w jedną substancyę organizmu, dającą mu ściśle oznaczoną naturę, tworzącą podstawę wszystkich jego uzdolnień i czynności. W ten sposób należy rozumieć arystotelesowską definicyę duszy: Διὸ ἡ ψυχή ἐστιν ἐντέλεχεια ἡ πρώτη σώματος φυσικοῦ δυνάμει ζωὴν ἔχοντος. Τοιοῦτο δέ, ὃ ἂν ᾖ, ὀργανικόν[2]. W ten też sposób trzeba tłómaczyć znaczenie wyrazów, którymi posługują się umiarkowani witaliści, zowiąc zasadę życiową pierwiastkiem życiowym, siłą lub energią życiową.

Już to, co się rzekło wyżej o wadach atomizmu mechanicznego, przemawia przeciw mechanizmowi biologicznemu. Jeżeli objawów materyi nieorganicznej nie można wytłómaczyć czysto mechanicznym sposobem, to tem bardziej należy to powiedzieć o zjawiskach, spotykanych w jestestwach żyjących, Co więcej, te ostatnie zjawiska domagają się koniecznie entelechii nie tylko wyższej, ale istotnie różnej od entelechii utworów martwych. Między światem bowiem nieorganicznym, czyli mineralnym, a organicznym, t. j. żyjącym, zachodzi różnica istotna.

Łatwo ją zauważyć już na pierwszy rzut oka.

Jestestwo żyjące jest substancyą, złożoną z części różnorodnych, czyli narządów o rozmaitym kształcie zewnętrznym i rozmaitej

---

[1] Zob. Farges, La vie et l'évolution des espèces, wyd. 2, Paryż 1892, str. 61 i nn.

[2] De anima, II, 1.

budowie wewnętrznej, stosownie do rozmaitych celów, które mają spełnić narządy. W roślinie n. p. inaczej wygląda korzeń, inaczej pień, inaczej liść, inaczej kwiat lub owoc. Podobnie części składowe narządów różnią się, jak uczy histologia, między sobą pod względem morfologicznym. Najniższe organizmy jednokomórkowe przedstawiają się wprawdzie jako bryłki materyi niezorganizowanej, ale tylko pozornie. W rzeczywistości bowiem każda komórka posiada bardzo bogatą organizacyę. Natomiast minerał nie ma żadnych narządów; wszystkie jego części są jednakowe, morfologicznie jednorodne.

Ustroje odżywiają się i rosną. Odżywianie się polega na tem, że jestestwo żywe przyjmuje w siebie materye, znajdujące się w środowisku, przetrawia je, i odrzuciwszy niepotrzebne resztki, przyswaja, t. j. przemienia w swą własną substancyę. Każdy narząd i każda jego część odbierają stosowną ilość pokarmu, który się w nie wciela i ustawicznie je odświeża, zastępując dawne składniki nowymi. Stąd dopełnieniem odżywiania się jest wydzielanie, czyli rozkład zorganizowanych składników na różne utwory; utwory te albo bywają wydalane na zewnątrz, albo, łącząc się z pokarmem, służą dalej do odnawiania komórek. Żaden zaś narząd, żadna jego część nie przyjmuje pożywienia w sposób samoistny; przeciwnie, wszystkie biorą go od całości, działając razem podług jednego planu organizacyi i zmierzając do jednego wspólnego celu. Tymczasem minerał ani nie przerabia innego ciała, ani go nie przyswaja wewnętrznie, ani nie rośnie w ścisłem znaczeniu; może się powiększać tylko przez to, że na jego powierzchni osiadają nowe cząsteczki materyi, przylegając szczelnie do dawnych. Nadto, gdy organizm rośnie dopóty, dopóki nie osiągnie właściwej swej naturze wielkości, to powiększanie się ciał nieorganicznych może się odbywać bez końca.

Ustroje rozmnażają się, czyli rodzą inne podobne do siebie ustroje. Wprawdzie ta czynność rozrodcza odbywa się w rozmaity sposób, bo albo przez prosty podział jestestwa żyjącego, albo przez tworzenie pączków, które po oderwaniu się od organizmu macierzystego prowadzą później życie samodzielne, albo przez rozwój jaja niezapłodnionego, albo wreszcie przez płciowe połączenie rodziców: zawsze atoli początek jednego ustroju należy odnieść do ustroju innego, przyczem oba posiadają jednakową naturę, czyli należą do tego samego gatunku. Substancye świata nieorganicznego nie rodzą się w ścisłem znaczeniu, lecz zawdzięczają swe powstanie przyczynom gatunkowo od siebie różnym. Co innego n. p. woda, a co

innego tlen i wodór, które się na nią składają w związku chemicznym.

Procesy odżywiania i rozmnażania się tworzą t. zw. cykle życiowe. Życie osobnika i gatunku toczy się istotnie kołem. Przyswajanie, które pod względem chemicznym jest syntezą, i wydzielanie, będące naodwrót analizą, następują po sobie w odżywianiu na przemiany. Podobnie gdy ustrój dojdzie do należytego rozwoju, natenczas pewna jego część oddziela się i daje początek nowemu osobnikowi, który w swoim czasie znowu rodzi inny osobnik, poczem ten sam proces powtarza się dalej. Takich cyklów szukalibyśmy napróżno w królestwie nieorganicznem.

Tak więc życie jest ruchem. *Vita est in motu* — mówili starzy. Ale ten ruch życiowy posiada własności, wyróżniające go zasadniczo od ruchu, spotykanego w materyi martwej. Ruch życiowy jest ciągły i immanentny, czyli wsobny.

O jego ciągłości świadczą dostatecznie wspomniane przed chwilą cykle życiowe. W przeciwieństwie do rzeczy nieżywych, które zmierzają zawsze do stałej równowagi, substancya żyjąca zmienia się bez przerwy; koniec zmian jest końcem życia, czyli śmiercią.

Wsobność znowu ruchu życiowego polega na tem, że n. p. komórka porusza siebie, działa na siebie, odżywia siebie, rozwija siebie. Jeżeli dwa pierwiastki, n. p. wodór i chlor, połączą się w związek chemiczny, powstaje trzecie ciało, zwane zwyczajnie solą kuchenną (chlorek sodowy), która nie jest ani chlorem, ani wodorem. W komórce dzieje się inaczej. Służące jej za pokarm materyały nie tworzą z nią trzeciego ciała, ale, jak widzieliśmy, zamieniają się w jej własną substancyę. Nie chcemy przez to powiedzieć, jakoby żywa komórka nie spełniała żadnych czynności, zwanych przechodniemi; może ona działać również poza siebie, i działa rzeczywiście tak samo, jak to czynią rzeczy martwe. Nie twierdzimy nawet, żeby wszystkie zjawiska mechaniczne lub fizyczno-chemiczne, odbywające się w jej wnętrzu, a rozpatrywane z osobna, należały do immanentnych. Czynność w ścisłem słowa znaczeniu wsobna jest właściwie jedna: przyswajanie, czyli wewnętrzne wstawianie różnorodnych substancyi przerobionego pokarmu w ustrój komórkowy. »Ale ponieważ — zauważył trafnie Mercier [1] — oddziaływania chemiczne, przygotowujące przyswajanie i kończące się w niem naturalnie, tworzą

[1] Psychologia (tłóm. pol. Krasnowolskiego), Warszawa 1902, str. 53.

z samem przyswajaniem ruch ciągły, jedną całość, byłoby więc sprzecznem z naturą rzeczy wyosabniać je od ostatecznego ich celu; zatem słusznie można powiedzieć sposobem ogólnym, że ruch odżywiania, a przeto i ruch wzrostu i rozwoju jestestwa żyjącego, stanowi ruch immanentny«. Dobrze tedy mówią scholastycy: *Vivum est, quod se ipsum movet.*

Czy więc organizm jest, jak utrzymują mechaniści, tylko sztucznie zbudowaną machiną? Machina — woła Max Verworn [1] — posiada tak samo organy, jak ustrój. Choćbyśmy — odpowiemy na to — rozmaite części składowe machiny nazwali w przenośnem znaczeniu organami, każdy widzi przepaść między żywym ustrojem a machiną. Żadna na świecie maszyna nie odżywia się, nie rośnie, nie rodzi innych maszyn; żadna też nie porusza siebie samej.

Jeszcze lepiej, jeśli być może, uwydatniają tę zasadniczą różnicę między ustrojem a machiną zjawiska regeneracyi i t. zw. regulacyjnej zdolności, które spotykamy w niektórych organizmach.

Driesch [2] dzieli ciało zwierzątka, znanego pod nazwą *Clavellina lepadiformis*, na dwie połowy, a już po trzech lub czterech dniach uzupełnia się każda połowa w ten sposób, że zamiast jednego, mamy dwa dobrze rozwinięte ustroje. Często odcięta część traci z początku organizacyę i przedstawia się przez parę miesięcy jako kulista masa jednorodna, lecz potem zaczyna się kształtować, tworząc po paru dniach nowy, choć mniejszy od dawnego, ustrój. Zjawiska regeneracyi zdarzają się nawet u organizmów doskonalszych. Wiadomo, że n. p. rakom odrastają odcięte nożyce i nogi. G. Wolff, powtarzając dawniejsze doświadczenia Bonneta i Colucci'ego, wycina soczewki oczne traszkom (*Triton taeniatus*). Po upływie jednego lub dwóch dni zjawia się na wewnętrznym brzegu tęczówki mnóstwo leukocytów (białe ciałka krwi), które pożerają jej czarny barwik. Później w pewnym punkcie tęczówki, wybranym tak praktycznie, że rozum ludzki nie mógłby wybrać lepszego, zaczynają się rozmnażać komórki, skutkiem czego po wewnętrznej stronie oka powstaje woreczek, przybierający z czasem postać soczewki. Soczewka tworzy się tutaj w ogólności tak samo, jak w zarodku, z tą tylko różnicą, że soczewka zarodka rychło się odrywa od punktu,

[1] Allgemeine Physiologie, wyd. 5, Jena 1909, str. 143.

[2] Studien über das Regulationsvermögen der Organismen (Archiv für Entwicklungsmechanik, 1902, str. 247 i nn.).

z którego wyrasta, gdy odradzająca się soczewka traszki dorosłej odrywa się bardzo późno. Lecz właśnie ta różnica — zauważa Wolff — świadczy o niezwykłej celowości. Pierwsza bowiem soczewka powstaje pośród tkanek stałych, a druga pośród tkanek wodnistych; gdyby tedy odrastająca soczewka oderwała się w tym samym czasie, co soczewka zarodkowa, natenczas wpadłaby niezawodnie w jamę oczną.

Czy te fakty nie są dowodami, że ustrój jest czemś więcej, aniżeli machiną? Czy w machinach spotykamy kiedy zjawiska, podobne do przytoczonych? Czy istnieje gdzie machina, która naprawia sama swe uszkodzone części lub daje się dzielić na części, zamieniające się znowu w całe machiny?

Z kolei przytoczę podobne zjawiska, dotyczące rozwijających się komórek. Komórka jajowa dzieli się po zapłodnieniu według postępu geometrycznego na coraz mniejsze komórki, zwane przewężnemi lub blastomerami. Dwie pierwsze blastomery jaja żabiego tworzą z czasem dwie symetryczne połowy żaby; gdy jednak blastomery rozłączymy, natenczas każda z nich rozwija się w cały zarodek żabi. Ta — jak ją nazwano — regulacyjna zdolność komórek przewężnych występuje u niektórych gatunków w bardzo wysokim stopniu. Jaja jeżowców okazują ją jeszcze w postaci blastuli, która według dokładnych obliczeń Driescha składa się z 808 komórek. Można pokrajać blastulę na wiele części, a każda wyrasta w całą blastulę. Czy ten fakt da się wytłómaczyć w hipotezie mechanistów? »Wyobraźmy sobie machinę — pisze Wasmann[1] — która składa się z 808 części; rozbijmy tę machinę na kawałki i patrzmy, czy każdy kawałek potrafi się znowu rozwinąć w całą machinę przez czynniki fizyczno-chemiczne! Lecz bezwarunkowo nie można sobie przedstawić maszyny, którąby temu sprostała«.

Czy więc najnowsze badania przyrodnicze zacierają różnicę między światem nieorganicznym a organicznym, jak twierdził w r. 1872 Spencer, i jak dziś jeszcze powtarzają niektórzy? »Mnie się wydaje — odpowiada na to Bunge[2] — że historya fizyologii uczy wręcz przeciwnie. Ja twierdzę odwrotnie! Im lepiej, wszechstronniej gruntowniej silimy się poznać objawy życiowe, tem bardziej przycho-

[1] Die moderne Biologie und die Entwicklungstheorie, wyd. 3, Fryburg 1906, str. 249.

[2] Lehrbuch der Physiologie des Menschen, Lipsk 1901, t. II, str. 3.

dzimy do przekonania, że zjawiska, które uważaliśmy już za wyjaśnione fizycznie i chemicznie, mają naturę więcej zawikłaną i urągają wszelkiemu mechanicznemu tłómaczeniu«. »Badanie komórki — twierdzi stanowczo jeden z najlepszych biologów, Amerykanin E. B. Wilson[1] — raczej rozszerzyło, aniżeli zmniejszyło niezmierny przedział, który odgranicza od świata nieorganicznego nawet najniższe postaci życia«. Hartog nie waha się utrzymywać, że gdyby około r. 1870 znana była rola, którą w komórkach zarodkowych odgrywają ciałka, zwane chromosomami, nie byłoby wcale szkoły antywitalistycznej w drugiej połowie XIX wieku[2].

Sądzę, że przedstawione powyżej uwagi, jakkolwiek dotyczą tylko części faktów, na które się powołują witaliści, wystarczą do stwierdzenia istotnej różnicy pomiędzy jestestwem żyjącem a wszelką materyą martwą, choćby ona tworzyła nawet najsztuczniej złożoną maszynę. Z różnicy zaś tej wynika, że ustroje spełniają właściwe sobie czynności dzięki zasadzie życiowej, różnej od sił mechanicznych, fizycznych i chemicznych. Istotnie bowiem różne skutki każą koniecznie wnosić o istotnie różnych przyczynach. Jeśli tedy objawy, spotykane w żyjącej materyi, różnią się istotnie od objawów materyi martwej, jasną jest rzeczą, iż pierwsze nie mogą pochodzić od tej samej przyczyny, od której pochodzą drugie. Innemi słowy, życie nie daje się zrozumieć bez zasady życiowej, która razem z materyą tworzy jedną substancyalną całość, jedno działające celowo jestestwo żywe.

Więc nie wystarczy powiedzieć, że życie tkwi w misternej budowie zarodzi, albo w pewnych właściwych jestestwom żyjącym już to urządzeniach wewnętrznych, już to procesach fizyczno-chemicznych, już to skupieniach atomów. Zaraz bowiem nasuwają się logicznie pytania dalsze: skąd powstaje ta misterna budowa protoplazmy, co jest przyczyną owych urządzeń, procesów i skupień, właściwych żyjącym ustrojom? Czemu misterna budowa, swoiste skupienia, procesy i urządzenia nie przysługują wszystkim bytom materyalnym? Słusznie tedy powiedziano, że mechanizm uważa za przyczynę życia to, co jest jego skutkiem.

»Czterdzieści lat temu — tak pisał w r. 1903 lord Kelvin[3] — pytałem Liebiega, przechadzając się z nim na polu, czyby sądził, że

[1] The cell in development and inheritance, Nowy Jork 1897, str. 330.
[2] Gemelli, Darwinisme et vitalisme (Revue de philosophie, 1910, str. 233).
[3] Ninetheenth Century, t. I, str. 1069.

zioła i kwiaty, które widzieliśmy około siebie, rosną mocą samych sił chemicznych. Odpowiedział mi: Nie, tak samo, jak nie mogę uwierzyć, żeby jakiś traktat botaniczny, który je opisuje, mógł być uczyniony przez te siły«. Godne zaiste słowa wielkiego chemika. Tak jest, niesłychanie złożona budowa każdego ustroju i budząca najwyższy podziw zgodność funkcyj, spełnianych przez najrozmaitsze jego narządy w tym celu, aby go zachować, nie mogą być dziełem ślepych sił materyalnych, ale muszą pochodzić od substancyalnej zasady celowej, która rzeczonym siłom przewodniczy i nad niemi panuje. Tylko takie tłómaczenie życia uważam za zgodne z rozumem.

Czy jednak zasada życiowa nie sprzeciwia się przyjętej powszechnie w nauce zasadzie zachowania energii? Ktoby ją o to podejrzywał, dowiódłby zarazem, iż nie zrozumiał witalizmu umiarkowanego. Zasada bowiem życiowa nie wnosi w ustrój żadnej nowej siły. żadnej nowej energii materyalnej. Jestestwo żyjące czerpie wszelką energię ze środowiska, które je otacza, w postaci energii bądź kinetycznej, czyli aktualnej (ruch, ciepło, elektryczność), bądź potencyalnej, t. j. utajonej w powietrzu i pokarmie. Zjawiska życiowe są tylko przemianami energii, odbywającemi się pod kierownictwem zasady życiowej.

Zająwszy w sprawie istoty życia takie stanowisko, możemy bezpiecznie przystąpić do rozpatrzenia i ocenienia rozmaitych teoryj o początku życia. Teorye te są koniecznemi następstwami dwóch różnych filozoficznych poglądów na życie: z jednej strony mechanizmu, z drugiej witalizmu.

Mechanizm uczy, że życie powstało na świecie samorzutnie, przez samorodztwo (*generatio aequivoca, spontanea*), zwane także heterogenezą, autogenezą lub abiogenezą. Niegdyś, gdy ziemia znajdowała się w stanie ognisto-płynnym, nie było na niej żadnego życia, żadnych ustrojów; skoro wszakże nastały korzystne warunki fizyczno-chemiczne, wówczas materya nieorganiczna wydała pierwszą plazmę. Oto zasadnicza teza wszystkich niemal materyalistów i monistów. »Był czas — czytamy u Büchnera[1] — w którym ziemia, jako rozpalona kula ognista, nie tylko nie posiadała zdolności do wydawania żywych jestestw, lecz nawet musiała być wprost wrogą dla wszelkiego istnienia roślinnych lub zwierzęcych ustrojów w najbliższem otoczeniu swej powierzchni... Skoro zjawiła się woda, i skoro

[1] Kraft und Stoff, wyd. 10, Lipsk 1869, str. 66.

tylko pozwoliła ciepłota, rozwinęło się życie organiczne«. Haeckel [1] woła do swych słuchaczy: »Jeśli nie przyjmiecie hipotezy samorodztwa, musicie w tym jednym punkcie teoryi rozwoju uciec się do cudu nadprzyrodzonego stworzenia«. »Nie znamy wprawdzie — są znowu słowa Virchowa [2], wyjęte z jego sławnej mowy na zjeździe przyrodników w Monachium 1877 r. — ani jednego faktu pozytywnego, któryby świadczył, że kiedykolwiek odbyła się jakaś *generatio aequivoca,* że kiedykolwiek nastąpiło jakieś samorodztwo w ten sposób, iż nieorganiczne masy, więc może Towarzystwo węgla i spółki, rozwinęły się dowolnie w masy organiczne. Przyznaję jednak, że jeżeli chcemy sobie przedstawić, jak mogło powstać z siebie takie pierwsze jestestwo, nie pozostaje nam nic innego, jak uciec się do samorodztwa. To jest jasne! Jeśli nie chcę przyjąć teoryi stworzenia, jeśli nie chcę wierzyć, iż był jakiś osobny Stwórca, który wziął grudkę ziemi i tchnął w nią dech żywota, jeśli chcę sobie zrobić jeden wiersz na swój sposób, to muszę go zrobić w myśl samorodztwa — *tertium non datur.* Nie pozostaje nic innego; jeśli się raz powie: nie przyjmuję stworzenia, ale chcę mieć jakieś wyjaśnienie — jeśli taka jest pierwsza teza, tedy muszę przystąpić do tezy drugiej i powiedzieć: zatem przyjmuję samorodztwo. Lecz nie mamy na to żadnego faktycznego dowodu. Żaden człowiek nie widział, żeby się gdzieś rzeczywiście odbyła *generatio aequivoca*, każdego zaś, który twierdził, iż ją widział, zbili przyrodnicy, a nie teologowie«. Nie inne było zapatrywanie Virchowa na tę sprawę w dziesięć lat później. »Ludzie — pisał sławny antropolog [3] w r. 1887 — wierzą nie bez dobrej podstawy, że był czas, w którym jeszcze nie istniało żadne jestestwo żyjące, a chcą wiedzieć, gdzie należy szukać początku życia, i jak się zaczęło życie w świecie martwym. Kto się nie może oprzeć tej pokusie, dla tego pozostaje ostatecznie tylko wybór między dogmatem stworzenia a dogmatem samorodztwa... *Generatio aequivoca* przedstawia się jako postulat filozofii przyrody«. »Nie widzę żadnej możliwości — przytaczam jeszcze znanego darwinistę Weismanna [4] — żeby się uwolnić od przyjęcia samorodztwa; jest ono dla nas logiczną koniecznością«.

---

[1] Natürliche Schöpfungsgeschichte, wyd. 2, Berlin 1870, str. 309 i n.
[2] Die Freiheit der Wissenschaft im modernen Staat, Berlin 1877, str. 20.
[3] Biolog. Centralblatt, 1887, str. 553 i n.
[4] Vorträge über Deszendenztheorie, 2 t., Jena 1904, t. II, str. 306.

Podobnym językiem, choć niezawsze tak szczerze, jak Virchow, przemawia długi szereg przyrodników, stojących mniej lub więcej otwarcie na gruncie materyalizmu i monizmu. Tutaj należą np. Pflüger, Zöllner, M. Verworn, Kölliker, von Nägeli, R. Hertwig, Allen, K. Günther, Huxley, Tyndall, Soury, Cattaneo.

Przystępując do krytyki powyższej hipotezy, rozpoczniemy od pytania, czy *generatio aequivoca* istnieje w obecnych warunkach. Pytanie mogłoby się wydawać zgoła zbytecznem wobec wyraźnego oświadczenia Virchowa, że sami przyrodnicy nie uznają samorodztwa. Ogólnie rzecz biorąc, oświadczenie to jest i dzisiaj zgodne z rzeczywistością, atoli należy pamiętać, że między przyrodnikami znajdowali się nie tak dawno temu, a nawet znajdują się dotychczas tacy, którzy inaczej zapatrują się na sprawę. Wyjątki zaś te mogą nasuwać podejrzenie, jakoby nauka nie wydała dotychczas rozstrzygającego i stanowczego wyroku o samorodztwie.

W starożytności panowało powszechnie przekonanie, że niektóre mniejsze ustroje mogą powstawać i powstają rzeczywiście bez rodziców, t. j. z materyi martwej. Nawet Arystoteles, acz przyznaje, iż ustroje doskonalsze, a mianowicie mające krew ciepłą, rodzą się z nasienia, rozprawia jednak o samorodztwie owadów, mięczaków i ryb, zwłaszcza węgorzów: owady wywodzą się z materyi gnijącej, niektóre ryby z piasku, mięczaki i węgorze z błota [1]. Przekonania te podzielają późniejsi filozofowie, przyrodnicy i poeci, tak greccy, jak rzymscy. Georgica [2] Wergilego pouczają n. p., jak z wnętrza zabitych wołów wychodzą roje pszczół, a Metamorfozy [3] Owidyusza opiewają samorodne powstanie pszczół, szerszeni, skorpionów, żab i wężów. Diodor Sycylijski [4] pisze, że w żyznej dolinie Nilu rodzi się mnóstwo zwierząt z mułu, ogrzanego życiodajnymi promieniami słońca. Pliniusz [5] opowiada o znalezionym w Tebaidzie szczurze, który miał przednią część ciała doskonale rozwiniętą, a tylną jeszcze kamienną. Lukrecyusz [6] zauważa, że ziemia zowie się słusznie matką, bo dała niegdyś początek wszystkim jestestwom; owszem, nawet dzisiaj rodzi się z niej wiele zwierząt dzięki deszczom i ciepłu słonecznemu.

---

[1] Περὶ ζῴων ἱστορία, ks. V, rr. 1, 19 i 32; ks. VI, rr. 15 i 16.
[2] L. IV, v. 280 et seqq.
[3] L. XVI, v. 361 et seqq.
[4] Bibliotheca, V, 10.
[5] Histor. mundi, l. XI, § 23.
[6] De rerum natura, l. V, v. 793 et seqq.

Uczeni średniowiecza przyjmowali także w pewnym zakresie abiogenezę; mniemali jednakowoż zwyczajnie, że jeśli materya wytwarza życie, to nie czyni tego o własnych siłach, lecz pod wpływem ciał niebieskich. Pośród późniejszych przytoczony już lekarz belgijski, van Helmont, pisał nawet recepty, z pomocą których można bez rodziców otrzymać niedźwiadki, myszy, żaby i pijawki. »Zrób dziurę w cegle — oto jedna z takich recept — włóż w nią ziela bazyliszkowego, przykryj tę cegłę drugą cegłą, wystaw obie cegły na słońce, a po upływie kilku dni ziele zamieni się w prawdziwe niedźwiadki«. Podobne przepisy podawał młodszy nieco od van Helmonta O. Atanazy Kircher[1]. Kto chce otrzymać — uczył sławny Jezuita — żywe węże, niech posieje w żyznej ziemi posiekane na drobne kawałeczki ciało upieczonych wężów, a potem zlewa ją codziennie wodą; po ośmiu dniach zjawią się robaki, które należy odżywiać rozwodnionem mlekiem, póki nie osiągną wielkości doskonałych wężów.

Atoli już w drugiej połowie XVII stulecia zaczęto tu i ówdzie występować przeciw istnieniu heterogenezy. Franciszek Redi (1626—1698), nadworny lekarz wielkich książąt toskańskich, choć wierzył w samorodztwo pasożytów[2], wykazywał[3], że tworzące się w gnijącem mięsie robaki są gąsienicami pewnych much, które w mięsie złożyły jaja, że jeśli muchom uniemożliwimy przystęp do mięsa, wówczas napróżno szukalibyśmy w niem robaków. Zrazu nikt nie chciał dać wiary temu twierdzeniu uczonego Włocha: wyszukiwano najrozmaitsze zarzuty, a nawet powoływano się na Pismo św., z którego przytaczano miejsca, przemawiające rzekomo za samorodztwem. Później poszli za Redim Vallisneri, Swammerdam, Leeuwenhoek, Malpighi i Réaumur[4]. Kiedy jednak poznano bliżej drobnoustrojowe

---

[1] Mundus subterraneus, Amsterdam 1665, lib. XII.

[2] Mowa tu o pasożytach, zwanych wnętrzniakami, t. j. przebywających w trzewiach zwierząt i człowieka. Przekonanie o samorodztwie pasożytów przetrwało aż do XIX. wieku.

[3] Experimenta circa generationem insectorum, Leyda 1739, str. 32 i nast.

[4] Ze względów filozoficznych występował wówczas przeciw samorodztwu w ogóle scholastyk Ludwik Lossada (Cursus philosophicus, Salmanticae 1724-1735, t. III, Tractatus: De gener. et corrupt., c. 2, n. 26, 27). »Mihi quidem — czytamy tamże — necessaria videtur virtus seminis pro cuiuslibet generatione viventis; non quod improbem recursum ad causas universales, etiam ad primam, pro influxu principali praestando; sed quia universalis causa supponit exigentiam causae particularis materiam disponentis aut determinantis, et haec nequit esse alia quam virtus seminalis«.

żyjątka, zwane wymoczkami, które odkrył Leeuvenhoek, a których rozmnażanie się było z początku tajemnicą, zaczęto znowu mówić o samorodztwie. Najgłośniejszym jego obrońcą był w połowie XVIII wieku ksiądz irlandzki, Needham, który miał się przekonać naocznie, że w wywarze materyi organicznych okazały się później wymoczki, choć zawierające wywar naczynie było szczelnie zamknięte. Natomiast *l'abbé* Spallanzani[1], ponawiając doświadczenia Needhama, doszedł w r. 1765 do wprost przeciwnego wyniku, przyczem twierdził, że jeżeli Needham odkrył po pewnym czasie w nalewce wymoczki, to pochodziło to z niedostatecznego jej przegotowania; według Spallanzaniego należy gotować nalewkę przynajmniej przez trzy kwadranse. Ta sprzeczność wyników wywołała między Needhamem a Spallanzanim spór, który jednak za ich życia nie został rozstrzygnięty. Przez długie lata najznakomitsi przedstawiciele nauk przyrodniczych, a mianowicie Buffon, Oken, Treviranus, Wrisberg, stali po stronie Needhama; za Spallanzanim poszło zaledwie kilku uczonych, jak np. K. Bonnet i M. Terechowsky. Z czasem wszakże, dzięki ustawicznym pracom długiego szeregu badaczy, obóz drugi wzmógł się kosztem pierwszego: w połowie XIX stulecia hipoteza samorodztwa prawie nie miała obrońców. Przyczynili się do tego przedewszystkiem M. Schultze, Schwann, Milne-Edwards, Kl. Bernard, Balbiani, Küchenmeister, Schroeder, Dusch, von Siebold, Leuckart, van Beneden, Ehrenberg i de Bary. Jedni z nich badali wymoczki, drudzy pasożyty, inni najmniejsze z wszystkich ustroje jednokomórkowe tj. bakterye. Nasz Libelt[2], śledząc pilnie wyniki ich prac, pisał: »Z tego wszystkiego pokazuje się, że tak nazwana *generatio aequivoca*, czyli rozwijanie się gatunków bez poprzedniego zapłodu, jako taka nigdzie miejsca nie ma,... ale że wszystko, co żyje i wegetuje, z rodziców bierze początek«.

Niestety, eksperymenty przeciwników samorodztwa niezawsze się udawały. Pewne substancye, jak n. p. mleko, chociaż były dobrze przegotowane i przystępne tylko dla wyjałowionego powietrza, zaludniały się z czasem mikrobami. To ośmieliło akademika paryskiego, F. Poucheta[3] do podjęcia w r. 1858 na nowo obrony heterogenii. Pouchet napełniał wrzącą nalewką naczynie, a potem, za-

[1] Saggio di osservazioni microscopiche concernenti il systema della generazione de'signori Needham e Buffon, Modena 1765.

[2] Filozofia i krytyka, Poznań 1845—1850, t. IV, str. 118 i n.

[3] L'héterogenie, Traité de la génération spontanée, Paryż 1859.

tkawszy je szczelnie i odwróciwszy, zanurzał jego szyję w rtęci. Kiedy nalewka ostygła, otwierał naczynie i wprowadzał do niego tlen albo powietrze, wyjałowione za pomocą gorąca. Po kilku dniach spostrzegał w naczyniu liczne drobnoustroje, z czego wnosił, że mogły one powstać wyłącznie przez samorodztwo.

Wnet wystąpił przeciw niemu, obok innych uczonych, znakomity fizyk i fizyolog, L. Pasteur[1]. Silnie przekonany, dzięki swym badaniom nad fermentacyą, o istnieniu rozmaitych zarodków, żyjących w atmosferze, Pasteur spostrzegł od razu, że mikroby, przypisywane przez Poucheta samorodztwu, pochodziły z rtęci, przez którą przepuszczano tlen lub powietrze wyjałowione. Następnie udowodnił za pomocą własnych doświadczeń dwa następujące fakty: 1) pozbawione zarodków powietrze nie wywołuje fermentu w płynie, podlegającym wprawdzie zepsuciu, lecz wyjałowionym; 2) powietrze naturalne nie sprawia koniecznie gnicia płynu wyjałowionego, albowiem ilość znajdujących się w niem zarodków niezawsze jest dostateczna do wywołania fermentu. Dla objaśnienia pierwszego faktu dodamy, że wyjałowienia płynów, n. p. różnego rodzaju nalewek, krwi i mleka, dokonywał Pasteur za pomocą gotowania, często przy 100°, oraz że, chcąc oczyścić z wszelkich zarodków powietrze, przepuszczał je przez platynową rurkę, rozgrzaną do czerwoności, lub przez wyjałowioną watę. Przy drugim fakcie warto nadmienić, iż w naczyniach, napełnionych płynem, zdolnym do fermentacyi, a stykającym się z czystem powietrzem Gór Jurajskich lub góry Mont Blanc, nie było często żadnej zmiany nawet po paru latach; skoro wszakże w jednem z naczyń uczyniono otwór, przez który weszło do jego wnętrza powietrze pracowni, wnet okazała się pleśń na powierzchni płynu.

Doświadczenia Pasteura, choć nie przekonały Poucheta i jego zwolenników (Joly i Musset), przekonały paryską Akademię nauk, której walczące strony powierzyły rozstrzygnięcie sporu. Wybrana przez Akademię komisya, sprawdziwszy doświadczenia Pasteura, przyznała mu w r. 1862 słuszność wraz z nagrodą 2500 franków.

---

[1] Expériences relatives aux générations dites spontanées (Comptes rendus de l'Acad. des sciences, 1860, t. 50, str. 303 i nn.); De l'origine des ferments, Nouvelles expériences relatives aux générations dites spontanées (tamże, str. 849 i nast.); Mémoire sur les corpuscules organisés qui existent dans l'atmosphère, et examen de la doctrine des générations spontanées (Ann. des sciences nat., 4-e série, 1861, t. 16. str. 5 i nast.); Note en réponse des observations critiques (Compt. r. de l'Acad. d. sc., 1863, t. 57, str. 724 i nn.).

Mimo zwycięstwa Pasteura, w dziesięć lat później, chemik paryski, Frémy, wskrzesił hipotezę samorodztwa pod inną postacią. Sposobność do tego nastręczyła teorya fermentacyi, którą Pasteur przedstawił Akademii w r. 1872. Pasteur wykazał, że ferment, jak już około r. 1835 uczyli Cagniard, Latour i Schwann, pochodzi od mikroskopijnych komórek atmosferycznych, a mianowicie od grzybków drożdżowych. Grzybki osiadają w lecie n. p. na winogronach, a w jesieni dostają się do wyciśniętego z jagód soku, gdzie, rozmnażając się szybko przez pączkowanie, sprawiają fermentacyę. Istota jej polega na tem, że grzybki, zabierając cukrowi gronowemu tlen, rozkładają go na alkohol i dwutlenek węgla. Otóż przeciw tej teoryi wystąpił Frémy, a za nim inni, twierdząc, że żyjące komórki, które widać podczas fermentacyi wina, pochodzą od napół zorganizowanej materyi soku winogronowego. Uogólniając to zdanie, powiedzieli ci uczeni, że między przyrodą organiczną a nieorganiczną istnieją ciała w części zorganizowane, które organizują się całkowicie same z siebie.

Nowym przeciwnikom odpowiedział Pasteur nowymi dowodami; przytoczymy z nich jeden. W winnicy swej kazał zbudować szklarnię, w której rosło kilka winnych szczepów. Wiedząc, że komórki drożdżowe nie osiadają na szczepach przed lipcem, poobwijał pod koniec czerwca wszystkie grona watą. Jagody mimo to dojrzały, a grzybki drożdżowe zatrzymały się na wacie. Z nadejściem jesieni przewieziono winogrona do Paryża i zdjęto z nich zasłony wobec osobnej komisyi; w wyciśniętym z winogron soku nie powstała fermentacya. Wniosek z tego oczywisty, że moszcz nie może sam przez się fermentować, że grzybki drożdżowe, umożliwiające fermentacyę, nie pochodzą z moszczu, lecz dostają się do niego z powietrza.

Jeszcze z jednym zwolennikiem samorodztwa musiał się rozprawić Pasteur, z poważanym profesorem wydziału lekarskiego w Londynie, dr. Charltonem Bastianem, który wystąpił z oświadczeniem, że odkrył fizyczno-chemiczne warunki powstającego samorzutnie życia. Po długiej polemice, która się toczyła do r. 1877, Bastian zamilkł, a postawiona przez Pasteura »teorya zarodków« nabrała tem większego znaczenia w świecie naukowym, że jego doświadczenia sprawdzili Tyndall[1], P. Bert, Berthelot, Schützenberger i wielu innych. Owszem, cały świat przyrodniczy oświadczył się za t. zw.

[1] Fragmente aus den Naturwissenschaften, 2 t. (tłóm. niem. Helmholtza i Du Bois-Reymonda), Brunświk 1899, t. II, str. 340—388.

panspermizmem, twierdząc, że atmosfera jest przepełniona jajkami i zarodkami, pochodzącymi od jestestw żyjących. Wprowadzone przez Pasteura pojęcia dały początek nowożytnej bakteryologii, a nadto wywołały przewrót w medycynie, chirurgii, hygienie, przemyśle i agronomii.

Dopiero po blizko trzydziestu latach milczenia Bastian zabrał ponownie głos w obronie samorodztwa, popierając swą ulubioną tezę doświadczeniami, zebranemi przez ten długi przeciąg czasu. Mam tu na myśli dwa jego dzieła: *The nature and origin of living matter*, i *The evolution of life*; obie książki wyszły w Londynie, pierwsza w r. 1905[1], druga w 1907. Bastian przypomina swoje dawniejsze doświadczenia, znane z czasów sporu, który prowadził z Pasteurem i Tyndallem, a potem przytacza nowe, czynione na rozmaitych płynach organicznych.

Pierwsze doświadczenia osądził już w swoim czasie Pasteur. Gdy Bastian wrzucił do przegotowanej uryny pewną ilość potasu, uryna zaroiła się od nasion; mniemał tedy, że przez dodanie potasu wywołał fizyczno-chemiczne warunki samorodztwa. Pasteur odpowiedział, że jeżeli w przegotowanej urynie pokazały się później nasiona, to albo pozostały jeszcze w niedostatecznie przegotowanej urynie, albo weszły do niej wraz z potasem, albo znajdowały się na ścianach naczynia w stanie połowicznego wyschnięcia i dlatego oparły się ciepłocie wrzenia. Czynione próby wykazały, że słuszność była po stronie genialnego Francuza.

Podobne błędy widać także w nowych doświadczeniach Bastiana. Niezawsze n. p. — o czem zdaje się zapominać Bastian — ogrzanie płynów organicznych przez kilka lub kilkadziesiąt minut do 110° zabija istniejące w nich zarodki. Dziś wiadomo, że t. zw. śmiertelna temperatura jest dla rozmaitych drobnoustrojów rozmaita.

---

[1] Trzydziestego czerwca tegoż roku rozeszła się po świecie budząca podziw wiadomość, że dr. John Butler Burke odkrył samorodne powstanie życia pod wpływem radu. Młody ten uczony angielski przyrządził odwar mięsny (speptonizowany bulion wołowy z żelatyną), i wyjałowiwszy go należycie, dodał do niego pewną ilość sproszkowanego bromku radowego. Po upływie kilku dni żelatyna przybrała wygląd, przypominający zwyczajne hodowle bakteryi. Sztuczne te hodowle nazwał Burke radiobami. Wnet jednak uśmiercił radioby W. Ramsay, znany z swoich prac nad radem. Ramsay wykazał, że radioby były bańkami, utworzonemi ze skrzepłego białka, a wypełnionemi gazem. Zob. Gaea, 1906, str. 34 i nn.

Christen wykazał, że, aby zniszczyć na pewno niektóre bakterye, potrzeba gotować nalewki przeszło szesnaście godzin, a nadto podnieść ich ciepłotę na kilka minut do 130°. Według H. Muckermanna [1] »zarodniki bakteryi znoszą gorąco aż do 150° C.«

Jeszcze inne doświadczenia badacza angielskiego mają niezbicie wykazywać samorodztwo. Oto Bastian stwarza życie nie tylko w środowisku organicznem, lecz także nieorganicznem! Wystarczy rozczyn solny (krzemian sodowy, fosforan amonowy, kwas fosforowy, woda destylowana) wlać do gorącej próbówki, zatkać go podczas wrzenia, ogrzać przez 10 lub 20 minut do 115 albo 130 stopni, a potem umieścić w zwyczajnej ciepłocie; po pewnym czasie okaże się na dnie próbówki osad, w którym pod mikroskopem można zobaczyć bakterye. Wszakże krytycy Bastiana zaręczają, że albo rozczyn nie był należycie wyjałowiony, albo zarodki dostały się do niego później, albo wreszcie zauważone drobnoustroje, choć pod względem formy przypominały drobnoustroje, nie były nimi w istocie [2]. Laboratorya bowiem bakteryologiczne nie znają takich faktów, o jakich opowiada Bastian.

Nadto Bastian zdradza się ustawicznie z swem zapatrywaniem apriorycznem: m u s i istnieć dzisiaj *generatio aequivoca*, bo według powszechnego zdania przyrodników pierwsze ustroje zjawiły się na ziemi samorodnie, skoro tylko ostygła do pewnego stopnia jej powierzchnia. Zobaczymy poniżej, co należy sądzić o takiem rozumowaniu.

Tymczasem wspomniemy o zarzucie, podniesionym przeciw doświadczeniom Pasteura przez T. Newesta. W książce, wydanej p. t.: *Vom Zweck zum Ursprung des organischen Lebens* (Wiedeń 1908), Newest (właściwie Hans Goldzier) twierdzi, że choć eksperymenty Pasteura są niewątpliwe, to jednak wysnuwane z nich zwyczajnie wnioski mogą być mylne. Jeżeli bowiem w wyjałowionych i dobrze przed wpływem powietrza zabezpieczonych nalewkach nie widać żyjątek, nie wynika z tego na pewno, że powietrze zawiera w sobie zarodki, które czekają tylko na korzystne warunki, aby się rozwinąć; można także przypuścić, że nalewki stały się skutkiem gotowania niezdolnemi do wydawania jestestw żyjących.

---

[1] Grundriss der Biologie, cz. I, Fryburg 1909, str. 44.

[2] »J'ai cherché en vain — powiada fizyolog paryski, A. Briot (Le problème de la vie, Revue de philosophie, 1910, str. 266) — dans l'exposé de Bastian une preuve de leur vitalité«.

Doświadczenia Pasteura — oto nasza odpowiedź — wykazują przedewszystkiem, iż wyjałowione płyny pozostają wolne od wszelkich żyjątek, jeżeli nie dopuścimy do nich zarodków z powietrza; że zaś w powietrzu zarodki istnieją, świadczy fakt, który łatwo można sprawdzić. Gdy przez watę przepuścimy zwyczajne powietrze, mikroskop pokaże nam w osiadłym na niej pyle niezliczone ciałka zorganizowane, które nie różnią się niczem od zarodków najniższych ustrojów. Skoro tedy w wyjałowionym płynie tworzą się potem żyjątka, wnosimy słusznie, że nie powstają one samorodnie, lecz rozwijają się z zarodków pyłu powietrznego. Przypuszczenie, że wyjałowienie zniszczyło w nalewkach jakąś wewnętrzną ich siłę czy zdolność rodzenia, jest zgoła bezpodstawne; trzebaby wpierw udowodnić, że taka zdolność samorodcza przed wyjałowieniem w nich istniała. Gdyby zresztą sterylizacya zabijała dzisiaj w płynach siłę samorodztwa, uczyniłaby to samo wówczas, gdy ziemia znajdowała się w stanie ognisto-płynnym. Jeżeli zaś ziemia nie miała tej siły w owym czasie, zachodzi pytanie, skąd się na niej wzięło życie — pytanie, na które Newest nie potrafi dać odpowiedzi. Wszak na to widocznie wymyślił swą hipotezę, by przez samorodztwo wytłómaczyć pierwsze powstanie życia.

Sądzę, że to wszystko, co powiedziałem o badaniach nad samorodztwem, wykazuje dostatecznie, iż ono nie istnieje. Słusznie tedy ogół biologów przyjmuje bez zastrzeżeń zasadę W. Harveya (1578—1657): *Omne vivum ex ovo*[1], nadając jej poprawniejsze i dokładniejsze znaczenie w formułach: *omnis cellula ex cellula* (Virchow), *omnis nucleus ex nucleo* (Walter Flemming), *omne chromosoma e chromosomate* (Boveri). Zasada ta wyraża prawo przyrody. Prawom zaś przyrody przysługuje, jak świadczy nauka, stałość. Przyrodnicy są o tej stałości tak przekonani, że niektórzy z nich wiążą ją, jakkolwiek niesłusznie, z bezwzględną koniecznością. »Prawa — powiada n. p. Büchner[2] — kierujące dziełami przyrody,... są wieczne i nieodwołalne... Tutaj nie ma ani wyjątku, ani ograniczenia, i żadna potęga, którą można pomyśleć, nie potrafi przełamać tej konieczności«.

[1] Według Huxleya (Revue scientifique, 1 lipca 1871, str. 3) Harvey uchodzi mylnie za twórcę tej zasady. W każdym razie uznawał on samorodztwo pewnych zarodków (primordia oviformia). Zob. Bellynck, Cours de zoologie, Namur 1864, str. 73 i n.; por. W. Preyer, Biologische Zeitfragen, wyd. 2, Berlin 1889, str. 225 i nn.

[2] Dz. przyt., str. 36.

Zdawałoby się tedy, że jeżeli kto na podstawie faktów odrzuca heterogenezę w dzisiejszym świecie, to, uznając stałość praw przyrody, odrzuci ją także w każdym okresie geologicznym. W istocie zdrowy rozsądek tylko na to następstwo może się zgodzić. Tymczasem, jak widzieliśmy wyżej, mechaniści, chociaż przyznają, iż obecnie samorodztwo nie istnieje, przyjmują je na początku. Czy to nie jest wywrócenie doszczętnie najgłówniejszych zasad myślenia? Jak można z tych dwóch przesłanek: prawa przyrody są stałe, dziś samorodztwa nie ma — wysnuć wniosek: zatem samorodztwo istniało niegdyś? Czy rzeczone przesłanki nie prowadzą koniecznie do wprost przeciwnego wyniku, który leży jak na dłoni?

Jakkolwiek jednak postawiona przez mechanizm hipoteza samorodztwa urąga zasadniczym prawidłom logicznym, ma ona za sobą pewną filozofię, która się jej domaga. W rzeczy samej zagadnienie o początku życia jest przedewszystkiem filozoficzne, czyli — choć mechaniści nie lubią tego wyrazu — metafizyczne. Wszak nikt z ludzi nie był obecny przy powstaniu pierwszych ustrojów; sprawę tę można rozstrzygnąć tylko przy pomocy pewnego rozumowania, opartego na faktach. Wie o tem dobrze Virchow i dla tego nazywa heterogenezę »postulatem filozofii przyrody«. Z czegóż wynika ten postulat?

Przeciwnicy, chcąc dojść do niego, rozpoczynają zwyczajnie od dylematu. Albo hipoteza samorodztwa — słyszeliśmy z ust Haeckla — albo cud nadprzyrodzony. Albo teorya stworzenia — mówił nam Virchow — albo samorodztwo; *tertium non datur*.

Rozważmy pierwszy dylemat! Osobny wpływ Stwórcy przy pierwszem powstaniu życia nie jest właściwie cudem, a chociażby nim był, to Haeckel miałby prawo do wyboru pierwszego członu dylematu jedynie wtedy, gdyby wykazał, że cud jest niemożliwy. Atoli możliwość cudu uznaje nie tylko ludzkość w ogóle, nie tylko teolog lub filozof chrześcijański, lecz także wielu przyrodników nowożytnych, którzy przyjmują Boga osobowego [1]. W każdym razie żądamy od Haeckla dowodu na to, że drugi człon jego dylematu jest wykluczony [2].

Podobna uwaga dotyczy dylematu Virchowa. Sławny antro-

[1] Zob. moją Kosmologię, cz. I, Warszawa 1907, str. 241 i nn.

[2] A. Dippe (Naturphilosophie, Monachium 1907, str. 188) zwraca słusznie uwagę na to, że *generatio aequivoca*, której nie można poprzeć ani jednym faktem, byłaby również cudem.

polog odrzuca teoryę stworzenia, ale dla czego? »Jeśli nie chcę — przypominam jego słowa — przyjąć teoryi stworzenia, jeśli nie chcę wierzyć, iż był jakiś osobny Stwórca,... to muszę« przyjąć samorodztwo. Więc wszystko, gdy chodzi o Boga, zależy od chcenia: ani czyn stwórczy, ani istnienie Stwórcy nie dadzą się uzasadnić; można je uznać lub nie uznać według upodobania. Przypuśćmy na chwilę, że te twierdzenia są słuszne. Co się stanie z całem rozumowaniem, gdy ktoś, w przeciwieństwie do Virchowa, zechce przyjąć Stwórcę? Nie podlega wątpliwości, że cały wywód zwróci się przeciw Virchowowi. Więc inaczej powinien był autor rozwinąć swój dylemat. Należało powiedzieć: Albo czyn stwórczy Boga albo samorodztwo. Ponieważ jednak nie ma Boga, a tem samem nie ma także czynu stwórczego, przeto pozostaje jedynie *generatio aequivoca*. Tak też w istocie rozumują konsekwentni zwolennicy mechanicznego monizmu. Nie z powodu faktów, ale dzięki systemowi filozoficznemu, postawionemu *a priori*, tłómaczą początek życia przez samorodztwo. Życie musiało powstać tą drogą, bo tego domaga się koniecznie monizm, według którego istnieje tylko odwieczna materya i ruch odwieczny. Z materyi jednorodnej wyłoniły się osobne pierwiastki chemiczne, a później wyszły wszystkie ustroje od najprostszego żyjątka jednokomórkowego aż do człowieka.

Zrozumiemy teraz, dla czego sam Virchow nazwał później samorodztwo postulatem filozofii przyrody, albo dla czego dziś Weismann widzi w niem »logiczną konieczność«. Bez samorodztwa nie ostałby się system monistycznej filozofii, nie ostałby się wykluczający Boga darwinizm. »Sprzeciwia się — woła Tyndall — duchowi i metodzie przyrodnictwa przyjmować antropomorficznego Stwórcę[1]. Pierwotna mgławica i układ słoneczny wraz z życiem mają się tak do siebie, jak się ma zarodek do gotowego ustroju[2]. Nauka o samorodztwie — wyznaje bez ogródek Huxley[3] — »jest koniecznem następstwem, wysnutem w sposób prawidłowy z idei Darwina«. To samo powtarza od lat kilkudziesięciu, we wszystkich swych książkach, główny twórca monizmu ewolucyjnego, Haeckel.

Łatwo się domyśleć, pod jakimi warunkami moglibyśmy uznać

[1] Fragmente aus den Naturwissenschaften (tłóm. niem. Helmholtza i Du Bois-Reymonda), 2 t., wyd. 2, Brunświk 1899, t. II, str. 479.

[2] Tamże, str. 250.

[3] Cytat według Gerarda, L'antico enigma, tłóm. wł. A. Gemellego, Florencya 1906, str. 52.

samorodztwo za konieczność logiczną lub postulat filozoficzny. Przeciwnicy musieliby przedtem wykazać, że rzeczywiście nie ma Stwórcy, że materya i ruch istnieją nie tylko odwiecznie, ale także z siebie, że ślepy rozwój mechaniczny dał początek wszystkim pierwiastkom ustrojom, że panujący w przyrodzie ład jest dziełem przypadku. Są to jednak tezy, których nikt nie potrafi uzasadnić. Im większe są wysiłki monistów, im dłużej pracują nad budową swego systemu, tem bardziej rozpadają się jego ściany i fundamenty, tem jaskrawiej uwydatniają się jego sprzeczności. Na odwrót zwalczane przez monizm prawdy, jak istnienie Najwyższej Przyczyny, która powołała do bytu materyę i dała jej ruch, która przez swe prawa kierowała rozwojem świata nieorganicznego i organicznego, są wobec nieuprzedzonego umysłu wyższe ponad wszelką wątpliwość.

Zresztą sami moniści nie tylko czują dobrze, że ich hipoteza samorodnego powstania ustrojów opiera się na kruchych podstawach, lecz także wypowiadają to nieraz bez dwuznaczników. Huxley [1] n. p. zowie swe przekonanie o ewolucyi żywej protoplazmy z materyi martwej »aktem wiary filozoficznej«. Jest to, sądzę, mimowolne uznanie bankructwa monistycznego systemu. W rzeczy samej, co może on wartać, jeśli zamiast oprzeć swe twierdzenia na faktach, odwołuje się do jakiejś filozoficznej wiary, która prócz szumnej nazwy nie ma żadnego znaczenia? Dodajmy, że do wiary ucieka się tutaj ten sam Huxley, który w innem miejscu [2] uważa akt wiary za błąd nie do darowania.

Inni przyrodnicy, jakkolwiek nie przyznają się do monizmu, mówią, iż »musimy« przyjąć w dalekiej przeszłości samorodztwo, »jeżeli chcemy w sposób przyrodniczy wytłómaczyć początek życia«.

Nie rozumiem tego rozumowania. Jak może przyrodniczy sposób tłómaczenia życia domagać się samorodztwa, skoro samorodztwo sprzeciwia się właśnie faktom przyrodniczym? Czy tedy przyjęcie samorodztwa nie jest tłómaczeniem, że tak powiem, antyprzyrodniczem? Dziwna, doprawdy, metoda. Przyrodnicy powtarzają ustawicznie z dumą, że opierają się tylko na faktach; lecz gdy chodzi o początek życia, natenczas wielu z nich ucieka się, wbrew wszelkim faktom, do samorodztwa. Powiesz, że wolno im sięgać poza fakty przy pomocy hipotezy. Prawda, atoli dodać należy, że hipoteza,

[1] Critiques and addresses, 1873, str. 238 i n.
[2] Lay sermons, 1870, str. 18.

która się sprzeciwia faktom, jest czystą fikcyą. *Hypotheses non fingo* — powiedział wielki Newton. Z drugiej strony przypominam, że nauka przyrodnicza nie jest jedyną umiejętnością, która ma prawo zająć się zagadnieniem o początku życia. Owszem, zagadnienie to, jak zaznaczyłem przed chwilą, należy głównie do umiejętności wyższej, a mianowicid do filozofii. »Przyrodnik — powiada słusznie J. Ude[1] — ma w swych badaniach przedmiot gotowy. Są nim rzeczy natury, świat i jego zjawiska, o ile stanowią przedmiot zmysłowego doświadczenia, oraz podlegają eksperymentowi i obserwacyi. Opisać przedmioty przyrody, wykryć ich przyczynowy związek, sprawdzić prawidłowość rozwoju świata, tudzież przedstawić formuły tej rządzącej kosmosem prawidłowości i celowości — to, nie mniej i nie więcej, jest zadaniem nauki przyrodniczej... Gdzie zaś badacz natury odkłada na bok sondę, retortę, mikroskop i t. d., tam rozpoczyna się praca filozofa«. Czy więc przyrodnik nie może rozprawiać o początku życia? Nikt mu tego prawa nie odmawia. Problem, o którym mowa, nasuwa się nie tylko badaczowi natury, ale każdemu w ogóle należycie rozwiniętemu człowiekowi, bo tego rodzaju zagadnienia wynikają z przyrodzonych potrzeb naszego umysłu. Stąd nikt nie może być obojętny na pytanie, skąd się wzięło życie, tak samo, jak każdy z nas pyta, skąd świat, skąd rozmaitość jego martwych i żyjących tworów, skąd człowiek? Przy tem wszystkiem jednak należy zawsze pamiętać, że, zajmując się takiemi kwestyami, wkraczamy w dziedzinę metafizyczną. Więc nie wszystko daje się tłómaczyć sposobem przyrodniczym; nauka przyrodnicza, jak każda specyalna, ma ściśle oznaczony zakres, poza którym kończy się jej panowanie. Jak tedy w błędzie byłby historyk, który zagadnienia matematyki lub fizyki chciałby rozwiązywać sposobem historycznym, tak samo myli się przyrodnik, jeżeli patrzy na wszystko przez pryzmat nauk przyrodniczych.

Nie ma więc żadnej podstawy do przypuszczenia, jakoby pierwsze życie powstało przez heterogenezę. Przeciwnie, skoro ona dziś nie istnieje, należy wnosić, że nie było jej nigdy, bo prawa przyrody są stałe. Ale tutaj zebiegają mi drogę mechaniści, powołując się na to, że dawniej istniały na ziemi korzystniejsze warunki do samorzutnego powstania życia, tudzież że pierwsze ustroje posiadały budowę znacznie prostszą, aniżeli dziś nam znane ustroje o najniższej orga-

[1] Materie und Leben, Monachium 1909, str. 84 i n.

nizacyi. »Biologowie — pisze H. Spencer [1] — zgadzają się w ogóle w twierdzeniu, iż w obecnym stanie świata z materyi nieżyjącej nie powstają nigdy jestestwa żyjące. Nie przeczą jednak, że w pewnym okresie odległego czasu, kiedy ciepłota powierzchni ziemi znacznie przewyższała dzisiejszą, i kiedy fizyczne warunki były różne od tych, które znamy, materya nieorganiczna dała początek materyi organicznej za pomocą następujących po sobie kombinacyi«. »Należałoby mniemać — są znowu słowa K. Günthera [2] — że, im mniejsze są zwierzęta, tem prostszą posiadają również budowę, jak już bakterye okazują znacznie prostsze stosunki w komórkach, aniżeli właściwe zwierzęta komórkowe. Ostatecznie możemy sobie pomyśleć także takie niewidzialne zwierzęta, których małość nie przypuszcza już żadnego zróżnicowania. W każdym razie jest usprawiedliwione przypuszczenie, że w czasie powstania życia na ziemi istniały takie jestestwa, i że dopiero zwolna rozwinęły się z nich ustroje komórkowe. Według bowiem teoryi descendencyi złożone rozwinęło się z prostego. Najprostsze zaś, co jest w organizmach, to grudka równobarwnej substancyi żywej; należałoby tedy sądzić, że zrazu powstała żywa substancya, zanim mogło się rozpocząć jej zróżnicowanie«.

Czy warunki powstania życia były w najdawniejszych okresach korzystniejsze, aniżeli są dzisiaj? Nie mamy, sądzę, najmniejszej podstawy do twierdzenia, żeby tak było. Doświadczenie uczy nas raczej, że zmiana warunków obecnych osłabia czynności życiowe, a jeżeli jest wielka, sprowadza nawet śmierć ustrojów [3]. Zresztą fizyk i chemik potrafią w naszych czasach zmieniać przypuszczalne

---

[1] Nineteenth Century, 1886, marzec, str. 769.

[2] Vom Urtier zum Menschen, 2 t., Stuttgart 1909, t. I, str. 42.

[3] »Znamy — powiada znakomity badacz przyrody, J. Henle (Anthropologische Vorträge, 2 zesz., Brunświk 1880, zesz. II, str. 73) — zachowanie się organicznej materyi wobec temperatury, ciśnienia, elektryczności i t. d. Za pomocą stopni zimna i ciepła, zgęszczenia i rozrzedzenia powietrza, które mamy pod ręką, sprawiamy skrzepnięcie białka, oraz niszczymy roślinną i zwierzęcą budowę. Ale nikt nie będzie chciał mówić, że siły, które dzisiaj zabijają życie, dawniej, gdy były potężniejsze, służyły do tego, aby je budzić. Gdyby zaś wolno było botanikowi lub zoologowi przyjąć jakiś okres, w którym chemiczne powinowactwa pierwiastków różniły się od dzisiejszych, to kto zabroni wówczas geologowi wymyśleć okres całkiem innych ciężarów gatunkowych, w którym granitowe bryły unosiły się na wodzie?«

warunki życiowe w nieskończoność, a jednak żaden z nich nie zauważył nigdy śladów samorodztwa. Odwoływanie się znowu Günthera do niewidzialnych żyjątek, które tak są małe, iż nie posiadają żadnej organizacyi, stoi w rażącej sprzeczności z nauką. Nowożytna biologia nie zna żadnego jestestwa żyjącego, które posiadałoby budowę prostszą od komórki. Nadto, skoro owe niewidzialne żyjątka istotnie żyją i dają początek zróżniczkowanym ustrojom, to muszą posiadać pewną organizacyę. Bez organizacyi bowiem nie ma w przyrodzie ani odżywiania się, ani rozmnażania: wszelka komórka powstaje tylko przez podział komórki już istniejącej; podobnie każde jądro komórkowe i każdy chromosom zawdzięczają swój początek w obręcie komórki innemu jądru i innemu chromosomowi. Rozprawianie przeto o zwierzętach, będących tylko grudką równobarwnej substancyi, jest czystą spekulacyą, godną bujającego w obłokach fantasty, ale nie trzeźwego przyrodnika. Co więcej, gdyby nawet taka substancya istniała, należałoby dać odpowiedź na najważniejsze pytanie, skąd się wzięło jej życie. To jest *nervus rei*, o który chodzi przedewszystkiem. Czy hipoteza Günthera wyświetla tę tajemnicę? Powołuje się jedynie na teoryę descendencyi, według której »złożone rozwinęło się z prostego«. Jednakowoż każdy widzi, że to tłómaczenie samorzutnego powstawania pierwszych jestestw żyjących jest znowu wplecione w teoryę descendencyi nieograniczonej, która nie da się poprzeć żadnymi faktami. Jakkolwiek bowiem w pewnym zakresie rozwój jednych gatunków systematycznych z drugich jest prawdopodobny, to jednak powszechna ewolucya królestwa zwierzęcego z roślinnego, a roślinnego z mineralnego jest tylko pobożnem życzeniem skrajnego darwinizmu.

Ale hipotezie pierwotnego samorodztwa nie tylko brakuje wszelkiej podstawy naukowej; jest ona jeszcze wprost niedopuszczalna z innych, a mianowicie pozytywnych względów. Jeżeli, jak się okazało wyżej, istnieje różnica istotna między materyą żyjącą a martwą, to samorzutnie powstanie pierwszej z drugiej jest bezwarunkowo niemożliwe. Bo niepodobna przyjąć, żeby większe rozwinęło się samo z mniejszego, złożone z prostego, doskonalsze z mniej doskonałego, chyba że się odrzuci zasadę przyczynowości, która żąda dla każdego skutku nie tylko jakiejkolwiek przyczyny, ale przyczyny, odpowiadającej skutkowi. Choćby tedy istniały najkorzystniejsze warunki zewnętrzne dla zjawisk życiowych, nigdy rzecz martwa nie zdołałaby się ożywić o własnych siłach; w przeciwnym razie dawa-

łaby sobie to, czego zgoła nie posiada. Słusznie tedy pyta E. Vacherot[1]: »Jak mogła ewolucya uczynić, żeby z materyi powstały jestestwa, mające przymioty zupełnie różne od przymiotów materyi? Jak mogła zdziałać te cuda skutków bez przyczyn? Jak, żeby mówić językiem Arystotelesa, może lepsze wyjść z gorszego?«

Zarzuci kto, że dawna filozofia scholastyczna, chociaż przestrzegała pilnie zasady przyczynowości, nie uważała heterogenezy za rzecz niemożliwą Wszak nawet najsławniejszy scholastyk, św. Tomasz z Akwinu, utrzymywał, iż najniższe zwierzęta rodzą się z ciał gnijących.

To wszystko jest prawdą. Ale nie wolno przemilczeć, że starzy scholastycy pojmowali heterogenezę zupełnie inaczej, aniżeli dzisiejsi moniści. Tomasz z Akwinu wręcz odrzuca zdanie arabskiego filozofa, Avicenny, jakoby zwierzęta mogły powstać bez nasienia przez samo »pomięszanie pierwiastków«. Jestestwa, rodzące się, jak zwyczajnie bywa, z nasienia, rodzą się dla tego, że w nasieniu tkwi siła kształtująca *(virtus formativa)*; »zamiast tej siły istnieje w bytach, rodzących się ze zgnilizny, siła ciała niebieskiego«[2]. Tak więc niższe ustroje powstają z gnijącej materyi pod wpływem ciał niebieskich, którym ówczesna fizyka przypisywała naturę szlachetniejszą, niż substancyom ziemskim. Owszem, ciała niebieskie odgrywały w tym wypadku tylko rolę narzędzi, działających pod wpływem duchów, które poruszały gwiazdy[3]. Były to niewątpliwie domysły które dzisiejszy uczony nazwie słusznie naiwnymi[4], ale każdy mus przyznać że pojęta w ten sposób heterogeneza nie zawierała w sobie wewnętrznej sprzeczności, bo tłómaczyła powstanie życia tam gdzie ono było nieznane, działaniem jestestw wyższych. Innemi słowy, *generatio aequivoca* średniowiecznych scholastyków różniła się zasadniczo od samorodztwa właściwego, w którem, jak nazwa wskazuje, życie ma powstawać samorzutnie w materyi martwej.

[1] Revue des deux mondes, 1878, t. 30, str. 834.

[2] Summa theologica, I, q. 71, a. unicus, ad 1.

[3] Tamże, q. 70, a. 3, ad 3.

[4] Że co do tych domysłów nasuwały się św. Tomaszowi poważne wątpliwości, pokazują następujące jego słowa: «Licet enim talibus suppositionibus factis apparentia salvarentur, non tamen oportet dicere has suppositiones esse veras, quia forte secundum aliquem alium modum nondum ab hominibus comprehensum apparentia circa stellas salvantur (In lib. II de coelo et mundo, lect. 17).

Jest tedy pewne, że taka *generatio aequivoca*, jaką przypuszczają nasi przeciwnicy, nie daje się pogodzić z zasadą przyczynowości.

Znany nam profesor botaniki w Kielu, J. Reinke [1], wykazuje fizyczną niemożliwość samorodztwa w następujący sposób:

Sprawa samorodztwa obejmuje dwa zagadnienia, a mianowicie pochodzenie materyałów, wchodzących w skład komórki, tudzież utworzenie z nich komórki.

Każda komórka składa się z wielu związków organicznych, do których należą ciała białkowate, węglowodany i tłuszcze. Oto najważniejsze materyały komórki. Aby uprościć zagadnienie, zajmiemy się tylko białkiem i węglowodanami. W skład białka wchodzą przedewszystkiem węgiel, wodór, tlen, azot i siarka. W chwili, kiedy kula ziemska oziębiła się do tego stopnia, że mogła nastąpić synteza wymienionych pierwiastków, węgiel istniał tylko jako bezwodnik węglowy, wodór w wodzie, tlen w wodzie i powietrzu, azot jako kwas azotowy i składnik powietrza, wreszcie siarka jako siarczany. Są to te same substancye lub związki, które i dziś służą za pokarm roślinom. Nie ma bowiem żadnej podstawy do przypuszczenia, jakoby po oziębieniu się ziemi wymienione pierwiastki występowały w innych związkach. Aby jednak mogło się utworzyć pierwsze białko, musiały bezwodnik węgla, kwas azotowy i siarkowy ulec wpierw redukcyi, t. j. musiały stracić pewną część tlenu. Takiej redukcyi dokonywują codziennie dzisiejsze rośliny przy pomocy swego chlorofilu i promieniującej energii słońca. Prócz roślin przeprowadza podobny proces tylko chemik, wystawiając rzeczone związki na działanie ciał, które posiadają większe powinowactwo z tlenem, aniżeli węgiel, azot i siarka. Samorzutna tedy redukcya związków jest przy początku życia wykluczona. Lecz przypuśćmy nawet, że nastąpiła ona przypadkiem wskutek jakiejś niepojętej katastrofy chemicznej. Jeszcze dziwniejsza katastrofa byłaby potrzebna, aby z ułożenia atomów, sprawionego redukcyą, utworzył się najprostszy węglowodan. Aby uzyskać atomy węgla, nieodzowne do powstania jednej cząsteczki najniższego węglowodanu, potrzeba rozbić sześć cząsteczek bezwodnika węglowego. Otóż do tego nie było sił w przyrodzie martwej; według prawa chemicznego wszystkie postaci energii muszą

[1] Die Welt als Tat, wyd. 2, Berlin 1901, str. 312 i nn; zob. także jego Philosophie der Botanik, Lipsk 1905 (rozdz. 12).

przechodzić z układów o wyższem napięciu do układów o napięciu niższem. Tem mniej mogły powstać bardzo złożone substancye białkowate. Innemi słowy, mielibyśmy przed sobą niepojęty przypadek, tak nieprawdopodobny, że z pewnością każdy chemik nazwie go niemożliwym.

Chociażby jednak składające się na komórkę materyały powstały same przez się, sprawa samorodztwa nie wieleby na tem zyskała. »Wtenczas bowiem — ciągnie dalej sławny botanik — stoimy przed nierównie trudniejszem pytaniem, jak z tych materyałów budulcowych powstała komórka żywa... Zadanie to, mniemam, należy uważać za trudniejsze dla tego, że ludziom udała się wprawdzie synteza organicznych związków, ale nie udała się budowa komórki z tychże związków. Pierwsza komórka musiała od początku swego istnienia być wykończoną i celowo działającą maszyną, nakręconym automatem; jako taka musiała się wznieść ponad mięszaninę i nieład związków chemicznych. Życie jej polegało wówczas, jak proces życiowy każdego ustroju, głównie na wydawaniu energii. Dla pokrycia tej straty, musiała pierwsza komórka nabyć jak najrychlej prawdziwą zdolność zamieniania promienistej energii słońca w energię chemiczną, t. j. w odnawiający się zapas związków węglowych, które jako materyał palny równoważyłyby jej oddychanie. Do tego potrzeba było wytworzenia chlorofilu. I chociażbyśmy przyznali, iż w pierwszych komórkach jądro i barwik nie mogły jeszcze być wyróżniczkowane w plazmie tak doskonale, jak to dziś widzimy w prawidłowej komórce, jednakowoż w każdym razie musiał w pierwszej komórce powstać razem z nią narząd do przemiany energii promieniującej w chemiczną, narząd, który okazał się wrażliwym na wpływy zewnętrzne i posiadał zdolność rozmnażania się przez podział.

»Do utworzenia takiego narządu nie wystarczy nawet chemiczna katastrofa, którą przypuściliśmy poprzednio w charakterze pomocniczej hipotezy. Bo chociażbyśmy przyjęli materyał chemiczny już jako gotowy, to przecie nie można z niego wyprowadzić komórki, która byłaby wynikiem chemicznych energii... Przypuśćmy, że chemiczny materyał budulcowy istniał w całości na miejscu, i że na zewnątrz panowały korzystne warunki fizyczne, zawsze jednak prócz tego trzeba było przedziwnie celowego kierunku energii, aby komórkę powołać do bytu. Ten zaś kierunek musiał być niesłychanie złożony, albo raczej był wielkim szeregiem harmonijnych kie-

runków. Do spełnienia takich zadań pozostaje w hipotezie samorodztwa znowu tylko przypadek jako przyczyna.

»Wyobraźmy sobie, iż starto na proch zegarek kieszonkowy! Czy znajdzie się śmiałek, któryby przypuścił jako rzecz bodaj tylko możliwą, że te części pod wpływem energii mechanicznej złączą się znowu w zegarek szczęśliwym trafem? Jeżeli zaś materyały, z których się składał zegarek, nie posiadają żadnej skłonności do tego, aby go utworzyć, to to samo stosuje się do komórki i do tworzących ją materyałów. W białku jako takiem nie ma wcale przyczyny do utworzenia komórki...

»Mieszaninę związków, n. p. soli kuchennej i asparaginy, mogę rozetrzeć i rozpuścić w wodzie: składniki mieszaniny krystalizują zawsze w postaci znamiennej. Materye białkowate i węglowodany przybierają także, skoro okoliczności są korzystne, formę kryształów. Ale materye, będące podścieliskiem życia, nie są nigdy skrystalizowane; krystalizacya oznacza zawsze stan martwy, nawet w białku. To też siły chemiczne, działające w najkorzystniejszej mieszaninie materyi, nie utworzą tego, coby można uważać choćby za pierwszy krok w kierunku utworzenia komórki. Zgodnie z doświadczeniem znamy tylko jedno pochodzenie komórki, t. j. jej powstanie przez czynność rozrodczą«.

Na podstawie takich rozważań dochodzi Reinke do wyniku, wyrażonego w innem dziele[1] słowami, »że przyjęcie samorodztwa przed dawnemi laty odpowiada tak mało naszym pojęciom o przyczynowości, jak gdyby kto chciał postawić hipotezę, iż przed milionem lat woda sama przez się płynęła do góry«.

Chociaż jednak samorodztwo sprzeciwia się i doświadczeniu i rozumowi, obrońcy jego używają różnych wybiegów, aby dowieść, że ono musiało istnieć na progu ewolucyi. Przypatrzmy się bliżej tym pomysłom.

Najpierw spotykamy tu i ówdzie usiłowania, zmierzające do tego, aby wykazać w przyrodzie jakieś najprostsze podścieliska życiowe. Sądzono bowiem, że w ten sposób łatwo można pojąć samorzutne powstanie życia w materyi nieorganicznej.

Niezrównanym mistrzem jest tutaj Haeckel. Już Oken, jego poprzednik na katedrze w Jenie, przypuszczał galaretowaty praszlam,

---

[1] Einleitung in die theoretische Biologie, Berlin 1901, str. 558.

t. j. pierwotną materyę organiczną, która, powstawszy samodzielnie w oceanie, wydała »pęcherzyki«, będące składnikami ustrojów. Ta »wielka myśl« podobała się Haecklowi. Według niemieckiego Darwina pierwszem jestestwem żyjącem był archiplasson, czyli pierwotna zarodź, utworzona przez wewnętrzne siły materyi; archiplasson dał początek bioplassonowi, z którego powstała wszelka materyą zorganizowana. W ten sposób zjawiło się na świecie pierwsze żyjątko o postaci określonej, czyli monera, która, choć spełniała zasadnicze funkcye życiowe, była bryłką zarodzi bez wewnętrznej struktury i narządów. Dopiero później w jednorodnej plazmie moner wyróżniczkowało się jądro, wskutek czego przyszła na świat pierwsza komórka[1]. Nadto twierdził Haeckel, że takie ogniwo pośrednie między światem martwym a żywym musi dzisiaj jeszcze istnieć. Był też czas, choć krótki, w którym sądzono, że odkryto praszlam organiczny, przedstawiający życie w najprostszej postaci. Oto w r. 1868 znaleziono (Thomson i Carpenter) na dnie morskiem masę galaretowatą, mającą być owym długo poszukiwanym praszlamem. Kilka przechowanych w alkoholu próbek tejże masy zbadał później Huxley; przekonawszy się, że ona zawiera w sobie zarodź, ochrzcił ją na cześć proroka jenajskiego *Bathybius Haeckelii*. Przez jakiś czas uchodził *Bathybius* za »jeden — jak się wyraził uradowany odkryciem Haeckel — z głównych filarów nowożytnej teoryi rozwoju«, za samorodne przejście z królestwa nieorganicznego do organicznego. Niestety, okazało się niebawem, że sławny *Bathybius* jest tylko osadem gipsowym, albo, jak twierdzi Milne-Edwards, »klejowatą masą, którą wydają z siebie gąbki i pewne zwierzokrzewy, gdy narzędzia rybaków przygniotą ich tkanki«. Stąd Huxley i Haeckel odwołali po kilku latach swe twierdzenia[2]. Nie lepsze były losy *Protobathybiusa,*

---

[1] Haeckel, Generelle Morphologie der Organismen, 2 t., Berlin 1866, t. I, str. 167—190. To samo powtarzają dotychczas uczniowie Haeckla. H. Schmidt n. p. opisuje historyczny rozwój moner. Najpierw z prostych związków nieorganicznych utworzyły się bogate w azot związki węglowe, które przybrały później postać ciał białkowatych (albuminy). Potem cząsteczki albuminów związały się w grupy, zwane micellami; dalej powstały plasonelle, a w końcu monery. Schmidt, Die Urzeugung und Professor Reinke, Jena (Gemeinverständl. Darwinistische Vorträge u. Abhandlungen, zesz. 8).

[2] Tylko profesor padewski, Maggi, wierzył — jak poświadcza Ballerini, Il principio di causalità, wyd. 2, Florencya 1908, str. 198 — aż do końca swego życia (1906 r.), że Bathybius Haeckelii jest dowodem samorodztwa.

odkrytego w czasie wyprawy do bieguna północnego przez E. Besselsa. Pouczony smutnem doświadczeniem Haeckel nie przyznał się do tego noworodka, o którym Wasmann[1] pisze, że w najlepszym razie jest on osadem, powstałym na dnie morskiem z resztek pewnych ustrojów[2].

Mimo to wszystko, Haeckel utrzymuje do dnia dzisiejszego, że tak wolno żyjące monery (najniższe żyjątka typu pierwotniaków i bakterye), jak wchodzące w skład tkanek cytody, zawierają tylko zarodź pierwotną bez jądra[3].

Atoli nauka obecna nie zna żyjątek, o których możnaby powiedzieć na pewno, iż nie mają jądra. Owszem, im bardziej doskonalą się przyrządy i metody badania, tem więcej rozpowszechnia się wprost przeciwne zapatrywanie. »Stąd — jak powiada R. Hertwig[4] — jest rzeczą prawdopodobną, że u niewielu postaci, które jeszcze uchodzą za monery, dotychczas tylko przeoczono jądra«. Stosuje się to także do najmniejszych przedstawicieli świata roślinnego, do bakteryi, zaliczonych przez Haeckla do moner; mają one — jak świadczą najnowsze prace R. Raymanna i R. Kruisa, F. Vejdowskiego i A. Meyera[5] — przynajmniej substancyę jądrową, rozdzieloną na maleńkie ziarna chromatyny. Nic też nie wiadomo dzisiejszej biologii o haecklowskich cytodach w wielokomórkowych ustrojach. Wprawdzie ciałka czerwone, znajdujące się w krwi niektórych zwierząt, są pozbawione jądra, atoli młode komórki tychże ciałek mają je niewątpliwie; nadto ciałka czerwone rozmnażają się przez podział jąder. Stąd stare ciałka czerwone bez jąder uchodzą za komórki zużyte i zmarniałe; jako resztki dawniejszych komórek żywych stają się one niebawem łupem białych ciałek krwi, czyli leukocytów[6].

»Zdaje się — przytaczam słowa Verworna[7] — według obecnego stanu naszych wiadomości, że pośród żyjących dzisiaj na ziemi ustrojów nie ma w ogóle komórek, w których nie byłoby rozdziału

---

[1] Die moderne Biologie und die Entwicklungstheorie, wyd. 3, Fryburg 1906, str. 184.

[2] Zob. M. Gander, Der erste Organismus, Einsiedeln 1904, str. 6 i n.

[3] Die Welträthsel, wyd. 7, Bonn 1901, str. 427.

[4] Lehrbuch der Zoologie, wyd. 8, 1907, str. 164.

[5] Der Zellkern der Bakterien, Flora, t. 98, zesz. 3.

[6] Wasmann, dz. przyt., str. 188.

[7] Allgemeine Physiologie, wyd. 5, str. 78.

między dwiema różnemi substancyami, że tedy każda komórka prócz protoplazmy posiada także jądro«. W każdym razie zwolennicy samorodztwa nie mają żadnego prawa powoływać się na monery i cytody, jako najprostsze jestestwa żyjące o jednorodnej zarodzi bez jąder.

Jeśli monery i cytody nie podpierają samorodztwa, to tem mniej mogą to czynić jeszcze prostsze składniki komórki, podawane przez wielu za samodzielne jednostki biologiczne. Jak mianowicie fizycy i chemicy, dla wytłómaczenia zjawisk fizycznych i chemicznych, uciekają się do atomizmu, tak wielu biologów, chcąc wyjaśnić pewne zjawiska życiowe, zwłaszcza dziedziczność, przypuszcza, że zarodź składa się z elementarnych osobników zorganizowanych, których nie można zobaczyć przez najlepszy mikroskop. Tak powstał cały szereg hipotez, rozpoczęty przez fizyologa wiedeńskiego, Ernesta Brückego, i Herberta Spencera, według którego każda komórka jest zrzeszeniem niewidzialnych jednostek fizyologicznych *(physiological units)*. Za nimi poszli inni. Darwin przyjął w swej słynnej teoryi pangenezy t. zw. gemmule *(gemmules)*, Erlsberg, Haeckel, Maggi i Cope plastydule, Naegeli micelle, de Vries pangeny, Verworn biogeny, W. Roux cząstki metastrukturalne *(Metastrukturteilchen)*, Wiesner plasomy, W. Haacke gemmy, L. Zehnder fistelle, Simroth biokryształy, O. Hertwig idioblasty, Weismann biofory. Co więcej, niektórzy mniemają, że jednostki życiowe tworzą coraz bardziej złożone jednostki wyższego rzędu. Tak n. p. według Weismanna przez skupienie bioforów powstają determinanty; determinanty składają się znowu na idy, a idy na idanty. Idy i idanty są widzialne pod mikroskopem; jako te ostatnie chromosomy, zawarte w jądrze komórek, tamtej ako wchodzące w skład chromosomów mikrosomy. Wreszcie Altmann upatruje ostateczne elementy życiowe w granulach lub bioblastach. Nazywa je granulami, o ile dadzą się widzieć pod mikroskopem w postaci drobniutkich ziarnek, a bioblastami, o ile tworzą przypuszczalne osobniki drugiego rzędu, czyli wchodzące w skład komórki ustroje elementarne.

Yves Delage[1] sądzi, że teorya Altmanna jest »znacznie mniej hipotetyczna, aniżeli wszystkie poprzednie«. W rzeczy samej bioplasty istnieją jako ziarnka w cytoplazmie komórki. Atoli bezpodstawne

[1] L'hérédité et les grands problèmes de la biologie générale, wyd. 2, Paryż 1903, str. 532.

jest zgoła twierdzenie, jakoby były niezależnymi ustrojami; należałoby wpierw wykazać, że one mogą poza komórką spełniać jakiekolwiek czynności życiowe. To samo stosuje się do id i idant Weismanna, jeżeli te wyrazy znaczą to samo, co mikrosomy i chromosomy. Nawet te ostatnie nie posiadają indywidualności życiowej, bo żaden chromosom nie może istnieć bez protoplazmy. Co do determinant, bioforów, idioblastów i t. d., to nawet nie wiemy, czy one istnieją; zbyteczna tedy rozprawiać o nich jako jednostkach życiowych. Według dzisiejszych badań biologicznych należy uważać za taką jednostkę komórkę, a nie żadną z jej części. Jakoż tylko komórka jest tą częścią złożonego morfologicznie ustroju, która może, przynajmniej w pewnych warunkach, samoistnie żyć, czyli spełniać czynności życiowe, wspólne wszystkim ustrojom [1]. Jeżeli zaś komórka jest najniższą jednostką życiową, to z biologicznego punktu widzenia nie ulega wątpliwości, że i pierwszy ustrój, w którym zabłysło życie, był przynajmniej komórką. Zresztą, choćby w komórce istniały jakieś niesłychanie małe osobniki żyjące, nic na tem nie zyskaliby obrońcy samorodztwa. Zagadnienie życia nie byłoby jeszcze przez to rozwiązane, ale tylko przesunięte do owych tajemniczych jednostek. »W tych niewidzialnych czynnikach życia — powiada za Raffaelem Gemelli [2] — czy one się nazywają bioforami, bioblastami, micellami, gemmulami lub inaczej, czy one są utworzone w ten lub inny sposób, czy mają te lub owe cechy, które im przypisuje wyobraźnia, albo których się domagają potrzeby tej lub innej hipotezy, możemy znaleść tylko to, co w nie wkładamy; znajdujemy tedy niezmienione zagadnienie życia tak samo, jak je znajdujemy w wielkiem lub małem zwierzęciu, w roślinie lub nasieniu, w człowieku lub amebie, w układzie wielu komórek lub w każdej komórce z osobna«. Co więcej, im mniejsze będą przypuszczalne jednostki życiowe, tem trudniej rozwiązać zagadkę życia, jeśli się zważy, że z takiej jednostki ma się z czasem rozwinąć sztucznie zbudowany ustrój.

Przejdźmy do innej próby genezy życia z pomocą samorodztwa. Dotyczy ona pewnych sztucznych utworów, mających stać na granicy świata nieorganicznego i organicznego, a tem samem pośredniczyć między nimi.

[1] Zob. Verworn, Allgemeine Physiologie, str. 69 i n.
[2] L'enigma della vita, str. 265.

Mniemano niegdyś, że związki organiczne, czyli węglowe mogą się tworzyć tylko w żywym ustroju. Tymczasem w r. 1828 Wöhler i Liebig dokonali syntezy chemicznej mocznika, ciała, tworzącego się w organizmie zwierząt i ludzi, a wchodzącego w skład ich moczu. Za tą syntezą przyszły niebawem inne; dzisiaj znamy długi szereg takich związków, otrzymanych w laboratoryach, jak n. p. kwas moczowy, ksantynę, hipoksantynę, adeninę, guaninę, kafeinę, teobrominę i t. d. Biochemicy żywią nadzieję, że prędzej czy później uda im się dokonać także tych syntez organicznych, które dotychczas nie dały się osiągnąć; chodzi tu przedewszystkiem o utworzenie białka. Niema żadnej podstawy do twierdzenia, jakoby te nadzieje chemików były płonne; przeciwnie jest rzeczą bardzo prawdopodobną, iż one się ziszczą.

Niespodziewane wyniki chemii organicznej nasunęły myśl, że jakieś początkowe życie można wytworzyć sztucznie. Powstała nawet osobna nauka, zwana plazmogenią lub plazmologią, która bada fizyczne warunki powstawania objawów życiowych w substancyach nieorganicznych, a od czasu do czasu dają się słyszeć głosy, że te warunki, przynajmniej w części, są już znane. »Liczni badacze — pisze Fabian[1] — między nimi Hanstein w Bonn, Traube we Wrocławiu i Hartig w Utrechcie, doszli nie tylko do wytworzenia sztucznych krystaloidów, lecz do powstania sztucznych komórek... Traubemu wreszcie udało się wywołać nawet wzrost sztucznych komórek, sporządzonych z mieszaniny kleju i garbnika, wskutek wessania materyału odżywczego przez dziurkowatą ściankę, zupełnie tak samo, jak się to dzieje w komórce żywej«. Po Traubem (r. 1865) zajmowało się sztucznemi komórkami wielu innych badaczy; z najnowszych godni są wspomnienia przedewszystkiem profesor meksykański, A. L. Herrera, i profesor z Nantes, S. Leduc, których prace, podjęte w ostatniem dziesięcioleciu, zaciekawiły nie tylko zawodowych uczonych, lecz także szerszą publiczność.

Herrera,[2] przypuściwszy, że krzem, pierwiastek najbardziej po tlenie rozpowszechniony, tworzy istotny składnik żywej protoplazmy, próbował za pomocą pewnych rozczynów kwasów krzemowych wytworzyć sztuczne komórki. W rzeczy samej otrzymał on tą drogą

[1] Z nauki o życiu, Warszawa 1901, str. 85.

[2] Notions générales de biologie et de plasmogénie comparées, tłóm. franc. Renaudet'a, Berlin 1906.

bardzo wiele najrozmaitszych (przeszło 500) postaci, przypominających komórki tkanek. Leduc[1] wyrabia obok tego sztuczne rośliny. W tym celu przygotowuje z mieszaniny cukru i siarczanu miedzi t. zw. nasienie i kładzie je do ciepłego (40° C) rozczynu żelatyny, soli kuchennej i żółtego żelazosinku potasowego. Wnet tworzy się na powierzchni nasienia półprzenikliwa błona z żelażosinku miedziowego, przepuszczająca wodę, a nie przepuszczająca cukru. W nasieniu powstaje skutkiem tego silne ciśnienie osmotyczne, które rozrywa błonę w pewnem miejscu; w miejscu tem tworzy się nowa błona z żelazosinku miedziowego. Ponieważ ten proces (przepuszczanie wody, rozrywanie i naprawa błony) powtarza się raz po raz, póki starczy rozczynu, przeto w przeciągu niewielu godzin wyrastają rośliny o licznych gałązkach. Nasienie o średnicy jednego milimetra wypuszcza niekiedy 15 do 20 gałązek, których wysokość wynosi czasem 30 cm. Bywa, że gałązki mają z boku liście lub kolce, a na końcach górnych narządy w postaci pałeczek, kapeluszy i t. p. Leduc mniema, że jego sztuczne rośliny rozwiązują zagadkę życia czysto fizycznym sposobem; spełniają bowiem czynności, w których upatrywano zawsze istotę życia: odżywiają się i organizują, tudzież goją swe rany i — co jest jedną z najbardziej charakterystycznych znamion życiowych — rosną przez t. zw. intussuscepcyę.

Cóż powiemy o tych faktach? Zacznijmy od krystaloidów, o których wspomina Fabian. Nazwę tę nadał Nägeli mikroskopijnie małym kryształom białka, odkrytym w wielu komórkach roślinnych i zwierzęcych przed r. 1850; później zaczęli je fizyologowie wyrabiać sztucznie. Tak naturalne, jak sztuczne krystaloidy posiadają w wysokim stopniu zdolność do chłonięcia otaczającej ich cieczy. Zanurzone w niej pęcznieją, wyginają swą powierzchnię i dzielą się wewnątrz na dość liczne warstwy; gdy krystaloid wyschnie, uwarstwienie znika. Z tych wszakże faktów nie można jeszcze wnosić, jakoby krystaloid białka był równocześnie kryształem i organizmem lub jakoby organizm nie różnił się od kryształu. Owszem, między krystalizacyą a organizacyą zachodzi przeciwieństwo, wskutek którego jedna wyklucza drugą. Nadto krystalizacya białka nie jest wcale nadzwyczajną rzeczą; skoro krystalizują inne związki organiczne, jak n. p. cukier, dla czego nie mogłoby krystalizować białko?

[1] Les lois de biogenèse (Revue scientifique, 1906, t. I, str. 225 i nn.).

Pęcznienie znowu krystaloidu świadczy jedynie o tem, że cząsteczki układają się w nim nie tylko według zasad krystalizacyi, lecz także w inny sposób, tudzież że ten swoisty sposób ułożenia cząsteczek nie stanowi wyłącznego przywileju ustrojów.

Co do sztucznych komórek. to trzeba być bardzo naiwnym lub zaślepionym, żeby je stawiać na równi z żywemi. Jakkolwiek mają one rodzaj błonki i jądra, jednak naśladują prawdziwe komórki tylko zewnętrznym wyglądem, i to bardzo powierzchownie. Jądro n. p. komórek żywych posiada nie tylko strukturę, lecz także właściwy sobie skład chemiczny i właściwe funkcye; tworzące jądro ciała białkowate różnią się od ciał białkowatych zarodzi. Tego wszystkiego nie znajdziemy w komórkach Herrery lub Leduc'a. Prace tych badaczy mają znaczenie chyba o tyle, o ile rzucają pewne światło na działanie sił fizyczno-chemicznych w komórkach żywych. W każdym razie między komórkami sztucznemi a żywemi istnieje tylko bardzo daleka analogia.

To samo trzeba powiedzieć o sztucznych roślinach. Wbrew temu, co twierdzi Leduc, hodowle jego ani nie mają organizacyi, ani się nie odżywiają, ani nie rosną we właściwem znaczeniu.

Najpierw nie mają organizacyi. W komórkach ustrojów prawdziwych widać rozmaite ukształtowanie stosownie do tkanek, w skład których wchodzą komórki, i do czynności, które one spełniają. Tymczasem w roślinach Leduc'a spostrzegamy wprawdzie utwory, przypominające łodygę, korzenie i liście roślin prawdziwych, atoli wszystkie te utwory cechuje budowa jednostajna; nie ma w nich żadnych komórek, żadnych zróżniczkowanych tkanek, ani narządów, przeznaczonych do rozmaitych funkcyj.

Nie można też mówić, żeby się sztuczne rośliny odżywiały. Istota bowiem odżywiania się polega, jak zauważyliśmy w innem miejscu, na tem, że najprostsza jednostka życiowa, t. j. komórka, wchłania w siebie ze środowiska, w którem się znajduje, pewne substancye, przerabia je, bierze z nich pewne części i zamienia we własne ciało (assymilacya), a inne dzięki dyssymilacyi odrzuca. Natomiast rośliny Leduc'a, lubo wchłaniają wodę, nie dokonywują ani assymilacyi, ani dyssymilacyi. Stąd jeżeli je zważymy w chwili, gdy róść przestały, przekonamy się, że ich ciężar równa się, jak wykazali Charrin i Goupil, najdokładniej ciężarowi nasienia i rozczynu; nie ma tutaj żadnego ubytku miedzi, sodu, chloru, żelazosinku miedziowego, cukru, żelatyny, a nawet wody, jeśli się przeszkodziło jej parowaniu. Dodajmy,

że gdy u roślin prawdziwych odżywianie się jest połączone z oddychaniem i krążeniem materyi, to roślinom sztucznym brak jednego i drugiego. Wprawdzie profesor z Nantes, chcąc dowieść odbywającego się w nich krążenia, powołuje się na to, że cukier i ciecz, z której powstaje błonka, przesuwają się w wąziutkich kanalikach jego roślin, ale taka cyrkulacya odbywa się w każdym osmometrze.

Czy jednak sztuczne rośliny nie rosną? Rosną albo raczej powiększają swą objętość przez dodawanie nowych cząsteczek do dawnych, ale nie przez intussuscepcyę, która cechuje ustroje żyjące, a polega na tem, że cząsteczki nowe wchodzą w cząteczki już istniejące. »Badając rozwój roślin chemicznych — powiada za d'Alluinem Gemelli[1] — widzi się z całą pewnością, iż przyczyną wzrostu jest tutaj zewnętrzne ułożenie nowych części błon, powstające około kropli, wychodzących kolejno z powiększającego się ziarna«.

Inni uczeni chcą widzieć początki życia w tworzących się kryształach. Naczelne miejsce należy się tutaj profesorowi uniwersytetu neapolitańskiego, von Schrönowi. Rozpoczął on badania na tem polu w r. 1883, gdy zauważył, że w wydzielinach bakteryi znajdują się ciała białkowate w postaci maleńkich kryształów. Sprawdziwszy rzekomo, iż te kryształy posiadają cechy jestestw żyjących, zajął się uczony neapolitański badaniem kryształów nieorganicznych i doszedł do następująsych wyników: Na samym początku krystalizacyi oddzielają się od rozczynu kuleczki, które we wnętrzu przedstawiają siatkę »petroplazmatyczną«, podobną do siatki komórek roślinnych. Potem zjawiają się w siatce punkciki, czyli petroblasty, utworzone wewnątrz z materyi ciemnej (deuterolitoplazma), a po stronie zewnętrznej z materyi jaśniejszej (protolitoplazma). Pomiędzy temi dwiema materyami, nadającemi kształt kryształowi, wywiązuje się walka, wskutek której każda kuleczka zmienia postać. Wnet tworzy się naroże główne, nadające kierunek przyszłemu kryształowi, poczem naprzeciw tego naroża powstaje drugie; przecięcie się krawędzi daje początek narożom drugorzędnym. Oś kryształu, uważana dotychczas za idealną, istnieje rzeczywiście; tworzy ją nieznana dotąd substancya. Wobec tego wszystkiego młody kryształ odżywia się, rośnie, a nawet wykonywa ruchy; można też wykazać za pomocą stosownych doświadczeń, iż się rozmnaża. Tylko stare kryształy są

[1] L'enigma della vita, Florencya 1910, str. 294.

martwe. Tak tedy towarzyszące krystalizacyi zjawiska są według Schröna dowodem samorodztwa [1].

Jeszcze inni moniści, choć nie przyznają żadnego życia kryształom zwyczajnym, sądzą, że za formy pośrednie między tymi kryształami a żywą protoplazmą należy uważać t. zw. płynne kryształy. Pierwszy przykład tych kryształów podał w r. 1877 O. Lehmann, wykazując, że jodek srebra, przedstawiający się przy 146° jako lepka ciecz, składa się z bardzo miękkich kryształów. Dziś znamy wiele takich okazów. Według Lehmanna [2], za którym poszedł docent uniwersytetu wiedeńskiego, Hans Przibram, widać w kryształach płynnych mnóstwo zjawisk, które każą im przyznać najniższy stopień życia. Jeżeli się ściśnie taki kryształ, traci on swoją postać, lecz wnet ją odzyskuje sam z siebie, skoro tylko działanie mechaniczne ustanie. Gdy kryształ przetniemy, zaraz zaczynają się zmieniać obie ściany przecięcia w ten sposób, iż każda część przybiera postać pierwotnego kryształu; otrzymujemy tedy dwa kryształy, które tem tylko się różnią od dawnego, że są krótsze. Tak więc kryształy płynne posiadają według Lehmanna i Przibrama taką samą zdolność regeneracyjną, jaka przysługuje jestestwom żyjącym. Co więcej, obaj uczeni sądzą, że kryształy te mogą się łączyć płciowo; jeżeli należą do dwóch różnych gatunków, natenczas dają istnienie prawdziwym bastardom czyli mieszańcom.

Jak osadzić te fakty, przytoczone na poparcie samorodztwa przez Schröna, Lehmanna i Przibrama?

Cokolwiek krystalografowie powiedzą o realnej osi kryształów i utworach, którym Schrön nadał nazwy siatki petroplazmatycznej, protolitoplazmy, deuterolitoplazmy i petroblastów, pewne jest, że kryształy, młode, czy stare, nie żyją. I tak jedynie w przenośnem znaczeniu można powiększanie się kryształów nazwać odżywianiem się i wzrostem. Kryształy powiększają się w ten sposób, że naokoło t. zw. zarodkowego kryształu osadzają się skutkiem siły spójności coraz nowsze cząsteczki jednorodne, które jednak ani nie wchodzą do wnętrza, ani nie usuwają cząsteczek dawniejszych. Kryształ jest tylko skupieniem jednorodnych cząsteczek krystalicznych, pozostają-

[1] Secolo XX, czerwiec 1903, str. 492.

[2] Flüssige Kristalle sowie Plastizität von Kristallen im Allgemeinen, Lipsk 1904; Flüssige Kristalle, ihre Entstehung, Bedeutung und Aehnlichkeit mit Lebewesen, Frankfurt 1908.

cych w stanie równowagi stałej. Stąd też nie ma w krysztale żadnego ruchu, pochodzącego z jego wnętrza. Rozmnażanie się zaś kryształów, o którem mówi profesor neapolitański, polega na tem, iż z części kryształu tworzy się przez zewnętrzne dodawanie nowych cząsteczek cały kryształ. Że nie jest to rozmnażanie się w ścisłem znaczeniu, pokazuje się nadto stąd, iż kryształ powstaje także wtedy, gdy rozczyn nie zawiera wcale krystalicznego zarodka; natomiast w świecie jestestw żyjących żaden ustrój nie rodzi się bez zarodkowej komórki[1].

Podobne uwagi stosują się również do płynnych kryształów. Kryształy te, tak samo, jak zwyczajne, okazują w każdej swej części budowę jednorodną i zmierzają do stałej równowagi. To, co Lehmann i Przibram opowiadają o ich zdolności odradzania się i kopulacyi, jest tylko daleką analogią zjawisk, spotykanych w organizmach. Kryształ nie tylko płynny, ale i zwyczajny »odradza« uszkodzoną krawędź lub odbite naroże, atoli to odradzanie przedstawia się w kryształach zupełnie inaczej, aniżeli w ustrojach. Regeneracya odciętych narządów u roślin lub zwierząt jest owocem odżywiania się, assymilacyi i wzrostu w ścisłem słowa znaczeniu; stąd proces regeneracyjny odbywa się z wewnątrz na zewnątrz przy współudziale wszystkich komórek organizmu. Natomiast kryształ odnawia straconą część przez zewnętrzne dokładanie nowych cząsteczek czysto mechanicznym sposobem. Każda cząsteczka kryształu posiada ściśle oznaczony kształt, gdyż atomy jej, dążąc do równowagi, układają się symetrycznie; symetrya zaś jest nieodzownym warunkiem stałości. Dla tego jeśli równowaga cząsteczki została gdzieś naruszona, natenczas naruszenie to musi być usunięte przez stosowne dodanie lub ujęcie materyi po przeciwnej stronie; inaczej rozpadłaby się cząsteczka. To samo należy powiedzieć o całym krysztale, który jest tylko symetrycznem zrzeszeniem cząsteczek. Skoro tedy uszkodzenie krawędzi czy naroża psuje w nim równowagę, przeto, dzięki sile przyciągania, cząsteczki rozczynu skupiają się i osadzają w uszkodzonem miejscu.

Słusznie więc ogół przyrodników odrzuca mniemanie Lehmanna i Przibrama, jakoby płynne kryształy były pomostem między przyrodą nieorganiczną a organiczną. »Jeżeli płynne kryształy Lehmanna—

[1] Zob. Ortolan, Vie et matière en présence de la cristallogénie, wyd. 3, Paryż 1900.

pisze Max Verworn[1] — wykazują nam pewne momenty, których dotychczas u kryształów nie znaliśmy..., nie wolno nam jeszcze z tej racyi twierdzić, żeśmy już wykazali przejście między martwym a żywym światem, i że tem samem obaliliśmy istniejący między nimi mur graniczny... Wszystkie te sztuczne naśladownictwa objawów życia są tylko analogiami poszczególnych częściowych procesów ogólnego procesu życia. Lecz gdybyśmy nawet za pomocą materyału martwego mogli doskonale naśladować owe procesy częściowe oddzielnie, bylibyśmy przecież dalecy od wytworzenia tą drogą żywych lub choćby tylko napół żywych ciał. Moment charakterystyczny życia nie na tem polega, że żywy organizm wykazuje ten lub inny szczególny proces życiowy, ale istota jego polega zawsze i tylko na specyficznej kombinacyi wszystkich procesów oddzielnych« [2].

Gutberlet[3] dodaje, że jeżeli jakie utwory mogłyby uchodzić za pomost między światem nieorganicznym a organicznym, to »raczej galaretowate koloidy, których przedstawicielem jest klej«. Takie też zapatrywanie wyrazili rzeczywiście Zsigmondy i Pauli na 78. zjeździe niemieckich przyrodników i lekarzy, odbytym w Stuttgarcie 1906 r., powołując się na to, że koloidy są istotnymi składnikami każdego ustroju i każdej żywej substancyi, tudzież że spotykane w koloidach zjawiska przypominają życiowe objawy komórek. Lecz to wszystko — odpowiadamy — świadczy tylko o tem, że do życia potrzeba czegoś więcej, aniżeli bardzo skomplikowanego układu cząsteczek materyi. Choćby biochemikom udało się kiedyś, jak ufa Zsigmondy, otrzymać drogą syntetyczą wszystkie koloidy organiczne, a mianowicie proteinę, która dotychczas powstaje tylko w ustrojach, to i w tym razie pozostałaby nadal przepaść między światem nieorganicznym a organicznym, bo ta proteina różniłaby się od komórki czy zarodzi żyjącej tak, jak się różni śmierć od życia.

Pozostaje jeszcze jedna deska ratunku, której się chwytają zwolennicy pierwotnego samorodztwa. Deską tą jest hylozoizm albo

[1] Zbadanie życia (tłóm. polsk.). Wszechświat, 1908, str. 458.

[2] Zresztą sam Lehmann wyznaje, że płynne kryształy nie żyją. »Man hat meine Ausführungen häufig dahin missverstanden, ich wäre der Meinung, es handle sich bei den scheinbar lebenden Kristallen um wirkliche Lebewesen, obschon ich bereits früher ausdrücklich bemerkt hatte: Selbstverständlich sind dieselben nicht als wirkliche Lebewesen aufzufassen« (Scheinbar lebende Kristalle, Biolog. Centralblatt, 1908, str. 485).

[3] Der Kosmos, Paderborn 1908, str. 364.

panpsychizm, przyznający duszę nie tylko ustrojom, ale wszystkim w ogóle ciałom; według tej nauki każdy kamień, każdy nawet atom żyje. Stąd przejście z materyi nieorganicznej do organicznej jest zupełnie zrozumiałe. »Skąd przyszło — pyta zmarły przed kilku laty filozof berliński, Fr. Paulsen[1] — pierwsze życie w ogóle?... Czy pierwsze poruszenie uczucia (sic) w pierwszej bryłce protoplazmy jest czemś bezwzględnie nowem, co dotąd w żaden sposób nie istniało rzeczywiście, czego nic zdala nie zapowiadało? Byłaby to naprawdę absolutna zagadka świata; byłoby jakieś powstanie z nicości, mogące istotnie wprawić badacza przyrody w najwyższe zdumienie, nie mniejsze od tego, którego doznawałby, gdyby był zmuszony myśleć, że sama grudka zarodzi powstała także z niczego«. Należy tedy przyjąć żyjące atomy, które w świecie nieorganicznym nie posiadają jeszcze świadomości; zająwszy takie stanowisko, można należycie zrozumieć tak dzisiejsze rozmnażanie się ustrojów, jak początek życia w ogóle drogą samorodztwa. »W rzeczy samej, hylozoizm jest pojęciem, któremu prawie nie może się oprzeć nowa biologia«. Po tem wszystkiem wylicza Paulsen cały szereg hylozoistów: Spinozę, Leibniza, Fechnera, Lotzego, Büchnera, Haeckla, von Nägelego, Fr. Zöllnera. Moglibyśmy znacznie rozszerzyć tę litanię. Niektórzy, zwłaszcza pośród nowszych przyrodników, przypisują wszelkiej materyi nie tylko życie niższe, lecz także rozum[2].

Nie mam zamiaru rozprawiać się długo z hylozoizmem; byłoby to zresztą zbyteczne. Niedorzeczność tej hipotezy wynika w sposób oczywisty już z tego, co się powiedziało wyżej o różnicy między światem organicznym a nieorganicznym. Skoro życie jest zdolnością do spełniania czynności wsobnych, a w ciałach nieorganicznych nie widać żadnych oznak tychże czynności, to jasne jest, iż nie ma żadnej podstawy do twierdzenia, jakoby w przyrodzie wszystko żyło. Jakoż nikt z nas nie poznaje bezpośrednio cudzych czynności życiowych; o życiu innych jestestw możemy wnosić jedynie wtedy, gdy spostrzegamy w nich zjawiska, podobne do tych, przez które się ujawniają zewnętrznie nasze własne czynności psychiczne. Na tej i tylko na tej podstawie przyznajemy innym ludziom rozum,

[1] Einleitung in die Philosophie, wyd. 7, Berlin 1901, str. 114 i n.

[2] Zob. H. Spitzer, Über Ursprung und Bedeutung des Hylozoismus, Gradec 1884; zob. także F. Klimke, Der Monismus und seine philosophischen Grundlagen, Fryburg 1911, str. 108 i nn.

zwierzętom czucie, a roślinom najniższy stopień życia. Skoro jednak przejdziemy do królestwa nieorganicznego, natenczas ustaje wszelka analogia między objawami życia naszego a zjawiskami, spotykanemi w temże królestwie. Toż prości ludzie rozróżniają między ciałami żyjącemi i nieżyjącemi, a to samo czynią wykształceni wraz z przyrodnikami i filozofami, którzy nie wzięli rozbratu ze zdrowym rozsądkiem. Max Kassowitz[1] wypowiada o hylozoizmie następujące zdanie: »Owa filozoficzna nauka, która... chciałaby przyznać życie całemu światu i wszystkim jego częściom składowym, nie da się żadną miarą pogodzić z naszemi obecnemi wiadomościami o życiu i dla tego należałoby ją już raz zarzucić«. W. Wundt[2] zowie hylozoizm »snem fantastycznym«.

Atoli Paulsen umieszcza nazwisko Wundta na liście hylozoistów. I nie bez powodu. Znakomity filozof lipski, jakkolwiek na wielu miejscach gromi hylozoizm, przyjmuje go sam w nieco zmienionej postaci. Podobnie jak Paulsen, uważa on samorodztwo za jedyną hipotezę, która może wytłómaczyć pierwsze zjawienie się życia na ziemi: zjawiło się ono zwolna w pewnym okresie przejściowym i wyjątkowym. Ponieważ jednak życie nie daje się wytłómaczyć za pomocą fizyczno-chemicznych własności materyi, przeto należy zdaniem Wundta przypuścić, że już w pierwotnych jej składnikach istniało jakieś usposobienie do czynności psychicznych, chociaż nie istniało, jak chcą hylozoiści, związane z ustrojem życie aktualne; »nie życie duchowe jest płodem fizycznej organizacyi, ale ta organizacya jest we wszystkiem... płodem duchowym«[3].

Tak więc według Wundta życie kryło się pod jakąś najprostszą postacią w pierwiastkach materyi od początku, gdyż inaczej nie mogłoby powstać. Czy jednak to przypuszczenie nie jest w swej istocie hipotezą hylozoizmu, przeciw której profesor lipski energicznie występuje? Przyznaje on nieraz razem z nami, że rzeczom należy przypisywać tylko te zdolności, bez których nie można wytłómaczyć istniejących faktów; dla czego tedy przypisuje wszelkiej materyi życie? Jakież fakty dowodzą, że wszystkie cząsteczki, wszystkie atomy posiadają usposobienie do czynności psychicznych? Dla czego te uspo-

---

[1] Welt, Leben, Seele, Ein System der Naturphilosophie, Wiedeń 1908, str. 30.

[2] System der Philosophie, wyd. 2, Lipsk 1897, str. 505.

[3] Logik, wyd. 2, Stuttgart 1894—1895, t. II, cz. I, str. 580.

sobienia zmierzają w materyi nieorganicznej do stałej równowagi, a w organicznej starają się zachować równowagę jak najbardziej chwiejną? W rzeczy samej nie badanie, oparte na faktach, ale wystawiony *a priori* system filozoficzny popycha Wundta do paradoksalnej doktryny o początku życia. Ten zaś system streszcza się w tezie, że ciało i duch nie są różnymi bytami, ale dwiema stronami tej samej rzeczy. Owszem, zdaniem Wundta wszechświat jest całością, złożoną z jednostek woli; najpierw istniał czynnik duchowy, i dopiero przez jego »zmechanizowanie« powstała materya. Czy jednak ten system, którego niczem nie można usprawiedliwić, nie zasługuje na nazwę snu fantastycznego, daną słusznie przez myśliciela lipskiego hylozoizmowi? Wundt powołuje się wprawdzie na to, iż czynności psychiczne, spełniane z początku pod wpływem woli, stają się z czasem wskutek ćwiczenia automatycznemi i mechanicznemi. Ale doświadczenie codzienne poucza, że ćwiczenie nie zmienia istoty rzeczonych czynności, że nie naruszając ich natury, raczej je udoskonala, aniżeli zniża do zjawisk materyalnych.

Co chwila tedy dochodzimy do wniosku: życie nie powstało samorodnie. Lecz skąd się wzięło? Posłuchajmy jeszcze paru ciekawych hipotez.

W. Preyer i G. T. Fechner, wskrzeszając myśl Schellinga, utrzymują, że najpierw istniała materya żyjąca, a potem dopiero wyłoniły się z niej ciała nieorganiczne, martwe. Preyer[1], odrzuciwszy samorodztwo, wystąpił po raz pierwszy z tą hipotezą na zjeździe niemieckich przyrodników w Lipsku 1872 r. Odbywający się we wszechświecie ruch — powiada Preyer — jest życiem; jak zaś świat nie miał początku, i końca mieć nie będzie, tak i życie. Ognista niegdyś kula ziemska była jednym olbrzymim ustrojem, który ruchem dawał znać o swem życiu. Jej oddechem była może świecąca para żelazna, jej krwią metal płynny, jej pokarmem meteoryty. Kiedy niektóre części kuli, n. p. ciężkie metale, skutkiem jej ostygnięcia na powierzchni, nie mogły już uczestniczyć w ruchu, wtedy straciły życie i zamieniły się w ciała martwe, zwane dziś nieorganicznemi. Dzięki coraz większemu oziębianiu się ziemi, pierwiastki, znajdujące się dotąd w stanie gazowym i płynnym, utworzyły zwolna zarodź, będącą warunkiem i podstawą życia za naszych czasów; w ogólności wszakże jest rzeczą nieuzasadnioną przy-

---

[1] Naturwissenschaftliche Thatsachen und Probleme, Berlin 1880.

wiązywać życie do protoplazmy, albowiem między ruchami organicznymi a nieorganicznymi zachodzi jedynie stopniowa różnica. W miarę obniżania się ciepłoty powstawały coraz bardziej złożone związki chemiczne, a tem samem coraz doskonalsze ustroje roślinne i zwierzęce. Fechner[1] uczy, że wszechświat stanowi jeden ożywiony świadomością bożą organizm, z którego wyłoniły się jako drugorzędne osobniki słońce i ziemia, a w końcu ludzie i zwierzęta; w ich świadomości zróżniczkowała się praświadomość kosmiczna. Zresztą utwory organiczne różnią się od nieorganicznych jedynie formą swych ruchów. W ruchach nieorganicznych zmieniają masy lub ich cząstki tylko miejsce, w organicznych prócz miejsca — porządek.

Z Preyerem i Fechnerem godzą się co do przewodniej myśli Kerner von Marilaun, O. Schmitz-Dumont i W. H. Preuss. »Moje wyznanie wiary — powiada Kerner[2] — streszcza się w tem, że materya i siła są wieczne, i że także ta siła, która się okazuje w materyi jako życie, jest wieczna«. »Budowa materyi — pisze Schmitz[3] — która dziś istnieje i przedstawia się jako żyjąca, domaga się według zasady przyczynowości szeregu takich samych ustrojów dla całego czasu przeszłego... Na rozpalonej ziemi życie było zawsze«. Pierwotny świat — utrzymuje Preuss[4] — składał się z bardzo drobniutkich ustrojów kosmicznych, które, łącząc się razem, dały nasamprzód początek człowiekowi. Królestwo zwierzęce zjawiło się wtedy, gdy kosmiczna płodność nie mogła się już zdobyć na zarodki ludzkie. Skoro znowu organiczna materya wydzieliła z siebie różne zarodki zwierzęce, wówczas ukazały się na świecie rośliny. Wreszcie ciała nieorganiczne powstały z materyi organicznej skutkiem zupełnego wyczerpania się energii życiodajnej; ruchy ich można sprowadzić do ciążenia i kosmicznego biegu gwiazd.

Dr. H. E. Richter[5], lekarz drezdeński, odnawiając naukę de Maillet'a z r. 1748, przyjął, że wszędzie w przestrzeni krążą cząstki substancyj stałych, odrywające się ustawicznie od ciał niebieskich skutkiem ich szybkich ruchów. Do tych cząstek przyczepiają się

[1] Einige Ideen zur Schöpfungs- und Entwickelungsgeschichte der Organismen, Lipsk 1873.

[2] Pflanzenleben, 2 t., Lipsk 1888—1891, t. II, str. 584 i n.

[3] Naturphilosophie als exakte Wissenschaft, Lipsk 1895, str. 311.

[4] Geist und Stoff, Oedenburg 18*3.

[5] Zur Darwin'schen Lehre (Schmidt's Jahrb. für die gesam. Medizin, 1865 i 1870).

nasionka, pochodzące z ciał, na których jest życie, i przenoszą się z niemi na inne ciała, a w szczególności na ziemię. Gdy na ziemi zjawiły się warunki korzystne, natenczas nasionka, które w ten sposób dostały się na nią z innych światów, zaczęły się rozwijać. Stąd zdaniem Richtera życie jest pod postacią komórek równie wieczne, jak materya nieorganiczna. *Omne vivum ab aeternitate e cellula* — powiada Richter. Niezależnie od niego hipotezę tę głosili parę lat później dwaj wielcy fizycy, W. Thomson i Helmholtz: zarodki pierwszych ustrojów mogły się dostać na ziemię za pośrednictwem spadających meteorytów. »Kto umie powiedzieć — pyta Helmholtz[1] — czy te ciała, od których roi się wszędzie w przestrzeni, nie rozsiewają także zarodków życiowych, ilekroć jakieś ciało niebieskie stało się zdolnem do tego, by dać mieszkanie stworzeniom organicznym?« Dr. O. Hahn wykazywał nawet za pomocą rysunków i fotografii, że badane przezeń meteoryty zawierają istotnie resztki ustrojów[2], a Weinland widział pośród tychże resztek wyraźne utwory koralowe o niezwykle małej wielkości, które na cześć Hahna otrzymały nazwę *Hahnia meteoritica*.

Hipoteza Richtera, zwana hipotezą panspermii lub kosmozoów *(Kosmozoëntheorie)*, znalazła wielu zwolenników między tymi, którzy uznają niemożliwość samorodztwa. Do niej uciekł się w końcu du Bois Reymond, a w ostatnich latach znany uczony szwedzki, Svante Arrhenius[3]. Według Arrheniusa przenoszenie zarodków przez meteoryty jest wykluczone. Istniejące odwiecznie w świecie zarodki odbywają wędrówki z jednych ciał do drugich w ten sposób, że najpierw wznoszą się dzięki prądom powietrza do górnej atmosfery, potem oddalają się coraz bardziej skutkiem jej sił elektrycznych, a w końcu dostają się do sfery, w której działa ciśnienie promieni świetlnych. Ciśnienie to jest dla ciałek o średnicy 0·00016 mm. znacznie większe, aniżeli grawitacya, i dla tego takie ciałko może być uniesione w kierunku, przeciwnym sile ciążenia. Lecz na świe-

[1] Populäre wissenschaftliche Vorträge, t. 3, Brunświk 1865—1876, t. III, str. 135.

[2] Opowiada Gander, dz. przyt., str. 74, że Hahn jeździł z swem odkryciem do Darwina; Darwin, zobaczywszy oryginalne okazy roślinne i zwierzęce, zerwał się pełen zachwytu na równe nogi i zawołał: »Wszechmocny Boże! Jakież cudowne odkrycie! Teraz życie jest zrozumiałe«.

[3] Das Werden der Welten, tłóm. z szwedzk. Bamberga, Lipsk 1908, rozdz. VIII.

cie istnieją żyjątka, dorównywające owym ciałkom. Wprawdzie nie są one przystępne dla ludzkiego oka, ale dają nam znać o sobie przez rozmaite choroby, n. p. żółtą febrę, wodowstręt i t. p. »Dla tego według wielkiego prawdopodobieństwa... ciśnienie promieni słonecznych mogłoby je wyrzucić w przestrzeń, gdzie na planetach, któreby im dały korzystne miejsce do rozwoju, zdołałyby wzniecić życie«[1].

Oto cały szereg kłócących się z sobą hipotez. Szkoda tylko, że żadna z nich nie może zadowolić krytyka. Pomijam wiele twierdzeń niedorzecznych lub bezpodstawnych, jak n. p. powtarzające się często zdanie o wieczności materyi; poprzestaję na uwagach, odnoszących się wprost do naszego zagadnienia.

Hipoteza Preyera przypuszcza życie, wbrew zdrowemu rozsądkowi, w ognisto-płynnej kuli ziemskiej. Czyżby jednak ta kula żyła dla tego, że ją trawił ogień? Lecz w takim razie musielibyśmy powiedzieć to samo o każdej ognistej masie[2]. Tak tedy Preyer obala przyjęte powszechnie pojęcie życia[3]. Nadto, jeżeli ustroje wyszły ongi z ognia, czemu wydobywająca się z wnętrza ziemi lawa nie wydaje ich dzisiaj, lecz przeciwnie niesie śmierć wszelkiemu życiu?

Przy Fechnerze przypominam, że należy on do głównych wodzów hylozoizmu, o którym mówiliśmy wyżej. Tu wystarczy zaznaczyć, że ani żadne ciało niebieskie, ani nawet wszechświat nie może uchodzić za żywy organizm. W tę bajkę platońską uwierzą chyba małe dzieci. Wszechświat składa się wprawdzie z wielu części, działających na siebie, atoli to samo należy powiedzieć o każdej maszynie, w której jedno koło porusza drugie. Skoro zaś nikt nie przypisuje życia maszynie, przeto nie można go także przypisywać światu.

Kernerowi i Schmitzowi odpowiemy, że życie ustrojów, jak poucza codzienne doświadczenie, nie idzie w parze z ogniem. Toż według powszechnego przekonania żaden organizm nie mógł istnieć na ziemi wówczas, gdy ona znajdowała się w stanie rozżarzonym[4].

[1] Dz. przyt., str. 199.

[2] W rzeczy samej Preyer sili się na uzasadnienie twierdzenia, że płomień świecy jest jestestwem żyjącem, które się odżywia, oddycha i wydaje z siebie przez podział nowe osobniki żyjące.

[3] Por. Verworn, Allgemeine Physiologie, str. 371 i n.

[4] Stąd pomijam milczeniem hipotezę fizyologa z Bonn, Edw. Pflügera, który upatruje początek życia w pewnych związkach cyanu (CN), tworzących się tylko w temperaturze białości.

Odwoływanie się Schmitza do zasady przyczynowości chybia tutaj celu. Zasada ta nie domaga się koniecznie dla całego czasu przeszłego takich samych ustrojów, jakie dzisiaj istnieją; wystarczy przyjąć przyczynę, która miała dość mocy, by w stosownej chwili powołać do bytu pierwsze organizmy. Co do wywodów Preussa, to urągają one zasadniczym wiadomościom geologii i paleontologii. Nauki te wskazują, że człowiek ukazał się na ziemi dopiero po roślinach i zwierzętach.

Pogląd Richtera jest błędny nasamprzód dla tego, że przyjmuje odwiecznie żyjące zarodki: skoro każde ciało niebieskie przechodziło lub przechodzi przez stan ognisty, jasne jest, że zarodki musiały powstać w czasie. Po drugie doświadczenie nie popiera wcale twierdzenia, jakoby dziś jeszcze zarodki spadały na ziemię z przestrzeni kosmicznej. W powietrzu, otaczającem wysokie góry, nie ma żadnych nasion; tak samo zupełnie czyste jest powietrze na morzu w miejscach, bardzo odległych od lądu. Hartmann [1] dodaje słusznie, że spadające na ziemię zarodki spaliłyby się skutkiem tarcia już w górnych warstwach atmosfery ziemskiej. Wreszcie niepodobna przypuścić, żeby zarodki mogły przez długi czas przebywać w bardzo zimnej przestrzeni, nie tracąc życia.

Podobne uwagi stosują się również do teoryi Thomsona i Helmholtza. Wszak zimno kosmicznej przestrzeni, wśród której błądzą meteoryty, wynosi —273° C.; otóż nie ulega chyba wątpliwości, iż w tak nizkiej temperaturze, zwanej jej zerem bezwzględnem, musi zginąć wszelki ustrój. Wprawdzie według doświadczeń Picteta i Younga niektóre bakterye znoszą zimno do —130° C., wprawdzie Brown i Escombe przekonali się, że pewne nasiona nie giną, chociaż przez sto godzin pozostają w atmosferze o 190° poniżej zera [2], wprawdzie nie brak autorów, którzy opowiadają, że można ciepłotę zarodników bakteryi obniżyć, bez nadwerężenia ich życia, nawet do —254° [3]: atoli najpierw liczby te, jeśli są prawdziwe, różnią się o kilkadziesiąt stopni od bezwzględnego stopnia zimna (—273), a powtóre bakterye, nasiona i zarodniki, o których mowa, były wystawione na zimno zaledwie przez kilka godzin, dni lub miesięcy, gdy meteoryty błąkają się długo w przestrzeni światowej. Z drugiej

[1] Dz. przyt., str. 186.
[2] H. De Varigny, La nature et la vie, Paryż 1905, str. 10.
[3] Arrhenius, dz. przyt., str. 201.

strony przyczepione do meteorytów zarodki musiałyby zginąć z powodu gorąca, powstającego na powierzchni meteorytów w chwili, gdy one, biegnąc z szybkością 40 do 60 klm. na sekundę, wkraczają w obręb gęstej atmosfery ziemskiej. W istocie ciepłotę rozpalonego w ten sposób meteorytu podają na 4.000, a nawet 6.000 stopni. Tymczasem wszelkie nasiona giną niezawodnie już przy 150° lub 200° [1]. Nie koniec na tem. Chociażby kiedyś wykazano, że ani zimno, ani gorąco, o których była mowa, nie potrafią zabić zarodków, hipoteza nie wiele zyskałaby na tem, gdyż każdy widzi, że ona nie rozwiązuje zagadnienia, ale je tylko przesuwa. Jeśli ustroje przedostałyby się na ziemię za pośrednictwem meteorów z innych ciał niebieskich, zachodzi pytanie, kiedy i w jaki sposób powstały na owych ciałach? Bo jeżeli wszystkie ciała niebieskie podlegają tym samym prawom, jeżeli każde z nich przechodziło lub przechodzi przez stan ognisty, to — powtarzamy raz jeszcze — zarodki nie mogą być wieczne.

Powyższa krytyka zwalnia nas od osobnej oceny teoryi Arrheniusa, tem bardziej, że składa się na nią wiele pomocniczych hipotez, które nic nie mają za sobą prócz możliwości.

Przeszliśmy tedy przez długi labirynt rozmaitych poglądów o początku życia. Poddając je bezstronnej ocenie, poznaliśmy, że życie nie mogło powstać samorzutnie, albowiem samorodztwo w ogóle nie istnieje, a pojęte w znaczeniu mechanicznego monizmu mieści w sobie sprzeczność, tudzież że próby przeciwników, chcących za wszelką cenę zatrzeć różnicę między światem żywym a martwym, aby w ten sposób usprawiedliwić samorodztwo na początku, są płodem poronionym. Przekonaliśmy się nadto, że hipotezy, przyjmujące pierwszeństwo materyi żyjącej przed martwą, lub wieczność jednej i drugiej, są niedorzeczne albo przynajmniej zgoła bezpodstawne i pozbawione celu.

Wobec tego łatwo nam wyzyskać dylemmat Virchowa: albo samorodztwo albo czyn Stwórcy; *tertium non datur*. Po wykluczeniu członu pierwszego, pozostaje tylko drugi. W rzeczy samej przyjęcie wpływu bożego przy kolebce życia jest jedynie rozumnem rozwiązaniem naszego zagadnienia. Ten wpływ, a nie samorodztwo, jak sądzi Virchow, jest postulatem filozoficznym, do którego nas pro-

[1] Por. Koken, Die Vorwelt und ihre Entwickelungsgeschichte, Lipsk 1893, str. 74.

wadzą same nauki przyrodnicze. Skoro fakty biologiczne wykazują niemożliwość autogenezy, przeto zasada przyczynowości każe nam przypisać początek życia wyższej przyczynie. Toż tylko wtedy wyrzeklibyśmy się rzeczonego postulatu, gdyby ktoś wykazał istnienie samorodztwa.

Takie też jest przekonanie wielu filozofów i przyrodników. »Jesteśmy zmuszeni — wyznaje Dippe[1] — przyjąć nie tylko stworzenie fizycznego atomu, lecz także stworzenie jakiegoś elementarnego ustroju lub stworzenie samej komórki«. Lord Kelvin, mimo swej hipotezy o przeniesieniu życia na ziemię przez meteoryty, powiedział przed kilku laty po konferencyi Henslowa: »Jestem zupełnie w zgodzie z prof. Henslowem co do głównych części jego konferencyi, ale nie mogę przyjąć, jakoby w sprawie początku życia nauka ani nie stwierdzała mocy Stwórcy, ani jej nie przeczyła. Nauka stwierdza w sposób pozytywny moc Stwórcy«. »Wszelkie doświadczenie — powiada J. Reinke[2] — uczy zgodnie, że z wilgotnej ziemi nigdy nie powstaje żyjąca komórka sama, t. j. przez istniejące w glinie siły. Tak samo było przed milionami lat, bo niezmienność praw przyrody jest niewzruszonym pewnikiem nauki. Jeśli tedy przed bardzo długim czasem pierwotne komórki wyłoniły się ze składników ziemi, to można to tylko przypisać niezbadanej sile. która stoi za przyrodą... Tą niezbadaną siłę twórczą zowie i nowożytny przyrodnik Bóstwem«. »Pierwszy praustrój — są wreszcie słowa zoologa wiedeńskiego. K. C. Schneidra[3] — mógł być powołany do bytu jedynie przez stwórczą siłę Boga«.

Wszakże ten osobny wpływ Boży przy powstaniu pierwszego życia nie był czynem stwórczym we właściwem słowa znaczeniu, bo Bóg powołał do bytu jestestwa żyjące nie z nicości, lecz ze stworzonej przedtem materyi nieorganicznej. W jaki jednak sposób Stwórca działał na tę materyę, aby się stała żywym ustrojem, bezpośrednio, czy pośrednio, o tem oczywiście nic na pewno nie wiemy. Można przypuścić z św. Augustynem[4], że Bóg, stwarzając na początku materyę, włożył w pewne jej cząstki zdolność czyli za-

---

[1] Naturphilosophie, Monachium 1907, str. 398.

[2] Naturwissenschaft und Religion, Monachium 1907, str. 11.

[3] Die Grundgesetze der Deszendenztheorie, Fryburg 1910, str. 48; zob. także str. 169 i n.

[4] De Genesi ad literam, l. 4, c. 23.

sadę życiową, która ujawniła się dopiero wtedy, gdy w środowisku nastały potrzebne do tego warunki. Hipoteza ta nie narusza wcale zasady przyczynowości: życie nie powstałoby samo przez się z materyi martwej, bo rzeczone jej cząstki zawierałyby je *in potentia* tak samo, jak w duszy ludzkiej tkwią potencyalnie od pierwszej chwili jej istnienia zdolności umysłowe, chociaż okazują się znacznie później.

W SPRAWIE PRZEDMIOTU I PODZIAŁU PSYCHOLOGII

napisał

WŁADYSŁAW WITWICKI

Rzecz czytana na posiedzeniu sekcyi filozoficznej XI-go Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie w r. 1911.

I. Przedmiot psychologii.

1. Co innego psychologowie obiecują, a co innego robią.

W poglądach na przedmiot psychologii nie spotykamy zasadniczej sprzeczności u różnych badaczy; owszem, zgadzają się psychologowie na to, że przedmiot ich badań stanowią zjawiska lub procesy duchowe, fakty psychiczne, lub fakty świadomości, podczas gdy zjawiską fizyczne stanowią same przez się przedmiot wszelkich innych nauk poza psychologią. Jednakże, kiedy porównywamy określenie zjawisk duchowych, jakie spotykamy u niektórych psychologów na początku książki, z treścią książki samej, widzimy, że określenie przedmiotu psychologii, podane na początku podręcznika, nie zgadza sie z rzeczywistym przedmiotem pracy.

Tak n. p. Höfler zapowiada z góry, że mówić będzie o zjawiskach duchowych, a zjawiska duchowe określa jako przedmioty bezprzestrzenne; w toku książki mówi jednak szeroko, podobnie jak i wszyscy inni psychologowie, o barwach, które przecież posiadają cechy przestrzenne. We wstępie twierdzi, że dźwięki są zjawiskami fizycznemi, w toku książki mówi o ich cechach, rodzajach, stosunkach, i nie może o nich nie mówić, bo robi to każda inna psychologia podobnie, mimo, że i inni psychologowie gotowi się zgodzić, że dźwięki są zjawiskami fizycznemi; zaczem nie powinny stanowić przedmiotu psychologii.

Jeżeli taki zachodzi rozdźwięk pomiędzy tem, czem się psychologia zajmuje naprawdę, a tem, co za jej przedmiot uważa wielu psychologów, widocznie, określenie jej przedmiotu jest pod jakimś względem niedostateczne, i należy je skontrolować. Należy się zastanowić nad tem, co nazywać mamy zjawiskiem psychicznem, a 'co fizycznem, które zjawiska zaliczyć do grupy pierwszej, a które do drugiej, i w ten sposób ustalić pogląd na przedmiot psychologii. Roz-

ważania te wymagają wiele czasu i miejsca. Tutaj ograniczymy się tylko do zaznaczenia najważniejszych punktów.

2. Jedna z charakterystyk zjawisk duchowych i jej geneza.

W zwyczajnym podziale zjawisk na fizyczne i psychiczne przebija się dualizm kartezyuszowski, przedział świata na dwie równorzędne połowy, toto genere różne: świat rzeczy rozciągłych i świat myśli, czyli świat zjawisk duchowych. Do zjawisk duchowych liczy się takie zjawiska, jak radość, smutek, pragnienie, postanowienie, wiarę, wątpliwość; do drugiego szeregu, do zjawisk fizycznych, należą takie, jak barwa, ton, skurcz mięśnia i t. d. Różnice pomiędzy członami jednego z tych szeregów mają być mniejsze, niż różnice między którymkolwiek członem jednego szeregu, a którymkolwiek członem drugiego. Prócz tego, wszystkie człony jednego szeregu mają mieć cechy wspólne, których brak jakiemukolwiek członowi szeregu drugiego. Zjawiska psychiczne mają mieć takich pięć cech wspólnych, których nie posiada żadne zjawisko niepsychiczne. Te cechy wspólne stanowią istotę zjawisk duchowych. Takiemi zjawiskami zajmuje się psychologia. Cechy te są następujące:

1) zjawiska duchowe są bezprzestrzenne;

2) zjawiska duchowe są albo przedstawieniami, albo są na nich oparte;

3) zjawiska duchowe są dane w doświadczeniu wewnętrznem;

4) zjawiska duchowe są związane w każdym momencie w jedność jakiejś poszczególnej świadomości: mojej, twojej, jego i t. d.;

5) w każdem zjawisku duchowem rozróżnić można akt, przedmiot i treść natury psychicznej lub fizycznej.

Tak n. p. kto jest świadkiem wybuchu wulkanu, ten posiada zjawiska psychiczne: widzenia światła, słyszenia huku, afektu strachu i t. d., przyczem światło i huk są fizycznymi przedmiotami, a równocześnie treściami psychicznych aktów widzenia, słyszenia i t. d. Psychologia zajmuje się bezpośrednio aktami zjawisk duchowych, a nie ich przedmiotami, zatem w tym wypadku i w wypadkach jakichkolwiek świadomych przeżyć człowieka, zajmuje się psychologia widzeniem, słyszeniem, czuciem, afektem, sądzeniem, postanawianiem i t. d., podczas gdy barwy, dźwięki i inne przedmioty doznawane stanowią przedmiot innych nauk. Psychologii przedmiot stanowi doznawanie samo, czyli akt zjawiska duchowego.

3. Wady tej charakterystyki.

a) Przeciwko temu określeniu zjawisk psychicznych i odróżnieniu ich od innych nasuwają się pewne zarzuty. I tak, co się tyczy bezprzestrzenności. Są rzeczy bezprzestrzenne, których wyznawcy takiego podziału zjawisk nie nazwą psychicznemi zjawiskami, i są z drugiej strony niewątpliwe zjawiska duchowe, którym nawet i zwolennicy tej tezy przyznać muszą pewne cechy przestrzenne. A więc n. p. podobieństwo, równość, sprzeczność, albo liczba urojona, to stanowczo rzeczy nierozciągłe, a mimo to nie są to zjawiska psychiczne. Z drugiej strony ból, rozkosz, to niewątpliwe zjawiska psychiczne i niewątpliwe przedmioty psychologii, a mimo to każdy potrafi sobie przypomnieć niejeden ból i niejednę rozkosz, która najwyraźniej była zlokalizowana, miała niewątpliwe i wyraźne cechy przestrzenne. Jeżeli tak, to nie można cechy bezprzestrzenności uważać za istotne znamię zjawisk duchowych. Uzyskane z pomocą tego znamienia określenie pierwiastka psychicznego nie będzie bowiem żadną miarą odwracalne.

b) Drugie określenie zjawisk duchowych mało rzecz wyjaśnia. Mówi bowiem, że zjawiska duchowe są albo przedstawieniami, albo są na przedstawieniach oparte. Otóż przedstawienia są same pewnemi zjawiskami duchowemi, i niepodobna ich inaczej określić, jak tylko z pomocą pojęcia »zjawiska duchowego«. Nie można się więc w określeniu »zjawiska duchowego« posługiwać pojęciem »przedstawienia«, bo wówczas określamy idem per idem: zjawisko duchowe w ogóle przez pewne zjawisko duchowe. Podobnie, jak gdybyśmy mówili, że jarzyna jest to albo marchew, albo coś innego. Albo, jak gdybyśmy mówili, że tkankowce są to zawsze albo jamochłony, albo coś, co od jamochłonów pochodzi.

4. Dodatnie strony tej charakterystyki, oraz ich interpretacya.

a) Zjawiska duchowe.

Trzecie i czwarte znamię słusznie określa zjawiska duchowe, to znaczy, wedle tych znamion należy dzielić przedmioty składające wszechświat, bo tak przeprowadzony podział jest nam koniecznie potrzebny w nauce i w życiu. A mianowicie: Zjawiska duchowe dane są w doświadczeniu wewnętrznem i związane w każdym momencie w jakąś jedność świadomości mojej lub cudzej. Znaczy to innemi słowy: Są pewne zjawiska, które dane są tylko mnie samemu, lub jakiemukolwiek innemu podmiotowi poznającemu, zja-

wiska, które powstają, zmieniają się, giną i istnieją o tyle tylko, o ile są komuś dane; inaczej: Są pewne zjawiska o charakterze subjektywnym, i te zjawiska, czy przedmioty subjektywne, są powiązane w grupy poszczególnych świadomości ludzkich i zwierzęcych. Poza niemi przyjmujemy w nauce i w życiu zjawiska dane nie tylko mnie, lub komuś tylko jednemu, ale zjawiska, które dane być mogą wielkiej ilości podmiotów poznających równocześnie, które istnieć, ginąć, zmieniać się mogą, choćby nawet nikt nie stwierdzał, nie doznawał ich istnienia, zguby, zmiany, czyli przedmioty i procesy o charakterze objektywnym. Tak więc subjektywny charakter, czyli duchowy, posiada ogół barw, z których zbudowany jest świat wzrokowy, jaki przeżywam naprawdę, ogół dźwięków, woni, temperatur, a nawet oporów cech przestrzennych i czasowych, których doznaję, a tak samo przyjemności i przykrości, które czuję, przekonań, które żywię, słowem ten świat cały, który mi jest bezpośrednio dany. Cały ten świat dany jest tylko mnie w mojem własnem poznaniu, i nie jest dostępny nikomu pozatem, a nawet mnie samemu w następnej chwili życia.

Ani tego samego widoku sali wykładowej, który ja mam w tej chwili wraz z jego barwami, wymiarami, formami, które zależą od mego punktu widzenia i mojej indywidualnej wprawy w ocenianiu barw, wymiarów i form, nie może mieć, nie ma i nie będzie miał nikt inny poza mną, ani ja sam tego samego widoku nigdy już nie odzyskam, skoro raz istnieć przestanie po skończeniu wykładu, ani tego mego ogółu dźwiękowego, w którym obecnie własny mój głos dominuje na tle innych, dalszych szmerów, ani ogółu sądów, które w tej chwili mniej lub więcej świadomie ja przeżywam, nikt inny prócz mnie nie ma i mieć nie może, ani ja sam nawet nie odzyskam tego samego momentu z upływającego wciąż strumienia mego świata wewnętrznego. Świat ten istnieje, o ile ja istnieję i czuwam, ginie w nocy, kiedy śpię, i powstaje znowu, kiedy oczy otwieram. Każdy z nas, każdy podmiot poznający świat taki w sobie i swoje ciało empiryczne w nim nosi i tyle takich światów jest, ile jest podmiotów poznających. W tem znaczeniu nie dusza nasza mieszka w ciele, a ciało w świecie zewnętrznym, ale na odwrót: subjektywny nasz świat zewnętrzny i nasze ciało empiryczne z nim razem istnieje w świadomości, czyli w duszy naszej.

Jako wielką grupę składową tego świata subjektywnego wyróżnić możemy jakości zmysłowe, więc to wszysko, co przeżywamy

oczyma, uszami, nosem, skórą, ruchem członków, oraz cechy czasowe zjawisk. Wszystko to ma charakter subjektywny, dane jest w doświadczeniu wewnętrznem, stanowi część świata duchowego. Zatem zjawiskami duchowemi są nie tylko nasze uczucia, przekonania i postanowienia, ale równie dobrze bezpośrednio doznawane chwile, rozmiary, opory, barwy, dźwięki, wonie, temperatury.

b) Zjawiska fizyczne.

Dla zoryentowania się we własnych i cudzych, minionych i przyszłych momentach świata psychicznego, dla porozumienia się z drugimi potrzebna nam jest jakaś wspólna podziałka, jakiś miernik objektywny. Jako taką wspólną podziałkę przyjmujemy, poza światem psychicznym, który każdy z nas zna bezpośrednio, i z którego wyskoczyć, jak ze skóry własnej, nie może, jeszcze i świat inny, świat objektywny, świat przedmiotów, procesów i stosunków, niezależnych od podmiotu poznającego, świat t. zw. rzeczywisty, mimo, że go nikt bezpośrednio nie przeżywa, tylko każdy istnienie jego instynktownie przyjmuje. A więc przyjmujemy, obok i poza subjektywną przestrzenią i czasem, objektywny, rzeczywisty czas i objektywną rzeczywistą przestrzeń, przyjmujemy nawet, że mur jest biały, a trawa zielona, mimo noc lub zmrok, że niebo jest błękitne, choć je chmury, lub powieki nasze zakryją, gmach na tyle i tyle metrów wysoki, mimo że się cały zmieści wzrokowo w ramach okna lub w otworze lornetki, dzień i godzina ta, którą kalendarz i zegar wskazuje, temperatura, którą termometr określa, a nie ręka rozgrzana lub wyziębiona i t. d., przyjmujemy przedmioty rzeczywiste, wyposażone na stałe pewnemi cechami, które obowiązują w postępowaniu wszystkich i każdego z osobna, cechami objektywnemi. Skłania nas do tego widoczna prawidłowość naszych światów subjektywnych, fakt, że w podobnych warunkach dotykowomięśniowych zwykliśmy podobne przeżywać zjawiska wzrokowe, fakt, że się w pewnych warunkach zwykły niejako powtarzać nasze cząstki świata wewnętrznego, fakt, że nie możemy dowoli rządzić elementami naszego świata wewnętrznego, zależnie od pragnień lub niechęci, fakt, że się nam pewne przedmioty narzucają jako istniejące, i zaprzeczyć ich istnienia nie możemy, choćbyśmy chcieli.

Ogół tych przedmiotów, procesów i stosunków stanowi świat objektywny. Od szeregu wieków fizyka buduje część tego świata objektywnego z cech geometryczno-mechanicznych, znanych nam jednak również tylko z doświadczenia wewnętrznego, z cech, które

mają pierwotnie charakter tak samo subjektywny, jak cechy wzrokowe, słuchowe, roskosze i bóle. W ostatnich czasach i fizyka pozwala te przedmioty objektywne pojmować ogólniej, jako dające się ilościowo porównać, i oznaczyć warunki powstawania takich lub innych ewentualnych przedstawień, traktuje cechy i zjawiska geometryczno-mechaniczne, z pomocą których wyobrażać nam sobie pozwala świat objektywny tylko jako środek, który ułatwia obliczenia, wiąże fakty z pozoru niepodobne, ułatwia pracę rozumowi i wyobraźni, ale nie jako realne, rzeczywiste składniki świata. Łańcuchy benzolowe i figurki stereochemiczne są tylko środkiem pomocniczym dla przewidywania nowych zjawisk i pomocą dla grupowania zjawisk znanych, ale nie muszą istnieć na prawdę, nie mają niezwalczonej pretensyi do realnego bytu objektywnego.

Jakkolwiek jest, znamy bezpośrednio świat przedmiotów i zjawisk subjektywnych, i ten stanowi przedmiot psychologii. Odróżniamy od niego jako konstrukcyę pomocniczą świat przedmiotów i zjawisk objektywnych; ten jest polem wszelkich innych nauk poza psychologią. Przez zjawiska i przedmioty subjektywne czyli duchowe rozumiemy zjawiska i przedmioty dane nam bezpośrednio, przeżywane na prawdę, dane w doświadczeniu wewnętrznem, istniejące zależnie, powiązane w grupy poszczególnych świadomości: mojej, twojej, jego i t. d.

c) Dwuznaczność niektórych zwrotów.

Jeżeli tak, to może psychologia mówić o przedmiotach, wyposażonych cechami przestrzennemi, bo cechy przestrzenne, a nawet cała przestrzeń, którą znamy poza geometryą, to składnik naszego świata subjektywnego; może mówić o barwach i dźwiękach, bo barwy i dźwięki, to przedmioty subjektywne, czyli zjawiska duchowe. Wyraz »czerwień« jest dwuznaczny. Raz oznacza to coś jaskrawego, co tylko oczyma własnemi każdy z osobna przeżyć może, to, co widzę, kiedy patrzę na rozżarzone żelazo, i to jest zjawisko duchowe; drugi raz wyraz »czerwień« oznacza pewną ilość fal eteru w sekundzie, czyli barwę objektywną w znaczeniu fizycznem — ta »czerwień« jest czemś objektywnem, a nie tylko nikt jej nigdy nie widział, ani jej nigdy zobaczyć nie potrafi, ale, prócz tego, ta objektywna, fizyczna »czerwień« nie jest zgoła czerwona. Podobnie zwrot »widzę kolor czerwony« jest dwuznaczny. Albo znaczy: »doznaję barwy czerwonej« (przedmiotu subjektywnego), albo też znaczy: »działają na mnie, na moją świadomość, fale eteru o długości tylu

i tylu mikronów (przedmioty objektywne). Podobnie dwuznaczne są zwroty: »to, co widzę«, »to, co słyszę« i t. p. Zawsze w nich wyraz »to« oznacza albo przedmiot subjektywny, znany bezpośrednio i przeżywany naprawdę, albo przedmiot objektywny, którego się pod zmysłową powierzchnią domyślam, ale go bezpośrednio nie znam. Wraz z barwami i dźwiękami stanowi wobec tego przedmiot psychologii cały świat zewnętrzny, o ile mamy na myśli świat zewnętrzny subjektywny, znany bezpośrednio, o ile nie bierzemy słowa »zewnętrzny« w znaczeniu »objektywny«. Te dwa znaczenia posiada wyraz »zewnętrzny«, podobnie jak wyraz »przestrzeń«, albo wyraz »czas«. Nie jest więc paradoksem, że cały widnokrąg, jaki w danej chwili obejmuję, cały doznawany w jakiejś chwili świat zewnętrzny, jest we mnie, stanowi coś wewnętrznego, subjektywnego, podczas gdy nawet lewa komora mego serca lub wodociąg mego mózgu stanowi coś zewnętrznego, coś fizycznego, o ile mam na myśli nie widoki, więc barwy, formy, opory lub wonie, którebym mógł mieć w świadomości, roztworzywszy sobie samemu serce lub mózg, albo któreby raczej mieć mógł badacz, dokonywujący sekcyi na mojem ciele, ale jeśli mam na myśli rzeczywiste, nikomu bezpośrednio nie dane przedmioty, któreby mogły być domyślnymi warunkami tych anatomicznych widoków, oporów, form i zapachów.

5. Czy psychologia może i powinna zajmować się »aktami« zjawisk duchowych?

Wobec tego, że za przedmiot psychologii, czyli za zjawiska duchowe, uważamy przedmioty o charakterze subjektywnym, nie możemy się zgodzić na tezę, zawartą w piątem z przytoczonych na początku określeń, a mianowicie na to, żeby się psychologia zajmowała samymi tylko »aktami« zjawisk duchowych, samem widzeniem, słyszeniem, czuciem, sądzeniem, postanawieniem i t. d., podczas gdy przedmioty odnośnych aktów miałyby stanowić przedmiot nauk innych. Widzenie, słyszenie, czucie i t. d. czyli akty psychiczne, są to abstrakcye, dokonane na przeżywanych naprawdę stanach wewnętrznych; dadzą się zastąpić jednym wspólnym wyrazem »doznawanie«, a nie oznaczają nic więcej, jak tylko to, że pewne przedmioty są komuś dane, są czyjeś, należą do kogoś, są moje, twoje, jego, mają byt zależny. Takie tylko znaczenie można przywiązywać do wyrazu »widzenie«, »słyszenie«, a ogólnie do terminu »akt« zjawiska duchowego. Ta cecha, którą w pojęciu »aktu« psychicznego ujmujemy, wspólna jest wszystkim przedmiotom subjektywnym; równie dobrze

doznajemy barwy, jak doznajemy bolu, rozkoszy, lub przekonania, że coś nastąpi, albo coś innego istnieć przestało. Nie możemy powiedzieć, czy sam »akt« słyszenia różni się czemkolwiek od »aktu« widzenia, mimo, że barwy różnią się od dźwięków bardzo; nie możemy powiedzieć, czy, kiedy widzę więcej przedmiotów, mam wtedy aktów widzenia więcej, a kiedy się przedmiot widziany na części rozpada, nie umiemy powiedzieć, czy się wtedy i akt widzenia rozpada; nie możemy więc mówić w psychologii o »aktach« zjawisk duchowych, i nie mówimy też o nich poza jej pierwszym rozdziałem, który omawia wspólne cechy wszystkich zjawisk duchowych; mówimy natomiast o przedmiotach subjektywnych. Akt, to ens rationis, to cecha wspólna wszystkim zjawiskom psychicznym, oderwana od konkretnych stanów wewnętrznych, przeżywanych na prawdę.

Zbierając razem to, cośmy dotychczas powiedzieli, powtarzamy krótko: Przedmiotu psychologii nie stanowią akty zjawisk duchowych, które byłyby równorzędnym ze zjawiskami fizycznemi materyałem doświadczenia, tylko przedmiot psychologii stanowi ogół przedmiotów, procesów i stosunków subjektywnych, które są materyałem doświadczenia bezpośredniego. Świat objektywny obchodzi psychologa pośrednio, jako ogół warunków, od których zależy przebieg świata subjektywnego.

6. Czy świat subjektywny jest dany bezpośrednio?

Mógłby ktoś jako zarzut przeciwko temu poglądowi podnieść, że dziecko i człowiek naiwny nie wie nic o subjektywnym charakterze świata, który przeżywa. Człowiek naiwny wierzy, że czerwień, którą w danej chwili widzi, istnieje niezależnie poza nim, że ona jest czemś, na co on tylko oczy obraca, to znaczy: patrzy i widzi. Gdyby nawet oczy zamknął, i gdyby żadne w ogóle oczy nie patrzyły, czerwień, zdaniem jego, żarzyćby się nie przestała, podobnie jak n. p. woda w kotle ciepło swoje posiada, mimo, że niczyjej skóry w danej chwili nie parzy. I to ciepło nie jako formę energii, ale ciepło znane z chwil oparzenia, ciepło gorące, żywe, znane bezpośrednio.

Na to jednak odpowiedzieć należy najpierw, że i naiwny człowiek odróżnia przedmioty objektywne i subjektywne, mimo, że się tymi wyrazami nie posługuje. Robi to zawsze, ile razy stwierdza fakt jakiegokolwiek złudzenia, mylnej oceny za pomocą zmysłów, ile razy się przekonywa, że jemu samemu lub komuś innemu coś wydaje się tylko takiem, co jest na prawdę inne, ile razy spotyka

między ludźmi przeciwne lub sprzeczne, a równie szczere sądy o jednej i tej samej rzeczy.

Po drugie, człowiek naiwny może się mało zastanawiać nad subjektywnym lub objektywnym charakterem składników świata i mało o tem wiedzieć. Z tego jednak, że on nie wie lub nie pamięta o subjektywnym charakterze tego, co bezpośrednio przeżywa, nie wynika, żeby to, co on bezpośrednio przeżywa, tego charakteru nie posiadało. Podobnie jak z tego, że naiwny człowiek nic nie wie o swych wiązadłach międzykręgowych, nie wynika, żeby on tych wiązadeł nie posiadał.

Przypisujemy przedmiotom bezpośrednio danym charakter subjektywny nie dla tego, żeby ten charakter spostrzegał człowiek naiwny, tylko dla tego, że nam doświadczenie pokazuje zależność między jakością przedmiotów danych bezpośrednio, a stanem naszego systemu nerwowego, i dla tego, że chcąc przypisywać objektywmy byt przedmiotom danym bezpośrednio, nie potrafimy uniknąć sprzeczności.

A mianowicie, kto wierzy, że istnieje objektywnie wszystko, co poznają zmysły, musi wierzyć, że ta sama góra jest równocześnie wielka i mała, jeżeli ją dwóch ludzi z różnych punktów ogląda, że ta sama woda jest równocześnie gorąca i niegorąca, jeżeli jej ciepła doznaję z pomocą dwóch różnie przygotowanych rąk i t. d.

Umysł naiwny często takich sprzeczności nie napotyka, albo je popełnia bez wyrzutu. Umysł, który pragnie świat widzieć bez sprzeczności, musi przyjąć rozróżnienie, któreśmy przyjęli: świata subjektywnego i świata objektywnego.

Z tego stanowiska sprzeczności nie ma. Świat objektywny jest jeden i jest określony jednoznacznie. Do niego odnoszą się jednak niezliczone, bardzo różne, często niepodobne do siebie światy subjektywne. Sprzeczność nie zachodzi, bo wyrazy mowy oznaczają raz przedmioty subjektywne, a raz objektywne. Dwa różne przedmioty subjektywne mogą doskonale posiadać cechy, które wzajem się wykluczają i mogą nosić tę samą nazwę, ale nie może takich cech żadną miarą posiadać przedmiot objektywny jeden i ten sam, który również tą samą nazwą oznaczamy.

II. Podział psychologii.

1. Ile jest różnych rodzajów zjawisk psychicznych? Kiedy mówię o podziale psychologii, nie mam na myśli dokładnego spisu rzeczy, jaki powinien na końcu zawierać, i wedle któ-

rego powinien być ułożony podręcznik tej umiejętności — chodzi mi tylko o podział przedmiotu psychologii, t. zn. o podział zjawisk duchowych na wielkie, zgoła różne grupy. W paru słowach radbym zastanowić się nad tem, czy skłonni będziemy uznawać cztery rodzaje zjawisk zgoła różnych od siebie, z których żaden nie da się sprowadzić do drugiego, a mianowicie przedstawienia, sądy, uczucia i objawy woli, czy też znajdziemy pomiędzy zjawiskami, zaliczanemi do tych czterech grup, podobieństwa tak wielkie, że wystarczy przyjąć mniej tych zgoła różnych rodzajów zjawisk duchowych. Taka redukcya w klasyfikacyi psychologicznej nie przeszkadza zupełnie posługiwaniu się odnośnemi nazwami w razie potrzeby w mowie potocznej, lub w nauce, podobnie jak nie przeszkadza przyrodnikowi jego nauka odróżniać siwków, gniadoszów i bułanków, mimo że je wszystkie sprowadza do jednego rodzaju zwierząt, jednego gatunku, a nawet nieraz jednej rasy.

2. Postanowienia a sądy; pragnienia a kompleksy uczuć.

W pracy pod tyt. »Analiza psychologiczna objawów woli« starałem się wykazać, że nie zachodzi zasadnicza różnica między postanowieniami i pragnieniami z jednej strony, a zjawiskami duchowemi, które noszą inne nazwy, z drugiej, że pragnienia, to stany złożone, w których wyróżnić można przedstawione sądy i uczucia różnej jakości, i że obserwacya nie pokazuje w nich żadnego elementu poza tymi, które są znane i ponazywane już poza sferą pragnień.

Starałem się również wykazać, że to, co nazywamy w nauce i w życiu postanowieniem, nie różni się niczem od tych momentów, w których jakikolwiek przedmiot staje się dla mojej świadomości rzeczywistym, lub nierzeczywistym w przyszłości, a że te momenty liczenia się z bytem lub niebytem przedmiotów nazywamy w psychologii sądami (zaznaczam, że nie mam tu na myśli tych abstrakcyj, któremi się posługujemy w logice, i także je tam nazywamy sądami, tylko mówię o sądach w wyżej podanem znaczeniu psychologicznem), przeto postanowienia są tylko sądami o naszem własnem przyszłem działaniu; nie stanowią osobnej, zgoła różnej od innych grupy zjawisk duchowych, tylko dadzą się sprowadzić do sądów. Jeżeli je od nich psychologowie odróżniają zasadniczo — to odróżnienie to wynika z pobudek praktycznych, wynika ze znaczenia życiowego tych sądów, które odnoszą się do naszych własnych przy-

szłych działań, ale nie jest wyrazem danych doświadczenia wewnętrznego, które w tej mierze przedewszystkiem rozstrzygać powinny.

Jeżeli tak, to w psychologii powinienby wystarczyć podział zjawisk duchowych na trzy tylko, zgoła różne grupy, a mianowicie: przedstawienia, sądy i uczucia. To zupełnie nie przeszkadza badaniu pragnień i postanowień, i nie wyklucza tych pojęć ze słownika nauki, tylko wskazuje na ich rdzenne pokrewieństwo z innymi stanami naszej świadomości.

3. Jak odróżniają uczucia od przedstawień?

Uczucia uważa się często za stany, zgoła różne od przedstawień i przekonań, stany, które łączą się tylko z przedstawieniami i przekonaniami, ale do nich sprowadzić się nie dają. Uczucia stanowią subjektywną grupę zjawisk duchowych, podczas gdy przedstawienia stanowią ich grupę objektywną. To ostatnie twierdzenie ilustrują takie zwroty mowy naszej, w których przedmiotom zewnętrznym przypisujemy cechy, dane nam w przedstawieniach, podczas gdy cechy z dziedziny życia uczuciowego przypisujemy sobie samym, a nie przedmiotom poza nami. Mówimy więc, że zielone jest drzewo, a wesoły jestem ja; ciemny jest krajobraz, a smutny jest człowiek, który na krajobraz patrzy. Stąd przedstawienie jest objektywnym składnikiem życia duchowego, a uczucie subjektywnym. Przypominam odnośne ustępy n. p. u Wundta i u Lippsa.

4. Uczucia a przedstawienia.

Ten przedział między przedstawieniami i przekonaniami z jednej strony, a uczuciami z drugiej, staje się mniej wyraźny przy bliższej analizie doświadczenia wewnętrznego.

Bo uczucia są albo proste, albo złożone. Przez uczucia proste rozumiem to, co się po niemiecku nazywa: der Gefühlston einer Vorstellung, tę przyjemność lub przykrość, której doznajemy n. p. przy wrażeniach zmysłowych, zabarwionych dodatnio lub ujemnie; przez uczucia złożone zaś to, co przeżywamy w przystępie gniewu, na tle zazdrości lub przyjaźni, w żywem obcowaniu z dziełami sztuki, w chwili radości lub w godzinie smutku, słowem, przyjemność lub przykrość, związaną nie z prostym, ale z bogatszym stanem intelektualnym, w którym wyróżnić potrafimy liczne i rozmaite przedstawienia i przekonania.

Otóż co do uczuć prostych, to trudno jest pojąć, co je ma różnić od przedstawień tak zasadniczo, co właściwie cechuje ból lub rozkosz tak wybitnie, żeby nie można było ich zestawić w je-

dcn szereg z naciskiem lub temperaturą, barwą lub tonem. Rozpatrując przyjemności i przykrości proste o małym stopniu, znajdujemy zawsze jakieś wrażenie zmysłowe, zabarwione dodatnio lub ujemnie; rozpatrując przykrości i przyjemności silniejsze, znajdujemy wrażenia ustrojowe, zabarwione przyjemnie lub przykro. W obu razach przyjemność lub przykrość jest tak samo cechą wrażeń, t. j. stanów intellektualnych, jak jest nią nasycenie lub jasność u barw, wysokość lub barwa u dźwięków.

I podobnie objektywizujemy uczucia, jak objektywizujemy przedstawienia, t. zn. przypisujemy przedmiotom, a nie nam samym znamiona, dane nam w stanach uczuciowych. Mówimy n. p., że letni dzień jest jasny i miły, a jesienna noc ciemna, przykra i straszna, że widmo słoneczne jest bardzo miłe i przyjemna jest woń goździków, przyjemny jest głos fletu, a przykry jest amoniak, wstrętny siarkowodór, przykry głos rozbitego dzwonu.

W tych zwrotach tak samo przedmioty zyskują cechy, dane nam w uczuciach, jak zawsze otrzymują cechy, dane nam w przedstawieniach.

Nie widzę, dlaczego miałbym uważać uczucia w przeciwstawieniu do innych jakości przedmiotów za szczególnie subjektywny składnik mego życia duchowego, skoro 1) istnienie ich jest równie mojem istnieniem i czuwaniem uwarunkowane, jak istnienie wszelkich w ogóle jakości zmysłowych, skoro 2) równie dobrze lokalizuję uczucia proste, jak lokalizuję wrażenia inne, i równie trudno mi je w innych wypadkach lokalizować, jak mi trudno lokalizować niektóre wrażenia inne, skoro 3) nic mnie w obserwacyi psychologicznej nie powinien obchodzić przyjęty sposób mówienia, który każe przedmiotom mieć cechy zmysłowe, a mnie każe doznawać uczuć.

Ja bowiem równie dobrze doznaję jakości zmysłowych, jak doznaję uczuć, a z drugiej strony żelazo rozpalone, w zetknięciu ze skórą, równie dobrze jest czerwone i piekące, jak jest przykre. Czerwień, którą to żelazo wywołuje w mojej świadomości za pośrednictwem oczu, nie jest ani o włos bardziej objektywna, niż ból, który to samo żelazo we mnie wywołuje za pośrednictwem skóry.

Jak dla czerwieni dotwarza mi teorya pewne objektywne stosunki i zależności między ilością fal eteru a stanem mojej substancyi wzrokowej w organizmie, tak i dla uczucia przykrego stara się szereg teoryj teleologicznych dotworzyć pewne objektywne warunki, w których ono powstawać zwykło.

Różnica więc między uczuciem prostem a wrażeniem przestaje być zasadniczą. Pewną prostą jakość przedmiotów, inaczej: pewną prostą cechę naszych przedstawień, nazywamy przykrością i przyjemnością.

Podobnie jak nasycenie nie dołącza się do barwy jakiejś lub do zestawienia barwnego, kiedy je powoli wyprowadzamy z neutralnego tonu, tylko nieznacznie powstaje wraz z tworzącą się jakością barwy w znaczeniu ściślejszem, podobnie barwa ta lub zestawienie barwne nie zaczyna się łączyć, w miarę większej jasności i nasycenia, z przyjemnością, niby z elementem sobie równorzędnym, a zgoła różnym, tylko po prostu zaczyna być to wrażenie barwne coraz bardziej przyjemne, zyskuje cechę, która się modyfikować może w obrębie dwóch kontrastów, może schodzić do zera, może towarzyszyć stanom najrozmaitszym, zarówno prostym, jak i złożonym. Jeżeli psychologia cechy uczuciowe uważa za szczególnie subjektywne składniki naszego życia psychicznego, i dla tego je przeciwstawia jako współrzędną grupę wyobrażeniom, to uwzględnia tylko ten fakt, że w naszej naukowej konstrukcyi świata objektywnego nie mają przedmioty tych znamion, które my znamy z naszego życia uczuciowego; ale podobnie przecież przedmioty, z pomocą których fizyk konstruuje świat objektywny, pozbawione są b a r w i d ź w i ę k ó w. Świat subjektywny ma równie dobrze znamiona przestrzenne, wzrokowe, słuchowe, smakowe, jak ma i znamiona uczuciowe.

Zatem uczucia proste nie są to zjawiska równorzędne z przedstawieniami, a zgoła od nich różne, tylko są to proste cechy wrażeń, a w szczególności cechy wrażeń ustrojowych. W mowie potocznej i w nauce używany wyraz »uczucie« oznacza zazwyczaj nie samą cechę przedstawienia w oderwaniu, tylko przedstawienie dane wraz z tą cechą.

5. U c z u c i a z ł o ż o n e.

Jeszcze trudniej jest pojąć samodzielne, równorzędne z przedstawieniami stanowisko uczuć złożonych. Analiza pokazuje w nich zawsze kompleksy licznych, mniej lub więcej uświadomionych przedstawień i przekonań, zabarwionych przyjemnie lub przykro. Uczucia te, mówimy, zwykły się łączyć z przedstawieniami lub przekonaniami; analiza ich wykazuje, że stosunek ich do przedstawień i przekonań, które stanowią ich podstawę psychologiczną, jest taki sam, jak stosunek grupy tonów górnych do tonu zasadniczego w dźwięku. Podobnie jak w dźwięku, dołącza się do tonu zasadniczego, który wy-

raźnie występuje w świadomości, kompleks tonów górnych, które nie występują wyraźnie w świadomości z osobna, ale uświadamiają się jako całość i stanowią to, co nazywamy barwą dźwięku, podobnie z przedstawieniami i przekonaniami, które wyraźnie w świadomości występują, łączą się grupy mało uświadomionych, niejasnych, zatartych, trudnych na pierwszy rzut oka do wyróżnienia skojarzeń, t. zn. grupy przedstawień i przekonań przygasłych, a zabarwionych przyjemnie lub przykro; do tego dołączają się wrażenia ustrojowe przyjemne lub przykre, i stanowią wraz z poprzednimi elementami jako całość to, co nazywamy uczuciem złożonem.

Zatem uczucia złożone, to również nic innego, tylko pewne kompleksy intellektualne; zaczem i one nie muszą stanowić osobnej, zgoła różnej klasy zjawisk duchowych. Mogą ją stanowić ze względów metodycznych, jako zjawiska ważne ze względu na swą niejasność i doniosłe ze względu na swój stosunek do postanowień, a przez to wpływ na postępowanie nasze, ale nie mogą ze względu na rzekomo istotną różność od przedstawień.

Zostają zatem w psychologii dwie grupy różne: przedstawienia i przekonania. Uczucia, pragnienia i postanowienia okazują się tylko ich modyfikacyami. Przedstawieniem nazywamy stan wewnętrzny, o ile w nim nie uwzględniamy rzeczywistości lub nierzeczywistości danego nam przedmiotu, przekonaniem nazywamy stan wewnętrzny, o ile się w nim liczymy z istnieniem danego przedmiotu. Nie chcę przesądzać, czy nie uda się dokonać redukcyi i w obrębie tych dwóch grup zjawisk duchowych, t. zn. czy nie uda się wykazać, że i t. zw. sądy są pewną modyfikacyą przedstawień w myśl pomysłów Hume'a, i czy wtedy nie urzeczywistni się myśl Herbarta, a mianowicie: sprowadzenia do jedności różnych rodzajów zjawisk psychicznych.

Nie chodzi na razie o rozwinięcie tej myśli; chodzi tylko o wskazanie kierunku.

BUDOWA
PIERWSZYCH POWIEŚCI POLSKICH

napisał

KONSTANTY WOJCIECHOWSKI.

W szkicu niniejszym daję fragment badań, które przedsięwziąłem nad budową powieści polskiej. Uwzględniam jedynie powieści oryginalne, a wychodzę od Krasickiego »Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadków« (1776). Przez powieści oryginalne rozumiem dzieła nie tłumaczone z obcych języków, bo o oryginalności w ściślejszem znaczeniu tego wyrazu w owych czasach niema mowy. Wyrazem »budowa« określam jedynie układ części wątku i stosunek wątku głównego do epizodów. W szczegóły kompozycyi tu nie wchodzę.

Budową najzupełniej mechaniczną odznaczają się wspomniane »Przypadki«. Wypływa to z ich genezy. Ksiądz biskup, pisząc Doświadczyńskiego, pragnął przeszczepić i przeszczepił istotnie trzy typy romansu zachodniego: romans obyczajowo-domowy, utopię i »przygody« (aventures), ale trzech tych typów nie zlał w jednolitą kompozycyę artystyczną, przeciwnie, ustawił księgi obok siebie, przyczem każda zachowała odrębny charakter. Związek między niemi polega na tem, że druga jest dalszym ciągiem pierwszej, a trzecia drugiej, każda z nich jednak tworzy dla siebie całość. Mamy więc schemat bardzo prosty:



Wzoru autor mieć nie mógł, bo taką a nie inną kompozycyę należy przypisać faktowi, że autor wpatrywał się w różne wzory, tworząc każdą z poszczególnych części. Natomiast sam wywołał naśladownictwo. Ks. Michał Krajewski w romansie p. t. »Wojciech Zdarzyński życie i przypadki swoje opisujący« (1785) przejął od Krasickiego nietylko pomysł, ale i schemat, część pierwsza bowiem powieści to romans obyczajowy (wadliwe wychowanie, długi, ucieczka), część druga — to utopia (idealny lud Sielan), część trzecia: przygody i powrót. Kopia zatem zupełnie wierna, jakkolwiek kopista w szczegółach zasilał się u obcych.

Typ ten, powołany do życia potrzebami nie artystycznemi, zamiera.

Nie wywoła również naśladownictw kompozycya »Polaka w Paryżu« (»Polak w Paryżu, albo dwutygodniowa w temże mieście bytność hrabiego ***«, 1787). Autor romansu tego nieznany, nie znamy też dotychczas wzoru, w który się nasz anonim wpatrywał. Dzieło samo jest unikatem u nas w XVIII wieku i przez fabułę i dzięki sposobowi przedstawienia rzeczy, natomiast kompozycya utworu jest zupełnie luźna. Piętnaście dni pobytu w Paryżu przedstawia autor w piętnastu rozdziałach, przygody tedy każdego dnia są treścią każdego z rozdziałów. Treść podana w nagłówkach. Graficznie:



Rozdział na dwa tomy spowodowany nie względami kompozycyjnymi, lecz poprostu troską o wygodę czytelnika. Chodziło o to, by nie musiał trzymać w ręku książki zbyt grubej.

Nie dbał o kompozycyę Krasicki w »Panu Podstolim«. Problem ten dla autora nie istniał. Zapewne dlatego, że nie chodziło mu o stworzenie dzieła sztuki. To samo da się powiedzieć o ks. biskupie Kossakowskim, autorze »Księdza Plebana« i »Obywatela«.

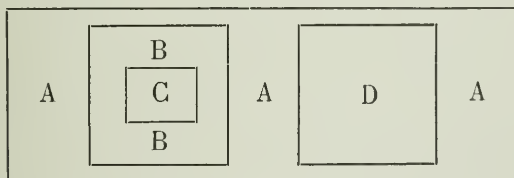
Natomiast naśladowca Krasickiego, ks. Krajewski, autor Zdarzyńskiego, pokusiwszy się o stworzenie pendant do Podstolego, dał się unieść ambicyi i postanowił ująć materyał, z natury rzeczy niepoetyczny, w ramy kompozycyi artystycznej. Plan ów powziął dopiero po wydaniu »Przypadków«, zrazu bowiem, jak poucza nas przedmowa, zamiarem autora było opisać jedynie »dom, gospodarstwo i zabawy Pani Podczaszyny«. Porzuciwszy pomysł pierwotny, postanowił opis »domu, gospodarstwa« i t. d. wpleść w osnowę fabuły powieściowej. Dodajmy, że fabułę przejął dość niewolniczo z Nowej Heloizy.

Rozsnuwa tedy ks. Krajewski w »Pani Podczaszynie« (1786) wątek powieściowy: młodość i cierpienia miłosne bohaterki aż do śmierci Podczaszego i powrotu brata wdowy, Wojciecha Zdarzyńskiego, poczem umieszcza nad miarę obszerną część dydaktyczną (z okazyi oprowadzania brata przez siostrę po gospodarstwie), poczem dosnuwa wątku (powrót kochanka młodości, ślub kochanka z córką ukochanej zmarłej). Nietrudno poznać, że autor przejął od Rousseau'a nietylko osnowę, ale i plan budowy powieści. Podzielił

romans, jak Rousseau, na część erotyczną i dydaktyczną: część pierwsza to miłość, rozpacz i łzy, druga — to wzory godne naśladowania i moralizujące dysputy. (Na logiczną kompozycyę Nowej Heloizy zwrócił uwagę Erich Schmidt w znanej pracy »Richardson, Rousseau u. Goethe, Jena 1875). Uzmysłowić da się kompozycya »Pani Podczaszyny« w sposób następujący:

Romans	Część dydaktyczna	Romans

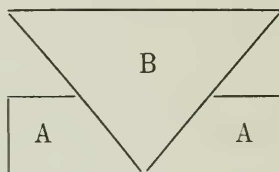
Pomijam broszury polityczne ks. Jezierskiego (»Goworek«, »Rzepicha«), a przechodzę do powieści Cypryana Godebkiego »Grenadyer-filozof« (1805). Autor nazwał ją »powieścią prawdziwą, wyjętą z dziennika podróży roku 1799«. Treść ujął w 8 rozdziałów. Są to losy legionisty polskiego od klęski Francuzów nad Trebią aż do przybycia jego do Lugdunu i opowieść o pewnym dziwnym grenadyerze, z którym legionista zawarł znajomość. W on »dziennik legionisty« wplecione, oprócz dziejów Henryego (grenadyera), opowiadanie oberżysty o swoich losach, a w to »powieść« Sadego o królu perskim i jego ministrze. Jeśli dziennik legionisty nazwiemy A, opowieść oberżysty B, powieść Sadego C, a dzieje Henryego D, w takim razie schemat budowy przedstawi nam się tak:



Wstawki B i C nie dadzą się uzasadnić motywami kompozycyjnymi, natomiast wplecenie D w wątek A jest wynikiem rozmysłu i pierwszą próbą utrzymywania ciekawości czytelnika przez zakrycie przed nim pewnych antecendencyi i osnowy i pewnych faktów, które zdarzyły się już podczas rozwoju wątku.

Metodą przejętą z »Schauerromane« posługuje się Mostowska w romansie swym »Matylda i Daniło« (1806). Snuje wątek powieściowy aż do chwili, kiedy Klara słyszy tajemniczy szept »uciekaj, Klaro, jeśli zginąć nie chcesz«, poczem przerywa wątek, by rozwinąć ob-

szerne opowiadanie Gryzaldy, wyjaśniające genezę tajemniczego szeptu. Z tą tajemnicą łączy się tragedya rodu, klątwa, ciążąca na rodzie. Opowiadanie Gryzaldy słyszy Daniło, ale na nie nie zważa, czego następstwem jest katastrofa. Opowieść Gryzaldy rozsadziła wątek osnowy i wybiła się na plan pierwszy. Wynikało to z intencyi autorki, która w tej właśnie opowieści chciała skupić wszystkie motywy, zdolne wstrząsnąć czytelnikami. Wątek główny (A) znika niemal przy wstawce (B), wyjaśniającej pewne momenty wątku. Więc budowa:

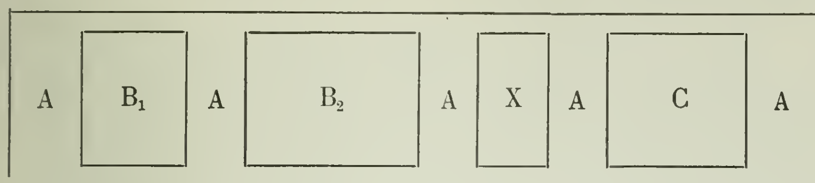


O wiele bardziej skomplikowaną budowę posiada romans tej samej autorki p. t. »Zamek Koniecpolskich« (1806). Przyznać jednak trzeba, że to skomplikowanie jest wynikiem dobrze obmyślanego planu całości, z wyjątkiem jednego epizodu.

Rozpoczyna się wątek powieści: Zelisława czeka na męża swego Bretysława, burza, jęk ducha. Ostatni fakt tajemniczy spowodowuje opowiadanie Kasyldy, które jednak urywa się na wyjeździe Bohdana (ojca Bretysława) do Palestyny. Powraca bowiem Bretysław. Radość Zelisławy, turnieje, uczty. Ale ciekawość Zelisławy niezaspokojona, więc Kasylda podejmuje swą opowieść i doprowadza ją do chwili znalezienia szabli (pozostawionej przez ducha) przez Bretysława. Poczem wątek snuje się w dalszym ciągu: jesteśmy świadkami wędrówki Bretysława do Włoch, śmierci Zelisławy, wyjazdu do Palestyny, miłości Adelajdy i Adolfa. Tu przerywa wątek niewiążące się ściśle z całością opowiadanie Meynharda. Nawiązanie do przerwanej tym epizodem osnowy: przybycie do Palestyny i dalsze wypadki aż do odkrycia tajemnicy, że raniony przez Bretysława starzec jest jego ojcem. Teraz wprowadza autorka opowiadanie Bohdana o tem, co się stało od chwili spełnienia przez niego zbrodni aż do czasu, w którym otrzymał ranę od własnego syna. Następuje epilog powieści.

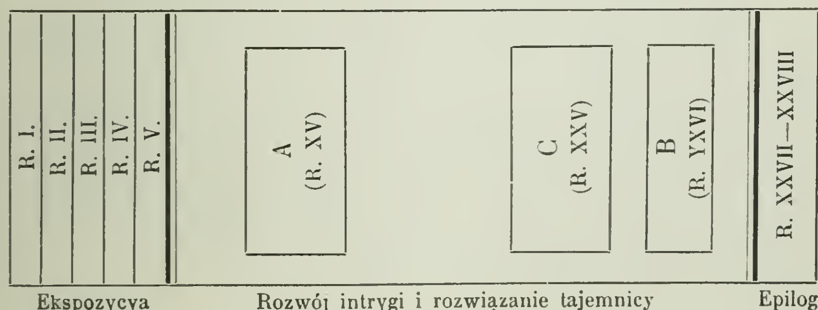
Jeśli wątek oznaczymy za pomocą A, opowieść Kasyldy za pomocą B, wyznania Bohdana nazwiemy C, a opowiadanie Meyn-

harda X, w takim razie schemat budowy romansu zarysuje się przed nami w sposób następujący:



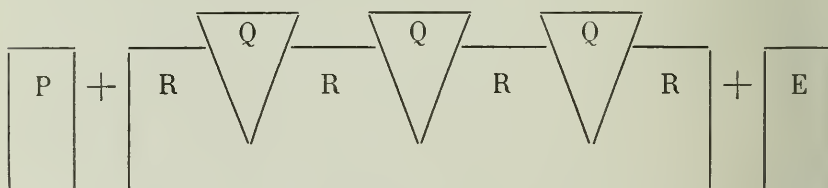
Antecedencye rozłamane bardzo zręcznie na trzy części. Autorka osiąga tem silne naprężenie uwagi czytelnika.

O artyzm w kompozycyi troszczy się pierwsza Marya ks. Wirtemberska i osiąga wyniki nieposlednie. Jej »Malwina czyli domyślność serca« jest nietylko pierwszą polską powieścią psychologiczną, ale i pierwszym romansem o misternej budowie. Znakomicie przeprowadzona ekspozycya: w rozdziale pierwszym wprowadzenie bohatera i bohaterki, w rozdziale drugim wskazana najbliższa przeszłość bohatera, w trzecim — bohaterki, rozdział czwarty charakteryzuje bohatera, piąty — bohaterkę, oboje na tle ich wzajemnych uczuć. Rozdziały IV—XXVI zawierają rozwój intrygi zewnętrznej i wewnętrznej i rozwiązanie tajemnicy. W to wplecione trzy wstawki z antecedencyami: w rozdz. XV historya matki Ludomira, w r. XXV dzieje Ludomira od dzieciństwa do wstąpienia do wojska, w rozdz. XXVI dzieje Ludomira od jego urodzin do zamieszkania w Karpatach. Rozdziały XXVII—XXVIII tworzą epilog: dwie pary małżeńskie. Kompozycya obmyślana doskonale w najdrobniejszych szczegółach, przejrzysta, symetryczna, zgodna z rozwojem akcyi, a służąca wybornie efektom, które autorka pragnęła wywołać. Graficznie:



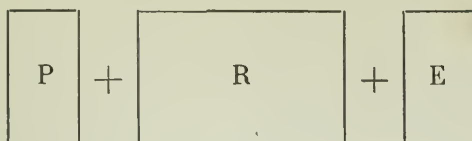
przyczem za pomocą A C B oznaczamy wstawki: A historya matki Ludomira, B dzieje Ludomira od jego urodzin, C dzieje L. do wstąpienia w szeregi wojskowe.

Wzoru bezpośredniego dla tej kompozycyi nie miała autorka. Wraz z »Nierozsądnymi Ślubami« Bernatowicza (1820) rozpoczyna się nowy rodzaj romansu w Polsce, t. zw. romans sentymentalny, jakkolwiek początki jego są już w »Pani Podczaszynie« Krajewskiego i w »Malwinie«. Romans Bernatowicza wyrósł jednak — odmiennie niż tamte — z zespolenia się wpływów lektury Wertera i Nowej Heloizy i dzięki temu przybrał specyalny kształt. Niezależnie od formy listowej, przeprowadzonej konsekwentnie, co jest refleksem »Lettres de deux amours«, z Wertera wzięty jest prolog: sielanka i epilog: śmierć. W tych ramach romans russowski. Owo zespolenie mechaniczne zaznacza się arcywyraziście przy analizie utworu. Ale Bernatowicz nie poprzestał na tych pierwiastkach składowych — przeciwnie, do romansu wprowadził szereg epizodów, które na jasności i przejrzystości akcyi wewnętrznej odbiły się najfatalniej. Epizody te gmatwają osnowę i odrywają uwagę od zasadniczego problemu (jak epizod ze Smorogiem i Hanką). Oznaczmy prolog przez P, romans przez R, epilog przez E, a epizody przez Q, a schemat budowy przedstawi nam się tak:



Wprowadzenie epizodów jest własnością Bernatowicza.

Podobny typ, ale znacznie prostszy. znachodzimy w Kropińskiego »Julii i Adolfie« (1824) i we wcześniejszym romansie Rautenstrauchowej »Emmelina i Arnolf« (1821). U p. Rautenstrauchowej w prologu poznajemy bohatera jako Lowelasa, poczem po przełomie snuje się romans, a kończy powieść epilog od autorki (bo cała powieść w listach). W »Julii i Adolfie« również jądrem jest romans russowski; poprzedza go wstęp od autora, a zamyka całość epilog w guście Wertera, jako dodatek. Więc:



bez psujących kompozycyę epizodów.

Jest to budowa najprostsza i najbardziej nadająca się do snucia problemów psychologicznych.

Wniosków z nawiedzionych uwag nie wysnuwam, ponieważ przedstawiłem tu materyał stosunkowo niewielki. Wszelako na pierwszy rzut oka widoczny jest fakt jeden: wiek XVIII o kompozycyę się nie troszczy, bo względy artystyczne przytłacza utylitaryzm; w wieku XIX, na samym progu, wita nas romans operujący tajemniczością i do tego naginający budowę (»Zamek Koniecpolskich«, »Malwina«) — nawet sztuczną; natomiast romans sentymentalny uderza czytelnika prostotą kompozycyi. Wpływ to arcydzieła Goethego.

O SĘDZIACH POLUBOWNYCH W PRAWIE KOŚCIELNEM

napisał

Ks. STANISŁAW WYSOCKI

Źródła:

C. I. Civ.: D. IV 8. — C. II. 56[1]. — C. I. Can.: c. 35, 36, 37. C. 11 q. 1 (pomieszczone też w c. 13 x. II 1). — Tit. XLIII, X, I. — Tit. XXII, I in 6. — Conc. Trid. Sess. 14 c. 5 de Ref. — Acta SS. t. VII (r. 1872) str. 393—398.

Literatura:

Wszyscy komentatorowie C. I. Can. omawiają także sprawę sądów polubownych. Wymieniamy najważniejszych: Fagnani in c. 2, 5, 8, 10, tit. XLIII, X, 1. — Pirhing — Reiffenstuel — Schmalzgrueber.

Z nowszych porównaj: Praelectiones iuris canonici ad methodum decretalium Gregorii IX exactae, quas in scholis pontificiis seminarii Romani tradebat Philippus canonicus de Angelis. T. I, P. II. Romae-Parisiis 1877 (od str. 411—427). — Praelectiones in textum iuris canonici: De iudiciis ecclesiasticis in scholis pont. sem. Rom. habitae a Michaële Lega Sac. De iudiciis ecclesiasticis civilibus. Lib. I Vol. I. Romae 1896 (str. 44—63).

Wstęp.

Prowadzenie procesów połączone zawsze (nawet w sądach kościelnych) i z kosztami i ze stratą czasu, przyczem roznamiętnia i zaognia wzajemne niechęci. Stąd też Kościół od samego początku swojego istnienia zachęcał wiernych, by spory swe załatwiali polubownie, oddając je pod rozsądzenie ludzi godnych zaufania i wiary[2]. W czasach prześladowań do powodów wyżej wymienionych przyczyniał się i ten, że niegodnem było chrześcijanina prawować się przed sędzią niewiernym. Chrześcijańscy cesarze rzymscy zatwier-

[1] Prawo rzymskie stanowi także źródło prawa kanonicznego, nie tylko wtedy, kiedy to ostatnie ustawę jakąś kodeksu świeckiego wyraźnie pomieszcza między kanonami (kanonizacya), ale i w sprawach — przez Kościół nieokreślonych, niesprzecznych z jego duchem — a zajmujących się rzeczami, podległemi z natury swej jurysdykcyi duchownej. (Por. ks. Michała Legi Praelectiones de iudiciis ecclesiasticis: de iudiciis ecclesiasticis civilibus. Lib. I, Vol. I, str. 14—15).

[2] Ep. I. ad Cor. cap. VI.

dzili stary zwyczaj kościelny załatwiania polubownie sporów między wiernymi, jak tego dowodzi n. p. konstytucya Konstantyna W., pomieszczona w kodeksie Teodozyusza[1], lub dekret z kodeksu cesarza Justyniana[2]. Kościół korzystał z tej wolności, a biskupi niemało czasu poświęcać musieli sądom rozjemczym[3].

Wprawdzie sprawy cywilne można załatwiać także prywatnym układem (transactio), ale bardziej odpowiada naturze ludzkiej oddanie sporu pod sąd osoby nieinteresowanej, a cieszącej się zaufaniem obydwóch przeciwników, stąd i instytut sądów polubownych częściej bywał w praktyce. Przepisy prawne, normujące tę instytucyę, przejął Kościół z prawa rzymskiego, rozszerzając je w miarę potrzeby, zmieniając i stosując do swych potrzeb.

§. 1. Sędziowie polubowni przez prawo wymagani (arbitri necessarii).

Sędzia polubowny — w ścisłem tego słowa znaczeniu — jest to osoba godna zaufania, wybrana czy to z nakazu prawa, czy też z umowy stron, spór wiodących, dla rozstrzygnięcia i zakończenia tegoż. Z tej definicyi wynika, że niekiedy samo prawo nakazuje sprawy niektóre załatwiać polubownie. I w tym wypadku rozjemców z zasady wybierają sami przeciwnicy, a nie sędzia zwyczajny, chyba że on sam zaplątany w spór, kiedy n. p. prawujący się zarzucają mu stronniczość[4]. Atoli zwyczajnie w sprawach, wymagających rozjemców już z ustawy samej, sędzia publiczny wybrać ich musi, jeżeli obydwaj przeciwnicy zaniedbają się w tym obowiązku, albo jeden ociąga się z jego spełnieniem, drugi zaś nastaje na przyspieszenie sprawy.

Rozjemcy ci zajmują pośrednie miejsce między właściwymi sędziami a sędziami polubownymi w ścisłem znaczeniu tego słowa.

Owi quasi-arbitrzy mają rzeczywistą (quasi ordinaria) jurysdykcyę, stąd też mogą urzędownie powoływać przed się strony, badać świadków, nakładać nawet kary, słowem robić wszystko, co konieczne i potrzebne do wyświetlenia i rozsądzenia sporu[5]. W czyn-

[1] Przepisana w dekrecie Gracyana c. 35, 36, 37. C. XI q. 1 i w c. 13 x. II, 1.
[2] L. 8, C. I, 4.
[3] Por. Lega: Op. cit. str. 23—24.
[4] c. 39 x. I, 29.
[5] c. 39 x. I XXIX i Glossa ad V. ad quos omnia.

nościach swych trzymać się muszą przepisów prawa procesowego, gdyż zastępują sędziów rzeczywistych, i dlatego też, nawet wbrew woli, przyjmować muszą ten obowiązek[1]. Ponieważ zaś w tych wypadkach, w których prawo żąda rozjemców, spierający się odwołują się do nich z konieczności (bo w razie zaniedbania tego wyznaczy rozjemców sędzia), przeto słuszna, że od wyroku quasi-arbitra dozwolone jest odwołanie się do wyższej instancyi[2].

Prawo dokładnie określa, kiedy spór iść musi pod sąd rozjemców. Nie wszystkie wypadki, wymieniane w kodeksach, mają i obecnie jeszcze praktyczne zastosowanie, ale nie można twierdzić, że wszystkie straciły już znaczenie. W następujących razach musi się wzywać quasi-arbitrów: 1) jeżeli chodzi o zbadanie, czy sądzeni słusznie oskarżają sędziego o stronniczość[3]; 2) z analogicznych powodów nakazują kanony rozstrzygać sędziom polubownym spory między biskupem a podwładnymi mu klerykami[4]; 3) niemniej z prawa rozsądzać winni arbitrzy pytanie, kto jest sędzią właściwym w sprawie powierzanej kolejno różnym osobom, a nie jest widoczna, czy reskrypt późniejszy jest zarazem odwołaniem pierwszego[5]; 4) sobór trydencki wreszcie stanowi[6], że w sporach, w których oskarżony wybiera konserwatora, a strona skarżąca odrzuca go jako podejrzanego sobie, jakoteż i w razie, kiedy sprawa toczy się o kompetencyę między sędzią delegowanym (konserwatorem) a ordynaryuszem, osądzić wpierw muszą sędziowie polubowni słuszność skargi o stronniczość, względnie ocenić, kto ma prawo spór przeprowadzić, a dopiero wtedy można prowadzić dalej dochodzenia procesowe.

Spory o kompetencyę między trybunałami rzymskimi rozstrzyga obecnie kongregacya konsystoryalna[7].

Rozjemcy ci — z prawa wymagani — różnią się przecież od sędziów rzeczywistych, gdyż wybór ich z zasady należy do samych stron; ponieważ jednak posiadają istotnie jurysdykcyę, mogą więc

[1] Por. Schmalzgrueber in h. t. n. 3 (1).

[2] c. 11 I tit. XIV in VI

[3] c. 39 x. I XXIX, c. 4 i 11 I 14 in VI. Acta Apostolicae Sedis annus II Vol. II n. 19 (10 Oct. 1910) str. 751.

[4] c. 46 C. XI q. 1; por. Lega op. cit. str. 50, uwaga.

[5] c. 14 x. I tit. III. O dwóch innych wypadkach, w których prawo domagało się koniecznie sędziów polubownych, obecnie niepraktycznych, por. Schmalzgrueber in h. t. n. 5 (4 i 5).

[6] Cap. 5 sess. XIV de Ref.

[7] Acta Apost. Sedis annus I Vol. I. (15 Jannuar 1909) n. 1 str 10.

sądzić nie tylko o sprawie głównej, ale i o wszystkich innych z nią połączonych.

§. 2. Właściwi sędziowie polubowni.

Poza wypadkami wymienionymi prawo nie zmusza nikogo do zawierania kompromisu na sędziów polubownych (aczkolwiek — jak nadmieniliśmy — sprzyja bardzo załatwianiu sporów w ten sposób)[1], zmuszenie zaś kogoś do wyboru arbitrów robi ten wybór nieważnym.

Mogą takie układy zawierać wszyscy, którzy mogą zupełnie swobodnie rozrządzać rzeczami, czy to swojemi, czy też cudzemi, którzy mogą zawierać układy o nie, pozbywać się ich nawet[2]. Jeżeli bowiem ktoś niema prawa wyzbywać się jakiejś rzeczy (chyba z zachowaniem prawnych formalności), nie może też układać się o nią, ani oddawać rozjemcom do rozstrzygnięcia sporów, jej się tyczących, ponieważ układy takie prowadzić mogą do niedozwolonego zrzeczenia się jakiegoś prawa, czy rzeczy[3]. Dozwolony natomiast kompromis, jeżeli samej rzeczy nie grozi niebezpieczeństwo, bo w układzie zastrzeżono, że przegrywający zatrzyma ją w każdym razie, wynagradzając tylko wygrywającego[4].

Nie mogą więc godzić się na sędziów polubownych prałaci kościelni, proboszczowie i inni beneficyaci, kiedy w grę wchodzą rzeczy i prawa kościelne, których nie można pozbywać się bez przepisanych formalności prawnych. Prócz tego nie wolno zawierać kompromisu szaleńcom (z prawa naturalnego), rozrzutnikom, zostającym pod kuratelą[5], pupilom bez upoważnienia opiekuna, ponieważ ci ostatni — w razie przegranej — nie mogą uiścić kary, chyba że dali poręczyciela, od którego zażądać można jej zapłacenia[6]; ani małoletnim, mającym opiekuna bez jego zezwolenia i dekretu sędziego[7], kiedy chodzi o posiadłości ziemskie, lub przedmioty wielkiej

---

[1] Wyjątki od tej zasady, podyktowane niekiedy koniecznością, zob. u Schmalzgruebera in h. t. n. 10 v. Excipitur.

[2] c. 3, 5, x. I, tit. XLIII.

[3] Reg. Jur. 84 in VI zob. Reiffenstuel in h. t. n. 32 sqq. Schmalzgrueber n. 6 sqq. Lega str. 50 i 51.

[4] Schmalzgrueber cit. n. 6. Reiffenstuel n. 35.

[5] D. l. 27 §. coram IV, 8.

[6] D. l. 35 IV 8.

[7] D. l. 3, IV 8 cum glossa ad v. Commissae.

wartości; synom za życia ojca w sprawach dochodów, wydzielanych im przez tegoż, czy dziedzicznych[1], nie zaś, kiedy idzie o majątek osobiście zarobiony[2]. Z drugiej strony nie wolno zdawać sprawy na arbitrów opiekunom, bez zezwolenia sędziego, w rzeczach nieruchomych, lub ruchomych wartościowych[3], jako też prokuratorom — chyba, że mają na to osobne upoważnienie[4]. A wreszcie nie może obierać rozjemców zakonnik, któremu zlecono nawet administracyę, jedynie za zgodą przełożonego; kobiety w cudzem imieniu[5] i niewolnicy[6]. Wszystkie wymienione przepisy obowiązują — oczywiście — o ile pochodzą z prawa kościelnego. Rozporządzenia prawa rzymskiego, oparte na stosunkach owoczesnych, nawet w trybunałach kościelnych nie mogą być stosowane bezwzględnie.

Dotychczas mówiliśmy o osobistej niejako niezdolności układania się w sprawach wątpliwych a spornych za pomocą sędziów polubownych. Zachodzi pytanie, czy osoby, którym wolno zawierać kompromisy, mogą to robić w każdym razie. Ogólna odpowiedź brzmi, że w myśl ustaw kościelnych wszelkie sprawy można załatwiać w ten sposób, o ile prawo wyraźnie tego nie broni, żądając sędziów i sądów formalnych. Takie zastrzeżone sprawy są większej wagi, i dlatego to Kościół usuwa je z pod roztrząsania prywatnego, tem bardziej, że, jak zobaczymy, od wyroku sędziów polubownych apelacyi niema, a i być nie może.

Kompromisowo nie można załatwić: 1) spraw karnych, kiedy chodzi o ukaranie występku (actio criminaliter prosecuta)[7], gdyż zbrodnie winno państwo samo karać, a nie może dozwolić, iżby je sobie prywatnie przebaczano; 2) niedopuszczalny też kompromis w sprawach małżeńskich, o ile chodzi o ważność, względnie nieważność związku, lub też o separacyę[8]; 3) zakazane też jest odwoły-

[1] Peculium profectitium, adventitium.

[2] Peculium castrense, quasi-castrense; por. Schmalzgrueber in h. t. n. 7 (6).

[3] Schmalzgrueber ibid.

[4] c. 9 x. XLIII, I.

[5] D. l. 32, IV, 8.

[6] D. l. 32, §. Si servus IV, 8.

[7] c. 9, x. XLI, I. — D. l. 32. §. Julianus IV, 8. W sprawach tego rodzaju dozwolony kompromis, jeżeli chodzi o skutki zbrodni natury czysto prywatnej, n. p. o naprawienie szkody, które można i polubownie usuwać (por. Lega op. cit. str. 36).

[8] c. 9 x. XLI I. — c. 12 x. XXXI, V. (Rezerwuje biskupom sprawy małżeńskie). Instrukcya Rauschera §. 200. — Tu należą t. zw. causae liberales

wać się do arbitrów w sprawach beneficyalnych (o nadanie beneficyum), chyba że godzi się na to władza kościelna, albo że na sędziego polubownego wybrano samego ordynaryusza [1], a to z powodu, ażeby nie otwierać drogi do beneficyów wbrew przepisom prawa, domagającym się instytucyi kanonicznej [2]. Sądy polubowne wyłączone są też, jeżeli z tego może wyniknąć uszczerbek jaki dla stolicy apostolskiej. Dlatego więc nie można powoływać arbitrów w wątpliwości, czy ktoś podlega władzy ordynaryusza, czy też nie (causae exemptionis) [3]. Jeżeli też sprawa toczy się o t. zw. »restitutio in integrum«, sądzić musi trybunał zwyczajny, a nie rozjemczy, gdyż rzecz ta należy do ważniejszych. Wyjatkowo tylko, kiedy arbitrzy rozpatrują już jakąś sprawę, a wyłoni się przytem i kwestya o »restitutio in integrum«, mogą ją załatwić, ażeby nie przerywać toku głównej rozprawy [4]. Od wyroku wydanego prawnie i mającego już moc prawną (res iudicata) niema także rekursu do sędziów polubownych, oni bowiem winni rozstrzygać sprawy wątpliwe, czego niemasz w danym wypadku [5].

W ogóle wszystkich rzeczy, o które nie wolno układać się prywatnie (transigere), nie wolno też poddawać pod rozpatrzenie arbitrów [6].

Sędzią polubownym może być każdy (czy to człowiek prywatny, czy też piastujący urząd jaki publiczny), jeżeli prawo nie wyklucza wyraźnie kogoś od przyjmowania tego obowiązku.

A więc może być n. p. powołany na rozjemcę i sędzia (tak zwyczajny, jak i delegowany), do którego z urzędu należało proces przeprowadzić, byle sam nie narzucił się stronom jako arbiter [7].

(c. 9 x. XLI, I i D. l. 32 h. t. §. De liberali), w których rozstrzygano o stanie wolnym, czy niewolnym danej jednostki. Obecnie bez znaczenia.

[1] c. 10, x. XLIII, I.

[2] Reg. iur. I, in VI.

[3] c. 5, x. XLIII, I.

[4] c. 9, x. XLI, I.

[5] c. 11 x. XLIII, I i glossa ad v. cum parte altera compromisit; — por. Reifenstuel in h. t. n. 79, 80, 81.

[6] Schmalzgrueber in tit. cit. n. 16 (9). Lega op. cit. str. 32 sqq.

[7] c. 8, x. VI, I, c. 5 (iuncta glossa ad v. Magdeburgensis), c. 7 (kompromis na sędziów delegowanych), c. 10, x. XLIII, I. Byłoby to poprawienie czy rozszerzenie prawa rzymskiego, jeśli rzeczywiście myśl D. l. 9 § 2 IV 8 jest ta, że sędziom nie wolno przyjmować obowiązku rozjemców. Prawo to usiłuje pogodzić z postanowieniami kanonów, Reifenstuel in h. t. n. 48 i Schmalzgrueber in h. t. n. 15; por. też D. l. 3 § fin. 4, IV, 8.

I syn może być sędzią polubownym w sprawie spornej ojca [1], jakoteż i ojciec w sprawie syna.

Nie mogą natomiast przyjmować na się urzędu rozjemców dzieci, niemi, głusi, szaleńcy, czego im zresztą broni samo prawo naturalne [2]. Z tegoż powodu nie może nikt być arbitrem we własnej swej sprawie [3].

Z prawa nadanego nie mogą być sędziami polubownymi ludzie świeccy w sprawach duchownych (chociażby tylko rozstrzygać mieli w kwestyi ubocznej, związanej ze sprawą główną), ponieważ nie wypada, ażeby sąd swój wypowiadali w tego rodzaju rzeczach [4], chyba, że taki świecki arbiter wykaże się osobnym przywilejem apostolskim, lub też razem ze świeckim powołano do sądu rozjemczego i kleryka, za zgodą — oczywiście — władzy duchownej. Ważny jest nawet kompromis, jeżeli strony wybrały jednego kleryka, a więcej ludzi świeckich [5]. Świecki natomiast może być arbitrem w rzeczach Kościoła czysto doczesnych i bez współudziału kleryka, gdyż można przypuszczać, że w tego rodzaju sprawach jest dostatecznie biegły i doświadczony [6].

Prawo rzymskie bez wyjątku nie pozwalało kobietom przyjmować obowiązku sędziów polubownych, a ich wyrokom odmawiało zgoła ważności [7]. Względniejsze okazuje się dla nich prawo kościelne, bo zezwala na takie rozjemstwo, jeżeli sprawują jurysdykcyę, czy to z prawa lub przywileju, czy też ze zwyczaju, albo wreszcie na podstawie zajmowanego przez nie stanowiska [8].

Zakonnik nie może zostać arbitrem, chociażby nawet rozchodziło się o korzyść jego klasztoru, jeśli nie otrzyma pozwolenia przełożonych [9]. Nie może być rozjemcą niemający lat dwudziestu [10], a wreszcie wyklęty i wyłączony zupełnie ze społeczności wiernych

---

[1] D. l. 5 i 6, IV, 8.

[2] D. l. 9, h. t. W prawie rzymskiem niewolnik nie mógł być sędzią polubownym. D. l. 7, h. t.

[3] D. l. 51, h. t. z glossą ad v. »imperare«.

[4] c. 8 x. XLIII, I.

[5] c. 9 h. t.

[6] Por. Fagnani in c. 8, h. t. n. 1—12.

[7] C. l. 6, II, 56.

[8] c. 4 x. XLIII, I.

[9] Zob. Schmalzgrueber in h. t. n. 12 (6), Reifenstuel in h. t. n. 40.

[10] D. l. 41, IV 8, por. jednak Reifenstuel in h. t. n. 39 i Lega op. cit. str. 53.

(excommunicatus vitandus)[1], aczkolwiek jeżeli podjął się tego obowiązku i rozsądził spór, wyrok prawdopodobnie jest ważny, gdyż arbiter nie spełnia aktu jurysdykcyi, a jedynie dla jej braku wyrok sędziego wyklętego niema znaczenia[2].

Od stron układających się o rozjemców zależy, ilu ich wybrać. Mogą więc sprawę powierzyć do rozstrzygnięcia jednemu[3], ten zaś albo sam spór załatwi, albo przyzwie sobie kogoś do pomocy, lub zastąpi się kim innym, jeżeli — jak jasna jest — otrzymał na to osobne upoważnienie[4]. Gdy atoli przeciwnicy wybierają więcej sędziów polubownych, to lepiej jeśli zgodzą się na liczbę nieparzystą, bo łatwiej wtedy uzyskać większość potrzebną do zakończenia sprawy, aczkolwiek i kompromis na parzystą liczbę rozjemców jest ważny[5].

Nieważny natomiast jest układ na arbitrów, zrobiony z tem zastrzeżeniem, że jeżeli nie będą mogli się zgodzić, a nie będzie większości, mają dobrać sobie kogoś przez się upatrzonego, gdyż możliwa, że i w tem byliby niezgodni i spór przeciągałby się bez końca. Rzecz inna, jeżeli już z góry określono w kompromisie osobę tego, kogo mają w razie braku większości powołać do pomocy sędziowie polubowni[6].

O sądach i sędziach polubownych nie może być mowy, gdy w tym kierunku nie zawarto formalnego układu, chociażby i jedna ze stron wyraziła chęć poddania sprawy pod sąd rozjemczy danej osoby, i druga na tej podstawie wytoczyła przed nią swą skargę[7]. Poza tem jednak sama forma układu jest obojętna. Można więc układać się ustnie czy listownie, lub przez trzecią osobę; można nie dołączać żadnych zastrzeżeń (stipulatio), albo też obwarować niemi kompromis; można postanowić karę konwencyonalną na nie-

[1] c. 59, x. XXXIX, V.

[2] Zob. Schmalzgrueber in tit. XLIII, I, n. 12 (4).

[3] c. 1, XLIII, I.

[4] c. 13, h. t.

[5] Cit. c. 1 h. t. O dwóch kompromisarzach mowa n. p. w c. 2 h. t.

[6] D, l. 17 § »Si in duos« IV, 8. — c. 12 h. t. Temu zdaniu nie sprzeciwia się c. 61, x. XXVIII, II, ani też c. 2 II, 15 in VI, bo tam niema mowy o kompromisie zawartym z klauzulą, jaką widzieliśmy w c. 12 X, XLIII, I, a jedynie zastrzeżono, że kompromisarze bezwzględnie obrani, mogą w czasie rozpatrywania sprawy, kiedy ich zdania są niezgodne, wezwać jeszcze kogoś do pomocy, jeżeli na to godzą się strony, albo tak nakaże władza. D. l. 17 § »principaliter« IV, 8 i glossa ad cit. cap. 61, x. XXVIII, II v. »tertium«. Por. też Reifenstuel in h. t. n. 54—58 i Lega op. cit. str, 54, n. 26 i nota.

[7] Acta S. Sedis t. VII, str. 394, 396, 398 n. III.

poddających się bez słusznej przyczyny wyrokowi rozjemców, a także wolno zawarty układ zaprzysiąc i karę wyznaczyć, albo tylko samą przysięgą stwierdzić dobrą swą wolę dotrzymania ugody.

Ponieważ atoli strony mogą w układzie kompromisowym robić rozmaite zastrzeżenia i stawiać różne warunki (byle te nie niszczyły samej istoty kompromisu), bezpieczniej jest całą umowę spisać, ażeby później nie powstały wątpliwości, czy rozjemcy nie przekroczyli granic władzy sobie zwierzonej [1].

Jak nikogo nie można zmuszać, by spór swój oddawał do rozstrzygnięcia sądowi polubownemu, tak też z zasady prawo nikogo nie niewoli do przyjmowania tego obowiązku. Skoro jednak ktoś raz już przyjął ten urząd, spełnić go musi, chyba że tłómaczy go słuszna przyczyna [2]. Ponieważ sędziów polubownych wybierają same strony, ażeby spór ich rozstrzygnęli, oni to zrobić mogą i powinni, ale z powodu braku jurysdykcyi (której nadać im nie mogą osoby prywatne) [3], nie są w możności zmuszenia ani przeciwników, ani świadków do stawienia się przed nimi, winni ich jedynie wezwać na podstawie zawartego kompromisu.

Słowem, rozjemcy wyrokować mogą jedynie o tych rzeczach, które im w kompromisie powierzono do rozwiązania, jeżeli zaś przekroczą granice sobie nakreślone, wyrok ich jest nieważny [4]. Prócz sprawy głównej mogą więc rozpatrywać li tylko te sprawy uboczne, które są z nią nierozdzielnie związane, i bez których uprzedniego załatwienia nie można dalej sądu prowadzić [5].

Sędziowie polubowni muszą zachować (o ile możliwa) formy procesu cywilnego (chociażby o tem nie było wzmianki w kompromisie) [6], przestrzegając przytem warunków postawionych w układzie.

---

[1] Cf. Lega op. cit. str. 55—56 nota 1.

[2] D. l. 3 §. Tametsi IV, 8. Przyczyny zwalniające kogoś od przeprowadzenia przyjętego na się sądu rozjemczego zob. u Schmalzgruebera in h. t. n. 33.

[3] C. l. 3, III, 13.

[4] Id venit in compromissum, de quo actum est, ut veniret. D. l. 21 §. Plenum IV, 8, c. 6, x, XLIII, 1 cum glossa ad v. »nisi de his«.

[5] Zob. notę uprzednią i Schmalzgruebera in h. t. n. 18, gdzie wyliczone takie causae incidentes, ze sprawą główną koniecznie złączone. O takich tylko może wyrokować sędzia polubowny. Por. też Fagnani in c. 5 h. t. n. 16—18, gdzie mówi o układach, zajmujących się kilku naraz sprawami, i zastanawia się, o ile i kiedy wyrok rozjemców może być ważny w jednej z nich, a nieważny w drugiéj.

[6] D. l. 1, IV, 8. Różnice niejakie muszą zachodzić z samej natury rzeczy,

Rozjemca trzymać się musi ściśle wyznaczonego sobie terminu wydania wyroku (jeżeli w kompromisie nie otrzymał władzy do przełożenia dnia),[1] inaczej bowiem orzeczenie jego jest nieważne[2]. Jeżeli dnia nie oznaczono, rozjemca w porozumieniu ze stronami winien to uczynić, w przeciwnym bowiem razie można go prawnie zmusić, by w dogodnym czasie sprawę przeprowadził[3]. Nie wolno atoli sprawować sądów rozjemczych w dni świąteczne (tempus feriatum), i to pod nieważnością rozjemstwa, z wyjątkiem, jeżeli zachodzi konieczna potrzeba, albo wymaga tego n. p. miłosierdzie chrześcijańskie[4]. W dniach jednakowoż, w których nie odprawia się sądów jedynie dla wygody ludności (feriae legales), n. p. w czasie żniw, aczkolwiek z zasady jest wolny, może rozjemca na prośbę stron spełnić przyjęty obowiązek: zmusić go nawet do tego może sędzia zwyczajny w razie słusznej przyczyny, n. p. ponieważ upływa już termin kompromisu, a spór nie dałby się zakończyć, gdyby do rozpatrzenia sprawy nie użyto także dni wolnych[5].

Spór rozpatrywać należy w miejscu umówionem w układzie. Jeżeli jednakowoż nie określono tej okoliczności, przypuszcza się, że wyrok ma być wydany w miejscu zawartego kompromisu, byle ono było przyzwoite ze względu na obie strony[6].

---

jak n. p. w sposobie wzywania stron i świadków, w niemożności egzekwowania wyroku, w wykluczeniu apelacyi. W sądach tych niema t. z. rekonwencyi (c. 6 h. t.), prokurator nie potrzebuje zaręczać przed arbitrem za przyjęcie wyroku, gdyż dozwolone jest uiszczenie kary w razie niepoddania się orzeczeniu rozjemcy (D. l. 32 §. Arbitri IV, 8). Niejakie zamięszanie panuje u autorów omawiających naszą kwestyę, gdyż nie rozróżniając dokładnie między arbitrem a arbitratorem, raz twierdzą, że w sądach polubownych należy zachowywać formy procesowe, raz znowu utrzymują, iż zależy to od uznania i woli przeciwników.

[1] D. l. 25, IV, 8.

[2] D. l. 33, h. t. C. l. 1, II, 56.

[3] D. l. 14, h. t.

[4] D. l. 13 §. Ult. h. t. C. l. 3. III, 12, c. 5 X, II, 9 cum glossa ad v. »necessitas-pietas«.

[5] Cit. c. 5, X, II, 9. Por. też Schmalzgrueber in h. t. n. 28. Mimo, że arbitrzy nie są sędziami, nie mogą naruszać feryj, gdyż w nich w ogóle zakazane sprawy sądowe, a nie tylko akty jurysdykcyjne.

[6] D. l. 21 §. Si arbiter iussit IV, 8. W wypadku nieokreślenia miejsca sądu, kiedy arbiter wezwał strony nie tam, gdzie zawarto układ, ale gdzieś w okolicę na pytanie »quid tamen, si eo loco, qui sit circa urbem adesse iusserit (arbiter)? Pegasus admittit valere iussum, quod puto ita verum esse, si et eius auctoritatis sit arbiter, ut in secessibus (cf. glossam) soleat agere et litigatores facile eo loco convenire possint«.

Kościoła nie wolno wybierać za teren sądów rozjemczych [1].

Jeżeli jest kilku rozjemców, przeważa zdanie większości, jeżeli nie zaznaczono w umowie, że wymagana jest ich jednomyślność [2]. W razie równej liczby głosów po obu stronach sędzia zwyczajny winien skłonić arbitrów, ażeby dobrali sobie jeszcze kogoś, względnie, iżby przyjęli tego, kogo wybiorą przeciwnicy, a ten spór rozstrzyga [3]. Na wypadek zupełnej rozbieżności głosów mogą strony dobrać jeszcze jednego rozjemcę, albo oddać sprawę sądowi zwyczajnemu, lub też powołać nowych arbitrów.

Jeżeli wprawdzie niema zgody między rozjemcami, ale zdanie jednego mieści się w zdaniu drugiego, jeżeli n. p. jeden skazuje stronę na 15 k., drugi na 10, trzeci na 5 — utrzymać należy wyrok na sumę najmniejszą, co do której wszyscy są zgodni, w naszym przykładzie na 5 [4], z tem jednakowoż zastrzeżeniem, że suma ta jest jeszcze w granicach słuszności i sprawiedliwości, i że głosujący za większą kwotą przypuszczalnie nie ma dostatecznego powodu do sprzeciwu tej ocenie [5].

Prawo kościelne stanowi, że w razie wyboru kilku rozjemców, jeżeli większość ich stawiła się na sąd, reszta zaś, mimo wezwania bez uzasadnionej przyczyny nie przybyła, obecni mogą i bez nich ważnie sprawę zakończyć [6]. Oczywiście, postanowienie to nie ma zastosowania, jeżeli wybrano tylko dwóch arbitrów, bo w razie nieobecności jednego nie może być mowy o większości obecnych, ani też wtedy, kiedy nieobecni dostatecznie wytłómaczyli powód swego niestawienia się [7].

Zadanie sędziego polubownego polega na rozpatrzeniu przedłożonego sobie sporu i wydaniu o nim wyroku. Kiedy więc już to spełnił i rozstrzygnął stanowczo, uczynił całkowicie zadość swemu obowiązkowi. Nie może zatem wyroku swego zmieniać czy poprawiać, chociażby i zbłądził; nie może go odwoływać, ponieważ prze-

[1] c. 2, XXIII, III in VI.

[2] D. l. 17 §. fin. IV, 8. D. l. 27 §. Si plures h. t. c. 1, XXII, I in VI.

[3] D. l. 17 §. Principaliter IV, 8.

[4] D. l. 27 §. »si plures« cit. c. 1, XXII, I in VI.

[5] Por. Schmalzgrueber in h. t. n. 30.

[6] c. 2, XXII, I in VI. I. civ. D. l. 17 §. fin. IV, 8 i l. 18 ibid. przeciwnie żądają do ważności wyroku obecności wszystkich wybranych arbitrów. Wyjątek zachodzi, jeżeli w kompromisie zastrzeżono, że niekonieczna obecność wszystkich rozjemców przy rozpatrywaniu sprawy. D. l. 32 §. »cum in plures« IV, 8.

[7] De Angelis op. cit. str. 419.

stał być arbitrem[1]. Musi jednakowoż wyrok być stanowczy, i o całej sprawie spornej, orzeczenia bowiem w kwestyach ubocznych, aczkolwiek związanych nierozdzielnie ze sprawą główną (sententia interlocutoria), można zmieniać i poprawiać[2]. Wykonanie wyroku polubownego (arbitrium-laudum) nie należy do arbitra, gdyż on nie ma jurysdykcyi, ale do sędziego zwyczajnego strony obżałowanej[3].

Z samej natury sądów rozjemczych wynika, że od ich wyroku nie może być apelacyi. Tu bowiem strony dobrowolnie sprawę poddają do rozstrzygnięcia rozjemcom, a nie sądom zwyczajnym, przez co wyrażają pierwszym pełne swe zaufanie, same więc przypisać sobie muszą winę w razie doznania jakiejś szkody czy niesprawiedliwości. Prawo wyklucza również wyraźnie apelacyę od orzeczenia sędziów polubownych[4], nie pozostawia jednakowoż spierających się przed arbitrami bez środków zaradczych przeciwko możliwej krzywdzie, chociaż na nią dobrowolnie się narazili, a robi to tem skwapliwiej, że żarliwie popiera prywatne załatwianie sporów, jako prędsze i łatwiejsze.

Zasada jest, że strony poddać się winny wyrokowi sędziego polubownego, czy słusznemu, czy też nawet niezupełnie słusznemu[5], jeżeli nie zachodzą przyczyny zwalniające je od tego[6]. Dlatego też zostawiono przeciwnikom dziesięć dni, w ciągu których mogą się zastanowić, czy obowiązuje ich wyrok polubowny, czy też nie[7]. Po upływie tego terminu, chociażby wyraźnie się za tem nie opowiedzieli, wyrok uchodzi za przyjęty[8].

Jeżeli jedna strona, bez słusznej przyczyny, nie chce poddać się orzeczeniu arbitra, może to na nią ściągnąć skutki rozmaite, stosownie do formy układu na sąd rozjemczy. Kiedy w pakcie przyrzeczono jedynie trzymanie się zdania obranego sędziego, a nie zawarowano kary za niespełnienie tej obietnicy, strona łamiąca umowę

[1] D. l. 19 IV, 8 cum glossa ad v. »a tota« i l. 20 ibid.

[2] Cit. D. l. 19 h. t. confer Reiffenstuel in h. t. n. 100—102. — O innych sposobach ustania władzy rozjemców por. Lega op. cit. str. 61—62 n. 34.

[3] C. l. 5 II, 56.

[4] C. l. 1 II, 56. D. l. 32 §. »cum quidam« IV, 8 can. 33. C. II, q. 6 glossa ad v. »appellandum« in c. 11, XIV, I in VI.

[5] D. l. 27 §. »stari autem« IV, 8.

[6] Por. niżej.

[7] C. l. 5, II 56.

[8] Laudum homologatum; wyrok odrzucony = laudum non homologatum. C. l. 4 §. fin. II, 56.

powinna drugiej wynagrodzić szkody przez to dla niej wynikłe[1]. W kompromisie może być jednakowoż wyznaczona także kara na nieposłusznego sądowi rozjemców. W tym wypadku uchylający się od dopełnienia wyroku, po zapłaceniu kary, do niczego więcej nie obowiązany[2], chyba że w umowie zastrzeżono, iż orzeczenie sędziego polubownego utrzymać się winno mimo złożenia kary, gdyż wtedy niezachowujący bez powodu wyroku, nietylko ma ponieść karę, ale nadto pokryć szkodę, poniesioną przez stronę drugą[3].

Dla dodania większej siły paktowi kompromisowemu można doń dołączyć nietylko karę na nieposłusznych, ale nadto stwierdzić go przysięgą. Ponieważ atoli przysięgę rozumieć należy stosownie do natury aktu, dla którego wzmocnienia ją złożono, a widzieliśmy, iż kompromis obostrzony grzywną obowiązuje albo do poniesienia tejże, albo do poddania się wyrokowi rozjemców, śmiało możemy wnioskować, że wolny jest od dopełnienia arbitrium ten, kto karę wypłacił, chyba że przeciwnicy chcieli się inaczej zobowiązać, co przecież musi być zupełnie pewne i wyraźne[4]. Jeżeli wreszcie (bez nakładania kary na niezachowujących wyroku polubownego) zaprzysięgły strony, że zastosują się do orzeczenia rozjemcy, przysięga ta sama przez się wiąże ich i obowiązuje tak, iż można ich zmusić do poddania się wydanemu wyrokowi[5].

Zaznaczyliśmy powyżej, że strona nieprzyjmująca orzeczenia rozjemcy winna wynagrodzić przeciwnikowi stratę, wynikłą z jej oporu, a w razie zastrzeżenia poddać się karze określonej, jeżeli do tego postąpienia nie skłoniła jej żadna słuszna i prawnie uznana przyczyna.

Przedewszystkiem zastrzec należy, że jeśli laudum wydane

[1] »Interesse« c. 9 x. XLIII, I i glossa ad v. »ratum haberi debet«, por. też Reiffenstuel in h. t. n. 82—85.

[2] Cit. c. 9 h. t. i cit. glossa.

[3] Zob. De Angelis str. 421, gdzie słusznie podnosi, że łamiący laudum, obostrzone karą i klauzulą: »rato manente pacto«, ma uiścić karę i »interesse« (inaczej Schmalzgrueber in h. t. n. 23 v. »excipitur« 2), gdyż klauzula powyższa nie może strony, żądającej dotrzymania wyroku, upoważnić do niczego więcej (prócz podjęcia umówionej kary), jak laudum nieobwarowane grzywną, o którem wyżej.

[4] Tak Schmalzgrueber in h. t. n. 24 i inni. Przeciwnie n. p. Reiffenstuel in h. t. n. 89 i 90 twierdzi, że przysięga dodana do kompromisu, zaostrzonego karą, ma znaczenie klauzuli »rato manente pacto«.

[5] c. 2 x. XLIII, I i glossa ad v. sacramentum.

w dobrej wierze wyrządziło jednej stronie krzywdę, nawet i ciężką, nie można go przecież zrywać[1], ale wolno odwołać się — przed upływem dni dziesięciu — do właściwego sędziego, ażeby wyrównał wyrządzoną niesprawiedliwość. Za sędziego właściwego uważa się tego, który miałby prawo spór rozstrzygać, gdyby strony nie wybrały rozjemców[2]. Od wyroku poprawiającego arbitrium wolno już formalnie apelować do instancyi wyższej[3]. Staranie się zaś to o poprawienie orzeczenia rozjemców nie jest właściwą apelacyą, bo ta przypuszcza uprzedni wyrok sądowy.

Są przecież przyczyny, zwalniające od przyjęcia orzeczenia arbitrów. I tak, jeżeli rozjemcy nie zachowali formy kompromisu, przekraczając jego granice, wyrok ich jest z prawa samego nieważny[4].

Niemniej nieważne jest orzeczenie sądu polubownego, jeżeli jest sprzeczne z prawem bożem, naturalnem czy kościelnem[5]. Od przyjęcia wyroku rozjemców uwalnia także podstęp strony przeciwnej, n. p. przekupienie kompromisarzy albo wymuszenie, jako też wyraźna ich stronniczość[6]. Kiedy wyrok arbitrów notorycznie jest niesłuszny, można go odrzucić, gdyż w takich razach na dobrej podstawie wolno przypuszczać, że działali oni w złej wierze i podstępnie. Z tejże przyczyny uwalnia od uznania laudum fakt, że przez nie jedna strona doznała krzywdy nadzwyczaj wielkiej (laesio enormissima)[7].

W tych wszystkich wypadkach strona pokrzywdzona, kiedy przeciwna nastaje na dopełnienie wyroku, odwołać się winna do właściwego sędziego, żądając odeń czy to deklaracyi, że orzeczenie rozjemców jest z istoty swej nieważne, czy też unieważnienia rozjemstwa z tytułu podstępu, przekupstwa i t. p. powodów.

Jeżeli obiedwie strony przyjęły już wyrok arbitrów, a nastę-

---

[1] D. l. 27 §. »stari« IV, 8 cum glossa ad v. «sive iniqua«.

[2] Confer Schmalzgrueber in h. t. n. 35—38. De Angelis str 424.

[3] Schmalzgrueber n. 39 in h. t.

[4] c. 6 x. XLIII, I.

[5] c. 2 x. h. t. zob. Fagnani in c. 2 h. t. n. 1—8. c. 11 x. h. t.

[6] D. l. 31, IV 8. D. l. 32 §. »Cum quidam« IV, 8. C. l. 3, II 56. W tych wypadkach strona pokrzywdzona może się zasłonić przed żądaniem przeciwnika o wypełnienie układu przez t. zw. »exceptio doli«, i to nawet po upływie dni dziesięciu, t. j. zawsze, ilekroć strona działająca podstępnie zażąda przeprowadzenia laudum; por. Reiffenstuel in h. t. n. 98.

[7] Zob. Schmalzgrueber in h. t. 34 (4 i 5).

pnie pokrzywdzona ucieka się do sędziego o pomoc i wykaże, że laudum z samej swej istoty nieważne (n. p. z powodu symonii)[1], sędzia winien tylko stwierdzić autentycznie, że jest ono rzeczywiście żadne; nie może zaś unieważniać przyjętego arbitrium, chociaż skarżący udowodni, że zachodziła jaka przyczyna, dopuszczająca jego nieprzyjęcia i że doznał wskutek tego ciężkiej szkody. Rzecz inna, jeżeli krzywda, wskutek wyroku polubownego doznana, jest nadzwyczaj wielka (enormissima), wtedy bowiem należy go znieść i unieważnić[2].

§. 3. Pośrednicy (arbitratores).

Na zakończenie słów parę dorzucić musimy o t. zw. arbitratorach, czyli pośrednikach. Pośrednikiem nazywamy tutaj człowieka uczciwego i rozumnego, którego strony wybrały nie dla rozstrzygnięcia jakiegoś sporu na sposób sądowy, ale jedynie w tym celu, żeby bez zachowywania formy procesowej, po przyjacielsku rozwiązał jakąś wątpliwość, n. p. co do przeprowadzenia kontraktu, ocenienia wartości rzeczy jakiejś i t. d. Jeżeli nawet chodzi o załatwienie sporu, arbitrator wypowiada li tylko prywatnie, co uważa w danej sprawie za słuszne i sprawiedliwe. To jego orzeczenie nazywa się arbitramentum. Ponieważ przy wyborze pośrednika chodzi spierającym się o rozwikłanie jakiejś wątpliwości, stąd też, jeżeli jego orzeczenie krzywdzi ciężko jednę stronę (co ta gotowa jest udowodnić), a zatem wątpliwości nie rozwiązuje, można zawsze w takich razach odwołać się o sprostowanie i naprawienie niesłusznego zawyrokowania[3].

Na pośredników można obierać także osoby, którym prawa bronią przyjmowania urzędu sędziów polubownych, skrępowanych formą postępowania procesowego. A więc arbitratorami mogą być też ludzie świeccy w rzeczach nawet ściśle duchownych (o ile się na nich znają)[4] i kobiety. Co więcej, można być arbitratorem we własnej

[1] »Nullum est arbitrium continens peccatum per partes non remissibile« (rubryka c. 2 x. h. t.).

[2] Por. Lega op. cit. str. 60—61 n. 33 i uwagi.

[3] D. l. 76 §. »arbitrorum« 17, 2. c. 16 x. XXIV, II glossa ad v. »mandato«.

[4] Tak słusznie z wielu innymi twierdzi Schmalzgrueber in h. t. n. 13 i 14. Przeciwnie utrzymuje De Angelis op. cit. str. 414—415 n. 3.

sprawie, co zakazane sędziom właściwym i polubownym[1]. Pośrednik może wywiązać się ze swego zadania także w kościele[2], i nie wiążą go dni, w których odbywanie sądów wzbronione, jakkolwiek nie wypada, ażeby bez słusznej przyczyny pośredniczył w takich właśnie dniach[3]. Powód jasny, gdyż pośrednik nie wykonywuje żadnego aktu sądowego, takie zaś tylko czynności zakazane w święta i w kościołach.

Tak w najogólniejszych zarysach przedstawia się instytut sądów polubownych, jak go określa prawo kościelne. Nie można zaprzeczyć, że ma on wielkie znaczenie, i powinien znaleść szerokie zastosowanie w kuryach biskupich, tam zwłaszcza, gdzie z jakiegobądź powodu nie da się prowadzić sądów formalnych, a przeprowadzany rozumnie i ściśle, odda napewno nieocenione usługi dyecezyom.

[1] C. l. 3, 5, 11; zob. Reiffenstuel in h. t. n. 11 i Schmalzgrueber in h. t. n. 4 (5).
[2] Schmalzgrueber in h. t. n. 27 (2).
[3] Ibid. n. 28.

BOLESŁAW SZCZODRY

Próba portretu

napisał

STANISŁAW ZAKRZEWSKI.

Próbą tylko może pozostać wizerunek królewskiej postaci z odległych wieków; pozostało po niej źródłowe wspomnienie zaledwie kilku rysów i kilkudziesięciu wydarzeń. A i ten szczupły zasób wiadomości przeważnie nie został spisany przez współczesnych świadków. Trochę suchych i krótkich wzmianek w niemieckich rocznikach, wśród których na pierwszy plan wybija się notatka Lamberta Hersfeldzkiego, pośrednia wzmianka w Fundatio klasztoru brunwilerskiego; przedewszystkiem zaś list Grzegorza VII do Bolesława.

Główny i jedyny prawie zrąb tradycyi został spisany z górą trzydzieści lat po wypadkach — przez pierwszego kronikarza Marcina Galla; nieco faktów przydaje współczesny mu najdawniejszy ruski latopis. Pobieżny rzut oka na opowiadanie Galla poucza, że mamy do czynienia nie z systematyczną, choćby bardzo skróconą opowieścią o przebiegu wydarzeń za panowania Bolesława, lecz właśnie z charakterystyką króla. Kronika Galla jest więc dla naszego tematu źródłem klasycznem, niewyzyskanem dotąd w tem pojęciu systematycznie przez polską naukę.

Kronika Mistrza Wincentego, czyli poprostu biskupa Kadłubka — to świadectwo znacznie późniejsze, najprawdopodobniej z początku XIII w. Pogląd na króla został ujęty w obraz już pod silnym wpływem kultu, jaki się utworzył z biegiem czasu dookoła osoby niekanonizowanego jeszcze biskupa Stanisława. Fakty, zestawione przez Galla, zostały przez niego w całości przejęte, nawet pochlebne sądy o królu: cechuje Kadłubka tendencya do przesady; w zakresie faktów, wziętych z Galla, nie dadzą się zauważyć u Kadłubka szczegóły bezwzględnie zmyślone. Trzeba nawet przyznać, że Kadłubek przekazał parę nowych i ciekawych faktów i przydał kilka rysów, częściowo już przyjętych przez naukę, a częściowo oczekujących opracowania.

Nie można. także pogardzać Żywotami św. Stanisława, ale przedewszystkiem należy raz jeszcze zastanowić się nad Długoszem, przynoszącym podania, których poprzednie nie zapisywały wieki, a i poza Długoszem znajdzie się coś niecoś z XV a nawet XVI w., co zresztą w niniejszym szkicu przeważnie zostaje pominięte. Widzimy więc, że kształtowanie się piśmiennej tradycyi o Bolesławie trwało od XI aż do XVI w., a więc blisko przez sześć stuleci. Ileż to wiadomości mogło zaginąć, ile uległo przemianie, a nawet wypaczeniu.

Czasy Bolesława pociągały i nie przestają pociągać badaczy. Główną tego przyczyną jest dramat pomiędzy królem a biskupem, ale niemniej ważną także brak źródeł, pozwalające na snucie w nieskończoność coraz to nowych kombinacyj, których głównem poparciem fantazya.

Trudno także ustrzec się przed wrażeniem przy rozpatrywaniu mnogości pomysłów i poświęconego na to czasu i wysiłku, że czasy Bolesława są przecenione, właśnie przedewszystkiem dla tej półtajemnicy, która je osłania. Odkrycie nowych źródeł odsłoniłoby zapewnie powszednie karty wieków średnich, ciekawe niewątpliwie, jako wypływ i przyczyna pewnego łańcucha wydarzeń, ale niemniej przeto, nie mogące oderwać się zupełnie od tego, co przedtem i potem działo się w Polsce, a także zagranicą.

Nie łudzimy się jednak, by zainteresowanie czasami Bolesława przeminęło. Ze stanowiska metodycznego jest ono dość pożądane: Na przykładzie literatury Bolesławowskiej można doskonale obserwować przemiany naszej metody i krytyki historycznej i, co najbardziej pożądane, postęp duży środków badania.

Ale nietylko ten interes ściśle badawczy rzuca się w oczy. Problematy czasów Bolesławowskich są zasadniczym składnikiem nie tylko dalekiej przeszłości, ale i kultury polskiej w ogólności. Jako takie zaciekawiają i pobudzają do twórczości nie tylko historyków, ale i poetów, i pobudzać będą.

W ostatnich latach nauka może poszczycić się pięknemi zdobyczami w oświetlaniu mroków czasów Bolesławowskich. Na czele stoi dzieło prof. Wojciechowskiego, t. j. »Szkice historyczne« z XI w.«, których lwią część wypełnia badanie tradycyi Bolesława [1]. Bardzo

[1] W »Szkicach« prof. Wojciechowskiego jest podana ogólna charakterystyka, ustalająca harmonijnie światła i cienie, a oparta na Gallu (str. 284-285). Wnioski nasze, oparte na Gallu, są po części rozwinięciem tej charakterystyki.

poważną i informacyjną jest praca dyrektora Krotoskiego, stanowiąca próbę ciągłego przedstawienia wydarzeń. Z badań tych wynika niezbicie, że czasy Bolesława to nietylko sprawa z biskupem, ale szereg bardzo ważnych wydarzeń. Z powodu tych dwóch dzieł na szpaltach »Przeglądu powszechnego« rozwinęła się ciekawa polemika, ogniskująca się w kwestyi pojmowania św. Stanisława z nader cennymi heurystycznymi przyczynkami. Różnice poglądów w lwiej mierze sprowadzają się do odmiennego pojmowania stosunku, jaki zachodzi pomiędzy kronikarzem Gallem, a jego następcą, Kadłubkiem.

Naszem zdaniem mowa być może o różnicy pomiędzy subjektywnem stanowiskiem Kadłubka, a takiemże Galla, co najwyżej. W grubszym i zasadniczym zarysie nawet i takiej różnicy nie widać. Co zaś do strony objektywnej można wyrazić twierdzenie, że strona faktyczna Galla została cała przejęta przez Kadłubka z paru pomniejszemi zmianami i szeregiem uzupełnień.

Na oświetlenie tych kwestyj nie może nie wywrzeć wpływu próba wizerunku króla, tem bardziej, że stosunkowo obfity zapas informacyj każe z góry trzymać się litery źródeł, i nie dając zbyt dotkliwych luk, nie pozwala wypełniać ich wyłącznie hypotezą.

Zanim przejdziemy do postaci Bolesława, poznajmy z grubsza warunki, wśród których żyje rodzina pierwszych Piastów. Luki materyału są olbrzymie, w każdym jednak wypadku próba skupienia tych cech w jednym obrazie może służyć do zrozumienia oddzielnych rysów. Zdajemy zaś sobie w pełni sprawę, że zebranie cech rodzinnych na przestrzeni stu lat samo dla siebie nie wiele znaczy i nie ma absolutnej wagi. Otóż, pierwsze wrażenie, wynikające z rozglądu w Piastach, jest, że zużywają się szybko.

Ogrom zadań, streszczający się w męczącej walce o byt, o utrzymanie się przy władzy i stanowisku, wyczerpuje szybko siły potomków Chrobrego. Trzej, względnie czterej, kolejno po nim panujący, odchodzą w przeszłość w sile wieku, lub młodzieńcami. Mieszek II zaledwie przekracza czterdziestkę [1], to samo i syn [2] i wnuk,

[1] Według »Genealogii Piastów« liczyłby, umierając, lat 44. Data urodzin prawdopodobnie r. 990.

[2] Data urodzin Kazimierza jest zupełnie pewną; ur. się w r. 1016, umarł w 1058 (Szczegóły w »Genealogii«).

t. j. Szczodry, żył lat najwyżej czterdzieści [1]. »Zapomniany« Bolesław [2] żył lat dwadzieścia kilka. Herman wprawdzie żyje dłużej, dociąga sześćdziesiątki, ale przez szereg lat był niedołężny. Piastowie XII w. żyją dłużej, ale z wyjątkiem Mieszka Starego i potomków Władysława II nie przekraczają lat sześćdziesięciu. Tu i ówdzie zdarzają się wyjątki, nie mogą one jednak zmienić ogólnego obrazu. Podobnie rzecz się ma z większością potomków Karola Wielkiego, a zwłaszcza Ottona I. Warunki życia były twarde, w znaczeniu nawet czysto technicznem, cóż dopiero nerwowem! Lada rycerz mógł sobie pozwolić na dłuższy wypoczynek, książę nie mógł. Z za węgła prawie czyhał wróg, rywal; lada chwila groziło wygnanie, oślepienie lub śmierć.

Ale nawet we względnie spokojnych warunkach, gdy książę trzymał się na stanowisku, wyczerpywał się szybko: zawiązki państwa jeszcze bardzo słabe, elementy ich spojone bardzo mechanicznie, i zakres środków władzy bardzo prosty i pierwotny, więcej fizyczny niż moralny; obracamy się w czasach rzekomo ślepego posłuszeństwa wobec władzy książęcej, tego posłuszeństwa, tyle chwalonego przez historyków, patrzących na X—XI w. wyłącznie przez pryzmat późniejszych czasów, a nie zdających sobie sprawy z tego, że krok tylko jeden był od ślepego posłuszeństwa — do buntu. Mamy do czynienia z posłuszeństwem poddanych prawie zwierzęcem, z ludźmi, którzy się prawie nie ośmielają szeptać w obecności książąt, ale równocześnie gotowi są rzucić się na nich każdej chwili, zamordować jawnie czy podstępnie. W takich warunkach posłuszeństwo osiągnąć można było tylko niesłychanem napięciem woli, ciągłem natężaniem siły rozkazu. Nic więc dziwnego, że psyche tych rozkazodawców nie dała się utrzymać w spokojnej i wyrozumiałej na przekroczenia równowadze. To ciągłe napięcie nerwów, w razie najmniejszych uchybień, nieposłuszeństwa, lub nawet błahych podejrzeń, przechodziło w gniew. Tomy całe można spisać

[1] Data urodzin Bolesława da się jedynie wykombinować. Prof. Balzer przyjmuje przekaz Rocznika Małopolskiego i Krasińskich i ustala ją na r. 1039, datę zaś zgonu na r. 1081. Powyższe oznaczenie dnia urodzin Bolesława Szczodrego wzbudza pewne wątpliwości, głównie ze względu na daty, zawarte w Początkowym ruskim latopisie, choć te nie są zupełnie pewne. Prawdopodobniejszem wydaje się nam, że data urodzin jest późniejszą i przypada na rok 1041 lub 1042. Prof. Wojciechowski ustala ją na r. 1044 (Szkice histor. str. 158, nota 1).

[2] Balzer, Genealogia Piastów.

o przejawach gniewu, gniewu władców, przechodzącego miarę dzisiejszych wyobrażeń.

Stan duchowy królów i książąt był zatem nieustanną gorączką czynu i życia, niszczącą organizm i duszę tych ludzi. Nie można bowiem dostać się za darmo na wyżyny drabiny społecznej, niedostępne dla świata rycerzy i poddanych. Budowniczowie państwa polskiego okupywali wiekopomne dzieło podatkiem własnej krwi i własnego jestestwa. Inaczej zresztą nic wielkiego nie daje się przeprowadzić w dziejach.

Stąd już wynika, że miara tych ludzi nie może być, i rzeczywiście nie była ani codzienna, ani powszednia. Stanowili oni typ społeczny odrębny, w przeciwstawieniu do reszty społeczeństwa; natomiast w jednostkach tego typu pewne cechy dość często się pojawiają. Władca zatem w okresie formacyi państwa polskiego ma odrębną fizyonomię psychiczną. Ujemne nawet cechy, w znaczeniu czy osobistem, czy potocznem, mogą być ze stanowiska budowanej potęgi pożyteczne, a nawet konieczne. Często bardzo okrutnicy, ludzie siejący postrach — mieli długie lata panowania i spokojnie umierali. Z drugiej strony, władca w działaniu publicznem mógł być bezwzględny i surowy, jako człowiek w życiu domowem mógł być nawet łagodny. Pod tym ostatnim względem nie znamy prawie zupełnie naszych pierwotnych Piastów.

Jednego zatem zawsze musimy wystrzegać się błędu. Jeśli przypadkowo, dzięki dochowanym źródłom, poznajemy kogoś d o k ł a d n i e j, nie wolno nam bez krytyki kłaść wszystkich poznanych rysów na karb danej indywidualności. Bolesław Szczodry, jako człowiek, jest znany ze źródeł, których nie mają w tej obfitości dawniejsi polscy monarchowie, pomimo to nie jest on tylko indywiduum, ale jest i typem długiego szeregu ludzi, dla których może najodpowiedniejszą nazwą byłyby króle-duchy, według słów poety

Najwyżej stoją książęta, o których typie jesteśmy najmniej poinformowani: Mieszek I i Chrobry. Cechę rysów tego ostatniego zwłaszcza stanowi pełnia sił życiowych i talentu prawie w każdym kierunku, oparte na silnej, bezwzględnej woli i równowadze ducha. Namiętności umieją, a zwłaszcza znowu Chrobry, trzymać na wodzy, nienawiść głęboko ukryć. Dytmar merseburski znakomicie ujął ten zasadniczy rys talentu Chrobrego, gdy napisał, że dla Niemców przyjaźń z władcami polskiemi więcej przynosi złego, niż otwarta walka. Był to więc prawdziwy talent polityczny. Skąpe wiadomości

o Kazimierzu każą przypuszczać, że i jemu nie zbywało na wytrawności, choć warunki działania były cięższe, ale rezultat pracy ogromny. Łatwiej bowiem w pomyślnych okolicznościach coś z wielkim rozmachem postawić, niż w trudnych warunkach to samo wyrwać z toni i ocalić na przyszłość. Do ich rzędu można zaliczyć Krzywoustego. Wielkie były charaktery i talenty niektórych księżen polskich z tego okresu. Na pochwały kronikarzy zasługują Dąbrówka[1], Emnilda. Pracom restauracyjnym Kazimierza niewątpliwie wiele pomogła matka, Rycheza, o której mówimy jeszcze niżej.

Moglibyśmy powiedzieć, że Piastowie w porównaniu z wieloma innemi dynastycznemi rodzinami — byli na ogół dzielni i pełni energii. Mieszek I i Bolesław Chrobry, Mieszek II i Bolesław Śmiały, byli fizycznie zupełnie zdrowymi. Mieszek I w późniejszym wieku żeni się po raz drugi, i z tego małżeństwa, nie mówiąc o córkach, zostawia trzech synów. Energia fizyczna Chrobrego mogła przejść w przysłowie. Obydwaj książęta obdarzeni byli wielką przenikliwością, sprytem i przebiegłością.

O Chrobrym wiemy nadto, że był niezmiernie wylanym dla rycerstwa i prawdziwie szczodrym, będąc, nie tylko zresztą pod tym względem, bardzo podobnym do Włodzimierza Wielkiego. Chrobry, to jedyny wśród całego szeregu pierwotnych Piastów, znany jako człowiek zmysłowy. Dytmar nie pozostawia na tym punkcie żadnej wątpliwości. O innych tego nie wiemy; możemy tylko mieć pewne wątpliwości co do Mieszka II, ale odnośne fakty można także inaczej wytłómaczyć.

Z natury rzeczy wszyscy książęta byli usposobienia wojowniczego, ale są różnice; jedni byli z urodzenia rycerzami, stworzonymi do wojaczki, takimi byli i Mieszek i Chrobry, ale już nie Mieszek II: ten był wprawdzie dzielnym rycerzem, nie był jednak naturą agresywną — i jego wojowanie jest przeważnie wywołane zewnętrzną koniecznością[2]; podobnym do ojca był prawdopodobnie Kazimierz Odnowiciel, a rys ten odradza się we Władysławie Hermanie i później we Władysławie II. Łączy się bezpośrednio z rysem dzielności rycerskiej kwestya zdolności do ruchów, ćwiczeń i pracy fizycznej

[1] Świadectwo Dytmara o Odzie, drugiej żonie Mieszka, jest pochlebne, ale odnosi się tylko do zasług koło rozszerzania chrześcijaństwa.

[2] Idę za charakterystyką Wincentego, która dość przystaje do przebiegu wydarzeń za panowania Mieszka.

w ogóle. Gdybyśmy chcieli korzystać z wnioskowania wstecznego i użyć stosunkowo bogatego materyału o Bolesławie Krzywoustym, mógłby wypaść obraz dość żywy. Nie uczynimy tego, gdyż łatwo bardzo o błędy. Należy się przeto zadowolnić stwierdzeniem faktu, że mamy dwa typy książąt, jeden z góry przeznaczonych do panowania, a więc rozwijanych przedewszystkiem fizycznie; drugi bardziej książkowy, książąt, niemających widoków na tron i przeznaczonych do stanu duchownego: takim był Kazimierz Odnowiciel, Zbigniew, typ zupełnie nierycerski. Mieszek II przedstawia typ pośredni.

Z drugiej jednak strony należy zauważyć, że książęta, nieprzeznaczeni do panowania, pod wielu względami przewyższają swych szczęśliwszych krewnych. Nie będąc zbyt troskliwie chowani, nie będąc zanadto odcięci od świata — stanowią często typy dzielniejsze i zdrowsze zarówno fizycznie, jak psychicznie.

O dwóch jeszcze szczegółach, uwierzytelnionych przez źródła, należy wspomnieć. Z hojnością Chrobrego łączy się wystawność dworu; jest ona wprawdzie w tradycyi ubraną w ramy czysto legendarne, ale jest. Jest to duży zbytek, pierwotny, barbarzyński. Zaznaczyć przytem trzeba, że w gwarnem i hucznem życiu Chrobrego kobieta odgrywała dużą rolę, czysto towarzyską; do uczt zasiadano wspólnie [1].

Obok wojaczki, polowania, uczta wypełnia znaczną część życia tych ludzi. Rozumie się, że trunek odgrywał podczas uczt główną rolę, a więcej niż prawdopodobne, że go sobie nie żałowano. Wiele wypadków i szczegółów średniowiecznej dworskiej polityki staje się jasnymi, gdy unaocznimy sobie, że dzieją się one podczas rozgwaru uczty, wśród ludzi, choć siedzących na ławie, lecz zmorzonych trunkiem, a po uczcie śpiących zapamiętale, jak kamień. Ileż to nieobliczonych i niezrozumiałych na pierwszy rzut oka wydarzeń, nieskoordynowanych czynów, zwłaszcza w zakresie stosunków osobistych, z tej przyczyny mogło wypłynąć i wypływało [2].

---

[1] Galli Chronicon in us. schol. Liber I, capita 12 i 13.

[2] Mieszek, syn Szczodrego, został otruty podczas uczty. Galli Chr. caput 29, p. 38: »quosdam vero, qui cum eo biberunt, vix mortis periculum evasisse. W podobnych okolicznościach umarł Kazimierz Sprawiedliwy (Mon. Pol. Hist. II, p. 424, podczas uczty: ...permodico hausto poculo, humi prolabitur et exspirat; morbo, incertum est, exstinctus an veneno.

Te polityczne cechy krzyżują się jednak z całym szeregiem innych osobistych rysów, które, zależnie od okoliczności, czasem mogły być dodatnimi, przeważnie jednak były ujemne.

Zapalczywość, gwałtowność usposobienia cechują znakomitą większość pierwszych Piastów. N. p. siostra Mieszka I, Adelajda, »Piękna księżna«, wydana za Gejzę I, słynęła z temperamentu nacechowanego dzikością. Lubi zaglądać do czaszy ponad miarę, a w porywie gniewu, z konia porwie się, by uśmiercić rycerza [1]. Zmienne losy jej siostrzenicy, dumnej Sygrydy, żony kolejno trzech mężów, trzech króli, tworzą doskonałe pendant do życia jej rycerskiej ciotki. Obydwie wykraczały daleko poza miarę nawet ówczesnych stosunków.

Nawet książęta wielkiego umysłu i talentu, osiągający ze względną łatwością polityczne cele, bywali, a nawet musieli być okrutni, zarówno dla swoich, jak obcych,

Okrucieństwa znaczyły tryumfalną drogę życia Chrobrego, gdy ślepił bez litości najbliższych krewnych [2], z pogwałceniem praw gościnności, a nawet prawa nietykalności, pod którego gwarancyą odbywały się zjazdy książęce. Bezlitośnie ten sam Chrobry obchodzi się z córką Włodzimierza Wielkiego, prawdopodobnie z zemsty za los córki własnej, więzionej przez Jarosława Mądrego [3]. Czujnym niezwykle musiał być sam Chrobry, by ujść tysiąca zasadzek, które nań zastawiali wrogowie, nawet sam Henryk II [4], i nic dziwnego, że

O Władysławie II cf. Latopis hypacki, wyd. petersburskie z r. 1871, pod r. 1143.

[1] Thietmari Chronicon. in usum schol. Ed. II. Te gwałtowne rysy były w niewątpliwej zgodzie z pochwałą, jaką ją darzy kronika węgiersko-polska (Mon. Pol. Hist. I p. 498—499).

[2] Jednym z pierwszych czynów Chrobrego było według Dytmara oślepienie Przybywoja i Odylena, których kronikarz nazywa »familiares« Bolesława. Prof. Balzer nie jest skłonnym uważać ich za Piastów, z czem jednak trudno się zgodzić. Sam Czcigodny Autor przytacza przykład, że Dytmar w innym, jednym wprawdzie określonym wypadku używa tego wyrazu w znaczeniu krewny.

Imię zaś Odylen, niewątpliwie chrześcijańskie, małą daje szansę przypuszczenia, by można je uważać za osobę nieksiążęcą.

Drugi przykład oślepienia stanowi wypadek z Bolesławem III czeskim.

[3] Faktem jest bowiem, że Bolesław żądał przedtem od Jarosława wydania mu własnej córki, zamężnej za Świętopełkiem, ale bezskutecznie.

[4] Mówimy o zjeździe w Merseburgu w r. 1002. Prawda, że Dytmar stara się usprawiedliwić Henryka II z takiego zarzutu.

ta czujność oparła się na przebiegłości i chytrości, zdumiewającej nawet saskich prałatów, mających także nienajgorszą szkołę.

Okrutnym był Krzywousty, gdy oślepić kazał przyrodniego brata. Ten sam Krzywousty nie waha się buntować przeciw rodzonemu ojcu i nagradza zdradzieckie postępowanie Piotra Własta, niewahającego się nadużyć prawa gościnności obcego księcia, czyn, którego mu kościół nie wybaczył [1].

Z umysłu nie przytaczamy szczegółów postępowania wobec poddanych, rysy obyczajowe najlepiej bowiem śledzić na wzajemnych stosunkach członków rodziny książęcej, która przecie znajdowała się pod najsilniejszem, łagodzącem promieniowaniem nauki kościelnej.

Tamte rysy tyczyły się książąt wyjątkowo silnych, jako jednostki, książąt, którym z reguły prawie towarzyszy powodzenie. Cóż mówić o tych książętach, których stanowisko stawało się trudnem i śliskiem: tylko morzem krwi i pożóg, wzbudzaniem bezgranicznego strachu mogli się utrzymać przy władzy — stąd już krok do tyranii. A gdy i to zawodziło, sytuacya stawała się trudną — wtedy wyglądała rozpacz i zwątpienie, prowadzące razem do szaleństwa. Przedstawicielem tych książąt jest przyrodni dziad Bolesława, Bezprym, koronę ojca odsyłający Niemcom [2]. Tyranem okrutnym był stryj naszego Bolesława, ów zapomniany przez źródła Bolesław, uratowany dla historyi przez kronikę Wielkopolską [3].

Ale popatrzmy się na chwilę na rodzonego dziadka Bolesława, na Mieszka II. Miarą obyczaju nie dorasta do Chrobrego, a gwałtowne przejścia z żoną ciężko zawisły nad jego całą karyerą. Ten ukochany syn Chrobrego, chwalony za wiedzę i pobożność przez dalekie niemieckie księżniczki — w źródłach niemieckich wyrasta na straszliwego boga wojny [4]. I on umie pozbywać się niedogodnych

[1] Bartoszewicz w swej Historyi daje najpełniejszą w naszej literaturze próbę portretu Krzywoustego; zdaniem naszem za surową.

[2] Mon. Pol. Hist. II. sub a 1032: Hoc anno Bezpriem ob immanissimam tirannidis suae sevitiam a suis, et etiam non sine fratrum suorum machinatione, interfectus est.

[3] Mon. Pol. Hist. II. p. 484. Boleslaus autem propter saevitiam et immanitatem scelerum.... vitam male terminavit. Kętrzyński Stanisław w rozprawie o Kazimierzu Odnowicielu odrzuca fakt egzystencyi tego Bolesława, twierdząc, że powyższa charakterystyka jest wziętą ze słów Annales Hildesheimenses o Bezprymie. W zdaniu naszem idziemy za wywodami prof. Balzera w Genealogii.

[4] Według Annales Hildesheimenses.

braci [1]. A gdy niepowodzenia doprowadzają go do rozpaczy, dzielny, mądry zresztą książę przedwcześnie kończy.

W tej gorącej zatem krwi, którą Bolesław odziedziczył po przodkach po mieczu, tkwił niejeden rys, który musiał przechodzić na potomków; mógł, rozumie się, występować słabiej, ale mógł także być zabarwiony silniej. W warunkach normalnych był często miarkowany innymi wpływami, n. p. porywczość Chrobrego i jego skłonność do natychmiastowego karania winnych pod wpływem pierwszego wrażenia była łagodzoną przez dobroć i słodycz jego żony Emnildy; w warunkach jednak podatnych podkreślony rys rozwijał się, potęgował i mógł ulegać zwyrodnieniu.

Na urabianie się typu fizycznego i psychicznego Piastów w ciągu pierwszych ośmdziesięciu lat naszej historyi wpłynęły niewątpliwie dwa fakty odrębnej kategoryi. Znani przodkowie Bolesława żenili się mianowicie dwa razy z osobami od siebie starszemi. Fakt ten tyczy przedewszystkiem Mieszka I. Żona jego, czeska Dąbrówka, według zupełnie w tym wypadku wiarygodnej tradycyi Kosmasa, w chwili zamążpójścia była już w wieku podeszłym. Historycy nasi nie są skłonni przyjmować tego przekazu czeskiego kronikarzą; gdy jednak przekaz ten jest poparty pośrednio przez inne wiadomości o rodzeństwie Bolesława Chrobrego, przyjąć go trzeba [2].

Małżeństwo Mieszka z Rychezą pod tym względem było zupełnie normalne [3], nie można jednak tego samego powiedzieć o ro-

[1] Vide powyższy cytat o Bezprymie.

[2] Fontes Rerum Bohemicarum, II. p. 40: Obiit Dubrauca, quae quia nimis improba fuit, iam mulier provectae aetatis, cum nupsisset Poloniensi duci, peplum capitis sui deposuit, et puellarum coronam sibi imposuit: quod erat magna dementia mulieris.

Z opowiadania Kosmasa wynika, że Dąbrówka już przedtem była zamężną, że za Mieszka wyszła w wieku późnym. Prawda, że charakterystyka Dytmara jest korzystną dla Dąbrówki, daje się jednak zupełnie pogodzić z rysami, przekazanymi przez Kosmasa. Dytmar bowiem nazywa ją rzeczywiście dobrą i podnosi starania i przykrości, jakie musiała znosić, by męża skłonić do przyjęcia chrześcijaństwa.

[3] Według »Genealogii Piastów« Rycheza prawdopodobnie była najstarszą córką swych rodziców. Przypuszczalna data urodzin Rychezy, podana w Genealogii za historykiem niemieckim z XVII w., r. 989, jest stanowczo za wczesną. Druga córka Ottona II i Teofano, Zofia, urodziła się prawdopodobnie w r. 978, a Matylda, żona Ezzona, matka Rychezy, była przypuszczalnie od Zofii młodszą. W każdym razie data urodzin Rychezy musi być o dobrych kilka lat posuniętą naprzód. Cf. Uhlirz: Jahrbücher d. deutschen Reiches unter Otto II u. Otto III,

dzicach Bolesława Szczodrego. Wprawdzie nie znamy ich bliżej pod względem fizycznym. O Dobrogniewie można tylko z dużem prawdopodobieństwem przypuszczać, że była zupełnie zdrową: miała dość liczne potomstwo i żyła długo, umarła bowiem dopiero w r. 1087. Od Kazimierza była przecież starszą. Małżeństwo było zawarte z rachuby politycznej, w ciężkiej chwili, w jakiej znajdowała się ówczesna Polska. Tem tylko można wytłómaczyć, że Kazimierz, urodzony w r. 1016, zdecydował się na ożenek z córką Włodzimierza Wielkiego, zmarłego jeszcze w r. 1015. Nie wiemy jednak dokładnie, jak znaczną była ta różnica. Dytmar, mówiąc o uprowadzeniu do Polski dziewięciu córek Włodzimierza w r. 1018, milczy o ich wieku. Ponieważ matka Dobrogniewy, Anna, urodziła się w r. 963, umarła już w r. 1011, przeto Dobrogniewa prawdopodobnie była starszą od Kazimierza conajmniej kilka lat, koło dziesięciu mniej więcej. Takie małżeństwa, czysto polityczne, były zawierane i później. Judyta, siostra Henryka IV, wychodząc za mąż za Władysława Hermana, znajdowała się w pełni lat czterdziestu [1].

Zastanówmy się nad dziadkami Szczodrego. Jest między Mieszkiem II a wnukiem niejedna analogia. Dzielność rycerska wyraźnie zaświadczona zarówno przez współczesne źródła niemieckie, jak przez Galla, a nadto honorowe i rycerskie usposobienie, połączone ze zdolnością do przyjaźni. Duże zasługi około podniesienia kościoła, na tle dość wysokiej kultury umysłowej, obcej czy Mieszkowi I, czy Chrobremu. Skronie tego monarchy wieńczy korona królewska, a u jego boku wnuczka Ottona II. Wszystko to razem zapewnia Mieszkowi wysokie stanowisko w hierarchii Piastów. Od tego krok tylko do katastrofy, wywołanej nie tyle przez groźne niebezpieczeństwa ze strony Niemiec, ile przez kryzys nieznany, jaki przeszedł sam Mieszek: nieumiejętność opanowania stosunków rodzinnych, zatargi z żoną, okropny wypadek, jakiemu z zemsty uległ w Czechach. Przepaść, dzieląca pierwsze lata od późniejszych doświadczeń, wstrząsnęła całym organizmem Mieszka.

I, str. 111—112, uwaga 21, a także Hirsch: Heinrich II, I Band Exkurs IV. Pfalzgraf Ezzo, str. 446, n. 2.

[1] Ibidem: data urodzin r. 1047, zaślubin 1088. Z małżeństwa tego były trzy córki według kroniki Galla.

Jak matka Mieszka Emnilda, była dobrym duchem Chrobrego, tak Rycheza na życie męża wywarła wpływ może jeszcze silniejszy, ale fatalny. Wpływ ten wart jest osobnej wzmianki, tem bardziej, że chodzi o osoby i wydarzenia przeważnie obce, mało znane w polskiej historyografii.

Z miłości małżeństwo to nie było zawarte. Przyjście jego do skutku było następstwem pokoju w Merseburgu w r. 1013, a Henryk II sam był dziewosłębem. Wzmianki źródłowe są nieco mętne, ale wolno przypuszczać, że ze strony Henryka był pewien nacisk [1]. Nie dla tego nacisk ten był potrzebny, by małżeństwo córki z Mieszkiem rodzice uważali za mezalians; przecież dumny Dytmar nie wahał się podnieść, mimo nienawiści do Chrobrego, że jego czwarta żona, Oda, nie warta była tak wielkiej karyery [2]. Rodzice wydawali Rychezę niechętnie, o Słowianach kursowały nad Renem wiadomości takie, jak o Węgrach, lub później o Tatarach, — a i wzgląd na odległość miał pewne znaczenie.

O samej Rychezie polskie podania są sprzeczne — tak, że trudno o jej jednolity portret. Chwali ją nasz najstarszy kronikarz [3], ale już Wincenty wyczytał w jakiemś nieznanem źródle wersyę, według której miała być gwałtownego usposobienia [4]. Atmosfera panująca na dworze męża, fakt, że Mieszek przed małżeństwem z nią miał już inny stosunek, czy żonę, którą mu dla Rychezy kazano opuścić, a której Mieszko zachował wierną pamięć, rozwinęły w Rychezie surowe usposobienie i bezwzględność w stosunku do męża, bezwzględność, która doszła do nienawiści.

Obok tych cech należy postawić duszę. Była ona zarozumiała ze względu na wysokie pochodzenie, jak na stanowisko. Do tytułu królowej przywiązywała wagę, do końca życia stale go używając.

---

[1] Pertz SS. XIV, p. 132, c. 12 Fundatio monasterii Brunwilarensis: »Nam eodem tempore Poliniorum rex nomine Misecho, etc.... per prefati regnatoris interventum, filiae eius... Richezae petit consortium.

[2] Thietmari Chr. in us. schol. ed. II, VII c. 1.... admodum digna tanto foedere.

[3] Galli Chr. in us. schol. Lib. I, c. 18. Quae... pro modo femineo regnum honorifice gubernaret, traditores eam de regno propter invidiam eiecerunt...

[4] Wincenty, Mon. Pol. Hist. II, p. 283: Quae quia aequo violentior visa est, immo quia patriae indigentibus, quamlibet primis, quoslibet inquilinos et suorum lixas Teutonum praeponere coepit, a civibus profligata in exsilio consenuit.

Nie można wątpić, że duma jej przeszła w spadku na syna, pozwalając późniejszym Piastom ze stanowiska towarzyskiego patrzeć conajmniej z poczuciem równości na monarchów zachodnio-europejskich.

Rycheza żyła długo i przepędziła resztę życia po śmierci męża i wygnaniu z kraju — w Niemczech. Była bardzo przywiązaną do swej rodziny, wśród której miała ukochanego brata Ottona. Gdy ten umarł w r. 1047, Rycheza odsunęła się od świata i pozostałe lata przepędziła na dewocyi.

Ta jej bezwzględność i gwałtowność usposobienia w każdym razie zasługują na baczną uwagę. Prócz warunków życiowych rysy te znajdują uzasadnienie w atmosferze rodziny, z której Rycheza wyszła.

Znana to i świetna rodzina t. zw. Ezzonidów. Rycheza była rodzoną siostrzenicą Ottona III, córką niezmiernie stanowczej Matyldy, a więc wnuczką Ottona II. Matylda była w swoim czasie pierwszą partyą w Europie zachodniej; umiała jednak kochać silnie i namiętnie, gdy nie zawahała się popełnić grubego mezaliansu, wychodząc za trzeciorzędnego grafa z Lotaryngii, Ezzona, inaczej zwanego Ehrenfried. Ezzo miał brata imieniem Ezzelina — obydwaj są właśnie założycielami rodu Ezzonidów, przetrwałego po mieczu tylko do trzeciej generacyi. W Matyldzie, niewątpliwie tak samo, jak w jej bracie Ottonie III, grały rozmaite niezestrojone kierunki i prądy Może się nie omylimy, twierdząc, że na obojgu ciążyło dziedzictwo rodziców różnych ras i kultur: czystej krwi germańsko-anglosaskiej Ottona II i greckiej Teofano. Małżeństwo Matyldy z Ezzonem było bardzo szczęśliwe, pobłogosławione dziewięciorgiem potomstwa.

Sióstr było sześć, z których najstarszą nasza właśnie Rycheza. Nie śmiemy przesądzać; wydaje nam się jednak, iż fakt, że wszystkie pięć sióstr Rychezy wstąpiły do klasztoru, nie był przypadkowym, i nie wypłynął jedynie z wyrachowania, by braciom przysporzyć majątku i samym znaleść sowite uposażenie. Wnuczki Ottona II mogły łatwo znaleść mężów. Przypuszczamy zatem, że w pewnej mierze należy liczyć się z inną ewentualnością, a mianowicie, że w większości wypadków zachodziła niezdolność do zamążpójścia.

Braci Rycheza miała trzech czy czterech, a to Hermana, arcybiskupa Kolonii, Ludolfa i Ottona, zmarłego bezpotomnie w r. 1049. Ludolf umarł bardzo młodo, w r. 1031 [1] i zostawił dwóch synów —

[1] Fundatio mnrii Brunvilarensis (Pertz, Scriptores XIV p. 129) nazywa go:

Henryka zmarłego przedwcześnie i Konrada księcia Bawaryi. Ten zatem Konrad był siostrzeńcem babki Bolesława. Konrad miał życie burzliwe; bezwzględny wobec poddanych, zbuntował się przeciw Henrykowi III. Kilka ostatnich lat życia spędził na najazdach na Niemcy do spółki z Węgrami i skończył w tajemniczych okolicznościach nagłą śmiercią, czy to wskutek trucizny, czy zarazy. Ostatni to potomek po mieczu Ezzona, z charakteru zewnętrznie przypomina nieco naszego Bolesława.

Galerya krewnych Rychezy jest jednak bogatsza. Konrad bowiem bawarski nie był odosobnionym.

Jeśli pokolenie Ezzona w tak krótkim czasie zupełnie wymiera, to w znacznej mierze fakt ten należy przypisać nie przypadkowym okolicznościom, lecz słabości rodu — czego barwny przykład stanowią synowie stryja Rychezy, młodszego brata Ezzona, Henryk i Konrad.

Henryk odziedziczył po krewnych wysokie dostojeństwo Ezzona, palatynat lotaryński; w r. 1045, gdy Henryk III był złożony ciężką chorobą, była o nim mowa, jako o kandydacie do korony. Gdy umarł Herman Ezzonida, arcybiskup koloński, Henryk został opiekunem Rychezy [1], rozpoczęły się ciągłe niesnaski, wynikające ze wzajemnych pretensyj majątkowych pomiędzy Henrykiem a następcą Hermana, Annonem. Henryk nie znał umiarkowania i srodze dawał się we znaki arcybiskupowi. Równowagi jednak w tym człowieku nie było. Niespodziewanie obudziła się w nim gwałtowna skrucha z powodu szeregu popełnionych występków. Żonaty był z piękną Matyldą, córką księcia Lotaryngii, i miał dzieci. Mimo tego, pod wpływem szybkiego postanowienia, gdy arcybiskup obłożył go klątwą, Henryk upokorzył się tak dalece, że nie tylko hojnie wynagrodził kościół koloński za wyrządzone mu krzywdy, ale pod wpływem skruchy... opuścił rodzinę i wstąpił do klasztoru, składając nawet śluby zakonne.

Krok ten Henryka był jednak czysto odruchowym, i takim samym szybkim odruchem było niespodziewane opuszczenie klasztoru, złamanie złożonych ślubów, powrót do żony i do zajmowanego

---

Ludolphus autem maior natu, quod erat animo acerrimus et corpore robustissimus militarique prorsus virtuti aptissimus....

[1] Fundatio mnrii Brunvilarensis SS. XIV. p. 138 i 140: Quod sentiens Richeza regina.... per manum mundiburdis sui Henrici comitis palatini... dedit traditione (w r. 1056).

przedtem stanowiska. Legenda klasztorna powiada, że stało się to na tle zmysłowego pociągu. Z powrotem Henryka rozpoczęły się znowu wojny z arcybiskupem. Kolonia i Hanno byli w niebezpieczeństwie. Zwłaszcza jedna grożąca wyprawa była na dużą skalę przez Henryka przygotowaną. Kolonia cała była na murach: oczekiwano napadu.

W niedaleko położonym zamku palatyna Henryk w pełnem uzbrojeniu żegnał się z żoną, a orszak zbrojnych czekał nań na zamkowym dziedzińcu... Palatyn podczas pożegnania dobył topora i znienacka odciął żonie głowę, poczem wybuchnął śmiechem, zeszedł do oczekującego go rycerstwa i tu śmiejąc się i klaszcząc w ręce, opowiedział o spełnionym fakcie. Dopiero po dłuższej chwili ludzie się zoryentowali, że mają do czynienia z szaleńcem. Teraz go zamknięto w klasztorze i tam skończył, żyjąc jeszcze dość długo, człowiek, który o mało co nie został cesarzem [1]. A więc obłąkanym był Henryk, a zarodki obłąkania przejawiały się oddawna, rozumie się, niezrozumiałe i należycie nieoceniane.

Jak mało je rozumiano, możnaby przytoczyć przykłady z historyi rodu Karolingów, gdzie objawy epilepsyi lub szaleństwa brano za opętanie przez złego ducha, a dotkniętych niemi często zamykano w klasztorze.

Rodzony brat tegoż Henryka został księciem Karyntyi w pierwszych latach Henryka IV. Był to jednak człowiek nieudolny, który nie umiał opanować własnego księstwa. Skończył podobnie jak brat, w szaleństwie, bezpotomnie [2].

Kiedy w r. 1063 umierała dumna Rycheza, z całego świetnego rodu Ezzonidów, spadkobierców rodzinnych tradycyj Ottona II i III, żyły tylko jej własne wnuki, Kazimierzowicze; zresztą ród wygasł

[1] Meyer v. Knonau, Jahrbücher d. deutschen Reiches unter Heinrich IV u. Heinrich V. I, str. 163—164 i 199—200.

Szczegółowy opis wypadku, wzmiankowanego także i przez inne źródła, daje »Vita Annonis« (Pertz SS).

Henryk opuścił żonę w r. 1059, wybuch szaleństwa zaś nastąpił w roku następnym.

[2] Zmarł w r. 1060 czy 1061. O nim Thiofridus abbas z Epternachu (Pertz SS. XXIII, p. 26): Deteriori (od Henryka) frater eius Cuono usus fortuna, propria diffamatus est laniasse membra per amentiam et sic opimam orci victimam exhalasse animam. Cf. Meyer v. Knonau, op. cit. str. 198—199 i 208—209. Nie jest zrozumiałem, dlaczego Meyer sądzi, że powyższy przekaz Thiofrieda polega na pomieszaniu losów Konrada z losami Henryka. Rozróżnienie jest bardzo wyraźne.

doszczętnie, zarówno po mieczu, jak kądzieli. Bardzo zaś jest problematycznem, choć niektórzy uczeni przyjmują to za pewnik, że szaleniec Henryk zostawił potomków, z których wyszedł jeden znany ród lotaryński.

O Ezzonidach można powiedzieć z całą słusznością, że kto raz otarł się z bliska o blask koron cesarskich, ten nie mógł być bezkarnie wtłoczony z powrotem w ramy powszednich stosunków, za ciasno mu było na stanowisku książęcem.

Może tych rysów dziedzicznych przy głębszem badaniu dałoby się zgromadzić więcej, ale sądzimy, że i tych dosyć, zwłaszcza, że większa ich część jest dostatecznie uwierzytelnioną — by wyjaśnić i wytłómaczyć sprzeczności w cechach charakteru króla, któremu z kolei mamy się przypatrzeć.

O rodzicach Bolesława Śmiałego wiemy bardzo mało. O różnicy wieku mówiliśmy wyżej. Tu pragniemy zwrócić uwagę na nieznany fakt pokrewieństwa i te same wpływy greckie, które działały już przez Rychezę. Przyczyny wczesnej śmierci Kazimierza nie są znane. Ojciec Dobrogniewy, Włodzimierz Wielki, był typem wszechstronnie rozwiniętego mężczyzny. Kiedy jednak na świat miała przyjść Dobrogniewa, Włodzimierz był już w wieku podeszłym, do Nowogrodu poszedł bowiem na księcia jeszcze w r. 970. Nie znamy niestety dokładnie matki Dobrogniewy. Jest tylko duże prawdopodobieństwo [1], że matką jej była cesarzówna Anna, urodzona w r. 963, która była siostrzenicą żony Ottona II, Teofano. Teofano zatem, prababka Kazimierza, byłaby ciotką Dobrogniewy, a pokrewieństwo mię-

[1] Prof. Balzer w Genealogii, popierając przypuszczenie, że Dobrogniewa była córką cesarzównej Anny, twierdzi, że Anna była ostatnią żoną Włodzimierza. Przeczy temu wyraźne świadectwo Dytmara, opowiadającego, że w r. 918 Bolesław Chrobry uprowadził do Polski macochę Jarosława z dziewięcioma córkami.

Oświadczając się mimo to za tem, że Anna rzeczywiście była matką Dobrogniewy, czynimy to na podstawie cytowanego przez prof. Balzera przekazu Kroniki Wielkopolski, mianowicie, że Dobrogniewa była córką Romana Odowicza księcia Rusi, z tą poprawką, że chodzi tu nie o ojca, lecz o dziadka. Ojcem bowiem cesarzównej Anny był Roman II, cesarz bizantyński, syn Konstantyna Porfirogenety.

Teofano była starsza o kilka lat od Anny i już w r. 972 wyszła za mąż za Ottona II. Najstarsze dziecko miała dopiero w r. 977. Cf. Schlumberger, Un empereur byzantin: str. 256; i Uhlirz w Jahrbücher d. deutschen Reiches str. 24, nota 40; obydwaj przyjmują, że Teofano i Anna były rodzonemi siostrami.

dzy nimi zachodziłoby w trzecim, względnie czwartym stopniu; byłoby więc bardzo bliskie, tak dalece, że zachodziłaby przeszkoda według prawa kanonicznego. Z takich małżeństw nie rodzi się zbyt silne potomstwo, tembardziej że Dobrogniewa była starszą od Kazimierza. Nie można tego powiedzieć o Bolesławie Szczodrym, ale trzej bracia jego potwierdzają słuszność wypowiedzianego zdania. Odo zmarł bardzo wcześnie, Mieszek w r. 1065, Władysław zaś Herman notorycznie był upośledzonym, i to nietylko fizycznie, ale i duchowo.

Podnieść warto, że i Władysław II w niejednym wypadku przypomina Hermana, a i on pochodzi z małżeństwa, do którego zawarcia należało usunąć przeszkody kanoniczne, co się stało za zezwoleniem Rzymu. Natomiast przyrodni bracia Władysława II, z matki Salomei, wszyscy przedstawiają tęgie i zdrowe fizycznie i duchowo typy. Małżeństwo zatem Kazimierza z Dobrogniewą, prócz różnicy wieku na niekorzyść Kazimierza, było oparte na dość bliskiem pokrewieństwie. Korzystne politycznie, a może i materyalnie, nie rokowało dobrych wyników dla ewentualnego potomstwa. Wypowiadamy to w formie ewentualności, jakie mogły zajść w przyszłości.

Zanim w porządku scharakteryzujemy Bolesława Szczodrego, naprzód na podstawie Galla, a potem Kadłubka, zastanowimy się nad kilku jego osobistymi rysami, znanymi z postronnych źródeł.

Tron po ojcu dostał się Bolesławowi wraz z braćmi w bardzo młodym wieku. Wśród pięciu pokoleń przychodzących do władzy Piastów, Bolesław był najmłodszym [1] i najwyżej mógł liczyć lat ośmnaście; chociaż trafniejszem wydaje nam się przypuszczenie, że w rzeczywistości był nieco młodszym. Rządy przeto sprawowała przez parę lat matka, Dobrogniewa. Nie miał on zatem tej szkoły, jaką Chrobry przeszedł za Mieszka I, czy Mieszek II zwłaszcza za

[1] Chrobry doszedł do rządów w wieku lat 24; Mieszko II koło trzydziestu pięciu; Bolesław hypotetyczny koło 20; Kazimierz Odnowiciel w latach 22—24. Z późniejszych Krzywousty miał lat siedmnaście, należy jednak zauważyć, że nie był zwierzchnikiem całej Polski, względnie swego brata; byli sobie równi. Jedynie Bolesław Szczodry w tym wieku był zwierzchnikiem braci. Nie da się jednak zaprzeczyć, że Krzywousty talentem politycznym przewyższa Szczodrego.

Chrobrego, a nadewszystko tej twardej szkoły wygnania, jaka była udziałem Kazimierza Odnowiciela.

Ku stopom młodziutkiego księcia-władcy chylili się wszyscy, na kogo spojrzał, czy byli to rodzeni jego bracia, drżący o życie, czy poddani. A szczęście w dodatku gęsto sprzyjało młodemu panu i oddawało w jego ręce losy królewskich wygnańców z Węgier, książąt z Rusi i czeskich. W tych warunkach mógł róść w ambicyę, a nawet zarozumiałość i pychę.

Uderza fakt, że Bolesław pozostawił braci całych na majątku i zdrowiu, może na podstawie rozporządzeń podziałowych Kazimierza, opartych na senioracie [1]. Brat jego Mieszko umiera w r. 1065, prawdopodobnie w kraju, Herman przetrwał rządy i doczekał się swoich czasów. Jest to niezaprzeczenie pewien rys humanitarny, jasno oświetlający postać Bolesława. Wpływ matki był tym zapewne, który łagodził i nie dopuścił, by książę tak się rozprawił z braćmi, jak Mieszek, czy jego bratanek Krzywousty [2]. Zresztą nie należy wpływu kobiet przeceniać. Córka Dobrogniewy, czeska Swatawa, t. j. Świętosława, w słabym tylko stopniu była w stanie zapobiec krwawym rozprawom wśród swych własnych synów. Tem większa była więc zasługa samego Bolesława. Zastrzec się przecie trzeba, że tylko prawdopodobieństwo tego rysu zachodzi, nic więcej.

Obok tego rysu są drugie, twarde i bezwzględne — jak ten, gdy Izasław, szwagier Bolesława, szuka w Polsce gościnności, tułacz na wygnaniu — i traci tutaj w Polsce skarby, wywiezione z Kijowa; a między wierszami źródeł czytać można zarzut, wyraźną wskazówkę, że sprawcą grabieży, czy jej protektorem był Bolesław we własnej osobie [3].

---

[1] Idę za przypuszczeniem prof. Wojciechowskiego, wypowiedzianem w Szkicach Historycznych (str. 157).

[2] Przypuszczenie o regencyi Dobrogniewy zostało passim wypowiedziane przez prof. Wojciechowskiego w Szkicach. Jest ono popartem przez Kronikę Węgiersko-polską, która zna postać Dobrogniewy pod imieniem Dąbrówki. Samodzielność jej roli można sobie wytłómaczyć tylko faktem, że przez pewien czas sprawowała regencyę.

[3] Latopis hypacki w cytowanem wydaniu, pod r. 1073: »Iziasław że idie w Liachy so imienjem mnogim i s żenoju, upowaja bogatstwom mnogym, głagola«: »jako sim naliezu woja«; »jeże wziasza u niego Liachowie, pokazasza jemu put' ot siebie«.

Grzegorz zaś VII w znanym liście do Bolesława powiada: »...inter omnia servanda vobis est caritas, quam, quod inviti dicimus, in pecunia quam regi Russorum abstulistis, violasse videmini« (Kod. Wielkopolski, I nr. 4).

Tą dziwną mieszaninę złych i dobrych pierwiastków spotkamy w portretach, jakie zostawili o królu dwaj kronikarze, Gall i Kadłubek. Przyczem należy podkreślić, że obydwa wizerunki są analogiczne, a zwłaszcza, że obydwa są dla króla na ogół niekorzystne, zarówno wizerunek Galla, jak w wyższym jeszcze stopniu, Kadłubka.

Są jednak i zasadnicze różnice między portretami. Gall zestawia kilka epizodów o charakterze mniej więcej anegdotycznym, które to anegdoty mają mniej więcej w jego przedstawieniu równe znaczenie — jako źródło do charakterystyki króla. Kadłubek natomiast patrzy na Bolesława wyłącznie prawie przez pryzmat krwawego dramatu, obracającego się koło osoby św. Stanisława.

Natomiast niezupełnie uzasadnionym wydaje nam się pogląd, jakoby Gall był na tyle wyłącznie dworakiem, że te dworskie względy i oglądanie się na łaskę książęcą mogły go hamować w opisie zajścia króla z biskupem. Od tego zarzutu mógłby Gall być wolnym. On poprostu nie chciał się zanadto rozpisywać o Bolesławie Szczodrym, bo mu było spieszno do czasów Krzywoustego. Już o Mieszku II Gall pisze aż zanadto zwięźle. Czasy Kazimierza także są traktowane, wprawdzie szerzej, ale często epizodycznie. Przecież Gall umie podawać bez zbyt wielkich osłonek rzeczy daleko drażliwsze nie tylko dla Krzywoustego, ale nawet dla możnych panów, którzy jeszcze bardziej od księcia mogli być dla obcego niebezpieczni i niewygodni.

Gall nie waha się przytaczać wieści, jakie kursowały o zgonie Mieszka Bolesławowica, zgładzonego trucizną, i wskazać prawie palcem sprawców zbrodni, sprawców także wygnania ojca [1]. A co zwłaszcza wysoko każe stawiać zamiłowanie prawdy w Kronice Galla, to sposób, w jaki mówi o losach Zbigniewa, a więc wypadkach tych czasów, kiedy był zajęty redakcyą Kroniki. To przecież były sprawy najdrażliwsze, w których kamaryla dworska, że użyjemy tego wyrażenia, cała była zainteresowana, a wśród niej żył i obracał się Gall. Tymczasem stanowisko Galla jest zupełnie bezstronne. W jednem miejscu, mówiąc o sprawie Zbigniewa, używa po prostu prawie tych samych wyrazów, które wyżej przytoczył o Bolesławie i św.

[1] Galli Chr. Lib. I, c. 29: Aiunt enim, quosdam aemulos timentes, ne patris iniuriam vindicaret, veneno puerum bonae indolis peremisse.

Stanisławie [1]. Nawet dobre rysy Zbigniewa umie przytoczyć w ujęciu, że był to człowiek prostoduszny i w gruncie rzeczy dobry. Winę Krzywoustego Gall stwierdza wyraźnie, stara się tylko wytłómaczyć, w jaki sposób mogło dojść do tego, że Krzywousty mógł kazać oślepić Zbigniewa — i wskazuje znowu wyraźnie na interesowane podszepty dworaków.

A zatem kronikarz, taką surową miarą mierzący czyny opiewanego przez się władcy, nie może być posądzony o to, by wywyższał lub poniżał innych z myślą o przypodobaniu się swemu bohaterowi. Bardzo jest prawdopodobnem, że Krzywousty nie był przywiązany do pamięci stryja. Salomea, żona jego, miała przecie wyrzuty, że on nic nie zdziałał dla opactwa w Mogilnie, założonego przez Bolesława. Z drugiej jednak strony Krzywousty sam nie miał żadnego realnego interesu w zwalczaniu tradycyi o Bolesławie Szczodrym. Z tej strony nic mu już nie groziło — a o to tylko dbali i zabiegali średniowieczni władcy.

Jeśli więc mamy mówić o wizerunku Szczodrego według Galla, musimy pamiętać, że to właśnie tradycya dworska, a prawdopodobnie tradycya rodzinna Piastów mówi przez jego usta, oddana możliwie objektywnie. Podnieśliśmy zaś już wyżej, że wizerunek Galla nie jest dla Bolesława pochlebny. Rysy dodatnie krzyżują się z ujemnymi, i te właśnie przeważają.

Nie tyle Śmiałym, ile Szczodrym za prof. Balzerem powinien być stale zwany Bolesław, taki bowiem przydomek daje mu Gall, a tak samo Kadłubek. Prawda, że Gall już nazywa go także wojowniczym, rys ten nie ma jednak w jego kronice charakteru przydomka. Przezwisko Śmiały nie ma zatem należytego źródłowego uzasadnienia, ponieważ występuje w źródłach podrzędnych, w późnem dopiero średniowieczu [2].

[1] Znany ustęp o św. Stanisławie: neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicantem sic se turpiter commendamus (Liber I, c. 27).

Ustęp o Zbigniewie: Quid ergo? Accusamus Zbignevum et excusamus Boleslavum? Nequaquam. (Cytowane wydanie, Lib. III. c. 25).

[2] Gall in us. schol. p. 32 c. 22: vir largus et bellicosus; ibidem c. 23 audax fuit miles et strenuus hospitum susceptor benignus datorque largorum largissimus, cztery razy wprost daje mu ten przydomek: Boleslavus Largus (capita 23 i 26);

Kadłubek, M. Pol. Hist. II. str. 289: cui largitatis cognomen an-

Natomiast przydomek Szczodry należy uważać za dość znamienny. Kronikarz wyraźnie podnosi gościnność i upodobanie w hojnem rozdawnictwie darów. Wprawdzie Gall przytacza epizod tej szczodrości dość ograniczony i banalny. Musimy sobie jednak uzmysłowić, że tego rodzaju szczodrość nie wykształciłaby tytułu do utworzenia przydomka. Natomiast uwzględnić należy, że hojność monarsza miała w wiekach średnich o wiele szerszy teren, niż później, obok bowiem darów w potocznem znaczeniu obejmowała ziemię — i to w rozległości ogromnej. Wolno więc wyrazić przypuszczenie, że Szczodry hojnie ziemią szafował, a w takim razie panowanie jego mogło wiele znaczyć w historyi tworzenia się naszej rycerskiej własności. Poza gołe przypuszczenie wyjść przecie niepodobna. Jego poparciem jest jedynie nadanie grodu rycerzowi, który uratował życie Kazimierza. Nadanie grodu przytem, co należy podkreślić, nie było równoznaczne z nadaniem godności; co rozróżnia Gall, a zatem było zdziałanem z mocą dziedziczenia przez spadkobierców obdarowanego.

Szczodrość króla była w całej pełni uzasadniona. Przecież i Chrobry tą drogą skarbił sobie wierną i oddaną służbę rycerstwa. Inaczej nie można było utrzymać rycerstwa przy sobie i prowadzić je na nieskończone wyprawy. Poza przykładem Chrobrego i Szczodrego istnieją wyraźne świadectwa najstarszego latopisu ruskiego, stwierdzające taki właśnie stosunek księcia do drużyny. Także w ruskich źródłach znajdujemy ślady od najwcześniejszych czasów, że książę zasłużonym drużynnikom nadaje ziemię. Jeśli zaś książę choć na chwilę ustaje w rozdawnictwie łask i darów — drużyna zaczyna szemrać. To samo było u nas.

Jakkolwiek zatem rys szczodrości był usprawiedliwiony konie-

---

tonomasica privilegiatum est excellencia; str. 294: fuit hic belligerendi tam studiosus;

Żywot św. Stanisława Mniejszy: (M. Pol. Hist. IV, str 272): Hic est Boleslaus, qui propter excellenciam largitatis anthonomasice dictus est largus, ob insignem audaciam virtutis appellatus est bellicosus; określenie to przejmuje żywot większy;

Kronika Polska (Mon. Pol. III. p 623): vivente adhuc patre probus ac liberalis, powtórzone przez Kronikę Książąt polskich, która nadto dodaje str. 450: Quamvis enim iste rex in armis fuit strenuus, munificencia largus, hospitum susceptor benignus, militibus et nobilibus propicius;

Kronika Wielkopolska (Mon. Pol. II.) tytulik: De Boleslao Effero; w tekście: Boleslaus largus et efferus; liberalissimus.

cznością — to mimo to trudno zaprzeczyć, że u Galla występuje ona z pewną cechą lekkomyślności, a także pewnego lekceważenia przez króla osoby obdarowanego. Może to tylko nasze przypuszczenie, Gall bowiem odnośny postępek Bolesława poleca jako wzór do naśladowania. Pod ciężarem srebra i złota, którem kleryk napełnił swój płaszcz — ten rwie się i wtedy król ze swych ramion zrzuca własny płaszcz i dotąd napełnia go kruszcem, że aż kleryk wykrzyknął, że nie dźwignie więcej ciężaru. Opowieść ta prawdopodobnie jest stylizowaną na innych wzorach literackich — na tyle jednak musi być prawdziwą, żeby uznać, że Bolesław cel osiągnął, a kleryk rzetelnie wywdzięczył się za dobrodziejstwo i chwałę króla rozgłaszał.

To szukanie chwały i sławy jest niewątpliwie drugiem źródłem, skąd płynie hojność monarchów średniowiecznych. W parze z wrodzoną dzielnością osobistą kierowała ona kroki Bolesława ku naśladowaniu czynów sławnych przodków. Rys ten trafnie podchwytuje Żywot św. Stanisława[1] i niewątpliwie był on jednym z głównych rysów postaci króla. Trudno jednak orzec, co w tej dążności było własną pracą Bolesława, a co dziełem doradców i otoczenia, których mieć musiał. W każdym razie z tego źródła wypłynęła większość wybitnych czynów politycznych króla, a wśród nich koronacya. Za mało jednak w ogóle o niej wiemy, by można na niej opierać i gruntować zanadto dodatnie wyobrażenie o charakterze króla. Nie wiemy, w jakim stopniu była ona analogiczną do koronacyi Chrobrego, zresztą i tę ostatnią mniej znamy, tylko się jej charakteru domyślamy. Koronacya jest dziełem olśniewającem, ile zaś w niej było smiałego porywu, a ile politycznej rachuby — powiedziałyby źródła, gdyby istniały. Tych nie ma.

Charakterystyka Galla mówi nam, że ambicya króla nie była podporządkowana logicznemu łańcuchowi politycznych wskazań; przeciwnie nawet, ambicya kierowała jego polityką. Był w nim nadmiar ambicyi i próżności[2].

[1] Mniejszy (M. Pol. Hist. IV str. 274—275): Iste Boleslaus proavi sui magni regis Boleslai audaciam emulatus, prout erat vir belligerendi studiosus, terminos, quos amiserant patres sui, volens recuperare et ad suum dominium reducere; Rys ten przejmuje Kronika Wielkopolska.

[2] Galli Chr. in us. schol. I. c. 22: Qui sua satis gesta gestis praedecessorum coaequavit, nisi quod quaedam eum ambitionis vel vanitatis su-

Próżność Bolesława przechodziła w uczucie niesłychanej dumy i pychy; były one dość ugruntowane na szeregu powodzeń — ale na tyle silne i szczere, że objawiały się nawet wśród niepowodzeń — mogły przeto graniczyć z uporem, poświęcającym dla pozorów żywotne polityczne interesy. Cechy te posiadają doskonałą illustracyę w dwóch ustępach Gallowej opowieści: jednym o spotkaniu ze szwagrem Izasławem, drugim o zjeździe z Władysławem węgierskim.

Po wprowadzeniu Izasława na Kijów, przyszło do spotkania książąt i do uświęcenia zawartego przymierza pocałunkiem pokoju. Bolesław nie chciał zsiąść z konia, Izasław podszedł pieszo. Bolesław, całując go, pozwolił sobie na gruby żart i wytargał szwagra za brodę [1]. Był to żart obraźliwy, z którego tchnęła pogarda, gdyż broda była rzeczą, otoczoną poszanowaniem, zaszczytnym przywilejem, który nie był udziałem każdego; na brodę się przysięgano, tkwił w niej pewien symbol.

Drugi epizod jest jeszcze bardziej charakterystyczny. W pierwszym bowiem wypadku Bolesław stał u szczytu świetności, w drugim — na wygnaniu. W roli wygnańca na węgierskiej ziemi, szukając przytułku i pomocy, nie chciał znowu zsiąść z konia, by powitać pospieszającego doń pieszo z powitaniem króla Władysława [2]. Wychował go bowiem Bolesław w Polsce, gdzie Władysław siedział przedtem na łaskawym chlebie, uważał go więc Bolesław ciągle za swego pupila. Tak przynajmniej tłómaczy rzecz kronikarz.

Obydwa zajścia mają niejedno w ceremoniale spotkań monarszych, co można przytoczyć na usprawiedliwienie Bolesława. Formalistyka tych spotkań do najmniejszego szczegółu przywiązywała wielkie znaczenie, a każdy szczegół ceremoniału miał odpowiadać ściśle realnym stosunkom, jakie zachodziły pomiędzy zjeżdżającymi się władcami. Mimo to forma wystąpień Bolesława była tak silna

perfluitas agitavit. Zarzut próżności powraca w c. 28: In Bolezlavo tamen unum ascribendum est vanitati, quod eius pristinae multum obfuit probitati.

[1] Galli etc. I, c. 23: Nec tamen equo descendens sed barbam eius subridendo divellens, osculum ei satis pretiosum exhibuit.

[2] Ibidem c. 28: ...obviam ire Bolezlavo Wladislavus, ut vir humilis, properabat, eumque propinquantem eminus equo descendens ob reverentiam exspectabat. At contra Bolezlavus humilitatem regis mansueti non respexit, sed in pestiferae fastum superbiae cor erexit. »Hunc« inquit, »alumnum in Polonia educavi, hunc regem in Ungaria collocavi. Non decet eum me ut aequalem venerari, sed equo sedentem ut quemlibet de principibus osculari«.

i niezwykła, że wzbudzała sensacyę, szkodziła mu, i w takiem właśnie ujemnem oświetleniu przeszła do tradycyi.

Wolno przeto wątpić, czy scharakteryzowane przed chwilą zachowanie się Bolesława płynęło z uporu, opartego na chłodnem rozumowaniu. Na podstawie źródeł można stwierdzić, ze czyny królewskie często wynikały z porywczości, nieznającej wędzidła. Gall nazywa go gorącą głową [1]. Rys ten pokrewny podkreślonej wyżej lekkomyślności prowadził króla na manowce. Zaraz w początkach panowania zaledwie uniknął zasadzki Czechów, a nawet stracił panowanie nad Pomorzanami tylko z powodu zaniedbania [2]. A i później, choć przybyło doświadczenia, nie przybyło statku. Na każdą wyprawę rzucał się nagle, na oślep, bez należytego przygotowania. Przymiot taki był dobry dla rycerza, mógł jeszcze magnatowi wystarczyć, od książąt wymagano więcej.

Przytoczona już raz przez nas scena obdarowania ubogiego kleryka zawiera parę szczegółów odrębnej kategoryi.

Kleryk, widząc zebrane skarby, zwiezione na gród krakowski z Rusi i skądinąd — westchnął głośno, co rozgniewało Bolesława. W tym ustępie lakoniczny kronikarz wtrąca dwa wyrazy, które znakomicie uzupełniają charakterystykę króla. Napomyka bowiem jako o rzeczy potocznej, że król był dziki [3]. Więcej szczegółów nie podaje, łagodzi nawet ich wrażenie, gdyż opowiadanie o danym fakcie nie tylko słów tych nie usprawiedliwia, ale wprost im zaprzecza. Przerażenie kleryka było zupełnie nie na miejscu, król go

[1] Ibidem c. 25: Qui cupiens animo ferventi de manu gentilium patriam liberare, collecto nondum exercitu, debuit antecedens inconsulte nimium properare.

[2] Ibidem c. 22: suae contumaciae neglegentia non solum castrum non habuit, verum etiam Bohemorum insidias vix evasit, ac Pomoranorum dominium sic amisit.

Gall dodaje do tych słów następujące: »Sed non est mirum aliquantulum per ignorantiam oberrare, si contigerit postea per sapientiam, quae neglecta fuerint, emendare«. Nie daje jednak Gall następnie przykładu i nie przytacza epizodu, z ktoregoby wynikało, że Bolesław później wyzbył się lekkomyślności.

[3] Na słowa te za mało dotąd zwracano uwagi; Gall c. c. 26: Bolezlavus autem rex, ut erat ferus, audiens hominem miserabiliter gemuisse, et existimans aliquem camerarios percussisse, iratus sciscitatur, qui fuerit ausus sic gemere, vel quis praesumpserit ibi quempiam verberare. Tunc ille miser clericus tremefactus, maluisset nunquam pecuniam se vidisse, quam ea de causa regis curiam introisse.

bowiem hojnie obdarzył. Jako przypuszczalny powód gniewu podaje nawet Gall, że król mógł sądzić, że komornicy kogoś obijają. Mimo to waga tego jednego wyrażenia o dzikości króla jest wielką i bezwzględną. Bolesław był dziki. Musiał zatem istnieć szereg nieznanych na podstawie Galla faktów, które usprawiedliwiały ten epitet. Domyślać się tylko można, że kronikarz do tej kategoryi jego czynów odnosił postępek ze św. Stanisławem, inaczej nie nazwałby czynu króla hańbiącym, stwierdzając ponadto, że Bolesław dopuścił się grzechu.

Na zaznaczonych momentach urywa się materyał Galla. Obraz króla jest skreślony z pewną sympatyą; treść jednak jest niekorzystna: król był porywczy i dziki, cechował go nadmiar pychy i próżności. W ramach tych doskonale mogą się zmieścić zalety Bolesława: szczodrość, odwaga, dzielność rycerska i ambicya.

Sam Gall podkreślił, że długo byłoby opowiadać o przyczynach wygnania króla [1]. Tem samem kronikarz stwierdza, że był jeszcze szereg wydarzeń, o których pamięć, choć może niejasna, jeszcze za jego czasów się przechowała. Ślady tej tradycyi, nieuwzględnionej przez Galla, dadzą się odnaleść po kolei w Kadłubku, Żywocie św. Stanisława, Kronice Wielkopolskiej i jeszcze w Długoszu. W tradycyi tej, choć z trudnością i hypotetycznie, dadzą się odnaleść rysy, wchodzące w ramy wizerunku Gallowego.

W ramy te wchodzi przedewszystkiem surowość, z jaką Bolesław karał najwybitniejszych panów, którzy go na wyprawie opuścili, a także przeniewierstwa małżeńskie tych pań rycerskich, dla których zbyt długiem było czekanie na powrót mężów, towarzyszących królowi w dalekich wyprawach.

Koloryt tych wydarzeń, przekazanych przez Wincentego, opuściliśmy już bowiem pewny grunt Gallowy — przystaje do czasów Bolesława Szczodrego. Wiemy o tem, że rycerstwo polskie skłonne było wcześniej znacznie opuszczać wyprawę, bez wiedzy króla czy księcia. Działo się to już za Bolesława Chrobrego. Wprawdzie, jak słusznie zwrócił uwagę Lelewel, miało to miejsce podczas powrotu z pomyślnej wyprawy [2]. Tem może tłómaczy się fakt, że Bolesław Chrobry faktu opuszczenia nie ukarał. Mógł się jednak ślad kary

[1] Ibidem c. 27: Qualiter autem rex Bolezlavus de Polonia sit eiectus, longum exsistit enarrare...

[2] Polska wieków średnich II. str. 251.

nie przechować w tradycyi, która pozatem wie, że Chrobry karać umiał. Bez względu jednak na łagodzące okoliczności, opuszczanie króla podczas wyprawy było zbrodnią i mogło być traktowane jako zdrada. Krzywousty karze śmiercią za opuszczenie pola bitwy: mianowicie posyła winowajcy stryczek. Gdy Głogowianie własne dzieci dali Henrykowi w zakład, ten sam Krzywousty pod karą krzyża zabrania im wydać miasto cesarzowi[1] — chociaż bezwzględnie, nawet w ówczesnem pojęciu, Głogowianie, nie słuchając rozkazu, mieliby na swe usprawiedliwienie łagodzące okoliczności.

Bezwzględność przeto, z jaką w tym wypadku postępuje Bolesław Szczodry, odpowiada zupełnie charakterystyce Galla; więcej nawet, ze stanowiska formalnego prawa i wyobrażeń, które panowały nawet w Polsce za czasów Kadłubkowych, król był w prawie tak postąpić. A jednak zwyczaj późniejszy, wchodzący w życie już od XII w., że rycerstwo do wojny zagranicznej było obowiązane w zamian za specyalne świadczenia ze strony władcy, stwierdza, że takie konflikty istniały wcześniej, i takim był konflikt za Szczodrego.

Drugi fakt, prowadzący do konfliktu, to kary, które spadły na kobiety i przystawianie im do piersi szczeniąt. Geneza konfliktu o tyle interesująca, że król występuje u Kadłubka jako stróż sprawiedliwości i czystości, natomiast biskup ujmuje się za kobietami, występując przeciw zbyt surowemu wymiarowi kary, prawda, że także przeciw bezwzględnemu postąpieniu z dziećmi. Ten ostatni szczegół jest bardzo ważny. Nie można bowiem przypuszczać, żeby zdrada i wiarołomstwo miały masowe objawy. Podnieść jednak trzeba, że mogło się obejść bez wiarołomstwa żon, a kary podobne spaść mogły. Za winy wybitnych członków rodu odpowiadał cały ród: kobiety i dzieci. Przykładów cała masa: los Sławnikowiców, Werszowców, jeszcze na początku XII w., lub rodu Felicyana na Węgrzech w XIV w., co jest złączone z pobytem Kazimierza Wielkiego na dworze węgierskim.

A więc i w tym wypadku, nawet na podstawie opowieści Kadłubka, król mógł być w prawie.

Nie tylko jednak treść wydarzenia, ale forma, w jakiej ją nam przekazał Kadłubek, jest wiarygodną. Szczegół o szczeniętach jest bowiem niezmiernie charakterystyczny, i dodajmy, historyczny. Stopień zaś kary, wymierzonej przez króla, świadczy niewątpliwie o ła-

[1] Galli Chr. in us. sch., str. 90—91, capita 6, 7 i 8.

godnieniu w Polsce obyczajów, świadczy więc na korzyść króla, jak trafnie zauważył już Lelewel, a mimo to dał powód do konfliktu.

Symbolika średniowieczna lubowała się we wzmacnianiu wrażenia kar zapomocą zmuszania winnych do ukazywania się publicznego w poniżającej formie ze zwierzętami. W Rzymie, jeszcze w końcu X w, podobne kary były w pospolitem użyciu, spotykały nawet strącanych z tronu papieży, a w Niemczech znacznie później jeszcze buntowniczy książęta musieli po obozie cesarskim lub w danem mieście paradować, obnosząc psy. To samo miało miejsce w Czechach, czego klasyczny przykład podaje Kosmas [1]. Jeśli więc Kadłubek taki rys przytacza, to nie możemy wątpić, że pod tem kryje się fakt historyczny.

Lelewel zwrócił uwagę na to, że wiarołomstwo żon było karane w Polsce za czasów Chrobrego niezwykle surowo, okaleczano winne [2]. W Czechach milkła nawet jurysdykcya męża wobec wiarołomnej żony, gdyż hańba spadała na cały ród. Typowym jest przykład konfliktu, w jakim znalazł się nikt inny, jak św. Wojciech, udzielający azylu winnej, czem ściągnął na siebie zarzut popierania przeniewierstw małżeńskich. Sądzimy, że coś podobnego miało miejsce w wypadku św. Stanisława. I on ściągnął później na siebie zarzut ze strony Bolesława, że popierał przekroczenia ze strony niewiast.

Obyczaje zatem i wymiar kar w Polsce łagodnieją na przestrzeni czasu od Chrobrego, do Szczodrego. Kościół konsekwentnie stoi na stanowisku, że za takie winy on jest przedewszystkiem powołany do wykonywania jurysdykcyi. Król tymczasem strzeże prawa swojego... w czem tkwi jedna z przyczyn konfliktu.

Czy konflikty mogły mieć jeszcze inne źródło? Czy prawdą jest, że król w ostatnich latach życia nurzał się w rozkoszach zmy-

---

[1] Rzecz dzieje się za czasów Władysława I, koło roku 1110: Privitan quoque similiter in eadem comprehensus seditione, qui videbatur senior esse in urbe Praga, cuius super humeros alligato maximo cane scabioso et hesterno iure crapulato, raptus per barbam ter circa forum ductus est, cane reboante et suum demordante baiulum, et praecone acclamante: Talem honorem portat, qui Wladislai duci promissam fidem derogat. Atque omni foro spectante praecisa super tabulam eius barba relegatus est versus Poloniam in exilium. Fontes Rerum Bohem. II, str. 169.

[2] Polska w. średnich II. str. 252.

słowych, jak chce Żywot św. Stanisława Mniejszy. Wprawdzie za tego rodzaju przewinienia królowie nie bywali strącani z tronu, a i kościół po większej części patrzył przez palce. Przekaz jednak Żywotu św. Stanisława nie da się poprzeć innemi źródłami i musi być uważany za niedostatecznie uwierzytelniony. Nie wyklucza to prawdopodobieństwa, że Bolesław poza małżeństwem umiał sobie także urządzać życie.

Nie mówiąc o Chrobrym, Mieszek II miał miłośnicę, miał ją Władysław Herman. Zresztą w ogóle warunki życia były swobodne. W tych warunkach przekaz Długosza, którego nie ma we wcześniejszych źródłach, zasługuje na baczną uwagę. Długosz wyraźnie mówi, że król wziął siłą na dwór żonę rycerza Mścisława, Krystynę. Nie wiem, czy są jakieś ustępy w Długoszu, gdzieby były wprost zmyślone osoby. Trzeba więc przyjąć, iż zaczerpnął je z nieznanego źródła, tak samo, jak opowieść o Małgorzacie z Zębocina. Wiadomości tego źródła są poparte przez przekaz Rocznika kapitulnego [1], zapisującego pod r. 1076 urodziny nieznanego bliżej Krystyna, którym nie może być żaden ze znanych książąt. Należy mu się więc osobne miejsce w Genealogii Piastów, którego dotąd nie ma. Jest więc prawdopodobieństwem, że Krystyn wziął imię po matce, że był synem Bolesława Smiałego.

Urodziny Krystyna przypadają na r. 1076, a więc i pod tym względem popierają legendę, że przypadają na końcowe lata rządów Bolesława.

Wątpliwem wydaje się, by miłość do Krystyny sama przez się wywołała konflikt. Natomiast mogły zachodzić specyalne okoliczności, w których gorliwszy prałat mógł mieć powód do interwencyi, jeżeli prawowita żona była odtrącona i sama szukała pomocy kościoła, bądź też mąż królewskiej kochanki, a zwłaszcza jeżeli stosunek miał miejsce w sferze książęcej, na którą przedewszystkiem kościół miał wpływ w XI w.

Imiona Mścisława i Krystyny są jedynym materyałem; nie są to imiona rycerskie, przynajmniej na pierwszy rzut oka, a raczej książęce i to znane na Rusi. Czy na tem można coś budować, jak to próbowaliśmy przed dziesięciu laty? Zapewne, że można, ale do pe-

[1] M. Pol. Hist. II. sub a 1076: Cristinus natus est. Kronika Wielkopolska także powiada (M. P. H. II. str. 489), że Bolesław »iura quoque thori violari«. Jest to bardzo poważne poparcie przekazu Długosza.

wnych wniosków dojść trudno. Zanotować tylko z obowiązku kronikarskiego należy, że książę Mścisław, najstarszy syn Izasława, zmarły po r. 1069 na księstwie połockiem, bywał w Polsce, a wdowa po nim mogła tu zostać podczas powtórnego wygnania Izasława, które właśnie przypada na lata 1074—1076.

Kimkolwiek była Krystyna i Mścisław, należy przypuszczać, że i w tym wypadku Bolesław postępował w sposób wyzywający i drażniący.

Trudno orzec, na jakiem tle źródłowem rozwinęła się legenda o wykroczeniach zmysłowych Bolesława. Faktem jest, że już Żywot św. Stanisława formułuje ciężkie oskarżenie, że działał przeciw naturze, co jeszcze dosadniej wyraża Kronika Polska [1]. Gdybyśmy mieli tylko te teksty, moglibyśmy przypuszczać, że rozwinęły się one na tle niezrozumienia lub amplifikacyi tekstu Kadłubka. Zdaje nam się jednak, że fundament tych zarzutów nie przedstawia się tak strasznie, w tej formie, jak tradycya jest podana w Kronice Wielkopolskiej.

Według tej kroniki Bolesław wiódł ze sobą, gdziekolwiek się udawał, konia (tak tłómaczymy iumentum), nakrytego purpurą i kosztowną tkaniną. To jest rdzeń faktu, do którego przyrosły różne plotki i opowieści [2]. Obowiązkiem historyka jest postawić zapytanie, czy nie mamy przed sobą faktu historycznego; sądzimy, że tak jest,

---

[1] Żywot św. Stanisława (M. P. H. IV. str. 278): Bolezlaus etenim intermisso studio virtutum sentina factus est omnium viciorum et carnis sue sequens luxuriam, gloriam suam in ignominiam et naturalem usum mutavit in eum usum, qui est contra naturam.

Kronika Polska (M. P. H. III. str. 624): et flagiciosus cum equa contra naturam effectus...

Kadłubek mówi tylko: (M. P. H. II. p. 296): versus in arcum pravum..., str. 298: flagitiosissimus in utroque, str. 299: Nam quod strenuitatis in illo fuit, profundo flagitiorum involvitur, ale zupełnie przy innej sposobności. Być może, że jest to odwrócenie znanego zarzutu, stawianego przez Bolesława św. Stanisławowi, że był »renum scortator«.

[2] Oto tekst kroniki Wielkopolskiej (M. P. H. II. str. 488): In tantumque cultum detestabatur faemineum, quod, loco uxoris, iumentum purpura et bysso decoratum, ad omne iter quo ibat, secum duci faciebat. Aiunt quoqe quidum, quod versus in sensum reprobum abutebatur eodem.

Quaedam autem scripturae, quibus standum est, verius asserunt, quod non; sed in detestationem sceleris, per mulieres nobiles, in suorum maritorum absentia, perpetrati, hoc se facere demonstrabat.

tylko należy rzucić go na tło historyi ceremoniału. W tem świetle nie ma on nic niewiarygodnego; wiadomo, że zwyczaj ten, występujący zresztą w różnych formach — należał do symbolów władzy, i to w znaczeniu podwójnem. Bądź był to koń, stanowiący bezpośrednią własność tryumfatora, i był prowadzony w pochodzie tryumfalnym; bądź też należał do zwykłych momentów ceremoniału. Nie tylko konie były w takiem użyciu, do dziś dnia jeszcze w podobnej formie są używane słonie.

Mógł być to zwyczaj, i był takim według wszelkiego prawdopodobieństwa — obcy; zapożyczony z Zachodu, czy z Węgier, Rusi, lub Byzancyum [1]. Był obcym, bo raził i wywoływał plotki, i do dziś dnia służyć może jako jeden dowód więcej, że Bolesław, podobnie jak jego naddziady, nie liczył się z głosem opinii i łamał obyczaje.

Łamał zatem obyczaje, a wprowadzał obce. Kościołowi zaś obyczaj taki wydać się mógł podejrzanym, gdyż zalatywał pogaństwem. Nie dla tego żeby kościół nie odróżniał symbolu władzy od przedmiotu kultu, ale dla tego, że lud szerszy tak mógł rozumieć i pojmować. Jeśli więc Bolesław taki zwyczaj wprowadzał, to mógł w kościele wywoływać zgorszenie, gdyż konie były przedmiotem kultu pogańskich Słowian, z którymi Polska wówczas pozostawała jeszcze w żywym kontakcie.

Nie ulega wątpliwości, że śmierć Bolesława w pełni sił, w wieku 37—42 lat najwyżej, była przedwczesna To jasno daje się wyczytać w Gallu [2], i na tym przekazie można oprzeć przypuszczenie, dość uzasadnione, że śmierć była gwałtowna. Gall niedwuznacznie wskazuje na Węgrów, jako na sprawców śmierci.

Kadłubek zapisuje wersyę, że pod wpływem ciężkiej choroby

Iumentum, według Forcelliniego: Interdum iumentum sic usurpatur ut equos, asinos, mulosve significat, boves non significat. Co też wynika z cytatów zestawionych w poprzednim przypisku.

Byssus, według Forcelliniego: Genus lini subtilissimi et delicatissimi... adeoque pretiosi, ut auro contra aestimatum est, habitumque in deliciis feminarum.

[1] Szereg ciekawych przykładów zestawia Ducange. Z tych najciekawsze pod equi albi i vestiti. Pod albi bardzo ciekawy przykład francuski z XIV w., z którego wynika, że i koń był symbolem władzy.

[2] Gallus in us. sch. c. 28, str. 37: unde magnam sibi Ungarorum invidiam cumulavit, indeque citius extrema dies eum, ut aiunt, occupavit.

sam targnął się na swe życie [1]. Na tej tradycyi, a zwłaszcza Galla, musi coś być.

Nie ma zasadniczej sprzeczności pomiędzy tą tradycyą, a tradycyą benedyktyńską o pokucie Bolesława. Faktem niezbitym pozostaje, że Bolesław od wczesnych czasów miał kommemoracyę w klasztorach benedyktyńskich w Polsce i to jako »conversus«. Tego rodzaju kommemoracye nie dostawały się do Libri Fraternitatis czy Libri mortuorum drogą literacką, a tylko z tych źródeł wzmianka o »królu Bolesławie konwersie« mogła się dostać do kalendarza benedyktyńskiego.

Hojny fundator opactwa w Mogilnie, zapomnianego przez Krzywoustego, co przyczyniało zgryzot Salomei po śmierci męża, do tej kommemoracyi miał prawo.

Od początku XV w. jest już w Polsce, w szeregu rękopisów, a więc u Jana Dąbrówki [2], a nadto w rozmaitych rękopisach tak zwanego Rocznika świętokrzyskiego nowszego [3], wzmianka o tem, że Bolesław przebywał w klasztorze. Są to źródła lokalne, niezależne od zagranicznych, tyczących się już miejsca pokuty.

Potwierdzają się one wzajemnie i upoważniają do wniosku, że Bolesław zmarł nagłą śmiercią, podczas pobytu w klasztorze. Do rysów jego charakteru, podkreślonych przeciwieństw postaci i losu, przybywa zatem rys ostatni.

W ramy niniejszego odczytu nie wchodzi badanie dramatu pomiędzy królem a św. Stanisławem. Nie zużytkowywujemy więc tu tych śladów odmiennej tradycyi i podań, które przechował Kadłubek, przytaczając cały szereg oskarżeń króla, skierowanych przeciw

---

[1] Inaudito correptus languore, Boleslaus sibi mortem conscivit; Kronika zaś Wielkopolska: tactus pessimo ulcere in amentiam cecidit.

[2] Na co zwrócił uwagę prof. Balzer w Genealogii. Trudno jednak zgodzić się z przypuszczeniem, jakoby wiadomość Jana Dąbrówki o pobycie króla w klasztorze była w ogóle najwcześniejszą. Cf. przypisek następny.

[3] Tradycya tego rocznika robi wrażenie bardzo poważne; jest ona zawartą w ośmiu jego rękopisach: ipse vero periculum mortis timens fugam dedit ad Hungariam, et ibi circa quoddam claustrum mansit, tanquam conversus et penitenciam strictam peragens, vitam post decem annos finivit, et ibidem sepultus est.

Jest to wiadomość, bardziej nieokreślona, niż Dąbrówki. Tradycya zaś ossyacka piśmienna powstała nie w XVI w. ale jeszcze na początku XV w., jeśli nie w końcu XIV w. (jak starałem się wykazać w rozprawie: Analecta Cisterciensia, R. W. Hist. Fil. Ak. Um. tom 49, str. 48).

pamięci biskupa, w których król występuje jako »sacerrimus sacrilegiorum ultor«.

W tradycyi tej niestety brak materyału do osobistej charakterystyki króla, tak, że to, co się przechowało, i na czem oparliśmy powyższy portret, nosi na sobie charakter relacyj nieprzyjaznych pamięci króla; tyczy się to zarówno Galla, jak Kadłubka.

Na tem zamykamy niniejsze uwagi, w nadziei, że garść tych szczegółów może służyć jako przyczynek do interpretacyi podań Galla i Kadłubka [1].

[1] Fragmentaryczny sposób traktowania tego szkicu wyjaśnia okoliczność, że powstał on z racyi odczytu, wygłoszonego w październiku r. 1911 w Związku Naukowo Literackim we Lwowie.

SPOSTRZEŻENIA GEOLOGICZNE Z ZACHODNIEJ AFRYKI

(z 6 illustracyami)

napisał

RUDOLF ZUBER.

Wezwany przez kompanię angielską odbyłem w ciągu lata r. 1910 podróż do zachodniej Afryki.

Wyjechałem z Liverpoolu w połowie czerwca, wróciłem zaś do Plymouth we wrześniu. W ciągu lipca i sierpnia zwiedziłem znaczniejsze partye kolonij angielskich Nigeryi i Złotego Wybrzeża (Southern Nigeria, Gold Coast Colony) oraz kolonii francuskiej Wybrzeża Kości Słoniowej (Côte d'Ivoire), przyczem głównymi punktami wyjścia były miasta i miejscowości wybrzeżne Lagos, Accra, Secondi, Axim i Bonyere.

W głąb lądu dotarłem tylko niedaleko (około 100 kilometrów), ograniczając swe badania głównie tylko do utworów występujących przy wybrzeżu, a głównem mem zadaniem było zbadanie pojawiających się tam w kilku miejscach pokładów naftonośnych i bitumicznych.

Badania geologiczne i w ogóle podróżowanie w tamtych stronach są bardzo utrudnione. Okolica przeważnie pokryta gęstym lasem lub moczarami, klimat w najwyższym stopniu niezdrowy (malarya, żółta febra, śpiączka, elephantiasis, robak gwinejski i t. p.), komunikacya tylko na większych rzekach i lagunach łatwiejsza za pomocą łodzi i małych parowców, zresztą tylko pieszo lub w hamaku noszonym przez krajowców. Podczas mego pobytu właśnie była pora deszczowa, która wprawdzie nieco łagodziła nadmiar gorąca, ale z drugiej strony przez częste ulewy i powodzie niezmiernie utrudniała dalsze wycieczki, a czasem je zupełnie uniemożliwiała.

Rozleglejszych badań geologicznych w tych okolicach dotąd nie przedsiębrano. Tylko nieliczne drobniejsze spostrzeżenia różnych podróżników o charakterze przeważnie bardzo lokalnym rozrzucone są tu i owdzie w literaturze geologicznej. I moje badania miały taki charakter lokalny, bez możności ogólniejszego opracowania kartograficznego. W następstwie podam ważniejsze z tych spostrzeżeń.

I. Pokłady bitumiczne w południowej Nigeryi.

Około 90 kilometrów na wschód od miasta Lagos wpada do obszernej i płytkiej laguny Leckie z północy rzeka Oni, nad której dopływem Sasa około 15 klm. dalej w górę (ku północy) pojawiają się na powierzchni warstwy piasku i piaskowca, przesiąknięte czarną masą smołowatą (asfaltem). Wystąpienia takie same okazują się jeszcze dalej ku wschodowi w kilku innych dolinach równoległych na długości około 75 klm.

Te wystąpienia bitumiczne dały powód do wykonania szeregu wierceń w celu poszukiwania nafty, dotąd bez pomyślnych rezultatów.

Posuwając się od bardzo prostego i równego wybrzeża morskiego ku północy, widzimy tu najpierw płaskie piaszczyste wybrzeże, przerywane tylko nielicznemi ujściami rzek i potoków, ustawicznie tamowanemi przez wały piasku, wyrzucanego fatami morskiemi, potem rozległe moczary gęsto zarośnięte mangrowami, pandanami i palmami, poczem ciągnie się długi łańcuch płytkich lagun, w znacznej części już wysłodzonych, energicznie zamulanych przez wpadające do nich rzeki i zarastanych przez nader bujną wegetacyę podzwrotnikową.

Za temi lagunami kraj staje się bardziej pagórkowatym i jest wszędzie gęsto zalesiony (najcenniejszem jest tam drzewo mahoniowe).

Dopiero około 80—100 klm. na północ od wybrzeża wznoszą się wyższe łańcuchy górskie, złożone z najstarszych skał tej części kontynentu afrykańskiego, to jest głównie z gneisu poprzecinanego przez liczne żyły kwarcytu. Najlepiej występuje ten gneis koło miasta Abeokuta i zaznacza swój południowy brzeg także dalej ku wschodowi we wszystkich z północy na południe spływających rzekach, tworząc na nich progi i wodospady.

Ten brzeg gneisowy jest niewątpliwie dawniejszym brzegiem morskim, do którego przypiera od południa bezpośrednio owa formacya bitumiczna, złożona z potężnej seryi warstw piasków, piaskowców, zlepieńców naprzemian z iłami.

Wszystko zaś pokryte jest niezgodnie przez silnie rozwiniętą formacyę laterytową (czerwona piaszczysta glina dyluwialna), albo przez nowoczesne piaski i moczary.

Zupełny prawie brak odkrywek powierzchownych nie pozwala na dokładniejsze zbadanie formacyi bitumicznej. Możliwem było to tylko na podstawie wykonanych w tym obszarze wierceń.

Ze starannego porównania rezultatów tych wierceń okazało się, że warstwy tej formacyi ułożone są bardzo płasko, z kierunkiem zachodnio-wschodnim, i nachylają się słabo ku południowi, t. j. od owego starego brzegu gneisowego ku dzisiejszemu wybrzeżu morskiemu.

Od góry do dołu można tam wyróżnić następujące kompleksy warstw:

1. Piaski morskie naprzemian z pstrymi (czerwone, szare, czarne etc.) iłami.

2. Pokład czarnego, szarego i brunatnego iłu (40—60 mtr.) z bryłami skał starszych, z licznemi konkrecyami pirytu, zwęglonymi kawałkami drzewa, rzadkiemi drobnemi skorupkami, zębami i łuskami ryb i t. p.

3. Gruby piasek i piaskowiec z bituminem. Występuje na powierzchni, jak wyżej wspomniano, niedaleko brzegu gneisowego, a w wierceniach natrafiany ku południowi coraz głębiej. Bitumen ten nie jest zgęstniałym olejem skalnym, lecz albo zupełnie stałym asfaltem (bardzo podobnym do asfaltu z Trinidad), albo nader gęstym, na pół stałym bituminem, o słabym zapachu i w towarzystwie bardzo tylko słabych gazów.

4. Bardzo grube pokłady piasków, piaskowców i zlepieńców, tylko rzadko przerywane wąskiemi warstewkami iłu i zawierające ku dołowi coraz częstsze i większe bryły skał starszych, między któremi bardzo przeważa gneis, tworzący niewątpliwie podkład tej całej formacyi. Te piaski zawierają bardzo wiele wody, często ciepłej i dochodzącej do temperatury 40° C, z palnymi, lecz bezwonnymi gazami. Woda ta nie jest słona, lecz nieco siarczana, i wynosi z sobą płaty na pół stałego bituminu.

Wiek geologiczny tej formacyi bitumicznej zdołał określić w przybliżeniu już przedemną p. Parkinson [1], który badał te utwory dalej na wschód od Agbabu nad rzeką Oluwa i zebrał tam liczne i dobrze zachowane skamieniałości. Przytaczam w następstwie dosłownie uwagi tego autora w tej sprawie:

»Mr. R. Bullen Newton, of the Natural History Museum, kindly looked through the specimens and found that *Pholas*, the well known boring mollusk, and *Cardium*, the cockle, were the commonest forms. He identified besides examples of *Arca*, *(?) Scrobicularia*, *Pteria (?)*

---

[1] The Age of the bitumen bearing beds of Southern Nigeria. By John Parkinson, M. A., F. G. S. — The Petroleum World. London. June 1910. str. 322.

Gari, a *Cuspidaria*, and a *Dentalium*. The only gasteropod mentioned was a small fusoid looking shell; lamellibranches, therefore, greatly predominated, the fauna being rich in individuals, and on the whole rather poor in species, though it should be remembered that but a limited area was examined. Mr. Newton thinks the beds are probably of Pliocene Age.

There can be but little doubt of the essential identity of these deposits — clays and sandy clays — with those to the westward in the country now being worked under the license of the Nigeria Bitumen Corporation; the great extent of the beds indicating that the coast line of this part of Southern Nigeria, viz., the Lagos Province, lay, at a period which, geologically speaking, is comparatively recent, some fifty miles to the north of the present position.

These Pliocene beds were doubtless deposited in shallow water. The discovery ot shales, containing many impressions of leaves, not far of Epe, some sixty miles to the west of Agbabu, the rapid alternation of arenaceous and argillaceous beds of lenticular character, and also the types of fossils found, strongly suggest that land was not far off«.

Sam tych warstw ze skamieniałościami na powierzchni nie znalazłem. Tylko z kilku wierceń posiadam nieliczne skorupki o bardzo młodem wejrzeniu. Zresztą mogę tylko potwierdzić wszystkie powyższe uwagi Parkinsona.

Mamy tu więc na podkładzie gneisowym bardzo młodą (prawdopodobnie plioceńską) formacyę wybrzeżną o charakterze wybitnie fliszowym, jeszcze tektonicznie nie zaburzoną, tylko słabo ku południowi nachyloną. Formacya ta zawiera w pewnych partyach znaczniejsze ilości smołowatego bituminu.

Dawniejsze moje badania, wykonane głównie w środkowej i południowej Ameryce, doprowadzają mnie do wniosku (który przy innej sposobności bliżej uzasadnię), że takie młode pokłady asfaltu i bituminu, jak powyżej opisane, i w takich warunkach występujące, nie są wyparowanym olejem skalnym (naftą), od którego zresztą wybitnie się różnią, lecz raczej jeszcze niezupełnie przeobrażonym materyałem organicznym, który dopiero pod górotwórczem i fałdującem ciśnieniem mógłby się rozszczepić na prawdziwą płynną naftę i na gazy naftowe. Przez dalej postępujące fałdowanie warstw większe ilości tak utworzonej nafty i gazów mogą być nagromadzone

głównie na grzbietach antiklinal, co potwierdzają prawie wszystkie ważniejsze dotąd poznane obszary naftonośne.

Z drugiej strony olej, nagromadzony w takich warstwach, może być w znacznej mierze lub zupełnie wypartym przez wkraczającą tam wodę, jeżeli temu nie przeszkodzi odpowiednie fałdowanie warstw lub izolacya za pomocą znaczniejszych pokładów nieprzepuszczalnych.

Z powyższych rozważań wynika, że nawet znaczne powierzchowne występowania asfaltu i bituminu jeszcze wcale nie są dowodem, że w pobliżu, albo głębiej, muszą się znajdować większe ilości oleju skalnego.

Powyżej przedstawione stosunki w południowej Nigeryi zdają się potwierdzać te poglądy.

Dodać tu należy, że najgłębsze, dotąd tam wykonane wiercenia Nr. 6 w Abuliyagba do 650 mtr. i Nr. 9 w Idakun do 725 mtr. jeszcze tej formacyi w całości nie przebiły. Wnosząc jednak z coraz większej ilości egzotycznych brył gneisu, napotykanych w tych wierceniach, przypuścić należy, że podstawa, złożona z gneisu, już nie będzie bardzo głęboko.

II. Secondi, Axim, Beyin.

Proste, równe i płaskie wybrzeze, ciągnące się od Nigeryi ku zachodowi przez Dahomey i Togo do Wybrzeża Złotego, występujące ku południowi wybitniej tylko przy delcie rzeki Volta, urozmaica się nieco i staje skalistem w okolicach przylądka Cape Three Points między Secondi a Axim.

Strome i urwiste ściany, pojawiające się koło Secondi (takie same utwory występują także koło Accra i Cape Coast), składają się przeważnie z charakterystycznej formacyi piaskowcowej.

Najlepsze odsłonięcia, rozszerzone wkopem kolejowym (z Secondi prowadzi kolej żelazna na północ do Tarquah i Kumasi, razem około 200 klm.), znajdują się na zachodnim stoku wzgórza, na którem wznosi się fort w Secondi.

Są to prawie poziomo ułożone grube ławice piaskowca czerwonego z partyami i warstewkami szaremi, zielonawemi, żółtawemi, z wtrąceniami ilastemi, z partyami, przechodzącemi w grube zlepieńce. Po części są one kruche, po części zwięźlejsze. W swej masie okazują często warstwowanie transwersalne, a na powierzchni warstw rozmaite nierówności. Jednem słowem jest to typowy utwór

pustyniowy, i nie różni się nawet w najdrobniejszych szczegółach od naszego dewońskiego Old Redu. Czy jednak można mu przypisać wiek dewoński, czy też inny, tego oczywiście rozstrzygać nie można, dopóki nie znajdą się w tym utworze charakterystyczne skamieniałości. W każdym razie nie jest to formacya młoda, i najprawdopodobniej trzeba ją będzie uważać za paleozoiczną.

W kilku miejscach na wschód od Secondi leżą na tym piaskowcu transgresywnie czerwone i szare iły łupkowe i margle z warstewkami jasnych piasków i żwirów. Są to utwory niezawodnie młode, może trzeciorzędne.

Wszystko pokrywa znów silnie rozwinięta dyluwialna formacya laterytowa.

Dalej ku zachodowi coraz więcej występuje skalistych przylądków, wysepek i raf podwodnych, bardzo niebezpiecznych dla żeglugi, spowodowanych przez występowanie od lądu ku morzu licznych i znacznych intruzyj (dykes) starych skał wybuchowych.

O skałach tych z okolicy Axim podali już kilka wiadomości Gümbel [1] i Gürich [2].

Przeważa między temi skałami ciemna, zbita, brylasto dzieląca się skała typu diabazowego.

Starożytny fort w Axim zbudowany jest na takiej skale diabazowej.

W innej skale na wschodniej stronie tej miejscowości występują wąskie żyły białego kwarcytu, czerwonawej skały granitowej oraz liczne wydzielenia pirytu.

Przywiezione stamtąd okazy wymagają jeszcze dokładniejszego zbadania petrograficznego.

Zachodnie wzgórze Aximu urywa się stromo po stronie morza i okazuje, podobnie jak w Secondi, na samym dole czerwone, zapewne stare piaskowce, wyżej młodsze pstre iły łupkowe, bardzo tylko słabo odsłonięte, lecz widocznie zaburzone, a wszystko pokryte bardzo silnie rozwiniętym laterytem.

Mała zatoka, która się tu wcina dość głęboko, jest prawie zawsze mocno czerwono zabarwiona mętem, pochodzącym z rozmycia

---

[1] C. W. Gümbel, Beiträge zur Geologie der Goldküste in Afrika. Sitzungsber. math.-physik. Cl. d. k. b. Akad. d. Wiss. München. XII, 1882, S. 190.

[2] G. Gürich, Beiträge zur Geologie von Westafrica. Ztschr. deut. geol. Ges. XXXIX, 1887, S. 112—116.

tej gliny laterytowej, i fale morskie jeszcze dość daleko od brzegu unoszą i osadzają potem ten czerwony osad.

Na zachód od Axim prowadzi dość dobra droga aż do rzeki Ankobra, przekraczając jeszcze kilka pagórków, zakończonych w morzu skalistymi przylądkami, złożonymi ze skał typu diabazowego. Nad Ankobrą w pobliżu jej ujścia do morza (około 5 klm. na zachód od Axim) kończą się te i inne skały krystaliczne, między któremi zwracają uwagę mocno powyżerane, popękane żelaziste kwarce, po części złotonośne. Alluwia rzeki Ankobry, zwłaszcza wyżej, mają zawierać dość znaczną ilość złota.

Od ujścia Ankobry ku zachodowi ciągnie się płaskie wybrzeże, przeważnie piaszczyste, bez jakichkolwiek starszych wypiętrzeń skalnych. Dopiero o 40 klm. dalej w miejscowości Beyin wpada w oczy, że ruiny tamtejszego starożytnego fortu złożone są prawie wyłącznie z szarego wapienia, przepełnionego skorupami małży.

Ponieważ materyał, użyty do budowy tego fortu, nie mógł pochodzić z wielkiej odległości, więc usiłowałem dowiedzieć się, gdzie w tych okolicach takie wapienie występują. Dowiedziałem się tylko, że kamieniołomy, z których ten materyał pochodził, znajdowały się jeszcze o kilka kilometrów dalej ku zachodowi koło miejscowości Kangan, ale mimo licznych starań o protekcyę czarnego »króla« z Beyin, nie dopuszczono nas do tych miejsc, ukrytych w gęstych lasach i moczarach.

Szczęściem jednak, nad samem morzem koło Kangan udało mi się przy pomocy zaufanego murzyna odgrzebać z piasku małą odkrywkę, gdzie wapień ten pojawia się na powierzchni, i stąd zebrałem nieco materyału do dalszych badań. Nadto występuje ten sam wapień jako materyał egzotyczny miejscami bardzo obficie i dalej ku zachodowi w młodszych piaskach i iłach, skąd, jak również i z ruin zamku w Beyin, jeszcze więcej tego materyału wydobyłem.

P. dr. Wojciech Rogala zajął się na mą prośbę bliższem opracowaniem tego zbioru. Główne dotychczasowe wyniki tych badań podane będą na końcu tej rozprawy.

III. Występowanie nafty na Złotem Wybrzeżu.

W zachodniej części Złotego Wybrzeża, na przestrzeni między Half Assinee, Beyin i rzeką Tano, znanych jest kilka punktów, gdzie występują wycieki nafty oraz gazy palne. Najważniejsze z tych wystąpień są następujące:

1. Między Stoepville (Topo) i Takinta kilka naturalnych dołków z olejem skalnym i słabymi gazami. Dawniejsze wiercenia znalazły tu także i głębiej naftę (koło Takinta stare wiercenie Nr. 1 kilkakrotnie natrafiało na ślady nafty aż do głębokości około 250 mtr.).

2. Między Takinta i rzeką Tano.

3. Dokoła laguny Domini między Bokakreh i Bonyere znajdują się rozległe liczne wycieki nafty w towarzystwie gazów. W studni Nr. 1 w Bokakreh natrafiono w głębokości około 20 mtr. na znaczniejszą ilość płynnego, dość gęstego, słabo fluoryzującego oleju skalnego o charakterystycznym zapachu z gazami.

4. Na północny wschód od Tikwabo wycieki gęstego oleju z gazami.

Formacya naftonośna, o ile ją można rozpoznać z nielicznych odkrywek naturalnych i sztucznych, oraz z wykonanych dotychczas wierceń, pokryta jest w wyższych częściach terenu (lasem pokryte pagórki wznoszą się tu do 60—80 mtr. nad poziom morza) grubą powłoką formacyi laterytowej, pod którą zdołałem wyróżnić od góry do dołu następujące serye warstw:

1. Pstre iły (czerwone, sine, szare, czarne i białe) 8—10 mtr.

2. Przeważnie piaski i kruche piaskowce miejscami z ropą naftową, zwykle zalane słodką wodą, około 30 mtr.

3. Ciemny (czarny lub szary) ił z partyami piaszczystemi, z bardzo licznemi małemi i dużemi bryłami twardego szarego wapienia, przepełnionego skorupami (jest to ten sam wapień kredowy, który widzieliśmy koło Beyin), z konkrecyami pirytu, szczątkami zwęglonych roślin i t. p. Razem około 25—30 mtr.

4 Naprzemianległe znaczne pokłady piasku, piaskowca i ciemnych iłów, dotychczas nie przebito.

Charakterystycznych skamieniałości, pozwalających na dokładniejsze określenie wieku tej formacyi, niestety nigdzie nie znalazłem. Musi ona jednak być znacznie młodszą od najwyższej kredy, do której należą wyżej wspomniane wapienie, występujące w tej formacyi naftonośnej pod postacią licznych brył egzotycznych, a nadto całe wejrzenie tych utworów przemawia za ich wiekiem, prawdopodobnie młodo trzeciorzędnym, t. j. mioceńskim, albo nawet plioceńskim.

Warstwy tej formacyi są w ogóle bardzo płasko ułożone, lecz okazują przecież wyraźne słabe nachylenie ku południowemu zachodowi, a nadto nie jest wykluczonem, że istnieją w niej także po-

czątki fałdowań, ponieważ cała ta formacya wydaje się jakoby wgnieciona pomiędzy skały znacznie starsze. I tak znajdujemy nad rzeką Tano około 6 klm. na północ od przystani Alenda Wharf mocno zaburzone i stromo wzniesione łupki krystaliczne (fyllity) i kwarcyty, tworzące niewątpliwie północny brzeg formacyi naftonośnej; koło Kangan (na wschód od Bonyere, a na zachód od Beyin), na samym brzegu morskim, a więc po południowej stronie formacyi naftonośnej, owe wyżej omówione zbite wapienie kredowe, dalej zaś na wschodzie koło Ankobry i Axim również już wspomniane stare skały krystaliczne i jakoby przyciśnięte do nich młode, pstre iły.

Jest więc bardzo prawdopodobnem, że warstwy formacyi naftonośnej, ułożone nad i pomiędzy temi staremi skałami, jak gdyby pomiędzy klinami, uległy już częściowo fałdowaniom, i wskutek tego mogą zawierać jeszcze partye, w których zebrały się znaczniejsze ilości oleju skalnego i gazów, ochronione przeciw wyparciu przez wodę.

Dalsze racyonalnie założone i prowadzone wiercenia w obrębie tego obszaru zdołają zapewne rozstrzygnąć tę tak dla nauki, jak i dla praktyki doniosłą kwestyę.

IV. Pokłady bitumiczne koło Eboindy.

Także w kolonii francuskiej Wybrzeża Kości Słoniowej (Côte d'Ivoire) występują w pobliżu miejscowości Eboinda na północnej stronie laguny Tendo w kilku miejscach skały bitumiczne, na których podstawie wykonano i tutaj kilka szybów i wierceń w celu poszukiwania nafty, dotychczas jednak bez pomyślnego rezultatu.

Nieco ku wschodowi od wsi Eboinda, tuż przy brzegu laguny, pojawia się bezpośrednio pod grubą powłoką dyluwialnego laterytu piaskowiec zupełnie przepojony brunatnym bituminem. Piaskowiec ten okazuje niewyraźne warstwowanie ze słabem nachyleniem ku południ.-zachodowi.

Dalej ku północy, w kopanych szybach próbnych Nr. 5 i 7, taki sam piasek i piaskowiec, przesiąknięty bituminem, został przebity w głębokości między 15 i 27 mtr., pod czem nastąpił pokład twardego, gruzłowatego wapienia żelazistego, marglowatego lub krzemienistego, oraz twarde iły piaszczyste z nader licznemi skorupkami i innymi szczątkami organicznymi. I ten pokład przepojony jest smołowatym bituminem. Dotychczasowe badania, wykonane przez Dra Rogalę, wykazały wiek górno kredowy tego utworu. Nigdzie indziej

w okolicy tych warstw nie znaleziono. Przebite w innych szybach piaski, iły i piaskowce są różne i wyglądają młodziej (może miocen lub jeszcze młodsze). Kreda zdaje się tworzyć tu małą wysepkę, otoczoną młodszym trzeciorzędem.

Także na zachód od szybu Nr. 5 w sąsiednim wąwozie pojawia się zwięzły piaskowiec, przesiąknięty stałym bituminem.

Wiercenia Nr. I, IV i VIII przebijały naprzemian pokłady jasnych piasków i piaskowców z szarymi, niebieskimi, czerwonymi i białymi iłami, najczęściej z wielkimi przypływami wody, i tylko w wierceniu Nr. IV (na pagórku na zachód od wsi) natrafiono rzekomo w głębokości 395 mtr. na ślad nafty (»oil show«).

Nigdzie tu nie znalazłem prawdziwego płynnego oleju skalnego, i nie sądzę, ażeby występujący tu asfaltowaty bitumen był wyparowaną naftą, lecz, podobnie jak w Nigeryi, uważam tę smołowatą masę raczej za młodą materyę bitumiczną, która jeszcze nie zdołała się przeobrazić w węglowodory lżejsze, płynne i gazowe.

V. Sedymentacya na wybrzeżach.

W r. 1900 miałem sposobność studyowania warunków sedymentacyi na płaskich wybrzeżach okolic podzwrotnikowych, głównie w delcie rzeki Orinoco i na wyspie Trinidad (południowa Ameryka). Rezultatem tych badań była rozprawa »o pochodzeniu fliszu« [1].

Usiłowałem wówczas wykazać, że różnowiekowe formacye faciesu fliszowego są utworami właśnie takiej sedymentacyi przy płaskich wybrzeżach morskich w wilgotnym klimacie podzwrotnikowym, przy współdziałaniu wpadających tam rzek o zmiennym stanie wody i bujnej wegetacyi wybrzeżnej. Takiemi dawniejszemi formacyami fliszowemi są, jak wiadomo, między innemi, flisz alpejski, piaskowiec wiedeński, piaskowiec karpacki, macigno apeniński i t. p.

Obecnie zdołałem znacznie rozszerzyć zakres analogicznych obserwacyj na wybrzeżu gwinejskiem w Afryce, i w dalszym ciągu pozwolę sobie zauważone tam objawy bliżej opisać.

Prawie całe wybrzeże gwinejskie od Sierra Leone, przez Liberyę, Wybrz. Kości Słoniowej, Złote, Togo, Dahomey, Nigeryę do Kamerunu,

[1] Kosmos XXVI, Lwów 1901, str. 232 i nast. Także po niemiecku: »Ueber die Entstehung des Flysch« w Ztschr. f. prakt. Geol. Berlin 1901, August — i późniejszy dodatek »Zur Flyschentstehungsfrage« w Verh. geol. Reichs-Anst. Wien 1904, Nr. 8.

t. j. na długości około 2500 klm., jest bardzo równe i płaskie. Z tego prawie prostolinijnego wybrzeża występuje ku morzu tylko wielka i płaska delta rzeki Niger, potem bardzo jeszcze nieznaczna delta rzeki Volta, kilka skalistych przylądków, złożonych ze skał krystalicznych, jak Cape Three Points, Cape Palmas i koło Sierra Leone, a wreszcie kilka małych partyj piaskowcowych (Accra, Cape, Coast, Secondi). Poza tymi nielicznymi punktami widzimy tu wszędzie tylko zupełnie płasko ułożone piaski wybrzeżne, z domieszkami namułu, przerywane od czasu do czasu większemi i mniejszemi rzekami i potokami, odprowadzającemi wody lądowe do morza (Ancobra, Twin river i inne).

Tylko w pobliżu owych skalistych partyj gromadzą się, pod wpływem fal morskich, znaczniejsze masy grubszych i drobniejszych żwirowisk litoralnych, a poza tem mamy wszędzie i na olbrzymich przestrzeniach tylko piaski i namuły.

Na całem tem długiem wybrzeżu gwinejskiem niema ani jednego, dobrego, naturalnego i odpowiednio głębokiego oraz chronionego portu.

Wszędzie błotne i piaszczyste mielizny sięgają daleko w morze, i okręty muszą stawać na przystaniach na kilka do kilkunastu kilometrów daleko od brzegu, znajdując dopiero w tej odległości głębie około 20—30 metrów.

Te stosunki litoralne są tylko wynikiem skombinowanej czynności akkumulacyjnej morza i wpadających do niego rzek, w związku z budową geologiczną i stosunkami klimatycznymi.

Objawy te zasługują na bliższe rozpatrzenie.

Jak wiadomo z prac dawniejszych, i jak zauważono już po części powyżej, główną podstawę tej części kontynentu afrykańskiego tworzą skały starokrystaliczne, jak fyllity, kwarcyty, gnejsy, oraz stare skały wybuchowe (diabazy i t. p.).

Południowy brzeg tej starej masy kontynentalnej pojawia się na zachodzie nad morzem koło Freetown (Sierra Leone) i daje się śledzić ku wschodowi aż do Kamerunu[1] w zmiennej odległości 30—100 klm. na północ od dzisiejszego wybrzeża morskiego, wysyłając jednak miejscami skaliste wypustki aż do samego morza, jak to widzieliśmy w ujściu Ankobry, koło Axim i t. d.

[1] Por. Guillemain, Beiträge zur Geologie von Kamerun. Abh. preuss. Geol. Landesanst. Berlin, 1909.

Na południe od tej, także orograficznie wyraźnie występującej krawędzi, mamy tylko jeszcze kilka pomniejszych starszych wystąpień, jak wspomniane poprzednio czerwone piaskowce (dewon?) koło Accra i Sekondi, oraz wapienie kredowe koło Beyin.

Całą resztę wybrzeża zajmują od owej krawędzi skał krystalicznych na południe płasko ułożone i przeważnie słabo ku południowi nachylone, do kilkuset metrów miąższości dochodzące młode pokłady piasków, piaskowców, zlepieńców i pstrych iłów, po części z zawartością nafty i bituminu, wieku zapewne mioceńskiego i młodszego.

Wszystko to pokrywa w partyach wyżej położonych i pagórkowatych potężna formacya laterytowa (dyluwium), w niskich zaś częściach przybrzeżnych sedymentacya rzeczna, lagunowa i morska dzisiejsza.

Klimat tego wybrzeża (między 4 i 6 stopniem półn. szerokości) jest typowo podzwrotnikowym. Pora deszczowa trwa tam średnio od kwietnia do listopada, z małą zwykle przerwą w sierpniu. W tym czasie panują tam obok nader gwałtownych ulew i nawalnic także długotrwałe mgły i deszcze, powodujące bardzo znaczne wezbrania i wylewy rzek. Od grudnia do marca trwa pora względnie sucha, ale i wtedy deszcze i mgły nie są bardzo rzadkie, a atmosfera jest zawsze przesycona wilgocią.

Pierwszym skutkiem takiego klimatu jest niezmiernie bujna wegetacya, oraz nader intenzywne wietrzenie i rozluźnianie skał. Tak n. p. nad rzeką Tano w dość znacznych urwiskach brzeżnych, złożonych z fyllitów tak były te skały zwietrzałe i »zgniłe«, że zaledwie z trudnością udało mi się wydobyć kilka okazów możliwych do przechowania.

Z owej wyżyny centralnej poprzednio wspomnianej spływa ku morzu, t. j. ku południowi, gęsta sieć większych i mniejszych rzek i potoków. Łatwo sobie wyobrazić, jak wygląda woda tych rzek wśród takich stosunków klimatycznych. Jest ona zawsze mętna i unosi wprost olbrzymie masy namułu mineralnego oraz substancyj organicznych, przeważnie pochodzenia roślinnego. Kolor mętu i wody jest zwykle brunatny z powodu znacznej domieszki rozkładających się substancyj organicznych. Po nagłych jednak i obfitych ulewach występuje lokalnie często zabarwienie intenzywnie czerwone, pochodzące od rozmytego i spłukanego laterytu, tego specyalnie podzwrotnikowego produktu wietrzenia.

Całą tę olbrzymią masę osadów wnoszą te rzeki i potoki do morza, i tu rozpoczyna się ich akkumulacya znów w warunkach osobliwych.

Fale morskie, stale bijące ku lądowi, a więc w naszym wypadku ku północy, zatrzymują w najwyższym pasie wybrzeżnym materyały skalne grubsze i cięższe, jak żwiry i piaski wnoszone przez rzeki i odbijane od skał litoralnych, i tworzą z nich znane i równe wały wybrzeżne. Te wały wybrzeżne tamują coraz bardziej odpływ rzek do morza i powodują albo powstawanie u większych rzek często bardzo skomplikowanych delt, albo też tworzenie rozległych i płytkich lagun litoralnych, mających tylko utrudnioną komunikacyę z morzem.

Jeden taki łańcuch lagun ciągnie się od delty Nigru ku zachodowi aż poza miasto Lagos na długości przeszło 200 kilometrów.

Inny szereg lagun towarzyszy tworzącej się delcie Volty i rozciąga się wzdłuż wybrzeża na długości prawie 100 klm.

Obok wielu mniejszych występuje wreszcie największa na tem wybrzeżu serya lagun, zaczynająca sie przy zachodniej granicy Wybrzeża Złotego i sięgająca wzdłuż Wybrzeża Kości Słoniowej na długości prawie 300 klm. Laguny te obejmują ujścia rzek Tano, Bia, Komoe, Bandama i wielu innych pomniejszych.

Woda tych lagun jest już w znacznej mierze wysłodzona. Tylko tam jeszcze, dokąd dochodzi przypływ morza (różnica stanu wody między przypływem i odpływem morza dochodzi w tych stronach mniej więcej do 2 metrów) i podczas pory suchej, gdy rzeki nieco mniej wody słodkiej do morza przynoszą, zawartość soli w lagunach nieco się podnosi i dalej w górę sięga.

Brzegi tych lagun zdobywa zaraz nader bujna wegetacya, a jej dno akkumulacya rzeczna. Najbliżej morza, i tam, dokąd dochodzi jeszcze wpływ wody słonej, rozrastają się nader szybko na piaskach palmy kokosowe, a w namule mangrowy i pandany, poza granicą zaś wody morskiej niezmiernie urozmaicona wegetacya słodkowodna i lądowa.

Rzeki, jak już wyżej wspomniano, wnoszą tu mnóstwo osadu mineralnego, tworząc najpierw bezpośrednio przy ujściu, a potem i dalej rozległe mielizny piaszczyste lub błotniste, których najpierw czepiają się bujne trawy i szuwary, później małe krzaki, wreszcie wielkie drzewa, zamieniając mieliznę w moczarowatą wyspę lub przylądek, a wreszcie w ląd gęstym lasem pokryty.

Laguna, początkowo stale wodą wypełniona, z czasem staje się zarośniętym moczarem podczas suchej pory roku i napełnia się wodą tylko podczas wylewów pory deszczowej, a wreszcie, gdy nie zmienią się stosunki linii wybrzeżnej, zupełnie zniknie i zamieni się w stały ląd. Rzeki, które ją w powyższy sposób zamuliły, muszą sobie znaleźć nowy odpływ do morza i rozpoczynają nowy cykl czynności, zdążających do ponownego zdobycia dalszego obszaru na rzecz lądu.

Są to wprawdzie zjawiska znane i już nieraz opisywane, lecz mało gdzie występują one tak wybitnie we wszystkich stadyach rozwoju i na tak rozległym obszarze, jak na wybrzeżu gwinejskiem. Trzeba je na miejscu widzieć i badać, ażeby należycie ocenić ich wielką doniosłość geologiczną.

Dłuższy czas przebywałem w pobliżu małej, ale charakterystycznej laguny Domini w zachodniej części Wybrzeża Złotego między wioskami murzyńskiemi Bonyere i Bokakreh. Od północy otaczają ją pagórki do 60 mtr. wysokie, złożone w głębszej części z iłów, piaskowców i piasków zapewne młodo trzeciorzędnych (formacya naftonośna), a w wyższej z grubej pokrywy laterytowej, porośnięte gęstym lasem.

Od strony morza (południe) zamyka ją piaszczysty wał wybrzeżny.

Do laguny tej wpada kilka mniejszych rzeczek i potoków, wnoszących tam zwłaszcza podczas ulewnych deszczów znaczną ilość namułu, oraz zawsze bardzo wiele rozkładającej się substancyi organicznej. Odpływ wody do morza jest bardzo utrudniony przez ów wał wybrzeżny, a czasem nawet zupełnie zamknięty. Za czasu mego pobytu ułatwiono po części komunikacyę laguny z morzem przez przekopanie wału. Każdy przypływ morza wrzuca do laguny nieco słonej wody, która się podczas następnego odpływu znów po części wysładza. Obecnie woda laguny jest jeszcze wyraźnie słona, ale wysłodzenie jej przez dopływające potoki postępuje.

Głębokość wody w lagunie jest nader mała i chyba nigdzie nie przekracza 1 metra. W wielu miejscach jest tak płytka, że nawet bardzo lekkie i płaskie małe łodzie murzyńskie ocierają się o dno lub osiadają na mieliznach.

W stronie bliższej morza i wału brzeżnego na dnie przeważa piasek, podczas gdy dalej od morza osadza się tylko gęsty czarny namuł, wydzielający obficie siarkowodór, gniją tam bowiem liczne resztki organizmów tak zwierzęcych, jak roślinnych. Ławice pia-

szczyste bliżej morza pokrywają jeszcze liczne kolonie dużych ostryg ale już tylko skorup, ponieważ same zwierzęta już tam żyć nie mogą. W namule znajdują się także dość licznie małe skorupy ślimaków morskich (Turritelle i inne), ale zwierzęcia w nich nie znachodziłem. Są to zabytki fauny morskiej z czasu, gdy tu jeszcze była lepsza komunikacya z otwartem morzem.

Brzegi oraz liczne kępy i wysepki zarastają obficie mangrowy oraz pandany, i one to niewątpliwie dostarczają osadom największej ilości rozkładającej się substancyi organicznej.

Woda odpływająca do morza jest ciemno brunatna i cuchnąca, i jeszcze daleko na morzu widzieć można to brunatne zabarwienie, oraz gęstą żółtą pianę, roznoszoną od ujść tej i innych lagun na falach morskich i wyrzucaną znów w innych miejscach na płaskiem wybrzeżu.

Oczywiście, w innych większych lagunach, pokrywających setki i tysiące kilometrów kwadratowych, okazują się te same stosunki sedymentacyjne w znacznie większych rozmiarach.

Przypatrzmy się teraz samemu brzegowi morskiemu.

Jak wynika z przedstawienia poprzedniego, morze przy całem tem wybrzeżu jest aż do znacznej odległości bardzo płytkie. Izobata stumetrowa oddalona jest od dzisiejszego brzegu wszędzie na 50 do 100, a nawet więcej kilometrów, co daje średnie nachylenie dna morskiego przy brzegu 1—2 mtr. na kilometr. Z tego też wynika, że sama różnica poziomu wody między przypływem i odpływem morza, która, jak wyżej wspomniałem, wynosi tu około dwa metry, sprawia, że podczas odpływu morze cofa się od brzegu o kilkaset, a miejscami prawie o 2000 mtr.

Tylko w pobliżu skalistych przylądków, których jest bardzo mało, istnieją zatoki nieco głębsze, zasypywane zwolna przez grubsze żwiry i otoczyska, odbijane od skał wybrzeżnych i obrabiane przez fale morskie. Na żwirach tych porastają w niektórych miejscach (n. p. koło Axim) dość obficie gronkowate różnobarwne algi wapienne, głównie Lithotamnia.

Bardzo przeważającą część tych wybrzeży, często na 100 klm. i więcej bez zmiany, tworzą grubsze i drobniejsze piaski morskie. Te partye piaszczyste wybrzeża tworzą podczas odpływu morza najwygodniejszy szlak komunikacyjny tych okolic.

Stosownie do bliższego lub dalszego otoczenia (n. p. skał wy-

brzeżnych, ujścia rzek i t. p.) okazuje się i tutaj pewne urozmaicenie w sedymentacyi.

I tak znajdujemy n. p. w pobliżu skał piaskowcowych koło Accra i Secondi prawie tylko czysty, dość gruby piasek. Fale morskie wyrzucają tu stosunkowo tylko niezbyt wiele skorup małży i ślimaków, czasem tarcze sepii i nieco wodorostów. Skorupy w innych miejscach liczniej nagromadzone ulegają szybko rozdrobnieniu i roztarciu, tak, że lokalnie tworzy się lumachela, z okruchów tych skorup i piasku złożona.

Nieco odmiennie przedstawia się sedymentacya na wybrzeżu od ujścia Ankobry ku zachodowi do Beyin, t. j. na długości około 40 klm.

Na całej tej przestrzeni mamy brzeg bardzo płaski i bardzo prosty. Odpływ morza odsłania pas litoralny szerokości 1 klm., a miejscami i szerszy. Rzeki Ankobra, Twin river i liczne potoki pomniejsze wnoszą tu dość wiele mętu i bardzo wiele substancyi organicznej, zabarwiającej brunatno fale morskie i roznoszonej potem i wyrzucanej wraz z piaskiem i namułem wzdłuż wybrzeża.

W najwyższej części wybrzeża osadza się tu prawie czysty, drobny piasek, niżej jednak coraz więcej jest ciemnej lub prawie czarnej roztartej masy mulistej oraz mnóstwo drobnego miału roślinnego, powodujących w piasku wąskie warstewkowanie lub wstęgowanie. Podczas odpływu widzieć tu można powierzchnię na wielkich przestrzeniach pokrytą szerszemi i węższemi pręgami falistemi (ripple marks), śladami robaków, krabów i innych ryjących i pełzających organizmów. Wyrzucanych skorup ślimaków, ostryg, sercówek, przegrzebków i innych małży jest tu stosunkowo niewiele. Rzadko znajdują się tu wyrzucone gwiazdy morskie i płaskie jeżowce, częściej wielkie meduzy i holoturye, które niebawem giną i zasychają, pozostawiając na powierzchni namułu i piasku jakieś problematyczne odciski przy ponownem pokryciu przez osady, przyniesione na tę nieco obeschłą powierzchnię przez powracającą falę przypływu morskiego.

Jeszcze na jeden szczegół należy tu zwrócić uwagę.

Ujścia niektórych rzeczek do morza okazują bardzo wyraźne cechy odmładzania się, t. j. wcinają się pionowo w bardzo młode osady morskie na metr i więcej głębokości. Powstają tak małe terasy, leżące dziś ponad najwyższym poziomem morza, a jednak złożone z zupełnie poziomo warstwowanych i zupełnie świeżych

osadów (przeważnie piasków) tego samego morza i z takimi samymi szczątkami organizmów, jak dziś osadzane w najbliższem sąsiedztwie, tylko nieco niżej. Są to niewątpliwe cechy powolnego podnoszenia się wybrzeża.

Bardzo młode (czwartorzędne) podniesione terasy wybrzeżne zauważył także Chautard[1] dalej na półn. zachodzie w okolicach przylądka Zielonego (Senegal). Terasy te znajdują się tam na wysokościach około 5, 15, 25, a nawet 45 metrów nad dzisiejszym poziomem morza.

Z drugiej strony widzieliśmy poprzednio, że wiercenia, wykonane w Nigeryi i na wybrzeżach Złotem i Kości Słoniowej, przebijały do kilkuset metrów pokłady także stosunkowo młode (nie starsze od miocenu), złożone z piasków, piaskowców, zlepieńców i iłów, osadzonych niewątpliwie w takich samych warunkach, jak sedymentacya dzisiejsza tych samych wybrzeży.

Wszystko to razem dowodzi niezbicie, że już w najmłodszych okresach geologicznych, t. j. od młodszego trzeciorzędu począwszy, odbywają się w tych stronach bardzo znaczne oscylacye linii wybrzeżnej, i to tak w kierunku dodatnim, jak i ujemnym.

VI. Historya geologiczna zachodniej Gwinei.

Stara masa kontynentalna Indoafryki czyli Gondwany Suessa niewątpliwie rozciągała się bardzo daleko na zachód i południe od dzisiejszej Gwinei, tak, że występujące tam dziś skały starokrystaliczne są tylko małą, jeszcze nie zapadniętą resztą tego rozległego kontynentu.

Najbliższą wiekiem formacyą są na wybrzeżu wapienie górnokredowe z okolic Beyin oraz z Eboindy. Są to, jak widzieliśmy wyżej, wapienie oraz margle i iły z fauną czysto morską o charakterze wyraźnym kredy indyjskiej.

Obecność tych utworów kredowych dowodzi, że zapadnięcie zatoki gwinejskiej musiało nastąpić albo w czasie przedkredowym, albo z początkiem tego okresu, charakter zaś indyjski znalezionej tu fauny kredowej wskazuje na związek morza górno-kredowego Gwinei z wielką i rozległą transgresyą kredową indo-medyterrańską.

[1] Jean Chautard, La faune de quelques plages soulevées des côtes du Sénégal et de la Mauritanie. Bull. Soc. géol. de France, IV, Sér. T. IX, 1909, p. 392—394.

W okresie trzeciorzędnym, i to prawdopodobnie dopiero w jego późniejszej części (miocen-pliocen) rozpoczyna się przy tem wybrzeżu sedymentacya płaskiego wybrzeża z częstemi oscylacyami, z tworzeniem delt i lagun, i prawdopodobnie ponownymi zalewami morskimi.

Sedymentacya ta o charakterze wybitnie fliszowym trwa do chwili obecnej.

Powstawanie lokalne bituminów i oleju skalnego jest niewątpliwie w związku z tymi utworami fliszowymi, i jest prawdopodobnie produktem przeobrażania się powolnego i stopniowego substancyi organicznej przeważnie pochodzenia roślinnego, gromadzącej się w tych sedymentach.

Obecnie wybrzeże gwinejskie zdaje się być w stadyum stopniowego dalszego podnoszenia się.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że takie same warunki klimatyczne i sedymentacyjne, jakie dziś panują na wybrzeżu gwinejskiem, musiały panować w czasie epok kredowej i dolno trzeciorzędnej wzdłuż północnego brzegu geosynklinali alpejsko-karpackiej, gdzie powstały wtedy potężne pokłady fliszowe, z lokalnemi nagromadzeniami oleju skalnego.

Dokładniejsze opracowanie zebranych materyałów oraz niektórych poruszonych powyżej problemów zachowuję sobie do prac późniejszych.

Dodatek.

P. dr. Wojciech Rogala podaje następujące wyniki badań, wykonanych nad moim materyałem paleontologicznym, zebranym koło Beyin, Kangan, Bonyere i Bokakreh na Wybrzeżu Złotem i koło Eboindy na Wybrzeżu Kości Słoniowej:

»Poruczone mi do bliższego rozpatrzenia materyały paleontologiczne nie mogły być jeszcze wyczerpująco opracowane. Jednak kilka form, które poniżej podaję, dzięki dobremu ich zachowaniu, mogłem ściśle oznaczyć, i te świadczą dowodnie, że skały zawierające je są górnokredowego wieku — Maestrichtien.

Zbite, jasno- lub ciemno-szare, niekiedy brunatne wapienie z Kangan i Beyin, zawierające tu i ówdzie drobne wrostki pirytu lub limonitu, przepełnione są skorupami małży:

Plicatula instabilis Stol.,

Roudairia auressensis Coq.,
Cytherea Rohlfsi Quaas.,
Cardita Beaumonti d'Arch. (= C. libyca Zitt.).

Dwie ostatnie występują masowo, aczkolwiek i dwie pierwsze nie są wcale rzadkie.

Skały w Bokakreh i Bonyere różnią się od poprzednich, są to bowiem wapniste piaskowce lub iły, przepełnione również skamielinami, ale już gorzej zachowanemi. Ze skał tych, poddając je rozmarzaniu i kilkakrotnemu wygotowaniu w zwykłej wodzie, otrzymałem między innymi

Roudairia auressensis Coq.,
Cytherea Rohlfsi Quaas., ta ostatnia tworzy główną masę skamieniałości.

Z Bokakreh pochodzi również okaz takiego samego kamienia jak w Kangan i w nim znajduje się:

Plicatula instabilis Stol., obok innych, na razie nieoznaczonych gatunków.

Występujące w Eboinda utwory ze skamielinami przedstawiają piaszczyste iły, żelaziste i przepojone asfaltem. Niektóre partye są wapienne, a wtedy są zbite. Z powodu zawartości asfaltu nastręczają one wiele trudności w wydobyciu ich skamielin, zachowanych przeważnie jako ośrodki jednego tylko gatunku: *Cardita Beaumonti d'Arch.*

Nie można już obecnie zużytkować pod każdym względem znalezienia się tych form, ale świadczą one w każdym razie o analogii zawierających je utworów z równowiekowymi utworami północnej Afryki.

Szczegółowy opis paleontologiczny znalezionych przez prof. Zubera materyałów, jak i stratygraficzne wnioski z nich wysnute, będą w osobnej rozprawie pomieszczone«.

Objaśnienie illustracyi.

I. Sposób podróżowania w Gwinei za pomocą hamaku, niesionego przez czterech murzynów.

II. Część wybrzeża i fort w Axim na przylądku, złożonym ze skały diabazowej. W dali widać jeszcze kilka podobnych skalistych przylądków i raf przybrzeżnych.

III. Mangrowy (Rhizophora) zarastające lagunę Domini koło Bokakreh (Wybrzeże Złote).
IV. Pandany na brzegu laguny Domini koło Bokakreh (Wybrzeże Złote).
V. Skały czerwonego piaskowca i piaszczyste wybrzeże na zachód od Secondi (Wybrzeże Złote).
VI. Bardzo płaskie wybrzeże piaszczysto-muliste (typ fliszowy) na wschód od Beyin (Wybrzeże Złote).

Tabl. I.



Rys. 1.



Rys. 2.

Tabl. II.



Rys. 3.

Rys. 4 (w pozycyi leżącej).

Tabl. III.



Rys. 5.



Rys. 6.

OBJAWIENIE JAKO JEDNOLITY SYSTEM

napisał

Ks. JAN ŻUKOWSKI

Niniejszą pracę, wręczoną Komitetowi redakcyjnemu przez autora na krótko przed zgonem, z wyraźnie odjawionem życzeniem, żeby się ukazała w »Księdze pamiątkowej«, zamieszczamy tu, stosując się do woli Zmarłego, w całości i bez zmiany.

Komitet redakcyjny.

I.

Objawienie boże nadprzyrodzone, czyli wiara w znaczeniu przedmiotowem i służąca tejże wierze umiejętność teologii, nie są nagromadzeniem, lub zlepkiem luźnych wiadomości, ale stanowią silnie spojoną, organiczną całość, przedstawiającą jednolity system. Cóż to oznacza ten wyraz? Systemem nazywamy zestawienie większej ilości środków w ten sposób, by przez nie jakiś cel mógł być osiągnięty. Tak n. p. maszyna parowa, strzelba, zegar tworzą całość systematyczną. W porządku logicznym, czyli w dziedzinie prawdy, a zwłaszcza w umiejętności, gdzie chodzi o doskonałe poznanie jakiegoś przedmiotu, nazwiemy systemem ugrupowanie czyli układ wiadomości szczegółowych, który daje doskonałe poznanie przedmiotu. Umiejętność to nie zbiór luźnych twierdzeń, ale złączenie zewsząd zebranego materyału, dotyczącego wspólnego jakiegoś przedmiotu, w jednolitą budowę, w jeden system.

Taką jednolitą budowę tworzy Objawienie, a jeszcze bardziej służąca jego uprawie teologia. Kto zwrócił baczną uwagę na poszczególne składniki tej budowy, kto zrozumiał wzajemny ich związek i racyę ich ugrupowania, kto dopatrzył się natury ich konstrukcyi, ten z łatwością zrozumie i przyzna, że poszczególne cząstki tak się tu splatają ze sobą, tak są powiązane, iż ani jednej odrzucić nie można, nie obalając temsamem całości. Pozycye pierwsze kryją jakoby w zarodku następne, są ich źródłem, podstawą, zasadą; konkluzye dalsze aż do ostatnich opierają się na założeniach pierwszych i poprzednich, jako na swoich przesłankach. Jeżeli gdzie, to tu przedewszystkiem należy zastosować wyrażenie przysłowiowe, że kto powiedział *a*, musi powiedzieć także *b*, kto uznał jedną prawdę, powinien siłą logiki dać się pobudzić do uznania następnych, z nią jako ze swoją przyczyną związanych. I jak w łańcuchu nie wolno naruszyć żadnego ogniwa, nie naruszając tem samem dalszego ich

szeregu, tak też i we wierze, oraz służącej jej umiejętności żadnemu twierdzeniu przeczyć nie wolno bez narażenia się na niepożądane zapewne posuwanie coraz dalsze na drodze przeczenia.

W całokształcie prawd objawionych jedne przedstawiają się jako źródło i założenie drugich; stąd rozróżnienie teologii ogólnej czyli podstawowej, fundamentalnej, i teologii szczegółowej. Pierwsza zakłada fundament, na którym wznosi się gmach drugiej. Albo: przy pomocy pierwszej — jeżeli użyjemy trafnego porównania z gmachem wspaniałym — przechodzień spotyka gmach przed sobą, ona wskazuje mu wejście i poucza, jak się doń dostać; specyalna zaś teologia oprowadza po wnętrzu i pokazuje poszczególne apartamenty.

Dobrze powiedział gdzieś Kraszewski, że »wiara jest jak sklepienie, które, jeżeli zeń cegiełkę wyjmiesz, runie wszystko«. Wiara jest jak dzwon, który choć w jednym punkcie zarysowany, głos ma rozbity; jak system planetarny, w którego prawach, normujących odległości, kierunek i chyżość, nic zmienić nie można.

Wyrazem zewnętrznym tej jedności, to ów formularz wiary, zwany symbolem czyli składem apostolskim, składający się z dwunastu cząstek czyli artykułów. Wyraz symbol już etymologicznie oznacza coś zebranego, zestawionego, złożonego; artykuł zaś oznacza cząstkę, wchodzącą w skład całości organicznej, n. p. części palca, mowy zowiemy artykułami, a według św. Tomasza oznacza ten wyraz »cooptationem partium distinctarum« (Summa theol. 2, 2 q. 1, a. 6). Dwanaście części składu apostolskiego tworzy całość, zjednoczoną w wyznaniu Boga, Ojca wszechmogącego i Syna Jego jedynego, i Ducha świętego. Każda cząstka jest jak nasienie, kryjące w zarodku wielokształtny organizm, jest jak kłos pełny ziarna karmiącego duszę, jest ogniskiem, w którem się schodzą promienie oświecających umysł prawd szczegółowych. Skład wiary, to najkrótsze jej kompendyum, to wiara skondenzowana, i dla tego to do dziś dnia stanowi on tło wykładu nauki chrześcijańskiej, substrat komentarzy katechizmowych.

Zapewne, że każda umiejętność jest, a przynajmniej powinna być systemem, bo bez przymiotu systematyczności nie mogłaby mieć pretensyi do nazwy prawdziwej umiejętności; ale z wyjątkiem matematyki i filozofii nie posiadają inne umiejętności tego przymiotu w takim stopniu, jak nauka Objawienia, systematyczność nie rozciąga się tam na wszystkie szczegóły, w objawieniu zaś wszystkie elementy przenikają się wzajemnie, zlewają się ze sobą

i tworzą budowę, która w konsekwencyi, sile, jedności, przewyższa wszystko, cokolwiek było przedmiotem uprawy ze strony ducha. Jeżeli zresztą i inne umiejętności w tym punkcie do wiary są podobne, to wynika stąd tylko, że także w ich obrębie naruszenie części grozi całości, że niekonsekwencya mści się srodze i wiedzie umysł tam, dokąd on z początku wcale nie zmierzał. Nad tem właśnie chcemy w niniejszym szkicu odnośnie do objawienia się zastanowić.

Mając mianowicie przed oczyma wymieniony charakter wiary — później będziemy mówili o umiejętności wiary czyli o teologii — otrzymujemy ogólny, zwięzły dowód jej prawdziwości, rozciągającej się na wszystkie części, któremu to dowodowi możemy nadać następującą formę: Chrystyanizm (łącznie z prawdami religii naturalnej, czyli przez sam rozum poznanej, która w części logicznie go poprzedza, w części w skład jego wchodzi), tworzy jednolitą całość, tak silnie spojoną, że zaprzeczenie choć jednej istotnej cząstce tej całości wiedzie z nieubłaganą konsekwencyą do negacyi wszelkiej religii, wszelkiej etyki, porządku i prawa. Na taki atoli wynik nikt się zgodzić nie może, chyba najskrajniejszy wywrotowiec. A zatem należy ową całość bez jakichkolwiek zastrzeżeń przyjąć za prawdę.

Celem uzasadnienia przesłanki pierwszej tego syllogizmu weźmy najpierw ogólnie na uwagę jakikolwiek dziś zwalczany szczegół wiary. Oto n. p. ktoś nie uznaje konieczności spowiedzi. Chcąc być konsekwentnym, powinien on zaprzeczyć po kolei następującym twierdzeniom: nieomylności nauki Kościoła i Chrystusa, boskiemu pochodzeniu chrystyanizmu, Opatrzności bożej, istnieniu Boga, istnieniu prawa i obowiązku. Albo inny przeczy możliwości cudu; konsekwentnie musi zwątpić o możliwości pewnego poznania Objawienia bożego, musi zwątpić o całej jego treści i t. d. Między możliwością znów proroctwa, a istnieniem Boga, zachodzi taka łączność, że Augustyn nie waha się twierdzić: »Confiteri esse Deum et negare praescium futurorum, apertissima insania est«. (De Civ. Dei l. 5 c. 9), a już Cicero mówił: »Ista reciprocantur, ut si divinatis sit et dii sint, si Dei sint, sit et divinatis«. (De divinat. I, 5). Inny znowu wzbrania się uznać boskie ustanowienie hierarchii kościelnej, albo nieomylność papieską; będzie to punktem wyjścia całego szeregu coraz dalszych, coraz ogólniejszych przeczeń. Inny, zgorszony, i to słusznie, jakimś niecnym postępkiem członka zgromadzenia zakonnego, nastaje na stan zakonnej doskonałości w ogóle, popełniając oczywiście w tem

uogólnianiu przeskok sofistyczny; chcąc być konsekwentnym, nie może on uznać nieomylności Kościoła, potwierdzającego zakony jako środek do osiągnięcia doskonałości, ani nie może uznać nieomylności Chrystusa, który sam podał to, co stanowi istotną treść życia zakonnego, to jest tak zwane trzy rady ewangeliczne, upada zatem w dalszym ciągu i prawdziwość chrystyanizmu, upada przekonanie o świętości bożej, z którą się nie zgadza dopuszczenie tak szeroko rozgałęzionego błędu, jakim w tem przypuszczeniu byłaby wiara; upada Opatrzność, pozbawiająca ludzi możliwości poznania prawdy i woli bożej; stąd krok tylko do zwątpienia o istnieniu Boga, o istnieniu autorytetu czy to bożego, czy ludzkiego, o istnieniu obowiązku i prawa.

Przypatrzmy się jednak rzeczy dokładniej. Uwydatniając wzajemną łączność między częściami, z jakich się budowa wiary składa, nie mamy na myśli tak zwanych opinii teologicznych, czyli zapatrywań teologów na kwestye, z Objawieniem w bliższym lub dalszym związku będących, więcej lub mniej prawdopodobnych; chodzi nam raczej o prawdy objawione, lub z objawieniem w ścisłym i niewątpliwym związku pozostające, o prawdy, w których katolikowi wątpić nie wolno. Otóż prawdy, te dadzą się zestawić w szeregu, który nazywa się łańcusznikiem, »wnioskiem łańcuchowym« (Kremer, Początki logiki, Kraków 1876 str. 175), po łacinie »sorites«, gdzie zawarty jest szereg zdań tak ze sobą powiązanych, iż jedno pojęcie pierwszego staje się materyą wszystkiego, tak że przez cały szereg pojęć pośrednich dochodzi się do ostatecznej konkluzyi. Łańcusznik da się też rozwinąć na cały szereg syllogizmów, tak że wniosek poprzedzającego staje się przesłanką następnego; złożone w ten sposób z kilku syllogizmów wnioskowanie nazywa Kremer »łańcuchem wniosków«, ogólnie zowią je polisyllogizmem; sorites zatem jest tylko jego formą skróconą. Przykłady rzecz tę zaraz objaśnią.

Otóż zgodnie z warunkami logiki można celem unaocznienia konsekwencyi prawd wiary, oraz ich antytezy, sporządzić z nich szeregi niedługie, przejrzyste, a dla umysłu bardzo cenne. Można przytem użyć formy kategorycznej, czyli orzekającej, albo warunkującej, albo też tak zwanego epicherematu, gdzie się do przesłanek dołącza dowód w formie skróconej. Objaśnimy rzecz przykładem. Forma łańcusznika będzie kategoryczna, gdy powiem: ułomność człowieka sprawia mu trudności w poznaniu prawdy religijnej, w dążeniu woli; ułomny potrzebuje pomocy, pomocy zaś tu wymaganej

człowiek nie znajduje w obrębie natury; potrzeba zatem człowiekowi pomocy bożej, a że tą pomocą w obecnym porządku jest łaska, więc potrzeba człowiekowi łaski oświecającej rozum, pobudzającej wolę; środkiem do nabycia łaski są sakramenty, modlitwa i t. d. Użyję formy warunkowej, jeżeli powiem: gdyby kary piekła nie były wieczne, nie miałoby prawo moralne dostatecznej sankcyi; w takim jednak razie nie byłoby skutecznego hamulca przeciw występkom, więc i t. d. Jeżeli wreszcie wnioskuję: rzecz, posiadająca wewnętrzną od ciała niezależność, nie ginie razem z ciałem, bo w swem bytowaniu i działaniu od materyi nie zawisła; dusza zaś ludzka jest niezależną od ciała, bo w czynnościach swych wznosi się ponad materyę, a z natury czynności wnosić należy o naturze samego ich pierwiastka; a zatem dusza nie niszczeje i t. d. Nie chcąc jednak nużyć czytelnika, niesympatyzującego może z ścisłą formą syllogistyczną, chociaż posiada ona cenne zalety, gdyż uczy zachowania w myśleniu i mówieniu ładu, jasności, zwięzłości, pozostaniemy przy formie swobodniejszej.

a) Nieuznając którejś z prawd wiary, zaprzecza się przedewszystkiem nieomylności Kościoła, który jest normą czyli prawidłem wierzenia, on nas bowiem upewnia o tem, co się zawiera w treści Objawienia. Tem samem jednak otwiera się drogę do zwątpienia o fakcie objawienia każdego szczegółu tej treści. Nie można nieomylności Kościoła bezkarnie naruszyć, trzeba albo całą przyjąć, albo całą odrzucić, własnowolnych zastrzeżeń tu nie ma, bo jeżeli się nam podoba coś odrzucić rzekomo dla tego, że się Kościół w tym wypadku pomylił, to gdzież znajdziemy nieomylną normę, według której możliwem byłoby odróżnić to, w czem się Kościół nie myli, od tego, co może być przezeń błędnie podane. Ma się tu rzecz podobnie, jak z powagą prawa. »Ktobykolwiek zachował wszystek zakon, a w jednymby upadł, stał się winien wszystkiego. Bo który rzekł: Nie cudzołóż, rzekłci też: Nie zabijaj«. (Jak. 2, 10, 11). Za każdem przykazaniem stoi powaga tego samego prawodawcy, gwałcąc więc choćby jedno tylko, tem samem lekceważy się powagę prawodawcy odnośnie do wszystkich innych. Podobnie jak na przykazaniu miłości »wszystek zakon zawisł« (Mat. 22, 40), jak »wszystek zakon w jednej się mowie wypełnia: Będziesz miłował« (Gal. 5, 14), »miłość bliźniego złego nie czyni. Wypełnienie tedy zakonu jest miłość« (Rzym 13, 10), tak na nieomylności cały zawisł przedmiot Objawienia. Dowodem faktycznym: rozkład w obecnym protestan-

tyzmie, zrodzonym z subjektywizmu, odrzucającego nauczycielski autorytet Kościoła.

b) Ma jednak błąd swoją konsekwencyę, jak ją ma prawda. Nie uznając nieomylności w Kościele, nie można równocześnie uznawać bezbłędności i natchnienia Pisma św., ono bowiem najwyraźniej podaje, że wierna straż całego Objawienia i wykład jego powierzono Kościołowi, »filarowi i utwierdzeniu prawdy« (1 Tym. 3, 15). I nie tylko narusza się przez to te lub owe miejsca Pisma św., ale podkopuje się jego powagę w całej rozciągłości; na dowolny wybór (αἱρέσεις) nie ma tu miejsca choćby z tego względu, że wobec braku normy, którąby pozwoliła na pewno odróżnić teksty błędne od bezbłędnych, natchnione od nienatchnionych, powaga całego Pisma świętego byłaby naruszoną. Ponadto jeżeli nie ma w Kościele nieomylnej straży Objawienia, zwątpić należałoby o mądrości, przezorności i mocy Chrystusa Pana, którego dzieło byłoby wtedy czemś niezupełnem, celu by nie osiągło. Bo jak stworzenie świata byłoby dziełem niezupełnem i nie ostałoby się, gdyby Bóg świata także nie utrzymywał i nim nie rządził, tak i Objawienie domaga się koniecznie jakiegoś środka, którvby je dla wszystkich pokoleń zachował, jego jedności ustrzegł, trwałość mu zapewnił; na to bowiem było dane. Tym środkiem nie jest, względnie nie może być nic innego, jak tylko urząd nauczycielski nieomylny.

c) Stąd posuńmy się o krok dalej. Powagę i natchnienie Pisma św. uznaje sam Chrystus. Zwątpiwszy w Pismo św., czy można konsekwentnie uznać nadludzką mądrość, wszechwiedzę, bóstwo Chrystusa? A także czy można, odrzuciwszy Pismo św., uznać jakiekolwiek inne dokumenty historyczne i na nich się opierającą historyę? Tak zapytuje św. Augustyn: »Quae umquam litterae ullum habebunt pondus auctoritatis, si evangelicae, si apostolicae non habebunt? De quo libro certum erit, cuius sit, si litterae, quas apostolorum dicit et tenet Ecclesia ab ipsis apostolis propagata et per omnes gentes tanta eminentia declarata, utrum apostolorum sint, incertum est?« (Contra Faustum l. 33 c. 6.), a gdzieindziej (De morib. Eccl. l. 1 c. 29 n. 60) tenże z oburzeniem woła: »Consequetur namque omnium litterarum summa perversis et omnium, qui memoriae mandati sunt, librorum abolitio, si quod tanta populorum religione roboratum est, tanta hominum et temporum consensione firmatum, in hanc dubitationem adducitur«.

d) Z bóstwem Chrystusa upada naturalne boskie pochodzenie

i prawdziwość objawienia chrześcijańskiego; a jeżeli nie ma Objawienia, to

e) nie ma i Opatrzności bożej. Tyle bowiem wieków wiara chrześcijańska istnieje, tyle pokoleń uważało ją za skarb najdroższy, w niej pokładało swoje nadzieje i do jej wymagań stosowało swe życie, sześćset milionów chrześcijan obecnie ją wyznaje; jeżeli ta wiara jest błędem, to czyż można mówić jeszcze o czuwającej nad ludzkością Opatrzności? Nie troszczy się chyba Bóg o losy ludzkości, jeżeli na tak zwycięski pochód błędu zezwala. Gdyby religia chrześcijańska nie była od Boga objawioną, to wynikałoby stąd dalej, że Bóg pozostawił ludzi bez pomocy w sprawie najważniejszej. Bo taka już jest nędza ludzkości, że bez pomocy Bożej na dostateczne, bezbłędne i pewne poznanie prawdy religijnej, o własnych siłach zdobyć się nie mogła. Jakaś zatem pomoc boża pod tym względem była moralnie konieczną; stwarzając człowieka z ową stworzoną mu nieudolnością, zobowiązał się Bóg niejako do wspierania go swoją ingerencyą i tego wsparcia nie mógł mu odmówić, jak nie mógł stworzyć go bez dostarczenia mu powietrza i pożywienia. Pomoc ta i ingerencya boża mogła być rozmaita, badania zaś historyczno-krytyczne ukazują nam ją konkretnie w Objawieniu. Jeśli jednak kto Objawienia nie uznaje, musi zgodzić się na stwierdzenie, że Opatrzność odmówiła człowiekowi środków niezbędnych do osiągnięcia jego celu, czyli że Opatrzność nie istnieje.

f) Na tym punkcie jednak zatrzymać się nie wolno, stanowisko to byłoby połowiczne i niekonsekwentne. Jeżeli Bóg istnieje i jeżeli On człowieka stworzył, to musiał mu umożliwić i ułatwić poznanie siebie jako celu człowieka. Bo kto pożąda celu, ten musi użyć środków doń prowadzących; jeżeli więc Bóg istnieje, to musiał dać się poznać, kto zatem utrzymuje, że w poznaniu Boga jesteśmy w błędzie, a utrzymuje to ten, kto nie uznaje Objawienia Chrystusowego, ten musi jednocześnie zaprzeczyć istnieniu Stwórcy i Boga. Wniosek ten wyprowadza Laktancyusz, mówiąc: »Qui providentiam sustulit, etiam Deum negavit esse« (L. de ira D. c. 9). Gdyby bowiem Bóg istniał, dobroć Jego musiałaby Go skłonić do zajęcia się człowiekiem, mądrość poddałaby sposoby, wszechmoc przezwyciężyłaby wszelkie trudności. Z zaprzeczenia Opatrzności wynika konieczność nieuznania choć jednego z tych przymiotów bożych, a więc Boga samego.

g) Sam ateizm jest jeszcze stanowiskiem połowicznem i tylko

umysł powierzchowny nie potrafi wyciągnąć stąd wszystkich konsekwencyi. Pomijamy już to, że, jeżeli nie istnieje Bóg, dobro nieskończone, wtedy życie nie ma żadnego sensu wobec braku widoków szczęścia prawdziwego i trwałego. Niemniej zgubną konsekwencyą będzie usunięcie różnicy między dobrem i złem moralnem, cnotą i występkiem, prawem i obowiązkiem. Porządek etyczny, na tych pojęciach oparty, domaga się bowiem koniecznie normy moralności, a ponieważ jest absolutnym, niezmiennym, koniecznym, więc i norma jego taką być musi; poza Bogiem zaś jej nie ma. Wszelkie prawo natury nie ostoi się w swej niezaprzeczonej niezmienności, odwieczności, absolutnej konieczności, jeżeli usuniemy takiegoż prawodawcę jako jego przyczynę sprawczą. Porządek etyczny domaga się sankcyi; tylko Bóg, który wie o wszystkich dobrych i złych czynach, sprawiedliwie zdoła je ocenić i ma możność zapłaty za nie, on jeden może być dostateczną sankcyą.

h) Bądźmy jednak nadal konsekwentni. Oto widzimy, że istnieje porządek prawny w rodzinie, w różnych związkach ludzkich, w społeczeństwie i państwie. Na każdy porządek prawny składają się wzajemne obowiązki i prawa. Bez obowiązku zaś nie ma prawa, bo tylko wtedy mam prawo do własności, czci, zdrowia, życia, jeżeli wszyscy inni mają obowiązek nienaruszenia tego swego prawa. Widzieliśmy jednak, że bez Boga nie ma mowy o prawdziwym obowiązku; a zatem ustaje i wszelkie prawo.

Jeżeli więc przekonanie o istnieniu Boga jest urojeniem, ustaje wszelka władza boska i ludzka; zrzucić ją, to będzie tylko wyciągnięciem koniecznego wniosku z owego założenia, bo bez Boga nie może być mowy o jakiejkolwiek władzy, czyli o prawie rozkazywania, któremu to prawu odpowiada ścisły obowiązek posłuszeństwa. Nie można uważać państwa za ostateczne i najwyższe źródło prawa. Przypuśćmy bowiem, że sprytne jednostki, przeprowadziwszy, przy pomocy korupcyi, wybory, lub też w inny sposób zdobywszy większość w ciałach prawodawczych, uchwaliły prawa przeciwne przekonaniom, woli i dobru ogółu. Nikt przecież nie uzna takiego prawa za sprawiedliwe i słuszne. Więc nie jest wola państwa jedynem, właściwem źródłem prawa. Czy może uciekniemy się, celem rozstrzygnięcia sporu o słuszność prawa, do ogólnego poczucia słuszności, jako do normy wyższej, do ostatniego źródła prawa? Ależ i tu ta sama kolizya interesów jest możliwą i zdarzyć się może absurd, że coś będzie sprawiedliwem, bo odpowiada

przeświadczeniu jednych, a równocześnie będzie niesprawiedliwem, bo uważane za krzyczącą niesprawiedliwość przez drugich.

Kto przypuszcza, że jestem obowiązany stosować się do woli państwa lub do ogólnego przeświadczenia ludu, powinien wytłómaczyć, kto zobowiązuje mię do tego posłuszeństwa. Czy może państwo? Ależ i państwo musi wylegitymować swoją kompetencyę do rozkazywania mi; sam nakaz tego nie uskuteczni, bo zanim państwo wydaje pierwszy nakaz, już poddani mają obowiązek słuchania go i muszą być z góry przeświadczeni o tym swym obowiązku. Może wybrniemy z trudności, odwołując się do zdrowego rozsądku, nakazującego postępować rozumnie? Wtedy wraca pytanie, dla czego muszę postępować rozumnie, i dla czego nie mógłbym czasem postąpić nierozumnie, skoro mi się tak podoba? Może dla tego, że rozum człowieka jest sam dla siebie prawem, sam siebie zobowiązuje, i to w sposób kategoryczny, nakazujący? Ale jakiem prawem mój rozum może mnie ściśle zobowiązać, dla czego muszę się wbrew woli stosować do jakiegoś, od rozumu pochodzącego, niewytłómaczonego przymusu, to będzie zagadką nierozwiązaną.

Nie można też za ostatnie źródło prawa uważać jakiejś umowy, na mocy której tworzono niegdyś państwo, przy której to umowie każdy członek przelał swą część władzy na państwo. Bo wychodząc z ateistycznego punktu, pierwsi założyciele państwa nie mogli oddać władzy nad sobą, to znaczy zobowiązać się do posłuszeństwa, bo takiem samem prawem, jakiem posłuszeństwo obiecali, mogą obietnicę cofnąć, skoro tego zechcą. Tem mniej mogli drugimi, czyli przyszłemi pokoleniami rozporządzać, narzucając im obowiązek względem utworzonego przez siebie państwa; bo jeżeli stoimy na stanowisku ateistycznem, musimy uznać, że każdy jest panem dla siebie, może więc robić, co mu się podoba; wzgląd na dobro państwa lub ogółu może mną powodować, ale nie zobowiąże mię do przedkładania go nad dobro własne. A zatem »nie masz zwierzchności, jedno od Boga« (Rzym 13, 1), nie jest więc konsekwentnym, kto przeczy istnieniu Boga, a mówi jeszcze o władzy i obowiązku sumienia.

i) Konsekwentnym będzie raczej skrajny socyalizm, który przez usta swych wodzów odrzuca wszelką władzę zarówno boską i ludzką.

k) Ale i ideał socyalistyczny nie może być jeszcze ostatnią przystanią konsekwentnie przeczącego umysłu. I tu bowiem powstaje pytanie o władzy w przyszłem państwie, bez której przecież ideał socyalistyczny, a więc celowa organizacya produkcyi i sprawiedliwy

podział zysków, urzeczywistnić się nie da. Nie dokona tego powaga dobrowolnie obrana, bo w razie różnicy zdań nikt nie jest w stanie przekonać mniejszości o obowiązku poddania się większości. Przyznają też socyaliści, że przynajmniej z początku będzie potrzebna dla zmuszenia opornych do nowego porządku bezwzględna dyktatura. Ale wtedy mielibyśmy znowu władzę, i to w najostrzejszej formie. Pokazuje się więc, że daleko logiczniejszym będzie anarchizm, w którym absolutna autonomia jednostki jest aż do ostatnich konsekwencyi przeprowadzona: człowiek jest sam sobie panem, nikt nie ma prawa pociągać go do odpowiedzialności, dobro i zło nie ma dlań żadnego znaczenia, może on iść za swymi popędami, jak mu się podoba.

Pochód ten umysłu, co zwątpił o istnieniu Boga, przedstawił jasno w szkicu, wziętym z życia, W. Cathrein: »Durch Atheismus zum Anarchismus, Ein lehrreiches Bild aus dem Universitätsleben der Gegenwart« (Freiburg, Herder; w tłóm. polsk. »Dlaczego stałem się anarchistą?« Warszawa 1909, Szczepkowski). W historyi zaś znaleść można niejeden przykład skrajnej anarchii, w której znalazło się społeczeństwo, jeśli w niem poczęła zanikać religia; historya stwierdza, że tam, gdzie burzą ołtarze i krzyże, traci koronę władza. Bo wpływ bezbożności podobny do najsroższej zarazy, co niczem nie powstrzymywana, coraz dalej posuwa dzieło zniszczenia.

Możnaby jeszcze ten destrukcyjny wpływ śledzić w kierunku poznania, uwydatniając związek, jaki zachodzi między prawdą w ogóle, a Bogiem. Istnieją prawdy konieczne, odwieczne, niezmienne, prawdy, których twórcą i źródłem nie jest nasze poznanie, lecz tylko ich narzędziem, prawdy, które wywierają wpływ bezwzględny na nasz umysł, są mu normą myślenia, do której stosować się bezwarunkowo musi. Źródłem więc prawdy może być tylko umysł, równie jak ona odwieczny, i takiż byt, co jej jest pierwowzorem. Odrzucając więc Boga, nie jesteśmy w stanie wytłómaczyć istnienia prawdy objektywnej, o wszystkiem zwątpić wolno, sceptycyzm będzie ostatniem ogniwem w tym szeregu negacyj.

Oto burzenie gruntowne, przeprowadzone konsekwentnie aż do samych najgłębszych podstaw myślenia i bytu!

Jeżeli zechcemy posuwać się drogą odwrotną, otrzymamy inny szereg, równie przejrzyście ujawniający ową systematyczność, o której tu mówimy. Wybierajac niektóre tylko, ważniejsze człony z tego szeregu, możemy wnioskować w następujący sposób: Życie

ludzkie byłoby nieznośnem i wręcz niemożliwem bez prawnego porządku, a nie miałoby sensu bez możliwości szczęścia trwałego. Istnieje zatem Bóg, najwyższy prawodawca i dobro nieskończone. Jeżeli Bóg istnieje, to musiał nadać możliwość poznania prawdy, bo bez tej możliwości stworzyć nas nie mógł. Możliwość ta musi odnosić się w pierwszym rzędzie do prawdy religijnej, jako tej, od której osiągnięcie celu ostatecznego zależy; tu przedewszystkiem Bóg nie mógł pozostawić człowieka bez pomocy. A że w przyrodzonych siłach swego umysłu człowiek nie posiada możliwości łatwego, pewnego i bezbłędnego poznania prawd religijnych i obyczajowych, więc z góry przypuścić należy, że Bóg mu inny na to środek przygotował. Takiego środka nie widać poza Objawieniem, które w wieloraki sposób znamionuje swe boskie pochodzenie. Mogło Objawienie być dane stopniowo, i rzeczywiście »rozmaicie i wielą sposobów mówiwszy dawno Bóg ojcom przez proroki, na ostatek mówił do nas przez Syna« (Żyd 1, 1, 2), ale jedno tylko prawdziwe Objawienie jest możliwe, bo twierdzenie przeciwne i sprzeczne, n. p. monoteizm i politeizm, nie mogą od jednego i tego samego Boga pochodzić. Punktem kulminacyjnym tego Objawienia jest wcielenie Syna Bożego i Jego dzieło. Doświadczenie dalej uczy, że nie dostaje się nauka Chrystusa do wiadomiści każdej jednostki przez bezpośrednio jej dane Objawienie, a zatem musiał je Chrystus złożyć w jakichś źródłach. Nie jest takiem źródłem samo Pismo św., choćby dla tego tylko, że, będąc księgą martwą, domaga się tłómacza, tak jak w państwie obok kodeksu praw istnieją trybunały sędziowskie. Takim tłómaczem jest Kościół katolicki, względnie nadany mu obok szafarstwa środków zbawienia i rządów nad wiernymi urząd nauczycielski. W wykonywaniu tego urzędu Kościół mylić się nie może, bo w takim razie Chrystus nie osiągnąłby przezeń tego celu, który zamierzał, to jest ustrzeżenia depozytu swej prawdy dla jak najdalszych pokoleń. Z tego powodu musi też nieomylność rozciągać się na straż i wykład wszelkich prawd objawionych i z niemi w związku zostających, bez żadnego wyjątku. Tak dochodzimy do affirmacyi wszystkich prawd wiary i obyczajów, życia religijnego i kościelnego.

Powyższe szeregi można było tu tylko z lekka naszkicować, bo wszechstronne ich rozpatrywanie i ujęcie wszystkich wiążących je nici wymagałoby tomów, i jest właśnie przedmiotem rozmaitych gałęzi umiejętności teologicznych i filozoficznych. Teolog powinien w tem poznaniu być biegłym, ale i nieteolog może się w niem wpra-

wić, a w miarę swej inteligencyi oraz narażenia na wątpliwości przeciwko wierze ma także obowiązek starania się o to.

Z łańcucha, który rozwinęliśmy, widać naocznie, że wszystkie formy pośrednie między wiarą zupełną a najskrajniejszem wątpieniem są niekonsekwentne, bo zatrzymują się w połowie drogi, tak w kierunku twierdzenia, jakoteż i w kierunku przeczenia, co może być wygodnem, ale nie jest logicznem; są więc wszystkie fałszywe. Prawdą może być tylko albo całość, albo konsekwentnie aż do najdalszych granic posunięte odrzucenie. Widzimy też stąd, że ma się tu rzecz podobnie, jak we filozofii odnośnie do pierwszych pewników, gdzie błąd popełniony (πρῶτον ψεῦδος) podobny jest do zatrutego źródła, z którego jad rozszerza się na wszystkie odpływy; słusznie też powiada Arystoteles: τὸ ἐν ἀρχῇ μικρον ἐν τῇ τελευτῇ γίνεται παμμέγεθες (Περὶ οὐρανοῦ I, 5), czyli że błąd na pozór nieznaczny, popełniony w założeniu badania, rośnie stopniowo do coraz większych rozmiarów.

Stąd dalej widać, że aby dowód, który tu rozwijamy, całą swą siłę na umysł wywarł i do niego potężnie przemówił, trzebaby koniecznie »intus legere« czyli »intelligere«, trzebaby rozumieć dobrze całą tę spójnię, zachodzącą między poszczególnemi prawdami, wznosząc się albo od ostatecznych podstaw do najdalszych konkluzyj (synteza), albo też lepiej, idąc drogą odwrotną od jakiegokolwiek twierdzenia względnie przeczenia symbolu katolickiego aż do ostatecznych zasad (analiza). Pierwszą drogę przebyli na dłuższą lub krótszą przestrzeń konwertyci, drugą drogę unaoczniają apostazye. Znając zaś upór, z jakim umysł trwa przy raz powziętych mniemaniach, można wobec braku widoków na wiarę zupełną za szczęście to uważać, że w odstępstwie od wiary przeważnie nie śledzi się tych konsekwencyi, bo tak staje się rzeczą możliwą, że ktoś w dobrej wierze trwa w błędzie, nie przedstawiającym mu się tak bardzo rażąco, oraz że choć w części uratuje okruchy prawdy, tak potrzebne dla spełnienia zadań życiowych.

Nasuwa się tu przecież zarzut, że takie liczne masy ludzi nie widzą niekonsekwencyi swego błędu, więc chyba te niekonsekwencye nie istnieją? Tyle herezyi, wieloraka schizma, czyż to wszystko ślepotą dotknięte? Najlepszą na ten zarzut odpowiedź daje czas i dokonywująca się w nim ewolucya wierzeń ludzkich. Czas to bowiem powoli wiedzie do konsekwencyi: widzimy, że w takich pośrednich błędach idą najpierw jednostki przez nawrócenia ku wyżynom wiary, a przez coraz dalszą apostazyę do nihilizmu; to samo zaś

dokonuje się powoli ze społecznościami religijnemi, już dziś bowiem dość widoczną jest rzeczą, ze w przyszłości staną do walki ze sobą tylko dwa obozy: katolicyzm i zupełne bankructwo, anarchia.

W drugiej przesłance dowodu, postawionego na czele tego przedstawienia rzeczy twierdziliśmy, że na wynik, do którego wykazana konsekwencya przeczenia prawd religijnych dochodzi, nikt się zgodzić nie może, chyba najskrajniejszy wywrotowiec. Twierdzenie to tak oczywiste, że się bez dowodu obyć może. Bo też istotnie zgodzenie się na taki wynik wiedzie do niesłychanych konsekwencyj: nie mam żadnych obowiązków względem kogokolwiek, względem ojczyzny, państwa, rodziny, bliźnich; ale też nie mam żadnych praw, nie mam prawa własności, zdrowia, dobrego imienia, życia, bo pojęcie prawa i obowiązku, to pojęcie współwzględne, czyli skojarzone parą jako członki tej samej religii, tak że jedno bez drugiego nie da się pomyśleć. Wszystko wobec tego mnie wolno, wszystkim też wszystko wolno względem mnie!

Zmuszeni do cofnięcia się od przepastnej otchłani błędu, zwracamy się ku pogodnym wyżynom prawdy i dochodzimy do następującego wniosku: całokształt religii Chrystusowej, tak jak ją podaje Kościół katolicki, jest prawdziwy. »I będzie w ostateczne dni przygotowana góra domu Pańskiego na wierzchu gór i wywyższy się nad pagórki, a popłyną do niej wszyscy narodowie. Pójdą też wiele ludzi i rzekną: Chodźcie, a wstąpmy na górę Pańską i do domu Boga Jakubowego, a nauczy nas dróg swoich i będziemy chodzić ścieżkami jego, bo z Syonu wynijdzie zakon, a słowo Pańskie z Jeruzalem«. (Izaj. 2, 2, 3: por. rozdz. 60). Religia Chrystusowa, o ile jest inkorporowaną w Kościele katolickim, stanowi całość silnie spojoną, organizm logiczny. Dlatego określano zawsze, jak to już czyni Pismo św., Objawienie jako jedną i niepodzielną całość, jako prawdę, ἡ ἀλήθεια, τὸ εὐαγγέλιον. I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi«. (Jan. 8, 32). Bóg chce, »aby wszyscy ludzie byli zbawieni i przyszli ku uznaniu prawdy« (1 Tym. 2, 4), Kościół zaś »Boga żywego, filar i utwierdzenie prawdy« (ib. 3, 15).

Pogląd, ukazujący Objawienie jako jednolity system, zawiera w sobie doniosłe korzyści. Tak n. p. w walkach wewnętrznych, kiedy to rozum, powodowany namiętnością, żąda wyswobodzenia od krępujących swawolę więzów etycznych, i jak dziki zwierz w klatce szuka rozmaitych możliwych dróg, by zrzucić z siebie znienawidzone pęta, zagłuszyć sumienie, obronić się przed jego forum od dotkli-

wego zarzutu winy, wtedy zwrócenie uwagi na to, dokąd poddanie się wątpliwościom zaprowadzić może, będzie zbawczym hamulcem. W wątpliwościach i dysputach, czy to z samym sobą, czy z drugimi, przedstawia naszkicowany przez nas dowód broń pośrednią wprawdzie, lecz bardzo silną, bo jest na każdy zarzut odpowiedzię przynajmniej uboczną.

Ale na jedno głównie nacisk kładziemy. Oto ze spoistości i systematyczności wiary chrześcijańskiej wynika, że do obalenia chrystyanizmu wystarczyłoby wykazać fałszywość choćby jednego tylko istotnego punktu w jego systemie. Każdy taki dowód byłby podobny do miny założonej w miejscu trafnie obranem, której wybuch położyłby cały gmach w gruzach. Mimo to jednak, że od tylu wieków takiego dowodu szukano, mimo to, że piętrzące się stosy dzieł pełnych zarzutów spisano, nie odkryto takiej słabej strony, nie odkryto pięty Achillesowej, nie wynaleziono na ciele bohaterskiego Zygfryda takiego miejsca, w któremby mu śmiertelna rana zadaną być mogła. Systemowi prawd wiary przeciwstawiono co najwyżej hypotezy, ale takie, których logika nie dopuszcza, warunkiem bowiem prawidłowej i prawdopodobnej hypotezy jest pewna łatwość w wytłómaczeniu faktów, o które chodzi, analogia z prawdami już znanemi, a przedewszystkiem możliwość: hypoteza nie powinna zawierać wewnętrznej sprzeczności, ani też sprzeciwiać się faktom najpewniejszym. Tym warunkom nie czynią zadość hypotezy o przypadkowem powstaniu świata i jego tworów z niestworzonych atomów, o naturalnym porządku chrystyanizmu i t. p. Do dziś dnia nie uniemożliwiono wierze jej obrony; wszystkie owe długotrwałe i namiętne napaści nie usunęły żadnego dowodu, nie obaliły choćby jednej pozycyi, pole walki pozostaje ciągle takie same, olbrzym ani na krok nie ustąpił, budowy nie zachwiano. Tak zwycięską może być tylko prawda, błąd takiem powodzeniem się nie szczyci.

II.

Dotąd mówiliśmy w pierwszym rzędzie o wierze. Od wiary różni się umiejętność, zwana teologią. Już Augustyn (De Trinit. l. 14 c. 1) określił teologię jako umiejętność wiary; i słusznie, bo jej przedmiotem jest wiara czyli Objawienie boże nadprzyrodzone. Między wiarą a teologią taki zachodzi stosunek, że to, w co wierni wierzą, teologia poddaje procesowi umiejętnego badania. Czyni zaś

to w ten sposób, że dowodzi samych podstaw wiary, ustala prawdy wiary na podstawie źródeł Objawienia, pogłębia ich zrozumienie, broni od zarzutów, wyprowadza konkluzye, systematycznie porządkuje.

Jeżeli w zakres teologii wchodzi całe Objawienie, a ono, jak to poznaliśmy, jest jednolitym systemem, to i o teologii to samo powtórzyć należy. Systematyczność jednak przysługuje teologii w daleko wyższym stopniu jeszcze z wielu innych względów. Znane jest porównanie teologii, zwłaszcza jak ją uprawiała scholastyka XIII-go wieku, z gotyką; ma teologia rzeczywiście uderzające podobieństwo do wspaniałych katedr gotyckich, gdzie nad wszystkiem góruje jedna myśl, rozwijająca się systematycznie w bogatą rozmaitość.

Jedność teologii wynika z jej głównego przedmiotu, czyli z jej podmiotu, którym, jak już sama nazwa wskazuje, jest Bóg. Wskazuje na to i treść teologii, bo chociaż w zakres jej badań wchodzą i człowiek i świat cały, nie rozprawia ona o tych przedmiotach tak, jak antropologia lub kosmologia, ale z uwzględnieniem ich stosunku do Boga jako ich początku i końca. Ma także teologia jeden przedmiot formalny, czyli jeden kąt widzenia, bo bada swój przedmiot materyalny w świetle Objawienia, to jest o ile on z Objawienia poznanym być może I tak, jak różni się logika formalna od teoryi poznania tem, że jedna bada prawidłowość, druga prawdziwość myślenia, jak różni się fizyologia od patologii w tem, że pierwsza rozważa funkcye życiowe w ich stanie normalnym, druga w stanie chorobliwym, tak różni się teologia swym przedmiotem formalnym od każdej innej umiejętności, zwłaszcza od najbardziej do niej zbliżonej gałęzi nauk filozoficznych, zwanej teologią naturalną, czyli teodyceą.

Organiczna jedność uwydatnia się głównie w systemie nauk teologicznych. Jak każda umiejętność, tak i teologia, opiera się na pewnikach, to jest prawdach nie ulegających wątpliwości. Są nimi prawdy objawione, one bowiem stanowią albo punkt wyjścia, albo normę przewodnią dla badań teologicznych. Nie przyjmuje ich teologia na ślepo, bo fakt Objawienia, z którem są dane, stanowi przedmiot skrzętnego badania; także istnienie Boga i nieomylność powagi Jego, prawdy, o których wiedzieć muszę, bym mógł wierzyć, podlegają ścisłemu badaniu. Na tej podstawie wznoszą się poszczególne działy teologii. Jedne z nich są umiejętnościami pomocniczemi, inne zajmują się samem Objawieniem, tak jego częścią teoretyczną, jak praktyczną, śledzą je aż do najdalszych wyników, stosują do

praktyki życiowej. Wszystkiem kieruje jedno dążenie: wszechstronne poznanie Boga w sobie i w wszechświecie; i jak w budowie gotyckiej wszystko strzela w górę. tak też jedna myśl przenika teologię, Bóg, który będąc jej początkiem i przedmiotem, jest także jej celem.

Mówi się nieraz o zasadzie materyalnej w różnych umiejętnościach. Należy przez to rozumieć ideę centralną, albo jakieś twierdzenie fundamentalne, które zawiera i streszcza w sobie liczne albo i wszystkie konkluzye danej umiejętności. Za przykład niech służy zasada ewolucyi, umiejętnie w różnych naukach stosowana. Nie każda umiejętność da się w jednej skoncentrować idei; gdzie to jednak możliwe, tam uskutecznia się to z wielką dla poznania korzyścią, umysł bowiem nasz. żądny jedności, która mu ułatwia poznanie. chętnie taką syntezę przyjmuje. I teologia posiada taką ideę centralną. skąd znów sie ukazuje jej systematyczna jedność. Tą ideą jest pojęcie Boga. nie w ten sposób, jak to rozumie panteizm, który z idei Boga a priori wszystko wyprowadza, lecz raczej dla tego, bo z idei Bożej, nabytej z Objawienia, nabywa się lepszego poznania całego przedmiotu materyalnego teologii, poznaje go bowiem w stosunku do Boga jako początku i końca.

Zwięźle da się to wszystko, cośmy o systematycznej jedności teologii powiedzieli, wypowiedzieć w zdaniu: teologia jest to umiejętność: de Deo. a Deo, ad Deum.

Jakież wnioski nasuwa to rozpatrywanie? Podobne do tych, jakie wysnuliśmy z rozważania systematyczności wiary. W szczególności wypływa stąd poważne memento dla teologa: skoro porzuci prostą drogę, którą kroczyć nakazuje mu drogowskaz Kościoła, a zstąpi na pochyłą ścieżkę zwątpienia, nieubłagana konsekwencya sprawi, że zacznie mu się coraz bardziej usuwać grunt pod nogami, i on. który z początku wcale nie zamyślał może stanąć w opozycyi do Kościoła, łatwo znajdzie się w jednym szeregu z otwartymi jego wrogami. Historya dogmatów. herezyi i Kościoła w ogóle stwierdziła ten smutny fakt niejednym przykładem. Najnowszym zaś, to przykład modernizmu, o którego zwolennikach pisze Pius X, że »securim non ad ramos surculosque ponunt, se ad radicem ipsam, fidem nimirum fideique fibras ultissimas. Ista autem radice hac immortalitatis, virus per omnem arborem sic propagare pergunt, ut catholicae veritatis nulla sit pars, unde manus abstineant, nulla quam corrumpere non elaborent«. Zgubny ten wpływ pochodzi głównie od źle stosowanej zasady ewolucyi, która jest »in eorum doctrinis fere ca-

put«. System ten wskutek tego jest »omnium haereseon collectus«. i wiedzie do zagłady wszelkiej religii, bo widocznem jest, »quam multiplici itinere doctrina modernistarum ad atheismum trahet et ad omnem religionem abolendam. Equidem protestantium error primus hac via gradum iecit; sequitur modernistarum error; proxime atheismus ingredietur». (Encycl. »Pascendi« 7 Sept. 1907, §. 2, 9, 17, 27).

Jeśli teologia stanowi systematyczną całość, to wynika stąd także, że jest ona prawdziwą umiejętnością. Czegóżby jej bowiem do tej nazwy miało niedostawać? Umiejętność powstaje, jeżeli się materyał zewsząd zebrany układa w jednolitą budowę; wszyscy rozumieją przez umiejętność zbiór wiadomości, dotyczących wspólnego przedmiotu, należycie uzasadnionych, w system ułożonych. Tym warunkom odpowiada teologia w zupełności, jest ona bowiem systematycznym kompleksem prawd, z stwierdzonych źródeł Objawienia należycie udowodnionych. W szczególności posiada teologia wykazaną poprzednio systematyczność.

Temu nie stoi na przeszkodzie, że teologia jest »umiejętnością wiary«, a wiara od wiedzy się różni. Bo aczkolwiek teologia opiera się na wierze, posuwa się ona dalej, poddając wiarę metodycznym operacyom, jak dowodzeniu, dedukcyi, systemizacyi.

Ani nie stanowi przeszkody to, że głównym przedmiotem teologii są tajemnice, bo i w innych umiejętnościach nie ma się do czynienia z samemi tylko oczywistemi prawdami, prócz tego i tajemnice mogą być przedmiotem umiejętnego badania przez to, że się ich istnienia dowodzi, wedle możności wyjaśnia, związek ich wzajemny i z prawdami naturalnemi odkrywa i t. p.

Nie można także odmawiać teologii prawa do nazwy prawdziwej umiejętności dla tego, że nie opiera się na pewnikach oczywistych. Prawda, że każda umiejętność wymaga niezaprzeczonych założeń, na których się buduje, tak jak budynek wymaga fundamentów, drabina oparcia, wiszący łańcuch pierwszego gdzieś przymocowanego ogniwa. Konieczność takich pewnych założeń stąd pochodzi, że wiedza nie jest bezpodstawnem, ślepem uznaniem czegoś za prawdę. Ten cel może być jednak osiągnięty w inny sposób, mianowicie przez pewniki skądinąd przyjęte, i to właśnie ma miejsce w teologii, której założenia wzięte są z nieomylnej wiedzy Boga samego. Pod tym względem zresztą nie jest teologia odosobnioną, bo i inne umiejętności nie zawsze dowodzą swych założeń wprost i bezpośrednio, ale przyjmują je, oczywiście nie bez racyi, skądinąd.

I tak posługuje się astronomia zasadami mechaniki, etyka przyjmuje swe założenia z filozofii, historya z krytyki, muzyka z akustyki, każda zaś bez wyjątku wiedza supponuje logikę. Czyż wobec tego weźmiemy za złe teologii, że opiera się na Objawieniu, nie bezpodstawnie, ani drogą ślepego uczucia, ale za pomocą ścisłego historyczno-krytycznego badania za prawdziwe uznanem? Św. Tomasz powiada, że istnieją umiejętności, które wychodzą z założeń poznanych skądinąd; »sicut perspectiva procedit ex principiis notificatis per geometriam et musica ex principiis per arithmeticam notis. Et hoc modo sacra doctrina (= theologia) est scientia, quia procedit ex principiis notis lumine superioris scientiae, quae scilicet est scientia Dei et beatorum, unde sicut musica credit principia tradita sibi ab arithmetica, ita doctrina sacra credit principia revelata sibi a Deo«. (Summa theol. 1, q. 1. a. 2).

Żadnego zresztą innego poważnego i szczerego zarzutu przeciw uważaniu teologii za umiejętność podnieść nie można, jak to obszerniej wykazali: Donat (Die Freiheit der Wissenschaft, Innsbruck, Rauch, 1910, S. 455—472), Schanz (Ist die Theologie eine Wissenschaft? Stuttgart und Wien 1900), Haring (Einführung in das Studium der Theologie Graz, Moser), Kihn (Encyklopädie und Methodologie der Theologie, Freiburg, Herder, 1892, § 6), Krieg (Encyklopädie der theol. Wissenschaften, Freiburg, Herder 1899, S. 42, ff.) i wielu innych.

W szczególności niesłusznym jest zarzut, jakoby teologia dla tego, że jest »zakutą w okowy dogmatyzmu« i skrępowaną coraz to nowemi orzeczeniami Kościoła, nie posiadała uprawnionej wolności badania. I o tem pisali Niedziałkowski (Snopek kąkolu str. 50—67: »Okowy dogmatyzmu — wolność czystej nauki«, Warszawa 1903 Gebethner), Sieniatycki (»Wolność badania i nauczania« Gaz. kośc. 1910 str. 502 ss. »Czy teologia jest umiejętnością?« Przegl. powsz. 1910, grudzień) i inni.

Wobec tego nic naturalniejszego nad wniosek, na który każdy nieuprzedzony się zgodzi, że teologia godna jest tego zaszczytu, by stanęła obok innych umiejętności w instytucyi, zwanej universitas scientiarum, w uniwersytecie (por. Schindler, Die Stellung der theologischen Facultät im Organismus der Universität, Wien 1904. Donat, l. c. S. 472 ff.). Jej przedewszystkiem tam miejsce przysługuje nietylko z prawa historycznego, ale ze względów zasadniczych. Można pierwszeństwo jakiejś umiejętności z rozmaitego punktu widzenia osądzać, można wziąć na uwagę przedmiot,

albo cel, albo pewność. Pod względem *przedmiotu* wyżej stoi n. p. historya od archeologii, pod względem *celu* wyżej farmaceutyka od medycyny, pod względem *pewności i formy* każda umiejętność podporządkowaną jest logice. Teologia ma za *przedmiot* nie szczerby wykopalisk, skamieliny skorup ziemskich, zwierzę lub człowieka, ale Boga samego; jej *celem* nie zdrowie człowieka lub służba państwowa, ale sam Bóg; jej *źródłem* zaś nie poznanie omylnego rozumu, ale wiedza Boga nieomylnego. Dla tego już Arystoteles zauważył: »Nec aliam quam huiuscemodi decet honorabiliorem putare« (Metaph. l. 1 c. 2), nazywając ją najczcigodniejszą i najbardziej boską, θειοτάτη καὶ θιμωτάτη.


UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 12 10 14 11 018 2